



ALEX
BERENSON

**WIERNY
SZPIEG**

Takiej powieści jeszcze nie było!

Wierny szpieg to absorbujący, debiutancki thriller szpiegowski, który jest pierwszą powieścią sensacyjną podejmującą próbę opisaną złożoności współczesnego świata i zagrożenia terroryzmem. Książka jest w unikalny sposób ekscytująca i jednocześnie prowokująca, stworzona przez autora znającego dogłębnie tę tematykę.

Doskonale prowadzona fabuła i zaskakujące zwroty akcji, a przy tym niezwykle realistyczne opisy zadowolą nie tylko miłośników twórczości Johna le Carré, Toma Clancy'ego i Martina Cruza Smitha.

**Wkrótce ekranizacja
z Keanu Reevesem w roli głównej!**

„Stopniowe budowanie napięcia, prawdopodobny scenariusz oraz nieoczekiwane i zaskakujące zakończenie składają się na frapującą opowieść, która niejednemu raz zapiera dech w piersiach.”

Publishers Weekly

„Fabuła jest w najwyższym stopniu intrygująca, zdumiewająca czytelnika na każdym kroku.”

Booklist

„Thriller roku z najbardziej zaskakującą intrygą. Temat na czasie, który przypomina nam o tym, ile niebezpieczeństw kryje się w dzisiejszym świecie.”

The Washington Post

„Genialna narracja. Niepewne czasy wymagają stawiania czoła ciężkim próbom. Wierny szpieg spełnia to zadanie.”

The New York Times

ISBN-13: 978-83-09779-71-7
ISBN-10: 83-09779-71-4



Cena detaliczna: 29,90 zł

Alex Berenson

Wierny
szpieg

Z języka angielskiego przełożył
Cezary Murawski



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: The Faithful Spy

This translation published by arrangement
with Random House Publishing Group,
an imprint of Random House Ballantine Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

Copyright © 2006 by Alex Berenson

Copyright © 2006 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2006 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: © Lynsey Addario/CORBIS

Redakcja: Miłosz Młynarz

Korekta: Beata Iwicka, Julian Świecki

ISBN: 83-89779-71-4

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

ul. Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22) 631 48 32, 632 91 55

e-mail: hurt@olesiejuk.pl

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.com.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z o, o.

pi Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie:

STUDIO NOA, Ireneusz Olsza

www.dtp.studio-noa.com.pl

Katowice 2006.

Wydanie I

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

Żołnierzom Pierwszego Batalionu
Piątej Brygady Kawalerii Pancерnej
oraz pozostałym mężczyznom i kobietom służącym
w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych,
okazującym męstwo w skomplikowanym świecie
- a także pamięci Fakhera Haidera,
który umarł za prawdę.

PROLOG

JESIEŃ 2001 ROKU
RÓWNINA SHAMALI, NA PÓŁNOC OD KABULU,
AFGANISTAN

John Wells zadarł głowę, daremnie usiłując wypatrzeć dwa myśliwce F-15 krążące w ciemnościach gdzieś nad nim. Nawet w ciągu dnia amerykańskie samoloty trudno było dostrzec, a teraz, kiedy słońce skryło się za górskimi grzbiętami, stały się na dobrą sprawę niewidoczne. Wells miał nadzieję, że piloci również nie widzieli jego ludzi, gdyż bomby podwieszane pod skrzydłami myśliwców mogły w mgnieniu oka unicestwić cały oddział.

Wojna oglądana z kokpitów odrzutowców wygląda jak gra wideo, pomyślał. Małe szare ludziki biegają bezgłośnie po ekranie komputera, przemieszczając się centymetr po centymetrze do chwili, kiedy bomby docierają do ziemi i wybuchają jaskrawymi barwami. Rzeczywistość była bardziej bałaganiarska, a w miejsce pikseli pojawiały się strzępy ciał i kości oraz krew. Wells podążył myślami do pewnego niedzielnego poranka przed wieloma laty. Jego ojciec, lekarz, najlepszy chirurg w całej Montanie, spędził całą noc w sali operacyjnej. Przemierzał teraz kuchnię, a potem odruchowo umył ręce w kuchennym zlewie.

- Co się stało, tato? - zapytał John. - Coś złego?

Miał dziesięć lat i był dostatecznie duży, by wiedzieć, że nie powinien zadawać ojcu tego rodzaju pytań, lecz tym razem przeważała ciekawość. Herbert Wells odwrócił się od

zlewu, wytarł ręce, nalał sobie filiżankę kawy i skierował na syna znuzone spojrzenie niebieskich oczu. Chłopiec miał zamiar przeprosić za naruszenie granic, kiedy ojciec w końcu przemówił. Powiedział coś zupełnie innego niż to, czego spodziewał się John.

- Wszystko zależy od tego, po której stronie spluwy stoisz - odezwał się.

Sączył dalej kawę, jak gdyby nakłaniał syna, by pytał dalej. John nie zrozumiał wtedy tamtych słów, lecz teraz je pojmował. Nigdy nie powiedziano czegoś bardziej prawdziwego. Zastanawiał się, co pomyślałby Herbert Wells - który opuścił ziemski padół przed pięcioma laty - o człowieku, na którego wyrósł jego syn. John rozpoczynał dopiero dorosłe życie, kiedy ojciec wydał ostatnie tchnienie. Gdyby jednak Herbert miał swoje przemyślenia na ten temat, z pewnością zachowałby je dla siebie.

- Masz sprawne dłonie, John. Powinieneś zostać chirurgiem - powiedział pewnego razu, kiedy Wells uczył się już w college'u, ale gdy syn nie odpowiedział, nie podejmował tematu.

Ojciec zawsze mówił mu, że powinien iść własną drogą, a świat nie jest miejscem dla słabeuszy. Wells wychodził z założenia, iż tego nauczył się aż za dobrze. Nie został lekarzem, lecz zabójcą. Zadawał rany, jakich chirurg nie był w stanie uleczyć. Mimo to wierzył, że Herbert zrozumiałby potrzebę istnienia ludzi takich jak on.

Wells przestał już wypatrywać myśliwców bombardujących, ale wciąż spoglądał w niebo. W tym pozbawionym elektryczności kraju gwiazdy i księżyc świeciły z jasnością, którą zachwycił się w swoich młodych latach. Wymieniał nazwy wszystkich pamiętanych gwiazdozbiorów, aż poryw wiatru sypnął mu w oczy piaskiem i ściągnął uwagę na ziemię.

Ahmed, jego zastępca, przeszedł przez dół na ognisko i stanął obok Johna.

- Zimno - powiedział Ahmed po arabsku.
- *Nam*, tak.

W ciągu dnia wiatr przybrał na sile. Ciągnął w porywach od północy, zwiastując nadejście zimy. Tego wieczora podmuchy porywały nawet popiół z ogniska, obracając wniwecz próby ogrzania się. Wells opatulił ramiona pledem i podszedł bliżej do ludzi skupionych wokół małego ogniska. Z chęcią rozpaliby większy ogień, ale nie mógł ryzykować przyciągnięcia uwagi pilotów myśliwców

- To będzie długa zima.
- Tak - odparł Wells.
- Albo krótka - na twarzy Ahmeda pojawił się ponury uśmiech. - Być może będziemy już w raju, kiedy nadejdzie wiosna,
- Może się zdarzyć, że szejek wyśle nas na wakacje - podjął Wells, rozkoszując się własnym dowcipem. - Albo na hadźż*.

* Pielgrzymka do Mekki, do odbycia której przynajmniej raz w życiu zobowiązany jest każdy wyznawca islamu.

Posępny uśmiech zniknął z twarzy Ahmeda, gdy padło słowo „hadźż”.

- *Inszallah*, jeśli Bóg tego pragnie, Dżalal - przemówił z nabożeństwem..
- *Inszallah* - odrzekł Wells.

Dżalal - tak nazwali go talibowie i partyzanci al-Kaidy, gdy został pierwszym człowiekiem z Zachodu, który ukończył szkolenie w obozie niedaleko Kandaharu. Jego prawdziwe imię znało tylko kilku ludzi. Nieliczni używali przezwiska *Ameriki*, Amerykanin, lecz żaden z nich nie miał odwagi uczynić tego w jego obecności. Na dobrą sprawę wielu młodych rekrutów nie miało nawet pojęcia, że był Amerykaninem.

Skąd mieliby wiedzieć, zapytał sam siebie. Po latach walk pod sztandarami dżihadu w Afganistanie i Czeczenii mówił perfekcyjnie po arabsku oraz paszto. Nosił długą brodę, na

dłoniach miał odciski, a jeździł konno niemal tak dobrze jak tubylcy - żaden cudzoziemiec nie potrafił dorównać w tym Afganom. Grywał też w buzkaszi - podobne do polo przeciąganie owcy - z równą zaciętością i zapalem co oni.

Tak przynajmniej uważał, choć nie wiedział, co sądzili o nim bin Laden czy inni przywódcy al-Kaidy i nie był pewien, czy kiedykolwiek się dowie - tym bardziej teraz, gdy jego ojczyzna prowadziła wojnę z goszczącym ich krajem. Jedyne potwierdzenie pełnego oddania sprawie stanowiło poświęcenie życia, lecz akurat tego Wells nie planował.

Znów wstrząsnął nim dreszcz, nie z zimna, lecz skądś wewnątrz ciała. Dość odgadywania przyszłości! Spojrzał na sześciu swoich ludzi z kałasznikowami zawieszonymi na pierśsiach, którzy gwarzyli cicho w ciemnościach. Trzech Afganów, trzech Arabów - wojenna zawierucha sprawiła, że talibowie i bojownicy al-Kaidy zbliżyli się do siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Zwykle zachowywali się głośno, byli przecież urodzonymi gawędziarzami. Zahartowani w bojach, wykonywali rozkazy szybko i bez dyskusji. Dowódca nie mógł prosić o więcej. To, co miało ich spotkać tej nocy było godne pożałowania - nawet bardziej niż godne pożałowania, lecz nieuniknione.

Jaskrawy błysk rozświetlił mrok nocy na południu. Potem kolejny i jeszcze jeden.

- Znów zaczęli - odezwał się Ahmed.

Amerykanie bombardowali Kabul, afgańską stolicę, oddaloną o blisko pięćdziesiąt kilometrów na południe. Jak dotąd nie zawracali sobie głowy równiną Shamali, skrawkiem płaskiego terenu położonym na północ od Kabulu, gdzie talibowie stawiali czoło Sojuszowi Północnemu - powstańczej armii Afganistanu, od 11 września 2001 roku kolejnemu najlepszemu przyjacielowi USA.

Wells i jego ludzie koczowali w wiosce, która nie miała nawet nazwy. Było to zaledwie kilka chat na grani wychodzącej na płaskowyż, chronionej od północy i zachodu przez

górskie masywy Poruszali się raczej konno, w odróżnieniu od talibów, którzy chętniej korzystali z terenowych toyot. Nikt ich tutaj nie niepokoił, mogli więc bez trudu obserwować równinę. Wells wybrał to miejsce także z innego powodu, o którym nie powiedział swoim ludziom. Przy odrobinie szczęścia, w następnej osadzie na północy powinien znajdować się pododdział amerykańskich sił specjalnych.

- Dzisiejszego wieczora wałą mocniej - skomentował Ahmed, gdy niebo na horyzoncie nie przestawało rozbłyskać.

- *Nam.*

Po trwającej miesiąc walce z cieniami Stany Zjednoczone przypuściły atak na Kabul. Dla talibów, którzy dopiero co ponieśli klęskę na liniach obronnych na północy, był to zły znak. Rzekomo niezdobyte miasta padły po zaledwie kilku dniach amerykańskich bombardowań.

Tego jednak wieczoru talibowie przyszykowali dla Sojuszu Północnego niespodziankę. Wells spoglądał na południe, gdzie zryta koleinami droga z Kabulu biegła na pustynię. Wreszcie je dostrzegł. Na północ jechały jakieś samochody Dwanaście pojazdów w zwartej kolumnie, potem przerwa i kolejny tuzin - półciężarówki z zamontowanymi na skrzyniach karabinami maszynowymi kalibru 12 mm; w każdym samochodzie sześciu uzbrojonych talibów. Większe, pięcotonowe ciężarówki przewoziły po dwudziestu ludzi. Księżyc wisiał wysoko, światła konwoju nie przestawały sunąć do przodu. Kolejny tuzin pojazdów i jeszcze jeden. Talibowie przegrupowywali siły, szykując się do natarcia na oddziały Sojuszu Północnego.

Reflektory ciężarówek gasły w miarę zbliżania się do linii frontu. Wells wyciągnął noktowizor - jedyny luksus, który posiadał, odebrany w Czechenii pechowemu majorowi armii rosyjskiej - i spojrział na równinę. Na niewielkim obszarze zgromadziły się setki pojazdów i blisko trzy tysiące ludzi: Afganów i Arabów Mieli obronić Kabul przed atakiem niewiernych, chcących pozwolić niewiastom na odkrywanie

twarzy w miejscach publicznych. Jeśli talibom uda się przełamać linie obrony Sojuszu Północnego, będą w stanie odzyskać dużą część tego, co wcześniej utracili. Pododdział Wellsa wysłano jako zwiad, który miał rozpoznać, czy działania sił Sojuszu wskazują na wiedzę o szykowanym ataku. Jak dotąd nie dostrzegł żadnych przygotowań do obrony Wells podał Ahmedowi noktowizor.

- A więc to prawda?
- *Nam*. Atakujemy dziś w nocy
- Czy mamy szansę na zwycięstwo?

Przed miesiącem takie pytanie w ustach Ahmeda było nie do pomyślenia. Bomby zrzucone przez Amerykanów naruszyły pewność siebie talibów silniej niż Wells się domyślał.

- Oczywiście - odparł. - *Inszallah*.

W rzeczywistości był pełen podziwu dla brawurowego planu natarcia. Talibowie woleli podjąć walkę z wrogiem niż czekać w bunkrach na śmierć, jednak ich zmasowane siły mogły okazać się niezwykle łatwym celem dla myśliwców krążących w górze. Warunkiem zwycięstwa było przerwanie, i to szybkie, linii obrony Sojuszu Północnego. Gdyby partyzanci mieszały się w walce z żołnierzami Sojuszu, Amerykanie nie mogliby zrzucać bomb, nie zabijając jednocześnie swoich sojuszników

Na równinie pododdziały talibów podzieliły się na kompanie, szykując się do rozpoczęcia natarcia.

Jednak nie było im dane ruszyć do przodu.

Bomby zaczęły spadać niemal dokładnie w chwili, kiedy ostatnia ciężarówka z partyzantami dotarła do linii frontu. Niebo rozdarły oślepiające błyski, bomby eksplodowały na białą i czerwono niczym odwrócone fajerwerki. Do uszu Wellsa dobiegały nieregularne, krótkie trzaski i długie, ciężkie huki w seriach po trzy lub cztery, oddzielone dłuższymi przerwami. Ich siła wstrząsała chatami, w których stacjonowali jego ludzie. Jeden z wybuchów rozświetlił noc ogromną czerwoną kulą ognia.

- Musieli trafić w ciężarówkę z amunicją - odezwał się Wells, wpół do siebie, wpół do Ahmeda.

Wydawało się, że zmasowany nalot trwa całe godziny, ale kiedy wreszcie się skończył, Wells spojrzął na zegarek i zdał sobie sprawę, że upłynęło zaledwie czterdzieści minut. Podniósł noktowizor do oczu i znów obserwował równinę. Języki ognia lizały wywrócone wraki półciężarówek i ciężarówek, ciała ludzi leżały w beładzie na twardej ziemi. Amerykanie czekali, aż talibowie wjadą w zastawioną pułapkę, a więc oddział sił specjalnych, ukryty gdzieś w pobliżu, naprowadzał bomby na cel. Na to właśnie liczył Wells.

Jego ludzie stali teraz w milczeniu, zszokowani tym, co się działo na ich oczach. Na równinie talibowie rozpaczliwie próbowali przegrupować siły, ale teraz otworzyli ogień z karabinów maszynowych i moździerzy żołnierze Sojuszu Północnego. Z całą pewnością szykował się również kolejny nalot. Talibowie nie mieli najmniejszych szans - co do tego nie było żadnych złudzeń.

Wells opuścił noktowizor.

- Ruszajmy - wydał komendę.

- Z powrotem? - zapytał Ahmed.

Wells pokręcił głową i wskazał na północ, ponad górską granicą.

- Amerykanie szykują się do zrzucenia bomb właśnie tam.

Ahmed wyglądał na zaskoczonego, ale nie powiedział nic. Wells nie mylił się we wcześniejszych przemyśleniach - jako dowódca mógł robić, co chciał.

Dosiedli koni i pognali w ciemnościach ku północy. W odróżnieniu od innych malowniczych gór północnego Afganistanu, łańcuch Shamali był raczej niski i nierówny, składał się z niewysokich wzgórz zwietrzałego kamienia. Partyzanci jechali jeden za drugim równomiernym kłusem; oddział prowadził Hamid, najlepszy jeździec. Z tyłu znów spadały

bomby Kilka samochodowych świateł przesuwało się na południe, w stronę Kabulu, lecz natarcie talibów załamało się, zanim zdołało się rozpocząć.

- Zwolnijcie - polecił Wells, gdy oddział zbliżył się do grzbietu wzgórza usytuowanego na północ od ich obozowiska. Był niemal pewien, że amerykański zwiad zajął pozycję podobną do tej, którą wybrałby on sam. Jego podkomendni wjechali na szczyt wzniesienia i zatrzymali się. Teren przed nimi opadał, potem znów się wznosił. Wells obejrzał okolicę przez noktowizor. Byli tam: pół tuzina ludzi spoglądających na linię frontu talibów, obok grupki chat ulepionych z gliny. Może to wieśniacy, wyrwani ze snu przez bombardowanie... Ale nie, to Amerykanie, czego dowodziła półcieżarówka ukryta za jedną z chat.

Samochód ujawniał również, że mieli lekki karabin maszynowy albo karabin kalibru 12 mm - broń o większej sile rażenia niż arsenał, jakim dysponowali ludzie Wellsa. Na korzyść partyzantów działało jednak zaskoczenie. Wells polecił gestem, by zaatakowali w ciszy. Ruszyli na Amerykanów, podnieceni walką. On również był podekscytowany, chociaż poczuł odrazę do siebie.

OKRĘT WOJENNY USS „STARKER”, OCEAN ATLANTYCKI

Lot przebiegał bez większych zakłóceń, lecz mimo to Jennifer Exley czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, gdy helikopter wylądował, a ona schodziła na szary stalowy pokład „Starkera”, zakotwiczonego dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Norfolk w stanie Wirginia. Były to już wody międzynarodowe, drogocenny ładunek pozostawał więc poza obszarem jurysdykcji amerykańskich sądów

„Starker”, wysłużony okręt desantowy, służył obecnie jako paka, czyli pływające więzienie. Tego dnia na pokładzie

znajdował się tylko jeden więzień: Tim Keifer alias Mohammed Fajsal, dwudziestodwuletni Amerykanin wzięty do niewoli w trakcie walk w pobliżu Mazar-i-Sharif, na terenie północnego Afganistanu. Walczył po stronie talibów przeciwko armii Stanów Zjednoczonych. Exley wciąż usiłowała skupić na tym myśli.

Pojmanie Johna Walkera Lindha, również amerykańskiego taliba, zyskało światowy rozgłos; ujęcie Keifera utrzymywano jednak w sekrecie. Prezydent Bush podpisał rozkaz, w którym Fajসাła uznano za „osobę walczącą po stronie wroga” i zawieszono mu prawa obywatelskie, w tym prawo odwołania się do amerykańskich sądów. Obecnie Keifer - jak najbardziej dosłownie - dryfował w miejscu, w którym nie obowiązywało prawo. Exley miała pewne wątpliwości co do tej decyzji, ale być może nie należało teraz się przejmować takimi drobiazgami jak konstytucja Stanów Zjednoczonych. Okręt zakolysał się i krzyknęła ze strachu, kiedy utraciła równowagę na śliskim pokładzie. Towarzyszący jej młody i miły podporucznik marynarki szybkim ruchem wyciągnął rękę i podtrzymał kobietę.

- Nic pani nie jest, pani Exley?
- Wszystko w porządku.

Sprowadził ją pod pokład i ruszyli jaskrawo oświetlonym korytarzem.

- Mohammed znajduje się w szpitalu - wyjaśnił marynarz. - Staramy się zachować ostrożność, ale jemu wciąż przydarzają się jakieś wypadki. Uderza głową o drzwi, kur...

Uprzytomnił sobie, że mówi do kobiety i ugryzł się w język, co nie uszło jej uwagi.

- ... kurczę, i tak dalej.

To było do przewidzenia, pomyślała Exley. Do czasu, kiedy nie zginie z ich ręki.

- Załoga najchętniej wyrzuciłaby go pewnie za burtę?
- Ciągniemy losy, kto będzie mógł to zrobić - odpowiedział wesoło. - Jesteśmy na miejscu.

Pokazała identyfikator CIA oraz specjalną przepustkę marynarki dwóm marynarzom pełniącym straż przed drzwiami. Obaj dokładnie przyjrżeli się dokumentom, potem zasalutowali. Podporucznik wyciągnął z kieszeni gruby metalowy klucz i wsunął go do potężnego zamka. Przekręcił klucz i powoli otworzył drzwi, popychając je do środka. Exley weszła do pomieszczenia bez okien.

- Ma pani tyle czasu, ile pani sobie zażyczy - oznajmił oficer, zamykając za nią drzwi. - Mohammed nigdzie się nie wybiera.

Keifer leżał na wąskiej szpitalnej kozetce, z rękoma i nogami przykutymi do ramy. W przedramieniu tkwiła igła doprowadzająca płyn z kroplówki. Na twarzy miał kilkudniowy zarost, a włosy na głowie ostrzyżone na jeża. Pod lewym okiem widniał okrągły siniak. Mężczyzna był chudy i drobny - wyglądał jak student ostatniego roku filozofii lub coś równie bezużytecznego. Ryzyko jego ucieczki prawie nie istniało, jednak na wszelki wypadek obiektyw kamery zainstalowanej w rogu skierowany był na łóżko, a przy drzwiach stało kolejnych dwóch marynarzy. Każdy z nich wypchnąłby Keifera w bezmiar Atlantyku jedną ręką. Przez chwilę Exley zrobiło się żal więźnia. Tylko przez chwilę.

W normalnych okolicznościach Exley nie miałaby sposobności przeprowadzenia rozmowy z Keiferem. Nie była śledczą, lecz analitykiem, a ludzie z CIA oraz DIA * - chłopcy Rumsfelda - obrabiali więźnia całymi tygodniami. Po przestudiowaniu raportów z przesłuchań Mohammeda Fajsala, Exley oraz jej szef, Ellis Shafer, kierownik sekcji bliskowschodniej, doszli jednak do wniosku, że powinna osobiście porozmawiać z Keiferem.

* Defense Intelligence Agency - Agencja Wywiadu Obrony

Agentka CIA zdecydowała, że będzie zachowywać się jak matka. Była w odpowiednim wieku, on zaś najprawdopodobniej od długiego czasu nie widział żadnej kobiety.

Podeszła do łóżka i położyła dłoń na ramieniu więźnia. Otworzył oczy i spojrzał na nią wzrokiem zamąconym środkami odurzającymi. Szarpnął się do tyłu, garbiąc ramiona; potem nieco się odprężył, kiedy obdarzyła go miłym uśmiechem.

- Tim, nazywam się Jen Exley

Zamrugał oczyma, lecz nie wydał z siebie dźwięku.

- Dobrze się czujesz?

- Jak to jest czuć się dobrze?

Niewiarygodne - ten uparty dzieciak wciąż zamierzał grać twardziela każdą cząstką ważącego siedemdziesiąt kilogramów ciała. Na szczęście pentotal sodu oraz morfina nieco go rozmiękczyły Amnesty International zapewne sprzeciwiłaby się takim metodom, ale nie miała prawa głosu. Exley starała się nadać twarzy wyraz współczucia, ukrywając jednocześnie pogardę.

- Czy mogę usiąść?

Wzruszył ramionami, uderzając przy tym kajdankami o ramę łóżka. Przystawiła krzesło.

- Jesteś prawnikiem?

- Nie, ale mogę tu kogoś ściągnąć - skłamała niewinnie.

- Żądam prawnika - powtórzył Keifer bełkotliwym głosem.

Zamknął oczy i zaczął kiwać głową, powoli, równomiernie, jakby ten ruch zapewniał mu ulgę i pocieszenie.

- Powiedzieli mi, że nie będzie żadnego prawnika. Znam swoje prawa.

Będziesz musiał omówić ten temat z kimś o wiele ważniejszym ode mnie, pomyślała Exley

- Mogę ci pomóc - podjęła rozmowę. - Ale w zamian oczekuję, że ty pomożesz mi.

Znów pokręcił głową, tym razem z ponurą miną.

- Czego chcesz?

- Opowiedz mi o tym innym Amerykaninie po tamtej stronie. Nie o Johnie Walkerze Lindhu. O tym trzecim, tym starszym.

- Już ci mówiłem.

Dotknęła jego twarzy i przysunęła głowę Keifera ku sobie, chcąc dać mu sposobność spojrzenia w swoje niebieskie tęczówki - jej najlepszy numer, zawsze to powtarzano, nawet mimo faktu, że wokół oczu pojawiły się już wyraźne kurze łapki.

- Spójrz na mnie, Tim. Mówiłeś to komuś innemu, nie mnie.

Dostrzegła, jak z oczu więźnia znika wola walki. Jego umysł - może z pomocą płynących w żyłach środków odurzających - zdecydował, że opór nie jest wart zachodu.

- Wołali na niego Dżalal. Jeden czy dwóch facetów mówiło, że naprawdę miał na imię John.

- John?

- Może pomylili go z Johnem Walkerem Lindhem. Nie jestem nawet pewien, czy to Amerykanin. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

- Ani razu? - miała nadzieję, że jej głos nie zdradza rozczarowania.

- Nigdy - potwierdził Keifer.

Zamknął oczy Czekala.

- To był rozległy obszar, a on zjawiał się i znikał.

- Pozwalali mu swobodnie wyjeżdżać i przyjeżdżać?

- Tak wyglądało.

- A jak on wyglądał?

- Wielki gość. Wysoki. Nosił długą brodę jak wszyscy

- Jakies znaki szczególne?

- Nawet jeśli je miał, to ja ich nie widziałem. To nie był ten rodzaj obozu.

Pochyliła się nad Keiferem i uśmiechnęła. Jego oddech był jednocześnie odpychający i drażniący, jak spleśniała pomarańcza. Prawdopodobnie niezbyt często pozwalali mu myć zęby.

- Czy przypominasz sobie coś jeszcze? Odniosła wrażenie, że pogрузzył się w myślach.

- Czy mogę dostać trochę wody?

Exley spojrzała na marynarza stojącego przy drzwiach. Wzruszył ramionami. W rogu pomieszczenia obok metalowej umywalki dostrzegła stos plastikowych kubków. Napełniła jeden z nich i przystawiła delikatnie do ust więźnia.

- Dziękuję - rzekł Keifer, zamykając oczy. - Ten Amerykanin... Dżalal... mówili o nim, że był prawdziwym żołnierzem. Bezwzględny. Walczył w Czeczenii. Tak o nim mówili.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Cóż jeszcze mogę ci powiedzieć?

To, co naprawdę chciała wiedzieć, wymagało postawienia pytań, których nie wolno jej było zadać. W jakim stopniu zapoznała się z tekstem Koranu? Czy rzeczywiście nienawidzisz Ameryki, czy też była to tylko wojenna przygoda? Przy okazji, kiedy twoi przyjaciele zamierzają nas zaatakować? Gdzie? W jaki sposób?

Gdy myślała o pytaniach, których nie mogła postawić i na które nie mogła uzyskać odpowiedzi, przyszło jej do głowy jeszcze jedno. Po której jest stronie? Dżalal, rzecz jasna. John Wells - jedyny agent CIA, który zdołał przeniknąć do struktur al-Kaidy. Człowiek, o którego istnieniu wiedziało zaledwie kilku oficjeli Agencji. Dobro narodowe w pojedynnym egzemplarzu.

Problem wynikał z faktu, że ów skarb od blisko dwóch lat nie fatygował się, by nawiązać kontakt ze swymi przełożonymi w CIA - czyli, innymi słowy, z Exley. Oznaczało to, iż innymi słowy nie zapobiegł zdarzeniom z 11 września. Dlaczego, John? Przecież żyjesz i nie jesteś więziony. Ten dzieciak potwierdził przynajmniej to, choć niewiele więcej. Nie wiedziałeś o niczym? A może przeszedłeś na ich stronę? Zawsze była w tobie odrobina szaleństwa, inaczej nie wyruszyłbyś w tamte góry. Być może spędziłeś zbyt wiele lat,

kłęcząc na modlitewnych dywanikach razem ze złymi ludźmi i jesteś teraz jednym z nich?

- Cóż jeszcze? - powtórzyła Exley. - Nic nie przychodzi mi do głowy

Odstawiła pusty kubek i wstała, zamierzając wyjść. Wzrok Keifera spotkał się z jej spojrzeniem: teraz rzeczywiście wyglądał jak przestraszony dzieciak. Zaczyna wreszcie rozumieć, w co wdepnął, pomyślała. Dzięki Bogu, to nie mój problem, tylko jego.

- A co z prawnikiem? Obiecałaś...

- Zajmę się tym - przerwała mu, idąc ku drzwiom. - Powodzenia, Tim.

Wells i jego ludzie znajdowali się teraz o półtora kilometra od Amerykanów. Kilka minut wcześniej zsiadli z koni i zostawili je. Poprowadził ich do wąskiego siodła, grani, która zasłaniała ich przed wzrokiem Amerykanów. Kiedy stąd wyjdą, nie skryją się nigdzie, gdyż znajdują się na otwartym terenie - tak właśnie, jak zaplanował Wells. Nie ludził się, że jego oddział podejdzie blisko niezauważony. Na powierzchni masywu nie było prawie drzew, zaś żołnierze sił specjalnych mieli na wyposażeniu znacznie lepszy sprzęt niż jego noktowizor.

Podzielił swych ludzi na dwie grupy Ahmed miał poprowadzić trójkę partyzantów na północ, atakując bezpośrednio nieprzyjacielskie pozycje, natomiast Wells, Hamid i Abdullah - najodważniejszy z bojowników oddziału - mieli pójść ostrym łukiem w kierunku północno-zachodnim, podchodząc ku grani, by potem uderzyć z góry

- Musimy przemieścić się szybko - tłumaczył Wells - zanim zdołają wezwać swoje samoloty. Bez wsparcia z powietrza są słabi.

Jego podkomendni skupili się wokół niego, z podnieceniem gładząc broń.

Teraz najważniejsza część.

- Jako wasz dowódca oznajmiam, że wyruszacie na męczeńską misję - kontynuował.

Były to magiczne słowa. Mieli walczyć aż do ostatniej kropli krwi. Wycofanie się lub poddanie nie wchodziło w grę.

- Czy wszyscy zrozumieli?

Spojrzał na swych ludzi, szukając oznak strachu. Nic takiego nie dostrzegł. Ich wzrok był niezachwiany

- Walczymy dla chwały Allacha i Mahometa. Wróg sam wpadł w nasze ręce. Jeśli Allah pozwoli, zniszczymy nieprzyjaciół. *Allahu akbar*.

- *Allahu akbar*, Bóg jest wielki - odpowiedzieli cicho ludzie Wellsa.

Byli zaniepokojeni, ale jednocześnie podekscytowani, Wells dobrze to widział. Nie istniała większa chwała niż zabicie Amerykanów lub śmierć z walce z nimi.

Ahmed zarepetował kałasznikowa i wyprowadził swych ludzi ze skalnego siodła. Wells ruszył za nimi, skręcając w górę grani. Po kilku minutach, gdy znajdowali się około czterystu metrów od Amerykanów, położył się na ziemi za skalnym odłamek, dając jednocześnie znak Hamidowi i Abdulahowi, by uczylni to samo.

- Zaczekajmy - odezwał się. - Ahmed zaatakuje pierwszy

Teraz wydarzenia powinny potoczyć się bardzo szybko. Wyrzwał z za głazu. Przez noktowizor widział, jak ludzie z oddziału sił specjalnych przygotowywali się do odparcia ataku, szykując stanowisko dla karabinu maszynowego i kryjąc się za chatami oraz skalnymi blokami. Nie biegali nerwowo, lecz poruszali się szybko i precyzyjnie - każdy krok potwierdzał świetne wyszkolenie.

Kiedy Ahmed i jego ludzie podeszli na odległość stu metrów, żołnierze sił specjalnych otworzyli ogień. Huki wystrzałów odbijały się gromkim echem po skalnym zboczu. Pierwszą falę ognia przetrwał jedynie Ahmed. Pozostali trzej mężczyźni zginęli natychmiast - pociski karabinu maszynowego kalibru

12 mm poszatkowały ich ciała, zanim zdążyli paść na ziemię.

- *Allahu akbar!* - wykrzyknął Ahmed, uniesiony odwagą i pogodzony z przeznaczeniem.

Ruszył biegiem w stronę amerykańskich pozycji, ostrzeliwując wroga. Po kilku sekundach był już martwy, tak jak przewidział Wells. Nie potrafił odmówić Amerykanom wojennego kunsztu.

Wells raz jeszcze się upewnił, że Ahmed i jego ludzie pożegnali się ze światem żywych. Nie wydawali żadnych odgłosów i nie ruszali się, wstał więc i ruszył pochyłony, starając się pozostać w cieniu skalnego bloku. Zatrzymał się na moment. Znał Hamida i Abdullaha od lat, łamał się z nimi chlebem, razem przeklinali chłody w górach.

Wyciągnął makarowa, którego nosił w skórzanej kaburze przypiętej do biodra. Trach-trach! Pierwszy strzał trafił w głowę Hamida, drugi Abdullaha. Szybko i czysto. Przez chwilę drgali i charczeli, potem znieruchomieli.

- Przykro mi - wymamrotał, nie otwierając ust. Nie miał innego wyjścia. Ukrył się za skalnym odłamem i nasłuchiwał. Zapadła cisza, ale wiedział, że Amerykanie usłyszeli strzały i patrzyli teraz w jego stronę. Teraz albo nigdy

- Jestem Amerykaninem! - krzyknął po angielsku w dół zbocza. - Amerykaninem! Nie strzelajcie! Jestem po waszej stronie!

Tuż nad jego głową przeleciała ze świstem seria z karabinu maszynowego.

- Jestem Amerykaninem! - wykrzyknął ponownie. - Nie strzelajcie!

- Jeśli jesteś Amerykaninem, to wstań! - zawołał głos po drugiej stronie. - Tak żebyśmy cię widzieli i z rękami w górze!

Wells zrobił, co mu kazano, żywiąc jedynie nadzieję, że nie skoszą go serią - ze strachu, złości lub choćby dlatego, że mogą to zrobić. Usłyszał kroki mężczyzn podchodzących w

górze stoku w jego kierunku. Ktoś włączył: dwa szperacze, które go oślepiły

- Podejdź do przodu i połóż się na brzuchu z rozłożonymi rękami.

Wells dotknął twarzą skalistego podłoża i pocałował matkę ziemię. Jego plan zadziałał. W końcu nawiązał kontakt.

Za plecami Wellsa żołnierze rozglądali się na wszystkie strony

- Co do diabła? - odezwał się jeden z nich, gdy znaleźli ciała Hamida i Abdullaha. Reflektor punktowy oświetlał teren wokół Wellsa, a ktoś przystawił mu lufę karabinu do tyłu głowy

- Nie ruszaj się, panie Amerykanin - odezwał się z bliska jakiś głos. - Kim ty, kurwa, jesteś? I co przytrafiło się twoim kumpłom tam z tyłu?

- Jestem z Agencji - odparł Wells. - Nazywam się John Wells.

Poczuł, jak lufa odsuwa się nagle. Po chwili rozległ się ostry gwizd.

- Majorze! - powiedział głos nad nim.

Potem odbyła się szeptana rozmowa i usłyszał nowy głos:

- Możesz jeszcze raz powtórzyć, jak się nazywasz?

- John Wells.

W tyle czaszki znów poczuł dotyk wylotu lufy

- Jakie jest twoje EPI, panie Wells?

Emergency Proof of Identity, kryptonim w sytuacjach wyjątkowych, to krótki i niepowtarzalny zwrot, przypisany każdemu agentowi w terenie, który pozwalał na potwierdzenie jego tożsamości w sytuacjach podobnych do tej. Zwykle nie wyjawiano go nikomu poza strukturami CIA, tym razem jednak Wells zdecydował się na zrobienie wyjątku. Ci, w których rękach się znalazł, z pewnością byli poinformowani o amerykańskim agencie działającym na terenie zajęтым przez talibów.

- Mój EPI brzmi „Czerwone skarpety”, majorze.

Mijały sekundy Wells słyszał, jak żołnierze stojący nad nim wertują jakieś dokumenty

- Serio? - odezwał się głos, tym razem bardziej przyjaznym tonem. Miał lekki południowy akcent. - Rzeczywiście. Nazywam się Glenn Holmes. Możesz wstać.

Wells podniósł się z ziemi, a Holmes - niski, muskularny mężczyzna z włosami ostrzyżonymi na jeża i kozią bródką w kolorze rudoblond - uściskał jego dłoń.

- Proszę mi mówić John - zaproponował Wells, chociaż wiedział, że Holmes nie zgodzi się na to.

Zorientował się, że ludzie z sił specjalnych nie darzyli go pełnym zaufaniem. „Dla bezpieczeństwa” zabrali mu karabin i pistolet oraz nóż przypięty na łydce. Wellsowi wydawało się jednak, że mu uwierzyli, kiedy opowiadał, jak wprowadził swój oddział w zasadzkę, aby móc z nimi porozmawiać. Przynajmniej nie związali mu rąk ani nie założyli worka na głowę, by zmusić go do współpracy

Powiedział im więc to, z czym przyszedł: wszystko, co wiedział o obozach al-Kaidy, wyszkoleniu żołnierzy dżihadu i eksperymentach, jakie prowadzili z bronią chemiczną.

- To chemia na poziomie liceum. Zmieszaj zawartość menzurki A z treścią probówki B i sprawdź rezultat. W ten sposób zabili kilka psów

- A broń biologiczna? Nuklearna?

- Nie dysponujemy nawet stabilnym systemem zasilania, majorze. My.. Oni...

Kiedy Wells zamienił zaimki, poczuł zakłopotanie. Był Amerykaninem, teraz i na zawsze, i nigdy nie zdradziłby własnej ojczyzny Po latach spędzonych tutaj polubił jednak paru ludzi - choćby Ahmeda, któremu przed chwilą dopomógł przenieść się na łono Allacha. Pokręcił głową. Te sprawy poukłada sobie później.

Holmes obserwował go przez cały czas, nie odzywając się nawet słowem.

- Bardzo chcieliby zdobyć broń biologiczną czy bombę jądrową, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

- Czy tyle słów po angielsku wypowiedzianych na raz robi dziwne wrażenie? - zapytał nieoczekiwanie Holmes.

- Niekoniecznie - odparł Wells. - Chociaż prawdę mówiąc, tak.

- Czy mamy zrobić przerwę?

- Wszystko w porządku. Tylko... - Wells zawahał się przez moment, nie chcąc wyjść na głupka. - Czy macie może Gatorade? Naprawdę stęskniłem się za jej smakiem.

- Fitz, zostało nam trochę Gatorade?

Zmieszali mu torebkę o smaku pomarańczowym z butelką wody, a Wells żłopał napój niczym konkwistador, który natrafił na źródło młodości. Zrelacjonował im wszystko, co wiedział na temat ludzi bliskich bin Ladenowi, chociaż było tego mniej niżby chciał. Potem przeszedł do źródeł finansowania, na koniec zaś przedstawił swoje domysły na temat tego, dokąd mógł zbiec Osama. Ludzie z sił specjalnych nagrywali wszystko na taśmę. Przekazywał posiadane informacje najszybciej jak tylko potrafił, odliczając godziny według księżycy, który przesunął się po niebie. Zamierzał powrócić, zanim nastanie poranek. Im większe byłoby poruszenie związane z jego powrotem, tym mniej pytań na temat losu oddziału. Tej nocy zginęły setki talibów i Arabów. Któż zwróciłby uwagę na jeszcze sześciu zabitych?

Niebo zaczęło jaśnieć, a Wells wiedział, że musi ruszać w drogę.

- To wszystko - oznajmił. - Żałuję, że nie mam więcej czasu, ale muszę wracać.

- Wracać? - Holmes spojrział na niego szeroko otwartymi oczyma. - Nie chce pan wydostać się stąd?

Nie chcesz pojechać do domu? Wells zapomniał nawet, że to możliwe - chyba dlatego, że było równie prawdopodobne co wyprawa na Księżyc. Czy nie chcesz zająć miejsca w łożu na stadionie w Fenway Park? Popatrzeć na ocean? Zobaczyć

kobiet w minispódniczkach? Czy nie chcesz przemaszerować przez Montanę, zmierzając do domu? Ukleknąć przy grobie ojca i przeprosić za to, że nie było cię na jego pogrzebie? Czy nie chcesz zobaczyć Heather i Evana? Matki?

Odpowiedź na wszystkie pytania brzmiała „tak”. Dom był życiem, jego prawdziwym życiem. Nagły ból utraty szarpnął nim tak mocno, że zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

- Wells? - odezwał się Holmes.

Wtedy Wells przypomniał sobie euforię, jaka opanowała ludzi w obozach 11 września: wszyscy wiwatowali, śpiewali i modlili się do Allacha. Wiedział, że szykuje się coś wielkiego, ale nie znał szczegółów. Być może powinien dowiedzieć się czegoś więcej, ale myślał wtedy, że al-Kaida przygotowała zamach na jakąś ambasadę lub rafinerię w Arabii Saudyjskiej. Nie chciał wzbudzać podejrzeń, zadając zbyt wiele pytań. Nie sądził, że może chodzić o World Trade Center. Zawiodła go wyobraźnia, podobnie jak niemal wszystkich. Tysiące ludzi poniosło śmierć.

Tamtego dnia Wells poprzysiął sobie jedno: to się nie powtórzy, dopóki on żyje i może temu zapobiec. Wszystko inne było drugorzędne. Niewiele mu zresztą pozostało - Heather wyszła ponownie za mąż, a Evan prawdopodobnie nie miał pojęcia o ojcu. Czy Wells zresztą znał swego syna? Przez całe lata nie widział nawet fotografii chłopca. Jego prawdziwe życie, jakiegokolwiek było, przestało istnieć. To, co zrobił dzisiaj wieczora - z zimną krwią zabił ludzi, którymi dowodził - tylko to potwierdzało.

Jakim sposobem mogłaby go rozpoznać rodzina, skoro on nie potrafił rozpoznać samego siebie?

- Nie chcę - odparł Wells. - Mogę dostać pióro i papier, majorze?

Holmes podał mu blok i pióro. Wells zapisał niewyraźnie: „Będę tropił UBL” - był to skrót używany w Agencji w odniesieniu do Osamy, nazywanego Usamą. „Zero wiedzy przed 9/11. Wciąż po waszej stronie. John.”

Zagryzł dolną wargę i dopisał jeszcze linijkę: „PS: Przekaż Heather i Evanowi oraz mojej mamie, że tęsknię za nimi”. Oderwał kartkę, złożył i napisał na niej: „Exley”.

- Czy przekaże pan tę wiadomość Jennifer Exley, majorze? To mój oficer prowadzący

- Oczywiście.

- Wolałbym również, żeby pan tego nie czytał.

- Rozumiem - odparł Holmes. Wyciągnął kopertę, włożył do niej kartkę i zakleił ją.

- Majorze, czy mogę spytać o jeszcze jedną rzecz? Co pan wtedy czuł?

- Kiedy?

- Przed dwoma miesiącami. Jedenastego września.

Holmes pokręcił ze zdziwieniem głową, jakby odtwarzał w umyśle tamten dzień,

- Podobnie jak wszyscy w kraju, poczułem uderzenie w bebechy. Ludzie siedzieli w domach i oglądali telewizję. Patrzyli w kółko, jak waliły się gigantyczne wieże. Ludzie biegnący ulicą, potem uderzenie drugiego samolotu... To było niewiarygodne. To znaczy, nie byłem w stanie uwierzyć, że to prawda. Gdyby Tom Brokaw pojawił się na ekranie i oznajmił: „Hej, Amerykanie, właśnie was wyruchaliśmy, cha, cha, cha”, odpowiedziałbym: „Dobra, w porządku”. Miałoby to więcej sensu niż to, co naprawdę się wydarzyło.

- Ci faceci są zdolni do wszystkiego. - Wells wiedział, że spostrzeżenie nie było szczególnie odkrywcze, ale nagle poczuł głębokie znużenie.

- Moja matka zmarła dwa lata temu - ciągnął Holmes.

- Nowotwór. To był najgorszy dzień mojego życia. Ten był drugi w kolejności. Każdy odbierał to podobnie. Niektórzy z Delty ruszyli do Nowego Jorku, żeby pomóc w odgrzebywaniu ofiar. Ja nie - wiedziałem, że będziemy potrzebni w bazie.

Holmes spojrzał na Wellsa:

- Wszystko w porządku, John? Może niech Freddy cię przebadają?

- Dzięki, to wszystko - odparł Wells. - Powiniennem już ruszać.

Wstał i spojrzął w dół ku równinie.

- Ta linia frontu nie utrzyma się długo.

- Twoi ludzie nie wytrwają nawet tygodnia - zawyro-
kował Holmes.

- Moi ludzie... - powtórzył Wells. Ponownie poczuł za-
męt w myślach.

- Bez obrazy

- Spoko - odparł Wells.

- Posłuchaj - powiedział Holmes. - Jak wrócisz do kra-
ju, zadzwoń do mnie. Numer telefonu jest na moją żonę -
Debbie Turner, Silver City, Karolina Północna. Zabiorę cię
na ryby Okolica jest piękna.

- Niemal równie piękna jak Montana.

- Dzwoń, gdy wrócisz do domu, John.

- To może trochę potrwać - odparł Wells.

Wstał. Holmes zwrócił mu broń, Wells przypiął nóż i pi-
stolet, potem przewiesił karabin przez ramię. Holmes wycią-
gnął rękę, a Wells wziął ją w obie dłonie.

- Majorze, jeszcze jedno.

- Słucham?

- Musisz mnie postrzelić.

Holmes cofnął się o krok, nagle nieufny

- W rękę. Nie mogę wrócić zdrów i cały, gdy reszta od-
działu zginęła.

- Nie ma mowy - stwierdził Holmes.

- Majorze, wtedy będę musiał zrobić to sam.

- Chryste.

- Kula przechodzi przez mięsień. Kość zostaje nienaru-
szona.

Holmes zawahał się, potem skinął głową.

- Dobra. Odwróć się i zacznij iść.

- Iść?

- Jestem żołnierzem jednostki Delta, agencie Wells - zauważył Holmes, przeciągając głoski z karolińskim akcentem. - Potrafię odstrzelić opozowi kutasa z odległości stu kroków. Która ręka?

- Lepiej lewa - zdecydował Wells.

Odwrócił się i powoli ruszył przed siebie, wyciągnąwszy rękę w bok. Kilka sekund później rozległ się strzał. Poczul, jak przez skórę i biceps przenika piekący ból, jakby ktoś wbił tam drut do robótek.

- *Kusmak* - Wells wyrzucił z siebie arabskie przekleństwo, gdy bryznęła krew.

Wulgaryzm oznaczał „cipa twojej matki”. Usiadł i spojrzal na Holmesa, który wciąż trzymał w dłoni pistolet, tak na wszelki wypadek.

- Niezły strzał, majorze.

Nie mijal się z prawdą. Rana była czysta i miała równe brzegi.

- Chcesz jeszcze jeden?

Wells uśmiechnął się - najpierw niepewnie, ale w miarę jak krew spływała po jego ręce, ogarniały go spazmy śmiechu. Holmes musiał pomyśleć, że agent CIA oszalał, lecz Wells nie mógł po prostu przestać. Talibowie nie robili tego rodzaju dowcipów

- Wystarczy - odpowiedział, stopniowo się opanowując.

- Dać ci bandaż?

- Sam to zrobię.

Wells oderwał kawałek ubrania i zrobił z niego opaskę uciskową. Krew prawie przestała płynąć. Ból jednak powrócił: czuł intensywne pieczenie w ramieniu i barku. Poczul się gorzej, ale żył. Gdy wstał, zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy, czekając, aż zawroty miną.

- Silver City! - zawołał za nim Holmes. - Nie zapomnij.

Wells odwrócił się i powłócząc nogami, ruszył na południe, w afgańską noc.

LANGLEY, WIRGINIA

Biuro Exley wyglądało jak typowe miejsce pracy analityka średniego szczebla. Nie było w nim okien, a drewniany regał wypełniały książki poświęcone historii Bliskiego Wschodu i Afganistanu. Stały tam dwa komputery - jeden do prac utajnionych, drugi podłączony do Internetu - oraz sejf, nieudolnie ukryty za ryciną z angielskim pejzażem. Na biurku znajdowało się kilka fotografii dzieci Jennifer oraz śliczna kartka z życzeniami urodzinowymi od Randy ego, chociaż CIA nie zachęcała pracowników do prezentowania nadmiernej indywidualności. Przekaz był czytelny: dzisiaj tu, jutro tam.

Notatka Wellsa dotarła do Exley po upływie czterech dni. Agentka doszła do wniosku, że personel sił specjalnych miał ważniejsze rzeczy na głowie - Kabul właśnie dostał się w ręce żołnierzy Sojuszu Północnego. Bitwa na równinie Shamali wykazała, iż talibowie - jak wszyscy inni - nie potrafili stawić czoła amerykańskiej powietrznej nawale. Teraz Exley siedziała przy biurku, czytając tajemniczą notatkę oraz dołączony do niej, jeszcze bardziej niepokojący raport sporządzony po akcji. „Wells zażądał od majora Holmesa, by ten postrzelił go w rękę, co miało stworzyć wrażenie, że brał udział w wymianie ognia z amerykańskimi siłami...”

Exley zacisnęła nozdrza i zamknęła oczy, kiedy jednak otworzyła je po chwili, nic się nie zmieniło. David i Jess będą zapewne spać, gdy wróci do domu, a Randy, jak zwykle przed telewizorem, ostentacyjnie nie zapyta, jak długo jeszcze będzie musiał tolerować jej późne powroty z pracy. Zbawianie świata trudno pogodzić z wymogami małżeństwa - zwłaszcza kiedy zbawianiem świata zajmuje się żona.

- On nie zamierza wrócić.

Podniosła wzrok na Shafera, który stanął w drzwiach. Luźnik pojawiał się w jej biurze bez zapowiedzi - to była pierwsza

z jego mniej przyjemnych cech. Drugą stanowił nieciekawy wygląd. Trzymał kopię notatki Wellsa.

- On nie zamierza wrócić - powtórzył Shafer. - Wyjechał na dobre, a może po prostu zbzikował. W każdym razie założę się z tobą o filiżankę dobrej kawy, że ostatni raz otrzymaliśmy od niego wiadomość. Niestety

Exley zauważyła, że jej szef bynajmniej nie wyglądał na przybitego.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Dlaczegoż to?

- Post scriptum: „Przekaż Heather i Evanowi oraz mojej mamie, że tęsknię za nimi”.

- Ostatnia wola, testament - wzruszył ramionami Shafer.

- W takim razie powiedziałby, że ich kocha. Być może zginie po tamtej stronie, ale na pewno nie dołoży starań, by tak się stało.

- Hmm - mruknął Shafer w odpowiedzi.

Odwrócił się i ruszył korytarzem.

- Dochodzi dziesiąta. Jedź do domu i prześpij się trochę - zawołał jeszcze.

- A ty wsuń koszulę w spodnie - wymamrotała.

Spojrzała jeszcze raz na notatkę Wellsa i zamknęła ją w sejfie. Ona, Shafer, nawet Wells - musieli po prostu czekać.

Wszyscy mogli jedynie czekać.

Część I

Powrót króla

1

TERAŻNIEJSZOŚĆ PAKISTAN, PROWINCJA PÓŁNOCNO-ZACHODNIA

Szejk Gul spoglądał gniewnie na zgromadzonych wiernych.

- Teraz każdy wierny musi brać udział w dżihadzie! - przemawiał w języku paszto, podniesionym głosem. - Kiedy Mongołowie ruszyli na Bagdad, bycie pobożnymi muzułmanami w niczym nie pomogło mieszkańcom miasta. Zginęli, zarąbani mieczami niewiernych.

Szejk wznosił ręce nad głowę.

- Teraz islam znów znalazł się w oblężeniu. Oblęgany jest kraj dwóch meczetów oraz kraj dwóch rzek - Arabia Saudyjska i Irak. Również Pakistan jest oblężony, a jego przywódcy plamią się współpracą z Amerykanami oraz Żydami. Wszędzie znajdujemy się w oblężeniu - mówił zapałczywie.

Szejk Mohammed Gul był niskim, brodatym mężczyzną, którego otyłość krył dystyngowany brązowy strój. Wydawało się, że głos szejka należał do osoby o znacznie pokaźniej szej posturze. Zebrani we wnętrzu meczetu - prostej, ceglanej budowli, której ściany pokryto złuszczającą się farbą - szumnie wyrażali aprobatę dla słów Gul. Ich aprobata jeszcze bardziej pobudziła emocje mówcy

- Powiadacie: „Tak, tak”, ale cóż czynicie, kiedy kończycie modły? Czy poświęćcie samych siebie? Wracacie do domu i nie robicie nic. W obecnej dobie muzułmanie kochają ten świat i za żadne skarby nie chcą umierać. Porzuciliśmy ideę świętej wojny! - wykrzykiwał żarliwie szejk. Spojrzał na

łum i otarł pot z czoła. - W takiej sytuacji Allah pozwolił, byśmy zostali ujarzmieni. Tylko decydując się na męczeństwo i poświęcenie, możemy przywrócić islamowi chwałę. Tego dnia Allah znów uśmiechnie się do nas.

Tylko nikogo z nas nie będzie wtedy na tym świecie, pomyślał Wells. W miarę upływu lat, podczas których John wysłuchiwał kazań Gula, szejek stawał się coraz bardziej gniewny i wzburzony. Łatwo było rozszyfrować źródło jego gniewu - 11 września odchodził w niepamięć, a powrót islamu do chwały wciąż wydawał się bardzo odległy. Żydzi ciągle rządzą w Izraelu, a Amerykanie utworzyli w Iraku rząd kierowany przez szytów, choć od wieków rządzą tam sunnici. Oczywiście, szyici również byli muzułmanami, ale od najwcześniejszych dni islamu toczyli z sunnitami zażarte spór. W oczach Osamy oraz jego sunnickich fundamentalistów - niekiedy nazywanych wahhabitami - szyici niewiele różnili się od Żydów

Al-Kaida, „opoka” rewolucji, nie podniosła się w pełni po utracie baz na terenie Afganistanu. Kiedy talibowie przegrali, ludzie bin Laden schronili się na obszarze Prowincji Północno-Zachodniej - górzystej pogranicznej krainy między Pakistanem i Afganistanem. Wells ledwie uratował się spod amerykańskich bomb zrzuconych na kompleks jaskiń Tora Bora, gdzie rozegrała się ostatnia wielka bitwa afgańskiej wojny. Lubił wyobrazić sobie, że nalotem kierował Glenn Holmes, naprowadzając bomby spośród chat, do których dotarł Wells.

Jednak Amerykanie - Wells zupełnie nie wiedział, dlaczego - nie zacisnęli pętli wokół jaskiń Tora Bora i tysiące wojowników dżihadu zdołało się stamtąd wymknąć. W 2002 roku dotarli do górskich łańcuchów Prowincji Północno-Zachodniej - dawnej granicy kolonialnych Indii. Była to dzika kraina, zamieszkaana przez Pasztunów, żarliwych muzułmanów popierających świętą wojnę al-Kaidy Jej granic nie

przekraczali ani żołnierze pakistańscy, ani amerykańscy. Nawet jednostki sił specjalnych mogły działać tu krótko.

W ten sposób al-Kaida zdołała przetrwać, nie była jednak w stanie się rozwijać. Osama oraz jego przybocznicy skryli się pod ziemią i tylko sporadycznie przekazywali światu taśmy z nagraniami podtrzymującymi wiernych na duchu. Co kilka miesięcy ludzie bin Ladena dokonywali ataku - zdetonowali bomby na stacjach kolejowych w Madrycie, wysadzili kilka hoteli w Egipcie, metro w Londynie, przeprowadzili ataki na robotników rafinerii w Arabii Saudyjskiej. W Iraku trwała partyzancka wojna z amerykańskimi okupantami. Żaden z tych wyczynów nie wstrząsnął jednak światem w takim stopniu jak 11 września.

W tym czasie Wells oraz kilku jego islamskich towarzyszy broni prowadziło nędzny żywot. Ludzie finansujący al-Kaidę zapewnili im dach nad głową, wikt i opierunek u pasztuńskich wieśniaków. W rzeczywistości jednak partyzanci stanowili ciężar dla tych rodzin, klepiących prawdziwą biedę. Pół tuzina Arabów zamieszkałych w tej wiosce, położonej obok miasta Akora Khatak, jadło jedynie suchy chleb i ochłapy baraniny. Wells nie chciał nawet zgadywać, ile kilogramów zrzucił. Gdy zobaczył się w lusterku, z trudem rozpoznał samego siebie. Dziura po postrzale zamieniła się w bliźnię stwardniałej tkanki, bolącą zawsze niespodziewanie.

Szczególnie ciężkie były zimy - nawet dla Wellsa, który spędził dzieciństwo w górach Bitterroot, na granicy Montany i Idaho. Zimno przenikało do samych kości. Mógł się jedynie domyślać, jakie katusze przeżywali Saudyjczycy. Wielu z nich zmarło w tutejszych górach śmiercią męczeńską, lecz nie od bomb ani kul: na zapalenie płuc, chorobę wysokościową oraz coś, co w dużym stopniu przypominało szkorbut. Opuszczali ziemski padół, wzywając matki; kilku wydało ostatnie tchnienie przeklinając Osamę oraz to ohydne miejsce. Kiedy tylko mógł, Wells jadł świeże owoce, ale to nie zdarzało się często. Zdziwiła go wytrzymałość Pasztunów.

By utrzymać sprawność umysłu, starał się ćwiczyć wojskowe rzemiosło. Lokalny przywódca plemienny dopomógł mu w urządzeniu strzelnicy na spłachetku płaskiego terenu, oddalonej od wioski o parę kilometrów. Co kilka tygodni Wells jeździł tam konno ze swoim oddziałem liczącym pół tuzina ludzi. Wystrzelili wszystkie naboje, jakie udało się zaoszczędzić, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że tylko - jak wszyscy - marnuje czas. Jeśli starcie Ameryki z al-Kaidą miało być szybko rozstrzygnięte, to sędziowie powinni już dawno się zlitować i je zakończyć.

Gul wszedł w tłum wiernych. Spojrzał na twarze otaczających go mężczyzn.

- Czas przemówień już minął, bracia - oznajmił, tym razem głosem cichym i pełnym powagi. - Jeśli taka będzie wola Allacha, już wkrótce staniemy się świadkami wielkich rzeczy. Niech Bóg pobłogosławi wszystkich pobożnych muzułmanów. Amen.

Mężczyźni stłoczyli się, by pokornie objąć szejka. Czekaając na swoją kolej, Wells zastanawiał się, czy Gul rzeczywiście o czymś wiedział, czy też usiłował jedynie dodać otuchy ludziom zgromadzonym w meczecie. Dotknął językiem poluzowanego zęba w tyle jamy ustnej i poczuł, jak żuchwę przenika fala ostrego bólu. Opieka stomatologiczna na terenie Prowincji Północno-Zachodniej pozostawiała wiele do życzenia. Za parę tygodni będzie zapewne musiał odwiedzić przychodnię w Akora, by „zbadać” ząb albo znajdzie jakieś szcypce i sam wykona ten zabieg.

Ostatnio w snach Wells opuszczał to miejsce. Docierał autostopem do Peszawaru, potem łapał autobus do Islamabadu i stukał do drzwi amerykańskiej ambasady - czy właściwie w blokadę, która nie dopuszczała samochodów-pułapek w bezpośrednią okolicę solidnie wzmocnionego budynku, jeszcze kilka minut i wejdzie do środka, a za parę dni będzie w domu. Nikt nie powie, że zawiódł, a w każdym razie on tego nie usłyszy. Stwierdzą, że zrobił wszystko, co było możliwe.

Gdzieś w głębi umysłu wiedział jednak, że to nieprawda. I nigdy by sobie tego nie wybaczył.

To nie był bowiem mecz i sędziowie nie mogli się złitować. Ludzie, którzy stali obok niego w meczecie, ochoczo oddaliby życie, byle tylko pozostać w pamięci bliźnich jako męczennicy Tkwili bezradnie w tych górach, ale cel nie uległ zmianie - wymierzyć karę krzyżowcom za ich nieposkromioną pychę, odbić wreszcie Jerozolimę i zabijać Amerykanów. Dążenie al-Kaidy do niszczenia ograniczały jedynie jej niewielkie możliwości. Organizacja była teraz słaba, ale stan ten mógł ulec zmianie w jednej chwili. Jeśli zamachowcom al-Kaidy uda się zamordować prezydenta Pakistanu, u steru władzy w kraju może stanąć wahhabita. Wtedy bin Laden zdobędzie bombę nuklearną, którą będzie mógł szachować świat - islamską bombę. Prędzej czy później z Nowego Jorku, Londynu czy Waszyngtonu zostanie ogromny lej.

Tak czy inaczej, życie tutaj miało parę plusów. Wells poznał Koran lepiej niż śmiał o tym marzyć - dowiedział się, jak żył średniowieczny mnich, ręcznie przepisujący Biblię, i jak księga mogła zapewnić przewodnictwo moralne i duchowe, a równocześnie rozrywkę.

Po latach spędzonych w Afganistanie i Pakistanie Wells stwierdził, że jego wiara w islam - kiedyś stanowiąca jedynie element szpiegowskiej przykrywkii - stała się faktem. Do kwestii religii zawsze podchodził sceptycznie. Kiedy wieczorami, leżąc samotnie na łóżku, czytał o obietnicach raju, natchodziły go takie same wątpliwości jak przy lekturze apostołskich relacji o Chrystusie powstającym z grobu. Odpowiadały mu jednak wezwania Koranu, by ludzie traktowali się jak bracia i dawali jak najwięcej na wspieranie ubogich. *Umma*, braterstwo, było tu czymś rzeczywistym. Gdyby wszedł do jakiegokolwiek domu w wiosce, z pewnością poczęstowano by go kubkiem gorącej słodzonej herbaty oraz czymś do jedzenia, mimo że mieszkańcy z ledwością mogli wyżywić własne dzieci. Osiągnięcie bliskości z Bogiem nie wymagało poza

tym pośrednictwa kapłana - każdy, kto z dostatecznym zapalem studiował Koran i był pokorny, mógł sam odnaleźć drogę do oświecenia.

Największa siła islamu była jednak jego największą słabością, pomyślał Wells. Niejednoznaczny charakter dogmatów sprawiał, że religia wyrażała gniew ludzi, którzy mieli już dość panowania Ameryki i Zachodu. Islam stał się marksizmem XXI wieku, ideologią wszelkiej maści ruchów narodowyzwoleńczych. Kapłani głoszący marksizm nigdy jednak nie obiecywali swoim zwolennikom nagrody na tamtym świecie w zamian za śmierć na tym. Wahhabici pokroju bin Ladena połączyli nienawiść wobec Stanów Zjednoczonych ze szczególnie odpychającym wariantem islamu. Pragnęli cofnąć religię do XVII stulecia i życia na pustyni. Nie będąc w stanie rywalizować z nowoczesnym światem, postanowili udawać, że on nie istnieje. Alternatywę stanowiło jego zniszczenie. Ich gniew trafił na podatny grunt wśród setek milionów muzułmanów egzystujących w skrajnej biedzie. W oczach Wellsa ci ludzie tylko zdeprawowali religię, za wyznawców której się uważali. Islam i postęp nie stanowiły przeciwieństwa - państwa muzułmańskie znajdowały się niegdyś wśród najbardziej rozwiniętych na świecie. Przed ośmiuset laty, kiedy chrześcijanie palili na stosach czarownice, Abbasydzi zbudowali w Bagdadzie uniwersytet, którego biblioteka liczyła osiemdziesiąt tysięcy woluminów. Później nastąpił najazd Mongołów. Od tamtej pory sprawy przybrały zły obrót.

Wells swymi przemyśleniami nie dzielił się z nikim. Spędzał całe godziny, studiując Koran wraz z szejkiem Gulem oraz duchownymi z wiejskiej madrasy Nie uszło to uwadze jego przełożonych z al-Kaidy i dlatego też Wells pozostawał na terenie Prowincji. Był pewien, że w końcu zdołał przekonać przywódców al-Kaidy o swojej lojalności. Inni wojownicy dżihadu przebywający w wiosce zaczęli słuchać go uważniej - przynajmniej taką miał nadzieję.

Nadeszła kolej Wellsa, by pozdrowić szejka Gula. Uderzył się w serce, co było tradycyjną oznaką ciepłych uczuć.

- *Allaku akbar* - rzekł.
- *Allaku akbar* - powtórzył szejk. - Czy przyjdiesz jutro rano do meczetu na wspólne czytanie Koranu, Dżalal?
- Będzie to dla mnie zaszczyt - odpowiedział Wells.
- *Salam alajkum*. Niech pokój będzie z tobą.
- *Alajkum salam*.

* * *

Wells wyszedł z meczetu na pokrytą kurzem główną, drogę wioski. Kiedy spod przymrużonych powiek spoglądał na słabe wiosenne słońce, podeszło do niego dwóch brodatych mężczyzn. Wells znał ich słabo; nie wiedział nawet, jak się nazywają. Koczowali w górach, służąc jako ochroniarze bin Laden.

- *Salam alajkum*, Dżalal - zaczęli.
- *Alajkum salam*.

Mężczyźni uderzyli się w piersi w geście pozdrowienia.

- Jestem Szahib - powiedział niższy z nich.
- Bassim - przedstawił się wyższy.

Wells i tak przerastał go o głowę.

Bassim nosił skórzane buty, a na jego białej szacie nie było widać śladów brudu. Być może życie w górach poprawiło się. A może Osama mieszkał teraz w wiosce.

- *Allahu akbar* - powiedział Wells.
- *Allahu akbar*.

- *Mudżaddid* prosi, żebyś poszedł z nami - wyjaśnił Bassim.

Mudżaddid - odnowiciel, człowiek zesłany przez Allacha, by doprowadzić do odrodzenia islamu. Jak bin Laden.

- Oczywiście.

Z tyłu za nimi stała poobijana toyota crown. Był to jedyny samochód w osadzie, którego Wells nie znał, zatem musiał

należę do nich. Ruszył w stronę wozu, Bassim zatrzymał go jednak.

- On prosi, żebyś zabrał torbę ze wszystkim, co pragniesz zatrzymać przy sobie.

Prośba była zaskakująca, ale Wells tylko skinął głową.

- To nie potrwa długo - odparł.

Ruszyli do ceglanego domu, w którym mieszkał Wells oraz trójka innych *dżihadi*.

W środku siedział Nadzi, młody Jordańczyk, który w górach został najlepszym przyjacielem Wellsa. Wertował postrzępiony magazyn, na którego okładce widniał Imran Khan, słynny pakistański krykieciarz, a obecnie polityk. W rogu, na żelaznym piecyku gotowała się woda.

- Co, Dżalal - odezwał się Nadzi - znalazłeś dla nas sponsorów?

Nadzi i Wells od miesięcy żartowali na temat utworzenia drużyny krykieta al-Kaidy, która miałaby zdobyć sponsoring wielkich korporacji pod hasłem: „Wojownicy świętej wojny wysadzą cię w powietrze”.

Wells nie mógłby dowcipkować w ten sposób z nikim innym, Nadzi dysponował jednak lepszym wykształceniem niż większość wojowników Allacha. Wychował się w Ammanie, będącym w porównaniu z tą osadą prawdziwym rajem. Poprzedniego lata Wells uratował Nadziem życie, zszywając ranę po postrzale, jaki ten otrzymał od afgańskiej policji na posterunku granicznym. Od tamtej pory nieraz rozmawiali szczerze o frustracjach związanych z życiem w Prowincji Północno-Zachodniej.

- Już niedługo mi się uda.

Hamra, kotka Wellsa, otarła się o jego nogi i wskoczyła na cienki szary pled, którym przykryta była wąska kozetka. Trafił na nią przed dwoma laty. Wychudzona i ruda - stąd wzięło się jej imię: *hamra* po arabsku oznaczało „czerwona” - oraz wspinały skoczek, poszła za Wellsem przez wieś pewnego zimowego poranka, miauczając rozdzierająco i nie dając się

odgonić, mimo że głośno na nią krzyczał. Nie mógł patrzeć, jak umiera z głodu, dlatego przygarnął ją mimo ostrzeżeń wieśniaków, iż z jednego kota w krótkim czasie zrobi się dziesięć.

- Cześć, Hamra - szybko pogłaskał zwierzaka, gdy Bassim wchodził do chaty. Za nim wkroczył Szahib, mrużąc do Bassima coś, czego Wells nie dosłyszał.

- Bassim, Szahib, Nadzi - przedstawił ich sobie Wells.

- *Marhaba*, witajcie - rzekł Nadzi. Przybysze zignorowali go.

- Proszę, napijcie się kawy - zaproponował Wells.

- Musimy jechać - odparł Bassim.

- Nadzi - powiedział Wells - możesz zostawić nas na chwilę?

Nadzi spojrzał na Bassima i Szahiba.

- Na pewno tego chcesz?

- *Nam*.

Gdy Nadzi wychodził, Wells przytrzymał go na moment.

- Nadzi - powiedział, głaszcząc kotkę po głowie - proszę, zaopiekuj się nią, kiedy mnie nie będzie.

- Kiedy wrócisz, Dżalal?

Wells w odpowiedzi tylko pokręcił głową.

- No to cóż, *hamdulillah*, chwała Bogu - oznajmił Nadzi. Było to tradycyjne arabskie błogosławieństwo. - *Masa-lama*, do widzenia.

- *Hamdulillah*.

Objęli się krótko i Nadzi wyszedł.

Bassim i Szahib patrzyli, jak Wells wyciąga spod łóżka polowego płócienną torbę. Wrzucił do niej rzeczy, które chciał zabrać: drugą burkę, parę zdeptanych tenisówek, wyblakły zielony sweter z powyciąganymi nitkami, radio z zasięgiem na cały świat, które przed rokiem kupił w Akora Khatak, zapasowe baterie, dwanaście tysięcy zaoszczędzonych rupii - około dwustu dolarów. Nie posiadał wiele więcej. Żadnych

fotografii, telewizora, książek poza Koranem i kilkoma tekstami filozoficznymi. Wsunął je delikatnie do worka. Miał też, rzecz jasna, swoją broń. Położył się na ziemi i wyciągnął spod łóżka kałasznikowa oraz makarowa.

- To możesz zostawić, Dżalal - powstrzymał go Bassim.

Wells nie mógł przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni spał bez karabinu przy boku. Chętniej zostawiłby odzież.

- Wołałbym nie.

- Tam, dokąd się wybierasz, nie będziesz tego potrzebował.

Wells postanowił nie dyskutować. I tak nie miał wielkiego wyboru. W razie czego miał przy sobie nóż. Wsunął broń z powrotem pod łóżko.

- Sztylet również - odezwał się Bassim. - Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich.

Wells bez słowa podniósł burkę, odpiął pochwę z nogi i rzucił ją na łóżko. Rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, co jeszcze mógłby chcieć zabrać. Nie miał notebooka, aparatu fotograficznego ani telefonu komórkowego. Noktowizor, który tak lubił, uległ zniszczeniu podczas bombardowania jaskiń Tora Bora.

Zachował odłamek pocisku z tamtej bitwy, który wbił się w ścianę o kilka centymetrów od jego głowy, nie czuł jednak potrzeby zabrania go ze sobą. Czy jego życie ograniczyło się aż tak bardzo? Tak. Wells zgadywał, że właśnie dlatego nie odczuwał strachu przed tym, co się stanie. Zasunął zamek torby

- Do widzenia, Hamra - powiedział, głaszcząc kotkę.

Hamra wyprężyła grzbiet, zeskoczyła z łóżka i wyszła z chaty, nawet się nie oglądając. Tak działa zwierzęca intuicja, pomyślał Wells.

- To wszystko? - zapytał Bassim.

- Mój porcelanowy serwis jest w innej chacie - natychmiast pożałował tego dowcipu, gdyż Bassim spojrzał na niego beznamiętnym wzrokiem.

- Markowa porcelana?
- Ruszajmy

Szahib otworzył drzwi od strony pasażera i dał Wellsowi znak, żeby wsiadł.

- *Szukran dżazilan*, dziękuję bardzo - rzekł Wells.

Szahib nie odpowiedział, lecz zamknął drzwi, a sam usiadł z tyłu. Bassim zajął miejsce kierowcy i powoli ruszyli. Wells zastanawiał się, czy rzeczywiście zabierali go do bin Laden - jeśli tak, to zastosowali nową taktykę.

Z Osamą bin Ladenem spotkał się już dwukrotnie, ale nie miał szansy spełnienia przysięgi i zabicia najwyższego przywódcy al-Kaidy. Pierwszy raz, tuż przed atakiem Stanów Zjednoczonych na Irak, Wellsa zabrano z Akora Khatak, zawiązano mu oczy i przez wiele godzin wieziono wyboistymi drogami. Z samochodu przesiadł się na wóz zaprzężony w konie i spędził następne godziny na górskich szlakach. Kiedy jazda dobiegła końca, rozebrano go do znoszonego T-shirta oraz szortów i przeszukano. Potem zdjęto mu opaskę i zaprowadzono na szczyt góry, gdzie weszli do jaskini.

W jej środku światło zapewniał mały generator, a dekorację stanowiły trzy modlitewne dywaniki. Na prostym drewnianym stole stał talerz ze zjedzonym do połowy kawałkiem baraniny i porcją ryżu; siedział przy nim bin Laden w asyście dwóch ochroniarzy z przewieszonymi przez piersi kałasznikowami. Szejk sprawiał wrażenie wymizerowanego i zmęczonego, jego długa broda była już szarobiała. Wells ukląkł, a bin Laden zapytał go, czy wierzy, że Stany Zjednoczone pójdą na wojnę z Irakiem.

- Tak, szejku - odparł.
- Nawet jeśli reszta świata nie zgodzi się na to?
- Krzyżowcy obawiają się tej wojny
- Czy odniosą zwycięstwo?
- Widziałeś, co potrafią ich bomby Będą w Bagdadzie, zanim nadejdzie lato.

- Zatem posyłanie naszych żołnierzy byłoby głupotą?

Wells upomniał się, żeby nie przedstawiać sprawy w negatywnym świetle.

- Nie będziemy w stanie powstrzymać ich przed zniszczeniem Saddama, ale później, kiedy przejmą władzę, staną się łatwiejszym celem. *Inszallah*, będziemy mogli uderzać w nich każdego dnia, małymi siłami, ścierając ich na proch.

Wells poczuł wyrzuty sumienia, rozważając, ilu amerykańskich żołnierzy zginie w rezultacie wojny, którą właśnie postulował. Bin Laden z pewnością i tak doszedłby do takiego samego wniosku. Jedynym rodzajem wojny, jaką dało się prowadzić z armią USA, była wojna partyzancka.

Bin Laden pogładził się po brodzie i spojrzał ponownie na Wellsa przebiegłymi oczkami. W końcu na jego usta zawitał uśmiech.

- Tak - powiedział. - Tak. Dziękuję ci, Dżalal.

Po tych słowach szejik polecił go wyprowadzić.

* * *

Dwa lata później Wellsa zabrano na drugie spotkanie do innej jaskini, gdzie bin Laden zapytał go o tamę Hoovera.

- Czy to jest wielki symbol Ameryki?

Wells udzielił szczerzej odpowiedzi. Większość Amerykanów nie miała pojęcia, czym była i gdzie znajdowała się zapor Hoovera.

- Jesteś tego pewien, Dżalal? - upewniał się bin Laden. Sprawiał wrażenie rozczarowanego.

Wells spojrzał na strażników stojących po bokach przywódcy al-Kaidy. Bardzo żałował, że nie ma pistoletu, noża posmarowanego trutką na szczury czy chipa wszytego pod skórę, dzięki któremu B-2 mógłby zniszczyć tę cuchnącą jamę.

- Tak, *mudżaddid* - podtrzymał swoją opinię.

Bin Laden skinął głową.

- *Szukran* - odparł, a strażnicy wyprowadzili Wellsa z jaskini. Nie był pewien, na ile przyczynił się do tego, że zapora Hoovera wciąż trwała nienaruszona.

Siedząc w toyocie, nie bardzo wiedział, co myśleć. Gdyby chcieli go zabić, mogli uprowadzić go w góry albo po prostu zastrzelić podczas snu. Pakistańscy policjanci raczej nie wszczęliby energicznego śledztwa, bo i tak nie zapuszczali się na obszar Prowincji Północno-Zachodniej bez eskorty wojskowej.

Nie wybierali się jednak w góry. Pojechali do Peszawaru. Wells doszedł do wniosku, że zwiększa to jego szanse na przeżycie - o ile po drodze ich auto nie zderzy się z autobusem. Drogi w Pakistanie stanowiły teren nieustannej gry w „kto pierwszy stchórzy”, zaś Bassim prowadził tak, jakby zamierzał zdążyć na popołudniową herbatkę z Allachem. Wells poczuł, jak głowa odskakuje mu do tyłu, kiedy wóz zjechał nagle na przeciwny pas, chcąc wyprzedzić ciężarówkę wyładowaną tanimi meblami z drewna. Nadjeżdżająca cysterna głośno zatrąbiła. Bassim skręcił ostro tuż przed maską ciężarówki i wrócił na swój pas, o mały włos nie spadając z pobocza do przydrożnego rowu.

- Wyluzuj, Bassim - odezwał się Wells.

Bassim obrócił się i spojrzał na niego, ignorując to, co dzieje się na drodze. Toyota znów przyspieszyła, zbliżając się do ciągnika z przyczepą wyładowaną butlami propanu.

- Nie podoba ci się moja jazda? Chcesz usiąść za kierownicą?

Jezu Chryste, pomyślał Wells - odruch, którego nigdy chyba się nie pozbędzie. Cały świat islamu i tak już cierpi na nadmiar testosteronu, a co dopiero muzułmanie walczący pod sztandarami świętej wojny.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył Wells, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

Gdyby się roześmiał, Bassim rzeczywiście mógłby wyłączyć wraz z nimi w rowie - tylko po to, żeby udowodnić, iż nie stchórzy

- Świetnie prowadzisz.

Długi ryk klaksonu ponownie zwrócił uwagę Bassima na drogę. Jeszcze ułamek sekundy i uderzą w tył przyczepy wiozącej butle z propanem. Kierowca nadepnął hamulec i toyota, ostro buksując, zatrzymała się na poboczu.

- Widzisz? - odezwał się Bassim. - Moja jazda jest nie-naganna. Mam doskonały refleks.

- *Nam* - Wells nie wyprowadzał go z błędu.

- Mój ojciec był sławnym kierowcą. Nauczył mnie wszystkiego.

- Twój ojciec - wtrącił milczący dotąd Szahib - zginął w wypadku samochodowym.

Bassim odwrócił się i spojrział gniewnie na swojego towarzysza. Wells zagryzł wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. W końcu kierowca nacisnął pedał gazu i znów włączyli się do ruchu. Przez resztę drogi nie odezwał się już nikt.

Dwie godziny później toyota wjechała na ulice Peszawaru, największego - liczącego ponad milion mieszkańców - miasta nad północno-zachodnią granicą Pakistanu. Chaotyczna zabudowa składała się z niszczących betonowych bloków oraz chat z cegiel. Szahib wskazywał drogę przez dzielnice nędzy, pełne wozów zaprzężonych w osły, transportujących butle z gazem i śmieci. Ulice zakorkowały się do tego stopnia, że dalsza jazda stała się niemożliwa. Bassim wyłączył silnik, kiedy znaleźli się na wysokości małego sklepu, na wystawie którego stały zakurzone puszki ze skondensowanym mlekiem. Szahib wyskoczył z auta i otworzył Wellsowi drzwi.

- Chodź - powiedział, ciągnąc Amerykanina w dół ulicy. Powietrze było przesycone odorem ścieków i błota. Wells omijał stosy przegniłych owoców oraz osłe odchody. Obok

nich biegły dzieciaki, kopiąc puste puszki i postrzępioną kulistą bryłę, która była kiedyś futbolówką. W Pakistanie wszechobecne dzieci przesiadywały na ulicach, sprzedając zabawki oraz przejrzałe banany, a ich oczy wyrażały niezaspokojony głód. W podobnych okolicach gromadziły się wokół każdego przechodnia, wyciągając dłonie i wołając „rupie, rupie”. Te, którym dopisało szczęście, trafiały do madras, islamskich szkół, dających solidną edukację tylko w sferze Koranu. Po osiągnięciu dorosłości zostawała im tylko święta wojna.

Bassim popchnął zardzewiałe drzwi jednego z bloków i wciągnął Wellsa do środka.

- Drugie piętro.

On i Szahib sprawiali wrażenie, jakby możliwie najszybciej chcieli zniknąć z ulicy. Wells zastanowił się, czy bin Laden podjąłby ryzyko zamieszkania w takim miejscu.

Na klatce schodowej było ciemno i śmierdziało moczem oraz cebulą. Kiedy weszli na drugie piętro, Bassim skierował Wellsa na tył budynku. Zastukał dwa razy, zrobił pauzę i ponownie dwukrotnie zapukał.

- *Nam?* - zapytał głos ze środka.

Bassim nie odpowiedział, tylko zastukał jeszcze dwa razy. Drzwi otworzyły się. Mężczyzna w turbanie kiwnął im na powitanie kałasznikowem.

W ciemnym i brudnym przedpokoju słabe światło kończącego się dnia z trudem przenikało przez okno umieszczone wysoko na przeciwległej ścianie. Poniżej szyby do ściany przypięto starannie nieduży plakat z podobizną bin Ladena.

- Siadajcie - powiedział strażnik, wskazując ławkę, na której leżały obszarpane poduszki. Wells rozejrzał się dookoła. Korytarz za zasłoną z niebieskich paciorków prowadził do pokoju. Na kuchence stojącej w rogu gotowała się woda; obok znajdowały się nożyczki, brzytwa oraz lustro w niebieskiej plastikowej oprawie. Drugim meblem było drewniane krzesło postawione na gazetach.

Mijały minuty, a nikt nie odezwał się słowem. Wells nigdy nie widział Arabów, którzy tak długo zachowywaliby milczenie. Czy rzeczywiście zamierzali go tutaj zastrzelić? Pogodził się już z tym - zrobił wszystko, co mógł. Rozejrzał się jednak, obmyślając drogę ucieczki. Wrząca woda mogła się przydać.

Usłyszał kroki na korytarzu.

- Wstańcie - powiedział pospiesznie strażnik, kierując ku niemu karabin.

Kiedy zerwali się z ławki, zasłona z paciorków się rozchyliła i weszło czterech mężczyzn - jako pierwszy przysadziły człowiek w okularach o stalowych, prostokątnych oprawkach: Ajman al-Zawahiri. Wells zrozumiał, dlaczego jego goryle tak bardzo się denerwowali. Zawahiri był prawą ręką bin Laden, niemal kimś ważniejszym dla al-Kaidy niż sam szejk. Znał szczegóły operacji prowadzonych przez organizację, źródła jej finansowania oraz kryjówki jej członków. Bin Laden określał ogólną strategię i zabierał głos w imieniu terrorystycznej struktury, natomiast bez Zawahiriego al-Kaida nie była w stanie funkcjonować. Zawahiri objął Szahiba i Bassima, potem skinął głową w stronę Wellsa.

- *Salam alajkum, Dżalal.*

- *Salam alajkum, mudżahid.*

- *Allahu akbar.*

- *Allahu akbar.*

- Mamy wiele do omówienia. Ale najpierw musisz się ogolić - Zawahiri wskazał na rondel z wodą.

- Ogolić?

Wells był dumny z bujnej i gęstej brody, której nie przystrzygał od czasu, gdy przybył na teren Prowincji Północno-Zachodniej. Każdy członek al-Kaidy pragnął nosić „brodę długą na pięść” - zgodnie z religijnym nakazem stanowiło to minimum.

- Prorok nie pochwaliby tego - ciągnął Wells.

- Nie w tym przypadku - oczy Zawahiriego spojrzwały beznamiętnie zza okularów

Wells postanowił, że nie będzie się upierać.

- Do samej skóry?

- *Nam* - przytaknął Zawahiri.

Wells zaczął ścinać długą, brązową brodę. Pozostali mężczyźni patrzeli, jak włosy spadają na blat obok kuchenki..

Spojrzał w lusterko. Jego twarz pokrywał teraz meszek, jak na brzoskwini. Z trudem rozpoznał samego siebie. Zanurzył brzytwę - o pojedynczym ostrzu i plastikowym trzonku - w garnuszkę i pociągnął po skórze. Musiał przyznać, że jej dotyk sprawiał mu radość. Nie spieszył się - golił brodę krótkimi, równomiernymi pociągnięciami, stukając brzytwą o brzeg rondelka i strzepując krótki już zarost. Gdy skończył, spojrzął w lusterko.

- Świetnie wyglądasz, Dżalal - skomentował Zawahiri tonem, z którego przebijała wesołość.

Wells potarł twarz dłonią.

- To dziwne uczucie - wyznał.

Bez brody czuł się bardziej niż dziwnie - młody i wrażliwy, narażony na ryzyko.

- Usiądź - polecił Zawahiri, wskazując na krzesło postawione na gazetach. - Ostrzygę ci włosy

Wells siedział w milczeniu, gdy drugi człowiek al-Kaidy przystąpił do pracy. Kiedy ścinano mu ostatnio włosy? W Afganistanie oraz na obszarze Prowincji robił to sam. A więc chyba w Waszyngtonie, na dzień przed wyjazdem do obozu.

Tego wieczora nie spotkał się z Exley po pracy na drinku. Tylko drink i do zobaczenia - powiedziałaby wtedy, chociaż oboje wiedzieliby, że kłamie, i staraliby się pokryć nerwowość uśmiechem. Tak, to musiało być wtedy. Ostrzygł się dla niej, chociaż się nie spotkali. Czuł się zawstydzony i zażenowany - wobec własnej żony oraz męża Exley. Pojechał z pracy prosto do domu i nie zadzwonił, żeby odwołać spotkanie.

Następnego ranka wyruszył w podróż, trwającą do dziś. Nie zapomniał tamtego wieczoru ani też nie wysłał go w zakamarki umysłu, gdzie umieszczał wszystko, co nie pomagało przetrwać tutaj. Teraz wspomnienia napłynęły strumieniem. Czy Exley wciąż nosi krótkie włosy? Czy jeszcze ma tę długą niebieską suknię? Wyjechał tak dawno.

Zawahiri poklepał go po ramieniu. Wells spojrzął w dół. Na gazetach leżały kręcone, brązowe loki.

- Dobrze! Teraz już nie wyglądasz jak prawdziwy Arab - pochwalił Zawahiri.

Podał Wellsowi lusterko.

- Stań tutaj - polecił Zawahiri, wskazując na niebieską kotarę. - Walid, zrób Dżalalowi zdjęcie.

Jeden z mężczyzn, który wszedł z zastępcą bin Laden, miał ze sobą przenośny aparat do robienia zdjęć paszportowych. Wells zastanawiał się, czy przedśmiertną fotografię prześlą do Langley FedExem razem z tuzinem czarnych róż.

- Spójrz na lampę - powiedział Walid; potem trzykrotnie zwolnił migawkę. - *Szokran*.

Gdy skończył, odszedł w głąb korytarza.

- Usiądź - zachęcił Wellsa Zawahiri, klepiąc ławkę obok siebie. - Dżalal, co byś zrobił, gdyby szejek oświadczył, iż wybiła godzina twego męczeństwa?

Wells rozejrzał się dookoła, gotów do walki. Widział tylko jeden karabin, u strażnika, chociaż inni też byli z pewnością uzbrojeni. Mógł mieć szansę. Z drugiej strony jednak próba ucieczki mogła się okazać błędem - Zawahiri zachowywał się jak wykładowca szczerze pragnący usłyszeć odpowiedź na pytanie, i chyba nie wieźli go taki szmat drogi tylko dlatego, żeby zabić - bez trudu mogli uczynić to w górach. Zawahiri z pewnością nie przybył tu na próżno.

- Jeśli Allah życzy sobie mego męczeństwa, niech tak będzie - oznajmił Wells.

- Nawet jeśli nie wiesz, dlaczego?
- Nie zawsze potrafimy zrozumieć wolę Wszechmogącego.
- Tak - zgodził się Zawahiri. - Bardzo dobrze. Wstał z ławki.
- Działal... John... jesteś Amerykaninem.
- Kiedyś byłem Amerykaninem - odparł Wells. - Teraz służę Allahowi.
- Służyłeś w amerykańskiej armii. Skakałeś na spadochronie.

Nie spieraj się, nakazał sobie Wells. On cię sprawdza.

- Moja przeszłość nie jest tajemnicą, mudżahidzie. Nauczycieli mnie, jak się walczy, lecz wyznawali fałszywego proroka. Ja zaś przyjąłem prawdziwą wiarę.

Zawahiri spojrział w stronę mężczyzny siedzącego w rogu, przystojnego Pakistańczyka z równo przystrzyżonymi czarnymi włosami i wąsikiem.

- Walczyłeś u naszego boku przez wiele lat. Przestudiowałeś Koran. Nie obawiasz się zostać męczennikiem. Nawet teraz wydajesz się spokojny i opanowany - oznajmił Zawahiri.

Wziął kałasznikowa od strażnika. Jakby od niechcienia przestawił przełącznik na ogień ciągły i wymierzył broń w Wellsa.

- Każdy człowiek czuje lęk przed męczeństwem. Ci, którzy twierdzą, że nie czują strachu, kłamią - odpowiedział Wells.

Przypomniął sobie ludzi, których śmierć widział na własne oczy. Jeśli się mylił, miał przynajmniej nadzieję, że Zawahiri strzeli prosto w niego. I że zrobi to bez zwłoki.

- Zatem boisz się? - upewnił się Zawahiri. Odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory.

Wells pozostawał w całkowitym bezruchu. Tak czy inaczej, nie musiał czekać długo.

- Pokładam zaufanie w Allachu i ufam Prorokowi - oznajmił.

- Widzisz? - zwrócił się Zawahiri do mężczyzny z wąsikiem.

Ponownie odciągnął zamek, usuwając nabój z komory. Zaryglował bezpiecznik i oddał karabin strażnikowi.

- Jeśli ufasz Prorokowi, ja ufam tobie - podjął rozmowę. - Mam dla ciebie misję. Ważną misję.

Wskazał na korpulentnego mężczyznę, który przez cały czas siedział w rogu i nie zabierał głosu.

- To Faruk Khan. Z woli Allacha przywiózł zadanie dla ciebie.

- *Salam alajkum.*

- *Salam alajkum.*

Zawahiri wskazał na mężczyznę z wąsikiem.

- To jest Omar Khadri - przedstawił go. - Spotkasz się z nim ponownie. W Ameryce.

Khadri miał na sobie zachodnią odzież: koszulę z rogami kołnierzyka zapinanymi na guziki oraz dżinsowe spodnie.

- Witaj, Dżalal - odezwał się.

Po angielsku - mówił tak, jakby trafił tu wprost z Oksfordu. Khadri wyciągnął rękę, Wells uściśnął ją - gest powitania typowy dla Zachodu. Arabowie zwykle obejmowali się rytualnie.

- Są gotowe - z korytarza dobiegł głos Walida.

- Przynieś je - polecił Zawahiri.

Walid wszedł do przedpokoju i podał Zawahiriemu dwa paszporty

- Bardzo dobrze - pochwalił drugi człowiek al-Kaidy i przekazał dokumenty Wellsowi. Jeden z nich był włoski, drugi brytyjski. W obu znajdowały się już zrobione kilka minut wcześniej zdjęcia Wellsa. Paszporty podrobiono na tyle dobrze, by zmylić nawet doświadczonego funkcjonariusza służby granicznej.

- Dzisiaj mamy piątek - kontynuował Zawahiri. - We wtorek masz lot do Hongkongu linią Pakistan Airlines. Przyjacieli z ISI - Inter-Service Intelligence, tajnej policji pakistańskiej - wprowadzi cię na pokład. W Hongkongu pokażesz

włoski paszport. Posiedzisz tam tydzień i polecisz do Frankfurtu. Stamtąd powinieneś z paszportem brytyjskim dostać się do Stanów Zjednoczonych bez najmniejszych problemów

- W końcu twoja skóra ma odpowiedni kolor - wtrącił Khadri.

Roześmiał się złośliwie i szyderczo. To ubodło Wellsa. Amerykanin pomyślał, że z przyjemnością patrzyłby, jak ten człowiek ginie.

- Co potem, mudżahidzie? - zapytał Zawahiriego.

Ten wyciągnął z kieszeni szaty gruby plik spiętych gumką banknotów studolarowych oraz przedartą kartę do gry. Podał Wellswi pieniądze.

- Pięć tysięcy dolarów. To na podróż do Nowego Jorku.

Wciąż trzymał w dłoni kartę - połówkę króla pik.

- W dzielnicy Queens jest pewien bar - powiedział Khadri. - Pokażesz tam tę kartę. W zamian otrzymasz trzydzieści pięć tysięcy dolarów

Hawala, pomyślał Wells. Oto rezultat wysiłków Amerykanów, by odciąć al-Kaidę od finansów. Ten nieformalny system bankowy działał na Bliskim Wschodzie od stuleci. Drugą połowę króla pik przesłano z Pakistanu do Queens pocztą - albo nawet zawiózł ją kurier. Części karty służyły jako niepowtarzalny kod, nakaz wypłaty trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Prędzej czy później saldo zostanie zbilansowane - Zawahiri przekaże opłatę manipulacyjną i równoważność trzydziestu pięciu patyków w sztabkach złota zamieszkałemu w Islamabadzie bratu właściciela baru albo w diamentach kuzynowi w Abu Zabi. Być może właściciel baru w Queens jest *dżihadi*, a może kimś, kto wie, jak przekazywać pieniądze na całym świecie bez pozostawiania śladów.

Zawahiri wręczył kartę Wellswi. Amerykanin spojrzął na nią - miała czerwony rewers - i wsunął między banknoty

- Zrobię wszystko, żeby jej nie zgubić - odezwał się. - Jak rozpoznam ten bar?

- Założyliśmy ci konto e-mailowe - SpokojnyJohnny1234.

- Spokojny Johnny? - zdziwił się Wells. - Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, Omar.

Roześmiał się tak naturalnie jak tylko potrafił. Uznał to za najlepszy sposób zyskania przychylności tego faceta.

- Co potem?

- Wyruszysz do Atlanty - wyjaśnił Zawahiri.

- Tam będziesz czekać, może nawet kilka miesięcy Poćwiczysz strzelanie - instruował dalej Khadri. - Znajdziesz pracę. Będziesz omijał z daleka meczety. Wtopisz się w tłum, to przyjdzie ci bez trudu.

- Nie możesz wyjawić mi więcej?

- Gdy nadejdzie czas - odparł Khadri, kręcąc głową.

- Powodzenia - dodał Zawahiri.

Wells miał nadzieję, że jego twarz nie zdradza wściekłości. Ci ludzie sprawili, że tego dnia kilkanaście razy oglądał w wyobraźni własną śmierć. Zaprowadzili go na skraj trzystumetrowej przepaści, ale przeszedł próbę - pozostał wśród żywych, miał w kieszeni pięć tysięcy dolarów i leciał do Hongkongu. Mimo to wciąż nie darzyli go zaufaniem na tyle, żeby wyjawić mu szczegóły swego planu.

Dobrze, pomyślał Wells. Uderzył dłonią w pierś.

- Nie zawiodę cię, mudżahidzie - zapewnił żarliwie. - *Salom alajkum.*

- *Alajkum salom.*

Zawahiri i Khadri wstali, szykując się do wyjścia. Gdy byli już przy drzwiach, Khadri odwrócił się i spojrzał na Wellsa.

- *Alajkum salom*, John. Jak się czujesz, wracając do domu?

- Do domu? - odparł Wells. - Chciałbym to wiedzieć.

2

SAMOLOT LINII UNITED AIRLINES, REJS 919, GDZIEŚ NAD OCEANEM ATLANTYCKIM

Dziewczynka z miejsca 35A zauważyła je pierwsza. Angela Smart z Reston w stanie Wirginia leciała z rodziną. Wracała z ferii u dziadków w Londynie. Dziewczynka cieszyła się w duchu, że leci do domu: tęskniła za przyjaciółkami, a Josie i Richard - jej dziadkowie - byli mili, lecz pachnieli dziwnie. Znowu wyjrzała przez okno, zastanawiając się, kiedy wreszcie dolecą. Spytała o to ojca, siedzącego za nią.

- Już niedaleko, Smurfetko - odparł ze śmiechem, jak gdyby powiedział coś zabawnego. Nawet nie wiedziała, kim jest ta jakaś smurfetka. Ojciec bywał czasami durny

Całe szczęście, że siedziała przy oknie. Bezchmurne lazurowe niebo wyglądało prześlicznie - może zostanie pilotem, kiedy dorośnie. Przebywanie w przestworzach przez cały czas to niezła zabawa. Wtedy dostrzegła mały punkcik tuż nad linią horyzontu. Przycisnęła twarz do szyby. Czy to był...? Tak, samolot. Dwa samoloty, jeszcze bardzo daleko, ale zbliżały się z każdą chwilą. Wyglądały jak małe strzałki ze skrzydłami. Szturchnęła matkę, która drzemała obok, na miejscu 35B.

- Przestań, Angelo - wymamrotała Deirdre Smart. Strzałki z całą pewnością stały się większe. Angela znowu wymierzyła matce kuksańca.

- Mamo, zobacz.

- Co?

- Zobacz.

Deirdre uniosła powieki. Była rozdrażniona, co nie uszło uwagi Angeli.

- Co, Angelo?

- Za oknem.

Matka spojrzała wreszcie.

- O mój Boże - wyrwało się jej.

- Czy to coś złego, mamó?

- Nie, skarbie. Wszystko w porządku.

Głośniki na pokładzie odrzutowca z trzaskiem obudziły się do życia.

- Tu mówi kapitan Hamilton. Być może zauważyliście już państwo, że po lewej i prawej stronie mamy towarzystwo. Lecą z nami myśliwce F-16, duma sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Będą nam towarzyszyć aż do lotniska Dullesa w Waszyngtonie. Nie ma powodów do niepokoju.

W głosie kapitana brzmiała całkowita pewność siebie, jak gdyby myśliwce eskortowały samolot od chwili startu w Londynie. Wyłączył na moment fonię, potem włączył się ponownie.

- Mimo wszystko, jestem jednak zmuszony poprosić państwa o pozostanie na swoich miejscach przez pozostałą część lotu, bez żadnych wyjątków i bez względu na wszystko. Proszę też o wyłączenie laptopów, odtwarzaczy CD oraz wszelkich innych urządzeń elektronicznych. Jeśli ktoś przebywa teraz w toalecie, proszę, by jak najszybciej załatwił, co ma do załatwienia, i bezzwłocznie powrócił na swoje miejsce.

Jeśli ktoś z państwa zauważy, że któryś z pasażerów posługuje się elektrycznym urządzeniem lub robi cokolwiek, co wydaje się... nietypowe, prosimy o natychmiastowe powiadomienie personelu pokładowego. Dziękujemy za współpracę.

Przed nami niewielka burza, ale powinniśmy wylądować za godzinę i piętnaście minut.

- Nietypowe? Co to do cholery może znaczyć? - odezwał się ktoś siedzący za Angelą.

Deirdre Smart wierciła się na siedzeniu i wyciągała szyję, by zerknąć na siedzących obok. Tamci robili to samo. Czy ktoś z pasażerów wyglądał „nietypowo”? Oczywiście: ten brodaty mężczyzna w białej szacie, siedzący po drugiej stronie kabiny. Żaden terrorysta nie ubrałby się jednak w taki strój, to jasne. A może wyszedł z założenia, iż tak samo pomyślą sobie ludzie ze służb bezpieczeństwa? Skąd ona mogłaby to wiedzieć? Na Boga, wyszukiwanie terrorystów nie było jej zadaniem.

Nie chcę żyć w taki sposób, pomyślała Deirdre. Chcę zabrać dzieci do rodziców, nie martwiąc się, czy samolot eksploduje dziesięć i pół kilometra nad ziemią. Jej strach przed terroryzmem od 11 września już osłabł. Co jakiś czas, przechodząc przez kontrolę na lotnisku albo oglądając serial „24 godziny”, zastanawiała się nad możliwością kolejnego ataku, ale nie spodziewała się go. Nie w Ameryce, a już z całą pewnością nie na terenach podmiejskich Wirginii.

W tej chwili ogarnęło ją poczucie takiej samej bezsilności jak 11 września. Moja rodzina nigdy nie zrobiła wam nic złego, pomyślała. Dlaczego chcecie mnie skrzywdzić? Przypuszczała, że zależało im na wywoływaniu strachu, to był sens ich życia. Czytała gdzieś, iż po wybuchu samolotu w powietrzu wiatr rozdziera ciało na strzępy - ułamek sekundy okropnego bólu. Być może jednak żyje się przez cały czas upadku, do chwili, gdy ciało uderzy w taflę oceanu i rozerwie na kawałki, przynętę dla rekinów.

Deirdre spojrzała przez szybę na myśliwce eskortujące odrzutowiec. Dobry Boże, wiem, że nie chodziliśmy do kościoła co niedzielę, pomyślała. Ale jeśli pozwolisz nam wyjść z tego cało, będziemy chodzić. I będziemy więcej kłaść na tacę... Przerwała na moment. To nie tak - modlitwa nie stanowiła targów z Bogiem. Przypomniała sobie słowa pastora

sprzed dwóch tygodni: „Modlimy się po to, żeby celebrować Boga i naszą wiarę w niego”. Dobrze więc, nie będzie się targować. Zaczęła mrużyć pod nosem psalm dwudziesty trzeci: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach...”

- Mamusiu - odezwała się piskliwym głosem jej córka.
- Boję się.

Angela zaczęła szlochać.

- Nie wiem, dlaczego, ale boję się.

- Weź mnie za rękę, córeczko - zachęciła Deirdre. - Już niedługo będziemy w domu.

David zręcznie kopnął piłkę między nogami obrońcy na wolne pole. Gdy próbowali go zablokować, przejął piłkę i popędził w kierunku bramki. Doskonale, pomyślała Jennifer Exley Jej dziewięcioletni syn był najlepszym graczem dziecięcej ligi w Arlington - przynajmniej tak uważała, choć brakowało jej doświadczenia w roli piłkarskiej mamy. Przyznawała w duchu, że mogło brakować także obiektywizmu.

- Wspaniała akcja, David! - wykrzykiwała, po raz pierwszy od dłuższego czasu czując się jak prawdziwa matka.

Rzucił w jej kierunku szybkie spojrzenie, pełne zakłopotania i dumy

Usłyszała jednocześnie pager i komórkę. Zły znak.

- Jennifer?

Głos Ellisa Shafera. Bardzo zły znak.

- Potrzebuję cię.

- Cholera, Ellis!

Czekał ją błagalny telefon do Randyego i jego narzeczonej z prośbą o zaopiekowanie się dziećmi podczas jeszcze jednego weekendu, który przypadał na nią.

- To priorytetowa sprawa, Jennifer.

Te słowa sporo znaczyły. Shafer nie powinien ich używać na niezabezpieczonej linii.

- Pozwól tylko, że zadzwonię do mojego męża...

- Eksmeża?
- Dzięki, Ellis. Zapomniałam o rozwodzie. David ma teraz mecz. Muszę sprawdzić, czy Randy go zabierze.
- Matoly* zajmują się dziećmi w razie potrzeby. Przywieź go tutaj.

* Oficerowie służby wewnętrznej CIA.

- Jesteś naprawdę czarujący, Ellis.
- Do zobaczenia wkrótce - odparł i odłożył słuchawkę,
- Ja też cię kocham, skarbie - rzuciła do głuchego już telefonu. Wokół niej zerwały się owacje. David biegł triumfalnie wzdłuż boiska, z chudymi rękoma uniesionymi nad głową, a bramkarz drużyny przeciwnej z zażenowaniem wyciągał piłkę z siatki.
- Widziałaś to, mamó? Widziałaś, jak strzeliłem bramkę? Oczywiście, że nie.
- Oczywiście - zapewniła.

Widok Potomacu z alei przy pomniku Waszyngtona zwykle działał na nią uspokajająco. Dzisiaj jednak pędziła wąską drogą, mrugając światłami na każdego, kto nie zjeżdżał na bok, i manewrując od lewej do prawej niczym niezłe podchmielony kierowca ciężarówki.

Powinno być wzięta ferrari, nie zieloną furgonetkę dodge z plaketką Amerykańskiego Stowarzyszenia Młodzieżowych Drużyn Piłkarskich na tylnym zderzaku, pomyślała. Nie, właściwie furgonetka doskonale uzupełnia absurd sytuacji - za dnia piłkarska mama, wieczorami urzędniczka CIA. A może zupełnie na odwrót.

Na szczyt wzniesienia wjechała z prędkością blisko stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Auto wyskoczyło w powietrze i spadło na nawierzchnię ulicy ze zgrzytem resorów i piskiem opon. Rano przeszła gwałtowna burza, ulice wciąż były śliskie i mokre. Exley wzięła głęboki wdech. Powinna się

odprężyć, bo jeśli walnie w drzewo, nie wyniknie z tego nic dobrego dla niej ani dla dzieci. Zdjęła nogę z gazu.

Shafer stał już przy jej drzwiach, z filiżanką kawy w jednej dłoni i plikiem dokumentów w drugiej. Wchodząc do środka, skinęła mu głową. Postawił kawę na biurku i wręczył jej dokumenty

- Łyzeczka Splendy, tak jak lubisz. Przepraszam za ten mecz.

- Ellis, ty masz wyrzuty sumienia? Zainstalowali ci nową wersję oprogramowania?

- Ale śmieszne.

Dokumenty miały standardowy stopień utajnienia. Exley już od dawna podchodziła sceptycznie do zapachu, z jakim Agencja klasyfikowała dokumenty tajne, ściśle tajne, najściślej tajne z wisienką na górze - większość i tak nadawała się na śmietnik, a resztę wiadomości w nich zawartych można było zwykle - choć nie zawsze - odnaleźć w „Washington Post” czy „New York Timesie”, o ile szukało się dostatecznie skrupulatnie.

- TICK przesłało nam to przed godziną - oznajmił Shafer.

Akronim oznaczał Terrorist Threat Integration Bureau (Biuro Integracji Zagrożenia Terrorystycznego). Komórka ta miała zbierać dane z CIA, FBI, NSA (National Security Agency), Ministerstwa Obrony oraz innych agend rządowych posiadających informacje o potencjalnym zagrożeniu.

- Ostatni Echelon.

Echelon był kryptonimem sieci stacji satelitarnych utrzymywanych przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i kilka państw-sojuszników. W czasach zimnej wojny służyła do podsłuchu Rosjan, obecnie zaś monitoruje pocztę elektroniczną, przepływ danych w Internecie oraz rozmowy telefoniczne i przesyłanie faksów. Nazwy poszczególnych stacji systemu - Sugar Grove, Menwith Hill, Yakima - znane były

maniakom szpiegostwa i zwolennikom teorii spiskowych na całym świecie. Ludzie ci uwierzyli najwyraźniej, iż sieć Echelon stała się swego rodzaju elektronicznym bogiem, widzącym i słyszającym każdą przesyłaną elektronicznie rozmowę i śledzącym każdy e-mail.

Gdyby tylko tak było, pomyślała Exley. Echelon działał sprawnie, gdy go wymyślono, ale liczba informacji przemieszczających się w Internecie za bardzo już wzrosła. Nikt nie mógł przeczytać wszystkich e-maili, nawet jeśli zostały przechwycone. NSA - komputerowi maniacy z Marylandu - zawiadująca siecią Echelon, opracowała najbardziej wyrafinowane na świecie filtry językowe, które eliminowały spam oraz zwykłe e-maile, odciążając analityków. Mimo to każdego dnia pojawiały się miliony potencjalnie podejrzanych wiadomości w dziesiątkach języków i przeczytanie ich wszystkich było niemożliwe. Co gorsza, problem narastał, bo w rywalizacji szpiegów i spamerów górę brali ci ostatni. Pigułki Viagry okazały się największymi sprzymierzeńcami bin Laden.

W pliku dokumentów, które Shafer przekazał, znajdowały się wydruki przechwyconych e-maili, które wysłano w Islamabadzie, Karaczi i Londynie. Zawierały one podejrzane zwroty, jak: „wielka gra”, „gracze w mieście”, „drużyna, która szykuje się do chwalebego zwycięstwa po Eid” - muzułmańskim święcie przypadającym przed paroma miesiącami.

Shafer wymierzył palec w jej stronę.

- Tak naprawdę ważny jest ostatni e-mail - powiedział, potrząsając lewą nogą.

- Ellis - odparła - spokojnie.

Jej szef cechował się roztrzepanym, lecz błyskotliwym umysłem - intuicyjnie kojarzył rzeczy, nawet jeśli dowody były nikłe. Ona sama preferowała metodyczną pracę, formułując wnioski na podstawie namacalnych faktów. Wywiad oparty na domysłach nieraz sprawiał, że jej kraj znalazł się w tarapatkach.

Wciąż jednak żałowała, że Agencja nie dała wiary Shaferowi latem 2001 roku, kiedy upierał się, iż al-Kaida planuje coś wielkiego, i to najprawdopodobniej na amerykańskiej ziemi. W następnym roku przeniesiono go z sekcji bliskowschodniej do Połączonej Grupy Operacyjnej do Spraw Terroryzmu, którą tworzyli ludzie z CIA, FBI, Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz innych agencji rządowych zwalczających terroryzm. PGO miała w założeniu przebić mury międzyorganizacyjne, dzięki czemu w Langley wiedziano by, czym zajmują się federalni, i na odwrót. Czasem to się udawało, czasem nie.

Oficjalnie Shafer pełnił funkcję zastępcy dyrektora PGO. W rzeczywistości był kimś w rodzaju niezależnego specjalisty. Nie dysponował dużą liczbą analityków, ale miał to, czego naprawdę pragnął: dostęp do każdych danych w zasobach Grupy. Raporty Shafera docierały bezpośrednio na biurka zastępców dyrektora Agencji do spraw operacyjnych oraz wywiadu. Exley wiedziała, że jej szef nie był w CIA lubiany - on zresztą też to wiedział. Mógłby narobić niezłego bigosu na tytułowych stronach gazet, gdyby poskarżył się publicznie, że Agencja marginalizowała jego rolę. „Oficer wywiadu, który ostrzegał przed 11 września, twierdzi, że CIA ponownie ignoruje oznaki zagrożenia...”

Exley przeszła do PGO razem z Shaferem, pozostawiając swoich agentów, którzy nigdy i tak nie spełniali jej oczekiwań. Shafer powiedział Jennifer, że zabranie jej ze sobą było jedynym warunkiem przyjęcia przez niego stanowiska. Rozumiała to - ich umysły się dopełniały. Praca z nim potrafiła być jednak wyczerpująca.

Pociągnęła łyk kawy, ignorując kiwanie nogi Shafera i kontynuowała lekturę dokumentów.

- Szóstki i siódemki - stwierdziła.

NSA klasyfikowała przechwycone informacje w skali od 1 do 9, bazując na prawdopodobieństwie nadania przez al-Kaidę.

O ile wiedziała, żaden e-mail nie uzyskał jeszcze kategorii 9 - całkowita pewność. Tylko kilka miało 8: prawdopodobieństwo bliskie pewności.

- Inaczej bym cię nie kłopotał - oznajmił Shafer.

Podobnie jak inne systemy inwigilacji, Echelon stawał się najbardziej użyteczny, gdy kryterium celu udawało się zawęzić, czyli kiedy zamiast selekcji trylionu e-maili, dokonywał jej na milionie. Z tego względu NSA przyglądała się bardzo bacznie kilku serwisom internetowym związanym z al-Kaidą, na które docierały anonimowe wezwania do świętej wojny oraz zakamuflowane przekazy dotyczące przygotowywanych ataków. CIA i NSA nie przejmowały się specjalnie informacjami ze stron, wszyscy wychodzili bowiem z założenia, że tamci są zbyt sprytni, by prezentować szykowane zamachy na oficjalnych witrynach internetowych.

Terroryci nie zdawali sobie jednak sprawy - a przynajmniej agencje miały taką nadzieję - że Stany Zjednoczone przekonały Jordanię oraz kilka innych krajów, by NSA mogło kontrolować firmy zarządzające serwerami, na których utrzymywano internetowe serwisy. Dzięki temu NSA była w stanie stworzyć katalog IP osób przekazujących informacje lub choćby zagląających na strony al-Kaidy. W następnym kroku zajmowano się adresatami korespondencji, tropiąc tym samym coraz szerszą sieć połączeń. Agenci NSA spodziewali się odnaleźć ogniwa - adresy e-mailowe, stanowiące węzły przekąźnikowe podejrzanych informacji, i idąc tym śladem, dotrzeć do ścieżki, jaką biegły rozkazy wydawane przez al-Kaidę.

Exley i Shafer obawiali się, że al-Kaida wykorzystuje pocztę elektroniczną jako źródło dezinformacji. Te same arabskie agencje wywiadowcze, które pozwoliły NSA sprawować kontrolę, mogły równie dobrze informować terrorystów o poczynaniach strony amerykańskiej. Pochodziło stamtąd jednak tyle ciekawych danych, że CIA i NSA potraktowały je poważnie.

Wobec braku wiarygodnych osobowych źródeł informacji w strukturach al-Kaidy, Echelon zastępował je Stanom Zjednoczonym najlepiej.

Tak jak zapowiedział Shafer, najciekawszy - i jednocześnie najkrótszy - okazał się ostatni z e-maili: pięć liter i trzy cyfry Echelon mógł zignorować ten przekaz jako spam, gdyby nie fakt, że nadano go z podejrzanego adresu. *U 919 AL HR* - linie United Airlines, rejs 919, Londyn, Heathrow Ludzie z NSA nadali temu przekazowi klasę 6/7 - prawdopodobny/wysoce prawdopodobny

- Co o tym sądzisz? - zapytał Shafer.

- Gdybym była na pokładzie, chyba nie miałabym ochoty oglądać filmu - odparła. - Dlaczego Brytyjczycy zezwolili na start?

- Numer rejsu przesłano dopiero dzisiaj. NSA przechwyciło wiadomość zaledwie przed dwiema godzinami - Shafer wskazał na datę stempla odbitego na kartce. - Maszyna była już w powietrzu.

Przekazał jej drugą kartkę, listę pasażerów: trzysta siedem nazwisk. Samolot nie był zapełniony do ostatniego miejsca.

- Ile namierzonych nazwisk? - zapytała Exley

To znaczyło: „ilu pasażerów na pokładzie samolotu ma nazwiska pokrywające się z listą Centrum Integracji Zagrożenia Terroryzmem?”.

- Dwa, może trzy. Wiesz, jak to jest.

Wiedziała. Większość arabskich nazwisk można transliterować na angielski na kilka sposobów: Mohammed Abdul Latif, Mohammad Abullatif, Mohamed Abdullatif, Muhammad Abdul Laitef. NSA nie zdołała opracować niezawodnej metody, która pozwalałaby uwzględnić wszystkie możliwe transliteracje bez wydłużania listy w stopniu czyniącym ją bezużyteczną.

Palec Shafera ponownie wycelował w Exley

- Wpadło ci coś w oko?
- Szukam - odparła. - Jim Bates... nie... Edward Faro... mało prawdopodobne..

Nie wspomniano o tym, że różne agencje, w tym CIA, niechętnie dzieliły się wszystkim, co mają. Agencja przyglądała się kilku facetom, którzy byli tajnymi informatorami FBI. Gdyby ich nazwiska znalazły się na liście, federalni mogliby przypadkiem powiadomić swoich ludzi, że CIA ma ich na celowniku. Historia napięć między tymi organizacjami była długa, a podziały na tyle głębokie, iż nawet walka z terroryzmem nie mogła całkowicie ich usunąć.

W chwilach przygnębienia Exley zastanawiała się, czy lista nie stanowiła jedynie prostej przykrywki dla biurokratycznych dupków. W końcu jaki porywacz czy zamachowiec-samobójca będzie na tyle durny, by zarezerwować bilet na własne nazwisko? Chociaż tak właśnie zrobili chłopcy z 11 września - ludzie al-Kaidy nie zawsze wykazywali spryt i przebiegłość.

Ponownie skupiła uwagę na liście.

- Jusuf Hazalia... zapewne teraz nie ma lekko... David Kim... nie, chyba że jest północnym Koreańczykiem... Mohammed al-Nerzi - zatrzymała się. - Al-Nerzi brzmi znajomo.

- Komputery również wskazały na niego - wtrącił Shafer.

- Czy Egipcjanie nie aresztowali z rok temu faceta nazwiskiem al-Nerzi? Zeznał, że zamierzał uprowadzić statek wycieczkowy pływający po Nilu. Ale nie miał na imię Mohammed, tylko Aziz. Aziz al-Nerzi.

- Każę komuś zadzwonić do Mukhabaratu - egipskiej tajnej służby - i sprawdzić, czy przypadkiem nie są spokrewnieni.

Tak czy inaczej, Mohammed al-Nerzi będzie musiał odpowiedzieć na kilka pytań, kiedy samolot wylądjuje. O ile wylądjuje.

- Na liście rezerwacji było jeszcze jedno nazwisko pokrywające się z listą, ale facet się nie pojawił - dodał Shafer. - Nie anulował też rezerwacji.

- Jak długo już lecą? - zapytała Exley

- Wystartowali z Heathrow w południe czasu londyńskiego, czyli około siedem godzin.

- I ma wylądować...

- Na lotnisku Dullesa. Za czterdzieści pięć minut. Eskortują go myśliwce F-16.

- Dullesa? Dlaczego nikt nie sprowadził samolotu na ziemię?

- Nie zdecydowaliśmy się na lądowanie awaryjne. W e-mailu nie ma daty, tylko numer lotu.

- Ach, tylko numer?

- Dlatego właśnie ściągnęliśmy myśliwce i dlatego zadzwoniłem po ciebie.

- F-16 nie pomogą ludziom na pokładzie, jeśli w samolocie jest bomba.

Myśliwce nie zdałyby się na wiele pasażerom także wtedy, gdyby maszyna została porwana. Miały za wszelką cenę nie dopuścić do tego, żeby Biały Dom stanął w płomieniach. Dla każdego, kto znajdował się na pokładzie rejsowego samolotu United Airlines numer 919, maszyny F-16 były zwiastunami niedobrych nowin.

- Gdyby chcieli zdetonować bombę, już by to uczynili. Nad Atlantykiem nie znaleźlibyśmy żadnych szczątków. Jeśli na coś się zanosi, to na uprowadzenie.

- W takim razie porywaczy powinno być co najmniej pięciu, Ellis, i to wyłącznie w pierwszej klasie. Moim zdaniem, jeśli coś się dzieje, to chodzi o zamach bombowy. Być może planują detonację dopiero przy podejściu do lądowania. Wiesz, kiedy maszyna zmniejszy szybkość...

- Agencja nie chce ingerować w działanie lotnictwa cywilnego, jeśli nie ma ku temu dostatecznych przesłanek.

- Czy to nie są dostateczne przesłanki?

Shafer westchnął ciężko.

- Czy muszę wyklądać ci to czarno na białym, Jen? Jeśli ten samolot wyląduje w Waszyngtonie o planowanym czasie, będę miał trzydzieści sekund na antenie CNN - z uwagi na myśliwce eskortujące pasażerski odrzutowiec. To się zdarza. Ale awaryjne lądowanie? To już chryja, zwłaszcza w Nowym Jorku. Linie lotnicze powiadomiły Biały Dom, że po każdym takim przypadku liczba rezerwacji spada. Błagają nas, abyśmy nie reagowali przesadnie. Niekoniecznie się z tym zgadzam, ale tak po prostu jest.

- O ile zmniejszy się liczba rezerwacji, jeśli ten samolot wyleci w powietrze?

- To nie moja decyzja.

- Gdybyś chciał, mógłbyś sprowadzić go na ziemię.

- Tym razem tak, ale następnym...

Tym razem... Wpływy Shafera, choć duże, miały granice. Wciąż pamiętano, że przewidział 11 września, lecz przestał już być niezniszczalny. Po raporcie Komisji ds. 11 września wielu wysokich urzędników Agencji podało się do dymisji. Ich następcy uznawali Shafera za relikw i wielu z nich chętnie zobaczyłoby go na bruku. Nie grał zespołowo, bo był na to zbyt bystry i mógłby postawić ich w złym świetle.

Shafer musiał się więc pilnować, by nie ogłosić fałszywego alarmu. „Ten Ellis Shafer potrafi wycić jak wilk. Wpada w paranoję i pragnie zostać bohaterem. Musimy przestać go słuchać.” Exley słyszała to wszystko, ale nie mogła nic zrobić. Jeśli Boeing 747 spadnie, będą mieli krew na rękach.

- Dobrze, Ellis. To dlaczego zepsułeś mi sobotę? Żebyś dotrzymała ci towarzystwa?

- Właśnie dlatego.

- Przykro mi - odparła.

- To ja jestem osobą, która wyciąga wnioski. Ty masz mnie wspierać. Wiemy jedynie, że ktoś podał numer rejsu oraz że kilka nazwisk pokrywa się z listą. Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

Jak zwykle Shafer trafił w dziesiątkę, pomyślała Exley Od stycznia to trzeci poważny alarm. Stajemy się leniwi. Pozwalamy, by samolot doleciał do lotniska Dullesa, zamiast nakazać mu natychmiastowe lądowanie. Wystarczyłoby tylko nadać pilotowi: „Słuchaj, kapitanie, być może masz na pokładzie kilku porywaczy; nie jesteśmy tego pewni. Miłego dnia” - a potem działać stosownie do rozwoju wypadków.

- Tym razem jest inaczej. Numer lotu został przesłany, gdy samolot znalazł się już w powietrzu - pokręciła głową Exley - Nienawidzę tego.

- Czego?

- Tego, że musimy mieć rację codziennie, a oni tylko raz.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - odparł Shafer. Splótł palce. - Chodźmy do mojego biura. Sprawdzimy najnowsze dane.

Na pokładzie samolotu rejsowego United Airlines numer 919 od chwili, kiedy kapitan ogłosił komunikat, panowała niesamowita cisza. Najgłośniejszym dźwiękiem był szum wentylacji i zdrowski szeptane gdzieś za plecami Deirdre Smart. Jedynymi osobami poruszającymi się po samolocie byli członkowie personelu pokładowego, którzy przemierzali przejścia między siedzeniami bez jakichkolwiek pozorów uprzejmości. Kilka minut wcześniej mężczyzna siedzący kilka rzędów przed Deirdre podniósł rękę i poprosił o formularze imigracyjne.

- Rozdamy je, kiedy już wylądujemy - syknęła jedna ze stewardes. - Dziękuję za przypomnienie.

F-16 wciąż dotrzymywały towarzystwa odrzutowcowi. Gdy mijały kolejne minuty i nie działo się nic złego, atmosfera w samolocie nieco się rozluźniła. Deirdre odwróciła się z uśmiechem do męża oraz syna, Aidana, siedzących za nią.

- Wszystko skończy się dobrze - dodała im otuchy

* * *

Wtedy właśnie samolot zatrząsł się i z ogromną prędkością zaczął spadać.

Angela krzyczała rozpaczliwie, podobnie jak wszyscy na pokładzie. Jedna ze stewardes zaskomlała, gdy uderzyła o wzmocnioną wręgę. Mężczyzna siedzący dwa rzędy przed Deirdre zwymiotował, stękając zduszonym głosem, co sprawiło, że treść jej własnego żołądka podjechała pod gardło. Ułamek sekundy później poczuła odór wymiocin. Przelknęła żółć napływającą do gardła i czekała, aż samolot zacznie pikować.

Po chwili jednak odrzutowiec wyrównał lot. Potem nastąpiły kolejne wstrząsy, ale dużo słabsze. To tylko turbulencje, pomyślała Deirdre. Tylko turbulencje.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - pocieszała Angelę, ocierając jej łzy

- Coś dziwnie pachnie, mamó.

- Spróbuj udawać, że tego nie czujesz.

Głośnik znów się ożywił.

- Tu kabina pilota, mówi kapitan Hamilton. Przykro mi z powodu tych wstrząsów. Będzie nami jednak rzucało przez resztę lotu - mamy nieciekawą pogodę między nami a Waszyngtonem. Zazwyczaj omijamy środek takiej wiosennej burzy, ale w tym przypadku chcemy jak najszybciej dotrzeć do domu. Jeszcze raz przepraszam; powinniśmy państwa ostrzec.

W ciągu następnych dziesięciu minut będzie nieźle telepało, zatem proszę o sprawdzenie, czy pasy bezpieczeństwa są właściwie zapięte. Powtarzam raz jeszcze: nie ma powodu do niepokoju, to tylko turbulencje. Za pół godziny posadzimy was bezpiecznie na ziemi. Dziękuję.

Jego głos wciąż jest całkowicie spokojny, pomyślała Deirdre. Jeśli wylądują... kiedy wylądują, poprawiła się, uściska pilota z wdzięcznością i pójdzie o zakład, że nie będzie jedyna.

Samolot znów się zatrząsł, tym razem jeszcze mocniej. Kolejna seria wstrząsów mogła doprowadzić do rozstroju nerwowego nawet w dużo ciekawszych okolicznościach. Deirdre widziała, jak skrzydła Boeinga drgają. Odrzutowiec o masie trzystu ton skakał w górę i w dół jak pływak walczący o utrzymanie się na wysokiej fali. Nie pamiętała równie silnych turbulencji. Jeśli jednak to byłoby najgorsze, wiedziała, że da sobie radę.

Każdy z pasażerów odczuwał mniej więcej to samo. Na pokładzie maszyny panowała cisza; trzysta siedem osób jak jeden mąż pragnęło dotrzeć cało i zdrowo do domu. Deirdre poczuła piekący ból w dłoniach, spojrzała w dół i stwierdziła, że zacisnęła je tak mocno, iż paznokcie przecięły skórę. Rozluźniła pięści, palce jej drżały. Obejrzała się na męża.

- Za rok wybierzemy się na Florydę - zaproponowała - i pojedziemy samochodem.

Nie odpowiedział uśmiechem.

Upłynęło dziesięć minut. Wstrząsy stopniowo osłabły, a Boeing zaczął obniżać pułap lotu. Gdy samolot zszedł poniżej trzech tysięcy metrów, w kabinie pasażerskiej rozległ się brzęk - to głośnik jeszcze raz obudził się do życia.

- Tu znów kapitan Hamilton. Do lotniska Dullesa zostało parę minut drogi. Jak państwo sami się przekonaliście, nie rzuca nami już tak mocno. W normalnej sytuacji poprosiłbym teraz o wyłączenie wszystkich urządzeń elektronicznych, ale te powinny być już wyłączone, zatem zwracam się tylko z prośbą o pozostanie na swoich miejscach i zapięcie pasów bezpieczeństwa. Wkrótce wylądujemy Dziękuję.

Deirdre pogłaskała dłoń córki.

- Jesteśmy prawie w domu - powiedziała.

W biurze Shafera zadzwonił telefon. Agent słuchał przez chwilę, po czy odłożył słuchawkę.

- Schodzą do lądowania - wyjaśnił Exley. - Wszystko przebiega normalnie. Nie mamy żadnych wieści od Egipcjan

- w Kairze dochodzi dziesiąta wieczór. Mówiłem ci, że wszystko dobrze się skończy

- Jeszcze się nie skończyło - odparła Jennifer.

Zakaria Fahd, siedzący na miejscu 42H - brodaty mężczyzna, który od dziewięćdziesięciu minut stanowił obiekt zbiorowych przemyśleń kabiny pasażerskiej - wyszedł do przejścia. Stewardesa zabiegła mu drogę.

- Proszę wrócić na swoje miejsce.

- Muszę skorzystać z toalety - oznajmił Fahd.

- Proszę wrócić na swoje miejsce! - dwóch członków personelu pokładowego zagroziło mu drogę.

- Błagam... Muszę pójść do toalety - nalegał Fahd.

- Jeśli nie usiądzie pan, zanim doliczę do trzech, zostanie pan aresztowany. Na pokładzie tego samolotu znajduje się urzędnik sądowy. Jeden... Dwa...

W powstałym zamieszaniu nikt nie zauważył, że Mohammed al-Nerzi, krótko ostrzyżony mężczyzna z miejsca 47A, zachowujący się dotąd spokojnie, włączył telefon komórkowy Aparat na kartę kupił przed miesiącem w Nowym Jorku. Na wyświetlaczu pojawił się symbol zasięgu sieci i obraz zamigotał, potwierdzając gotowość urządzenia do pracy. Al-Nerzi nacisnął klawisz z cyfrą 4, wybierając automatycznie numer, który zaprogramował poprzedniego wieczoru.

Numer należał do innego telefonu komórkowego, znajdującego się - nieprzypadkowo - na pokładzie UA 919. Nikt nie mógł odebrać połączenia, ale nie było to konieczne. Komórkę ukryto w czerwonej płócienną torbie umieszczonej w lukach bagażowych. Do ładowni samolotu wniósł ją Udaj Jassir, Syryjczyk zatrudniony od trzech miesięcy jako pracownik personelu naziemnego linii United Airlines na lotnisku Heathrow. W trakcie rutynowego badania jego papierów oraz baz danych nie znaleziono niczego podejrzanego.

W odróżnieniu od bagaży pasażerów, czerwona płócienna torba nie przeszła przez kontrolę i nie została prześwietlona.

Gdyby tak się stało, nie znalazłaby się w samolocie. Znajdujący się w środku telefon komórkowy podłączono bowiem do detonatora, a ten do półkilogramowego ładunku C-4, materiału wybuchowego chętnie używanego przez wojsko oraz terrorystów. Siła wybuchu nieforemnej szarawej bryłki była tak duża, że wyrwałaby w aluminiowym kadłubie dziurę o średnicy trzech metrów, niszcząc jego strukturę i rozrywając Boeinga 747 na drobne kawałki.

Na środku kabiny stewardesa kończyła właśnie liczyć:

- ...Trzy

Zakaria Fahd usiadł na swoim miejscu.

Mohammed al-Nerzi spojrział na aparat telefoniczny. Połączenie nie zostało nawiązane. Nie mógł zrozumieć, co się stało - powinien już nie żyć, a samolot zrozerwać się na tysiące kawałków. Coś poszło nie tak. W milczeniu przeklął swego pecha. Spróbował wybrać numer jeszcze dwa razy, zanim wyłączył komórkę i wsunął ją do kieszeni. Mężczyzna siedzący na miejscu 47B niczego nie zauważył.

Al-Nerzi nie mógł wiedzieć tego, co wykryli detektywi tuż po wylądowaniu Boeinga. W ładowni samolotu znaleźli bombę oraz telefon, uszkodzony w rezultacie gwałtownych turbulencji nad New Jersey. Tylko dzięki temu nie doszło do zdetonowania ładunku C-4. Gwałtowne wstrząsy spowodowane wiosenną nawałnicą uratowały życie pasażerów rejsu UA 919.

- Podchodzimy do lądowania na Międzynarodowym Lotnisku A.W. Dullesa w Waszyngtonie. Proszę personel pokładowy o zajęcie swoich miejsc na czas lądowania - rozległ się głos kapitana Hamiltona.

Angela Smart wyciągała szyję z miejsca 35A, kiedy samolot schodził stopniowo na dziewięćset, potem na sześćset metrów. Gdy przebili się przez chmury, dostrzegła leśne kompleksy, zatłoczone drogi i brązową nitkę rzeki Potomac. Maszyna podchodziła do lądowania bardzo równo; Angela

poczuła tylko kilka drobnych wstrząsów. Trzysta metrów, sto pięćdziesiąt...

Łądowanie! Koła odrzutowca najpierw odbiły się od płyty lotniska, a potem samolot usiadł na dobre. W kabinie rozległy się gromkie owacje, wiwaty oraz radosne okrzyki. Kapitan włączył hamulce i wielki Boeing stopniowo, bez szarpnięć, stanął. Okrzyki trwały jeszcze dobrą minutę, do chwili, gdy stalowy ptak znieruchomiał.

- Cieszymy się bardzo, że udało się nam dowieźć państwa do domu - powiedział przez głośniki kapitan.

Owacjom znów nie było końca.

Telefon Shafera zadzwonił ponownie. Agent słuchał przez chwilę, potem odłożył słuchawkę.

- Wylądowali - powiedział do Exley - ale w trakcie podchodzenia do lądowania coś się wydarzyło. Zamierzają kogoś zatrzymać i porozmawiać z paroma osobami.

Po godzinie, gdy Boeing 747 wciąż stał na płycie lotniska Dullesa, agent FBI znalazł torbę z czerwonego płótna i wtedy stało się jasne, do czego o mały włos nie doszło na pokładzie UA 919.

Znalezienie niedoszłego zamachowca okazało się łatwe. Trudno to wytłumaczyć, ale al-Nerzi nawet nie próbował pozbyć się telefonu. Moment, w którym Fahd zaczął się awanturować, również wzbudził podejrzenia, podobnie jak fakt, że obaj mężczyźni wykupili bilety tego samego dnia i w tym samym biurze podróży. Exley nie miała żadnych wątpliwości, iż terroryści wylądują w federalnym więzieniu albo w bazie Guantanamo, lecz wcale jej to nie pocieszało. Życie trzystu siedmiu ludzi ocalał bowiem jedynie niewiarygodny uśmiech losu.

Dochodziła północ, kiedy Exley i Shafer szli z opuszczonymi głowami przez opustoszały garaż. Pięć filiżanek kawy nie potrafiło pokonać w niej zmęczenia - sprawiło jedynie, że trzęsła się jak galareta.

- Dziś po południu było zbyt blisko tragedii - podjęła rozmowę.

- Musimy mieć lepsze informacje - odparł Shafer. - Turbulencje nie są niezawodnym systemem bezpieczeństwa.

Roześmiał się ponuro.

- Gdzie jest John Wells, kiedy go potrzeba? Ten wielki Dżalal?

Po przekazaniu notatki w 2001 roku Wells ponownie zamilkł. W agencji niemal zapomniano już o jego istnieniu, ale w szczególnie stresujących chwilach Shafer lubił wymieniać nazwisko Wellsa. Żartował na jego temat, przyrównując go do magicznej kuli lub talizmanu, który pojawiał się wtedy, kiedy trzeba było samotnie ratować agencję. Te żarty podszyte były sarkazmem, bo oboje wiedzieli, że agencja rozpaczliwie potrzebuje kogoś pokroju Wellsa, kto byłby w stanie dostarczać wiarygodnych informacji o tym, co się dzieje w szeregach al-Kaidy

- Wciąż jestem zdania, że on żyje - stwierdziła Exley, podchodząc do swego samochodu.

- Udowodnij to.

- Udowodnij, że tak nie jest.

- Założę się o sto dolców, iż nigdy więcej o nim nie usłyszymy

- Zakład - odparła, włączając pilota. Dodge odpowiedział przyjaznym mrugnięciem światłami.

- Do zobaczenia jutro - dodał Shafer.

Jutro? W niedzielę - kolejna okazja, by rozczarować dzieci.

- Jutro - powiedziała bez entuzjazmu. - Świetnie.

Dotknął jej ramienia, kiedy wsiadała do furgonetki.

- Twoim zdaniem będą następne, Jen?

- To był tylko incydent. Gdyby było inaczej, zaatakowałyby co najmniej jeszcze jeden samolot. Ale...

- Ale?

- Próbują odciągnąć naszą uwagę - wyjaśniła. - Coś się zbliża; coś wielkiego. Oni się budzą.

- To dziwne, nie sądzisz? - zauważył Shafer. - Nerzi wcale nie musiał lecieć tym samolotem. Mógł zadzwonić z dowolnego miejsca, ale chciał być na pokładzie. Pragnął umrzeć.

- Szkoda, że nie umiemy ich lepiej zrozumieć.

- Nie wiem, jak w ogóle można ich zrozumieć - zaczął zamykać drzwi auta, ale zatrzymał się. - Wiesz co, Jennifer? Weź jutro wolne i pobądź trochę z dziećmi. Czeka nas bardzo wiele roboty

Nie protestowała, wsunęła jedynie kluczyk do stacyjki, gdy jej szef zamknął drzwi samochodu.

Janet i Lori stały tego wieczoru na ulicy, zauważyła Exley, sunąc Trzynastą ulicą ku blokowi, w którym mieszkała. Kiedy ona i Randy postanowili żyć w separacji, przeniosła się do Waszyngtonu, wydłużając dwukrotnie czas dojazdu do pracy i decydując na płacenie obłądnych stołecznych podatków. Nie żałowała jednak niczego, bo pragnęła utrzymać dystans między nimi. Kupiła mieszkanie w pobliżu Logan Circle - kiedyś była to podejrzana okolica, ale jej status poszedł w górę dzięki dynamicznemu waszyngtońskiemu rynkowi nieruchomości. Mimo to w sobotnie wieczory zdarzało się spotkać na Trzynastej kilka prostytutek, polujących na frajerów, którzy nie załapali jeszcze, że teren zaliczono teraz do ekskluzywnych. Miała okazję poznać je - przynajmniej z imion - tankując na stacji Amoco przy końcu kwartału, w którym znajdował się jej apartamentowiec. Pomachała w ich stronę. Janet odwzajemniła pozdrowienie, skinąwszy głową z wymuszonym uśmiechem.

Exley zaparkowała w podziemnym garażu pod swoim blokiem i powlokła się do windy. Czuła ból w nogach - następstwo wielogodzinnego siedzenia przy biurku. Chciała teraz tylko wypić kieliszek czerwonego wina - może dwa - zanim pójdzie spać. Mówiąc szczerze, nie tylko tego. Pragnęła dużo więcej: masażu pleców albo kochanka. Albo pracy, która nie wyczerpywałaby jej nieustannie. Dwie pierwsze

rzeczy z listy nie znajdowały się na podorędziu, a co do trzeciej wiedziała, iż rzucając Agencję, czułaby się okropnie - bez względu na to, jak bardzo byłaby wykończona. Walczyła za Stany Zjednoczone. Nie mogła wyobrazić sobie pracy dla prywatnej firmy zarządzania ryzykiem, nawet za dwa razy większe wynagrodzenie przy dwukrotnie mniejszej liczbie godzin. Być może zrobi to za kilka lat, kiedy wypali się już w takim stopniu, by opuścić Agencję, ale jeszcze nie teraz.

Obejdzie się bez masażu pleców, bez kochanka i bez nowej pracy. Wystarczy kieliszek czerwonego wina Shiraz.

Gdy weszła do mieszkania - schludnego apartamentu z jedną sypialnią, ulokowanego w narożniku budynku na drugim piętrze - wsunęła do odtwarzacza CD płytę Elli Fitzgerald, otworzyła butelkę wina i rozciągnęła się wygodnie na kanapie. Dostrzegła własne odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju - Boże, wyglądała na skrajnie zmęczoną. Pamiętała, iż kiedyś była piękna i miała zdjęcia, które to potwierdzały. Jednak czas obchodził się z kobietami bezlitośnie, chyba że miał do czynienia z gwiazdą filmową albo żoną bogacza, dysponującą krociami na wydatki związane z pielęgnacją urody Exley wciąż mogła się pochwalić niezłą figurą, a jej oczy rozjaśniały pokój, lecz jedynie botoks był w stanie zlikwidować kurze łapki oraz zmarszczki na szyi. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić siebie pod skalpelem chirurga plastycznego. Czy zresztą większość mężczyzn przejęłaby się tym lub w ogóle coś dostrzegła? Prawdopodobnie nie. To jednak, że w ogóle się nad tym zastanawiała, źle wróżyło. Takie przemyślenia osłabiały poczucie pewności siebie na równi z oglądaniem niezliczonych zdjęć młodych modelek w każdym kolorowym magazynie.

Dopiła wino i ponownie napełniła kieliszek. Ironię losu podkreślał fakt, że narzeczona Randy'ego była przysadzista i niespecjalnie bystra, chociaż liczyła sobie parę wiosen mniej. Exley wiedziała, że były mąż wciąż czuł do niej fizyczny pociąg, zmęczył go jedynie fakt, iż na pierwszym miejscu stawiała

zawsze Agencję. Nie mogła go obwiniać. Praca, którą wykonywała, nie pozwalała na kompromis, bo wrogowie mogli uderzyć w każdej chwili.

Tak jak w to popołudnie. Gdyby posłuchali jej rady..

- O cholera - powiedziała głośno do pustego pokoju.

Shafer wiedział, to pewne; był tylko zbyt taktowny, aby cokolwiek powiedzieć. Nic dziwnego, iż dał jej wolne w niedzielę. Wiedział, że ona w końcu też się domyśli. Gdyby posłuchali jej rady, trzystu siedmiu ludzi opuściłoby ziemski padół. Jeśli UA 919 wylądowałby w Baltimore lub Hartford, unikając strefy turbulencji nad New Jersey, telefon komórkowy ukryty w ładowni zadziałałby, wysadzając samolot.

- Boże - westchnęła.

Wypiła wino duszkiem i naląła sobie kolejny kieliszek. Rozsiadła się na kanapie i zamknęła oczy. Przecież nie mogła tego wiedzieć; nikt nie mógł. Ale jednak o mały włos nie przyczyniła się do śmierci trzystu siedmiu ludzi.

Cudowny sposób na zakończenie wieczoru, pomyślała Exley. Dopila resztkę wina i ruszyła do apteczki, by znaleźć fiołkę z Ambienem. Receptę zrealizowała dawno temu, kiedy przechodziła najgorszą fazę sprawy rozwodowej.

Musiała połknąć pastylkę, żeby zasnąć tej nocy

3

Nauka, jak znowu być Amerykaninem, przychodziła Wellsovi z większym trudem niż się spodziewał.

Pierwszy szok przeżył przed lądowaniem w Hongkongu, kiedy A-310 Pakistańskich Linii Lotniczych krążył nad tonącym w światłach miastem. Wells od lat nie widział funkcjonującej sieci elektrycznej. Przywódcy wioski, w której mieszkał, posiadali dwa spalinowe agregaty na olej napędowy, głośne i cuchnące, które generowały tyle energii, by zasilić żarówki oraz kilka telewizorów. W niczym nie przypominało to żółto-pomarańczowego oceanu światel mieniących się w dole, błyskających czerwonych lamp na wieżach radiowych wyspy Hongkong czy białej poświaty otaczającej drapacze chmur. Zapomniałem, że człowiek potrafi równie łatwo budować jak burzyć, pomyślał Wells.

Odrzutowiec wylądował; wokół Wellsa stali pasażerowie z bagażem w dłoniach. Nie mógł się ruszyć, zdjęty uczuciem, którego nie potrafił nazwać. Nie był to strach ani nadzieja, raczej poczucie, że czas jakby odtajał i w jednej chwili uwolnił minione dziesięć lat. Wiedział, iż powinien cieszyć się wolnością, ale jednak nie mógł. Zmienił tylko pole walki, a stawka jeszcze wzrosła. Ogarnęło go znużenie, siedział więc nieruchomo do chwili, gdy kabina pasażerska opustoszała, a stewardesa klepnęła go w ramię.

- Czy wszystko w porządku, proszę pana?
- W porządku.

Nie powinien zwracać niczyjej uwagi. Wziął bagaż i opuścił pokład samolotu.

Klimatyzowaną halę przylotów wypełniały błyszczące billboardy Hyatt&Gucci, IBM, Cathay Pacific oraz tuzina innych korporacji. Kobiety z reklam rywalizowały ze sobą niezwykłą urodą, a każda z nich odsłaniała tyle ciała, że w Prowincji Północno-Zachodniej zasłużyłaby na biczowanie lub jeszcze gorszą karę. Wells oderwał wzrok od wielkopowierzchniowych reklam i spojrzał na wypolerowaną podłogę lotniska. Wszędzie wokół niego znajdowały się kobiety - Chinki, białe, Hinduski i Filipinki. Chodziły bez męskiej eskorty, z odkrytymi twarzami, ramionami i nogami; niektóre miały nawet makijaż. Obok niego przeszła śliczna japońska nastolatka z włosami ufarbowanymi na zjadliwą czerwień. Wells obrócił się za nią, nie mogąc oderwać oczu. Gdy tak patrzył, poczuł nagle rozdrażnienie. Czy te kobiety nie mogłyby być odrobinę skromniejsze? Nie musiały od razu chodzić w burkach, ale nie widział potrzeby, by paradowały w minispódniczkach.

Gdy usiadł na ławce w hali przylotów, obok baru kawowego sieci Starbuck, próbował zrozumieć własną reakcję. Po dziesięciu latach celibatu powinien radować się widokiem nagiej skóry. W talibach najbardziej drażniło go właśnie podejście do kobiet. Najwyraźniej jednak fundamentalistyczne credo przyswoił sobie głębiej niż mu się zdawało. W Afganistanie i Pakistanie uprawianie seksu było niemal niemożliwością. Wieśniacy nie chcieli wydawać swoich córek za partyzantów al-Kaidy, nie wspominając już o Amerykaninie. Seks pozamałżeński nie był wart ryzyka, bo talibowie i Pasztuni cechowali się ogromną pomysłowością w karaniu za prostytutkę i cudzołóstwo. Wells widział, jak pewnego mężczyznę zakopano żywcem, a pół tuzina innych powieszono, trzymał więc swoje libido w ryzach. Nie potrafił już nawet przypomnieć sobie zapachu kobiety

Teraz trzeba to zmienić. Muzułmanie musieli ograniczać seks do pożycia małżeńskiego, ale Wells wiedział, że nie wytrzyma dożywotniej abstynencji. Zdecydował, iż nie poszuka

płatnego seksu ani przygody na jedną noc. Jeśli znajdzie właściwą kobietę, nie będzie zwlekał z poślubieniem jej.

Spojrzał na wysoką blondynkę przechodzącą obok i nabrał nadziei, że spotka odpowiednią kobietę już wkrótce.

* * *

Następny tydzień spędził w mało znanym hotelu w dzielnicy Kowloon. By czas mijał mu szybciej, każdego ranka spacerował po zatłoczonych ulicach Hongkongu, a popołudnia spędzał w Bibliotece Głównej, potężnym budynku z kamienia i szkła, usytuowanym naprzeciw Victoria Park. Wertował gazety i czasopisma, pragnąc uchwycić choć trochę z tego, co wydarzyło się w minionych latach. Monica Lewinsky, Newt Gingrich, gwałtowny rozwój Internetu, euro, Britney Spears, wybory prezydenckie w 2000 roku i powtórne liczenie głosów na Florydzie. Lata przed 11 września były równie spokojne co tafla jeziora w Montanie w gorący letni dzień.

A potem nastąpił atak. Na pożółkłych stronach gazet z 2001 roku trwał szok tamtych chwil. Wells dowiedział się o ulotkach rozwieszanych po całym Nowym Jorku przez rodziny zaginionych - papier stanowił bardziej wymowne źródło pamięci niż jakikolwiek pomnik. Poznał też odpowiedź, której tamtego dnia Rudy Giuliani udzielił reporterowi pytającemu o liczbę śmiertelnych ofiar: „Większa niż jesteśmy to w stanie znieść”.

Kiedy będzie następny raz, pomyślał Wells. Jaki ciężar będziemy musieli wtedy znieść?

Stany Zjednoczone odwzajemniły cios, uderzając najpierw na Afganistan, potem na Irak, chcąc zmusić wrogów do obrony. Amerykańscy żołnierze pokonali oddziały talibów oraz wojska Saddama Husajna, ale Wells obawiał się, że USA wzbudziły nienawiść miliarda muzułmanów - nienawiść, która trwać będzie przez całe pokolenia. Za każdym razem, kiedy amerykański żołnierz stawiał stopę w meczecie, rodził

się bojownik dżihadu. Teraz wyglądało na to, że USA wpadły w Irak w pułapkę. Gdy rozważał, czym to może się skończyć, kończyło się na bólu głowy. Na koniec przechodził do gwarantujących relaks stron sportowych, czytając o zwycięstwie swoich Red Sox nad Jankeesami i wygraniu rozgrywek World Series. Theo Epstein był geniuszem.

Wieczorami popijał colę w barze hotelu Peninsula, spoglądając przez wody Victoria Harbor na światła Hongkongu i podsłuchując ekspatów rozmawiających przez telefony komórkowe. Wszyscy mówili bez przerwy i w tempie, za którym z ledwością mógł nadążyć.

- Lepiej, żeby stało się to w tym tygodniu, w przeciwnym razie nie zdarzy się wcale...

- Tak, w tym tygodniu na Bali, potem z powrotem tutaj i na koniec do San Francisco...

- Te nowe procesory Intela są niewiarygodne...

Czuł się tak, jakby był jedyną osobą w mieście, która nie uprawia seksu lub nie zarabia pieniędzy, a przynajmniej o tym nie mówi. Dla tych ludzi globalizacja niosła ze sobą perspektywę, nie zagrożenie. Wiedzieli, jak surfować po świecie, i nie płacono im za to, żeby zwracali uwagę na tonących w powrotnej fali przyboju.

Mimo tego wszystkiego, atmosfera Hongkongu odpowiadała Wellsowi. Energia miasta przenikała powoli do jego ciała i czuł, jak zaczyna w nim pulsować krew. Znalazł gabinet stomatologiczny i usunął zepsuty ząb. Dentystka przestraszyła się, gdy zajrzała do jego jamy ustnej. „Czy w Ameryce nie znają szczoteczki do zębów?” Brał prysznic trzy razy dziennie, by nadrobić całe tygodnie bez wody i mydła na terenie Prowincji Północno-Zachodniej. Poszedł obejrzeć wyścigi konne na torze Sha Tin. Nie grał, ale lubił atmosferę tego miejsca - milionerów przechadzających się w towarzystwie dwukrotnie młodszych dam, smukłe konie pełnej krwi podchodzące do bramki startowej niemal tanecznym krokiem i ogłuszający ryk na trybunach, kiedy wierzchowce zbliżały się do mety.

Pewnego ranka znalazł się w pobliżu amerykańskiego konsulatu przy Garden Road i nagle poczuł wyrzuty sumienia. Już wcześniej powinien nawiązać kontakt z przedstawicielami CIA urzędującymi w środku, nie chciał jednak tak szybko pozbywać się wolności. Gdy tylko wyjawi swoją tożsamość ludziom z Agencji, natychmiast zyska nowych opiekunów. Przez całe tygodnie będą go przesłuchiwać i pytać bez końca: gdzie się podziewałeś przez wszystkie te lata? Dlaczego nie skontaktowałeś się z nami? Co dokładnie porabiałeś?

Między wierszami kryła się znacznie głębsza wątpliwość: dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

Nie, na to nie był jeszcze gotowy. Złoży raport, gdy dotrze do Ameryki - nic się przecież nie stanie. Ruszył dalej, omijając konsulat.

Przelot do Frankfurtu, a potem do Nowego Jorku odbył się bez żadnych zakłóceń. Nie poczuł radości, kiedy Boeing 747 Lufthansy usiadł na lotnisku J.E. Kennedy ego - wiedział, że nie może już dłużej ociągać się z wypełnieniem obowiązku.

Oficer służby granicznej tylko rzucił okiem na jego paszport. Wells spędził cały ranek, spacerując po Manhattanie, podobnie jak czynił to w Hongkongu. Spoglądał na miasto oczyma Khadriego - nie mógł nic z tym zrobić - jak na jeden wielki cel: tunele, mosty, giełda, teatry na Broadwayu, metro, gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

I, oczywiście, Times Square. Kiedy widział go ostatni raz - tę wielokrotną pętlę, gdzie stykały się Broadway i Siódma Aleja - plac był zaniedbany i podupadły, a teraz naprawdę zasługiwał na miano skrzyżowania świata. Na Czterdziestej Drugiej i Broadwayu Wells obserwował turystów oraz mieszkańców miasta wędrujących się jak mrówki na chaotycznym pikniku. Na nowych wysokich biurowcach jarzyły się ogromne neonowe reklamy. Cyfrowe wyświetlacze prezentowały bez końca informacje dnia. Cały świat skurczył

się do konkurencyjnych pasków pomarańczy i zieleni. Kierowcy zawzięcie naciskali klaksony, a uliczni sprzedawcy usiłowali przekrzyknąć się nawzajem, handlując breloczkami w kształcie Statuy Wolności i zdjęciami Tupaca Shakura. Ogromny dom towarowy ToysRUs, pod którym przystanął Wells, dowodził, że plac stał się atrakcją dla ludzi w każdym wieku. Wells przypomniał sobie czyjaś opinię - nie pamiętał już czyją - o Times Square: „Musi być piękny, o ile potrafisz czytać”. Rozlokował się tutaj również biznes - w promieniu dwustu metrów znajdowały się siedziby firm Morgan Stanley, Ernst&Young oraz Viacom. Przez plac można było przejechać ciężarówką. Jeśli World Trade Center stanowił Strefę Zero, to Times Square - Strefę Jeden.

Wells czuł instynktownie, że gdzieś w pobliżu tyka zegar. Skierował się w stronę metra i odszukał w rozkładzie pociąg do Queens. Osiem godzin później siedział już w autobusie linii Greyhound. Jechał do Charleston z dwudziestoma tysiącami dolarów w kieszeni. Pozostałe piętnaście tysięcy złożył w bankowej skrytce na Manhattanie - na wszelki wypadek.

Dwa dni później Wells szedł przez port lotniczy w Minneapolis z nowiusieńkim prawem jazdy w kieszeni. Wykorzystał w tym celu liberalne przepisy regulujące w Karolinie Południowej wydawanie dokumentów upoważniających do prowadzenia pojazdów. Jechał do Boise, a stamtąd do Missouli, przez rolnicze rejony Idaho. Po drodze zamierzał zatrzymać się dwa razy i zobaczyć z trojgiem ludzi: matką, synem oraz była żoną. To była ostatnia sprawa, jaką chciał załatwić przed zgłoszeniem się do CIA.

Nie powiadomił nikogo, że zamierza przyjechać. Chciał sprawić niespodziankę matce, pojawić się nagle w Hamilton i usiąść w jej kuchni, kiedy ona będzie zaparzać kawę i smażyć jajka. Ucałuje ją w policzek i przeprosi za to, że tak długo go nie było. Z pewnością wybaczy mu, gdy tylko go ujrzy - matki zawsze takie są. Przynajmniej jego taka była. Jeśli zaś

chodzi o Evana i Heather... czuł nieodpartą potrzebę zobaczenia się z nimi.

Musiał jakoś spędzić dwie godziny przed odlotem do Boise, znalazł więc piątkowe wydanie gazety „TGI”, usiadł przy barze i oglądał finał koszykarskiej ligi NCAA między drużynami Duke i Texas. Po kilku minutach mężczyzna siedzący na stołku obok obrócił się i spojrzał na Wellsa. Wyglądał na czterdzieści parę lat, miał lekką opaleniznę i włosy ostrzyżone na jeża. Na prawym nadgarstku nosił cienki złoty łańcuszek.

- Duke czy Texas?
- Duke - odparł Wells.

Nie miał ochoty na pogawędkę, ale facet wyglądał niegroźnie.

- Ja też stawiam na nich. Dokąd się wybierasz?

Wells wzruszył ramionami i skierował wzrok na telewizor. Facet nie zrozumiał aluzji.

- Ja zmierzam do Tamy Nienawidzę północnego zachodu. Co roku pokonywałem w powietrzu sto dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Ci w Tampie nie awansowali mnie. Nie mogę w to uwierzyć. Są mi winni awans.

- Pewnie - burknął Wells.

Ten człowiek musi być sprzedawcą. Chyba nie zaczął go z premedytacją.

- Jesteś żonaty? - ciągnął facet. - Ja jestem. Piątka dzieci.

- Gratulacje.

- Hej, nie masz nic przeciwko walnięciu setki, prawda?

Wells zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie powiedzieć gościowi, aby spadał. Facet wydawał się przygnębiony, a on od długiego czasu nie prowadził zdawkowej rozmowy z przygodnym Amerykaninem. Można to było nazwać eksperymentem w terenie.

Facet dopił połówkę piwa jednym haustem.

- Lepiej przejdę na coś mocniejszego. Pozwól, że postawię ci piwo. Przy okazji, mam na imię Rich.

- Nie piję - odparł Wells.
- Rich spojrział na barmana.
- Podwójną tequilę Cuervo dla mnie i piwo dla mojego przyjaciela...
 - Powiedziałem, że nie piję.
 - Przepraszam, facet. Chciałem być uprzejmy W takim razie cola.

Rich kiwnął na barmana.

- Wiesz, przed jedenastym września nigdy nie bałem się latać. Od tamtej pory zawsze daję sobie w szyję. Nawet teraz.

Wells zastanowił się ponownie, czy nie powinien wyjść. Nie miał ochoty rozmawiać o 11 września, bo sam myślał o tym dostatecznie wiele. Z drugiej strony wydawało mu się, że lotniska stanowiły naturalne miejsce do tego typu rozmów

- Często myślę, co bym zrobił, gdyby ktoś wyciągnął nóż do cięcia papieru - zwierzył się Rich. - I powiem ci coś: podjąłbym walkę. Zostałbym bohaterem, jak ci goście z rejsu dziewięćdziesiąt trzy

- Bohaterem? - Wells nie był w stanie ukryć zdziwienia w głosie.

Barman postawił przed Richem solidną porcję Cuervo.

- Nie uważasz, że oni byli bohaterami? - Rich wyglądał na urażonego.

Wells nie bardzo wiedział, co wydarzyło się z lotem 93, ale wiedział jedno: ratowanie własnej skóry nie czyniło z nikogo bohatera. Każdy pragnie żyć, a bohater ryzykuje własne życie dla innych. Zazwyczaj - bo widział ludzi, którzy oddawali życie jedynie po to, żeby pokazać własne męstwo.

A jednak niektóre bitwy są pamiętane z uwagi na męstwo jednej strony walczącej z przeważającymi siłami przeciwnika - na przykład szarża Picketta pod Getysburgiem, gdzie konfederaci zajęli pozycje na Wzgórzu Cmentarnym, stawiając czoło armii Unii. Atak przemienił się w klęskę, ale bohaterstwo żołnierzy Południa przeszło do historii. Czy więc byli

bohaterami, czy jedynie głupcami? Czy ma znaczenie fakt, iż walczyli w obronie niewolnictwa?

Mimo wszystko Wells nie czuł ochoty na prowadzenie z Richem-handlowcem debaty na temat bohaterstwa.

- Jasne, że byli bohaterami.

Rich podniósł kieliszek w stronę Wellsa.

- *Salud*. Było nie było. Wiesz, co w tym wszystkim jest dziwne?

Założę się, iż za chwilę będę wiedział, pomyślał Wells. Rich wychylił kieliszek, a potem z impetem odstawił go na bar.

- Moje małżeństwo tak bardzo się skomplikowało.

Wells starał się, by jego twarz wyraziła współczucie.

- Moja żona Barbara przyłapała mnie, jak rznąłem Consuelę, pokojówkę. Jest teraz wściekła. To znaczy Barbara. Consuela nie przejmuje się niczym.

Wells przeszukiwał zakamarki umysłu, chcąc znaleźć właściwą odpowiedź, ale poszukiwanie zakończyło się fiaskiem. W trakcie jego nieobecności Ameryka stała się dużo bardziej rozmowna. Z ledwością pamiętał telewizyjne talk shows w rodzaju *Jerry Springer Show*. Teraz wydawało mu się, że cały kraj bierze udział w przesłuchaniach potencjalnych uczestników programów reality show. Kto wyznałby nieznanomemu, iż żona przyłapała go na amorach ze służącą?

Rich spojrzął na Wellsa i opowiadał dalej:

- To znaczy, Barb miało wtedy nie być w domu. Nagle się zjawiała i zaczęła wrzeszczeć „Pierdol się, pierdol się”; darła się wniebogłosy...

Tak wiele za odrobinę uprzejmości, pomyślał Wells.

- Masz w sobie trochę godności? - Wells spojrzął Richowi w oczy wzrokiem, który mroził wielu facetów w miejscach dużo gorszych niż to. - Czy w ogóle rozumiesz znaczenie tego słowa? Opowiadasz gościowi, którego nawet nie znasz, o tym, jak zdradziłeś żonę i jak zostałeś przyłapany. Nie znam cię i nie chcę znać. Dzięki za colę.

Wells chwycił torbę.

- Nic nie rozumiesz - żalił się Rich. - Jestem w głębokim stresie. Wiesz, co to znaczy płacić za dwa domy i samochody? Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz spałem z żoną. Musiałem kogoś dotknąć. Moje życie jest do dupy...

- Wiesz, co jest do dupy? - przerwał mu Wells. - Gdy wchodzisz na minę przeciwpiechotną i odrywa ci nogę, a ty masz cztery lata. Kiedy jedziesz wojskową terenówką, czekając, aż sploniesz trafiony pociskiem, którego nie widzisz, jak nasi chłopcy teraz w Bagdadzie.

- Wiem...

- Gównu wiesz. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak żyje wielu ludzi na tym świecie. Większość z nich nie wyzaliła się przez całe życie tyle, ile ty w ciągu pięciu minut. Rozwiedź się z żoną i przestań rżnąć służącą. Zresztą wcale mnie to nie obchodzi.

- Co ty, kurwa, możesz wiedzieć, jak ciężkie jest życie na świecie? - zaperzył się Rich. - Siedzisz tu i oglądasz telewizję tak jak ja.

- Już nie - zakończył rozmowę Wells.

Rzucił banknot na kontuar i ruszył w stronę drzwi.

Siedział naprzeciwko wyjścia C-13, wściekły na samego siebie. Jeśli ten facet specjalnie na niego czatował, co wtedy? Przecież miał dokładać starań, by nie zwracać na siebie uwagi. Wells przestał jednak rozumieć swych rodaków. Są mi winni awans, powiedział Rich. Nie - nie są mu nic winni.

Wells wiedział, że musi się odprężyć. Rich-handlowiec był alkoholikiem, którego małżeństwo się rozpadło, ale mógł jeszcze pozbierać wszystko do kupy. Albo nie. To nie była sprawa Wellsa. Działal rozglądał się po jasnym i schludnym porcie lotniczym, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie należał do Ameryki.

Kiedy obudził się następnego ranka w Boise, czuł niemal radość. Nie myślał, że jeszcze zobaczy Montanę lub matkę.

Mógł polecieć bezpośrednio do Missouli, ale wolał pojechać autem, sam na sam z Górami Skalistymi. Miał jeszcze w pamięci weekendowe wyprawy z ojcem na ryby przez przełęcz Zaginionego Szlaku. Robili też wypadki do Boise na mecze Jastrzębi, drugoligowej drużyny baseballowej. Kupowali wtedy matce prezent w położonym w centrum sklepie jubilerskim.

- Nie mów mamie - zwykł wtedy mówić ojciec. - To niespodzianka.

Ojciec był chirurgiem w szpitalu w Hamilton, mieście położonym na południe od Missouli; matka nauczycielką. Wells wiedział, że ojciec marzył o licznej rodzinie. Kiedy jednak John przychodził na świat, matka o mały włos przypłaciła to życiem - leżała w szpitalu w Missouli przez cały miesiąc. Później lekarze stwierdzili, iż nigdy więcej nie zajdzie w ciążę. Tak więc było ich troje: Herbert, Mona i John.

Wells darzył szacunkiem ojca, człowieka szorstkiego i mało mównego, którego chirurgiczne talenty znano w całej zachodniej Montanie. Większość czasu Herbert spędzał w sali operacyjnej, aż do wyczerpania. Kiedy wracał do domu, siadał zwykle w salonie na skórzanym fotelu z wysokim oparciem, sącząc whisky i oddając się lekturze lokalnej gazety. Nigdy nie był nadmiernie surowy, ale też nie starał się zbliżyć. Zawsze kibicował Johnowi podczas meczów. Miał zasady, zarówno na sali operacyjnej, jak i poza nią, i oczekiwał, że zostaną uszanowane.

Jeśli chodzi o matkę, była postacią wyjątkową. Niemal każdy dzieciak, którego uczyła, zakochał się w niej po uszy. Mogła pochwalić się smukłą sylwetką oraz niezwykłą urodą, a uśmiech nigdy nie schodził jej z twarzy. Dorastała w Missouli, będąc owocem szaleńczego uczucia. W 1936 roku dziadek Wellsa, Andrew, służył w marynarce wojennej. Gdy zeszli na ląd w Bejrucie, zakochał się bez pamięci w Nur, córce libańskiego kupca. Andrew zdołał przekonać ją - a także jej rodzinę - że powinna zamieszkać razem z nim w Montanie.

Dziedzictwem po Nur była ciemna karnacja i brązowe włosy Wellsa. Babce również zawdzięczał poznanie islamu na długo przed rozpoczęciem studiów religioznawczych w Dartmouth. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych Nur porzuciła swoją wiarę, ale przekazała wnukowi dostatecznie dużo wiedzy, żeby go zaintrygować.

Mówiąc szczerze, gdy dorastał, nie miał wielu okazji zetknięcia się z wyznawcami islamu. W czasach dzieciństwa Wellsa Hamilton było prowincjonalnym miasteczkiem, złożonym z kilku zaledwie kwartałów. Wspominał to z rozrzewnieniem - mógł jeździć rowerem, gdzie tylko chciał; nauczył się obchodzić z końmi i rozpalać ognisko. Bieg spraw uległ zmianie, kiedy nadszedł wiek dojrzewania. Pojawiła się MTV a on i jego przyjaciele przekonali się, jakimi byli kmiotami. Wielu nastolatków straciło wtedy poczucie samodzielności, popadając w znużenie i marazm. W końcu do Missouli dotarły narkotyki - z Seattle do Spokane i potem trasą między - stanową 93 do stacji benzynowej Sinclair na skraju miasta. Obawiał się, że plaga narkomanii rozprzestrzeniła się jeszcze od czasu, kiedy stąd wyjechał.

Wyjeżdżając z Boise, widział pograżone w chmurach szczyty. Mimo to wybrał najkrótszą drogę, przecinając góry trasą Idaho 21. Mknął teraz na północny wschód, mijając chaotycznie zabudowane przedmieścia Boise i osiedla gęsto rozłożone na otwartej prerii niczym krowy skupione przed burzą. Szosa skręciła na północ - pięła się ku chmurom wzdłuż wartkiego potoku, gdzie coraz gęściej rosły skarłowaciałe sosny żółte. Zaczął padać śnieg. Kiedy dotarł na przełęcz Mores Creek, leżącą na wysokości ponad tysiąca ośmiuset metrów, na drodze osiadła mgła. Martwe drzewa leżały gęsto na zboczu - Wells ledwo pamiętał ogromny pożar, który zniszczył ten obszar ponad dekadę temu. Las dotąd nie powtował sobie powstałych wtedy szkód. Mgła stała się tak gęsta, że Wells nie mógł już odróżnić drogi od pobocza. Zwykle nie

uważał się za przesądny, ale teraz nagle pomyślał, że przejeżdża przez piekielną krainę, a po drugiej stronie nic nie będzie takie samo. Zjechał już jednak za daleko, żeby zawrócić. Zdjął nogę z gazu do chwili, gdy dodge ledwo co przesuwał się do przodu. Gdy zjechał do Lowman, okazało się, że sto kilometrów pokonał w cztery godziny

Gdy minął Lowman, pogoda się poprawiła. Droga skręciła teraz ku wschodowi i biegła wzdłuż rzeki Payete, w dolinie gęsto porośniętej jodłami. Wells kiwał głową, zadziwiony swoją chwilą słabości. Od kiedy to pogoda miała wpływ na jego nastrój? Na południu zasłone chmur przecinało pasmo gór Sawtooth, strzeliste i wyraźnie podzielone - rzeczywiście wyglądały jak zęby piły*. My na Zachodzie nie mamy polotu, pomyślał Wells. Żyjąc w takim kraju, nie trzeba wcale go upiększać.

* Sawtooth - ang. „zęby piły”.

Gdy dotarł do Stanley, zjechał na trasę Idaho 75, która wiodła wzdłuż rzeki Salmon. Dzień robił się jaśniejszy, kiedy słońcu udawało się przebić się przez zwartą powłokę chmur. Wzgórza z kruszejącego czerwonego piaskowca ustępowały górkom masywom porośniętym pożółkłymi krzakami i połyskującymi w promieniach słońca trawami. Obok drogi zarzucali przynętę mężczyźni w wędkarskich kaloszach, czatujący na pstrąga tęczowego. Wells poczuł, jak się rozkleja. Nie doznawał takiego uczucia od czasu, kiedy wstąpił do Agencji, czyli od dziesięciu lat. O mały włos nie zjechał na pobocze i nie poprosił o wędkę na kilka minut, w końcu jednak nacisnął pedał gazu i ruszył w stronę Hamilton.

Kiedy dojechał do Salmon, ostatniego większego miasteczka przed Hamilton, słońce już zaszło. Zatrzymał się w zajezdni *Stagecoach Inn* i wynajął pokój za czterdzieści dwa dolary. Do Hamilton wciąż pozostawały trzy godziny jazdy, a nie chciał budzić matki w środku nocy

Salmon było dziurą zabitą dechami, typową dla zachodu Stanów. Wzdłuż głównej ulicy stały niskie, zaniedbane domy z cegły. W końcu Wells trafił do lokalu o nazwie *Supper Club and Lounge*, zawilgoconego baru z szafą grającą oraz krokami czaszkami na ścianach.

- Czym mogę służyć? - zapytała barmanka.

Wells poczuł, jak cieknie mu ślinka, gdy do nozdrzy dotarł zapach mięsa pieczonego na grillu.

- Poproszę burgera - zamówił.

Mięso z pewnością nie zasługiwało na miano *halal* - przygotowanego według zasad Koranu, które wymagały, by z tuszy odpłynęła po uboju ostatnia kropla krwi - ale Wells nie był w stanie przejmować się takimi detalami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł hamburgera - to symbolizowało wszystko, co porzucił w ciągu dziesięciu lat toczonej przez siebie wojny.

Na szczęście zamówienie zrealizowano szybko. Przeżuwał powoli hamburgera, jakby każdy kęs miał być ostatnim, przysłuchując się, jak czterdziestoparoletnia kobieta siedząca dwa stołki dalej żartuje ze starszym mężczyzną w czapce Minnesota Timberwolves.

- Łowienie jest niemal lepsze niż akrobacje spadochronowe - mówiła. - I o całe niebo lepsze niż seks, zwłaszcza gdy jest się kobietą w moim wieku.

Roześmiała się; Wells, mimowolnie, również. Wychwyciła jego spojrzenie i uniosła brwi. Miała blond włosy z pasemkami i szeroki, śliczny uśmiech. Zsunęła się ze stołka i wyciągnęła dłoń.

- Evelyn.

- John.

- Śpiewasz, John?

- Nie, psze pani - odparł Wells głosem, w którym pojawiła się prowincjonalna nuta.

- Nie mów mi, że nie śpiewasz, przystojniaku.

- Mam okropny głos.

Klepnęła go w rękę i zwróciła się do barmanki:

- Wrzuć no *You are so beautiful*.

Nie miał zamiaru śpiewać dla tej kobiety, ale na szczęście nie musiał. Evelyn zrobiła to sama, na całe gardło. Jej głos ślizgał się po nutach jak samochód po oblodzonej szosie, lecz braki wokalne nadrabiała z nawiązką prezencją. Potrząsając biodrami, pochyliła się nad nim, kończąc piosenkę z mikrofonem zaciśniętym w dłoniach.

- *You... are... so... beautiful... to... me...*

Kiedy skończyła, kilkanaście barowych ciem biło gromkie brawa, a na twarz Wellsa zawitał uśmiech od ucha do ucha - pierwszy prawdziwy uśmiech od bardzo dawna. Ukłoniła się przed nim i wróciła na swój stółek.

- Byłaś świetna - pochwalił.

- Ty jesteś następny w kolejce.

Potrząsnął głową.

- No to może później - powiedziała, potem zmieniła temat. - Co się sprowadza do Salmon?

- Jestem przejazdem - wyjaśnił Wells. - W drodze do Missouli.

- Skąd pochodzisz?

Tego właśnie się obawiał. Być może starała się tylko być uprzejma; może była znudzona i szukała rozrywki na wtorkową noc. Nie powinien reagować tak płochliwie, mógł przecież bez trudu zełgać albo nawet pójść z tą kobietą do jej domu. Nie chciał jednak kłamać. Nie w wieczór poprzedzający spotkanie ze swoją rodziną.

- Muszę już iść - oznajmił.

- Hej, ja nie gryzę - puściła do niego oko i położyła dłoń na jego ramieniu. - Poza tym zawsze przedkładałam seks nad spadochronowe akrobacje.

Wells poczuł się jednocześnie zawstydzony i rozzłoszczony. Zapomniał już, jak bezwstydne potrafią być amerykańskie kobiety

- Jutro muszę wstać bardzo wcześnie.

- Jak sobie życzysz.

Odwróciła się. Wells dojadł burgera i przejechał trzy przecznice, wracając do zajazdu. Ustawił auto na motelowym parkingu, tyłem, blisko baru. Nie mógł zapomnieć dłoni Evelyn na swym ramieniu. W miejscu, gdzie go dotknęła, skóra wciąż płonęła. Wyłączył silnik i powoli ruszył do swojego pokoju. Od bardzo dawna czekał na kobietę. Zakładał, że może jeszcze poczekać - choć nie całą wieczność.

Telefon zadzwonił dokładnie o szóstej rano, brutalnie wyrwijąc Wellsa ze snu bez marzeń. Wziął prysznic, ubrał się szybko i odprawił modły, pochylając głowę do podłogi i recytując pierwszy werset Koranu:

- *Bismallah rahmani rahim al hamdullilah rabbi lalamin...*

Słońce już wzeszło, gwiazdy zniknęły, a niebo zmieniło kolor z czarnego na niebieski.

Jadąc na północ, w kierunku przełęczy Zagubionego Szlaku, miał autostradę tylko dla siebie. Tym samym szlakiem dwieście lat wcześniej zmiierzali ku Oceanowi Spokojnemu Lewis i Clark, góry niewiele się jednak zmieniły od czasu ich wyprawy. Na szczycie przełęczy Wells wysiadł z samochodu i w ciszy spojrzał w dół, ku odległym wzgórzom Montany. Wydawały się bardziej łagodne i krągłe niż te, które miał za sobą.

Do Hamilton dotarł godzinę później. Miasto było większe od tego, które pamiętał. Wzdłuż trasy 93 wyrosły nowe supermarkety oraz restauracje Taco Bell i Pizza Hut. Skręcił w lewo, w Ravalli Street. Był na miejscu - South Fourth numer 420. Wielki szary dom na rogu Ravalli i Fourth.

Teraz jednak dom nie był szary. Pomalowano go na niebiesko. Na podwórzu od frontu stał trzykołowy rower.

Wells podszedł do drzwi.

- Mamo? - zawołał.

Nikt się nie odezwał. Nacisnął dzwonek.

- W czym mogę pomóc? - ze środka dobiegł męski głos.

- To ja, John!

- Jaki John?

Wells zapragnął znaleźć się gdzie indziej. Gdziekolwiek. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ziemia się rozstała i pochłonęła go.

- John Wells. Szukam mojej matki.

Drzwi uchyliły się nieco i ujrzał w nich twarz Kena Fredricka, chłopaka, który chodził w szkole średniej dwie klasy wyżej od Wellsa. Dzieciaki przezywały go Penny Kenny *, ponieważ rodzina Fredricków ustawicznie była bez grosza.

* *Penny* - ang.: drobna moneta, grosik.

Na swój sposób przyjaźnił się z Wellsem. Kenny był menedżerem drużyny futbolowej przez pierwsze dwa lata gry Wellsa i zbierał dużo wyzwisk, zwłaszcza gdy udawali się autobusem na mecze wyjazdowe. Najgorszy moment nadszedł w pewien piątkowy wieczór, pod koniec pierwszego sezonu Wellsa. Trójka obrońców otworzyła wyjście ewakuacyjne i wystawiła Kennyego z pędzącego autobusu, trzymając jego twarz o kilka centymetrów nad asfaltową nawierzchnią autostrady międzystanowej. Wells wciąż miał w uszach rozpaczliwy krzyk Kennyego - być może wtedy po raz pierwszy usłyszał głos prawdziwego przerażenia. Potem Wells poprosił Kennyego, by siedział z nim. Nawet w dziewiątej klasie Wells grał na pozycji środkowego obrońcy i stopera, żeby tylko Kenny był mniej szykanowany

- John Wells? Łamacz Kości?

Wells nie słyszał tego przezwiska od lat. Zyskał je dzięki sposobowi, w jaki uderzał: szarży z pochyloną głową, po której przeciwnicy gubili kaski i padali jak muchy Defensywni pomocnicy i skrzydłowi nienawidzili boiskowych starców z Wellsem. Nie był kolosem, lecz był szybki i znał sekret, którego nie uczył żaden trener: „Nie zwalnij”. Większość obrońców schodziła mu z drogi - choćby tylko odrobinę - zanim na dobre rozpoczął szarżę. To była zresztą naturalna reakcja, bo Wells nigdy nie zwalniał.

- Człowieku, dobrze cię widzieć - ucieszył się Penny Kenny. - Kopa lat.

Otworzył drzwi i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Co ty tu robisz? - Wells nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy, która wydawała się oczywista.

- Mieszkam tu, John - wyjaśnił Kenny. - Przed paroma laty żona i ja kupiliśmy ten dom od twojej mamy Jestem wiceprezesem Ravalli County Bank. Ludzie mówią teraz do mnie Ken.

Z jego głosu przebijała nieskrywana duma.

- Gdzie jest moja mama? Kenny z trudem przełknął ślinę.

- Nie wiesz o niczym? Ona umarła, John. Na raka piersi.

Wells przyłapał się na tym, że wpatruje się w garnitur idealnych teraz zębów Kenny'ego, które w dzieciństwie były wykrzywione i nierówne. Mógłbyś znaleźć się w reklamie pasty do zębów Crest, pomyślał Wells. Nie dla ciebie afgańscy dentyści. Ale co właściwie robisz w moim domu?

Wells pragnął raz jeszcze zasłużyć na dawny przydomek. Zacisnął pięść, spoglądając na Kenny'ego i jego białe zęby Ale to przecież nie jego wina. Kenny był miłym dzieciakiem.

- Leży na Lone Pine - dodał Kenny. - Razem z twoim tatą.

- Wiem, gdzie jest pochowana moja rodzina, Kenny.. Ken.

- Przykro mi, John - odparł Kenny. - Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Wejdiesz do środka? Napijesz się kawy?

Wells już odchodził.

Milczał, a łzy spływały po jego policzkach, gdy jechał trasą 93 na południe w kierunku cmentarza Lone Pine w Darby Nie pamiętał, kiedy płakał ostatni raz czy nawet kiedy chciało mu się płakać. Teraz płakał naprawdę. Nigdy nie dopuszczał do

siebie myśli, że mama mogła... odejść. Umrzeć. Udać się na Wielką Prerię w Niebie. Ha, dobre, John.

Nie powinna była umierać. Przecież on był w Afganistanie i Pakistanie, a wcale nie umarł. Miała tylko grywać w brydża z przyjaciółmi oraz pielęgnować kwiaty rosnące wokół wielkiego starego domu. Nie powinna była umierać, a jednak opuściła ziemski padół, czego dowodził nagrobek z granitu na tyłach cmentarza. *Mona Kesey Wells, 1938-2004. Kochająca żona, umiłowana matka, zasłużona nauczycielka.* Jego ojciec spoczywał obok: *Herbert Gerald Wells, 1930-1999.* Wells ukląkł i zamknął oczy w nadziei, że poczuje ich obecność - że w ogóle poczuje cokolwiek. Szeptem odmówił osiemdziesiątą drugą surę Koranu, opis Sądu Ostatecznego:

*Kiedy niebo rozdzieli się i kiedy gwiazdy zostaną rozproszone; kiedy morza się wzburzą i kiedy groby zostaną wyrócone, wtedy każda dusza się dowie, co sobie przygotowała i co zaniedbała. **

* Wszystkie cytaty z Koranu w tłumaczeniu Józefa Bielawskiego.

Słyszał tylko auta sunące trasą 93 oraz łopotanie flagi w porywach porannego wiatru. Rozumiał, że nie powinien obwiniać Boga za samotność, którą teraz czuł, nie był jednak w stanie znaleźć pocieszenia. Bóg, Allah - obojętne, jakie nosi imię - Wszechmogący zniknął w chwili, kiedy Wells najbardziej Go potrzebował.

Dojechał do skraju cmentarza, gdzie teren zbiegał w stronę kolejowych torów. Nie było tam żadnego płotu, który wytyczałby granice miejsca pochówku. Groby ledwie wystawały z ziemi. Spojrzał ku wschodowi, wprost na słońce, aż zapiekły go oczy. Niemal namacalnie wyczuwał, jak słabnie w nim wiara, wylewa się i odpływa w dal, niesiona wiatrem. Z oddali dobiegł gwizd lokomotywy. Wells czekał, ale nie nadjechał żaden pociąg. Ruszył z powrotem do samochodu. Nigdy dotąd nie czuł w sobie takiej pustki.

Do Missouli wjechał bez pośpiechu, starając się uciec od przekonania, że powinien zakończyć tę bezsensowną eskapadę i pojechać w kierunku Waszyngtonu. Missoula rozwijała się szybciej niż Hamilton. Osiedla wpełzły na okoliczne wzgórza, po których Wells jeździł konno wraz z rodziną, [ego mama uwielbiała jazdę wierzchem. Jego mama... Znów poczuł, jak napływają łzy, lecz tym razem zdołał je powstrzymać. Poświęcił te lata nie bez powodu. Nikt w al-Kaidzie nie obdarzyłby go zaufaniem, gdyby przyjechał do Stanów Zjednoczonych z własnej woli. Matka nigdy nie kwestionowała jego decyzji, by zostać żołnierzem. Teraz powinien zapanować nad emocjami i zrobić to, co musiał. Nie wiedział, jak inaczej mógłby oddać jej cześć.

Przejechał ostrożnie przez miasto. Wiedział, że Heather wciąż była wśród żywych - zadzwonił z Nowego Jorku. Kiedy się odezwała, odłożył słuchawkę, czując lekkie wyrzuty sumienia.

Zaparkował naprzeciwko domu Heather: ładnie utrzymanego piętrowego budynku. Gdy spoglądał na to miejsce, intuicja podpowiedziała mu, że nie będzie mile widzianym gościem. Powoli podszedł do drzwi wejściowych i zadzwonił. Otworzył mały chłopiec.

- Czy jest twoja mama? - zapytał.

- Mamo! - zawołał chłopiec i czmychnął. Usłyszał tupanie małych stóp Heather.

- Słucham?

Przesunęła łańcuch i otworzyła drzwi szerzej. Była tak piękna jak ją zapamiętał - wiejska dziewczyna z włosami w kolorze miodu i wielkimi niebieskimi oczami, filigranowa i doskonała. Był przy niej wielkoludem; uwielbiał brać ją na ręce i zanosić do łóżka. Ich miłosne zapamiętała dzikość i szaleństwo. Nie potrafiła jednak dotrzeć do części jego duszy i stopniowo oddalali się od siebie, gdy zaczął pracować w

CIA. Kiedy oznajmił, że schodzi do konspiracji i nie jest w stanie obiecać, kiedy wróci, postawiła mu ultimatum: praca albo ja. Praca albo Evan, który liczył sobie wtedy zaledwie dwa latka. Oznajmiła mu, że nie będzie czekać. I nie czekała. Nie mógł jej za to winić.

Kiedy go zobaczyła, jej oczy się rozszerzyły, a z gardła wydobył się niski odgłos - na poły westchnięcie, na poły stęknienie. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, potem je zamknęła.

Wyciągnął ręce. Zawahała się, po czym lekko go przytuliła, trzymając jednak biodra w tyle, tak aby go nie dotknąć.

- John - wydusiła z siebie.

- Czy mogę wejść?

Gestem zaprosiła go do środka. Salonumeblowany był elegancko. Na małym stoliku leżała sterta dziecięcych książek. Na ścianie wisiało kilka rycin przedstawiających mężczyzn w uroczystych szatach i perukach. Było to życie, które w żadnym miejscu nie stykało się z jego egzystencją. Ugryzł się w język i zastanowił, co powinien powiedzieć.

- O co w nich chodzi? - zapytał, wskazując na ryciny. Jakby czując, że popełnił gafę, usiłował złagodzić ton.

- Miałem na myśli, że są ładne.

- Howard jest prawnikiem.

- Howard?

- Mój mąż - wskazała na fotografię: Heather, przystojny, brzuchaty mężczyzna, zapewne Howard, Evan oraz dwójka małych dzieci: chłopczyk i dziewczynka. - To George i Victoria. Howard interesuje się brytyjską rodziną królewską.

- Ty też?

Pokręciła głową. Nie była to odpowiedź na jego pytanie.

- Doszłam do przekonania, że musisz być martwy, skoro nie pojawiłeś się na pogrzebie Mony

- Nie udało mi się.

- Brakowało jej ciebie, John. Miała nadzieję, że wrócisz.

- Nie wiedziałem.
- Nie poinformowali cię przez superszpiegowskie radio czy coś w tym rodzaju? Nie przekazali ci zakonspirowanego sygnału, żebyś mógł przyjechać?

Wells starał się odepchnąć od siebie obraz matki w szpitalnym łóżku, czekającej i umierającej. Później tylko umierającej.

- Przepraszam, John. Nie to miałam na myśli. Zawsze byłeś maminsynkiem, to wszystko. Zakładałam, że jeśli jesteś gdziekolwiek na tej planecie, zjawisz się tutaj.

- Nigdy nie uważałem się za maminsynka.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że niektóre z najczulszych wspomnień z dzieciństwa dotyczyły scen, w których Mona piekła ciasto w kuchni, a Herbert pracował w szpitalu albo czytał w swoim gabinecie. Roześmiał się.

- Chociaż może masz rację. Zatem to jest twoje życie?

Na jej twarzy pojawił się wyraz, którego nie potrafił odczytać.

- To moje życie. Wysłałam za męża. Mam trójkę dzieci. Proza życia.

- Heather...

- Cokolwiek zamierzasz powiedzieć, nie mów tego.

- Czy mogę zobaczyć Evana?

- Jest teraz na zajęciach Małej Ligi w ośrodku YMCA.

- Trenuje baseball?

- Gra na trzeciej bazie. On nawet nie wie, kim ty jesteś, John.

Wells poczuł się tak, jakby wymierzyła mu policzek.

- Posłuchaj mnie: zostań tu przez rok, bądź jego ojcem, wtedy go zobaczysz. Do diabła, będziesz mógł go nauczyć całego tego szpiegowskiego rzemiosła.

- Heather...

- Sześć miesięcy? - naciskała, potem zamilkła na chwilę. - Miesiąc? Czy twój syn jest wart dla ciebie wspólnie spędzonego miesiąca, John?

Wells milczał. Miała rację. Nie mógł wyjawić synowi, co robił i gdzie był. A jeśli chłopiec go zaakceptuje, on zaś ponownie zniknie - co wtedy? Co wtedy?

Twarz Heather złagodniała, gdy dostrzegła, jak potakuje.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jesteś żołnierzem i walczysz na wojnie, którą musimy wygrać. Prawdę.

Uśmiechnęła się, wypowiadając ostatnie słowa, on zaś zastanowił się, czy wciąż go kochała. Teraz i tak nie miało to dla niego znaczenia.

- Pamiętasz... - zaczęła. Przerwał jej dzwonek telefonu: rozległ się sześć razy, potem zamilkł.

- Nie masz automatycznej sekretarki? - zapytał.

- Mam pocztę głosową.

No tak, kiedy stąd wyjeżdżał, poczta głosowa była znacznie mniej rozpowszechniona. Ten strzęp refleksji pozbawionej znaczenia przynajmniej na moment odciągnął myśli od tego nieszczęsnego dnia.

- O co chciałaś mnie zapytać?

Już się nie uśmiechała i wiedział, że nie powie mu tego. Telefon wciągnął ją z powrotem do jej życia, w którym dla Wellsa nie było miejsca.

- Powinieneś odejść, John.

Rozejrzał się po pokoju, żeby zapamiętać cząstkę jej. Potrząsnęła głową - dobrze znał ten gest.

- Dlaczego tu jesteś? Dlaczego teraz?

- Wiesz, że nie mogę tego wyjaśnić.

- Czy oni wiedzą, że tu jesteś? W Ameryce?

- Oczywiście.

Nigdy nie potrafił jej okłamywać. Teraz też widział, że Heather wie, iż on kłamie. Na jej twarzy pojawiła się niepewność. Żałował, że nie może jej wyjaśnić, iż trafił tu, bo nie ma na świecie nikogo, komu mógłby zaufać. Nie odezwał się, lecz ruszył ku drzwiom. Gdy szedł, poczuł dotknięcie na

ramieniu. Obrócił się, a ona przytuliła go, tym razem szczerze. Zamknął oczy i przytulił ją jeszcze mocniej. Potem pozwoliła mu wyjść.

Wells siedział w wynajętym dodgeu i starał się spalić w umyśle fotografię syna. W końcu wrzucił bieg i ruszył powoli w kierunku ośrodka YMCA. Kiedy dojechał na boisko, nie potrafił rozpoznać Evana.

Heather patrzyła, jak Wells odjeżdża. Kiedy dodge zniknął, wyciągnęła z portfela wizytówkę i podniosła słuchawkę, zamierzając wykonać telefon, mający przybliżyć Stany Zjednoczone do najpotworniejszego ataku terrorystycznego w historii. Wybrała numer. Rozległy się dwa sygnały

- Jennifer Exley? - zapytała Heather, potem zrobiła pauzę. - Jennifer? Mówi Heather Murray... Tak, była żona Johna Wellsa.

4

O drugiej nad ranem znużeni pasażerowie wypełnili salę przylotów Międzynarodowego Portu Lotniczego w Miami. Omar Khadri odczuwał zadowolenie, że tak dobrze pasował do otoczenia - wszyscy wokół mieli skórę równie śniadą jak on lub ciemniejszą. Dołączył do długiego ogonka ludzi niebędących obywatelami USA. W jego czarnej skórzanej teczce znajdował się egzemplarz *Don Kichota* po hiszpańsku.

Godzinę później wciąż stał w kolejce - ta z Amerykanami przesuwała się szybko i sprawnie. Khadri kipiał z gniewu. Okazujecie nam pogardę, zanim jeszcze przekroczymy waszą granicę, pomyślał. Być może, gdyby wyraził radość z dotarcia do Stanów Zjednoczonych okrzykiem „Allah jest darem dla świata”, natychmiast znalazłby się na przedzie kolejki. Gdy w końcu dotarł do urzędniczki kontroli granicznej, ta popatrzyła przez chwilę na paszport, potem na niego.

- Przyjeżdża pan w celach turystycznych czy biznesowych, panie Navarro?

- Biznesowych - odparł Khadri. Zdecydowanie biznesowych.

- Gdzie zamierza pan się zatrzymać?

- W Miami - odpowiedział, nie wspominając o dodatkowej podróży do Los Angeles.

- Jak długo?

- Dwa tygodnie.

Podawała mu paszport.

- Weźmiemy od pana odciski palców i zrobimy zdjęcie; potem będzie pan wolny

- Słucham? - zdziwił się Khadri.

- Pańskie odciski i zdjęcie. To standardowa procedura.

Khadri nie chciał, by jego odciski palców oraz fotografia znalazły się w amerykańskiej bazie danych. O ile wiedział, żaden wywiad nie zrobił mu dotąd zdjęcia. Wyglądał najzupełniej przeciętnie: wzrost średni, waga średnia, włosy proste, czarne, skóra dość jasna jak na Pakistańczyka. Świetnie naśladował również akcenty - mógł uchodzić za Egipcjanina, Irańczyka, Filipińczyka czy nawet Włocha. Pobranie odcisków mogło jednak zmusić go do korzystania wyłącznie z tego paszportu, gdy będzie przyjeżdżał do Ameryki. Khadri zdecydowanie wolał używać różnych nazwisk.

- Proszę pana, czy to jakiś problem?

- Czy taka jest procedura? - Khadri żałował, że jest tak bardzo zmęczony. Znużenie osłabiało sprawność myślenia - nagle zdjął go strach, nie o siebie samego, lecz o losy zaplanowanej na ten tydzień operacji.

- Każdy przez to przechodzi, proszę pana.

Przez twarz urzędniczki przemknął ślad uśmiechu, jakby chciała powiedzieć: „Jeśli pan sobie tego nie życzy, zawsze może pan wrócić tam, skąd przybył”.

Khadri, wpatrując się w jej czarnoskórą twarz, usiłował stłumić gniew. Nie darzył sympatią przedstawicieli czarnej rasy w ogóle, a Amerykanów w szczególności. Ta kobieta była tresowaną małpą, kombinacją amerykańskiej arogancji i afrykańskiego barbarzyństwa. Khadri postanowił jednak zachowywać się uprzejmie - nie życzył sobie, aby tresowana małpa zbyt wnikliwie przyjrzała się jego paszportowi.

- Zrobię to z przyjemnością - oznajmił.

Cała procedura trwała zaledwie kilka sekund. Przyłożył wskazujący palec do cyfrowego czytnika, potem spojrzął w obiektyw małego cyfrowego aparatu. Komputer zahuczał parę sekund później, a urzędniczka dała Khadriemu znak ręką.

- Witamy w Stanach Zjednoczonych.
- Dobrze tu być - skomentował.

Następnego ranka, lecąc do Los Angeles, Khadri w milczeniu wściekał się na samego siebie. Powinien wiedzieć wcześniej o nowych zasadach, wymagających pobrania odcisków. Nie może popełniać takich błędów! Amerykanie popadli w paranoję i doszli do przekonania, że al-Kaida stała się wszechmocną maszyną do zabijania. Jednak Khadri znał aż nazbyt dobrze słabe strony terrorystycznej struktury

Al-Kaidzie groziła finansowa ruina. Szejk bin Laden w latach dziewięćdziesiątych rozlokował na całym świecie dziesiątki milionów dolarów, ale same pieniądze nie załatwiały wszystkiego. Największym problemem było znalezienie dobrych tajnych agentów. Zbyt wielu bojowników zginęło już za sprawę. Garstka przedostała się na teren Stanów Zjednoczonych, zanim te uszczelnily granice przed imigrantami z krajów muzułmańskich. Ludzi, którym z pełnym zaufaniem można by powierzyć trudne misje, było jeszcze mniej. Jedną błędną decyzją czy chwilą paniki mogły zniszczyć plan przygotowywany całe lata.

Stewardesa podjechała z wózkiem.

- Kawa? Herbata?
- Kawa. Dwie kostki cukru i mleko.

Khadri oczywiście nie pił alkoholu ani nie zażywał narkotyków, ale - jak wielu pobożnych muzułmanów - uwielbiał słodycze i kawę,

Popijał brązowy płyn małymi łyżkami i zastanawiał się, jak jego, Omara Khadriego, oceni historia. Spodziewał się, że pewnego dnia świat pozna jego prawdziwe nazwisko. Biografie i historycy prześledzą koleje losów. Jeśli jednak będą szukali zdarzeń tragicznych, czegoś, czemu mogliby przypisać winę za popełnione „zbrodnie”, głęboko się rozczarują, pomyślał.

Wychował się w Birmingham jako najstarsze dziecko i jedyny chłopiec spośród sześciorga rodzeństwa. Jego ojciec, Dżalil, był inżynierem, który wyemigrował z Pakistanu, zgorzkniałym człowiekiem o porywczym usposobieniu. Matka, Zajnab, ukończyła kurs dla pielęgniarek, ale nigdy nie podjęła pracy. Oboje byli głęboko religijni i wyznawali surowe zasady. Jako dziecko, Omar nieraz zapoznał się z ojcowskim pasem i szybko pojął, że nie należy protestować. Większość dzieciństwa spędził w samotności - ojciec nie pozwalał mu spędzać czasu po szkole z niewiernymi, a pojęcie „niewiernych” w interpretacji Dżalila obejmowało również większość muzułmanów. Omar uciekał więc w świat matematyki, przyrody oraz Koranu. W szkolnej bibliotece, poza wzrokiem ojca, zaczął zgłębiać filozofię, usiłując zrozumieć istotę władzy. Podpowiedzi szukał w dziełach Nietzschego, Machiavellego oraz Hobbesa - ci niewierni pokazali mu, jak ludzie o silnym charakterze wymuszali na słabych to, co chcieli. Pewnego dnia on sam okaże swoją siłę - światu i własnemu ojcu.

Mijały lata i w Khadrim narastała nienawiść do Wielkiej Brytanii oraz świata Zachodu. W odróżnieniu od niektórych żołnierzy al-Kaidy, nie potrafił wskazać konkretnego zdarzenia, które zwróciło go przeciwko *kafiro*m. Jak każdy człowiek o śniadym kolorze skóry, narażony był na zaczepki uliczne, nigdy nie znalazł się jednak w sytuacji zagrożenia ani nie został opluty. Coraz bardziej miał jednak dość korupcji, którą widział dookoła, zażywania narkotyków, stosunków homoseksualnych i szukania przyjemności za wszelką cenę. Giaurowie nie ograniczali się do brukania siebie, lecz pragnęli zmusić resztę świata, by żyła tak jak oni, obłudnie udając, że czynią to pod sztandarami rozszerzania wolności.

Religijny zapał Khadriego miał jednak swoje granice. Tak, wierzył w Allacha, wierzył, że Mahomet był ostatnim i najprawdziwszym prorokiem, modlił się pięć razy w ciągu dnia i nigdy nie skalał swego ciała alkoholem czy narkotykami.

Miał nadzieję, że po śmierci trafi do raju. Kiedy jednak jego koledzy śpiewali o czarnookich dziewicach, które zapewnią im wieczne rozkosze, Khadri odwracał się, skrywając zawstydzenie. Raj nie był parkiem rozrywki i jedynie głupcy mogli pragnąć rychłego przeniesienia na tamten świat. Khadri nie usiłował budować wiary poprzez obietnicę niebiańskiej szczęśliwości. Dżihad był obowiązkiem, nie zabawą; raj mógł czekać na drugim świecie, ale islam musiał zatriumfować tutaj i teraz. Jak zawsze, Mahomet służył za dobry przykład, pomyślał Khadri. Prorok był także wodzem, którego armia przeszła przez całą Arabię. Jako władca cechował się mądrością oraz sprawiedliwym osądem, ale jego srogość w boju nie znała granic. Dokonywał podbojów, lecz postrzegał męczeństwo jako środek do osiągnięcia celu, nie jako sam cel. Khadri wykorzystywał fanatyków - każdy człowiek gotowy na śmierć mógł się przemienić w groźnego bojownika - nie darzył ich jednak bezgranicznym zaufaniem. Potrafili działać nielogicznie, a w tej wojnie musieli zwyciężyć ludzie myślący racjonalnie, jak on sam. Ameryka, Wielka Brytania i reszta krajów Zachodu mogły być doszczętnie zepsute, ale wciąż były groźnymi przeciwnikami, a Stany Zjednoczone - najgroźniejszym spośród nich. Tysiące amerykańskich agentów marzyło, by posłać Khadriego i jego ludzi do Guantanamo lub celi śmierci. Jego przeciwnicy dysponowali środkami, których potencjał trudno było sobie wyobrazić, musiał zatem postępować perfekcyjnie. On i al-Kaida przemawiali w imieniu miliarda muzułmanów, w imieniu każdego Irakijczyka zastrzelonego przez amerykańskiego żołnierza i każdego Palestyńczyka rozerwanego przez izraelski pocisk. Reprezentujemy islam, myślał Khadri. Jedenastego września przemówiliśmy głośno i dobitnie. Tamten atak był genialny: wykorzystaliśmy broń wroga do zniszczenia jego najbardziej prestiżowych budowli. Nie czuł żadnych oporów wobec faktu, że w wieżach WTC znajdowali się cywile, a w charakterze pocisków użyto pasażerskich samolotów z ludźmi na pokładzie,

bo zwycięstwo al-Kaidzie mogło przynieść jedynie wzniecenie wojny na amerykańskiej ziemi. Pewnego dnia armie islamskie zaczną walkę z krzyżowcami na każdym froncie, tak jak w Iraku. Do tego czasu al-Kaida powinna prowadzić walkę wszelkimi dostępnymi środkami - jeśli okażą się nimi pasażerskie odrzutowce, tym lepiej.

Khadri żałował tylko jednej rzeczy w odniesieniu do 11 września. Pragnął trafić w Kapitol i Biały Dom, nie w Pentagon, ale szejk zdecydował się na uderzenie w amerykańskie ministerstwo obrony. Pentagon był jednak zbyt rozległy, by dało się uszkodzić go poważnie, nawet atakując samolotem. Zamach na Kapitol mógł spowodować śmierć setek kongresmanów i senatorów, wtrącając amerykański rząd w chaos.

Tym niemniej atak okazał się strategicznym triumfem - Ameryka posłała chrześcijańskich krzyżowców na teren dwóch muzułmańskich krajów i cały świat mógł oglądać bitwę między *Dar al-Islam* a *Dar al-harb*: przybytkiem islamu i przybytkiem wojny. 11 września zacierał się jednak w pamięci świata. Al-Kaida musiała przypomnieć *kafiro*m o swej potędze. Khadri pragnął spoliczkować ten obleśnie bogaty kraj z tuzin razy, aż z jego oczu, ust i nosa popłynie krew. Wtedy uderzyłby jeszcze ze sto razy, do chwili, gdy Ameryka ściągnie z powrotem swych żołnierzy i będzie błagać o pokój. Zamierzał okazać Amerykanom tyle łaski, ile oni sami okazali Japończykom, powodując wyparowanie Hiroszimy, oraz Wietnamczykom, których palili napalmem w dżungli - nie więcej i nie mniej.

Musimy zwyciężyć, pomyślał Khadri, i zwyciężymy, bo wiem Allach jest z nami. Dopił kawę. Poczul się odprężony i pobudzony. Myśl o zaatakowaniu Stanów Zjednoczonych zawsze go ekscytowała.

Exley siedziała przy biurku, przeglądając segregator Wellsa, szukając czegoś nowego, chociaż wiedziała, że niczego tu nie znajdzie. Pokręciła głową, by rozładować napięcie po

wczorajszym telefonie od Heather Murray. Informacja postawiła na nogi całe CIA lub, bardziej precyzyjnie, garstkę oficjeli, dla których nazwisko Johna Wellsa cokolwiek znaczyło. Vinny Duto, szef Dyrektoriatu Operacji, natychmiast wysłał kilku agentów bezpieczeństwa wewnętrznego, by przeprowadzili rozmowy z Heather i Kennym, lecz ci nie dowiedzieli się wiele.

Exley raz jeszcze przejrzała arkusz badania na wykrywaczu kłamstw oraz profil psychologiczny Wellsa, sporządzony przed dziesięcioma laty, kiedy przyjmowano go do Agencji. Przyznał się wtedy do palenia trawki, lecz nie zażywał nic mocniejszego. Od czasu do czasu zaglądał do kieliszka. Nigdy nie zapadł na chorobę weneryczną, chociaż w collegeu wplątał się w trójkąt małżeński. Mimo nalegań psychologa, Wells odmówił podania szczegółów. Dobry wybór, pomyślała Exley. Tego typu wieści rozchodzą się po Langley z prędkością błyskawicy bez względu na to, jak wysoką klauzulą tajności zostałyby objęte.

Kolejne dane z profilu: oprócz palenia marihuany i dwóch mandatów za przekroczenie prędkości Wells nigdy nie złamał prawa. Uważał, że prawo do odmiennego zdania było jednym z najważniejszych osiągnięć Ameryki. Zrezygnowałby z pracy w CIA, gdyby wydano mu polecenie sprzeczne z jego zasadami moralnymi. Nigdy nie odwiedzał gabinetu psychiatry Koszmara miewał rzadko. Wierzył w Boga, ale nie uważał się za chrześcijanina. Podczas meczu futbolu w Dartmouth złamał nogę pomocnikowi drużyny Yale. Nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia - uderzenie było czyste, a brutalność stanowiła element gry. Jedyna nietypowa odpowiedź, jakiej udzielił Wells, padła, gdy zapytano go, czy kocha żonę. Tak, oczywiście, odpowiedział, ale wariograf wykazał, że tym razem skłamał.

Psychoanalityk Agencji podkreślił oczywiste punkty oceny Wells wykazywał wysoki stopień tolerancji na zagrożenie. Cechował się refleksją wobec siebie, ale nie był przesadnie

uczuciowy. Głęboko wierzył we własne siły. Nie wykazywał skłonności pedofilskich ani psychopatii, ale wydawał się zdolny do skrajnej brutalności. Reasumując, był idealnym kandydatem do służby w Grupie Operacji Specjalnych, paramilitarnej części agencji, która prowadziła najbardziej utajnione działania.

Dla Exley żaden z tych faktów nie stanowił nowości. Wpatrywała się w zdjęcie Wellsa, przypominając sobie, kiedy spotkała go pierwszy raz. Wróciła do Langley po klapie w Islamabadzie. Nie zdołała zwerbować tam nikogo ważnego, bo mimo wysiłków, oficerowie pakistańskiego wywiadu nie traktowali jej poważnie. Gdyby chodziła do łóżka z generałami, obmacującymi ją ochoczo na przyjęciach w ambasadzie, być może udałoby się jej kogoś skaptować, lecz nie robiła tego.

Po trzech długich latach Exley zdecydowała się na powrót do domu, wyjście za mąż i rodzenie dzieci. Złożyła podanie i otrzymała zgodę na przejście do Sztabu Operacyjnego. Zawsze oceniała się nazbyt surowo - była rozczarowana swoimi dokonaniem w Islamabadzie, lecz jej szefowie wciąż uważali ją za wschodzącą gwiazdę. W Pakistanie zwerbowała więcej agentów niż ktokolwiek przed nią.

Dowodziło to, jak nic innego, skostnienia CIA od zakończenia zimnej wojny, pomyślała Exley. Mimo zawadiackiego wizerunku, Agencja stała się kolejną strukturą administracyjną Waszyngtonu. Podobnie jak wszyscy biurokraci, wysocy urzędnicy zajmowali się teraz działaniami w centrali, rezygnując ze zmundnej szpiegowskiej roboty. Ochoczo ściągnęli Exley do domu, by czytała telegramy od agentów w terenie, którzy dziwnym trafem przeoczyli fakt, że pod ich nosem Pakistan kończył budowę własnej bomby atomowej.

Gdy Shafer przekonał Dyrektoriat Operacji, że Agencja musi zwerbować informatora w szeregach talibów, jego wybór padł na Wellsa. Exley zrozumiała to, gdy zobaczyła Johana, wyruszającego do ośrodka szkoleniowego CIA w Camp

Peary. Dzięki śniadej cerze wyglądał niemal jak Arab. Był wysoki i silny - mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ważył blisko sto kilogramów. Chociaż nie zachowywał się jak żołnierz, przepełniała go jednak pewność siebie, którą nic nie mogło zachwiać. Od początku - nawet teraz, po upływie dziesięciu lat, rumieniła się na to wspomnienie - była przekonana, że ten mężczyzna jest dobry w łóżku. Po prostu to wiedziała, tak samo jak to, że wrażenie było wysoce niewłaściwe. Całkowicie niewłaściwe zwłaszcza w przypadku profesjonalistki i kobiety trwającej w szczęśliwym związku małżeńskim. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

Wracając do rzeczy, Wells mówił po arabsku, uczył się paszto i studiował Koran. Ochoczo zgodził się na rekonesansową podróż do Kabulu i Kandaharu. Exley była jego przewodniczką, chociaż prawdę mówiąc niewiele miała do roboty poza spodziewaniem się, że skuteczność działania Wellsa dorówna jego rodowodowi.

Wells zniknął w Afganistanie na sześć miesięcy - na miesiąc dłużej niż planowano - i powrócił do Langley nie zwerbowałszy choćby jednego agenta. Rekrutacja jest niemożliwa, oznajmił, talibowie nie akceptują cudzoziemców. Exley była rozczarowana, choć nie zaskoczona. Wells zdał też relację o bin Ladenie. Agencja śledziła tego człowieka, uważając go za osobę finansującą terroryzm - zdaniem Wellsa, rola Osamy była jednak znacznie poważniejsza. Bin Laden organizował na terenie Afganistanu obozy szkoleniowe, planując rozpoczęcie świętej wojny ze Stanami Zjednoczonymi oraz Arabią Saudyjską, twierdził Wells, nie mając jednak szczegółowych informacji na ten temat. Nie widział żadnego z obozów i jego wiadomości opierały się wyłącznie na pogłoskach. Exley dobrze pamiętała tamtą chwilę.

- Wszyscy nas nienawidzą - stwierdziła. - Co takiego szczególnego jest w tym człowieku?

- Widziałem go raz w Kabulu - odparł Wells. - Ma coś niesamowitego w oczach. Musimy traktować go poważnie.

- Coś niesamowitego w oczach? - Shafer nie krył sarkazmu. - Nie zdołałeś nawet dotrzeć do żadnego z obozów, synu. Wiesz tylko, że pieką tam sobie ciasteczka i śpiewają *Kumbayę*.

Wells stęknął, jakby dostał cios w brzuch. Nie zawiódł jeszcze nigdy tak jak teraz, pomyślała Exley z umiarkowanym współczuciem. Nikt nie miał zawsze racji - im szybciej Wells przerobi tę lekcję, tym lepiej. Wells wstał i pochylił się nad stołem konferencyjnym, przy którym siedziała razem z Shaferem.

- Wracam tam. Przeniknę do nich.

- Nie możesz.

- Wystaw mi polecenie służbowe, podpisz zrzeczenie się odpowiedzialności. Przeniknę do nich.

- Dobra - zgodził się Shafer.

Exley później zdała sobie sprawę, że jej szef przez cały czas chciał usłyszeć tę deklarację ze strony Wellsa.

Wells zdołał się dostać do al-Kaidy Nigdy nie wyjawiał, jak tego dokonał, a Exley nie pytała, gdyż musiałby się przyznać do złamania zasad Agencji i amerykańskiego prawa. W Langley nie bardzo wiedziano, co zrobić z Wellsem - większość czynnych agentów zdobywała informatorów w trakcie przyjęć i bankietów, on natomiast podjął próbę przekonania al-Kaidy, że można mu zaufać; przesyłał też do centrali wiadomości na temat struktury tej organizacji i jej planów

W 1998 roku, po miesiącach milczenia, Wells dostarczył raport na temat planowanego przez al-Kaidę ataku na amerykańską placówkę - najprawdopodobniej na ambasadę - we wschodniej Afryce. Nie dotarł jednak do szczegółów sprawy, zaś Agencja nie zdołała potwierdzić jego doniesień. CIA zgodnie z procedurą poinformowała o raporcie Departament Stanu, ten zaś sumiennie odłożył go *ad acta*. Dwa tygodnie później zamachowcy-samobójcy wysadzili w powietrze amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. Śmierć poniosło ponad

dwieście osób. Agencja zaczęła wreszcie traktować poważniej bin Ladena oraz Wellsa.

Tuż przed nastaniem nowego tysiąclecia Wells dopomógł w udaremnieniu planowanych w sylwestrową noc zamachów na dwa hotele w Kairze. Przygotowania znajdowały się w końcowej fazie i Agencja doszła do przekonania, że bez Wellsa nie dałaby sobie rady. W ostatnim meldunku, jaki otrzymała Exley, Wells informował, iż wyrusza do Czechenii. Zgłosił się na ochotnika, aby potwierdzić szczerą intencję, po fiasku zamachu w Egipcie pewien członek kierownictwa al-Kaidy otwarcie obwiniał go bowiem za niepowodzenie. „Każdego dnia muszę potwierdzać, że jestem po ich stronie - pisał wtedy - nie ufają mi do końca i nie jestem pewien, czy kiedykolwiek się to zmieni”. Exley nie mogła wyobrazić sobie stresu, w jakim żył.

Potem nastąpiła cisza. Kontakt Wellsa z agencją był całkowicie jednostronny i Exley musiała czekać na wiadomość od niego. Mimo to Langley postrzegało go teraz jako asa w rękawie i ostatnią deskę ratunku. 11 września as zamienił się jednak w dzokera. Exley nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Vinny Duto życzył sobie śmierci Wellsa. Martwy stałby się bohaterem, agentem, który zapłacił najwyższą cenę; żywy w najlepszym razie porażką, w najgorszym zaś - zdrajcą. Oczywiście Vinny był zbyt przebiegły, by uznać Wellsa za kozła ofiarnego i obarczyć go winą za brak ostrzeżenia. Exley wiedziała jednak, że Duto zapragnie krwi, jeśli Wells kiedykolwiek wróci.

Gdy ponownie przeglądała dossier Wellsa, zastanawiała się, czy dyrektor przypadkiem nie ma racji. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Wells zjawił się ponownie w Stanach Zjednoczonych, nie powiadamiając o tym Agencji i nie kontaktując się z nią. Czytała zapis badania na wykrywaczu kłamstw:

Pytanie: Czy było ci przykro, że złamałeś mu nogę?

Odpowiedź: Uderzenie było czyste. Brutalność stanowi element tej gry.

P: Więc nie było ci przykro?

O: Ani trochę.

A jeśli Wells stał się podwójnym agentem? Jeśli doszedł do wniosku, że użycie siły wobec USA stanowi element tej gry? Exley potrząsnęła głową. Gdyby Wells zamierzał pozostać w ukryciu, nie skontaktowałby się ze swoją eksmałżonką. Exley pragnęła, by złożył jej raport. I to szybko. Zanim znowu coś wybuchnie.

Josh Goldsmith nie chciał się denerwować, ale nie mógł nic na to poradzić. Był czwartkowy poranek, a za dwa dni miała odbyć się jego *bar micwa*. Wcześniej jednak, w piątkowy wieczór, musiał przemówić. Po raz chyba tysięczny spoglądał na kserokopię fragmentu Tory, który miał odczytać.

Pukanie do drzwi zaskoczyło go.

- Jesteś gotowy do szkoły, skarbie?

Potrząsnął głową, rozdrażniony

- Uczę się, mamó.

- Spóźnisz się na śniadanie.

- Potrzebuję jeszcze kilku minut.

Jego głos się załamywał. Boże, był żaloszny. Czy w końcu przejdzie mutację jak każdy normalny chłopiec?

- Załóż przynajmniej skarpetki...

- Dobrze, dobrze.

Jak większość reformowanych żydów, Goldsmithowie nie byli szczególnie religijni, jednak Joshua - pilny, sumienny chłopiec - starannie przygotowywał się do rytuału. Denerwował się zarówno ceremonią, która miała się odbyć w sobotę rano, jak i późniejszym przyjęciem. Większość dzieciaków ze szkoły odrzuciła jego zaproszenie - Josh starał się nie odczuwać zawodu, bo prawdziwi przyjaciele i tak mieli przyjść. Spojrzał na plakat Shawna Greena - żydowskiego pochodzenia gracza pierwszej bazy, kiedyś grywającego w ukochanych Dodgersach, teraz odsprzedanego do Arizony - przyklejony nad jego łóżkiem.

- Myśl pozytywnie - wyszeptał do siebie hasło Dodgersów. Te słowa wymalowano wielkimi, widocznymi z daleka literami za parkingiem przy stadionie klubu. - Myśl pozytywnie, pozytywnie, pozytywnie.

Myśl pozytywnie. Docisnęła dłonią odklejony róg plakatu z Shawnem Greenem. Nauczył się swego tekstu na pamięć. Poradzi sobie świetnie.

Stalowe bębny połyskiwały słabo w górnym świetle furgonetki. Khadri wszedł do skrzyni ładunkowej samochodu, przytrzymując chusteczkę przy ustach, aby nie nałykać się pyłu. Podniósł zardzewiałą pokrywę beczki ustawionej przy tylnych drzwiach i przejechał palcami po grudkach w kolorze złamanej bieli, które wypełniały około trzech czwartych jej objętości. W furgonetce znajdowało się dwanaście takich beczek - w sumie ponad tysiąc dwieście kilogramów saletry amonowej. Khadri już wcześniej sprawdził pierwszą bombę, która miała jeszcze większą siłę wybuchu, ukrytą w furgonetce zaparkowanej w szopie w Tulare, o jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ.

Khadri uśmiechnął się do siebie. Nikt nie uznałby Aziza lub Fakhra za bystrych osobników, ale skonstruowanie bomby saletrolowej * nie wymagało specjalnej wiedzy, a jedynie cierpliwości oraz pewnych dłoni. Jego ludzie dysponowali jednym i drugim. W trakcie szkolenia beczki z dynamitem powodowały wybuch saletrolu. Khadri raz jeszcze sprawdził przewody Wszystko było jak trzeba. Pozostało im jeszcze dolanie oleju napędowego, zamieszanie i odpalenie.

* Materiał wybuchowy otrzymywany przez nasączenie azotanu amonu paliwami płynnymi (przyp. tłum.).

Saletrol to marzenie zamachowców używających bomb, pomyślał Khadri. Rządy potrafiły rozprawić się z pociskami przeciwlotniczymi oraz karabinami maszynowymi, tak długo jednak, jak farmerzy potrzebowali nawozów mineralnych

oraz ciężarówek do ich przewożenia, saletra amonowa i olej napędowy były dostępne wszędzie. Co więcej, saletrol po zmieszaniu można przewozić setki kilometrów bez ryzyka detonacji - bardzo wygodne w przypadku celów znajdujących się w obrębie wielkich miast, jak choćby Los Angeles. Ciężarówka wypełniona tym materiałem mogła zmieść z powierzchni ziemi duży biurowiec, co udowodnili w Oklahoma City Tim McVeigh i Terry Nichols. W latach siedemdziesiątych armia USA stosowała bomby saletrolowe do symulowania eksplozji nuklearnych.

Khadri nie żałował czasu poświęconego na osobiste sprawdzenie obu bomb. Poprzedniego wieczoru przeprowadził rekonesans w rejonie celu. Po komplikacjach, na jakie natrafił po przylocie, zamierzał osobiście dopilnować wszystkiego, żeby zapewnić sukces operacji. Oba zamachy bombowe miały stanowić tylko sabotaż, odciągający uwagę od następnego, wielkiego ataku. Khadri nie mógł pozwolić sobie na kolejny błąd.

Zaplanował atak bardzo szczegółowo. Ciężarówka i furgonetka były nie do wyśledzenia, kupione za gotówkę na fałszywe nazwiska. Fakhr i Aziz nabywali podobną metodą po sto kilogramów saletry, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Jeszcze przed dwoma tygodniami pracowali jako taksjary i mieszkali w Rampart, nieciekawej okolicy na północ od śródmieścia Los Angeles. Wynajmowali mieszkanie tylko na miesiąc, zawsze płacili gotówką i zawsze na czas. To był ich piąty lokal - Khadri nalegał, by przeprowadzali się co roku, by sąsiedzi nie zdążyli się zaprzyjaźnić. Rampart nie służyło zresztą z dobrosąsiedzkich stosunków.

Fakhr i Aziz kwaterowali teraz w taniej noclegowni przy Sunset Boulevard, gdzie nikt nie wymagał dowodu tożsamości. Mieszkali w oddzielnych pokojach i udawali, że w ogóle się nie znają. Na wszelki wypadek, by zapewnić maksimum bezpieczeństwa, Khadri spędził z nimi zaledwie kilka minut. Odwiedził ich tylko raz, wieczorem, by sprawdzić, że są gotowi.

Gdy bomby wybuchną, pozostaną z nich jedynie strzępy, które z trudem da się wypatrzeć.

... DWANAŚCIE... TRZYNAŚCIE... CZTERNAŚCIE!

Daunte Bennett podnosił sztangę nad klatką piersiową. Jego ręce drżały z wysiłku.

- Jeszcze raz. Bez pomocy - wystękał do Jarvisa, który był świadkiem jego wyczynu.

Opuścił sztangę i znów ją podniósł, jęcząc z wysiłku. Piętnaście powtórzeń i sto piętnaście kilogramów na sztandze to nie były przelewki.

- Już blisko - zagrzewał Jarvis.

Bennett wreszcie wyprostował ręce i stęknął triumfująco. Z głośnym szcękaniem zawiesił sztangę na stojaku.

- Jeden-jeden-pięć.

- Trenerzy będą się o ciebie bili.

Bennett miał dwadzieścia lat, wcześniej był obrońcą w drużynie Crenshaw High Cougars, o włos od wielkiego futbolu na poziomie collegeu. Gdy przed rokiem ukończył szkołę średnią, starał się budować masę ciała z nadzieją, iż dodatkowe piętnaście kilogramów pozwoli mu się załapać na pozycję obrońcy. Wiedział, że Jarvis go podpuszcza. Mimo proteinowych koktajli i codziennego treningu wciąż ważył niecałe sto dziesięć kilo; o blisko dziesięć za mało. Bez sterydów nie miał szans - a odmówił szprycowania - na pozycję trzeciego napastnika drużyny uniwersyteckiej UCLA.

By pokryć bieżące wydatki, Bennett zatrudnił się jako bramkarz w klubie Paradise w Hollywood. Może był zbyt niski, by zagrać w pierwszej lidze, ale w zwykłym świecie potrafił wzbudzać respekt. Poza tym cechował się opanowaniem, co w pracy bramkarza stanowiło plus. Lubił tę pracę. Płacili nieźle - sto pięćdziesiąt dolarów za wieczór gotówką plus, od czasu do czasu, dwudziestaki od podchmielonych białych gogusiów, liczących na wejście bez kolejki. Z przyjemnością obserwował zawsze usiłujących dostać się do środka,

którzy w pewnym momencie się orientowali, że nic z tego - bój za dwadzieścia pięć dolarów o szansę wejścia i posłuchania muzyki, grającej tak głośno, iż nie słyszało się niczego. Ludzie czasami zachowywali się, jakby nie mieli rozumu.

Nie zamierzał jednak być bramkarzem przez całe życie. Myślał o zaciągnięciu się do armii albo dostaniu do collegeu bez futbolowego stypendium. Jakaś jego część tęskniła także za pozycją, jaką zajmował w drużynie Kuguarów. Pragnął mieć kogoś, kto będzie go motywował i zachęcał do wytrwałej pracy. Wojna to nie zabawa, wiedział o tym - kolega z Crenshaw stracił nogę w Iraku - ale widział też dostatecznie dużo strzałów z jadącego samochodu, by wiedzieć, że każdy umrze wcześniej czy później. Równie dobrze mógł zatem wybrać na wojaczkę.

Khadri słyszał stary telewizor, nastawiony na CNN, zanim jeszcze otworzył drzwi pokoju 202. Aziz i Fakhr siedzieli obok siebie na brzegu łóżka, o metr od ekranu. W ich oczach odbijał się blask telewizora. Wyglądają zupełnie jak zombi, pomyślał Khadri. Kiedy zamknął drzwi, Fakhr skoczył na równe nogi. Spoglądał rozpalonym wzrokiem na przemian na Khadriego i na telewizor, zanim wreszcie usiadł spokojnie przy Koranie leżącym na stoliku w rogu pokoju. Pod pachami jego niebieskiej, zapinanej na guziki koszuli przebijały plamy potu. Ten strach nie zaskoczył Khadriego. Spoglądanie śmierci w oczy nie stanowiło przyjemności, nawet jeśli sprawa była słuszna, a po zgonie czekało niebo. Wybrawszy już samochody i zrzucając odzież, Fakhr i Aziz mogli oddać się w pełni rozważaniom na własną śmiertelność.

Khadri obrócił się do Fakhra i objął go, krótko i mocno.

- Witaj, Fakhr.

- Witaj, Abu Mustafo.

Nie znali jego prawdziwego nazwiska i nigdy nie będą mieli okazji go poznać.

Aziz wstał i Khadri również go objął.

- Bracia - powiedział po angielsku.

Wskazał Fakhrowi i Azizowi, by usiedli.

- Szejk osobiście oczekuje na ten wieczór - skinął głową w stronę telewizora. - Dzisiaj wieczorem niewierni na własnej skórze przekonają się o naszej sile.

Lewa ręka Fakhra zadrżała w niekontrolowany sposób.

- Fakhr?

- A jeśli zawiedziemy, Abu Mustafu?

- Nie zawiedziemy - odparł Khadri.

Przez następne dwadzieścia minut omawiali plan, rozważając rozmaite warianty: jeśli samochody przyjadą za późno, zbyt wcześnie albo bomba nie eksploduje? Khadri koncentrował się na szczegółach, by podkreślić ostateczność decyzji o ataku. Kiedy przedyskutowali już rozmaite ewentualności, sięgnął po Koran i otworzył go na surze osiemdziesiątej siódmej *Najwyższy*.

- Przeczytajmy to razem - rzekł.

- *Bismallah rahmani rahim*, w imię Allacha, miłosiernego i litościwego... - recytowali wspólnie.

Wszyscy trzej znali tę surę na pamięć. Jak wielu muzułmańskich chłopców, nauczyli się na pamięć ważniejszych wersetów Koranu, zanim jeszcze zdobyli umiejętność czytania. Zwolnili tempo recytacji, dochodząc do punktu kulminacyjnego modłów - do wersetów, które miały zapaść im głęboko w pamięć, jak chciał tego Khadri.

Zaś szczęśliwy będzie ten, kto się oczyści i będzie wspominał imię swego Pana, i modlił się. Lecz wy wolicie życie tego świata, tymczasem życie ostateczne jest lepsze i bardziej trwałe. Zaprawdę, to jest w dawnych księgach, księgach Abrahama i Mojżesza!

Khadri uściśnął dłonie swych ludzi. Dostrzegł, jak z oczu Fakhra zniknął strach.

- „Tymczasem życie ostateczne jest lepsze i bardziej trwałe” - powtórzył. - Zazdroszczę wam, bracia. Już wkrótce będziecie w niebie. A słowa dwudziestej drugiej sury mówią: „Tak jest, ponieważ Allah jest prawdą”.

- „I ponieważ ożywia umarłych, i ponieważ jest nad każdą rzeczą wszechwładny” - rzekł Aziz, kończąc werset.

- *Nam* - odparł Khadri. - Teraz pošlemy *kafirów* do piekła.

Modlitwa ciągnie się bez końca, pomyślał Josh Goldsmith. Siedział na *bitnie*, podium z pulpitem, starając się nie spoglądać na rodziców. Odczuwał zdenerwowanie, chociaż nie miał ku temu żadnych powodów - zgromadzeni w synagodze Temple Beth El byli jego krewnymi, przyjaciółmi lub bywalcami świątyni. Josh nosił nowy szary garnitur, białą koszulę oraz czerwony krawat w niebieskie króliczki, który sam sobie wybrał. Starał się opanować. Zerknął na zegarek - dziewiąta trzydzieści pięć. Wkrótce będzie po wszystkim.

Droga zajęła dokładnie tyle czasu, ile przewidział Fakhr, który w ciągu minionego miesiąca przejeżdżał tędy dobry tuzin razy. Prowadził teraz białą furgonetkę wzdłuż Walton Avenue, zmierzając w stronę Wilshire. Pragnął jak najszybciej przejechać przez skrzyżowanie. Światła zmieniły się z czerwonych na zielone, Fakhr nacisnął więc pedał hamulca, by zwiększyć dystans do samochodu jadącego przed nim. Po kilku sekundach przycisnął gaz. Furgonetka pomknęła do przodu.

- Wzywam Joshuę Goldsmitha, który jutro przystępuje do *bar micwy*, do mikrofonu, by poprowadził nas dalej - przemówił rabbi Nachman. Josh wstał i poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Becky, jego siostra, siedząca w pierwszym rzędzie, zrobiła gest, jakby chciała zagrać mu na nosie, ale matka trąciła ją ostro łokciem. Uśmiechnął się do niej i poczuł, jak

uspokaja się jego żołądek. Zebrali się tu rodzina i przyjaciele. „Myśl pozytywnie”.

Fakhr wjechał schodkami przy północno-wschodnim narożniku synagogi. Pracownik ochrony, mężczyzna w średnim wieku, miał jedynie tyle czasu, by stanąć przed furgonetką, zanim ta uderzyła w niego i rozgniotła na miazgę, taranując bramę do bożnicy i wjeżdżając na zewnętrzny dziedziniec. Fakhr skierował pojazd w stronę drzwi wejściowych. Nie był w stanie wjechać do wnętrza synagogi, ale to nie miało znaczenia.

Przestań się bać, mówił do siebie. Zrób to szybko.

- *Allahu akbar* - powiedział na głos.

Chwycił detonator - małe plastikowe pudełko podłączone do grubego czarnego przewodu i umocowane na siedzeniu pasażera, by unikać wstrząsów podczas wjeżdżania na stopnie. Oderwał pudełko od siedzenia, popatrzył na nie przez moment i nacisnął znajdujący się pośrodku guzik.

Josh właśnie sięgał po mikrofon, kiedy dosłyszał głośny trzask dobiegający z zewnątrz. Ludzie zgromadzeni w bożnicy obrócili się do tyłu; trzech mężczyzn wstało z miejsc, by zobaczyć co się dzieje.

Elektryczny impuls pobiegł wzdłuż drutu do kołpaków połączonych z laskami dynamitu w tyle furgonetki. Te eksplodowały, a ułamek sekundy później wybuchł saletrol.

Wewnątrz synagogi nastąpił koniec świata.

Eksplozja w niczym nie przypominała efektownego hollywoodzkiego obrazu samochodów-pułapek - ognistej kuli otoczonej kłębam dymu, która wywalala szyby w oknach, ale pozostawiała nienaruszoną resztę auta. W filmach wybuchal materiał o małej sile rażenia - jak czarny proch - spalając się w efektownych fajerwerkach. Materiały kruszące, jak dynamit, nie spalały się, lecz eksplodowały, przechodząc

momentalnie ze stałego stanu skupienia w gaz i wydzielając równocześnie ogromne ilości ciepła.

Gaz wyzwolony przez eksplozję rozpręzał się, a powstałe ciśnienie popychało powietrze z prędkością trzech i pół kilometra na sekundę - Fakhr wraz z furgonetką przestał istnieć w ułamku sekundy. We wnętrzu synagogi bomba wywołała supertornado, którego niszcząca moc przekraczała pięćdziesiąt razy siłę naturalnej trąby powietrznej.

Fala uderzeniowa oraz odłamki bomby wypchnęły tylną ścianę synagogi i rozerwały na strzępy każdego, kto znajdował się z tyłu sanktuarium. Inni spłonęli doszczętnie w powstałej po wybuchu ognistej kuli, której temperatura sięgała kilku tysięcy stopni Celsjusza. Przetrwanie było kwestią odległości od źródła wybuchu - rodzice Josha, siedzący w pierwszym rzędzie, mogli liczyć na więcej szczęścia niż kuzyn Jack sześć ławek dalej. Stryj Ronnie, stojący przy ścianie, nie miał nawet cienia szansy

Fala uderzeniowa kierowała się na lewo od miejsca, w którym stała furgonetka. Wybuch oderwał sufit od ścian. Gdy dach opadł z powrotem, ściany - naruszone i nieutrzymujące już pionu - nie były w stanie go podtrzymać, zaczął więc się stopniowo walić, od tyłu bożnicy ku przodowi. Tony betonu, drewna i stali spadały na tych, którzy zdołali przeżyć eksplozję.

Dla Josha Goldsmitha zawalenie stropu oznaczało łaskę.

W momencie wybuchu stał i trafiła go znacznie większa liczba odłamków niż pozostałych - fragmenty samochodu zamieniły jego twarz w krwawą miazgę. Jakiś większy odłamek przeciął jamę brzuszną, niemal rozpoławiając wątrobę, a całe ciało pokryły rany szarpane. Agonia trwała na szczęście zaledwie kilka sekund - betonowy wspornik sufitu zmiażdżył mu czaszkę.

Przy Bulwarze Zachodzącego Słońca panowała atmosfera piątkowego wieczoru. Kabriolety i fantazyjnie pomalowane

furgonetki sunęły bez pośpiechu; dziewczyny w minispódniczkach flirtowały z chłopakami w obcisłych podkoszulkach; czerwone lamborghini diablo konkurowało z czarnym cadillakiem escalade o błyszczących, sześćdziesięciopięciocentymetrowych felgach. Turyści obfotografowywali się na tle Chińskiego Teatru Graumana. W pobliżu rogu Hollywood i Ivar z tuzin młodych ludzi ustawiło się przed wejściem do restauracji i klubu, który przyciągał tłumy z całej Doliny. Po drugiej stronie bulwaru policyjne zapory powstrzymywały setki fanów przybyłych na premierowy pokaz filmu *Number*, mrozącego krew w żyłach horroru o szalonym księgowym. Film wyświetlano w kinie Cinespace, usytuowanym w tym samym budynku co klub Ivar.

Khadri siedział w nissanie altima zaparkowanym dwa kwartały dalej, obserwując furgonetkę Aziza sunącą powoli na zachód, w stronę Hollywood. Aziz przyjechał o parę minut później, chociaż Khadri nie spodziewał się żadnych problemów w drodze. Policja i straż pożarna powinny już docierać do synagogi. Po minucie zorientują się, że to był zamach, i natychmiast nakażą zamknięcie wszystkich pozostałych bożnic w mieście. Nie przyjdzie im do głowy, by szukać bomby w Hollywood. Khadri chciałby jednak, aby Aziz się pospieszył.

Zaparkował na zewnątrz strefy rażenia, chcąc na własnej skórze poczuć impet wybuchu. Zdawał sobie sprawę, że powinien już opuścić Miasto Aniołów, ale nie potrafił oprzeć się pokusie. Oczywiście opracował dokładnie drogę ucieczki: na wschód, do Phoenix w Arizonie. Tam zamierzał się zatrzymać kilka dni - nie było powodu do pośpiechu - potem zostawi altimę w hotelu Sky Harbor International i poleciał do Meksyku. Przez całe tygodnie nikt nie zwróci uwagi na samochód i nawet nie skojarzy auta z jego osobą.

Khadri spoglądał na mężczyzn i kobiety mijających jego nissana. Ci, którzy zmierzali na wschód, przeżyją, a ci, których szlak wiódł na zachód, prawdopodobnie zginą. Ale to

nie moje zmartwienie, pomyślał. Amerykańscy generałowie nie zamartwiali się losem mieszkańców zaatakowanych miast. To była wojna, a podczas wojny czasami ginęli ludzie, którzy nie uważali się za żołnierzy. Ci ludzie uważali się za niewinnych. W Ameryce nikt jednak nie był niewinny

Stukał palcami w koło kierownicy, niecierpliwie oczekując podmuchu fali uderzeniowej.

Bennett stał przed Paradise, pół kwartału na zachód od rogu Hollywood i Ivar. Do Paradise wchodziło się trudniej niż do Ivara, zatem kolejka była krótsza, ale równie niesfor-na. Tego wieczora ludzie zaczęli się schodzić wcześniej.

- *Put!*

- Dupek!

Na początku kolejki dwóch dwudziestoparolatków - biały i Latynos - wymieniło ciosy w twarz. Bennett ruszył do przodu.

- Wyluzujcie - polecił.

Obydwaj natychmiast go posłuchali.

- Ten *maricón* mnie popchnął - tłumaczył Latynos.

- Obmacywał moją dziewczynę.

- Tę tłąstą sukę?

Biały zrobił krok do przodu i wziął szeroki zamach. Bennett chwycił go za rękę, zanim dotarła do celu. Takie awantury zwykle zaczynały się znacznie później. W oddali rozległy się dźwięki syren, zmierzające na zachód. Bardzo wielu syren.

Biały młodzian usiłował uwolnić rękę z żelaznego uchwytu bramkarza.

- Jak masz na imię? - zapytał Bennett.

- Mitch.

- Mitch, pójdziesz w tę stronę - oznajmił Bennett i wskazał na zachód.

Obrócił się w kierunku Latynosa.

- Jak masz na imię?

- Ricky
- Ricky, a ty tędy - wskazał na wschód.
- Człowieku...

Bennett pokręcił głową.

- Ruszaj bez zwłoki.

Spojrzeni na potężne barki Bennetta i odeszli. Patrzył za nimi do chwili, gdy jego uwagę przyciągnął głośny klakson w dalszej części kwartału. Piątkowe wieczory w Hollywood zawsze były hałaśliwe, ale to wydawało się groteskowe.

Klimatyzacja w furgonetce mitsubishi wdmuchiwała do niej zimne powietrze, ale Aziz nie przestawał się pocić. Kabinę przeniknął odór jego strachu, tłumiąc słaby aromat wody różanej, którą się pokropił na wyprawę do raj. Była już dziewiąta czterdzieści pięć - pięć minut po czasie - a on wciąż nie dotarł na miejsce. Co gorsza, jego determinacja słabła coraz bardziej. W motelowym pokoju czuł całkowitą pewność siebie, kiedy jednak nadchodziła ta chwila, nie mógł zapanować nad przejmującym przerażeniem. Czy będzie bolało, kiedy naciśnie guzik? A jeśli nie pójdzie do nieba? Oczywiście wiedział, że pójdzie. Tak głosił Koran i potwierdzał to Abu Mustafa. Zostanie *szachidem*, męczennikiem, otoczonym przez najpiękniejsze dziewczice; będzie pił najczystsza wodę oraz spożywał najśłodsze daktyle.

Zaprawdę, Allah kupił u wiernych ich dusze i ich majątki, w zamian za co otrzymają Ogród, głosiła dziewiąta sura, Oni walczą na drodze Allacha i zabijają, i są zabijani..

Wiedział zatem, że pójdzie do nieba. Jeśli jednak tam nie trafi, co wtedy?

Światła zmieniły się na zielone, lecz nikt nie ruszył z miejsca. Aziz nacisnął klakson i auta w końcu powoli pojechały do przodu. Spojrzał na ulicę. Ci ludzie spacerowali tu w oparach spalin, a ich żołnierze w Iraku gwałcili więźniów. Wypompowywali największe światowe zasoby ropy naftowej i żyli niczym królowie, a muzułmańskie dzieci głodowały.

Nie darzyli szacunkiem własnego ciała, wyznawali fałszywego Boga. Byli jak świnie taplające się w pomyjach. Wszystko, co czynili, było *haram*, zakazane. Aziz czuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie miał powodów do strachu. Oni zasługiwali na śmierć. Taka była wola Allacha.

Znów zapaliły się zielone światła i Aziz zdołał podjechać na skrzyżowanie Hollywood i Ivar. Na chodnikach spacerowały tłumy. Dotarł na miejsce i zatrzymał furgonetkę. Wziął detonator, obrócił go w dłoni do tyłu, potem do przodu.

Nie mogę, pomyślał. Allah mi wybaczy, nie mogę.

Wewnątrz furgonetki czas płynął bardzo wolno. Aziz wiedział, że musi podjąć decyzję - patrzyli na niego, a policjant mógł niebawem kazać mu odjechać - był jednak jak sparaliżowany. Przesuwał kciukiem po detonatorze, naciskając leciutko guzik, wyczuwając opór pod opuszką palca. Spojrzał przez przednią szybę, recytując po cichu pierwszą surę.

W imię Allacha miłosiernego i litościwego...

Teraz, powiedział do siebie. Teraz albo nigdy

Wybuch drugiej bomby spowodował jeszcze większe spustoszenie niż pierwszy ładunek. Eksplozja wyrwała krater głęboki na pięć metrów, a szeroki na dziesięć. Słup dymu, odłamków i ognia wzbil się na sto metrów. Fala uderzeniowa, która nie natrafiła na ściany mogące spowolnić jej bieg, zabiła wszystkich w promieniu dwudziestu pięciu metrów. Stojący najbliżej samochodu-pułapki zostali rozerwani na strzępy i usmażeni jak na rożnie. Zwłoki tych, którzy znajdowali się nieco dalej, przypominały ciała ludzkie, chociaż wiele nie miało rąk ani nóg. Kilku zabitych nie doznało widocznych obrażeń - impet wybuchu nie poranił ich, lecz zamienił mózgi w galarete.

Eksplozja uszkodziła cztery budynki, w tym gmach, w którym znajdowały się kino Cinescape i klub Ivar. Wewnątrz klubu wybuchł pożar, a z uwagi na jedno tylko wyjście

ewakuacyjne nie udało się zapanować nad paniką. Dodatkowe osiemdziesiąt pięć ofiar zostało zdeptanych lub zginęło w płomieniach.

Przez moment na ulicy panowała cisza, będąca rezultatem szoku - fałszywy spokój oddzielający to, co przedtem, od tego, co potem. Później zapanował chaos: rozległy się samochodowe alarmy, syreny straży pożarnej, krzyki ofiar. Niezliczone krzyki, w większości nawet nieprzypominające ludzkich - przenikliwe wycia, zaczynane i urywane zupełnie przypadkowo.

Gdy Bennett się ocknął, leżał na ziemi. Wstał, pomagając sobie rękoma, i pobiegł w stronę szczątków, nie zauważając nawet spływającej po twarzy krwi. Nie wiedział, w którym kierunku biec ani co robić; żałował teraz, że nie ukończył kursu pierwszej pomocy w Crenshaw

Zwolnił, gdy pod stopami zazgrzytały odłamki potłuczonego szkła, potem nieomal potknął się o coś, co w pierwszej chwili wziął za worek z granatowego dzinsu. Spojrzał jeszcze raz i stwierdził, że to ludzka noga, która nie była połączona z ciałem - już nie. Piekło. To było piekło na ziemi,

O metr dalej leżał cicho pojękujący człowiek, schwytyany w pułapkę pod czarnym volkswagenem jetta. To był Ricky z kolejki. O Boże, pomyślał Bennett. Kazałem mu iść w tę stronę.

Ricky poruszył się lekko.

- Cholera, pomóż mi.

Bennett wsunął rękę pod jettę i napał. Auto ani drgnęło. Spróbował ponownie.

- Czy ktoś może mi pomóc?

Bennett dostrzegł, jak Ricky zaczyna drżeć.

- Tylko spokojnie - powiedział.

Do Bennetta dołączył postawny biały mężczyzna. Napał razem i samochód uniósł się nieco. Inny mężczyzna chwycił Ricky'ego pod ramiona i wyciągnął spod auta.

Ricky darł się wniebogłosy To był najbardziej przerażający odgłos, jaki Bennett słyszał w życiu. Volkswagen tłumił ból, zrywając nerwy w biodrach. Teraz Ricky poznał prawdę co do skali swych obrażeń.

- Ricky, Ricky... - odezwał się Bennett.

Rozpaczliwy krzyk przeszedł w skomlenie. Bramkarz chwycił dłoń rannego i ścisnął.

- Karetka będzie tu za chwilę. Tylko...

Dłoń Latynosa zwiotczała, gdy stracił przytomność. Bennett spojrzął na dwóch pozostałych mężczyzn. Ci bez słowa zdecydowali, że zostawią Ricky ego i sprawdzą, czy mogą pomóc komuś innemu. Pomóc? Bennett nigdy nie czuł się tak bezsilny

Khadri widział we wstecznym lusterku, jak furgonetka przestaje istnieć. Moment później jego autem szarpnął impet fali uderzeniowej.

Ruszył, uważając, by nie jechać szybko. Tego wieczora on i jego ludzie zadali Ameryce potężny cios. Stacja radiowa KNX podawała już relację z potężnej eksplozji w synagodze w Westwood. Zanim Khadri dojechał do autostrady, jego euforia osłabła. Czekало go jeszcze dużo ciężkiej pracy

Następna misja miała całkowicie przyćmić dzisiejsze dokonania.

Ricky Gutierrez mógłby przeżyć, gdyby dotarł do szpitala na czas, ale dwie eksplozje całkowicie przytłoczyły służby policyjne i straż pożarną Los Angeles. Ćwiczą ich jedynie na wypadek jednego zamachu bombowego, a nie dwóch eksplozji oddalonych o całe kilometry. Zanim karetki dotarły do Hollywood, Ricky oraz kilkanaście innych ofiar, które nie zginęły na miejscu, wydało ostatnie tchnienie.

Dwa tygodnie później w szpitalu Cedars-Sinai zmarł ostatni z poszkodowanych i przestały nadchodzić raporty o zaginionych, policzono więc śmiertelne ofiary obu zamachów

W sumie było ich trzysta trzydzieści sześć - sto trzydzieści dwie osoby w synagodze, dwieście cztery w Hollywood. Był to najtragiczniejszy w skutkach zamach terrorystyczny od 11 września; nikt nie był też zdziwiony, gdy odpowiedzialność wzięła na siebie al-Kaida.

Exley obudziła się przy pierwszym dzwonku. Właściwie nie zdążyła jeszcze zasnąć na dobre - granica między snem a jawą, kiedyś łatwa do przekroczenia, w ostatnich dniach wydawała się zagrodzona zasiekami z kolczastego drutu i odłamków szkła. Chwyciła słuchawkę i usłyszała głos Shaferra:

- Jennifer, przyjeżdżaj.

Na wyświetlaczu radiobudzika widniała godzina pierwsza piętnaście.

- Był zamach bombowy. W L.A.

Myśli Exley zawirowały

- Jest niedobrze. Dwie bomby

Kliknięcie odkładanej słuchawki.

Po drodze do Langley włączyła radio i usłyszała burmistrza Los Angeles, który obwieszczał, że za sześćdziesiąt minut zostanie wprowadzona godzina policyjna.

- W obrębie strefy zagrożenia poruszać się mogą jedynie pojazdy policyjne, straży pożarnej oraz karetki pogotowia. Inne pojazdy zostaną aresztowane. Strefa zagrożenia sięga do autostrady Santa Monica na południu...

Wyłączyła radio i spojrzała na ciemną, cichą ulicę, usiłując pojąć, dlaczego ktoś w piątkowy wieczór dla zabawy wysadził dzieciaki w powietrze. Nie potrafiła. W kontekście intelektualnym wiedziała wszystko na temat asymetrycznych działań wojennych, związków między terrorystami a władzą w słabych państwach, o finansowaniu i religijnej motywacji zamachowców-samobójców. Koniec końców, słowa te były równie puste co papier pakowy zawinięty tak, by przypominał pudełko.

Właśnie takie samo uczucie wobec Ameryki żywili oni - tego była pewna.

W Langley nikt nie musiał potwierdzać tego, co oczywiste: amerykański wywiad oraz siły ochrony porządku publicznego zawiodły na całej linii - kolejny raz. Setki obywateli USA poniosły śmierć, a póki co, poszlaki były nikłe. Zamachowcy nie będą zeznawać; zostali unicestwieni w stopniu tak absolutnym, że FBI nie zdoła odnaleźć tyłu ich tkanek, by pobrać próbki DNA. W tej chwili nie było żadnych tropów, którymi można by podążyć.

Mieli jednak podejrzanego. Exley zdała sobie z tego sprawę po dotarciu do biura, gdy zobaczyła jednego z asystentów Duto. Przyszedł z żądaniem przekazania dossier Wellsa.

- To dla Vinny'ego - oznajmił asystent.

Nie odezwała się słowem, lecz otworzyła sejf i przekazała mężczyźnie dokumenty

Przeglądała pierwsze, jeszcze gorące raporty z zamachów, kiedy zjawił się Shafer.

- Co podpowiada ci intuicja?

Nie musiała pytać, co ma na myśli.

- To nie on.

- Wyjaśnij.

- Po pierwsze, dopiero co był w Montanie. Takiej rzeczy nie da się zorganizować w ciągu jednego dnia.

- Po drugie?

- Po drugie, dlaczego ryzykowałby fiasko zamachu, składając wizytę byłej żonie?

- Po trzecie?

- Po trzecie, nawet jeśli przeszedł na drugą stronę, nigdy nie zaatakowałby łatwego celu.

- Potrafi być brutalny

- Nie wobec cywilów W jego oczach nie byłoby to uczciwe.

- Po czwarte?

- Nie ma żadnego „po czwarte”.

Shafer przybliżył kciuk do palca wskazującego o dwa centymetry

- Tyle dzieli Duto od podjęcia decyzji, by TICK w błyskawicznym tempie przygotował za nim list gończy

- Pod jakim zarzutem? - zapytała Exley

- Pod zarzutem, że napędził cholernego stracha jednemu ze swych ludzi, który dopiero co zabił trzysta osób. Teraz chce go za to oficjalnie obwinić. Jeśli Wells rzeczywiście to zrobił, wywalenie nas z roboty będzie najmniejszą karą. Możemy wylądować w więzieniu z oskarżenia publicznego.

- On tego nie zrobił - przekonanie w jej głosie zaskoczyło ją samą.

- No to pospiesz się, idziemy porozmawiać z Vinnym.

Gdy wstawała, zadzwonił telefon.

- Jennifer Exley? - zapytał głos, który rozpoznała natychmiast.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj, w Waszyngtonie.

- Dzięki Bogu, John - nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi.

- Wydaje mi się, że powinienem do was zajść.

- O tak - odparła. - Powinieneś.

5

- To był błąd - powtórzył Wells. - Popeliłem błąd.

Exley, Shafer i Duto siedzieli naprzeciw niego przy stole konferencyjnym w małym pomieszczeniu bez okien, którego rozmiary nie przekraczały nawet powierzchni standardowego biura. Stał tu tylko jeden zegar, a w każdym z narożników znajdowały się kamery, świadomie zamontowane tak, by były widoczne; ściany pomieszczenia wyłożono miękką okładziną wyciszającą, mającą w teorii udaremnić wszelkie próby podsłuchania rozmów prowadzonych w tym pokoju. W rzeczywistości okładzina oraz kamery stanowiły sygnał, który Wells dobrze znał: to jest poważne pomieszczenie, a ty jesteś w poważnych tarapatach. Przy przeciwległej ścianie siedział mężczyzna w garniturze. Nie przedstawił się, ale Wells się domyślił, że to prawnik. Nie musiał natomiast zgadywać, jaką funkcję pełnił pracownik sekcji ochrony, w ubraniu cywilnym i bez krawata, którego dłoń spoczywała na rękojeści glocka przypasanego do biodra.

Nikt nawet się nie wysiłał na udawanie przyjaznego nastawienia. Strażnicy przy wejściu przeszukali Wellsa od stóp do głów, zanim wpuścili go do środka. Po raz drugi zrewidowano go przed spotkaniem z Exley i Shaferem, którzy przywitali się z nim chłodno, wymieniając jedynie uściski dłoni, bez objęć, zupełnie jakby wrócił z trzydniowej podróży handlowej do Detroit. Wells przyznał w duchu, że nie jest zaskoczony.

- John - przemówił Shafer. - Zamierzamy postawić ci parę pytań.

Wells dostrzegł w oczach Exley coś więcej niż kiedy spotkał ją po raz pierwszy, ale blask ten szybko zniknął. Jeśli ucieszyła się na jego widok, umiejętnie to ukryła.

Po opuszczeniu ośrodka YMCA kupił bilet w linii autobusowej Greyhound na przejazd z Missouli do stolicy. Zamierzał zadzwonić do Agencji, kiedy dotrze do Waszyngtonu. Od spotkania z Zawahirim w Peszawarze upłynęły już dwa tygodnie. Dwa tygodnie wolności wydawały mu się całkiem usprawiedliwione po tylu latach spędzonych na krawędzi.

W trakcie podróży autobusem czuł się ociężalał i niemrawy, jak gdyby krew została zastąpiona czymś chłodniejszym; w jego żyłach płynęła balsamująca ciecz. Kartkował Koran i sporządzał katalog rzeczy, które utracił, kiedy go tu nie było. Stracił matkę. Stracił eksmałżonkę. Stracił syna, chociaż być może nie na zawsze - łudził się nadzieją. Wciąż jednak miał szansę chronić swój kraj przed ludźmi, którzy wierzyli, że Allah dał im prawo zniszczenia go.

Teraz był na siebie wściekły. Świat uległ przeobrażeniu, a on nic nie zauważył. Trzy godziny po tym, jak dotarł do dworca autobusowego w Waszyngtonie, usłyszał doniesienia radiowe z Los Angeles. Natychmiast zrozumiał, że powinien był się zgłosić do Agencji, gdy tylko znalazł się w Hongkongu. Zamach z pewnością spowodował gwałtowny wzrost podejrzeń CIA w stosunku do jego osoby

Obiecał sobie, że zachowa spokój, bez względu na to, co mu powiedzą. Musiał ich przekonać, by mu zaufali; inaczej nigdy nie zyska szansy powstrzymania Khadriego. Przedstawił więc w zarysie lata spędzone w Prowincji Północno-Zachodniej, potem zrelacjonował szczegóły ostatnich tygodni, od czasu wyjazdu z Islamabadu: gdzie się zatrzymał, jak podróżował, pod jakim nazwiskiem przekroczył granicę USA na lotnisku Kennedyego. Poinformował ich o spotkaniu w

Peszawarze z Zawahirim, Khadrim i Farukiem; opowiedział, jak wysłali go do Ameryki, nie określając konkretnego zadania.

- I nie było to Los Angeles - stwierdził Duto.
- Nie.
- Nie wiedziałeś nic o Los Angeles?
- Oczywiście, że nie.

Najbardziej spokojnym tonem, na jaki było go stać, przeprosił za to, że wjechał do kraju nie informując ich o tym. Za to, iż nie skontaktował się z nimi, gdy był w Pakistanie. Że nie zabił bin Ladena. Tłumaczył wszystko najlepiej jak mógł. Wiedział jednak, że nie posiada tego, czego naprawdę pragną: informacji o ostatnim ataku albo o następnym.

Exley, która siedziała po drugiej stronie stołu, czuła uścisk w żołądku. Duto nigdy wcześniej nie spotkał się z Wellsem, nie mógł więc wiedzieć, jak wiele John przeżył po drugiej stronie. Ale ona wiedziała. Świadczyły o tym nie tylko głębokie bruzdy na jego twarzy i rana na ramieniu. Z jego spojrzenia nie zniknęła wprawdzie pewność siebie, ale teraz była zmieszana z czymś jeszcze - była w nim pokora, jakiej wcześniej nie widziała.

Relacja Wellsa trzymała się kupy Pragnął odwiedzić własną rodzinę; chciał jeszcze przez kilka dni pobyc sam. Być może Duto tego nie rozumiał, lecz ona tak. Nie było to przestępstwo. Targnął nią impuls, by chwycić Vinny'ego za rękę i powiedzieć: „Czy nie widzisz, że on jest po naszej stronie?”. Nie zrobiła jednak tego. Nie mogła wyobrazić sobie skutecznego sposobu utraty resztki wpływów, jakie jeszcze posiadała. Duto najwyraźniej doszedł do przekonania, że Wells jest do niczego nieprzydatny, nawet jeśli wciąż pozostawał lojalny. Nie powstrzymał zamachów z 11 września i w Los Angeles, zatem niech się pieprzy

Gdyby powiedziała Vinny'emu, że może dostrzec prawdę w oczach Wellsa, wyładowałyby wprost w Ottawie, gdzie jej

najbardziej zaszczytnym zadaniem byłoby przysłuchiwanie się obradom kanadyjskiego parlamentu. Zamknęła usta, gdy Duto walił z grubej rury. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł jeden z asystentów szefa Dyrektoriatu Operacji, który powiedział mu coś szeptem do ucha.

- Zaraz wracam - oznajmił Vinny i wyszedł.

Gdy Duto opuścił pomieszczenie, Wells spojrzął na Exley i Shafera. Z chęcią by się dowiedział, czy nienawidzili go równie mocno jak ich przełożony. Nie zamierzał jednak postawić tego pytania tutaj, gdzie rozmowa była nagrywana na taśmę, a prawnik sporządzał notatki. Nie zamierzał ich skompromitować. Poza tym, odpowiedź mogła mu się nie spodobać.

Exley nachyliła się w jego stronę.

- John... - rzekła.

To wszystko, co padło z jej ust. Ale to wystarczyło. Wells poczuł, jak ogarnia go fala niosącego ulgę odprężenia.

Duto wrócił, niosąc przezroczystą plastikową torebkę przeznaczoną do przechowywania dowodów rzeczowych, z etykietą przypiętą na łańcuszku. Ze złością rzucił woreczek na stół.

- Co to, kurwa, jest?

Koran Wellsa.

A więc przeszukali jego pokój. Oczywiście podał im nazwę hotelu, w którym zatrzymał się na noc.

- Mielście nakaz czy po prostu wyważyliście drzwi? - zapytał spokojnie Wells.

Duto wskazał na książkę.

- Jestem muzułmaninem - wyjaśnił Wells. - To mój Koran.

Shafer ukrył twarz w dłoniach.

- Jesteś muzułmaninem? - zdziwił się Duto. - Kiedy to się stało?

- John - wtrącała się Exley. - Z twoich dokumentów wynika, że zgłębiałeś kwestie religijne...

- Zamknij się, Jennifer - przerwał jej Duto, nie przestając świdrować wzrokiem Wellsa; pochylił się nad stołem i zaczął wypluwać słowa. - Nawróciłeś się? Kiedy?

Wells dał Exley moment, żeby mogła się bronić, lecz ona nie skorzystała z tej szansy

- To się nie stało od razu.

- Przyznajesz, że jesteś muzułmaninem?

- Tak - odparł chłodno Wells, nie mając zamiaru dać się wyprowadzić z równowagi temu dupkowi. - Jestem winny przejścia na islam.

- Ty pieprzony głąbie!

- Obrażaj mnie, ile dusza zapagnie - jego głos znów emanował całkowitym spokojem.

- Będę robił to, co mi się, kurwa, podoba.

Wells nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Duto odgrywa spektakl. Pragnął jedynie wiedzieć, dlaczego.

- Ochłoń, Vinny - odezwał się Shafer.

Exley czekała na nieunikniony, jej zdaniem, wybuch. Lecz Duto tym razem się nie odezwał. Być może Shafer był reliktem, lecz potrafił wpływać na Vinny'ego jak nikt inny

- Opowiedz nam, co się wydarzyło - podjął Shafer.

- Wiecie o mojej babce - odparł Wells. - Udawałem gorliwego wyznawcę, by dostać się do obozów. Im lepiej poznawałem Koran, tym silniejszą odczuwałem więź.

- Więc się nawróciłeś?

Poczuł przytłaczające znużenie i pustkę, taką samą, jaką ogarnęła go nad grobem matki. Przy tym stole nie okaże jednak słabości. Być może jego wiara się chwiała, ale nie miał zamiaru zwierzać się z tego Vinny'emu.

- Nawróciłem. Przyjąłem. Nie wiem, jak powinienem to nazwać. Islam jest bardziej holistyczny od chrześcijaństwa - to nie tylko religia, ale także sposób życia.

- Tak, o ile twój sposób życia nie uwzględnia wolności i demokracji - skomentował Duto.

- Turcja jest krajem demokratycznym - argumentował Wells.

- Nie, jeśli twoi chłopcy postępują po swojemu.

- Nienawidzę ich tak samo jak ty - oświadczył Wells. - Doprowadzili Koran do zwyrodnienia. Pragną powrócić do życia na pustyni. Posłuchaj, chrześcijaństwo również nie jest idealne. „Zabijcie ich wszystkich; Bóg rozpozna swoich.” Wiesz, czyje to słowa?

- Oświeć mnie, ty, który jesteś mędrcem.

- Osiem wieków temu katolicka armia zaatakowała wyznawców odłamu chrześcijaństwa, sektę zwaną katarami, zamieszkałą na południu Francji w mieście Beziers. Jednak krzyżowcy stanęli wobec problemu. W Beziers mieszkali bowiem katolicy i katarzy. W tej sytuacji zwrócili się do opata, który dowodził wojskami: „Co powinniśmy zrobić, kiedy przejdziemy przez mury? Jak odróżnimy katolików od katarów?”. Wiesz, co odpowiedział opat?

- Kontynuuj, proszę.

- Powiedział wtedy: „Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich” *.

* Słowa przypisywane legatowi papieskiemu Arnaudowi Amaury

Duto wstał i pochylił się nad stołem, zbliżając twarz do twarzy Wellsa.

- Zamknij ten pierdolony ryj - wycedził cichym głosem.

- Przychodzisz tu ze swoimi historiami, pieprzonymi przypowieściami nie wiadomo o czym, tego wieczoru, kiedy twoi koleś detonują bomby w Los Angeles? Jeśli będę potrzebował lekcji historii, poproszę o nią. Co to, szukasz nowych wiernych? Być może jesteś głupszy niż sądziłem. Ale tym gorzej dla ciebie.

Tym razem Duto nie udaje gniewu, pomyślał Wells. Zastanawiał się, czy nie posunął się o krok za daleko.

- Vinny.. - odezwał się Shafer.
- Na twoim miejscu, Ellis, trzymałbym gębę na kłódkę
- przerwał mu Duto, nie odwracając wzroku od Wellsa.
- Większość muzułmanów nie pragnie zwycięstwa bin Ladena - podjął Wells. - Popierają go jedynie dlatego, że czują się bardzo wyobcowani.
- Jak choćby ty
- Wells zastanawiał się, czy Duto rzeczywiście uważał go za zdrajcę.
- Nie to miałem na myśli.
- Jeszcze jakieś orędzie, John?
- Wells nie odezwał się.
- Dobrze - pochwalił go Duto. - Pytam ostatni raz. Czy wiesz cokolwiek na temat ostatniego wieczoru?
- Nie. Ale coś się szykuje - odpowiedział. - Być może jeszcze nie teraz, ale jednak coś.
- Świetny cynk - skomentował z ironią Duto.
- Może powinniśmy przespać się trochę - zaproponował Shafer. - Mamy dla ciebie pokój gościnny, John.
- Wells przytaknął. Sen wydawał się bardzo dobrym pomysłem.
- Po południu zamierzamy wziąć cię na pudło - oznajmił Duto.

Wells potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, co znały te słowa. Wariograf Spojrzał ponad stołem na tych, którzy go przesłuchiwali. Duto nie krył się ze swoim nastawieniem. Shafer: wygnieciona koszula, włosy w nieładzie. Wszystko w nim było niechlujne poza spokojnymi oczyma, którymi spoglądał na Wellsa jak na nieudany eksperyment. I Exley Jenny. Czoło zmarszczone niepokojem. I te piękne niebieskie oczy. Wydawało mu się, że widzi w nich współczucie. Ale mógł się mylić.

Teraz przemówiła cichym głosem:

- Nie masz wyboru, John. Tak samo jak my.

Potem zamilkła, czekając, aż Duto ponownie ją zrugą.

Miała rację, Wells o tym wiedział. Potrzeba badania na wykrywaczu kłamstw wynikała z chęci biurokratycznych dupków do posiadania alibi oraz z ich prawdziwej wiary w potęgę wariografu. Ludzie z CIA rozkoszowali się myślą, że czarne linie wykresów prezentowały prawdę, najrzadszy z klejnotów. Jeżeli nie wyrazi zgody na badanie, nigdy więcej nie obdarzą go zaufaniem. Być może nawet go aresztują, nie był jednak pewny, pod jakim zarzutem. Niewykluczone, że za posiadanie fałszywych dokumentów. A może wyślą go na placówkę w zapadłej dziurze. Nigdy już mu nie uwierzą.

Oczywiście, prawdopodobnie nie będą mu ufać, choćby nawet przeszedł test. Wiedzieli, że jest w stanie oszukać wariograf. Szkolili go kiedyś w tej umiejętności.

- Mamy więc kafkowski dylemat? - zapytał Wells.

- Wygląda to bardziej na paragraf dwadzieścia dwa - wyraził swoją opinię Shafer.

Wells nie mógł powstrzymać śmiechu.

- To nie jest śmieszne - podskoczył Duto.

- Jenny ma rację - zgodził się Wells. - Weźcie mnie na pudło.

Duto wstał, zamierzając wyjść, przedtem jednak wziął do ręki Koran Wellsa.

- Chcesz to z powrotem, John?

- Czy to też jakiś test? - zapytał Wells. - Tak, chcę.

Duto z pogardą rzucił księgę w poprzek stołu.

- Rozumiem - odparł. - To dla ciebie specjalna książka.

Exley siedziała samotnie przy stole konferencyjnym, odtwarżając moment, w którym Duto przypomniał jej miejsce, jakie zajmowała w szeregu. Nie chodziło jedynie o to, że kazał jej się zamknąć czy o wyzwiska pod adresem Wellsa. Vinny pragnął pokazać Johnowi, kto tu jest alfą, dominującym samcem. Uważała tę taktykę za błędną - Wellsa nie dało się

zastraszyć - lecz Duto zdecydował się na podjęcie takiej pró-
by Potwierdził to, uderzając w najsłabsze ogniwo. W nią.
Mężczyźni to słabeusze pod względem intuicji. Nikt nie pró-
bował jej bronić, nawet Wells, któremu usiłowała przyjść z
odsieczą. W basenie z rekinami każdy chce ratować najpierw
siebie. Być może pozostali nawet nie zauważyli tego, co się
stało. Nie po tym, jak Duto wściekle zaatakował Wellsa. Nie
mogła jednak przestać o tym myśleć.

Gdzie się podziała jej pewność siebie? Znała odpowiedź.
Rozwód, praca bez końca... i uczucie, że ani jedno, ani drugie
się nie liczyło. Nie mogła zaprzeczyć, że zazdrościła zama-
chowcom al-Kaidy tej pewności i determinacji. Choć zawsze
byli w błędzie, nigdy nie wątpili.

W pokoju Wellsa znajdowało się podwójne łóżko, od-
dzielna łazienka z kabiną prysznicową i toaletą, a nawet wą-
skie okno wychodzące na teren kampusu Agencji, obficie
porośnięty zielenią. Gdyby nie kamery zainstalowane w ro-
gach, trudno byłoby stwierdzić, że to cela.

- Niezły standard - powiedział do Dexa, funkcjonariusza
ochrony z sali konferencyjnej.

- Robię tylko to, co mi każą,

- Ty i wszyscy pozostali.

- Prześpij się trochę. Wróć w południe.

Dex wyszedł. Drzwi się zamknęły ze szczękiem elektro-
magnetycznego zamka. Wells zorientował się, że został uwię-
ziony

Od kiedy wyjechał z Missouli Greyhoundem, prawie nie
zmrugał oka. Zanim jednak położył się do łóżka, otworzył
Koran i wyrecytował dziewięćdziesiątą czwartą surę, werset
o niezwykłej urodzie.

Czyż nie otwarliśmy twojej piersi?

*Czyż nie zdjęliśmy z ciebie twego brzemia,
które przytłaczało ci plecy?*

*Czy nie rozgłosiliśmy
twojej sławy?
Obok trudności jest łatwości
Zaprawdę, obok trudności jest łatwości
Przeto kiedy masz wolny czas,
bądź skupiony
i do twego Pana skieruj twoje pragnienia.*

Położył się i natychmiast zasnął.

Wells skrył się za skalnym blokiem, gdy mężczyzna w czarnej szacie podążał w jego kierunku z batem w dłoni. Trzask! Batog śmignął ku niemu. Powietrze było duszne i zatechłe, nad głową piskliwie wrzeszczały nietoperze. Zagubił się we wnętrzu jaskini - odległe światelko wskazywało wyjście, ale mężczyzna w czerni blokował drogę ucieczki. Kto to był? Khadri? Duto? Bin Laden? Wells byłby bezpieczny, gdyby zdołał odpowiedzieć na to pytanie. Skulił się mocniej za skałą. Trzask! Cała jaskinia zaczęła drżeć, ściany się trzęsły Ciężki odłam skały oderwał się od stropu i rozbił obok niego. Kłęby pyłu gryzły go w oczy Mężczyzna znikł, a Wells zaczął biec w kierunku wyjścia z jaskini. Światelko nagle znikło, zaś grunt przemienił się w grzaskie błoto. Potknął się i wpadł w grzęzawisko, które wkrótce zatkało mu nos oraz usta.

Shafer potrząsał jego ramieniem.

- Przepraszam - powiedział Shafer. - Pozwoliłem sobie wejść do środka. Wygląda na to, że przyśnił ci się koszmar.

- Nie miewam koszmarów - oparł Wells.

Ten jednak był łatwy do odczytania. Czuł się jak w pułapce. Co za szok.

- Większość ludzi miałaby koszmary po tym, co przeszedłeś i nie przetrwałaby tego, co przeżyłeś.

- Nie jestem taki jak większość ludzi.

- Nie bądź taki drażliwy.
- Wells poczuł nagły gniew
- Chcesz przez to powiedzieć, że pozwolili mi żyć, bo przeszedłem na ich wiarę?
 - To miał być komplement, John. Wierz w to lub nie.
 - Jasne. Każdy musi odwalać swoją robotę, Ellis - rzekł z sarkazmem Wells. - Duto jest złym gliniarzem, a ty jesteś tym dobrym.
 - Duto nawet nie wie, że tu jestem. Wątpię, czy byłby szczęśliwy, gdyby się dowiedział. Różnimy się nieco w poglądach.
 - Tak? - zdziwił się Wells. - Na przykład?
 - Cóż, jestem zdania, że on jest kutasem klasy A, a on uważa się za kutasa klasy B.
- Wells się roześmiał.
- Jak długo oszczędzisz mi gadki, że będzie mi dużo łatwiej, jeśli powiem wam wszystko bez zbędnej zwłoki?
 - Jeśli rzeczywiście bylibyśmy zdania, że przeszedłeś na drugą stronę, byłbyś traktowany znacznie gorzej - odparł Shafer, cofnął się i wskazał na koszulę oraz dżinsy, przerzucane przez oparcie krzesła. - Twoje rzeczy, z hotelu.
 - Ellis... - zaczął Wells, ale nie dokończył.
- Chciał zapytać Shafera o Exley, o jej zdanie, ale zdecydował, że lepiej będzie przeprowadzić tę rozmowę bezpośrednio z nią.
- Tak?
 - Dzięki - powiedział Wells.
- Shafer zerknął na zegarek.
- Za godzinę masz badanie na wariografie.
 - Czy jestem więźniem, Ellis?
 - O tym zdecydują prawnicy. Powiedzmy, że jesteś naszym gościem.
 - Jak w Hotelu Kalifornia?
 - Starzejesz się, John - rzekł Shafer, otwierając drzwi.

- Nie są zamknięte?

- Nie dla mnie.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Wells nie przechodził badania na wariografie od czasu szkolenia. Zaskoczyło go, że płaski monitor przy biurku osoby prowadzącej test zastąpił przyrząd z taśmą papieru oraz pisakami. Reszta pomieszczenia się nie zmieniła: beżowe ściany, fotele z grubym obiciem, no i oczywiście lustro feniczne na przeciwległej ścianie.

- Proszę usiąść - powiedział prowadzący badanie facet o wyglądzie twardziela, tuż po pięćdziesiątce, o grubych przedramionach i nieprzyjemnym zezie sierżanta sztabowego piechoty morskiej. Umocował na ramieniu Wellsa opaskę do pomiaru ciśnienia krwi, potem obwiązał mu tors gumowymi wężykami i podpiął elektrody do jego palców

- Podwiń nogawkę.

Wells się zawahał, potem podwinął. Testujący ukląkł obok lewej nogi badanego. Ściągnął w dół skarpetkę Wellsa i wyciągnął z kieszeni brzytwę.

- Nie ruszaj nogą.

Ogolił skrawek skóry na łydce Wellsa i przykleił w tym miejscu kolejną elektrodę. Potem podszedł do monitora w celu sprawdzenia odczytów

- Jak się nazywasz? - jego ton był szorstki, jak gdyby Wells był więźniem.

John utrzymywał nerwy na wodzy, przywołując przed oczy wyobraźni widok przełęczy Zagubionego Szlaku w górach Montany.

- Wyluzuj, zabójco - odparł hardo. - Jak ty się nazywasz?

- Możesz mówić do mnie Walter. Jak się nazywasz?

- Walter kto?

- Imię i nazwisko?

Wells był świadom, że nie jest w stanie wygrać tej walki. Mógł albo zerwać elektrody i wyjść - wracając tym samym

do początku sprawy - albo udzielać odpowiedzi na pytania Waltera.

- John Wells.
- Miejsce urodzenia?
- Hamilton, stan Montana.
- Kiedy?
- Szóstego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku.
- Rodzeństwo?
- Nie mam.

Walter powoli przechodził przez etapy biografii Wellsa: nazwisko nauczycielki z pierwszej klasy, marka i model pierwszego samochodu. Czasem przechodził od pytania do pytania szybko, kiedy indziej zwalniał, popijając wodę z butelki i rozważając - lub udając, że rozważa - następną kwestię. Atmosfera w pomieszczeniu stała się ciężka, Wells zastanawiał się, czy celowo wyłączono klimatyzację. Zachowywał spokój i cierpliwość, wiedząc, że Walter pragnie go zirytować, osłabić w nim koncentrację, by najważniejsze pytania mogły wydać się igraszką. W końcu przeszli do konkretów.

- Kiedy po raz pierwszy pojechałeś do Afganistanu?
- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym.
- Jesteś pewien?
- Nie sądzę, bym mógł to zapomnieć.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Nie chodzi mi o wyjazd na zlecenie Agencji.
- Chodzi ci o to, kiedy Osama zadzwonił do mnie po ukończeniu college'u i powiedział, że ma dla mnie robotę?

O to ci chodzi? Daj spokój, Walter.

Walter powstrzymał się od komentarza.

- Nigdy nie byłem w Afganistanie przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym rokiem - wycedził powoli Wells. - Nie jeździłem nigdy do Afganistanu poza podróżami na zlecenie Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Jak tam docierałeś?
- Leciałem do Islamabadu, potem okazją przejeżdżałem przez granicę. Rutynowy szlak.
- Jaki miałeś status?
- NOC. - To był nieoficjalny status agenta, który nie był oficjalnie powiązany z rządem USA. - Byłem turystą z plecakiem, drobnym ćpunem.

- Czy odczuwałeś stres?

Wells się roześmiał.

- Byłem zbyt głupi, żeby odczuwać stres.
- Ktoś w Kabulu wiedział, że przyjeżdżasz?
- Czy nie walczyliśmy już tego tematu?
- Byłeś w kontakcie z al-Kaidą, zanim wyruszyłeś na pierwszą misję?
- Nigdy nie słyszałem o bin Ladenie przed pierwszą misją.

Odpowiedź zdawała się satysfakcjonować Waltera. Przeszedł wraz z Wellsem przez szczegóły pierwszego wyjazdu do Kabulu i Kandaharu. Badany odpowiadał mechanicznie, wspominając Afganistan: ciężki, słodkawy zapach koziego mięsa opiekanego na rożnie; jęki wyczerpanego konia, okładanego na śmierć batem za to, że nie był w stanie ciągnąć dalej wozu; Afgańczycy, tacy gościnni i jednocześnie tacy okrutni.

Pstryknięcie palców Waltera wyrwało Wellsa z zadumy

- Skoncentruj się.
- Czy mogę napić się wody?

Nie chciał prosić, ale bardzo męczyło go pragnienie. Walter wyciągnął z torby butelkę, a Wells pił dużymi łykami. Po raz pierwszy poczuł jakąś więź z Walterem. Obaj byli profesjonalistami, wykonującymi swoją robotę. Co oczywiste, Walter chciał, żeby Wells tak właśnie się poczuł.

- Co robiłeś w Kabulu za pierwszym razem?
- Próbowałem zwerbować agentów. Bez powodzenia.

- Co poszło nie tak?
- Od czego powinienem zacząć? Bardzo słabo mówiłem w paszto. Amerykańskie prawo zabraniało mi kaperować ludzi zaangażowanych w terroryzm. Pamiętasz tamten przebłysk geniuszu, Walter? Miałem pieprzone dwadzieścia siedem lat i zamierzałem zwerbować gości, którzy od tysiąca lat okłamywali wszystkich wokół siebie.

- Nie zdołałeś pozyskać choćby jednego informatora?

- Nawet nie usiłowałem. Groziło to zdekonspirowaniem i zawiśnięciem na suchej gałęzi.

Walter podszedł do Wellsa.

- Kiedy poinformowali cię o jedenastym września?

Nagła zmiana tematu stanowiąca stary trik, ale wciąż skuteczny Puls Wellsa przyspieszył.

- Dowiedziałem się o tym po fakcie, jak każdy

- Dlaczego nie ostrzegłeś wcześniej Agencji?

Udawanie, że nie dosłyszało się odpowiedzi przeczącej, było kolejnym sprawdzonym chwytem.

- Powiedziałem już, że nic wcześniej nie wiedziałem.

- A więc zawiodłeś.

- Zawiodłem.

- Jaka była twoja rola w zamachach w Los Angeles?

- Nie brałem w tym udziału.

Walter cofnął się i spojrzał na monitor.

- Kłamiesz.

- Nie.

- Wariograf twierdzi, że nie mówisz prawdy

- W takim razie się myli.

- Kiedy wjechałeś na obszar Stanów Zjednoczonych?

- Przed tygodniem.

- Znów kłamiesz.

Wells pokiwał przecząco głową.

- Nie.

- Ilu ludzi zabiłeś?

- Chyba piętnastu.

- Chyba? - spytał szyderczo Walter.
- Nie prowadziłem dokładnego rejestru.
- Amerykanie?
- Nie.
- Ilu Amerykanów, John?
- Żadnego. Nigdy

Teraz pytania padały szybko.

- Ale chcesz zabijać Amerykanów?
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Co?
- To właśnie robi al-Kaida, czyż nie tak? Jesteś agentem al-Kaidy
- Przeniknąłem do al-Kaidy na polecenie Agencji.
- Czy Agencja kazała ci również przejść na islam?
- Nie.

Walter pochylił się nad Wellsem.

- Czy al-Kaida dysponuje bronią masowego rażenia?
- Nie sądzę.
- Nie sądzisz?

Walter zachowywał się teraz tak, jakby nie rozmawiał z buntownikiem, lecz z niezbyt byстрыm pięcioletnim dzieckiem. Wells żałował, że nie może zerwać się z krzesła i złać Walterowi karku, lecz jego głos pozostał spokojny

- Zdobycie takiej broni stanowiło dla nich najwyższy priorytet, ale nigdy nie widziałem dowodu, że się im udało.

- Byłeś w szeregach al-Kaidy tyle lat i nie wiesz, czy są w posiadaniu broni masowego rażenia? Kiepski z ciebie agent, nieprawdaż?

- Chyba kiepski.
- Albo przeszedłeś na drugą stronę.

Wells wstał, zerwał elektrody i opaski aparatu mierzącego ciśnienie. Drzwi się otworzyły i wszedł Dex z ręką na pistolecie.

- Uspokój się - poradził funkcjonariusz ochrony

Wells usiadł.

- Powiedz Vinny'emu, że teatryk dobiegł końca - oznajmił. - Pytaj mnie, o co chcesz, nazywaj mnie głupcem, ale nie imputuj mi, że jestem zdrajcą.

Walter wyszedł, a Dex przysiadł na narożniku biurka, nie zdejmując dłoni z glocka.

- Niech zgadnę - powiedział Wells. - Tylko wykonujesz rozkazy

W sąsiednim pomieszczeniu Exley i Shafer obserwowali przez fenickie lustro przebieg badania. Towarzyszyła im Regina Burke, specjalistka od wariografu, która analizowała dane przekazywane przez komputer w trakcie testu.

W czasie badania Regina, drobna kobieta z krótkimi szarymi włosami, przysuwała się coraz bliżej monitora. Od czasu do czasu klikała myszką, zaznaczając linie biegnące przez ekran. Exley żałowała, że nie jest w stanie odczytać linii w arkuszu odpowiedzi. Nie musiała być jednak profesjonalistką od badań wariograficznych, żeby dostrzec, iż Walter nie-
źle załazł Wellsowi za skórę.

Kiedy Wells nie wytrzymał, Regina sięgnęła po telefon.

- Czy możesz powiadomić pana Duto o tym, że badany przerwał test na wykrywaczu? - poprosiła.

Odczekała chwilę.

- Dziękuję - odparła i odłożyła słuchawkę. - Sekretarka Duto powiadomiła mnie, że jej szef zjawi się tu za kilka minut.

Do pomieszczenia wszedł Walter.

- No i? - zagadnął Shafer.

- Mówi prawdę - odpowiedziała Regina.

- Tak - potwierdził Walter.

- Do jakiego stopnia jesteście pewni? - chciała wiedzieć Exley

- Nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności - odparła Regina. - Ale jego odpowiedzi są psychologicznie

spójne. Nie pobudził się emocjonalnie w stresie, co miałyby miejsce, gdyby usiłował kłamać.

- Jeśli oszukuje, jest naprawdę świetny - dodał Walter.
- Moim zdaniem jest lojalny

Exley skierowała wzrok na Wellsa, który wpatrywał się w lustro z ponurą miną. Od czasu do czasu chodził po pokoju, z jednego narożnika w drugi, powolnymi, długimi krokami, które obserwował Dex. Przed paroma tygodniami Exley zabrała dzieci do zoo. Gdy spoglądała teraz na Wellsa, widziała tygrysa krążącego po klatce. Gdyby nie zachowali ostrożności, mógłby nie utrzymać furii w ryzach, pomyślała.

Duto skrzywił się, kiedy usłyszał raport Waltera.

- Pozwoliłeś mu przerwać? Pozwoliłeś facetowi na krzesła mówić, co masz robić?

- To nie tak - bronił się Walter. - On nie kłamie.

- Być może jest za twardy na ciebie i potrzebuje bardziej represyjnego środowiska.

Magiczne słowa. Represyjne środowisko oznaczało tygodnie bez snu w celi zbyt małej, by móc w niej swobodnie stać; deprywację sensoryczną w ciemnym, pozbawionym okien pomieszczeniu aż do chwili nadejścia halucynacji. Represyjne środowisko nie oznaczało torturowania, lecz było od nich zaledwie o krok.

Exley uznała, że jeśli teraz czegoś nie powie, równie dobrze może zrezygnować z pracy w Agencji.

- Vinny, nie możesz tego zrobić - jej głos nawet nie zadrżał.

- Czy pytałem o pozwolenie?

- Zapomniałeś o tym, że on jest amerykańskim obywatelem, a to byłoby nielegalne. On nam może pomóc.

- Pozwól, że wyłożę ci to jasno - zaperzył się Duto. - Od długiego czasu nie dostarczył nam żadnej informacji. A ta gadanina o islamie dopełnia czarę goryczy.

- Jest jedynym agentem, który zdołał przeniknąć do al-Kaidy - broniła się Exley

- Już go tam nie ma. Z tego, co wiemy, nie mówi prawdy na temat spotkania z Zawahirim. Nawet jeśli to prawda, co udało mu się zdobyć? Parę docłóców i podróż do domu? Nie ufają mu ani na jotę więcej niż ja.

W tej chwili Duto wyjawiał prawdziwe przyczyny nieugiętej postawy wobec Wellsa, pomyślała Exley. Nie obchodziła go kwestia lojalności Johnsa. W jego oczach Wells zawiódł, Duto zaś był gotów zrobić wszystko, byle zdystansować się od porażki.

- Vinny, restrykcyjne środowisko jest niedopuszczalne. - Shafer poparł Exley

- Niedopuszczalne dla kogo?

- Zapomnij o tym.

- Kogo zamierzasz powiadomić, Ellis? - zapytał Duto ze wstrętem. - Twoich przyjaciół w Senacie? „Washington Post”?

Rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz spostrzegł Reginę, Waltera i Exley, wyobrażając sobie, co mogliby wyjawiać, gdyby wezwano ich do złożenia zeznań..

- Dobrze - zgodził się Duto. - Idzie jeszcze raz na wariograf.

- Już przeszedł test - zaprotestował Shafer. - Dlaczego nie porozmawiamy z nim jutro w przyjaznej atmosferze? Dowiemy się wtedy więcej o tych gościach, Khadrim i Faruku. Być może Wells będzie w stanie skojarzyć nazwiska i twarze. Może wie więcej niż mu się wydaje.

- Wątpię w to. Czy to twoja służbowa rekomendacja, Ellis?

- Możesz tak to nazwać.

- Sformułuj ją na piśmie, a ja wezmę ją pod rozwagę. Mówiąc prawdę, może w ogóle nie powinniśmy zatrzymywać pana Wellsa. Co sądzicie o tym, żeby go wypuścić i pozwolić mu się udać, dokąd zechce?

- O ile będziemy go mieli pod obserwacją - zgodził się Shafer. - Może jakaś pluskwa?

- Pluskwa. On to uwielbia. Wsadź ją sobie również w swoją notatkę - zadrwił Duto i zwrócił się do Waltera. - Po południu chcę mieć pełny raport z badania na wykrywaczu. Dziękuję.

Skończył mówić i wyszedł.

Exley była po części pod wrażeniem, po części zaś czuła się zniesmaczona. Ci faceci rozgrywali biurokratyczne gry z taką bezwzględnością, że łatwo mogli zapomnieć, kto jest prawdziwym wrogiem. Shafer zyskał kontrolę nad Wellsem, ale Duto zmusił Shafera do tego, by sam podjął decyzję o dalszych działaniach. Żaden tego rodzaju konflikt nie miał najmniejszego znaczenia dla dzieciaków, które zginęły w Nowym Jorku.

- Chodźmy po naszego chłopca - ponaglił ją Shafer.

W korytarzu Shafer zatrzymał się i nachylił do Exley

- Kiedy tam wejdziemy, nie mów Johnowi, że pozytywnie przeszedł test na wariografie. I nie okazuj zbyt wiele sympatii.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi w tym względzie. Nie chcę, by się czuł na zbyt komfortowo.

Dlaczego zatem nadstawiasz karku, by wyrwać go z rąk Duto, zdziwiła się. Ale Shafer nie miał zamiaru jej tego wyjawić, zatem nie pytała. Stało się coś bardzo ważnego. Bardzo chciała wiedzieć, co to było.

Tego wieczoru Shafer przeniósł Wellsa do kryjówki CIA w pobliżu Kapitolu. Oglądany z zewnątrz budynek wyglądał jak każdy inny podupadły miejski dom. W środku w każdym pokoju zainstalowano kamery i alarmy. Mimo to monitoring nie był zbyt natarciwy. W nocy dwóch strażników pełniło służbę na zewnątrz. Wells nosił elektroniczną bransoletkę

założoną na kostkę, która sygnalizowała miejsce jego pobytu.

Każdego dnia Dex woził Wellsa na rozmowy z Shaferem i Exley. Zachowywali się przyzwoicie, ale trudno było to nazwać postawą pełną sympatii. Żadne z nich nie wspominało badania na wykrywaczu kłamstw, on natomiast nie pytał. Większość czasu mijała mu na wyjaśnianiu struktury al-Kaidy i identyfikowaniu jej członków na podstawie zdjęć uzyskanych w drodze inwigilacji. Był pewien, że nie pokazano mu nic nowego ani ważnego. Po tym, jak wspomniał o oksfordzkim akcencie Khadriego, Shafer pokazał mu fotografie każdego arabskiego studenta, który uczęszczał do Cambridge i Oksfordu w ciągu minionych dwudziestu lat. Żadna z nich nie była tą właściwą. Nazwisko Omar Khadri nie pojawiło się również w bazie danych NSA. Kimkolwiek był ten człowiek, wciąż krył się w cieniu, co czyniło go osobnikiem bardzo niebezpiecznym.

Wells nie cierpiał, gdy zostawiano go w stanie zawieszania. Nie wspomniał ani razu o adresie e-mailowym, który założył dla niego Khadri, obawiając się, że jeśli tamten wysłał jakąś wiadomość, Agencja zechce natychmiast zastawić na niego pułapkę. To zaś nie miało żadnych szans powodzenia. Khadri nie ufał Wellsowi, w przeciwnym razie wyjawiłby swoje plany. Wells musiał zasłużyć na zaufanie Pakistańczyka, chociaż nie chciał zgadywać, do czego miałby się posunąć, by je osiągnąć. Khadri z pewnością zaplanował następny atak i - bez względu na szczegóły - mógł obyć się bez pomocy Wellsa. Musieli zwinąć od razu całą siatkę Khadriego, ale potrzebny był ktoś w jej strukturze. By pokonać Khadriego, Wells musiał zyskać swobodę manewru, a tym właśnie nie dysponował.

Exley i Shafer nie mówili zbyt wiele o szczegółach dochodzenia w sprawie zamachów w Los Angeles, lecz Wells nie musiał pytać. Z „New York Timesa” i „Washington Post” mógł się dowiedzieć, że postępy śledztwa były marne.

Dzienniki wypełniały komentarze anonimowych agentów FBI na temat trudności w rozpracowaniu sprawy, w której zamachowców nie dało się zidentyfikować, nie mówiąc już o ich przesłuchaniu. W stacjach CNN i Fox gadające głowy obwiniały FBI oraz CIA o porażkę w udaremnieniu bombowych ataków i roztrząsały kwestię, czy zamachy oznaczały nadejście nowej fali terroryzmu. Wells był przekonany, że zna odpowiedź na to pytanie. W tydzień po szoku zamachów i postawieniu zaimprovizowanych pomników, większość ludzi - zwłaszcza mieszkańców południowej Kalifornii - wydawała się odsuwać te zdarzenia w niepamięć.

„Jestem po prostu szczęśliwy, że nie było gorzej” - wypowiadał się ktoś na łamach „Timesa”. - „To jakby cena za to, że jesteśmy Amerykanami.” Gość z pewnością nie byłby taki niefrasobliwy, gdyby wiedział, co się dzieje w CIA i pozostałych agencjach, które miały go chronić, pomyślał Wells. Marnotrawstwo, biurokracja, brak skuteczności... Do tych ataków wcale nie musiało dojść. Zamiast dopomóc w ich powstrzymaniu, on siedział beczynnie w kryjówce tylko dlatego, że nie pocałował w dupę Vinny'ego Duto.

Po dwóch bezowocnych tygodniach zdecydował się na ucieczkę. Być może popełniał błąd, ale jakież miał wybór? Przecież Khadri mógł podjąć już próbę nawiązania z nim kontaktu, a kolejny zamach - być tuż-tuż.

Była połowa kwietnia, w całym Waszyngtonie zakwitły bujnie drzewa wiśni. Burze z piorunami przeszły już przez miasto, zwiastując nadejście skwarne go lata. Lecz ten piątkowy wieczór był niezwykle chłodny jak na tę porę roku. Wells założył kurtkę i wyszedł z kryjówki, kierując się na zachód, w stronę Kapitolu. W dłoni miał papierową torbę, w której znajdowały się młotek i śrubokręt - kupił je poprzedniego dnia. Czarny ford sedan zaparkowany trzy domy dalej ruszył powoli za nim, jak działa się to za każdym razem, kiedy Wells opuszczał dom. Kwartał dalej z miejsca ruszył inny ford.

Wells spacerował po okolicy każdego wieczoru, od kiedy Shafer go w kryjówce umieścił, i był pewien, że inwigilacja kończyła się tutaj - nie było tu spacerowiczów, zamaskowanych aut, snajperów czy podglądaczy. Czuł się niemal obrażony. Wydawało się, że nie wiedzą lub nie martwią się tym, jak łatwo może ich zgubić. W małym sklepie ogólnospożywczym przy A Street kupił colę, potem ruszył w stronę domu, śledzony przez ludzi w dwóch samochodach marki Ford.

Dochodziła dziesiąta wieczór. Utwierdził się w decyzji i czekał na odpowiednią taksówkę. Status Wzgórza Kapitolu nie dotarł tak daleko na wschód; spostrzegł przygodnego pieszego z czworonogiem, ale na ulicy nie było prawie nikogo. Z okien domów po drugiej stronie przebijała upiorna niebieskawa poświata włączonych telewizorów. Wells sączył colę i uśmiechnął się do zespołu inwigilującego z Forda; świerzbila go nawet ręka, by im pomachać. Czuł się jak dzieciak, który po raz pierwszy w ciągu całego lata decyduje się na skok do wody z dużej wysokości.

Podjechała taksówka z zaciemnionymi szybami. Idealnie. Wells machnął ręką.

- Nie będzie przeszkadzać, jeśli usiądę z przodu?

Kierowca, czarny mężczyzna w wieku pięćdziesięciu paru lat, zmierzył go wzrokiem. Przez radio nadawano relację z meczu Orioles-Red Sox; właśnie rozpoczęła się jedenasta runda.

- Oczywiście, że nie. Uważaj na mój kapelusz. Na siedzeniu pasażera leżała brązowa fedora. Wells wsunął się do środka.

- Dokąd?

- East Cap. Benning Road.

- Wysiadaj.

East Cap, położone o trzy kilometry dalej po drugiej stronie rzeki Anacostia, było jedną z najbiedniejszych dzielnic stolicy, w której znajdowały się niemal wyłącznie osiedla

społeczne. Taksówki zapuszczały się tam niechętnie nawet w ciągu dnia.

Wells wręczył facetowi dwadzieścia dolarów

- Będzie więcej.

Taksówkarz spojrział na niego podejrzliwie.

- Szukasz koki?

- Nie.

- Bo w tym to ci nie pomogę.

- Żadnych prochów, przysięgam.

- Jakaś cipa?

- Żadnych cip.

Ruszyli z miejsca.

- Jak masz na imię? - zapytał Wells.

- Walter.

Wells roześmiał się mimowolnie, ostrym, krótkim rechem.

- Śmiesz cię moje imię?

- Po prostu poznałem innego Waltera. Też mi nie ufał.

- Jesteś dziwny, wiesz?

Przez radio usłyszeli, że pałkarz drużyny Orioles zdobył podwójne punkty.

- Wolisz Oriolesów od Nationalsów? - zapytał Wells.

- Zbyt długo kibicowałem tej drużynie, by teraz to zmieniać. A ty?

- Muszę przyznać, że jestem fanem Red Sox. Ale zawsze lubię dodatkowe rundy, bez względu na to, kto z kim gra.

- Są lepsi od Jankesów

Przemknęli obok Stadionu Roberta E Kennedy ego i wjechali na wiadukt, który krzyżował się z rzeką Anacostia i ulicą Dwieście Dziewięćdziesiątą Piątą, zatłoczoną trasą dowożącą ludzi do pracy, biegnącą równolegle do rzeki. Oba fordysy podążały za nimi. Jak na piątkowy wieczór ruch w East Cap był duży, i to w obu kierunkach, z czego Wells wyraźnie się ucieszył.

- Wiesz, że ktoś nas śledzi?

Wells wręczył Walterowi drugiego dwudziestaka.

- Nawet dwa auta. To przyjaciele. Prowadzimy grę.
- Grę - Walter spojrzał na Wellsa.
- To zabawa w kotka i myszkę.
- Nie mam zamiaru brać udziału w tym gównie.
- A jeśli dam ci za to kolejną stówę?

Walter odchylił połą marynarki tak, żeby Wells mógł dostrzec podniszczony rewolwer.

- Zaczynasz mnie wkurzać.

Wells pokręcił głową.

- Co powiesz na dwie stówy? To wszystko co mam.

Zjechali z wiaduktu i pięli się pod górę. Walter spojrzał twardo na Wellsa.

- Człowieku... Wlazłeś do mojej taksówki... - pokręcił głową. - Nie jesteś gliniarzem.

- Jeśli chcesz, wysiądę teraz.

Walter zasnurował usta. Wydawało się, że w myślach rzuca monetę. Potem przytaknął.

- Stowa wystarczy. Co teraz?
- Jak dobrze znasz East Cap?
- Lepiej niż ty, jak przypuszczam. Dorastałem tam.

Pędzili w stronę świateł wyznaczających skrzyżowanie Benning z East Capitol. Za nimi kolejne wzgórza prowadziły do najmniej ciekawych okolic miasta. Po prawej zarośnięty park, a właściwie miejski las, czai się ponad drogą niczym zjawia ze złego snu, w którym mieszkają potwory

- Dobrze. Zatrzymasz się w East Cap. Ruszysz szybko po zmianie świateł. Kiedy dojedziemy do szczytu wzgórza, znajdź lukę między autami, do której oni nie wjadą. Upewnij się co do tego. Skręcisz w lewo, przez linię. Kiedy znikniemy im z oczu, wyskoczę z samochodu. Ta potrwa zaledwie kilka sekund. Gdy zniknę, zamknij drzwi i zasuway dalej. Jeśli cię odnajdą, pozwól im się wyprzedzić, ale nie ułatwaj im zadania.

- Zamierzasz wyskoczyć?

- Nic mi nie będzie.

Stali na światłach; dwa fordy o kilka aut za nimi. Wells wyciągnął z torby śrubokręt. Wsunął go pod bransoletkę na kostce i przekręcił. Plastik naprężył się, potem puścił. Teraz nie było już odwrotu.

- O co tu chodzi? - zaniepokoił się kierowca.

- Jest taka piosenka. Napisana w latach dziewięćdziesiątych, nie pamiętam dokładnie - tłumaczył Wells, bardziej sobie samemu niż Walterowi. - „Czas jest wszystkim, czego ci trzeba do szczęścia”.

Taksówkarz kręcił głowę z dezaprobatą.

- Daj mi stówę, człowieku.

Wells wręczył mu setkę. Światła się zmieniły. Walter ruszył z kopyta.

Wells wyskoczył z taksówki z papierową torbą w dłoni. Wylądował bezpiecznie na barku i podniósł się na kolana, potem skrył się za tyłem zdezelowanego dżipa cherokee. Taksówka zniknęła. Wells zdołał dostrzec, że Walter zamknął już drzwi. Dwa fordy przemknęły w pogoni, bez włączonych syren, jedynie z migającymi kogutami. Po chwili one również zniknęły.

Cherokee się nadawał. Nie było w nim alarmu. Wells uderzył młotkiem w szybę obok miejsca pasażera z przodu, wybijając otwór. Walnął po raz drugi, poszerzając dziurę, potem wsunął rękę i otworzył drzwi od strony kierowcy. Obiegł dżipa dookoła i wsunął się do środka. Otworzył pokrywę wału kierownicy, posługując się śrubokrętem, potem zetknął ze sobą parę przewodów. Przy drugiej próbie silnik zastartował. Wells rozejrzał się po ulicy. W polu widzenia nie było żadnego forda. Odjechał z tego miejsca.

Zadzwoił do mieszkania Exley z budki telefonicznej przy Massachusetts Avenue.

- Halo - odezwała się po drugim dzwonku.

Jej głos był cichy i lekko przydymiony; paliła, kiedy Wells znał ja dawniej, teraz najwidoczniej rzuciła. Poczul, jak przechodzi go miły dreszcz.

- To ja - odezwał się.

- John?

- Będę pod twoim domem za pięć minut.

Odwiesił słuchawkę. Popelniał błąd, dzwoniąc do niej. Powinien już znajdować się w drodze do Nowego Jorku. Tam zostawiłby dzipa, zabrałby pieniądze zostawione w skrytce, potem wykupiłby bilet na przejazd liniami Greyhound do Atlanty trasą, która omijała Waszyngton. Exley była w stanie go zatrzymać, wykonując dziesięciosiekundowy telefon. Pragnął jednak się z nią pożegnać. Potrzebował wiary, że istnieje choć jedna osoba, której mógł zaufać.

Podbiegła do dzipa. Otworzył drzwi i wyciągnął rękę.

- Uważaj na szkło.

Usiłował strzepnąć okruchy na podłogę, ale nie udało mu się zrobić tego skutecznie. Zaskoczył go fakt, że miała na sobie spódnicę sięgającą kolan. Powinna częściej chodzić w spódnicy, pomyślał. Nawet talibowie by to zaaprobowali. Cóż, być może jednak nie.

Strzepnęła odłamki szkła i ostrożnie usiadła na fotelu. Ruszył z miejsca w kierunku ulicy Trzynastej.

- Ukradłeś to?

- Pożyczyłem - trzymał w dłoni dowód rejestracyjny dzipa. - Chyba jestem winien parę dolców niejakiej Elizabeth Jones.

- Dokąd jedziemy?

- Donikąd. Po prostu chciałem cię zobaczyć. Przez chwilkę.

- Dokąd się wybierasz?

- Daleko.

- John...

I nagle Exley zrozumiała. Shafer to ukartował, tak jak przed wieloma laty ukartował wyjazd Johna do obozów szkoleniowych. Shafer wiedział, że Duto, kierując się głupotą lub mściwością, zablokowałby każdą próbę działania podjętą przez Wellsa. Zatem Shafer wziął Wellsa na siebie. Potem pozwolił Johnowi wiercić się w klatce do czasu, aż ten doszedł do przekonania, że pozostała mu jedynie ucieczka. Z tego właśnie powodu nie poinformowali Wellsa, że przeszedł pozytywnie test na wykrywaczu kłamstw i wciąż trzymali go na dystans. Dlatego właśnie Shafer ulokował Johna w kryjówce, zamiast w silniej strzeżonym miejscu. To był jedyny sposób umożliwiający Wellsowi ucieczkę.

- To zbyt ryzykowne - powiedziała głośno Exley

A jeśli Duto spuści psy gończe? Ale chyba nie spuści. W jego oczach Wells nie był groźny i Vinny zapewne będzie szczęśliwy, pozwalając Shaferowi potknąć się z powodu ucieczki cenionego ulubieńca.

- Wiem, co robię - odparł Wells.

Naprawdę wiesz, John, dziwiła się w myślach Exley. Położyła dłoń na jego ramieniu.

Gdy Wells poczuł jej dotyk, zapragnął zjechać dżipem na pobocze i wziąć ją tu, na ulicy. Niech sąsiedzi patrzą. Niech zadzwonią na policję. A potem Langley zwolni ich oboje z aresztu, płacąc kaucję, pomyślał. Zdjęła dłoń z jego ramienia.

- John? Jest coś, nad czym się zastanawiam.

- Tak?

- Dlaczego pojechałeś zobaczyć się z Heather?

- To nie Heather chciałem zobaczyć. Chodziło o Evana.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Wells rozważał, czy właściwie zrozumiał jej pytanie: „Czy wciąż kochasz tamtą?”. Potem Exley znów położyła dłoń na jego ramieniu i wiedział, że miał rację.

- Opowiedz mi jakąś historyjkę - poprosił.

Żeby na moment odbiec myślami. Usłyszeć jej głos przez krótką chwilę, zanim znów zniknie.

- Jaką historyjkę?
- Cokolwiek. Wszystko mi jedno. Coś osobistego.

Zastanawiała się, o czym mu opowiedzieć. Całe jej życie było pracą. Czy miała tłumaczyć, dlaczego jej syn krzychał, kiedy widziała go ostatnim razem i powiedział, że bardziej lubi Randy ego niż ją? O tym, jak w sypialni nastawia radio na stację sportową nie dlatego, że kibicuje drużynie Nationals, lecz dlatego, że gdy budzi się o trzeciej nad ranem i włącza radio, ma pewność, że usłyszy męski głos?

- Chcesz posłuchać historyjki? - upewniła się.
- Dobrze.

Zanim zdołała się powstrzymać, zaczęła mówić.

- Opowiem ci o tej nocy, kiedy straciłam dziewictwo. Miałam piętnaście lat...

- Piętnaście?

W głosie Wellsa brzmiało zaskoczenie, pomyślała. Nie zdawał sobie sprawy, w co wdepnął. On również nie była do końca pewna. Nigdy wcześniej nie opowiadała tego żadnemu mężczyźnie, nawet mężowi.

- Chcesz, żebym kontynuowała? Ona pragnęła brnąć dalej.

- Proszę - jego głos znów był spokojny

- No więc miałam piętnaście lat. Moja rodzina przechodziła ciężki okres. Tato zawsze lubił sobie golnąć, ale wtedy zaczął pić na umór. Staczał się na dno przez kolejne pięć lat, ale my widzieliśmy, dokąd zmierzał. A mój brat Danny został dopiero co wywalony z pierwszego roku studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim. Usłyszał jakieś głosy i uderzył kolegę z pokoju w głowę butelką sosu Tabasco.

- Butelką Tabasco?

Roześmiała się, jakby coś sugerując.

- Wiem, że brzmi to śmiesznie, ale to nie była mała butelczka, jakie widuje się w restauracjach. Była dostatecznie

duża, by móc wyrządzić krzywdę. Postawiono mu zarzut napadu z bronią w rękę. Poszedłby do więzienia, gdybyśmy nie przekonali sędziego, że jest schizofrenikiem. Którym zresztą był.

- Nawet nie wiedziałem, że masz brata, Jenny
- Kilka lat później popełnił samobójstwo. Nie mówiłam

o tym.

Wells zwolnił i położył rękę na jej ramieniu.

- Exley
- Wielu z nich porywa się na własne życie, wiesz. Schizofreników - podjęła opowieść. - Po prostu nie był w stanie tego znieść.

Straciła jego dłoń. Wciąż jechali na północ ulicą Trzynastą. Wielokondygnacyjne apartamentowce ustąpiły miejsca jednopiętrowym domkom, które w mroku nocy niczym nie różniły się między sobą.

- Będziesz musiał mnie zaraz wysadzić - zmieniła temat. - Zadzwoń do mnie z informacją, że uciekłeś i będą się dziwić, dlaczego nie odbieram telefonu. Chcesz zatem usłyszeć resztę mojej historyjki czy nie?

- Wciąż chcesz ją odpowiedzieć?
- Tak. Dziwne, ale prawdziwe.

Nie wiedziała, dlaczego, chociaż może wiedziała. Ponieważ kiedy ją skończy, opowieść stanie się jego własnością, będzie prezentem od niej, którego nie podarowałaby nikomu innemu, na swój sposób bardziej intymnym niż jakikolwiek inny dar.

- A więc mam piętnaście lat, kończę szkołę, palę trawkę, uzewnętrzniam swoje emocje. Ubieram się na czarno. I to wszystko wokół mnie... No wiesz: stuknięty brat, ojciec alkoholik; ja zaś zaczynam ignorować matkę, chociaż ona ma najlepsze intencje. Na kilka dni przed szesnastymi urodzinami postanawiam, że absolutnie nie ma mowy, żebym była dziewicą, gdy zacznę szesnasty rok. Wspaniały plan, przynasz, John?

- Szczęściarz z tego chłopaka.

- Tylko... Nie. Nie miałam wtedy chłopaka. Nie chciałam też zrobić tego z kolesiem ze szkoły średniej. Pragnęłam mężczyzny. Kogoś, kto porządnie by mnie zerznął. Nie bardzo nawet wiedziałam, co to znaczyło, ale moje nowe koleżanki, te, z którymi chodziłam na wagary, zawsze opowiadały o facetach, którzy je pieprzyli, naprawdę pieprzyli. Część z tego było czczą gadaniną, być może nawet większość, wiedziałam o tym. Ale część nie. Tak więc na około dwa tygodnie przed moimi urodzinami Jodie, która była ode mnie o parę lat starsza i najmilsza spośród tych dziewczyn, powiedziała mi o przyjęciu, na które się wybiera - w Oakland, po drugiej stronie zatoki. I że będzie tam paru facetów z colleague. Namawiała mnie, żebym poszła. Następnego dnia oznajmiła, że sama nie może iść, ale ja wyprosiłam u niej adres. Matce powiedziałam, że wybieram się na jakiś koncert - pamiętam, że byłam tak bardzo szczęśliwa, że chciałam zaprezentować się jak najlepiej przed moją biedną mamą - zrobiłam się na bóstwo i wyruszyłam.

Zwolnił.

- Czy będzie to niestosowne z mojej strony, jeśli wyobrazę sobie, jak wtedy wyglądałaś?

- Wyglądałam dobrze. To znaczy, mogę to stwierdzić teraz, kiedy jestem stara i zaczynam się sypać. Byłam podniekszycytowana. Miałam na sobie spódniczkę mini oraz tamte buty... Matka miała wtedy dużo na głowie, inaczej nigdy nie wypuściłaby mnie z domu.

- Nie jesteś stara, Jenny

- Jesteś bardzo miły. No więc łapię szybką kolejkę BART do Oakland, ponieważ miałam za mało lat, żeby pojechać samochodem. Potem idę przez nędzne okolice, gdyż działo się to jeszcze zanim każdy metr kwadratowy w Bay Area stał się wart milion dolarów. Zaczynam się trochę deenerwować, ale w końcu znajduję ten adres. Jest tam głośno i jasno: wielkie przyjęcie w dużym, zaniedbanym domu. Było

tam kilku studentów z Berkeley, ale byli też studenci ostatniego roku oraz paru facetów z okolicy, którzy przechodzili obok, a nawet paru motocyklistów, ponieważ wtedy Oakland takie właśnie było. Jeśli wydajesz przyjęcie, lepiej zaprosić miejscowych. Dziewczyny były nieco młodsze od chłopaków, ale wszystkie co najmniej w wieku studentek college'u. Chwytam szklankę z piwem i pociągam parę sztachów marihuany z fajki wodnej, która miała chyba z metr dwadzieścia długości. I zaczynam się rozglądać za panem Właściwym.

- Jenny..

- Za późno. Pozwól mi skończyć.

Wiedziała, że musi powiedzieć mu wszystko. Żeby go sprowokować, żeby go podniecić - sama nie była pewna.

- I wpada mi w oko pewien blondas w typie surfera, wysoki, uroczy. Nie jakiś prymityw. Ma chyba dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Zaczynam kierować się w jego stronę, ale zanim udaje mi się do niego dotrzeć, chwytam mnie za rękę jakiś facet w czarnym podkoszulku. Na ramieniu ma parę tatuaży Przyciska mnie mocno do siebie. Pyta, czy chcę jeszcze piwa, a może czegoś mocniejszego, i jednocześnie wpycha mi język do gardła, kiedy to mówi. Ale odpycham go i znów ruszam do surfera.

Blondas jest zainteresowany; po niespełna pół godzinie jestem już z nim w sypialni na górze, obściskujemy się. On jest niezły, dostaje wzwodu, ja zaś mówię coś głupiego, w rodzaju: „Wsuń go we mnie”. Wtedy on spogląda na mnie i pyta: „Ile ty masz właściwie lat?” i już jest przy drzwiach, czmychając czym prędzej, kiedy ja mówię: „Ale chcę, żebyś mnie zerznął. Nie chcę być dłużej dziewczcą”.

- Więc jednak nie zmarnowałaś tamtej nocy?

- Pozwól dziewczynie dokończyć, John. Zeszłam więc na dół i znalazłam gościa z tatuażem. Mówię: „Może się jednak napijemy?”. Po dziesięciu minutach on mnie rżnie na stole bilardowym w suterenie, rżnie mnie ostro, podkładając pode mnie ręcznik, ponieważ tym najbardziej się przejmował

w kontekście mojego dziewictwa. Żeby nie poplamiała filcowego obicia stołu, „ponieważ znał gości, którzy wynajmowali ten dom”. Całość trwała prawdopodobnie pięć minut, ale dla mnie to było długo. Miałam szczęście, że byłam trochę wilgotna po obmacywance z surferem, w przeciwnym razie bardzo by bolało.

- Jenny..

- A ogier, kiedy skończył, rzuca kondom obok mnie, naciąga majtki, obraca się i wychodzi bez słowa, kiedy ja leżę na ręczniku całym we krwi.

Wells zjechał dżipem na pobocze drogi. Zaczął padać drobny deszcz, powodując mgiełkę na przedniej szybie i sprawiając, że reflektory świeciły wyraźnymi snopami. Samochody jechały powoli, prowadzone przez mężczyzn i kobiety pracujących w centrach handlowych lub szpitalach czy biurach w śródmieściu i prowadzących przyzwoite, ciche życie. Ludzi, których on nigdy nie pozna.

Dlaczego, Jenny, niemal zapytał na głos. Dlaczego to zrobiłaś? Ale się powstrzymał. Zrobiła to, ponieważ tego chciała i opowiedziała mu o tym, bo też tak chciała. Kim był, by ją osądzać? Wybór drogi życiowej nie dawał mu zbyt wiele moralnego autorytetu.

- Byłaś więc zadowolona, że to zrobiłaś? - zapytał w końcu.

Przesunęła się bliżej niego na siedzeniu i wiedział, że zadał właściwe pytanie.

- Tak. Nawet mimo tego, że nigdy więcej już czegoś podobnego nie zrobiłam. To jak kwaśny deszcz. Jakiś ślad pozostaje na długo. Prawda jednak jest taka, że dałam temu facetowi część siebie, mimo iż on był przekonany, że brał to ode mnie. Zrobiłam to tak, jak chciałam. Być może brzmi to niedorzecznie, ale tak właśnie to odbieram. Nigdy potem go nie widziałam. Nawet nie poznałam jego imienia. Chociaż jestem niemal pewna, że spotkałam go po latach w Berkeley, kiedy wychodziłam z zajęć w collegeu. Na szczęście byłam

w samochodzie ijechałam. Masz więc swoją opowieść, John, i mam nadzieję, że krew będzie ci szybciej krążyć w żyłach, kiedy odjedziesz.

Roześmiała się swoim przydymionym uśmiechem.

Spojrzał na nią, rozejrzał się dookoła, potem znów spojrział do tyłu.

- Czy mogę cię o coś spytać? - odezwał się w końcu, głosem tak cichym, że ledwie go słyszała.

- Żadnych więcej opowieści.

- Nie przyszedłeś na spotkanie tamtego wieczoru, w przeddzień mojego wyjazdu, prawda?

- Nie. Wiedziałam, że ty również nie przyszedłeś. Nieustannie marnujemy nasze szanse. A teraz, jeśli nie masz zamiaru spędzić więcej czasu z Vinnym Duto, lepiej odjedź.

- Jenny Jennifer...

Wiedziała, o co chciał zapytać, zanim słowa opuściły jego usta. Być może nawet zanim myśl została sformułowana w jego umyśle.

- Tak.

- Co tak?

- Tak, ufam ci, John. Oczywiście. Dlaczego, twoim zdaniem, powiedziałam ci przed chwilą to, co usłyszałeś?

Exley wydawało się, że Wells chce coś powiedzieć, ale on się nie odezwał. Pochylił się ku niej i przez chwilę myślała, że ją pocałuje. Zamarła w bezruchu, nie przysuwała się do niego, ani się nie odsuwała, jakby była zahipnotyzowana; spragniona, rozgniewana i przestraszona zarazem. Ale najbardziej spragniona. Wtedy on ją pocałował, poprzez kilometry i lata. Prosto w usta. Potem pocałunek przemienił się w gorący, namiętny i słodki, aż w końcu zmusiła się, by go przeżyć.

- Jedź - powiedziała.

- Posłuchaj. Znasz ten park w Kenilworth, Ogrody Wodne? - zapytał.

Ogrody były niewielkim parkiem narodowym usytuowanym na wschodnim brzegu Anacostii, w pobliżu osiedla domów czynszowych, gdzie Wells ukradł dzipa.

- W East Cap?

- Jeśli będę potrzebował twojej pomocy, zostawię ci wiadomość ze zwrotem „jak po maśle”. Tam mnie znajdziesz.

- A jeśli ja będę potrzebowała ciebie?

Nie odpowiedział. Przejechała dłonią po jego policzku. Uniósł podbródek, jak gdyby otrzymywał błogosławieństwo.

- Bądź ostrożny, John.

Milczał. W końcu się zaśmiał gorzko.

- Do zobaczenia.

Wysiadła. Przez chwilę się wahał, potem odjechał. Patrzyła, jak cherokee się oddala, jak znika jej z oczu - nawet wtedy nie przestała patrzeć. Jak gdyby mogła ściągnąć go z powrotem dzięki temu, że stała nieruchomo. Ponad wszystko w świecie pragnęła znów znaleźć się w tym dziupie.

Do zobaczenia, John.

Proszę.

Część II

Wyznawcy Allacha

6

BAGDAD IRAK

W systemie łączności radiowej batalionu kompania A stosowała kryptonim wywoławczy „Wściekły pies”. Przykładowy komunikat brzmiał: „Wściekły pies sześć do Buszmena sześć, wynosimy się stąd, odbiór”. Inne kompanie Drugiego Batalionu Siódmej Brygady Kawalerii Pancерnej, kontrolujące tereny na południowy zachód od Bagdadu, wymyśliły kryptonimy radiostacji zaczynające się od litery oznaczającej kompanię. I tak kompania B wybrała hasło „Buszmeni”, Kompania C natomiast „Commando”, wcześniej używając przez krótki czas hasła „Crusader”.*

* *Crusader* - ang. „krzyżowiec”.

Jednak w kompanii A nikt nie potrafił wymyślić pieprzonego słowa na A poza „anarchistą”, a taki kryptonim - podobnie jak „Crusader”* - nie wróżył nic dobrego. Przez pewien czas kompania A używała nazwy Angry Dogs („Rozjuszony psy”), ale brzmiało to raczej głupawo. Zestawienie Angry Mad Dogs („Rozjuszony wściekły psy”) było jeszcze gorsze. W końcu Jimmy Jackson, kapitan dowodzący kompanią A, zrezygnował z aliteracji i oznajmił, że hasłem wywoławczym jego kompanii będzie kryptonim Mad Dog („Wściekły pies”). To niegłupie, pomyślał podoficer J.C. Ramirez. Kiedy bowiem słyszał przez radio wezwanie: „Rozjuszony wściekły pies sześć do rozjuszony wściekłego psa dwa”, czuł, że dostaje szajby.

J.C. ocierał pot z twarzy, mając na sobie uprząż od karabinu maszynowego zainstalowanego na dźwie kapita Jacksona. Kiedyś sądził, że w Teksasie jest gorąco, ale letnia pora w Iraku była czymś innym. Słońce już prawie zachodziło, a mimo to temperatura wciąż dochodziła do prawie trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza. Kamizelka kuloodporna, którą miał na sobie, niewiele pomagała. Wypijał dziennie cztery litry wody i nie musiał sikać, ponieważ wydalął wraz z potem każdą kroplę. I chociaż objadał się do woli, w ciągu dziewięciu miesięcy stracił blisko dziesięć kilogramów wagi. Bagdadzka dieta. Mierzył blisko metr osiemdziesiąt, więc mundur wisiał teraz na nim jak na kościotrupie.

- Czy oni w ogóle cię nie karmią? - zapytała mama, kiedy J.C. w lipcu przyjechał do El Paso na tygodniowy urlop. - Głodzą cię, chcąc zaoszczędzić pieniądze, przynaj?

Powiedział jej wtedy, że żarcie jest dobre, lecz ona i tak mu nie uwierzyła. Zanim zdążył ją uspokoić, była już gotowa pisać list ze skargą do prezydenta. Nawet ją rozumiał. Kwestia jedzenia pozwalała jej skoncentrować się na czymś, co odsuwało jej myśli od istoty rzeczy. Albo była po prostu meksykańską mamą, szukającą pretekstu, żeby napchać syna kolejną porcją *enchiladas*.

Tak czy owak, J.C. już wkrótce będzie z powrotem z nią i ze swoją dziewczyną. Jeszcze tylko kilka miesięcy i już nigdy nie będzie musiał oglądać tego miejsca... aż do kolejnego powołania. Była to jego pierwsza tura w Iraku, ale wielu chłopaków z batalionu służyło tu już po raz drugi. Podobnie jak większość żołnierzy, J.C. zakładał, że wojna potrwa jeszcze dość długo bez względu na to, co deklarowali politycy

Dochodziła siódma trzydzieści. Od niemal godziny czekali na sygnał do wyjazdu. J.C. zaczął się nudzić. Typowy fałszywy alarm. Na cztery zaplanowane wypadki tylko jeden dochodził do skutku.

- O ile chcesz się założyć, że alarm znów zostanie odwołany? - krzyknął do kaprala Mike'a Vossa, kierowcy terenówki, który w odpowiedzi pokręcił tylko głową.

Potem J.C. dostrzegł kapitana Jacksona zmierzającego w stronę wozu; krótki i urywany krok dowódcy podpowiedział mu, że tym razem jednak wyruszą na wieczorną akcję.

Opancerzony samochód zbliżał się do stalowej bramy grubości pięciu centymetrów, która służyła za frontowy wjazd do obozu Graphite. J.C. poprawił kamizelkę na barkach i wyciągnął pistolet z kabury przypiętej do uda. Poprzedniego dnia wyczyścił broń krótką i dwukrotnie sprawdził zamek, co czynił za każdym razem, zanim opuścili bazę. Metal bez oporu przesunął się do tyłu. Dobrze. Załadował nabój do komory i ponownie wsunął pistolet do kabury. Nie chodzi o to, że spodziewał się, że wykorzysta broń kalibru 9 mm. Była to jedynie dziecinna pukawka w porównaniu z karabinem maszynowym zamontowanym na dachu, nie wspominając już o działku maszynowym na transporterze opancerzonym Bradley czy armatach kalibru 120 mm w czołgach. Jeśli ktoś znalazł się na linii strzału, wdepnął w prawdziwe gówno, bez względu na to, czy był to tylko pistolet, czy nie. Dodatkowa siła ognia nigdy jednak nie zawadzała.

Przejechali przez bramę, a J.C. po raz setny usłyszał na wysokości stóp chór czekających głosów, śpiewających piosenkę *Kto wypuścił psy*.

Kto wypuścił psy, hau, hau, hau, hau.

Kto wypuścił psy, hau, hau, hau, hau.

„Wściekle psy” posługiwały się tą piosenką jako znakiem rozpoznawczym; odtwarzali ją za każdym razem, gdy wyjeżdżali z bazy. J.C. usiłował przypomnieć sobie, kiedy piosenka

powstała. Czy był wtedy w ósmej klasie? Dziewiątej? Prawdopodobnie w dziewiątej. W kącikach jego ust pojawił się uśmiech. Te durne słowa przynosiły szczęście. Jak dotąd nikt spośród „Wściekłych psów” tutaj nie zginął. Inne kompanie Drugiego Batalionu Siódmej Brygady nie miały tyle szczęścia. Samochód pułapka zniszczył jeden z wozów będących na stanie kompanii Buszmenów. Iracki snajper zastrzelił porucznika Poleya z Comando i zbiegł. Snajper maniak. Być może Psom uda się go schwytać tego wieczoru.

Humvee omijał teraz labirynt betonowych zapór, które chroniły dojazd do frontowej bramy, potem przyspieszył i ruszył szeroką aleją biegnącą na zachód od zrujnowanego bagdadzkiego ogrodu zoologicznego. J.C. skoncentrował uwagę na opuszczonym teraz terenie, który stanowił naturalną kryjówkę dla faceta uzbrojonego na przykład w ręczny granatnik przeciwpancerny. Na własnej skórze przekonał się, że zastawionej pułapki należy się spodziewać zawsze i w każdym miejscu.

J.C. był kanonierem. Kumple mówili, że miał najgorszą robotę w całej armii. Zapięty w uprząż, siedział w dziurze na dachu terenówki i obsługiwał karabin maszynowy, który obracał się o trzysta sześćdziesiąt stopni. W upalne dni - co oznaczało: codziennie - smażył się na skwaronym słońcu. Kiedy jechali po szosach, łykał i wdychał kurz oraz dieslowskie spaliny, a po powrocie do bazy pluł glutami flegmy czarnymi jak smoła. Poza tym kanonierzy mieli najgłębsze zmarszczki. Zmarszczki pojawiające się na skutek strachu, który chwycił ich za tyłki. Człogi i transportery opancerzone Bradley miały przynajmniej gruby stalowy pancerz. Nawet terenowe wozy posiadały stalowe płyty oraz kuloodporne szyby. J.C. natomiast miał tylko hełm oraz kamizelkę kuloodporną, które w żaden sposób nie mogły przeciwstawić się pociskom wystrzelonym z granatnika.

Mimo to lubił swoje zajęcie. Wolał je niż tkwienie wewnątrz czołgu. Siedząc na dachu, mógł przynajmniej zauważyć

zastawioną zasadzkę lub spadające bomby. Chociaż musiał wypatrywać tyle rzeczy, nie czuł satysfakcji, gdy pociągał za cyngiel. Kanonier z kompanii C zastrzelił dzieciaka, który miał przy sobie pistolet-zabawkę. J.C. obiecał sobie, że nigdy nie popełni takiego błędu. Wiedział, jak sprawić, by tłum się wycofał, bez oddania choćby jednego strzału. Umiał odróżnić niski ton pocisku moździerzowego od śmiertelnego syku granatu z RPG. Nawet oficerowie zdawali sobie sprawę, że był najlepszym kanonierem w kompanii, a może nawet w całym batalionie. Dlatego właśnie zawsze jeździł z kapitanem Jacksonem.

Skręcili w lewo, w ulicę Santa Fe, główną aleję biegnącą przez centrum Bagdadu na linii wschód-zachód. Irakijczycy oczywiście nie nazywali tej ulicy Santa Fe. Używali własnej, arabskiej nazwy - Mohammed Avenue czy jakoś tak. J.C. nie był tego pewien do końca. Żaden z żołnierzy nie mówił po arabsku, a w batalionie określano bagdadzkie ulice nazwami amerykańskich miast.

Teraz, gdy J.C. spod przymrużonych powiek spoglądał na zachodzące słońce, żałował, że nie wie więcej o Iraku. Poznał kilka arabskich słów dzięki Salimowi, nastoletniemu tłumaczowi Jacksona „Wściekłe psy” nazywały chłopca Harry z powodu okularów, które nosił, podobnych do okularów Harryego Pottera. Salim nauczył J.C. że *abu* oznacza „ojciec”, a *umm* „matka”. Ramirez umiał policzyć do dziesięciu: *wahid*, *ithnien*, *thalatha*... Salim wytłumaczył mu nawet znaczenie słowa *hadździ* - wyrazu, którym J.C. i każdy amerykański żołnierz określał wszystko, co wiązało się z tym krajem - nie było to przypadkowe słowo. Oznaczało kogoś, kto odbył *hadźż*, pielgrzymkę do Mekki, co było zdarzeniem niezmiernie ważkim dla tych ludzi.

Mimo to J.C. przeważnie czuł się tu jak na Księżycu. Nie rozumiał tego kraju. Dlaczego mężczyźni nosili długie szaty, które wyglądały jak suknie? Dlaczego nie podawali rąk na powitanie? I gdzie się podziały kobiety? Bywał w irackich

domach razem z kapitanem Jacksonem i odnosił wrażenie, że kobiety w ogóle nie istniały. Tylko jeden raz podawały herbatę, ale zwykle były ukryte na tyłach domu. Nie chodziło o to, że J.C. usiłował je wypatrzeć. Sierżant Holder, najstarszy podoficer batalionu, odpowiedzialny za logistykę i dyscyplinę, dał im to jasno do zrozumienia: „Nie patrzcie na kobiety, nie rozmawiajcie z kobietami oraz nigdy, ale to prze-nigdy nie dotykajcie kobiet”.

Pomijając powyższe, Irakijczycy byli bardzo gościnni. Nawet ci z nich, w których domach prawie nie było mebli, podejmowali kapitana Jacksona herbatą lub colą, kiedy przychodził z wizytą. Jednak nie można było im w przesadnej mierze ufać. J.C. widział na własne oczy, jak pewnego razu kapitan zupełnie stracił panowanie nad sobą pod koniec długiego spotkania z miejscowym szejkiem.

- Bądź ze mną szczerzy. Powiedz mi prawdę - powiedział wtedy Jackson.

Kiedy Salim przetłumaczył, szejka uśmiechnął się szyderczo.

- Prawdę? - zapytał.- Prawdę zachowuję dla Allacha.

Wóz terenowy zatrzymał się, gdy auta przed nim zakorkowały rondo. Wszyscy chcieli dotrzeć do domu przed zapadnięciem zmroku. Panowanie na ulicach przechodziło wtedy w ręce porywaczy i partyzantów - rekinów krążących w czarnych sedanach z przydymionymi szybami. J.C. zaklął, gdy patrzył przed siebie na starą ciężarówkę marki Mercedes, wydychając kłęby dieslowskich spalin. Nie cierpiał tkwić w korkach. Wtedy każdy mógł bez trudu posłać im kulkę. Nienawidził również zapadającego zmroku, kiedy cienie dawały schronienie, ale wciąż jeszcze było zbyt jasno, żeby móc skutecznie posłużyć się noktowizorem.

Wokół niego na ulicach rozbrzmiewało wezwanie na wieczorne modły, wzmocnione echem - osobliwy religijny zaśpiew, który, o czym J.C. wiedział z pewnością, na zawsze

pozostanie w jego uszach, bez względu na to, jak daleko zostawi za sobą to miejsce. Był to głos Bagdadu.

Opuścił nieco lufę karabinu maszynowego i obserwował ludzi na chodniku, wypatrując błysku metalu ukrytego w fałdach szat. Wóz terenowy szarpnął do przodu, potem znów się zatrzymał.

- Przestań się wydurniać, ruszaj - zawołał do Vossa.
- Chcesz prowadzić? - odkrzyknął kierowca.
- Kurwa, nie.
- W takim razie się zamknij.

Kiedy posuwali się w żółwym tempie, J.C. zastanawiał się, co właściwie wydarzyło się w tym kraju. Każdy był w stanie dostrzec, że kiedyś było to państwo ludzi bogatych. Baza ich kompanów znajdowała się w jednym z pałaców Saddama, olbrzymiej budowli z portalem wejściowym na dwa piętra, marmurowymi posadzkami oraz połączanymi ścianami. Port lotniczy w Bagdadzie prezentował się lepiej niż lotnisko w El Paso. Do Faludży, tej wstrętnej nory, wiodła sześciopasmowa autostrada nieustępująca w niczym autostradzie międzystanowej w USA. W Bagdadzie pełno było dwudziestopiętrowych hoteli oraz monumentalnych meczetów zwieńczonych pięknymi błękitnymi kopułami. J.C. dostrzegł nawet zakurzone, postrzępione billboardy promujące Air France i Japan Airlines. Kiedyś ludzie chętnie tutaj przyjeżdżali, Irakijczycy zaś mieli dostatecznie dużo pieniędzy, by stąd wyjeżdżać.

Dawniej. Teraz było to miejsce klęski, każdego dnia zbliżające się o kolejny krok ku śmierci. Ludzie na ulicach chodzili ospale, z pochylonymi ramionami i gniewnymi minami. Twarze te wyrażały nie tylko nieszczęście. Przebijała z nich również beznadzieja, będąca rezultatem życia w coraz gorszych warunkach przez tak długi czas, że nie byli już w stanie nawet marzyć, że kiedykolwiek może być lepiej. Urazy w ich oczach nie dało się pomylić z czymkolwiek innym.

Na niektórych terenach patrolowanych przez Drugi Batalion Siódmej Brygady ulice przenikał smród ścieków oraz

palonych śmieci. Za każdym razem, gdy się zatrzymywali, mali chłopcy biegający na bosaka otaczali ich i zebrali o cukierki. Kiedy przed paroma miesiącami wybuchł samochód-pułapka, „Wściekle psy” znalazły się w szpitalu Kindi w zachodnim Bagdadzie. Miejsce to pokryte było krwią, a J.C. widział, jak w sali operacyjnej muchy latały nad dziewczynką, której twarz pocięta była na kawałki. Nawet faceci, którzy zwykle żartowali ze wszystkiego, tego dnia zrobili się nadzwyczaj małomówni. Bagdad był uboższy niż Juarez. Uboższy niż jakakolwiek miejscina w Meksyku, którą kiedykolwiek widział. J.C. nie mógł tego zrozumieć. Przecież ten kraj dysponował ogromnymi złożami ropy, a jego mieszkańcy żyli jak nędzarze.

J.C. zdawał sobie sprawę, że myśli zbyt dużo. Jego kumple ujmowali to prosto: spieniężaj czeki, kryj głowę i miej nadzieję, że twoja dziewczyna w domu nie rozkłada nóg. I mieli rację. Jego zadaniem było dopilnować, by on sam oraz kumple z kompanii pozostali przy życiu. Niech Arabowie sami się zatroszczą o swoje problemy. Niekiedy jednak, gdy wieczorem grywał w domino w pałacu, ogarniały go wątpliwości. Jak to się stało, że to państwo popadło w skrajną nędzę? Czy to nasza wina?

Kapitan James Jackson Jr, który siedział w kabinie, liczył na odrobinę szczęścia. Cynk dostali przed trzema dniami od najlepszego informatora batalionu, studenta collegeu imieniem Saleh, który pragnął otrzymać amerykańską wizę, by móc dołączyć do swoich kuzynów w Detroit. Jak dotąd nigdy nie wyprowadził Jacksona na manowce. Ale mówiąc prawdę, kapitan martwił się zbyt dużą ilością informacji udzielanych przez Saleha służbom wywiadowczym batalionu. Gdyby jego przyjaciele dowiedzieli się, że ich sypie, godziny życia studenta byłyby policzone. Ale Jackson zdawał sobie sprawę, że nikt lepiej niż Saleh nie rozumiał ryzyka, na jakie chłopak się narażał.

Tak czy inaczej, jeśli wypad zakończy się powodzeniem, Saleh będzie o krok bliżej do 8th Mile Road. Zgodnie z tym, co twierdził informator, kilku „czterysta osiemdziesiąt osiem” - co w militarnym slangu oznaczało cel wysokiej rangi - planowało spotkać się dzisiejszego wieczoru w zakładzie fryzjerskim w Ghazali, przedmieściu Bagdadu, które stało się silnym ośrodkiem oporu. Saleh nie podał żadnych nazwisk, ale obiecywał, że nie będą to zwykli przestępcy czy uliczni bojownicy. Jednym z nich miał być cudzoziemiec o pseudonimie „Doktor”, który dopiero co przyjechał do Iraku.

Gdyby wywiad wojskowy potwierdził przekazane informacje, wypad zostałby przekazany Oddziałowi Specjalnemu Sto Dwadzieścia Jeden, czyli Grupie Operacyjnej Sił Specjalnych i CIA, odpowiedzialnej za cele najwyższej rangi w Iraku oraz Afganistanie. Jednak rzeczony „Doktor” nie znajdował się w bazie danych ani jednych, ani drugich. W tej sytuacji żołnierze sił specjalnych, którzy nie fatygowali się poszukiwaniem kogokolwiek mniej ważnego niż oni sami, zrezygnowali z tego zadania. Co zresztą Jacksonowi pasowało. „Wściekle psy” dysponowały pięcioma czołgami, sześcioma transporterami opancerzonymi typu Bradley oraz czterema opancerzonymi wozami terenowymi humvee, co w sumie dawało siłę ognia dostateczną do zajęcia małego miasteczka. Kapitan nie spodziewał się większych problemów z wzięciem do niewoli kilku partyzantów. Miał też nadzieję, że sprawa okaże się warta zachodu. Jak dotąd Saleh nigdy się nie mylił, ale kiedyś zawsze musi być ten pierwszy raz.

Jackson nie musiał się martwić. Pod pseudonimem „Doktor” krył się Faruk Khan, korpulentny mężczyzna, który przed pięcioma miesiącami spotkał się z Johnem Wellsem w zapuszczonym mieszkaniu w Peszawarze. Chociaż rzeczywiście zapracował na swój tytuł, Faruk nie był doktorem medycyny. Z wykształcenia był fizykiem, dalekim kuzynem A.Q. Khana, kierownika projektu budowy broni nuklearnej w

Pakistanie. Faruk również pracował nad tym projektem, lecz tylko do czasu, kiedy zwolniono go za bywanie w pewnym meczecie w Islamabadzie, którego imam nawoływał do obalenia pakistańskiego rządu.

Rok później Faruk znalazł drogę, która zaprowadziła go do kryjówki Osamy bin Ladena w Prowincji Północno-Zachodniej. Wtedy to szejek obdarzył go pompatycznym tytułem „dyrektora projektów atomowych”, zaś sam Faruk podjął próbę wykradzenia bomby jądrowej z pakistańskiego arsenału. Mimo dawnych znajomości misja ta okazała się jednak trudna. Pakistańscy generałowie zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli al-Kaida zdetonuje pakistańską bombę atomową w Nowym Jorku, Stany Zjednoczone w ramach retorsji zrzuca własną bombę na ich wille w Islamabadzie. Atak na Delhi byłby jeszcze groźniejszy w skutkach, w nieunikniony sposób prowokując konflikt nuklearny w pełnej skali, w rezultacie którego Indie i Pakistan zostałyby obrócone w perzynę. Z tych właśnie powodów Faruk musiał działać ostrożnie i przezornie.

Zdołał jednak w końcu zdołał znaleźć czterech techników niższego szczebla, których sympatia dla al-Kaidy uszła uwadze funkcjonariuszy rządowej służby bezpieczeństwa. Nie byli w stanie dostarczyć mu gotowej bomby, ale przemycili aparaturę, dla Faruka bardzo pomocną. Potem znalazł Dmitrija Georgowa, bezrobotnego rosyjskiego naukowca jądrowego, który rozglądał się za twardą walutą. Pierwsze spotkanie Faruka i Georgowa przebiegało w atmosferze nieufności, gdyż Pakistańczyk obawiał się prowokacji ze strony CIA, natomiast Rosjanin zdecydowanie wołał zachować głowę na karku. Obaj mężczyźni byli jednak zadowoleni z tego spotkania i po dalszych negocjacjach Dmitrij wyraził zgodę na dostarczenie Farukowi dwóch stalowych pojemników, wyłożonych ołowiem i wypełnionych materiałem radioaktywnym, za cenę sześciuset siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Dla al-Kaidy suma ta oznaczała poważny wydatek.

Transakcję musiał zatwierdzić sam szejik bin Laden.

Al-Kaida wciąż jeszcze nie posiadała sprawnej bomby nuklearnej, której wybuch mógłby spowodować wyparowanie całego miasta. Jednak do wzbudzenia trwogi w szeregach wroga niekoniecznie potrzebna była bomba jądrowa. Bomba konwencjonalna wypełniona materiałem radioaktywnym - tak zwana brudna bomba - mogła poczynić wielkie straty wśród niewiernych. Ludzie bali się promieniowania. Radiacja była niewidoczna. Nie dało się jej dotknąć, a mimo to potrafiła zabijać przez całe lata. Niektóre radioaktywne izotopy potrafiły skażić okolicę na dziesięciolecia, sprawiając, że dany obszar stawał się bezwartościowy, nawet gdy stały na nim niezniszczone budynki. Zdetonowana we właściwym miejscu - centrum Manhattanu, dajmy na to - mogła spowodować straty rzędu setek miliardów dolarów oraz zabić tysiące *kafirów*. Ponadto, w odróżnieniu od bomby jądrowej, brudną bombę łatwo było skonstruować. Największy problem stanowiło dotarcie do materiału radioaktywnego, ale Faruk już go rozwiązał. Już wcześniej wysłał do Stanów materiał radioaktywny w ilości, która powinna starczyć na skonstruowanie co najmniej jednej bomby

Teraz miał nadzieję, że znajdzie tego więcej. Przed trzema tygodniami człowiek, który nazywał siebie Omarem Khadrim, zlecił Farukowi nową misję. Iraccy wieśniacy odkryli na pustyni na południe od Faludży sekretny podziemny budynek w opuszczonej bazie wojskowej. Byli przekonani, że we wnętrzu znajdują się radioaktywne izotopy. Chcieli przekazać to znalezisko szejikowi bin Ladenowi.

Tak więc Faruk odbył najbardziej niebezpieczną podróż w życiu, pokonując ponad trzy tysiące kilometrów w kierunku zachodnim, z Pakistanu przez Afganistan oraz Iran, ku górskiej granicy z Irakiem. Przez całą drogę unikał zarówno oddziałów niewiernych w Afganistanie, jak i funkcjonariuszy irańskiej tajnej policji, którzy niezbyt chętnym okiem

spoglądali na ludzi al-Kaidy. Wprawdzie Faruk mógł polecieć do Jordanii i stamtąd pojechać bezpośrednio do Bagdadu, jednak jego misja była na tyle sekretna, że wolał nie zostawiać żadnych śladów swojej tożsamości, na przykład na liście pasażerów linii lotniczych. Poza tym miałyby kłopoty z wyjaśnieniem celnikom, do czego potrzebna mu była przewożona aparatura.

Faruk ostrzegł sam siebie przed zbytnią i przedwczesną ekscytacją. Ludzie, z którymi spotykał się dzisiaj, byli bojownikami, nie fizykami. Do tej pory widział jedynie nieostre zdjęcie prętów oraz stalowych bębnow, które wyglądało co prawda obiecująco, ale niczego nie dowodziło. A mimo to pałał żarliwą nadzieją. Jeśli rzeczywiście uda mu się znaleźć nowe partie materiału radioaktywnego... i to na dodatek pod nosem Amerykanów!

Amerykanie to głupcy, pomyślał Faruk. Przed kilkudziesięciu laty Żydzi wysadzili reaktory nuklearne Saddama i obrócili w perzynę irackie wysiłki zmierzające do budowy bomby atomowej. Materiał, który miał dzisiaj zobaczyć, jeśli taka będzie wola Allacha, stanowił pozostałości po tamtym programie, wygrzebane z grobu na pustyni. W najlepszym razie będą to nuklearne odpady, jod oraz cez, które nigdy nie mogły posłużyć do zbudowania prawdziwej bomby jądrowej. Żaden rząd nie kłopotał się tego rodzaju odpadami. Ale dla celów al-Kaidy był to idealny materiał. Poza tym al-Kaida nigdy nie miałaby szans dotrzeć do tego miejsca, gdyby Stany Zjednoczone nie najechały na Irak. Dlatego, że Saddam nigdy nie dzielił się sekretami z szejkiem bin Ladenem. Był bezbożnym szatanem, najbardziej nieużytecznym spośród niewiernych arabskich przywódców. Ale Saddamem zajęli się Amerykanie. Drzwi do Iraku otworzyły się przed świętymi wojownikami al-Kaidy

Tak, Amerykanie to głupcy Najechali na Irak, ponieważ twierdzili, że pełno w nim było „terrorystów”, pomyślał Faruk.

I teraz rzeczywiście tak jest. Niezbadane są wyroki Allacha.

Słońce już zaszło, kiedy „Wściekle psy” dojechały pod zburzoną betonową ścianę blokującą wjazd do posterunku policji w Khudra, umieszczonym w podziurawionym kulami piętrowym budynku, na którym powiewała obszarpana iracka flaga. Samochody-pułapki trzykrotnie wybuchały w pobliżu komisariatu. Teraz większość policjantów nie opuszczała budynku, by wyjść na patrol, nie wspominając nawet o aresztowaniu kogokolwiek. Ale kilku oficerów wciąż współpracowało z Drugim Batalionem Siódmej Brygady Kawalerii Pancerniej. Jackson nie był pewien, czy kierowali się brawurą, czy też byli szaleni. W każdym bądź razie znali ulice Ghazali lepiej niż ktokolwiek inny. Żył więc nadzieję, że kilku z nich zabierze tej nocy na przejażdżkę.

Jackson podszedł do frontowej bramy, w której stał podpułkownik Ghaith Fahd z papierosem w dłoni. Mężczyźni uderzyli się dłońmi w piersi, potem uścisnęli sobie ręce. Fahd był jedynym oficerem w Khudrze, któremu Jackson całkowicie ufał.

- *Salom alajkum* - odezwał się Jackson.
- *Alajkum salam.*
- Słyszał pan, jak nadjeżdżamy?
- *Nam.*

Jackson nie był tym zaskoczony. W jego czołgach zainstalowano potężne silniki z ulepszoną odrzutową turbiną, które obwieszczały swą obecność na długo zanim się pojawiły. Wysoki poziom hałasu stanowił ich największą słabość taktyczną. Ale tego wieczoru kapitan miał nadzieję wykorzystać tę wadę z pożytkiem dla siebie.

- Papierosa? - zapytał Fahd, podsuwając Jacksonowi paczkę.

- Dunhille? Nieźle, pułkownik - odparł kapitan i wystukał na dłoń jednego papierosa.

- Właśnie otrzymałem podwyżkę - odparł Fahd i roześmiał się.

Jackson zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Choć wcale nie palił. Przynajmniej do chwili, kiedy tu przybył.

- Wie pan, że tytoń pana zabija - ostrzegł Fahda.

- Nie szybciej niż cokolwiek innego, kapitanie.

Jackson podziwiał spokój Fahda. Już sam fakt, że oficer irackiej policji pokazuje się tu z Amerykaninem, stanowił akt najwyższej odwagi. Jednak Fahd nigdy nie sprawiał wrażenia zmęczonego czy spiętego, nie wspominając już o tym, by dał poznać po sobie, że się boi. Wyszli na ulicę, żeby nikt na posterunku nie mógł usłyszeć ich rozmowy

- Planuje pan coś na tę noc? - zapytał Fahd.

- Tak. Wypad.

- Ilu ludzi pan potrzebuje?

- Tylko tych, którym pan w pełni ufa.

Fahd skinął głową.

- Pięciu... nie, czterech. Ehab jest dziś w domu.

- Tylko czterech?

Służbę pełnił dzisiaj pięćdziesięciu policjantów.

- Tak.

- Nie wygląda to ciekawie, prawda?

- Nawet gorzej, kapitanie - odparł Fahd i podał Jacksonowi paczkę papierosów.

- Niech pan zapali jeszcze jednego dunhilla. Ściągnę tu moich ludzi.

Fahd zjawił się ponownie po dziesięciu minutach, a za nim gęsiego szło czterech policjantów

- Jak pan sobie życzył, kapitanie.

Po arabsku oznaczało to: „Kiedy tylko będzie pan gotowy”.

Jackson spojrzął na zegarek. Dwudziesta czterdzieści.

Zgodnie z informacją Saleha, spotkanie miało się rozpocząć

o dwudziestej pierwszej i trwać mniej więcej godzinę. Student ostrzegł jednocześnie Jacksona, że partyzanci często się spóźniają. Kapitan wiedział też, że nie może zaryzykować obserwacji zakładu fryzjerskiego - obecność Amerykanów natychmiast zostałaby zauważona. Zdecydował się więc na przypuszczenie ataku o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć i miał nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Mamy jeszcze trochę czasu. Gdzie pańska kamizelka kuloodporna, pułkownika?

- Nie mam kamizelki.

- Daliśmy wam tyle kamizelek, żeby starczyło dla każdego policjanta w Khudrze - Jackson nie krył frustracji w głosie.

Na ustach Fahda pojawił się uśmiech.

- Opowiem panu pewną historię - powiedział, zapalając papierosa. - Dobiegnie końca, zanim wypalę tego dunhilla.

- Jasne.

- Mój ojciec posiadał sklep w Sadrze. Zna pan Sadr, czywiście.

- Oczywiście.

Sadr był ogromną dzielnicą slumsów w północno-wschodnim Bagdadzie, po drugiej stronie Tygrysu, gdzie panowała rozpaczliwa bieda.

- Nie byliśmy zamożni. Nikt tam nie jest zamożny. Ale powodziło się nam całkiem nieźle - kontynuował opowieść Fahd, po czym zaciągnął się głęboko papierosem.

- Niestety, mój ojciec, Mohammed, lubił dowcipkować. Niekiedy żartował również z Saddama. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku ludzie z Mukhabaratu - tajnej policji Saddama - dokonali nalotu na nasz sklep. Zabrali ojca oraz mojego brata Sadika do więzienia Abu Ghraib. Reszty może się pan domyśli.

- Czy kiedykolwiek pan ich jeszcze zobaczył?

- Sadik zdołał przeżyć jeszcze jakiś czas. Umarł dwa lata później.

- Czy opowiedział panu, co się wydarzyło?

- Po tym, jak go wypuścili, nie powiedział już ani słowa.

- Nie opowiedział, co mu zrobili?
- Nigdy już nie mówił - Fahd wskazał na usta. - Ucięli mi język.

Jackson poczuł, jak jego własny język obraca się w ustach, gdy usiłował wymyślić, co powinien powiedzieć.

- Przykro mi.

- Musieli trafić na kiepskiego agenta Mukhabaratu - skomentował Fahd. - Mój ojciec wcale tak często nie dowcipkował.

- A pan zdołał uciec?

- Nie było mnie wtedy w sklepie. Nigdy po mnie nie przyszli. Nie wiem, dlaczego. Być może byli... jakie to jest słowo?... leniwi.

- *Inszallah.*

- *Inszallah* - odpowiedział Fahd. - Zamiast aresztowania wysłali mnie na wojnę z Iranem. Zdołałem przeżyć... wojna dobiegała niemal końca... i wtedy dostałem się jakimś sposobem do akademii policyjnej. Teraz jestem podpułkownikiem policji irackiej, szanowanym i uwielbianym przez podległych mi ludzi.

Fahd się roześmiał.

- Urocze życie, czyż nie zgodzi się pan, kapitanie? - zapytał, unosząc papierosa, który wciąż się żarzył. - Historia dobiegła już końca, tak jak obiecałem.

Fahd zaciągnął się po raz ostatni, potem zgasił niedopałek na dłoni i wyrzucił na asfalt.

- A zatem nie nosi pan kamizelki kuloodpornej - stwierdził Jackson.

- Jeśli Allah zechce, bym przeżył, to będę żył. Jeśli jednak zechce, bym znów zobaczył się z ojcem, to tak się stanie. Tak czy inaczej, będę wdzięczny za jego błogosławieństwo.

Konwój „Wściekłych psów”, prowadzony przez opancerzonego dzipa, w którym znajdował się J.C., sunął na południe ulicą Dodge, szeroką aleją biegnącą przez centrum

Ghazali. Jezdnię pokrywały liczne leje po bombach. Patrole atakowano tu niemal każdego wieczoru, chociaż żaden z żołnierzy nie zginął. Jak dotąd.

Ulice były niemal puste, więc droga należała wyłącznie do nich. Konwój rozciągał się na dystansie ośmiuset metrów od czoła do ogona, przy czym landrover Fahda znajdował się w środku i wyglądał niczym zabawka między transporterami opancerzonymi oraz czołgami.

Świat widziany przez J.C. w noktowizorze jarzył się w barwach żółtej i czarnej. Nad okolicą od wschodu górował meczet Matki Wszystkich Bitew, betonowe monstrum z minaretami zaprojektowanymi na podobieństwo wieżyczek karabinów maszynowych. Saddam zbudował tę świątynię, by uczcić ciągnącą się prawie dekadę wojnę z Iranem, w której śmierć poniosły prawie dwa miliony ludzi. Gdy sieć elektryczna działała, w nocy minarety jaśniały piekielnym ogniem. Ale tego wieczoru brak było zasilania. Meczet i okoliczne tereny pograżyły się w ciemnościach, chociaż w kilku domach energię elektryczną dostarczały agregaty. Mrok był sprzyjającym czynnikiem, podobnie jak księżyc w nowiu. Im ciemniejsza noc, tym lepiej działała lornetka z noktowizorem.

Pocisk smugowy przeciął niebo - pojedynczy strzał został oddany, gdy patrol przejeżdżał w pobliżu. Są tutaj, pomyślał J.C. Obserwują nas. Czekaają, aż popełnimy błąd. Dobrze. Niech czekają. Położył palec na spuście karabinu maszynowego.

Dżip zatrzymał się, gdy konwój dotarł do północnego końca ulicy w Ghazali, gdzie wąski mostek prowadził do Szuli, zatłoczonej dzielnicy slumsów. Patrol powinien sprawiać wrażenie rutynowego, powiedział wcześniej Jackson swoim żołnierzom. Nie powinni wiedzieć, że się zbliżamy. Konwój wykonał zakręt o sto osiemdziesiąt stopni i skierował się na południe.

W wąskim pokoju ulokowanym na zapleczu zakładu fryzjerskiego w Ghazali, oficjalnie znanego pod nazwą al-Dżakra,

co oznaczało strzyżenie i mycie, Faruk Khan wiercił się niecierpliwie na taniej kanapie z niebieskim obiciem. Pudełka po zużytych butelkach szamponu leżały na podłodze, a trzy karabiny AK-47 - pod schodami przy tylnej ścianie. Hałaśliwy generator w rogu dostarczał energii, która zasiliała żarówkę na suficie oraz kuchenkę elektryczną, na której gotowała się woda na herbatę. Faruk kolejny raz spojrzął na zegarek. Dziewiąta dwadzieścia. Dlaczego jeszcze ich nie było? Khan nie był tchórzem - tchórze nie pożyczą długo, pełniąc rolę nuklearnych szpiegów. A mimo to nie cierpiał pozbawionego sensu ryzyka.

Drzwi otworzyły się, a w nich stanął Zajd, Irakijczyk, który przeprowadził Faruka z Islamabadu do Bagdadu. Khan miał go już dość. Maniery Irakijczyka pozostawiały wiele do życzenia. Pluł i dłuwał w nosie bez końca oraz nigdy się nie mył. Na dodatek Faruk nie ufał nikomu tak chudemu. Jedzenie stanowiło wielką przyjemność; któż mógł z tego zrezygnować? Pakistańczyk musiał jednak przyznać, że Zajd okazał się bardzo przydatny. Mówił po arabsku, persku, urdu, paszto oraz po angielsku. Na dobrą sprawę Faruk nie słyszał języka, którego Zajd by nie rozumiał. Poza tym Irakijczyk znał połowę plemiennych przywódców stąd do Pakistanu. Faruk znosił więc średniowieczne obyczaje tego człowieka.

- To zabawne, przyznasz, Zajd - odezwał się Khan. - Łatwo ocenić poziom zamożności kraju na podstawie wyglądu szpitala czy supermarketu. Ale zakłady fryzjerskie wszędzie wyglądają tak samo. Tutaj, w Pakistanie, w Europie. Czarne obrotowe fotele, blaty, na których pełno jest tajemniczych flakoników i buteleczek, plakaty młodych mężczyzn z krótko przyciętymi włosami.

- Uhm.

Zajd wsadził kciuk do nosa. Faruk zastanawiał się, czy gest ten oznaczał odpowiedź. Jak na człowieka znającego tyle języków, Zajd mówił zdumiewająco mało. Być może prowadził ożywioną konwersację w myślach.

Faruk rozsiadł się wygodnie na kanapie, która zaskrzypiała pod jego ciężarem. Usłyszał dochodzące z zewnątrz niskie odgłosy silników amerykańskich czołgów znajdujących się w oddali. Trzymał na kolanach licznik Geigera i usiłował opanować zdenerwowanie.

- Czy będą tu wkrótce, Zajd?

Jego towarzysz wzruszył tylko ramionami i nalał herbaty do dwóch szklanek, wrzucając brudnymi palcami kostki cukru. Faruk skrzywił się, ale wypił. Następnie usłyszał, jak podjeżdżają samochody

Plan kapitana Jacksona był prosty Zakład fryzjerski znajdował się na zachodnich krańcach Ghazali. Gdy konwój dotrze do ulicy, przy której znajdował się fryzjer, dżipy oraz landrover popędzą na zachód. Za nimi podążą czołgi oraz transportery opancerzone Bradley Przy odrobinie szczęścia partyzanci nie zdołają zdać sobie sprawy, co się dzieje, do chwili, gdy terenówki dotrą do zakładu. Pojazdy o silniejszym pancerzu otoczą miejsce.

Taktyka ta wiązała się z ryzykiem. Jackson miał piętnastu żołnierzy w dżipach oraz pięciu irackich policjantów w landrowerze. Tymi siłami powinien pokonać czterech partyzantów. Jeśli jednak zakład fryzjerski był umocniony, mogło dojść do walki. Zwłaszcza zanim nadejdzie wsparcie ze strony transporterów opancerzonych. Zwykle Jackson na pierwszą linię rzucał pojazdy o największej sile ognia, lokując z tyłu lżejsze wozy, ale tym razem nie chciał ryzykować zbyt wczesnego ostrzeżenia tych, którzy stanowili jego cel.

Nawet gdy jego ludzie znajdą się wewnątrz budynku, problem nie będzie jeszcze rozwiązany Jackson nie znał planu budowy; nie wiedział nawet, czy istnieje drugie wyjście. W ciągu ostatnich trzech dni jego patrol przejeżdżał dwa razy obok zakładu, lecz kapitan obawiał się przeprowadzenia bliższego rekonesansu, gdyż mogłoby to spłoszyć tych, którzy byli potencjalnym celem. Pomimo to nie wątpił, że jego

ludzie wypełnią tę misję. Radzili już sobie w trudniejszych sytuacjach.

Jackson spoglądał przez pancerną szybę na opustoszałe wystawy sklepowe. Pora dać szefom ostatnią szansę na wycofanie się. Wziął do ręki mikrofon batalionowego radia i wywołał Centrum Operacji Taktycznych w Camp Graphit.

- „Wściekły pies” do „Rycerza sześć”, odbiór.

„Rycerz sześć” był kryptonimem dowódcy batalionu, podpułkownika Steve'a Takahashi.

- Tu „Rycerz sześć”.

Jackson spojrzął na zegarek. Dziewięta trzydzieści trzy Wozy terenowe powinny dotrzeć do zakładu fryzjerskiego za kilka minut.

- Nasz przybliżony czas przybycia to dziewięć cztery czy.

„Czy” w slangu wojskowym oznaczało „trzy”.

- Dziewięć cztery czy - powtórzył Takahashi. - Zrozumiałem. Masz pozwolenie na rozpoczęcie akcji.

- Zrozumiałem - odparł Jackson.

Przepełniło go silne podniecenie, gdy odkładał słuchawkę.

Faruk przesunął detektor licznika Geigera nad wąską stalową kapsułą długości około piętnastu centymetrów. W słuchawkach, które miał na uszach, rozległy się trzaski. Każdy z nich oznaczał, że kapsuła emitowała radioaktywne promieniowanie. Przesunął cylinder nad drugą ze stalowych kapsuł i znowu usłyszał trzaski.

Mazen, dowódca mudzahedinów, był najwyższym Arabem, jakiego Faruk widział w życiu. Mówił prostym, chłopskim arabskim i nosił karabin AK-47 oraz miecz przypięty do pasa. Gdy przekazał Khanowi kapsuły, stanął przy schodach w tyle pokoju, nerwowo obserwując, jak Pakistańczyk obsługuje licznik Geigera. Boi się, że przywiózł mi chłam, pomyślał Faruk.

- Ile tego jest? - zapytał Khan.
- Tysiące - odpowiedział Mazen. - Zbyt wiele, by policzyć.

Gdy Faruk usłyszał tę odpowiedź, wiedział, że jego podróż warta była podjętego ryzyka. Tysiące kapsuł z kobaltem. Tego wieczoru Allah podarował swym wojownikom wspaniały prezent. Khadri będzie wniebowzięty

Dzwonek telefonu komórkowego mudzahedina zaskoczył go.

- *Nam* - powiedział Mazen i rozłączył się. - Jeden z naszych braci obserwuje główną drogę na wypadek, gdyby pojawili się na niej Amerykanie - powiedział do Faruka i Zajda.

- Ale oni nigdy tego nie robią. Boją się Ghazali nocą.

- A zatem? - zapytał Zajd Faruka. - Co o tym sądzisz?

Khan wcale nie miał zamiaru dzielić się swoją radością z Irakijczykami.

- Pokaż mi żółty metal.

Mazen podał mu płócienny worek, zaskakująco ciężki, wypełniony żółtymi grudkami. Faruk przejechał nad nimi czujnikiem i znów licznik Geigera obudził się, wydając głośne i szybkie trzaski. Grudki zawierają tlenek uranu, pomyślał. Żółte ciasto. Lekko wzbogacone, dwa do trzech procent, chociaż nie był to poziom zbliżony do produkcji broni jądrowej. Faruk przytrzymał worek.

- Znaleźliście to w beczce?

- *Nam* - potwierdził Mazen. - Była bardzo ciężka. Z lewością ją przesunęliśmy

- Czy była to jedyna beczka?

- Były cztery beczki, Doktorze.

Cztery beczki z żółtym ciastem? Faruk starał się ukryć podniecenie. To był jedynie początek, upominał sam siebie. Musieli zgromadzić ten materiał i przewieźć go do Stanów Zjednoczonych. Ale szlaki były już przetarte. Mogli zawieźć uran i kobalt ciężarówkami do Jordanii. Potem do Dubaju lub Turcji. Dalej na wschód do Pakistanu i potem do Singapuru. Stamtąd na zachód do Nigerii i przez Atlantyk do Brazylii.

Nie znał szczegółów; Khadri się tym zajmie. Ale wiedział, że szlaki były przetarte.

- Moi bracia - odezwał się Faruk. - Odpowiedzieliście na nasze modły

- *Allahu akbar!* - wykrzyknął Mazen.

W tym momencie znów zadzwonił jego telefon komórkowy.

* * *

Kilka sekund wcześniej dżipy „Wściekłych psów” zjechały na zachód z ulicy Dodge, wygasily światła i ruszyły pędem w kierunku zakładu fryzjerskiego. Wozy terenowe nie miały silników z odrzutową turbiną, tak jak czołgi, ale też nie ważyły siedemdziesiąt ton. Pędziły wzdłuż ciemnej, milczącej ulicy z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. J.C. czuł, jak wiatr smaga mu twarz. Spoglądał wzdłuż ulicy przez noktowizor, szukając jakiegoś ruchu, ale nie dostrzegł niewielkiego mężczyzny w opłu sedanie, rozpaczliwie usiłującego wybrać numer na telefonie komórkowym.

Gdy zbliżali się do zakładu, J.C. zastanawiał się, co mogą tu zastać. Prawdopodobnie nic. Miał nadzieję, że ci, którzy będą w środku, okażą się dostatecznie rozsądni, by nie podejmować walki. Kilka pierwszych sekund po rozpoczęciu ataku było najbardziej niebezpiecznych. „Wściekłe psy” musiały wtedy powstrzymać ogień, rozróżniając wrogów od przyjaciół.

Tego wieczoru jednak nie stanowiło to problemu. Alarm Kusaja przyniósł odwrotny skutek. W chwili, gdy odebrano jego telefon, Amerykanie byli już blisko zakładu. Partyzanci - w sumie ośmiu, wliczając w to Faruka i Zajda - zdołali jedynie chwycić za broń i pobiec w kierunku samochodów.

Dżip wjechał na krawężnik i zjechał na chodnik. J.C. dostrzegł trzech typów wybiegających z zakładu z kałasznikami. Wymierzył w nich karabin maszynowy

- Stać! - krzyknął.

Obrócili się i zaczęli strzelać na ślepo. Kule odbiły się od wozu; jedna z nich świsnęła obok głowy J.C. Wrogi ogień, pomyślał automatycznie. Zasady nawiązywania walki zezwalały na użycie śmiertelnej broni. Zanim jeszcze słowa te przebrzmiały w jego myślach, wymierzył w przeciwnika karabin maszynowy i nacisnął spust.

Wylot lufy błysnął ogniem. Z bliskiej odległości pociski karabinu maszynowego dużego kalibru traktowały ludzkie ciała w niewybredny sposób. Jeden z mężczyzn eksplodował niczym przejrzała dynia; pozostali zostali niemal przecięci na pół. Zanim ich ciała padły na ziemię, J.C. skierował karabin na wejście do zakładu fryzjerskiego, gdzie dwóch innych mężczyzn rozpaczliwie strzelało w jego stronę. Tym razem jeden z nich przetrzymał pierwszą serię. Ale nie dłużej niż sekundę.

Pięciu zabitych. J.C. nie czuł żadnych emocji. Zadanie nie było jeszcze zakończone.

Mazen wbiegł na zaplecze. Jego koszula ociekała krwią.

- Powiedziałeś im - syknął do Faruka. - Szpieg, żydowski szpieg.

Podniósł karabin i zamachnął się na Pakistańczyka, który skulił się, przyjmując cios na prawy bark. Tępy ból przeniknął jego ramię.

- Przysięgam na Allacha... - chrypiał Faruk, czując, jak chwytają go mdłości.

- Idiota - powiedział Zajd do Mazena. - Spójrz na niego. Jest bardziej przestraszony niż ty

Zajd wyciągnął granat zza pasa i wrzucił go do salonu fryzjerskiego, nie patrząc, dokąd poleci.

- *Inszallah*, to da nam trochę czasu - powiedział.

Budynek zatrzęsł się, gdy granat eksplodował we frontowym pokoju.

- Zostań tu - polecił Zajd Mazenowi. - Zabij tyłu, ilu zdołasz. Faruk, chodź.

Khan sięgnął po licznik Geigera.

- Zostaw to.

Faruk pokręcił przecząco głową. Wydawało się, że zapomniał języka w gębie.

- Ty gruby głupcze - skarcił go Zajd. - To ci już w niczym nie pomoże.

Ale Faruk trzymał licznik, jakby był w amoku. Nie mógł umrzeć tej nocy. Allah nie pozwoli na to. Nie po tym, co on tu znalazł.

Zajd obrócił się i pobiegł w górę po schodach. Faruk ruszył za nim, stękając przy każdym stopniu. Gdy dobiegli do szczytu schodów, Zajd zaklął wściekle. Wyjście na dach zamknięto tanią stalową kłódką.

W każdym innym miejscu kapitan Jackson nie spieszyłby się, podprowadziłby czołgi i zamienił zakład fryzjerski w kupę gruzu, a potem polecił irackim policjantom przetrząsnąć je w poszukiwaniu zwłok. Ale nie w Ghazali; nie dzisiaj wieczorem. Na ulicę wybiegli już mieszkańcy przedmieścia, wskazując na zakład fryzjerski i na opancerzone wozy

Po początkowej wymianie ognia, w budynku na chwilę zapanowała cisza. Jackson podczołgał się blisko zakładu w nadziei, że wszyscy w środku zginęli. Wtedy wybuchający granat rozwalil frontowe okno, rozpryskując odłamki szkła, które trafiły kapitana policzek. Jackson poczuł, jak po twarzy spływają mu strużki krwi. Rany nie były poważne, wzbudziły w nim irytację: nie powinien się narażać w takim stopniu.

Stał teraz za opancerzonymi drzwiami terenówki, trzymając przy uchu telefon kompanii i rozkazując swoim żołnierzom, żeby zebrawi się na miejscu. Podpułkownik Fahd czekał o kilka metrów dalej z dunhillem w dłoni.

Kompanijne czołgi ustawiły się w rogach kwartału, zamykając teren kordonem, przez który nikt nie mógł się przedrzeć. Trzy samochody stanęły przed frontem zakładu

fryzjerskiego. J.C. w pojedynkę załatwił już pięciu typów. Kapitan Jackson zakładał, że w najgorszym razie przy życiu mogło pozostać kilku *dżihadich*, bojowników świętej wojny. Uruchomił nadajnik radiowy

- „Niebieski sześć” do „Niebieskiego czy” - odezwał się.
- Czy, to twoja rubież. Wchodzimy do środka.
- Zrozumiałem, kapitanie.

Jackson rozłączył się i spojrzał na Fahda.

- Gotów, pułkowniku?
- Fahd wyrzucił niedopałek papierosa.
- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Ściskając w dłoniach swój karabin M16, J.C. podkradał się przy ścianie domu do drzwi zakładu fryzjerskiego. Kapral Voss, kierowca kapitana Jacksona, przyczał się po drugiej stronie frontowego okna rozwalonego wybuchem granatu. Iraccy policjanci stali o pół kroku za nim, czym J.C. nie był nadmiernie zachwycony. Gdyby coś poszło nie tak, nie umieliby porozumieć się ze sobą. Ale taki był rozkaz kapitana Jacksona.

Od momentu, gdy eksplodował granat, w zakładzie panowała cisza. Jeśli nie wybuchł sam, to w środku wciąż jeszcze byli żywi faceci. J.C. ostrożnie wysunął głowę zza futryny i zajrzał do wnętrza. Pomieszczenie wyglądało, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna: lustra rozbite w drobny mak, przewracane fryzjerskie fotele, dwa martwe ciała na podłodze. Potem dostrzegł drzwi znajdujące się na tyłach fryzjerskiego salonu, uchylone na kilka centymetrów; za nimi czaił się jakiś cień. Spojrzał na Vossa, chcąc się upewnić, że tamten też to zauważył. Voss wskazał najpierw na J.C. potem na siebie samego. J.C. przytaknął i w ten sposób narodził się plan działania.

Voss pokazał trzy palce. Dwa. Jeden.

J.C. przebiegł przed frontem zakładu w kierunku Vossa - jego ruch miał przyciągnąć ogień nieprzyjaciela. Jak należało

się spodziewać, drzwi na tyłach otwarły się i wyszedł z nich facet z kałasznikowem w rękach. Voss strzelił, trafiając typa - ogromnego mężczyznę z dziwnym mieczem przytroczo- nym do pasa. J.C. zdołał dostrzec w biegu, jak gość dostał kulę w ramię, zanim zdołał wystrzelić. Olbrzym okrzyk się wokół własnej osi i upadał, gdy J.C. zanurkował, kryjąc się za Vossem.

- Ruszajcie! - krzyknął Jackson do Irakijczyków Poli- cjan ci wbiegli do salonu, ostrzeliwując się na ślepo, ślizgając w kałużach krwi i na fragmentach ciał rozrzuconych na pod- łodze. Pierwszy z policjantów, podpułkownik Fahd, wszedł do pomieszczenia na zapleczu. W ślad za nim ruszył drugi policjant - BUUUM! Budynek zatrzęsł się, gdy gdzieś na jego tyłach eksplodował kolejny granat. Metalowe odłamki prze- leciały tuż nad głową J.C. Policjant, który stał w drzwiach, został odrzucony do tyłu impetem wybuchu.

Wylądował na plecach i nie ruszał się.

J.C. wszedł do środka w kucki, Voss zrobił to samo o krok za nim. Słyszeli jedynie ciche jęki dochodzące z zaplecza. J.C. nie sądził, by ktokolwiek zdołał przeżyć eksplozję drugiego granatu w stanie umożliwiającym kontynuowanie walki. Nie zamierzał jednak podejmować ryzyka. Cokolwiek się poru- szało, należy to unieszkodliwić. Wtedy obok niego przeszedł kapitan Jackson i ruszył ku drzwiom.

- Kapitanie - odezwał się J.C.

Za późno. Jackson był już w środku.

Fahd nie żył. Jackson wiedział o tym z chwilą, gdy wszedł do pokoju na tyłach. Odłamek granatu zrobił wyrwę w klatce piersiowej podpułkownika; jego mundur, wcześniej jasno- niebieski, pokrywały teraz plamy krwi barwy czerwonego wina. Nie uratowałyby go nawet kamizelka kuloodporna. Nogi miał rozrzucone, lewa była oderwana na wysokości kolana. Jedynie twarz Fahda pozostała nieuszkodzona, a jej wyraz był osobliwie spokojny. Najwidoczniej pułkownik zginął

natychmiast. Ale w rogu pod schodami inny człowiek nie przestał się jeszcze poruszać: olbrzymi *dzihadi*, który uniknął głównego impetu wybuchającego granatu.

Jackson wiedział, że powinien wezwać pomoc medyczną do tego człowieka, bez względu na to, czy tamten był powstańcem, czy nie. Potem spojrział raz jeszcze na Fahda i zdecydował, że póki co wstrzyma się z tym. Ktoś dotknął jego ramienia. Obrócił się zdumiony i zobaczył Ramireza.

- Kapitanie. Tu nie jest bezpiecznie - ostrzegł go podoficer, wskazując na schody

J.C ma rację, pomyślał Jackson. Nie powinien wchodzić do pomieszczenia pierwszy. Martwy na niewiele przydałby się „Wściekłym psom”. Wskazał na schody

- Ty i Voss - rozkazał. - Ruszajcie.

Faruk i Zajd czołgali się po dachu, starając się znaleźć drogę w dół, pozostając przy tym poza polem widzenia amerykańskich żołnierzy, znajdujących się poniżej nich i otaczających kwartał. Patrząc z ulicy od strony wystaw, można było odnieść wrażenie, że sklepy tworzy mieszczą się w jednym długim budynku. W rzeczywistości jednak każdy sklep był osobną budowlą. Ściany oddzielały dach zakładu fryzjerskiego od sąsiednich budynków. W jednym z narożników ktoś wcisnął do dziury w betonowym dachu pustą paczkę po papierosach oraz opakowanie od bezmarkowej prezerwatywy. Jedno i drugie pożytko w czasie miesięcy słonecznego skwaru.

Zajd wdrapał się na ścianę od strony północnej. Faruk usiłował wgramolić się za nim. Przeszedł przez ścianę i zauważył, że Irakijczyk otwiera zamknięte drzwi. Dach za drzwiami był płaski; żadne schody nie prowadziły na dół.

Z dołu dobiegł ich głuchy odgłos eksplodującego granatu. Mazen stawiał ostateczny opór, pomyślał Faruk. Zajd zdawał się tym nie przejmować. Odwrócił się i schodził ze ściany, na którą dopiero co się wspięli. Ale Faruk czuł, jak gaśnie w nim

wiara w ocalenie. Nie uda im się zejść cało z tego dachu, o ile Allah nie ześle im latającego rydwanu.

J.C. pobiegł w górę schodów, na końcu których wisały na zawiasach drzwi prowadzące na dach, z przestrzeloną kłódką. Voss był o krok z tyłu. J.C. kopnął drzwi i skoczył w prawo. Voss ruszył za nim i skoczył w lewo. J.C. dostrzegł dwóch mężczyzn wspinających się na ścianę w odległości około dziesięciu metrów. Zanim jednak zdążył ruszyć w ich kierunku, Voss kopnął granat, który Zajd przywiązał do drzwi, zakładając w ten sposób naprędce zaimprovizowaną wybuchową pułapkę. Zawleczka granatu zwolniła się.

- Padnij! - wrzasnął Voss. Jeszcze raz rozpaczliwie kopnął granat. J.C. padł na dach i zakrył twarz. Świat wywrócił się do góry nogami, gdy poczuł eksplozję tak głośną, jakby granat wybuchł w jego głowie.

J.C. poczołgał się za drzwi w kierunku Vossa, ale kierowcy już tam nie było. A przynajmniej nie w jednym kawałku. Coś jeszcze nie było w porządku. Świat nagle stał się niemy

- KTO WYPUŚCIŁ PSY? - krzyknął J.C. Albo wydawało mu się, że krzyknął.

- KTO? KTO WYPUŚCIŁ PSY?

J.C. wstał i usiłował strzelać w kierunku ludzi, którzy już przedostali się za ścianę, ale jego karabin się zaciął. Pierdole to, pomyślał. Wyciągnął pistolet i strzelał do ściany Dwaj jego koledzy wbiegli po schodach na górę. Krzyczeli do J.C. żeby przestał, lecz on ich nie słyszał. Nawet gdyby ich usłyszał, nie przestałby strzelać.

Faruk był teraz przekonany, że znaleźli się w pułapce. Szalony amerykański żołnierz biegł w ich kierunku tylko z pistoletem w dłoni. Zajd postanowił stoczyć bój na śmierć i życie, ustawiając kałasznikowa na ogień seryjny Łuski wysypywały się strumieniem, karabin jak szalony podskakiwał w jego rękach, pociski przecinały mrok nocy.

Faruk cofnął się. Pragnął się poddać, ale Zajd zabiłby go, gdyby podjął taką próbę. Musiał poczekać, aż tamten zostanie zabity. Dopiero wtedy on, o ile jeszcze będzie żywy, podniesie ręce do góry, tak jak to widział na filmach. Zawsze uważał się za tchórza. Wolał jednak wylądować w więziennej celi w Guantanamo niż umrzeć tu na dachu.

Amerikanin potknął się, ale wciąż biegł, nie przestając strzelać. Jeden z pocisków trafił Zajda w ramię. W tym momencie żołnierz pokonał już ścianę. Zajd obrócił się ku niemu i strzelał seriami. Faruk zachodził w głowę, jak Irakijczyk mógł nie trafić. Ale Amerikanin sprawiał wrażenie, że kule się go nie mają. Uniósł pistolet i trafił Zajda w klatkę piersiową, potem znów nacisnął na spust i znów.

Faruk upuścił licznik Geigera i podniósł ręce. Żołnierz obracał się ku niemu.

- Poddaję się - zawołał Faruk. - Poddaję. Poddaję.

Korpulentny mężczyzna coś krzyczał, ale J.C. nie słyszał go. Wycelował pistolet prosto w pierś faceta i pociągnął za spust.

Pistolek wydał metaliczny brzęk, a Faruk czekał, aż jego klatka piersiowa eksploduje. Czekał, aż ogarnie go ciemność - lub stanie się cokolwiek innego, co dzieje się potem. Teraz powinien już odczuwać bliskość Allacha. Zamiast jednak tej bliskości odczuwał przeogromny dystans.

Kolejny metaliczny brzęk. I nic. Faruk osunął się kolana i uświadomił sobie, że wciąż jest wśród żywych.

J.C. spojrzął na grubasa głupawym wzrokiem, a potem zerknął na pistolet, który najwyraźniej przestał działać. Skończyła się amunicja. Bez wątplenia. W mgnieniu oka z J.C. wyparowała cała adrenalina. Nie przeładował broni, lecz upuścił ją i nachylił się, aż jego twarz znalazła się o centymetry od twarzy tego człowieka, tego tłuściocha, który trząsł się

i mówił jakieś słowa, których J.C nie mógł dosłyszeć lub zrozumieć. Krople śliny grubasa pryskały na mundur J.C. Kanonier Ramirez chciał coś powiedzieć temu facetowi, ale nie był w stanie przypomnieć sobie, co.

Trwali tak do chwili, kiedy kapitan Jackson odciągnął J.C. do tyłu.

Kamizelka kuloodporna nie zdołałaby ocalić podpułkownika Fahda, ale uratowała życie J.C. Ramireza. Warstwa kevlaru zatrzymała dwa pociski. Ze względu na nadwężone bębniaki w uszach odesłano go wcześniej do domu, chociaż rozpaczliwie pragnął zostać w Iraku razem z kumplami. Za zabicie sześciu partyzantów oraz brawurowy atak w bliskim ogniu nieprzyjaciela został odznaczony Krzyżem za Wybitną Służbę, wojskowym medalem drugim w hierarchii po Orderze Honoru nadawanym przez Kongres.

Zdaniem Jacksona natomiast J.C. zasłużył na najwyższe odznaczenie. Ten chłopak był najlepszym żołnierzem, jakiego kapitan kiedykolwiek spotkał. Ale Takahashi, dowódca batalionu, oznajmił, że kilku wyższych oficerów pragnie utrzymać wieczorną akcję w tajemnicy. Czym zresztą Jackson nie był zaskoczony, uwzględniając fakt, jak szybko goście z Grupy Operacyjnej Sto Dwadzieścia Jeden pojawili się na miejscu, kiedy drogą radiową przesłał meldunek o znalezieniu licznika Geigera i pakistańskiego paszportu. Wsadzili grubasa do jednej ze swoich terenówek i polecili Jacksonowi zabrać ciała zabitych partyzantów oraz ich samochody do bazy Camp Graphite w celu przeprowadzenia bliższych oględzin. Zupełnie jakby był ich chłopcem na posyłki.

- Dopilnujemy, żeby zasługa za to spadła na was - zadeklarował jeden z oficerów jednostki sił specjalnych, który twierdził, że ma stopień pułkownika, choć na mundurze nie miał żadnych naszywek. Tak jakby zasługa była wszystkim, na czym zależało Jacksonowi, a śmierć Fahda i Vossa nie liczyła się wcale. Kapitan nie mógł przeboleć utraty jednego

ze swych ludzi. Albo dwóch, zależnie od tego, jak kto liczy

Ale kiedy rankiem po zakończonej akcji padł zmęczony na polowe łóżko, a słońce już wzniosło się nad horyzont i upał narastał, Jackson przyznał w duchu, że jest dumny ze swojej kompanii. Faceci z GO 121 biegali dookoła, ale liczyły się tylko „Wściekle psy”. Zamierzał dopilnować, by jego żołnierze zrozumieli znaczenie akcji, nawet mimo faktu, że zabroniono im o tym rozmawiać. Misje takie jak ta stanowiły prawdziwy powód, dla którego przysłano ich w sam środek tego piekła. Pokrzyżowali plany al-Kaidzie, przypuszczając skuteczny atak na terrorystów, zamiast odwrotnie.

Jackson podłożył ręce pod głowę i wpatrywał się w sufit. Chociaż był bardzo pobudzony, wiedział, że potrzebuje snu. Jutro miał zdać raport z przeprowadzonej akcji przed kilkoma generałami. Nie najgorzej jak na kapitana, który liczył sobie dwadzieścia dziewięć lat. Mam tylko nadzieję, że wywiad wie, co zrobić ze schwytanym facetem, pomyślał Jackson, kiedy w końcu zaczął zasypiać. I mam nadzieję, że nie jest za późno.

7

ATLANTA, GEORGIA

Mężczyźni o brązowej skórze i wygłodniałych oczach, w tanich czapkach z siatki, stali w grupkach na ogromnym parkingu. Wprawdzie słońce weszło dopiero przed godziną, ale powietrze już zrobiło się gorące i lepkie, więc poruszali się ślamazarnie, oszczędzając energię na cały długi dzień. Lecz letarg, w jakim się znajdowali, był pozorny. Kiedy na parking zjechał pikap, mężczyźni skupili się wokół niego w kilka sekund.

Facet o czerwonej twarzy, w koszuli z krótkim rękawem, wychylił się z samochodu, odpychając tłumek do tyłu.

- Wyluzujcie, robole.

Ludzie w tłumie zaczęli pomrukiwać, ale się odsunęli.

- Czterech facetów. Na cały dzień - oznajmił. - Osiemdziesiąt doliców na głowę. Czy ktoś mówi po angielsku?

John Wells przepchnął się przez ciżbę.

- Ja mówię.

- Ty - odparł mężczyzna. - Wystąp.

Wskazał jeszcze na trzech nielegalnych robotników

- Ty. Ty. Ty. Z tyłu.

Gdy pozostali mężczyźni odchodzili, wlokąc się noga za nogą, Wells ruszył pośpiesznie do pikapa, czerwonego chevroleta z kabiną do przewozu ludzi, z firmowymi tablicami rejestracyjnymi oraz sloganem namalowanym białą farbą: LEE - KSZTAŁTOWANIE KRAJOBRAZU: UPIĘK-SZANIE ATLANTY OD 1965.

- Jak masz na imię? - zapytał facet o czerwonej twarzy
- Jesse.
- Jestem Dale. Mówisz po hiszpańsku?
- Trochę - odparł Wells. - *Poquito*.
- Trzymaj tych gości w ryzach, to zarobisz ekstra dwadzieścia dolców
- *Si, señor*.
- Dale się roześmiał.
- *Si, señor*. To śmieszne.

Pikap skierował się ku wyjazdowi z parkingu i wyjechał na Buford Highway, trasę 13, ruchliwą sześciopasmową autostradę, prowadzącą z Atlanty do przedmieść na północnym wschodzie - Chamblee i Doraville. Kiedy Wells przyjechał tu w kwietniu, nie bardzo wiedział, czego ma się spodziewać po Atlancie. Poza krótkim okresem, kiedy był w wojsku, nigdy nie przebywał na Południu. Miał jedynie mgliste pojęcie o Scarlet O'Hara i Martinie Luterze Kingu. Atlanta zaskoczyła go. Miasto było większe niż się spodziewał; harmonijnie przechodziło w przedmieścia, które rozciągały się całymi kilometrami we wszystkich kierunkach pośród niskich wzgórz Georgii. Poza tym nie było to miasto Czarnych i Białych, jak sobie wyobrażał - mieszkali tu liczni Latynosi i Azjaci, a nawet garstka Arabów. Zwłaszcza tu, wzdłuż Buford Highway, ciągnął się istny melanz handlowych pasaży, na szyldach których widniały napisy po wietnamsku, japońsku oraz w alfabetach, jakich Wells nigdy nie widział. Meksykańskie bary, koreańskie sauny oraz placówka First International Bank - „*Tu Banco Local*” - rozlokowały się obok Comfort Inn i Waffle House, reliktyw bardziej mu znanej Ameryki. Milę dalej na północ minęli Buford Farmers Market, który mimo sielankowej nazwy zaopatrywał imigrantów z Ameryki Środkowej, oferując ogony wołowe i bydłce jądra zapakowane w foliowe worki po dwa dziewięćdziesiąt dziewięć za funt.

Miejscowi mówili na Chamblee „Chambodia”, ale określenie to z ledwością oddawało bogaty koloryt tego miejsca.

Buford Highway prezentowało Amerykę epoki postame-rykańskiej, Stany Zjednoczone w ich szpetnej, lepkiej formie, akceptującej - jeśli nie do końca mile witającej - imigrantów o każdym kolorze skóry, pomyślał Wells. Co bardziej praktyczne, było to dobre miejsce na kryjówkę. Każdy, kto chciał pracować, bez trudu zarobił tu na chleb, natomiast właściciele bazy noclegowej nie robili ceregieli z wynajmowaniem pokoi ludziom, których papiery nie do końca były w porządku. Mile widziany był każdy, kto płacił na czas i nie robił awantur, jak Wells.

Mieszkał tu więc tuż obok autostrady od czterech miesięcy, w umeblowanym apartamencie z jedną sypialnią. Każdego ranka zajmował swoje miejsce wśród przybyszów z Gwatemali i Nikaragui, oczekujących na terenie parkingu na dorywczą pracę. Początkowo podejrzewali go, że jest agentem służb imigracyjnych albo policjantem i nie chcieli nawiązywać z nim rozmowy, ale później rozluźnili się nieco. Jednak wciąż nie darzyli go sympatią: otrzymywał zajęcia częściej niż oni, ponieważ był biały i mówił po angielsku.

Ale Wells był przekonany, że wie, jak stwarzać pozory osoby przybyłej znikąd. Kolejne fałszywe nazwisko, kolejna nowa tożsamość, kolejne oczekiwanie bez końca na rozkazy. Czasami się zastanawiał, jak zareagowałiby faceci pokroju Dalea projektanta krajobrazu, gdyby im wyjawiał, kim jest naprawdę. Zapewne roześmialiby się - „To śmieszne” - i kazaliby mu wrócić do roboty

Jechali na zachód drogą 1-285, obwodnicą oplatającą Atlantę, zostawiwszy za sobą piaski Doraville; minęli kolosalny Perimeter Mall, centrum handlowe wielkości niedużego miasteczka. Nawet teraz Wells nie przyzwyczał się do popularnej zamożności Ameryki, błyszczącego przepychu samochodów i biurowców. Przy zjeździe 24 w kierunku Sandy Springs zjechali z trasy 285 i po kilku minutach Dale skręcił w ślepa uliczkę, przy której stały cztery nowo zbudowane domy.

Tabliczka obwieszczała dumnie: ALEJA UKRYTE WZGÓRZE - DROGA PRYWATNA. Czekala już na nich ciężarówka pełna sadzonek oraz nastolatek w czapce z napisem „Jeff Gordon”.

- Kyle - odezwał się Dale do chłopaka.

- Siema, Dale.

Wymienili skomplikowany, płynny uścisk dłoni.

- Przywiozłem ci paru Meksykańców - oznajmił Dale.

- To jest John. Mówi po hiszpańsku... Powie im, co mają robić.

Serce Wellsa zabiło mocniej. Jakim cudem Dale znalazł jego prawdziwe imię?

- Jesse - skorygował.

- Jak zwał, tak zwał - zignorował go Dale. - Ważne, żebyś kopał doły

Wells jedynie pokiwał potakująco głową. Od sześciu miesięcy nikt go tak nie przestraszył jak ten biały szpenio.

Dale wskazał na sadzonki krzewów umieszczone na ciężarówce.

- Kyle pokaże wam, gdzie macie je przenieść - wyjaśnił.

- Uważajcie, żeby korzenie były sadzone głęboko.

Około południa zrobili przerwę obiadową, kryjąc się przed słońcem po zacienionej stronie domu. Gwatemalczyki rozwinęli przygotowane w domu *tamales* i wyciągnęli butelki z ciepłym już piwem; Wells wyjął wiaderko kurzych udek z Kentucky Fried Chicken, które stanowiły jego przysmak. Przeżuwał tłuste, słone mięso i poruszał zmęczonymi barkami, starając się rozluźnić mięśnie. Koszula była zupełnie przepocona, ale pracował z ochotą. Miesiące kopania dołów i walenia młotem pozwoliły na odbudowanie mięśni, które niemal zanikły, kiedy tkwił beczynnym na terenie Prowincji Północno-Zachodniej.

Wells pochylił wiaderko z kawałkami kurczaka w stronę robotników z Gwatemali.

- Macie ochotę?

Jeden z mężczyzn wyciągnął rękę w stronę wiaderka, ale zawahał się.

- W porządku - zachęcał Wells. - Poczęstuj się.

Latynos wziął udko.

- *Gracias.*

- *Quien es tu nombre?*

- *Eduardo. Tu?*

- Jesse.

- Pracujesz każdego dnia.

- *Si* - przytaknął Wells.

- Bo ty biały

- Na to wygląda - odparł Wells.

Na twarzy Eduarda pojawił się zaczątek uśmiechu, potem znikł.

- I ty nie *imigración*.

- Nie.

Na twarzy Eduarda rysował się brak zrozumienia, kiedy usiłował pojąć, dlaczego *norteamericano* był zmuszony do pracy wspólnie z nimi. Wells odbywał już taką rozmowę lub podobną dziesiątki razy wcześniej. Zawsze zatrzymywała się w tym punkcie. Ci ludzie respektowali prywatność; poza tym, tak czy inaczej, większość z nich za słabo znała język, by kontynuować konwersację. Nic więc dziwnego, że Eduardo kończył pałaszować udko w milczeniu.

- *Gracias* - podziękował kolejny raz.

Wells oparł się o ścianę i spoglądał na domy stojące wokół niego, rozłożyste i wysokie, z dobudowanymi garażami na trzy lub cztery samochody. W każdym z nich mieściło się prawdopodobnie piętnaście pokoi. Dla jednej rodziny. Zdumiewające, pomyślał. Ci, którzy tu zamieszkają, będą zachwyceni - a przynajmniej powinni być.

Skończyli pracę około piątej po południu. Chmury na niebie gęstniały, zapowiadając letnią burzę.

- Czy ktoś ma ochotę na papierosa? - zapytał Kyle.

Podszedł do pikapa - i nagle wskoczył do środka, po czym ruszył z miejsca.

- Później, sukinsyny - rzucił im na odjezdnym.

I po prostu sobie pojechał. Przez chwilę Gwatemalczycy biegli za samochodem, ale zrezygnowali, gdy auto znikło za wierzchołkiem Mount Vernon.

- *Maricón* - wykrzyknął na próżno Eduardo w dół szosy - Pieprzony *puta*!

Podobny przypadek zdarzył się Wellsowi już wcześniej. Większość pracodawców dotrzymywała słowa, ponieważ byli ludźmi uczciwymi albo wiedzieli, że wieść o tym, iż oszukują, szybko się rozejdzie po okolicy. Niektórzy okazywali się jednak prawdziwymi kutasami. Wells poczuł nagłą ochotę, by rzucić kamieniem w okno jednego z tych domów. Ale wtedy Dale mógłby pojawić się na parkingu przy Kermeksie w towarzystwie glin, a nikt nie chciał się narażać na takie ryzyko. A już w najmniejszym stopniu sam Wells. Rzucił na trawnik wiaderko po kurczakach - miał nadzieję, że zapach zwabi szopy

Szli w dół góry Mount Vernon wiele kilometrów w strugach deszczu, który przemienił się w regularną burzę z piorunami. Wells instynktownie przylepił się do Eduarda i pozostałych, chociaż niepokoił się, że na drodze może ich zgarnąć policja. Sandy Springs było najzamożniejszym z przedmieść Atlanty, a strzegący go gliniarze niechętnym okiem spoglądali na mężczyzn o brązowej skórze wałęsających się po ulicach. Na długich odcinkach droga nie miała pobocza ani chodnika; dwa razy musieli uskakiwać w krzaki przed rozpedzonymi sportowymi autami.

W końcu dotarli do trasy 285 i czekali bez końca na miejski autobus. Od tej pory Wells brał do roboty dwadzieścia dolców i telefon komórkowy, żeby móc zadzwonić po taksówkę, w razie gdyby znów znalazł się w podobnych tarapatkach.

Wcześniej bywało, że bardziej wymarzał czy zgłodniał, ale nigdy nie był tak rozwścieczony Spodziewał się więcej po tym kraju. Obok niego Gwatemalczyki gwarzyli między sobą, W końcu Wells klepnął w ramię Eduarda.

- Mówisz po angielsku? - zapytał Wells.

Eduardo uśmiechnął się.

- Tak dobrze jak ty po hiszpańsku.

- W takim razie, czy mogę cię o coś zapytać? Podoba ci się tutaj?

- Co miesiąc posyłam rodzinie siedemset dolarów. Budują dom w Escuintla, skąd pochodzę - odparł Eduardo. - Kiedy skończy się budowa, wrócę do domu.

- Nie zamierzasz tu zostać?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Przecież pytam.

Eduardo spojrział na Wellsa, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- W takim razie powiem ci, człowieku. Wiedziałem o Ameryce wszystko, zanim tu przyjechałem. Wielki i bogaty kraj.

Poza tym macie tutaj de-mo-kra-cję oraz wolność...

Angielski być może nie jest ojczystym językiem Eduarda, lecz facet doskonale rozumie ironię tych słów, pomyślał Wells.

Eduardo zakaszlał i splunął na ulicę.

- Postępujcie tak, jak gdyby było to jedyne miejsce na ziemi. I wszyscy powinni się smucić, że nie mogą tutaj żyć Zatem jestem zadowolony, że tu przyjechałem, człowieku.

Teraz zobaczyłem Amerykę na własne oczy Nie będę za nią tęsknił. Ten kraj jest dla mnie miejscem pracy. To wszystko.

Zapadł już zmrok, kiedy Wells w końcu dotarł do swego mieszkania. Wprawdzie konał ze zmęczenia, ale nie zapomniał o sprawdzeniu kawałka taśmy przyklejonej do futryny

u góry oraz czarnej nitki przywiązanej na dole; obie były nieknięte. Kolejny raz udało mu się wymknąć prześladowcom. Jeśli ktokolwiek kłopotał się, by go ścigać.

Pokój wyglądał jeszcze bardziej nieciekawie niż zwykle. Obskurny materac i drewniany stolik oszpecony plamami żaru od papierosów. Regał na książki z płyty wiórowej oraz telewizor i odtwarzacz DVD w jednej obudowie, z kilkoma filmami na płytach, głównie westernami, jak *Shane*. Motywujący plakat z orłem wzlatującym nad typowym górskim krajobrazem. Poza kilkoma płytami DVD i paroma książkami, pokój wyglądał tak samo jak w dniu, kiedy Wells zjawił się tu po raz pierwszy. Żadnych fotografii, żadnych ozdóbek. Żadnych ciuchów na podłodze, żadnych naczyń w zlewie. Nic, co wskazywałoby na fakt, że w tym miejscu mieszka istota ludzka, nie robot. Poza jedną tylko rzeczą: przed paroma tygodniami Wells kupił akwarium oraz parę skalarów.

- Cześć, Lucy - odezwał się w stronę akwarium. - Cześć, Ricky

Nigdy specjalnie nie przepadał za rybkami, ale cieszył się, że w mieszkaniu było coś żywego. Właściwie na poły żywego - w ciągu paru ostatnich dni skalary pływały bowiem coraz wolniej.

Ukląkł na modlitewnym dywanie i bez specjalnego entuzjazmu otworzył Koran na pierwszej surze.

- „W imię Allacha Miłościwego i Litościwego” - deklamował po arabsku. - „Chwała niech będzie Allahowi Władcy Światów”...

Przerwał i odłożył Koran. Starał się modlić każdego ranka i wieczoru, ale nie był w stanie ukryć przed sobą samym, że z jego wiary uchodziło powietrze, jak z przebitej opony, od dnia, kiedy ukląkł w beznadziei przed grobami rodziców. Wciąż jeszcze wierzył - albo desperacko pragnął wierzyć - w Boga, miłość bliźniego i braterstwo. Mówił jednak prawdę, wyznając przed Duto, że islam jest dla niego zarówno religią, jak i sposobem na życie. Bycie muzułmaninem oznaczało

modlitwę pięć razy dziennie oraz obecność w meczecie ramię w ramię ze współwyznawcami w każdy piątek - chociaż niekoniecznie wiarę w to, że Mahomet został wniebowzięty razem z białym rumakiem. Teraz Wells modlił się samotnie, pozbawiony komfortu *ummy*, braterstwa, a Koran wydawał mu się coraz bardziej obcy.

W pewien sposób ten dystans odpowiadał Wellsowi. Wiedział bowiem, że w chwili, kiedy powstrzyma Khadriego, nie będzie miał żadnych wątpliwości. Wciąż pragnął w coś wierzyć. Nie miał ojczyzny, religii ani rodziny. Próbował napisać list do syna, ale po pół tuzinie żalonych wysiłków zrezygnował. Cóż mógł powiedzieć temu chłopcu? „Drogi Evanie, nie znasz mnie, ale to ja jestem twoim prawdziwym ojcem, nie zaś ten miły prawnik, który opiekował się tobą przez wszystkie te lata...” „Drogi Evanie, wiem, że zniknąłem z twojego życia, kiedy miałaś dwa lata...” „Drogi Evanie, to ja, twój tata. Nie mogę powiedzieć, gdzie jestem ani co robię, ani nawet jakie teraz noszę nazwisko, ale masz tu pięćdziesiąt dolarów. Kup sobie grę wideo i myśl o mnie, kiedy będziesz w nią grał.”

Nigdy by nie przypuścił, że w Stanach Zjednoczonych będzie jeszcze bardziej samotny niż na terenie Prowincji Północno-Zachodniej. Utrzymywał się w przekonaniu, że wierzy w Exley Jenny. Śnił o niej kilka razy. Czasem był z nią w dziupie. Kiedy indziej był obok niej w ten wieczór, kiedy straciła dziewictwo. Za każdym razem budził się w członkiem wzwidzionym w bokserkach. Nie miał jej fotografii, ale zawsze potrafił przywołać w wyobraźni jej niebieskie oczy oraz półprzezroczystą, białą skórę. Jej szarpany krok. Był pewien, że jest w stanie wypatrzeć ją w tłumie z dystansu stu metrów. I był pewien, że ona czuła to samo w stosunku do niego.

Chociaż cóż tak naprawdę o niej wiedział? Niewykluczone nawet, że wymyśliła tę historyjkę, udawała uczucie wobec niego na polecenie kogoś postawionego wyżej. Już wcześniej

Agencja posługiwała się seksem jako bronią. Wells pokręcił głową z niedowierzaniem, Gdy ta historia była zmyślona, Jenny byłaby gwiazdą Hollywood, nie analitykiem w Langley. Musi zaufać instynktowi albo skończy na tym, że za każdym rogiem będzie widział agentów FBI. Nie, Exley pragnęła go w równym stopniu, jak on pragnął jej. Spotkają się przecież ponownie. Póki co miał do odwalenia robotę i musiał ją dokończyć, zanim al-Kaida zdecyduje się w końcu przyjść po niego.

Po tej refleksji odsunął myśli o Exley na bok i po raz chyba setny spróbował odgadnąć, dlaczego Khadri wysłał go do Atlanty. O kilka kilometrów od mieszkania Wellsa znajdował się Ośrodek Kontroli Chorób z zamrażarkami wypełnionymi wirusami ospy wietrznej i Eboli. Jednak siedziba Ośrodka była prawdziwą twierdzą, strzeżoną przez uzbrojonych strażników, wyposażoną w czujniki ruchu i zamki biometryczne. Khadri byłby głupcem, gdyby sądził, że jego ludzie mogą przedostać się do wnętrza obiektu. Ponadto w opinii Wellsa Khadri nie był tępakiem. Był sadystycznym skurwiellem, co nie ulegało wątpliwości. Zamachy bombowe w L.A, to potwierdzały. Ale tępakiem nie był.

Jakiż więc cel Khadri upatrzył sobie tutaj? Centennial Park, w którym odbyły się igrzyska olimpijskie w 1996 roku? Nikt już nawet nie pamiętał olimpiady z 1996 roku. Regionalny oddział Banku Rezerw Federalnych? Także odpada. Gmach Coca-Coli? Tak, z pewnością gmach Coca-Coli. Cola symbolizowała przecież amerykański imperializm. Być może jednak Khadri opracował brawurowy plan ataku na Fort Benning, oddalony o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południe. Wells co kilka dni udawał się do biblioteki miejskiej w Doraville, by sprawdzić skrzynkę e-mailową założoną na serwerze Yahoo i za każdym razem stwierdzał, że jest pusta.

Wells pokręcił szyją, jak miał w zwyczaju. Bezproduktywne przesiadywanie tu razem ze zdychającymi rybkami nie wpływało na niego dobrze. Ruszył w stronę drzwi.

- Przepraszam, Lucy - powiedział na pożegnanie w stronę rybek. - Przepraszam, Ricky Wy przynajmniej wciąż macie siebie.

Skalary jednak nie odpowiedziały

Ford ranger Wellsa pamiętał lepsze czasy: klimatyzacja z ledwością się wyrabiała, ktoś zerwał też pokrywę schowka. Jednak samo auto było absolutnie anonimowe - nieduży biały pikap, jak setki tysięcy innych w Georgii. Nawet jeśli zostałby zatrzymany do rutynowej kontroli, wszystko powinno być w porządku. Nazwisko na ubezpieczeniu i w dowodzie rejestracyjnym było takie samo jak nazwisko, na które wystawiono prawo jazdy: Jesse Hamilton. Wells posiadał też stary motocykl honda CB500, kupiony przed trzema miesiącami w Tennessee. Zapłacił gotówką i nie zarejestrował pojazdu, żeby nikt nie skojarzył maszyny z jego osobą. Na wszelki wypadek.

Wells zjechał pikapem z Buford Highway i wjechał na wąski parking przy Rusty Nail - restauracji, której drzwi wejściowych strzegł rewolwer długi na prawie dwa metry. Był to w rzeczywistości rożen do pieczenia mięsa. Lokal słynął z barbecue, stąd też w dzień i w nocy nad rewolwerem unosiły się wąskie smugi niebieskiego dymu. Wewnątrz restauracja prezentowała się dziwnie: przypominała domek narciarski. Była to drewniana budowla na planie ośmiokąta, z barem pośrodku i boksami ustawionym dookoła. Na ekranach zamontowanych w narożnikach telewizorów toczył się mecz drużyny Atlanta Braves, powietrze ciężkie było od papierosowego dymu i woni barbecue. Innego wieczoru ów nieco zatechły zapach mógłby zniechęcić Wellsa, ale tym razem nawet mu odpowiadał taki aromat.

Rozsiadł się przy barze obok automatu do gry, którego ekran jaskrawo migotał. Lokal był niemal pusty; jedynie grupka stałych bywalców oglądała dziewiątą rundę oczami, z których przebijał alkoholowy poblask. Kilkoro dzieciaków

z Uniwersytetu Emory szukało taniego miejsca, w którym można się napić. Wells był wcześniej w Nail tylko raz, podobnego wieczoru jak ten, kiedy miał już dość ciszy własnego mieszkania. Z chęcią jadałby tu częściej, spożywał kolację i oglądał mecz raz w tygodniu, ale stali bywalcy od razu by go zauważyli.

- Gdy tylko chcesz, bądź szarym człowiekiem - uczył Wellsa Bill Daley z Knoxville, najlepszy instruktor od kontrinteligencji, podczas szkolenia w obozie w Farm. - Teraz ludzie patrzą na ciebie, kiedy wchodzisz do pomieszczenia. Stań się osobą, której nikt nie zapamięta.

Od tamtego czasu Wells czynił wszystko co mógł, by nie przyciągać uwagi i trzymać głowę na kłódkę. Co oczywiste, nie był szarym człowiekiem w Afganistanie, gdzie wyróżniał się przez samo swoje istnienie. Ale nawet tam pozostawanie w cieniu pomagało. Niekiedy Wells zastanawiał się, czy nie wziął sobie porady Billa za bardzo do serca i tak głęboko ukrył własną osobowość w swoim wnętrzu, że sam już nie wiedział, kim jest. Chociaż odpowiedź na tę kwestię niespecjalnie go interesowała.

Kiedy żył na obszarze Prowincji Północno-Zachodniej, pragnął wrócić do domu. Teraz jednak, kiedy był w ojczyźnie, nie miał pojęcia, co będzie robił i co ze sobą pocznie, kiedy misja dobiegnie końca. Wyglądało na to, że wojna z terroryzmem wcale nie traciła impetu. Chyba nigdy nie będzie musiał rozglądać się za inną robotą. Rolę szarego człowieka może odgrywać do upadłego.

Komentarz Billa z Knoxville był najważniejszą nauką, jaką Wells wyniósł ze szkolenia. Gdy ukończył obóz w Farm, nigdy nie dotknął martwego zrzutu ani nie zdekonspirował siatki wrogich agentów. Żałował, że nie był szpiegiem w latach zimnej wojny. W tamtym czasie walka wywiadów cechowała się do pewnego stopnia formalną elegancją. Agencja i KGB istniały niemal niezależnie od własnych rządów, rozgrywając partię trójwymiarowych szachów na planszy, którą

jedynie oni widzieli. Żadna ze stron tak naprawdę nie spodziewała się, że przeciwnik wysadzi świat w powietrze, a żołnierze walczący na ich zlecenie w Afryce i Ameryce Środkowej toczyli najbardziej zacięte boje. Kilka nieszczęsnych sowieckich wtyczek skończyło na stryczku, ale nie szpiedzy we własnej osobie. Najgorszą karą za wpadkę było wydalenie z kraju i być może niemiłe przesłuchanie przed Senacką Komisją do Spraw Wywiadu.

To jednak już przeszłość. Dzisiaj, jeśli dasz się złapać złym facetom, kończysz jako truposz, a wideo ze sceną obcinania ci głowy jest publikowane w Internecie, tak by cały świat mógł to zobaczyć. Czarne charaktery ochoczo wysadziłyby w powietrze całą planetę, gdyby tylko mogły Atrament sympatyczny i aparaty fotograficzne ukryte w długopisie były szpiegowskimi atrybutami przeznaczonymi na łatwiejsze czasy

* * *

Barmanka przesunęła się w stronę Wellsa. Była to chuda kobieta z kolczykiem w nosie, o przyjaznych niebieskich oczach, w trykotowej bluzce z długimi rękawami i herbem drużyny Atlanta Braves.

- Czy mogę coś podać?

Pochyliła się nad nim, a Wells niemal spadł ze stołka. Po trwającym prawie dekadę celibacie bezpośrednia bliskość kobiety wytrąciła go z równowagi. W szczególności tej kobiety. Wyglądała jak... Cóż, wyglądała jak młodsza wersja Exley. Była wyższa. I nieco szmirowata. Nic więc dziwnego, że ponownie zjawił się w Rusty Nail.

Uśmiechnęła się. Zrobił, co w jego mocy, by odwzajemnić uśmiech.

- Hamburgera, średnio-słabo wysmażonego, i frytki.

Jej uśmiech przemienił się w uśmieszek.

- Średnio-słabo wysmażony może okazać się zbyt trudnym wyzwaniem dla naszego „szefa kuchni” - zrobiła

palcami „cudzysłów”, nie mógł więc nie zauważyć, że przekomarza się z nim. - Radzę wybrać jeden albo drugi. Nie jestem pewna, jakim językiem posługuje się kucharz, ale z pewnością nie jest to angielski.

- W takim razie średnio wysmażony - zdecydował Wells.
- Dobry wybór.
- I colę.
- Colę?
- Nie, piwo - skorygował Wells, dziwiąc się sam sobie.

Poczuł przyjemność połączoną z wyrzutami sumienia.

Domyślał się, że coś podobnego przeżywają narkomani, kiedy szykują się do wzięcia pierwszej działki w ciągu dnia.

Wzruszyła lekko ramionami, dając do zrozumienia, że fakt, czy pozostanie trzeźwy, to nie jej zmartwienie.

- Jakie piwo?
- Budweiser. Beczkowe - wybrał Wells. - Przynies razem z hamburgerem.
- Jasne. Jak masz na imię?
- Jesse.
- A ja Nicole.

Zanim zdążył się powstrzymać, wyciągnął dłoń. Nicole patrzyła na niego przez moment, potem podała swoją.

- Miło cię poznać - powiedział.
- Cześć.

Wyszła do kuchni, a Wells obserwował każdy jej krok, czując, jak czerwienią mu się policzki. Miło cię poznać? Uścisk dłoni? Przecież ona była barmanką, nie agentką ubezpieczeniową. Ale nie wiedział, co ma powiedzieć. Pragnął jedynie, by wróciła z kuchni i by mógł jeszcze trochę na nią popatrzeć.

* * *

Wells wrzucił monetę jednodolarową do automatu i zaczął grę *Entertainment Trivia* bawiąc się swoim zdumiewającym brakiem aktualnej wiedzy. „Najbardziej kasowy film

wszechczasów to A) *Gwiezdne wojny*, B) *Titanic*, C) *Shrek*, D) *Spiderman*. Wells wybrał *Gwiezdne wojny*, o pozostałych trzech ledwo co słyszał. Prawidłową odpowiedzią był „*Titanic*”.

Nicole przesunęła piwo i hamburgera po barze i położyła wolną rękę na jego ramieniu.

- Naprawdę nie wiedziałeś, że to *Titanic*?

- Uhm.

Wells sączył Budweisera i usiłował nie powiedzieć niczego głupiego. Piwo było chłodne, ostre, lekko gorzkawe w smaku. Idealne. Smakowało domem.

- Ten film jest wspaniały

- Nigdy go nie widziałem.

- Naprawdę? Gdziez się więc podziewałeś, żyłeś w jakiejś dziurze?

- Coś w tym rodzaju.

- Pokaż ręce - wzięła w swoje dłonie jego ręce i obróciła do przodu, potem do tyłu. - Żadnych tatuży. Nie siedziałeś w więzieniu.

- Nie - zaprzeczył Wells. - Czy wyglądam, jakbym siedział w pace?

- Poniekąd - odparła. - I jakbyś od bardzo dawna nie pił piwa.

- Co do drugiego to masz rację.

Stuknęła w automat.

- Graj. Zaraz zeżre twojego dolara.

Wells nacisnął guzik z następnym pytaniem: „To niezwykle odkrycie było pierwszym zwycięzcą telewizyjnego show *American Idol*: A) Jessica Simpson, B) Kelly Clarkson, C) Ruben Studdard, D) Justin Timberlake”.

- Kim są ci ludzie? - dziwił się Wells.

- Jessica Simpson. Blondyna, duże cycki... coś ci świta?

Nacisnęła odpowiedź B i zdobyła dziewięćset punktów.

- Być może Ruben jest bardziej w twoim guście? Więcej chłopak z Birmingham.

- Jak Garth Brooks?

- No pewnie, z tym że Ruben jest tłusty, czarny i śpiewa ballady Przestań, nigdy nie słyszałeś o żadnym z nich? Wystawiasz na próbę moją cierpliwość.

- Przestałem zajmować się muzyką mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarł Kurt Cobain.

Tak po prawdzie wcale nie przestałem zajmować się muzyką, pomyślał. Ale w miejscach, w których przebywałem, nie grano zbyt wiele rocka. Wells nie mógł uważać swych muzycznych gustów za wyrafinowane: w szkole średniej był fanem Springsteena i Zeppelinów; lubił też spokojniejszych wykonawców, na przykład Prince'a. W college'u przestawił się na grunge i muzykę alternatywną, jak wszyscy inni. W Afganistanie i Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej brakowało mu muzyki bardziej niż się tego spodziewał, chociaż przed wyjazdem zapisał w pamięci kilka tuzinów piosenek i wciąż potrafił je przywołać, kiedy nadarzała się okazja.

- Gdzieś ty był? - nie mogła pojąć Nicole. - Na Księżycu?

- Gorzej. W Kanadzie.

- Być może tkwię w Georgii całe życie, ale wiem, że w Kanadzie mają telewizję - skierowała na niego powłóczyście spojrzenie, potem pokręciła głową z niedowierzaniem. - Niech ci będzie, Kanada.

- Hej, Nicole - zawołał facet po drugiej stronie baru.

- Czy mężczyzna może dostać drinka, czy też zamierzasz spędzić cały wieczór flirtując?

- Jaki mężczyzna? Ach, masz na myśli siebie - odparła z udawanym zdziwieniem.

- Nie jesteś taka cwana, jak ci się zdaje - odciął się facet.

- Ależ jest - wykrzyknął Wells.

Pił drugie piwo i czuł się lekko podchmielony

- Już idę, Freddie - pochyliła się ku Wellsowi. - Pozwoliłabym mu, żeby nalał sobie sam, ale wydyndoliłby butelkę do dna.

- Słyszałem to...

- Wiesz zatem, że to prawda - powiedziała do Freddiego przez ramię.

Puściła oko do Wellsa i odeszła. Sączył swoje piwo i usiłował nie patrzeć na jej tyłek. Bez powodzenia.

Cztery godziny później Wells skręcił na parking przed salą bilardową położoną przy autostradzie za restauracją Rusty Nail, gdzie nielegalni imigranci oglądali mecz meksykańskiej ligi piłki nożnej i pili piwo Budweiser po dwa dolary. Nie zdziwił się, gdy jej toyota pickup podążył za jego fordem.

Wiedział, że popełnia błąd; że związanie się z tą kobietą - choćby tylko na jedną noc - może pociągnąć za sobą komplikacje, jakich sobie nie życzył. Wiedział ponadto, że Nicole - nie ujmując nic jej wdziękowi - była tylko marnym substytutem Exley. Lecz w tym momencie nie przejmował się tym wcale. Pragnął kobiety, poza tym liczył się z okrutną prawdą, że może już nigdy nie spotkać się z Exley Strzepnął dłonią po ramieniu, jakby dostrzegł tam anioła, który rozplynał się jak dymek z papierosa.

Kiedy weszli, gość za ladą kiwnął im przyjaźnie głową. Poza sporadycznymi wypadami do kina, bilard był jedyną rozrywką Wellsa; wcześniej był tu dwa razy

- Zamykamy za godzinę, stary

- Mam więc niezbyt wiele czasu, by skopać ci tyłek - stwierdziła Nicole. - Chodźmy

Ku jego zdumieniu wcale nie żartowała. Zaczęła na chłodno i przegrała pierwszą grę, ale wygrała dwie kolejne i wygrałaby trzecią, gdyby nie zepsuła ósmej bili.

- Powiniennem wiedzieć, że barmanka potrafi w to grać - oznajmił, obserwując, jak celnym uderzeniem wbija bilę do bocznej kieszeni. - Nie możesz znieść, że pokonała cię dziewczyna?

- Jeszcze mnie nie pokonałaś. Jest dwa do dwóch.

O mały włos nie wbiła dwóch kul jednocześnie, potem obesła stół, idąc do niego. Nawet po kilku drinkach trzymała się pewnie na nogach.

- Jesteś zabawny - skomentowała. - Udajesz, że ci nie zależy, ale nienawidzisz przegrywać.

Wells wzruszył ramionami.

- To prawda - potwierdził.

- I nieustannie obserwujesz. Nigdy nie przestajesz obserwować. Na co tak zawzięcie patrzysz, Jesse?

Nawet po tylu latach spędzonych w samotności Wells wiedział, jak brzmi właściwa odpowiedź na to pytanie.

- Na ciebie.

Roześmiała się.

- To trwało zbyt długo. Jesteś niczym robot, który jest prawie człowiekiem, ale nie do końca. Jak Terminator.

Wells nagle poczuł się tak, jakby udał się do ulicznego wróżbity biorącego pięć dolców za seans i dowiedział się nie tylko, że umrze, ale także dokładnie kiedy, gdzie i w jaki sposób. Nawet nie wiedziała jak wielką miała rację. Chcąc ukryć zmieszanie, zaśmiał się nieszczerze.

- To nie było miłe - odparł.

Pochylił się nad stołem, przymierzając się do kolejnego uderzenia. Stała za nim i położyła dłonie na jego rękach. Wells czuł jej zapach: whisky zmieszana z papierosami. Odwrócił się, chcąc ją pocałować, ale się odsunęła. Przez moment zapomniał o niej całkowicie, mając przed oczami Exley, leżącą na stole w brudnej suterenie w Oakland. Potem wrócił do świata jawy

- Nie, chcę ci pomóc. Przysuń się bliżej do stołu - instruowała. - Skoncentruj się. Pilnuj kąta uderzenia.

Znów się roześmiała.

- Nie cierpię, kiedy faceci wyciągają to gówno i obmacują mnie przy stole. Dlatego właśnie zawsze przegrywam pierwszą partię, żeby się przekonać, czy rzeczywiście tak zrobią.

- Pocałuj mnie - zachęcił Wells.

- Jeśli wbijesz bilę do kieszeni, dostaniesz całusa.
Nie trafił, ewidentnie.
- Nie powinienem zamawiać piątego piwa.
- Terminator się tak nie zachowuje - spostrzegła.
- Nie jestem Terminatorem - odparł. - Jestem bohaterem pozytywnym. Usiłuję go powstrzymać. Jak on miał na imię?

Chwyliła swój kij bilardowy i rozważała, jak powinna uderzyć.

- No to masz pecha. Zawsze miałam słabość do Arnolda Schwarzeneggera.

- Doprawdy?

- Tak... Cóż, przed paroma laty rozmawiałam z Britney, moją najlepszą przyjaciółką, na temat mężczyzn, no wiesz. Ich przyrodzenia.

- Ich penisów - sprecyzował Wells. - Po prostu to powiedz.

- Tak, panie profesorze.

- I co?

Zaczerwieniła się.

- Nie mogę uwierzyć, że mówię ci o tym.

- O ile nie będzie to opowieść o tym, jak utraciłaś dziewictwo - wtrącił Wells,

- Co?

- Żart psychologiczny. Między mną i moim wnętrzem.

- W porządku. Zresztą nieważne. W każdym bądź razie Britney i ja doszliśmy do wniosku, że tak naprawdę nie istnieje sposób na to, by wiedzieć, jak... dużego członka ma facet. Poza jedną rzeczą - przerwała i zaczęła żałować. - To jest nieco krepujące.

- Ty to zaczęłaś - przypomniał jej Wells.

Był zaskoczony faktem, że początkowy niepokój gdzieś się rozproszył, on zaś dobrze się bawił. Być może ona robiła to setki razy - flirtowała w barze obiecując, że na tym się nie skończy. On był w innej sytuacji.

- Niech zgadnę - wzrost?

- Jak chcesz. Nie.

- Naprawdę? A wielkie stopy albo duże dłonie...

Wells podniósł dłoń, ona zrobiła to samo. Zetknęli razem dłonie. Czubki jej palców sięgały zaledwie do jego pierwszego knykcia. Zachichotała.

- Chciałabym uznać to za dobry wyznacznik, ale jednak nie.

- W takim razie co?

- W porządku. Więc słuchaj, nie znaczy to wcale, że mam przeogromne doświadczenie...

- Mnie nie oszukasz.

Założyła ręce na piersiach.

- Żartuję - uspokoił ją Wells. - Jaka jest odpowiedź?

- Niemiecka krew.

- Co?

- Niemieckie pochodzenie. Niemcy są bardzo... dobrze wyposażeni.

- Naprawdę?

- Czyżbym sobie to zmyśliła?

- Jak duża domieszka niemieckiej krwi? Czy trzeba być stuprocentowym Niemcem?

- Nie przeprowadzałam badań, Jesse - odparła i parsknęła śmiechem.

Wells żałował, że nie może wyjawić jej swego prawdziwego imienia.

- To dlatego podoba ci się Arnold?

- Prawdę mówiąc, to nie. Zawsze uważałam go za komicznego gościa. To znaczy, w swoich filmach on naigrawał się z samego siebie. Ale ta niemiecka rzecz dodawała intrydze pikanterii.

- Wiesz, on jest Austriakiem.

- A jaka różnica? Twoje uderzenie.

Wells chwycił za kij i pochylił się nad stołem.

- Może byś spudłował, żebym wygrała grę i żebyśmy mogli się stąd wynieść?

Nie trafił w bilę.

Szli po schodach do jej mieszkania, zatrzymując się co parę stopni i namiętnie się całując. Dłonie Wellsa przesuwały się po jej biodrach, podciągały jej bluzkę i dotykały miękkiego brzucha. Gdy znaleźli się naprzeciwko jej drzwi, oderwała się od niego na moment.

- Nie możesz tu zostać na noc. Naprawdę nie możesz.

Pocałował ją w szyję.

- Pięć, dziesięć minut. To wszystko. I obiecaj mi, że nie będziesz rozczarowany. W mieszkaniu jest jak w chlewie, przynajmniej według dziewczynskich standardów

Otworzyła drzwi, Wells wszedł za nią do środka. Na kanapie leżały rozrzucone ciuchy, w zlewku tkwiła sterta szklanek.

Wells zaczął kartkować podręcznik, który leżał na małym stoliku - *Wprowadzenie do pielęgniarstwa, tom I*.

- Nie mówiłaś, że studiujesz pielęgniarstwo.

- Usiądź. Denerwujesz mnie, myszkujeć dookoła. Wells usiadł.

- Chcesz drinka?

- Nie, dzięki.

Włączyła radio. Tony cikliwej ballady wypełniły mieszkanie.

- Hej, Terminatorze. To jest Ruben Studdard.

- Gdzie studiujesz?

Postawiła na stole dwie szklanki z wodą i usiadła obok niego.

- Masz dziesięć minut. Wolisz mnie odpytywać czy obcałowywać?

Pocałował ją, ujmując w dłonie jej twarz, podczas gdy dłonie Nicole sondowały jego ciało. W jej ustach czuł smak dymu, odezwały się w nim niewyraźne wyrzuty, że ona nie

była Exley Lecz ogarnęło go tak gorączkowe pożądanie, iż odniósł wrażenie, że pokój wokół nich kureczy się stopniowo, aż widział i czuł tylko ją. Pchnął dziewczynę na kanapę i wsunął dłonie pod jej bluzkę.

Stuk, stuk, STUK! Trzy mocne stuknięcia w drzwi. Nicole odsunęła się od Wellsa.

- Kto to?

- Cholera!

STUK! STUK! Stukanie było teraz głośniejsze.

- Wiem, że tam jesteś. Zdzira - z korytarza dobiegł bełkotliwy głos. - Otwórz drzwi.

- Mój ekschłopak - wyjaśniła.

- Jak ma na imię, Heinrich?

- To wcale nie jest śmieszne. Zerwaliśmy w lipcu. Ciężko to zniósł.

STUK! STUK!

- Przychodził tu kilka razy. Chodzi o to... Nikt nigdy nie był tutaj przed tobą.

Wells poczuł, jak erekcja niknie, a pożądanie przeistacza się w gniew.

- Pieprzyć go - powiedział ze złością. - Pozbędę się go.

- Poradzę sobie.

- Otwieraj!

Podeszła do drzwi. Wells ruszył za nią, ustawiając się obok nich, tak żeby facet nie mógł go widzieć. Pokręciła przecząco głową i wskazała na sypialnię, lecz on przyłożył palec do ust i nie ruszał się z miejsca. Uchyliła nieco drzwi.

- Craig.

- Nicole...

- Idź do domu. Proszę.

- Nie możesz mnie zdradzać - w opinii Wellsa zabrzmiało to żałośnie - mały, jęczący typek.

- Craig, zerwaliśmy ze sobą dwa miesiące temu.

- Wiem, że w środku jest jakiś facet.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej.

- Nikogo tu nie ma.
- Obserwowałem cię na parkingu.

Nicole cofnęła się potykając, gdy Craig napierał na nią.

Wells nawet nie próbował okiełznać furii, jaka w nim wezbrała. Widział już dosyć. Dostyc mężczyzn traktujących kobiety jak swoją własność. Dostyc bezmyślnej samczej siły przez całe życie. Otworzył drzwi do końca i obrócił się w stronę Craiga. Okazało się, że facet nie był przesadnie niski - mierzył chyba ze dwa metry dziesięć, miał zaczerwienioną twarz i zionął whisky

- Wiedziałem.

Jakimś sposobem na twarzy Craiga pojawił się wyraz triumfu, jak gdyby obecność Wellsa usprawiedliwiała jego wtargnięcie.

- Idź do domu - powiedział cicho Wells, przekonany, że Craig tego nie uczyni. - Nie biję się z pijanymi.

- Odpierdol się.

Craig zamachnął się i wyprowadził szeroki sierpowy, którego Wells bez trudu uniknął.

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię uderzył - nalegał Wells. - Idź do domu.

Facet znów się zamachnął. Wells ponownie zrobił unik. Czuł, jak ogarnia go ślepa furia. Czuł niemal zapach krwi Craiga. Zbyt wiele samotności. Zbyt wiele pragnienia, niezaspokojonego.

- Proszę cię uprzejmie - rzekł Wells, apelując w równym stopniu do Craiga co do samego siebie.

- Uprzejmie - usta Craiga wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. - Zadajesz się teraz z pedziami, Nicole?

Craig kolejny raz się zamachnął i wyprowadził dziki, pi-jacki cios.

Wells chwycił rękę Craiga i skontrował, uderzając go żo-łądek ostrym prawym prostym, który zgiął przeciwnika w pół. Potem szybki lewy prosty w szczękę. I jeszcze jeden

prawy prosty w żołądek. Po tym ciosie Craig opuścił ręce, chrapliwie łapiąc oddech.

- Jesse... - odezwała się Nicole. - Pozwól mi zadzwonić po gliny

Wells znów uderzył Craiga, tym razem hakiem, podchodząc do przodu i wzmacniając cios całą masą ciała. Szczeka zalanego faceta kłapnęła. Craig upadł do tyłu na korytarz pierwszego piętra. Wells wyszedł za nim i czekał. Tak jak się spodziewał, Craig chwycił za poręcz i usiłował stanąć na nogi. Wells kopnął go w żebra, z satysfakcją słuchając chrzęstu pękających kości. Craig przewrócił się na bok i jęczał, chwytając się za żebra, wypływając krew i zęby, podczas gdy Wells zastanawiał się, gdzie wymierzyć następny cios.

Nicole naskoczyła na Wellsa od tyłu.

- Przestań, przestań - krzyczała. - Ty świrnięty psycholu, przestań!

- Nicole...

- Zabijesz go!

Puściła Wellsa i przyklękła nad Craigiem. Wells cofnął się. Nicole spojrzała na niego.

- Ty psycholu. Zostaw nas samych - wskazała na schody - Idź. Nigdy więcej nie przychodź do Rusty Nail. Bo zadzwonię na policję.

Podniósł ręce do góry i zszedł tyłem po schodach, powoli.

Wells nie miał żadnego auta, kiedy jechał do domu Buford Highway. Czuł się równie pusty jak szosa rozwijająca się spod opon samochodu. Nie potrafił zrozumieć czynu, które go przed chwilą się dopuścił. Po pierwsze, będzie miał poważne kłopoty, jeśli Nicole i Craig zadzwonią na policję. Pod żadnym pozorem nie powinien zabierać jej do sali bilardowej. Niektórzy z tamtejszych bywalców znają go z parkingu. Cholera. Tyle wyszło z udawania szarego człowieka.

Nie zamierzali powiadamiać policji. Craig wcale nie chciał się chwalić tym, jaki łomot otrzymał. Nicole pragnęła, by obaj się wynieśli. To nie policjanci stanowili rzeczywisty problem. To on był tym problemem. Nie chodziło o brutalność, która przestraszyła Nicole. A przynajmniej nie tylko o to. Z pewnością niejedną raz widywała bójkę w Rusty Nail. Prawdziwą grozę budziło w niej jego zimne wyrachowanie i skuteczność. Tamci ludzie, tamci cywile nie rozumieli tego. Gdyby usiłował jej wytłumaczyć, byłby to daremny trud i strata czasu. Nie wolno mu było zapominać o tym, że to nie była wojna. To była Ameryka.

Zjechał na pobocze i wyciągnął telefon komórkowy na kartę, który kupił w Tennessee. Wyrzuci go, a jutro kupi nowy aparat.

- Halo? - odezwała się zaspanym głosem Exley
 - Jennifer?
 - Kto mówi? - w pierwszej chwili nie rozpoznała jego głosu. - John?
 - Tak.
 - O mój Boże. Gdzie jesteś?
 - Muszę się z tobą zobaczyć.
 - Możemy to zrobić.
 - My? Jacy my?
 - To znaczy.. Po prostu ty i ja. To wszystko.
 - Cofam pytanie.
 - Jesteś w tarapatkach?
 - Nie jestem w tarapatkach. Ale powiedz mi jedno: skąd będę wiedział, że nie posunąłem się za daleko?
 - Będiesz to wiedział, John - z jej głosu przebijała pewność, jakiej się nie spodziewał. - Ufam ci.
 - Bo nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie to ciągnąć.
 - Ciągnąć co?
- Zamilkł.

- Dlaczego tu nie przyjedziesz, żebyśmy mogli o tym porozmawiać?

- Nigdy mnie już nie wypuścisz.

- John...

Rozłączył się.

Następnego ranka wybrał się do biblioteki miejskiej w Doraville w celu sprawdzenia konta poczty elektronicznej na serwerze Yahoo. I po raz pierwszy znalazł wiadomość nadesłaną z adresu BigBoyK2@hotmail.com: „Hartsfield. 11.45. 9/19. DL561. Potwierdź odbiór na adres zwrotny”. Wells tak szybko jak mógł kliknął myszką przycisk „Odpowiedz”. Poczł osobiwą wdzięczność wobec Khadriego. Teraz przynajmniej miał coś, na co będzie czekał. I skieruje na to całą wściekłość i gniew

8

MONTREAL, QUEBEC

Dom wyglądał jak każdy inny: mały, jednopiętrowy o drewnianej konstrukcji. Szara farba złuszczała się w narożnikach, co było następstwem lat, w których powłoka malarzka nie była odnawiana. Dom był usytuowany przy spokojnej uliczce odchodzącej od Bulwaru Św. Wawrzyńca, stanowiącego centrum muzułmańskiej społeczności zamieszkałej w Montrealu. Od sąsiednich domostw oddzielony był krótko przystrzyżonym trawnikiem szerokości półtora metra.

Bacznym obserwatorem zauważyłby zapewne, że w szarym domu kręciło się mniej osób niż w sąsiednich. Nie było w nim dzieci. Tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta, oboje pochodzenia arabskiego, oboje o śniadej, lecz dość jasnej skórze. Jednak bezdzietność nie była przestępstwem. Obserwator dziwiłby się zapewne, że rolety w tym domu zawsze były opuszczone, nawet w letnie noce, idealne do zostawienia okien otwartych i wpuszczenia rześkiej bryzy znad Rzeki Świętego Wawrzyńca. Ale rolety były zawsze opuszczone w wielu innych domach położonych w sąsiedztwie. Muzułmańskie kobiety bardzo ceniły sobie prywatność.

Wyjątkowo bacznym obserwatorem mógłby też się zastanawiać, czy ludzie zamieszkali w tym domu prowadzili jakiś nielegalny interes. Mężczyzna od czasu do czasu przynosił kartonowe pudła z minivana pod wejściowe drzwi. Zwykle dostawy te miały miejsce tuż po wschodzie słońca, kiedy

uliczka była jeszcze pusta. Ale, podobnie jak bezdzietność, wczesne rozpoczęcie dnia było całkowicie legalne.

W każdym razie to, co mógł zauważyć obserwator, nie miało związku z istotą rzeczy - były to jedynie domysły

Podobnie jak wielu Arabów w Montrealu, Tarik przybył z Francji. Dorastał w Saint-Denis, jednym z tuzina zapuszczonych paryskich przedmieść, gdzie francuski rząd magazynował islamskich imigrantów, których nie chciał lub nie mógł odesłać do domu.

Nawet jak ponure standardy Saint-Denis, dzieciństwo Tarika należało uznać za nieszczęśliwe. Jego matka, Khalida, była pielęgniarką z Algierii. Ojciec, Charles, francuskim hydraulikiem, którego żądze wobec małżonki wygasły z chwilą, kiedy ją zapłodnił. Gdy Khalida odmówiła usunięcia ciąży, Charles usiłował pobić ją do tego stopnia, żeby poroniła. Nie dopiął swego, ale ciężki, jakie zebrała kobieta sprawy, że niemal straciła wzrok. Zrezygnowała z pracy i przez resztę jej życia ona i syn utrzymywali się z renty inwalidzkiej. Z biegiem lat uzależniała się coraz bardziej od środków przeciwbólowych, najpierw żeby zasnąć, później - by po prostu móc egzystować. Umarła, kiedy Tarik miał siedemnaście lat, na skutek przedawkowania morfiny; oficjalnie uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Jak się okazało, francuski wymiar sprawiedliwości potraktował Charlesa ze zdumiewającą pobłażliwością. Po dwóch latach odsiadki hydraulik opuścił mury więzienia.

Dzieciaki z sąsiedztwa nie dawały Tarikowi ulgowej taryfy z uwagi na smutny los matki. Wręcz przeciwnie. Chociaż nigdy nie poznał ojca, arabscy rówieśnicy pogardzali Tarikiem, uznając go za Francuza. Nie pomagał mu fakt, że był mikrej postury i przedkładał książki nad grę w piłkę nożną. Ze związku pielęgniarki i hydraulika urodziło się dziecko o wybitnych zdolnościach - jego predyspozycje do pracy

naukowej były oczywiste już w przedszkolu. Nie uszło to uwagi biurokratycznego systemu francuskiej edukacji. Jako nastolatek Tarik pobierał nauki w Lycee Louis-le-Grand, jednej z najlepszych szkół średnich we Francji, gdzie otrzymywał doskonałe oceny z fizyki i biologii. Im lepsze jednak dostawał noty, tym większa była jego niedola. Biali uczniowie z bogatych rodzin nie fatygowali się ukrywaniem pogardy wobec ubogiego Araba w ich gronie. Z kolei dzieciaki z Saint-Denis pogardały Tarikiem, traktując go jak zdrajcę i nazywając „mózgiem” i „małym księciem” oraz niszcząc jego prace domowe. Najgorsze upokorzenie przeżył w dniu czterenastych urodzin. Nikt o tym nie pamiętał, nawet rodzona matka.

Tydzień później Tarik zapisał się na kurs języka arabskiego w muzułmańskim ośrodku społecznym oddalonym o kilka przecznic od jego mieszkania. W ciągu kilku miesięcy stał się codziennym gościem miejscowego meczetu. Potem pojawił się w innym meczecie, bardziej radykalnym. I stwierdził, że wszędzie tam, gdzie trafił, wierni akceptowali jego modlitwę. Po raz pierwszy w życiu stał się częścią wspólnoty

Do czasu śmierci Khalidy Tarik poświęcił duszę i ciało islamowi. Pałał nienawiścią do ojca, Francji oraz świata Zachodu za to, co spotkało jego matkę. Nienawidził Khalidy za krzywdę, którą wyrządziła jemu. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął wyjechać do Afganistanu i wziąć udział w dżihadzie, świętej wojnie. Jednak imamowie nie pozwolili mu na to. Oznajmili, że powinien kontynuować naukę.

Mieli dostatecznie wielu bojowników. Potrzebowali naukowców

Tarik uczynił tak, jak mu kazali duchowni. Uzyskał stopień licencjata biologii molekularnej na paryskiej Sorbonie, potem wyjechał z Francji do Kanady. Teraz pracował nad doktoratem z mikrobiologii na Uniwersytecie McGilla

w śródmieściu Montrealu. Promotorzy uważali go za osobę pracowitą, ale na stopie prywatnej przyznali, że drugi rok studiów okazał się mniej obiecujący od pierwszego. Tak się zdarzało. Nie każdy potrafił przeskoczyć do poziomu studiów doktoranckich. I... być może, profesorowie Tarika we Francji sztucznie rozdmuchali jego potencjał, uznając że udział Arabów w świecie nauki jest zbyt niski.

Jednak profesorowie z Uniwersytetu McGilla byli w błędzie. Zdolności Tarika nie ustępowały na jotę osiąganym przez niego ocenom. Niestety, nie mógł całkowicie się poświęcić pracy w laboratorium uniwersyteckim. W piwnicy szarego domu prowadził bowiem własny projekt.

DZUMA.

Ludziom nie parającym się zawodowo nauką słowo to kojarzy się z wizją końca świata, z masowymi zachorowaniami i śmiercią. Jednak dla biologów ma ono bardziej sprecyzowane znaczenie: *Yersinia pestis*, pałeczka dżumy, fachowa nazwa bakterii wywołującej chorobę nazywaną dżumą lub inaczej morową zarazą, a czasem „czarną śmiercią”. W wiekach średnich dżuma była najstraszniejszą spośród znanych chorób, budzącą dużo większą grozę niż ospa. W połowie XIV wieku w Europie zmarły dziesiątki milionów ludzi, jedna trzecia populacji zamieszkującej kontynent, w następstwie ugryzienia przez przenoszące dżumę pchły

„Chorzy przedstawiali widok trudny do zniesienia” - opisał jeden z włoskich badaczy, wspominając średniowieczną pandemię. - „Wielu umierało wprost na ulicy, inni w swoich domostwach; ich śmierć obwieszczał jedynie odór rozkładających się ciał.” Kolejna epidemia wybuchła w Chinach w ostatniej dekadzie XIX stulecia i ciągnęła się przez całe pokolenie, zabierając ze sobą dwanaście milionów ludzkich istnień.

Od tamtej pory dżuma została w dużej części wypłeniona w Europie i Stanach Zjednoczonych dzięki poprawie

warunków sanitarnych i bezwzględnemu tępieniu populacji szczurów i pcheł. Ale bakterie *Yersinia pestis* wciąż są szeroko rozpowszechnione w przyrodzie, rokrocznie powodując tysiące infekcji. Egzotyczne wirusy, jak choćby Ebola, przyciągają uwagę mediów, ale dżuma zabija znacznie więcej ludzi.

W organizmie człowieka *Yersinia pestis* wywołuje dwa rodzaje infekcji. Najlepiej znana jest dżuma dymienicza. Pierwszymi objawami są zimno i dreszcze, potem pojawia się gorączka, która może nawet dochodzić do czterdziestu stopni Celsjusza. Nabrzmiące węzły chłonne - zwane też węzłami limfatycznymi - niemal eksplodują do rozmiarów piłki baseballowej, gdy system odpornościowy usiłuje rozpaczliwie wyeliminować z ustroju pałeczki dżumy. W kolejnej fazie pojawia się skrajne wyczerpanie tak skrajne, że choremu przestaje nawet zależeć na tym, czy przeżyje, czy też umrze. W ostatnim stadium choroby ogromne ilości pałeczek *Yersinia pestis* przedostają się do krwi, powodując szkodę krwotoczną. Krew przedostaje się pod skórę, a ręce i nogi chorego nabierają granatowoczarnej barwy - od czego zresztą wzięła się nazwa „czarna śmierć”.

Ale czarna śmierć nie jest najgroźniejszą postacią dżumy. Dżuma dymienicza nie może przechodzić z osoby chorej na zdrową, a wielu zainfekowanych udaje się wyleczyć. Nie, prawdziwą trwogę sieje „czerwony mór”: dżuma płucna; choroba, do której rozwoju dochodzi, kiedy pałeczki *Yersinia pestis* zainfekują płuca. W tym wilgotnym i ciepłym środowisku bakterie namnażają się z zawrotną szybkością.

Pierwszymi objawami infekcji są gorączka, ból głowy oraz lekki kaszel - czyli typowe, codzienne dolegliwości. Lecz zaledwie w przeciągu kilku godzin *Yersinia pestis* bierze górę. Bóle głowy zmieniają się z dolegliwości w ból agonii. Kaszel przechodzi w ciężkie, rozległe zapalenie płuc. Kurczowe bóle ograniczają pojemność płuc, w coraz większym stopniu

wypełnianych przez bakterie; serce z coraz większym trudem tłoczy krew. Ofiara pluje flegmą, początkowo rzadką i rozwodnioną, później gęstą, z licznymi skrzepami krwi.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin od zainfekowania czerwonym morem chorzy mają mniej niż pięćdziesiąt procent szans na przeżycie, nawet jeśli znajdują się pod respiratorem i otrzymają dożylnie antybiotyki. Osoby nieleczone umierają w ciągu kilku dni w rezultacie wstrząsu septycznego lub niewydolności układu oddechowego. Chorzy duszą się, gdy ich płuca napełniają się krwią. Ujście z życiem bez leczenia po zapadnięciu na dżumę płucną jest równie prawdopodobne co wygrana na loterii.

Co gorsza, chorzy wypluwają chmury pałeczek *Yersinia pestis* za każdym razem, kiedy kaszlą, zatem choroba bardzo łatwo przenosi się z chorego na zdrowego drogą kropelkową. Nowoczesne antybiotyki są w stanie powstrzymać rozwój choroby w przypadku wczesnego wykrycia, jednak nie istnieje szczepionka chroniąca przez infekcją. W rzeczywistości największym wrogiem pałeczki dżumy są do pewnego stopnia bakterie *Yersinia pestis*. Podobnie jak w przypadku wirusa Ebola, dżuma płucna zabija swe ofiary z taką gwałtownością, że w krótkim czasie traci możliwość rozprzestrzeniania się normalną drogą, co ogranicza ryzyko powstania epidemii w środowisku naturalnym.

Ograniczenie to nie odnosi się jednak do sytuacji, kiedy chorobotwórcze drobnoustroje zostaną uwolnione celowo jako broń biologiczna. Rozpylenie *Yersinia pestis* w powietrzu nad dużym miastem mogłoby wywołać jednocześnie setki tysięcy infekcji, powodując blokadę szpitali i wywołując panikę na całym świecie. Światowa Organizacja Zdrowia oszacowała, że uwolnienie pałeczek dżumy nad aglomeracją liczącą pięć milionów mieszkańców, a więc wielkości Waszyngtonu, mogłoby wywołać sto pięćdziesiąt tysięcy przypadków dżumy płucnej i zabić trzydzieści sześć tysięcy ludzi.

WHO nie odważyło się przeprowadzić obliczeń dla większego miasta, takiego jak Nowy Jork.

Tarik Dourant znajdował się w posiadaniu pół tuzina próbek bakterii *Yersinia pestis*, przechowywanych w piwnicy

By je zdobyć, nie musiał przeprowadzać ataku na Ośrodek Kontroli Chorób w Atlancie ani wkradać się potajemnie do Wektora, ogromnej fabryki broni biologicznej na Syberii, gdzie sowieci ukryli swoje laboratoria badawcze w okresie zimnej wojny. Tarik nawet nie musiał wychodzić z domu. Wystarczyło, że był tam, kiedy podjeżdżała furgonetka dostawcza poczty kurierskiej FedEx, żeby mógł podpisać odbiór przesyłki nadanej w Centrum Medycznym Muhimbili w Dar es-Salam.

Tanzania była krajem, w którym co roku notowano liczne przypadki dżumy, a jej rząd czynił usilne starania, by zapobiec wybuchowi epidemii. Lekarze, którzy zdiagnozowali nasilenie zachorowań, byli zobowiązani do pobrania próbek krwi, które później były badane w laboratorium chorób zakaźnych w Muhimbili, najbardziej zaawansowanym ośrodku badawczym w całej Afryce Wschodniej. Próbkę dostawały się pod pieczę spokojnego technika pochodzącego z Pakistanu, który przeniósł się do Tanzanii, by dostać zatrudnienie w Muhimbili - na polecenie człowieka, który przedstawił się jako Omar Khadri. Khadri doszedł do wniosku, że pakistański muzułmanin otrzyma etat dużo łatwiej w Muhimbili niż w Ośrodku Kontroli Chorób w Atlancie. I miał rację.

Tym sposobem zarazki dżumy znalazły drogę do Tarika, który w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat był najlepiej wykształconym naukowcem, jaki kiedykolwiek pracował dla al-Kaidy *Inszallah*. Wola boska. Z tych więc powodów Tarik nie mógł poświęcić całej swej uwagi studiom na Uniwersytecie McGilla.

W szarym domu panowała cisza, kiedy Tarik otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka.

- Fatima? - zawołał. - Fatima?

Żadnej odpowiedzi. O tej porze powinna być już w domu i szykować kolację. Poczul, jak kwas rozlewa się w jego żołądku. W ostatnim tygodniu jego żona wróciła późno już dwukrotnie. Jej szacunek wobec małżonka zdawał się zmniejszać z dnia na dzień.

Tarik poznał Fatimę w Paryżu wiosną w trakcie ostatniego roku studiów. Była najstarszą córką imama w Brukseli, osiemnastolatką o filigranowej sylwetce. Jej brązowe oczy okalał *hidżab* - szal noszony na głowie przez pobożne muzułmanki. Tarik zupełnie stracił dla niej głowę. Był wniebowzięty, kiedy się okazało, że Fatima odwzajemnia jego uczucia, mimo dziobatej po ospie twarzy oraz okularów o grubych szklach. Ślub wzięli cztery miesiące później, tuż przed jego wyjazdem do Kanady. Dołączyła do niego w następnym roku. Przez kilka miesięcy stwarzała pozory idealnej żony, kochającej męża i wspierającej go na duchu. Nie wypytywała Tarika o długie godziny spędzane na uniwersytecie McGilla oraz w piwnicy. Zaczęła jednak narzekać na to, że mąż nie pozwala jej pójść do pracy. Odczuwała znużenie, przebywając cały dzień w domu, jak twierdziła. Na wiosnę znalazła zatrudnienie w pewnej firmie prawniczej działającej w śródmieściu. Usiłował zabronić jej podjęcia tej pracy, ale ona tylko się roześmiała.

- W takim razie rozwiedź się ze mną - odparła.

Wiedziała, że on nigdy tego nie zrobi. Była jedyną kobietą, z jaką kiedykolwiek był. Czasami odczuwał lęk z powodu tego, jak bardzo jej pragnął. Kiedy zaczęła pracować, dystans między nimi się pogłębił. Niemal przestała go słuchać. Nie mógł zrozumieć tej drugiej strony jej osobowości. Wydawało się, że po przyjeździe do Kanady zapomniała, gdzie jest jej miejsce. Być może jednak nigdy nie zależało jej na nim. Być może widziała w małżeństwie tylko szansę wyrwania się z rąk ojca. Przed miesiącem Tarik uderzył ją po raz pierwszy, tego wieczoru, kiedy usiłował kochać się z nią, a ona go

odepchnęła. Podniósł pięść, nie zamierzając jej uderzyć. Wtedy ona się uśmiechnęła. Kpił sobie ze mnie, pomyślał. Drwiła z jego fizycznej słabości, z chuderlawych ramion i zapadniętej klatki piersiowej, jak dzieciaki w Saint-Denis. Być może okazywał słabość, ale wciąż był mężczyzną. Musiała zapamiętać to sobie. Uderzył ją pięścią w brzuch. Wydała cichy jęk, tylko jeden; chciał ją pocieszyć i powiedzieć jej, jak bardzo jest mu przykro. Ale nie wydusił z siebie ani słowa.

Kiedy dotknął jej późnym wieczorem, oddała mu się bez słowa skargi. Mówiąc prawdę, nigdy nie wspomniała o tym, czego się dopuścił. Przez kilka dni Tarik sądził, że potraktowała to jako lekcję. Ale w ciągu ostatnich paru tygodni robiła się nad wyraz tajemnicza. Słyszał, jak w kuchni rozmawiała szeptem przez telefon. Kiedy go zauważyła, odwiesiła słuchawkę i udawała, że z nikim nie rozmawiała. Podniósł na nią rękę ponownie, ale ona tylko pokręciła przecząco głową; opuścił dłoń i odwrócił się, całkowicie ponizony

Tarik usiłował odpędzić myśli o Fatimie. Porozmawia z żoną, kiedy ta wróci do domu. Póki co czekała na niego praca. Otworzył drzwi do piwnicy, odsłaniając wąskie schody prowadzące do kolejnych zamkniętych drzwi. Tarik zdawał sobie sprawę, że podwójne zamki mogły wydać się podejrzane, ale nie mógł ryzykować, że ktoś inny dostanie się do środka. Oprócz bakterii dżumy w lodówkach na dole przechowywał również zarazki wąglika i tularemii, wszystkie uznane przez CKCh za patogeny klasy A. Wszystkie bakterie dostarczono z Muhimbili.

Chcąc zachować prywatność, Tarik utrzymywał dystans wobec pozostałych doktorantów z Uniwersytetu McGilla, przyjmując tylko te zaproszenia na towarzyskie przyjęcia, na których jego nieobecność wydałaby się podejrzana. Oznajmił kolegom z grupy doktorantów, że jego żona jest bogobojną muzułmanką, która nie chodzi na imprezy, natomiast Fatimie oświadczył, że inni doktoranci kierują się uprzedzeniami

i nigdy go nie zapraszają. Nie mógł zabronić jej uczestniczenia w spotkaniach w gronie sąsiadek, ale zniechęcił ją do przyjmowania kogokolwiek w domu, co było jednym z powodów, dla których zdecydowała się podjąć pracę. Być może popełnił błąd; niewykluczone, że nigdy nie powinien pozwolić żonie, by miała przyjaciółki.

Tarik wsunął klucz do kłódki na dole schodów. Musi przestać myśleć o Fatimie. Teraz. Jeśli pozwoli sobie na roztarżnienie, może popełnić błąd, a jeśli popełni błąd, może to się skończyć rychłą śmiercią. Odetchnął głęboko, zamknął oczy i odpędził Fatimę z myśli.

Kiedy zyskał pewność, że jest gotowy, otworzył kolejne drzwi i wszedł do środka.

Większość czasu w ciągu ostatnich dwóch lat spędził urządzając laboratorium. Wyposażenie było kosztowne, a zainstalowanie aparatury bez przyciągania uwagi trudne, zwłaszcza że musiał pracować w pojedynkę. Lecz tego lata dokończył urządzenie pomieszczenia - w sam raz na czas, by odebrać przesyłkę z *Yersinia pestis*.

Podzielił piwnicę na dwie pracownie. Większa część pomieszczenia była otwarta; ściany i podłogę pokrywała podwójna warstwa grubej, przezroczystej folii, która nie przepuszczała brudu ani kurzu. Na stołach laboratoryjnych ustawionych wzdłuż ścian znajdował się jego drogocenny sprzęt: mikroskop o tysiąckrotnym powiększeniu, spektrometr gazowy, kotły fermentacyjne do rozmnażania roztworów z bakteriami. Lodówka oraz zamrażarka. Klatki na myszy, autoklawy, palniki Bunsena, tace z szalkami Petriego oraz pipety. W narożniku zainstalował hermetycznie zamykaną szafę, połączoną filtrami z systemem wentylacyjnym budynku. W szafie za drzwiami trzymał okulary ochronne, rękawice, fartuchy oraz przenośny respirator. Obok znajdowała się kabina prysznicowa. Fluorescencyjne światła pod sufitem wypełniały pomieszczenie charakterystyczną jaskrawą poświatą.

Pracownie Tarika odpowiadały z grubsza Poziomowi Bezpieczeństwa Biologicznego Dwa, podobnie jak laboratorium na Uniwersytecie McGilla oraz na każdym uniwersytecie świata. PBB-2 chronił przed bakteriami i wirusami o umiarkowanym stopniu zagrożenia i zjadliwości - przed patogenami, które u swoich ofiar mogły wywołać wysoką gorączkę, ale nie zejście śmiertelne. Jak na ironię, przed dżumą chroniło niekiedy laboratorium na poziomie PBB-2, ponieważ pałeczki *Yersinia pestis* nie należą do odpornych bakterii. Rozmnażają się powoli i ulegają łatwo zniszczeniu na skutek działania promieni słonecznych, deszczu, a nawet wiatru. Jedynie w ludzkim ciele dżuma przeistacza się w potworne zagrożenie.

Ale do prowadzonych przez siebie doświadczeń Tarik potrzebował wyższego stopnia zabezpieczenia niż PBB-2. Nie tylko hodował bakterie dżumy i wągliką; zamierzał przekształcić je do formy aerozolu, uzyskując w ten sposób cząstki rozpylane w powietrzu, które z łatwością będą przenikały do organizmu człowieka drogą oddechową. W tym celu musiał zmontować laboratorium ze stopniem bezpieczeństwa PBB-3 lub, co nawet jeszcze lepsze - PBB-4, jak to w Centrum Kontroli Chorób w Atlancie.

Instrukcja dotycząca standardu PBB-4 liczyła setki stron. Należało zapewnić niezależny dopływ powietrza, podwójne zamki powietrzne, których nie można było otworzyć jednocześnie, oraz filtry oczyszczające przechodzące przez nie powietrze. Personelowi naukowemu nigdy nie wolno nosić laboratoryjnych fartuchów poza laboratorium. Zawsze muszą brać prysznic przed opuszczeniem pracowni, a woda w prysznicu winna być poddana chemicznemu uzdatnianiu. Drobnoustroje mogą być przenoszone jedynie po ich umieszczeniu wewnątrz podwójnego zestawu nieulegających uszkodzeniu pojemników. W przypadku szczególnie „zjadliwych projektów” naukowcy muszą pracować w „odpowiedniej przestrzeni” - specjalnym pomieszczeniu, w którym noszą zakrywające całe ciało kombinezony, z niezależnym dopływem tlenu, żeby w

żadnym wypadku nie odetchnęli powietrzem znajdującym wokół nich.

Tarik rozumiał w pełni te wymogi. Widział zdjęcia ofiar ospy i dżumy: twarze wykrzywione w agonii, ciała wzdęte po śmierci. Czuł respekt przed mocą probówek trzymanyh w lodówce. Wolałby prowadzić swoje doświadczenia w Centrum Kontroli Chorób.

Lecz ta instytucja mogłaby spoglądać nieprzychylnym okiem na jego pracę. Zatem Tarik na własną rękę zbudował specjalne pomieszczenie. Obudował hermetycznie narożnik piwnicy o powierzchni pół metra kwadratowego, montując płyty z pleksiglasu sięgające od posadzki po sufit. Potem przykrył pleksiglas grubą folią, tworząc bąble z plastiku. Znajdujące się w nich powietrze nie mogło krążyć w pozostałej części pomieszczenia, poza systemem wdychania i wydychania chronionym przez filtry HEPA.

Wewnątrz powietrznego bąbla Tarik musiał stworzyć oddzielny, hermetyczny system zaopatrywania w powietrze. Ponieważ Kanada, podobnie jak inne wysoko uprzemysłowane kraje, nałożyła restrykcje na sprzedaż hermetycznych kombinezonów ciśnieniowych, Tarik nie mógł złożyć zamówienia na tego rodzaju sprzęt. Zamiast tego wykorzystał respirator oraz butle z tlenem podobne do używanych przez płetwonurków. By uniknąć zanieczyszczenia otwartej części piwnicy, zainstalował przejście obudowane pleksiglasem, prowadzące od drzwi do powietrznego bąbla, tworząc tym samym uproszczoną śluzę powietrzną. Wewnątrz bąbla umieścił wolno stojącą hermetyczną szafkę, w której znajdowała się klatka z myszami oraz atomizer - urządzenie służące do przepuszczania powietrza przez ciecz i otrzymywania tym sposobem aerozolu. Na posadzce wyłożonej folią pęcherzykową ustawił lodówkę o połowę mniejszą od rozmiaru normatywnego oraz klatkę, w której mógł zmieścić się kot lub mały pies. Nie używał jeszcze tej klatki, ale spodziewał się, że stan ten już wkrótce ulegnie zmianie.

Prowizoryczna kabina nie była idealna. Tarik mógł pracować w jej wnętrzu jedynie w krótkich przedziałach czasu, do chwili wyczerpania tlenu w butlach. Poza tym jego respirator nie był w równym stopniu bezpieczny co prawdziwy aparat spełniający wymogi PBB-4. Mimo to, powietrzny bąbel póki co spełniał swoje zadanie. Jak dotąd Tarik nie zachorował; zdrowe były również myszy w otwartej części piwnicy, które stanowiły dość prymitywne, ale skuteczny miernik bezpieczeństwa. Żałował tylko, że nie może zaprezentować dzieła własnych rąk swoim profesorom - byłiby pod wrażeniem.

* * *

Tarik włączył górne światło i upewnił się, że stoły laboratoryjne, zlewki i szalki z agarem znajdują się dokładnie w takiej pozycji, jak je zostawił. Tu na dole ulica i świat wydawały się bardzo odległe. Jedynie cichy szelest mysich łapek zakłócał panującą ciszę. Policzył gryzonie, chcąc mieć pewność, że żadnego nie brakowało.

Rozebrał się do naga i złożył ubranie na krześle. Normalnie zaczynał pracę od mniej niebezpiecznych zarazków, zanim przechodził do powietrznego bąbla. Tego wieczoru jednak chciał być blisko „perł w koronie”: *Yersinia pestis* oraz *Bacillus anthracis*, laseczek wąglika. Otworzył pierwsze drzwi prowadzące do bąbla - drzwi od śluzy powietrznej - i wszedł do środka. Nałożył koszulę, spodenki oraz spodnie od dresu, których używał w prowizorycznej kabinie; potem naciągnął na siebie biały fartuch. Zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez plastikowy korytarz do drugich drzwi, odcinających powietrzny bąbel od reszty piwnicy. Sięgnął po respirator, podwiesił butlę z tlenem, naciągnął maskę na twarz. Oddychał głęboko, upewniając się, że tlen przepływa równomiernie, następnie zmniejszył dopływ, żeby zapas starczył na dłużej. Potem założył czapkę, wysokie buty i rękawice.

Na koniec otworzył wewnętrzne drzwi śluzy powietrznej i wszedł do prowizorycznej kabiny

Gdy się tu znalazł, mógł z równym powodzeniem być w wodnej głębinie lub na Księżycu. Jedyne jego oddech przerywał idealną ciszę. Otworzył bezszelestnie hermetyczną szafkę. Przed tygodniem po raz pierwszy wyhodował kolonie *Yersinia pestis*, umieszczając bakterie w szalkach Petriego na podłożu z agaru i krwi, w temperaturze dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza. Po dwóch dniach na powierzchni czerwonej pożywki agarowej pojawiły się kolonie bakterii o nierównej, fałdowanej powierzchni. Wyglądają jak maciupęńkie smażone jajka, co było charakterystyczną cechą *Yersinia pestis*. Wyglądały obrzydliwie, przyznał w duchu Tarik, są małe i paskudne. Ale każdy, kto nie darzył ich respektem, mógł być niemile zaskoczony. Myśl ta sprawiła mu ogromną satysfakcję.

Po rozmnożeniu bakterii dżumy Tarik wstrzyknął ich roztwór sześciu myszom. Tylko jedna z nich żyła jeszcze po dwóch dniach. Teraz również ona leżała na boku martwa w hermetycznej szafce. Tarik włożył nieżywe zwierzątko do szklanego pojemnika, potem napełnił go kwasem solnym, by rozłożyć doczesne szczątki. W laboratorium Uniwersytetu McGilla oddałby ciało myszy do autopsji, by przekonać się, jaka była dokładna przyczyna zgonu, ale tu nie miało to znaczenia. Pragnął po prostu udowodnić samemu sobie, że był w stanie wyhodować żywotne i zjadliwe szczepy *Yersinia pestis*. Właśnie udało mu się tego dokonać.

Ale Tarik wiedział, że był to dopiero mały krok w kierunku wielkiego celu. Zainfekowanie ludzi dżumą płucną było znacznie trudniejsze niż wstrzyknięcie zarazków do organizmów myszy. Musiał opracować sposób rozpylenia bakterii w postaci drobnej zawiesiny, którą łatwo by się wdychało i która osadzałaby się w płucach. Czekają go badania testowe z różnymi roztworami, różnymi stężeniami drobnoustrojów

oraz różnymi chemikaliami, które ułatwiłyby rozprowadzanie zawiesiny, nie zabijając jednocześnie bakterii umieszczonych w roztworze.

Wyzwaniu temu usiłowali sprostać naukowcy w laboratoriach znacznie lepiej wyposażonych niż prowizorka w piwnicy Aum shinri-kyo, apokaliptyczna sekta z Japonii, wydała w latach dziewięćdziesiątych miliony dolarów na próby wyprodukowania broni biologicznej i dokonała w Tokio ataków z użyciem jadu kielbasianego i węgliku. Ale ludzie z sekty Aum nigdy nie zdołali nikogo zainfekować. Jedynym udanym aktem terrorystycznym był zamach z użyciem sarinu, trującego środka paralityczno-drgawkowego, którego wyprodukowanie jest bez porównania łatwiejsze niż stworzenie broni biologicznej.

Co więcej, naukowcy pracujący dla wojska nie publikowali danych na temat eksperymentów prowadzonych z pałeczkami dżumy. W tej sytuacji Tarik musiał uczyć się na własnych błędach. Żałował, że nie może podyskutować z kimś na temat komplikacji technicznych. Jednak jedyną osobą, której mógł ufać, był Omar Khadri. Lecz był to typowy laik. Wydawało mu się, że wywołanie epidemii jest równie łatwe co namnożenie bakterii w szalkach Petriego i rozrzucenie ich potem na torach metra. Zareagował głębokim rozczarowaniem, kiedy Tarik wyjaśnił mu, że jest wręcz przeciwnie.

- Otrzymałeś prezent ode mnie? - zapytał Khadri w trakcie ich ostatniej rozmowy, kilka dni po tym, jak dotarła przesyłka z bakteriami dżumy. Tarik dzwonił z automatu telefonicznego przy stacji benzynowej w Longueuil, po drugiej stronie Rzeki Świętego Wawrzyńca, o całe kilometry od domu.

- Tak. Dziękuję, wuju.

Zawsze rozmawiali po francusku i nigdy nie używali konkretnych nazwisk.

- Zatem ile to jeszcze potrwa?

- Nie jestem w stanie powiedzieć, wuju.

- Zatem podaj przybliżony szacunek. Miesiąc? Kilka miesięcy?

- Uwzględniając cel, jaki zakładasz, co najmniej kilka miesięcy

- Wiesz, że niecierpliwie czekam na wyniki twojej pracy.

Tarik przestępował nerwowo z nogi na nogę. Nie cierpiał rozczarowywać Khadriego.

- Proszę o wybaczenie. Ale tej pracy nie da się przyspieszyć.

- Czy potrzebujesz więcej pieniędzy?

- Tak.

- Ile?

- Tyle samo co w styczniu.

Wtedy była to kwota dwustu tysięcy dolarów USA. Tarik wydawał je rozważnie, ale niezbędne wyposażenie było z konieczności drogie.

- Tyle samo? - roześmiał się Khadri, ale chciał coś zasugerować. - Sądzisz, że twój wujek jest taki bogaty?

Tarik nie odpowiedział.

- Zajmę się tą sprawą - stwierdził w końcu Khadri. - Jak się miewa twoja żona?

- Wuju, nie wiem, co robić.

- Nie pozwól, by odciągała cię od pracy, mój siostrzeńcze.

Łatwo ci mówić, pomyślał Tarik.

- Czy niebawem nas odwiedzisz? Chciałbym zobaczyć się z tobą.

- Bardzo bym chciał - odparł Khadri. - Ale w najbliższych dniach jestem bardzo zajęty. Jesteś pewien, że nie masz żadnych konkurentów?

- Byłem bardzo ostrożny

- Dobrze. Siostrzeńcze. W tej sprawie zdaję się na ciebie - Khadri westchnął, jak gdyby to wyznanie sprawiło mu szczególny ból. - Kontynuuj pracę. Wiesz, że cała rodzina pokłada w tobie wielkie nadzieje. Wkrótce znowu porozmawiamy

- Nie rozczaruję cię, wuju. Połączenie zostało przerwane.

Tarik żałował, że Khadri nie może zobaczyć, jak jego piwnica wygląda teraz. Był pewien, że jego „wuj” zaniemógłby z wrażenia. Przed dwoma dniami Tarik przeniósł kolonię *Yersinia pestis* z szalek z agarem do zlewek wypełnionych wyciągiem z tkanki mózgu i serca, pobranej strzykawką. Teraz Tarik mógł się przekonać, że przeniesienie zakończyło się powodzeniem. Wyciąg znajdujący się w zlewkach pozostał przezroczysty, ale na szklanych ściankach pojawiły się białe pierścionki bakterii - nieomylna oznaka bakteryjnych kolonii. W odróżnienie od większości drobnoustrojów, *Yersinia pestis* tworzyła wyraziste skupiska.

Tarik przelał wyciąg do szklanej kolby, starannie zdrapując kolonie pałeczek dżumy ze ścianek zlewek. Pomagając sobie drutem, mieszał łagodnie bakterie, aż zostały rozprowadzone po całym roztworze. Teraz mógł przystąpić do testów z tworzeniem aerozoli zawierających bakterie. Podłączył prosty gumowy wężyk z małą elektryczną pompką. Drugi koniec wężyka wsunął do kolby, potem włączył pompkę. Chwilę później przez roztwór popłynęły bulgocząc bąbelki powietrza, jak gdyby był to zwykły wywar, który dochodził do stanu wrzenia.

Technika ta stanowiła najprostszy sposób otrzymywania aerozolu zawierającego bakterie, jaki Tarik znał. Pragnął jednak się przekonać, czy pałeczki *Yersinia pestis* przetrwały zabieg przeniesienia z probówek do kolby oraz czy podstawowa zawiesina powietrzna jest w stanie wywołać infekcję. Używając naukowego żargonu, byłby to dowód potwierdzający założoną hipotezę. By się o tym przekonać, Tarik umieścił w klatce dodatkowo sześć myszy obok kolby z bulgoczącym roztworem. Myszy chodziły spokojnie po metalowej zagrodzie, zupełnie nieświadome swego losu.

Tarik pracował jeszcze pół godziny wewnątrz prowizorycznej kabiny, przenosząc kolonie pałeczek dżumy z szalek Petriego do probówek z roztworem. Zaplanował wykonanie dalszych eksperymentów i potrzebował więcej kultur *Yersinia pestis*. Sporządzał też staranne notatki, zapisując temperaturę oraz wilgotność powietrza w klatce oraz liczbę bąbelków unoszących się w kolbie w ciągu sekundy. Proste dane, dla pewności. Większość laików nie rozumiała jednak, że tysiące monottonnych godzin spędzonych w laboratorium wytyczało drogę do każdego przełomu. Jeden krok wykonany we właściwej chwili - i Tarik znajdzie się tam, gdzie powinien się znaleźć.

9

Portier uniósł palce do czapki, gdy Exley weszła do hotelu Jefferson, stukając obcasami po marmurowej posadzce w lobby. Klimatyzowane wnętrze sprawiło, że odczuła ulgę, zostawiając za sobą parny, letni wieczór.

- Dobry wieczór, pani Exley
- Jak się miewasz, Rafael?
- Nigdy nie było lepiej, proszę pani.

Skręciła w prawo w kierunku baru, cichego pomieszczenia o czerwonych ścianach; umieszczone tu ciemne stoły sprawiały wrażenie, jak gdyby zwykle zasiadali przy nich politycy i lobbyści. Jednak lokal ten bywał najczęściej pusty. Hotel Jefferson nigdy nie dorównywał splendorem hotelowi Hay-Adams, a wraz z pojawieniem się Ritza-Carltona i innych pięciogwiazdkowych gigantów zaczął permanentnie podupadać w dół zyskując drugorzędny status. Stał się szacownym przybytkiem, którego pokoje zapełniały się dopiero wtedy, kiedy reszta hoteli wyprzedała wszystkie miejsca.

Exley jednak lubiła dyskretną elegancję tego miejsca, wspaniały bukiet kwiatów wystawionych w lobby oraz to, że portier ją rozpoznał. Ponadto hotel Jefferson znajdował się przy Piętnastej Ulicy, o kilka kroków od jej mieszkania. Po paru drinkach czuła się tu jak w domu. Tego wieczoru przyszła tu na specjalną okazję: spotkanie Klubu NS, pięciu pracujących zawodowo kobiet, które spotykały się przy drinku raz na parę tygodni. Jedna z nich była reporterką dziennika „Washington Post”, druga pracowała w kancelarii Williams & Connolly. Wszystkie były albo rozwiedzione, albo nigdy nie

wyszły za mąż; wszystkie doszły już do wieku średniego lub powyżej. Exley nie cierpiała tego określenia w stosunku do samej siebie. Faj! Lecz, stosując rozsądne kryteria, osiągnęła ten wiek. W niedługim czasie zacznie zbliżać się do menopauzy. Dobrze, może nie tak szybko, ale jednak.

W Klubie NS nie obowiązywał żaden regulamin, nie płacono składek i nie wyznaczono konkretnego celu jego działania, poza dawaniem pięciu członkiniom okazji do publicznego roztrząsania spraw związanych z pracą i rodziną oraz wypalenia kilku papierosów, co ich dzieci niekoniecznie musiały widzieć. Exley spotkała Lynette, nieformalną prezeskę klubu, przed trzema laty na ciągnącym się bez końca przyjęciu z okazji Czwartego Lipca.

Cała piątka przyjaźniła się ze sobą, lecz żadna z kobiet nie uczestniczyła w życiu innej. Dzięki temu mogły całkiem szczerze rozmawiać o swoich bełkoczących rodzicach i dzieciach ze skomplikowaną psychiką. A także o byłych mężach, którzy ponownie się poženili i nagle postanowili, że nie będą więcej płacić za prywatną szkołę własnych pociech. O małych triumfach w pracy i w domu, biurokratycznych zwycięstwach lub zaszczytach, jakie zdobywały ich dzieci. W rzeczywistości właśnie to było największą zaletą klubu. Od pań nie oczekiwano przechwalania się, ale Exley wykorzystywała szansę, by trochę poświętować, gdy wszystko układało się dobrze. Czekala z niecierpliwością na kolejne spotkania, nawet wtedy - zwłaszcza wtedy - kiedy czuła się przytłoczona pracą, jak gdyby musiała czekać miesiącami. Tego wieczoru była jednak nieobecna duchem.

Siedziały w rogu, jak zwykle, ona zaś jak zwykle się spóźniła. Zająła ostatnie wolne miejsce i podniosła kieliszek już dla niej napełniony

- Za Niezależne Single - wzniosły toast wszystkie razem, unosząc w górę kieliszki.
- Za Niezależna Single.

Brzdęk.

Nieco cierpki dowcip. Inicjały NS mogły równie dobrze oznaczać Nienawidzące Siebie. Czy rzeczywiście nienawidziły samych siebie? Prawdopodobnie nie. Ale Exley zawsze słyszała ten cichy głos gdzieś głęboko w głowie; domyślała się również, że stan taki nie był obcy pozostałej czwórce pań: „Twoje dzieci już nawet nie myślą o tobie jak o prawdziwej matce. Będiesz żyć samotnie do końca swoich dni”. Co najgorsze, były tam także słowa, których pozostałe klubowiczki - czego Exley była pewna - nie słyszały: „W przechwyconych emailach kryje się schemat. Coś nadchodzi, a ty jesteś zbyt tępą, by to dostrzec”.

Musiała powstrzymać te domysły, zanim spowodują, że pomiesza jej się w głowie. Nie istniał żaden schemat. Nie była przecież w stanie analizować informacji, które nie istniały. Przeklęty wewnętrzny głos. Mężczyźni nie słyszeli takich głosów. Mężczyźni spodziewali się odnieść sukces nawet wtedy, kiedy doznawali porażki; kobiety przeczuwały porażkę nawet wtedy, kiedy odnosiły sukces.

Lynette, szczupła czarnoskóra kobieta, zatrudniona jako producentka w NBC, uchwyciła jej spojrzenie.

- Nic ci nie jest, skarbie? Wyglądasz na zestresowaną.

- Wszystko w porządku - odparła Exley, usiłując się uśmiechnąć.

- Wciąż szukamy Osamy? - klubowiczkom nie był obcy fakt jej pracy w agencji, chociaż nie wiedziały, co właściwie tam robi.

- Pytacie niewłaściwą kobietę - broniła się Exley. - Jestem tylko sekretarką.

- Wiemy, że tam rządysz.

- Gdybym tam rządziła, sprawy miałyby się inaczej.

Zażartowała niemal bezwiednie, lecz Lynette mimo to się uśmiechnęła; po chwili uśmiech pojawił się również na twarzy Exley

- To prawda - skomentowała Lynette, unosząc okulary.

W ciągu miesięcy, które upłynęły od zamachów bombowych w Los Angeles, Agencja oraz PGO pracowały na pełnych obrotach. Jednak dochodzeniowcom wciąż nie udało się zidentyfikować zamachowców-samobójców, nie wspominając już o tym, że nie mogli ustalić w jaki sposób tamci zdołali zgromadzić trzy tony saletry amonowej, by nikt tego nie zauważył. Terrorysty musieli przewieźć ten ładunek przez granicę albo zgromadzili całość porcja po porcji, mieszkając w Ameryce od kilku lat. Exley nie mogła zdecydować, która z ewentualności była gorsza. Niepokoiło ją również przypuszczenie, że ataki te miały jedynie odciągnąć ich uwagę. Nawet rząd Stanów Zjednoczonych nie dysponował niewyczerpanymi zasobami. FBI zaangażowała do śledztwa w sprawie bombowych ataków kilku swych najlepszych agentów, odciągając ich od innych dochodzeń. Exley rozumiała to instynktowne działanie: rodziny zabitych domagały się odpowiedzi oraz aresztowań, za wszelką cenę. Miała tylko nadzieję, że cena ta nie wzrośnie na skutek kolejnego ataku.

Ona i Shafer spoglądali przed siebie. Wiosna i lato minęły im na przeglądaniu baz danych udostępnionych PGO, co miało im pomóc w tropieniu przemieszczania się i korespondencji każdego znanego członka al-Kaidy oraz w odnalezieniu schematów, które mogły ujść uwadze analityków z pierwszej linii. Póki co nie udało im się ustalić zbyt wiele. W ciągu lat struktury wywiadowcze zdołały zgromadzić dowody na to, że na terenie Stanów Zjednoczonych istniała co najmniej jedna uśpiona siatka ludzi al-Kaidy. Niektórzy agenci nazywali ją Siatką X. Dwie lub trzy komórki, w sumie od sześciu do dwudziestu osób. Rozlokowanych jeszcze przed 11 września. Tajna broń al-Kaidy. Oczekująca na rozkaz przeprowadzenia zmasowanego ataku, przypuszczalnie z użyciem broni chemicznej, biologicznej albo radiologicznej. Lub nawet nuklearnej, broń Boże. W ostatnim miesiącu NSA przechwyliło wiadomość przesłaną pocztą elektroniczną,

z której wynikało, że al-Kaida jakimś sposobem zdołała przemyścić na teren Stanów Zjednoczonych materiał radioaktywny. Informacji tej nie udało się jednak potwierdzić; nikt też nie wiedział, w jaki sposób - oraz czy w ogóle - fakt ten wiązał się z Siatką X.

Exley, rzecz jasna, nie miała zamiaru wspominać o tym Niezależnym Singlom. Nie mówiąc już o telefonie, który odebrała rankiem. Nalała sobie kolejny kieliszek wina i postanowiła, że spróbuje nieco się odprężyć.

- Dziewczyny - odezwała się. - Dobrze was widzieć.

Gretchen, filigranowa kobieta o włosach przyprószonych już siwizną, nachyliła się ku Exley

- Wiec...

- Więc?

- Nie baw się z nami w kotka i myszkę, Jennifer. Jak się udała randka?

Exley nie miała ochoty prowadzić po raz kolejny rozmowy na ten sam temat.

- Czy to nie jest zdumiewające?

- Co? - zapytała Gretchen.

- Jest nas pięć, wszystkie jesteśmy atrakcyjne. Wszystkie jesteśmy zabezpieczone finansowo i wszystkie mamy dobrze poukładane w głowie.

- Mów za siebie - zaoponowała Lynette, wybuchając śmiechem.

- Nie, naprawdę. I możemy uważać się za szczęśliwe, jeśli załapiemy się na dwie randki w miesiącu. I nie każdej z nas trafiają się aż dwie. Dwóm z całej naszej piątki.

- Hej - do rozmowy dołączyła Ann, prawniczka. - W zeszłym tygodniu złożono mi niestosowną propozycję, na tej konferencji w Atlancie. Chodzi mi o to, że on był żonaty, lecz nie pofatygował się zdjąć obrączki, zanim zaprosił mnie na randkę. Mimo wszystko uważam, że był słodki.

Tym razem ich śmiech był wymuszony Niezależne Single często spotykały się z niestosownymi propozycjami ze strony

żonatych mężczyzn, składanymi w barach lub, co gorsza, w pracy. Były zapraszane na bankiety i koktajle przez facetów, którzy dotąd się nie ożenili i którym najprawdopodobniej groziło pozostanie w kawalerskim stanie. Nigdy jednak nie umawiały się na prawdziwe randki z rozwiedzionymi mężczyznami w swoim wieku. Ci faceci, o ile nie zamierzali mieć więcej dzieci, bez wyjątku kończyli w ramionach kobiet młodszych o co najmniej dziesięć lat.

- Przestań się wykręcać - naciskała na Exley Gretchen.
- Jak było?

Normalnie Exley dawała się wciągać w tego rodzaju pogaduszki bez większego oporu, chociaż w duchu wołała, by kwestiom damsko-męskim poświęcano mniej czasu. Nic nigdy nie ulegało zmianie, po cóż więc o tym głądzić. Ale dzisiejszego wieczoru nie miała ochoty odpowiadać na zaczepki Gretchen. Pragnęła jedynie wypić swoje wino i pomyśleć o telefonie od Wellsa.

- Musiał ci niezłe dogodzić - spostrzegła Ann. - Wyglądasz na padniętą.

- Zostawcie ją w spokoju - zaprotestowała Lynette. - Przynajmniej pozwólcie damie dokończyć kieliszek wina.

Exley odtwarzała w myślach poranną rozmowę ze sto razy. Sprawdziła to połączenie - centrala telefoniczna w Nashville, telefon komórkowy, co oznaczało, że Wells mógł zadzwonić z dowolnego miejsca. Mogła bez trudu skontaktować się z kolegą z FBI i dowiedzieć się, skąd dokładnie dzwonił. Nie była jednak pewna, czy chce wykonać ten krok.

Nie powiedziała również o telefonie nikomu w Agencji, nawet Shaferowi. Obawiała się utraty kontroli nad sytuacją, gdyby to zrobiła. Skończyłoby się na założeniu podsłuchu u niej oraz obserwacji jej mieszkania. W końcu John był uciekinierem. Duto, nie informując o tym FBI, wysłał w pogoń za Wellsem paru swoich zbirów, by szukali go dyskretnie na terenie Stanów Zjednoczonych - nawet jeśli przepisy

Agencji zabraniały jej działania na amerykańskiej ziemi. Duto mógł tropić Wellsa, bazując na wyjątku od reguły, który pozwalał na ograniczone działania w przypadku złamania zasad bezpieczeństwa wewnętrznego.

Exley zakładała, że poszukiwania Wellsa prowadzono niemrawo i głównie na pokaz, żeby Duto mógł osłonić własny tyłek w przypadku, gdyby Johnowi coś się stało. Nie sądziła również, by Duto na poważnie uznał Wellsa za zagrożenie. W rzeczywistości mógł nawet być zadowolony z faktu, że John znalazł się na wolności. W ten sposób Duto wciąż mógł przypisać sobie zasługę, gdyby jakimś trafem Wells zdołał powstrzymać atak terrorystów, jednocześnie dysponując możliwością zwalania winy na Shafera, w razie gdyby Wells skrewił albo gdyby znaleziono go martwego. Nie miała jednak co do tego całkowitej pewności, ponieważ Duto odmówił podawania jej czy Shaferowi jakichkolwiek informacji na temat pościgu - chociaż oznajmił Exley, że żąda od niej za wiadomienia go, gdyby Wells się z nią skontaktował.

- Chcę być powiadomiony osobiście - oświadczył. - Rozumiesz, Jennifer?

Niezastosowanie się do bezpośredniego polecenia Vinnyego Duto nie było najlepszym pomysłem. Lecz Exley się tym nie przejmowała. Nie miała cienia wątpliwości co do lojalności Wellsa. Pragnęła chronić go najlepiej jak mogła i nie dopuścić do tego, by wylądował w więziennej celi nie wiadomo gdzie. Jeśli natrafi na coś ważnego, z pewnością nawiąże kontakt.

Teraz jednak żałowała, że nie wie, gdzie on jest, co porabia oraz co sądzi o grach prowadzonych przez Agencję. I co sądzi o Stanach Zjednoczonych, po tylu latach oddalenia? Co sądzi o niej? Czy myśli o niej w taki sam sposób jak ona o nim? Nawet zanim obudził ją tego ranka, nieustannie był obecny w jej myślach. Jego telefon sprawił, iż uwierzyła, że on czuje to samo, chociaż nie mogła być pewna. Być może

zwrócił się do niej tylko dlatego, że nie miał nikogo innego. Jednak ten telefon nie zaskoczył jej - zdała sobie z tego sprawę, kiedy odłożyła słuchawkę: podświadomie oczekiwała na kontakt.

Odczuwała zażenowanie przytłaczającym ją požądaniem. Zwykle kierowała się wskazaniem rozumu, a mimo to zakochała się po uszy w mężczyźnie, którego w ciągu ostatnich dziesięciu lat widziała raptem dwa tygodnie. W mężczyźnie, który prawdopodobnie postradał zmysły w górach Afganistanu. Chociaż w dżipie nie sprawiał wrażenia pomyłonego: jego brązowe oczy były całkowicie spokojne. W każdym bądź razie różnił się od każdego innego mężczyzny, którego kiedykolwiek знаła.

Kiedy dopadał ją bardziej sceptyczny nastrój, zastanawiała się, czy przypadkiem nie zagubiła się w błędnych rojeniach i fantazjach. Silny milczący mężczyzna porывa ją. Jeśli okaże się renegatem, tym lepiej. Bardzo chciała opowiedzieć przyjaciółkom o swojej sytuacji. Z pewnością dostrzegłyby ironię losu. Zawsze dumna była z tego, że oddzielała uczucia od spraw zawodowych. Kobiety z taką łatwością zyskiwały etykietkę mazgajów, którym nie można było ufać w warunkach stresu! W trakcie trwania sprawy rozwodowej jedynie Shafer wiedział, jak głęboko została zraniona. Teraz odrzuciła własne zasady dla mężczyzny, którego prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy. Gdyby stawka nie była tak wysoka, śmiałyby się z samej siebie.

Póki co postanowiła potraktować telefon jako sen. W ten sposób nie będzie musiała składać o nim raportu.

Klepięcie w ramię przez Gretchen wyrwało ją z zadumy

- Przestań, Jennifer. Opowiadaj.

Dobrze. Opowie im o randce.

- Nie ma o czym opowiadać. Nazywa się Charles Li i jest kardiologiem w Georgetown. Rozwiedziony. W zeszłym tygodniu byliśmy w restauracji.

- Której?
- Olives.
- Bardzo miłe.

I tak bardzo przewidywalne, pomyślała Exley. Olives było przesadnie drogą restauracją na rogu ulic Szesnastej i K, ze sławnym szefem kuchni i wyszukaną kartą win. Nie mogła oprzeć się refleksji, że Wells nigdy nie zaprowadziłby jej do Olives.

- Więc... jak poszło?
- Poszło całkiem fajnie. Dowiedziałam się dużo o protezach wewnątrznaczyniowych. Oraz atorwastatinie. Wszystkie powinnyście sprawdzić sobie poziom cholesterolu. Wiedziałyście, że choroby serca zabijają więcej kobiet niż jakiegokolwiek inne schorzenie, wliczając w to raka piersi?

Lynette pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Było aż tak źle, co?
- Powiedzmy, że nie miałam sposobności się wygadać.
- Wiesz, że na pierwszej randce musisz pozwolić im opowiedzieć o sobie - zauważyła Gretchen. - Zadzwoił potem?

- O tak.

Zadzwoił, przysłał kwiaty, potem znów zadzwoił. Doktor Li był uparty Na tyle uparty, że zastanawiała się nad daniem mu drugiej szansy, mimo dużego brzucha i zaczesywaney łsiny. Doktorek przynajmniej się starał.

- Cóż, to zawsze coś znaczy... - skomentowała Gretchen, kiedy zadzwoiła komórka Exley

Otworzyła składany aparat.

- Spakuj rzeczy na ciepłą pogodę i przyjeżdżaj - usłyszała głos Shafera.

Klik.

Była zadowolona, zyskując pretekst, który pozwolił jej opuścić grono klubowiczek. Pożegnała się bez zbędnej zwłoki i po godzinie była już w Langley. Shafer siedział na jej biurku, przy jego nogach stała walizka.

- Co zatrzymało cię tak długo?
- Ellis, jadąc tutaj pobiłam lądowy rekord prędkości.
- Mam dla ciebie specjalną gratkę. Chodźmy

Chwycił walizkę i wymaszerował z biura Exley, nie puszczając kobiety przodem. Najwidoczniej nie była tu jedyną osobą, która traciła rozum.

W chwilach najlepszej dyspozycji Shafer był niepewnym kierowcą. Tego wieczoru jednak nieustannie zmieniał pasy ruchu, przyspieszał i przysiadął innym na ogonie, kiedy jechali najpierw na południe, potem obwodnicą na wschód, w kierunku Andrews, bazy Sił Powietrznych.

- Dokąd się wybieramy, Ellis?
- Jesteś analitykiem. Przeprowadź analizę sytuacji.

Poczuła nagły przypływ gniewu. Shafer jest najwyraźniej zdenerwowany. Zwykle nie zachowuje się jak szczeniak.

- Ellis. To nie jest jakaś pieprzona ekskluzywna wycieczka.

- Tylko spokojnie!
- Dobrze - dała za wygraną. - Wygląda na to, że jedziemy do Andrews. Polecieś mi zabrać rzeczy na ciepłą pogodę. Zatem zgaduję, że jedziemy do Gitmo.

- Guantanamo? - roześmiał się Shafer. - Przestań, tę bazę zwiedzają reporterzy. Uważasz, że trzymamy tam kogośkolwiek ważnego?

- Zatem dokąd?
- Bardzo daleko stąd.
- Kuwejt? Oman?
- Do miejsca, które nie istnieje.
- Diego Garcia - stwierdziła.
- Strzał w dziesiątkę.

Diego Garcia była bazą amerykańskiej marynarki wojennej usytuowaną na brytyjskiej wyspie na Oceanie Indyjskim, oddalonej o tysiące kilometrów od południowego cypla Indii i jeszcze dalej od wybrzeży Afryki. Istnienie bazy nie stanowiło tajemnicy, ale też faktu tego nie rozgłaszano. Pentagon nieustannie zaprzeczał, jakoby więził tu członków al-Kaidy,

pragnąc w głównej mierze uspokoić Brytyjczyków. Lecz Ministerstwo Obrony miało się z prawdą, o czym Exley wiedziała: baza Diego Garcia stała się domem kilku zakonspirowanych członków al-Kaidy

- Wolno mi spytać, dlaczego? - naparła. - Czy też znowu muszę brać udział w zgaduj-zgaduli?

- Przed miesiącem schwytaliśmy kogoś w Bagdadzie, Pakistańskiego naukowca zajmującego się badaniami jądrowymi.

- Czemu mi nie powiedziałeś?

- Mówię ci teraz.

- I?

- I on posiada ciekawe informacje. Doszedłem do wniosku, że powinniśmy spotkać się z nim osobiście.

Siedzieli na górnym pokładzie odrzutowca C-5 Galaxy, startującego z bazy w Andrews. Miejsca tuż za Exley i Shaferem zajęli dwaj faceci o gniewnych minach - według zapisów w paszportach byli to panowie Smith i Jones. Na dolnym pokładzie, w olbrzymiej ładowni samolotu rozlokowała się kompania Rangersonów wraz z paletami wyładowanymi racjami żywnościowymi i amunicją; zmieściło się tu nawet kilka opancerzonych wozów terenowych.

- Czy to coś naprawdę potrafi latać? - powątpiewał Shafer.

- Masz stracha?

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że jest taki wielki. Wiedziałeś, że potrafi przewozić dwa czołgi M1? To największy stalowy ptak na wyposażeniu naszego lotnictwa.

- Od kiedy to nazywasz samoloty „stalowymi ptakami”?

- Mamy szczęście, że możemy nim lecieć. Zwykle nie zabierają cywilów. Musiałem pociągnąć za kilka ważnych sznurków

- Nie sądziłam, że wciąż zostało ci dużo tych sznurków.

Shafer pochylił się ku Exley, kiedy silniki odrzutowego transportowca C-5 ożyły.

- Nie zostało - powiedział cicho, mimo ogłuszającego hałasu silników. - Pamiętaj o tym, Jennifer.

Exley nie wiedziała, co ma powiedzieć. Shafer tylko przesadzał czy też rzeczywiście wpadł w tarapaty? Wycie silników przeszło w ryk, ich moc szarpnęła konstrukcją maszyny. Exley czuła, jak C-5 nabiera powoli prędkości, ale nie mając obok siebie okna, nie mogła widzieć, że odrzutowiec się przemieszcza.

Shafer podał jej słuchawki i małą białą pigułkę.

- Masz ochotę na odrobinę witaminy A?

- Witaminy A?

- Ambien. Do zobaczenia jutro.

Wrzucił tabletkę do ust. Po upływie chwili Exley podążyła w ślad za nim w objęcia Morfeusza.

Telefon w domu Exley dzwonił i dzwonił; wiedziała, że to Wells, ale nie mogła odebrać. Trzęsienie ziemi rzucało jej łóżkiem na wszystkie strony, trzęsienie trwające dłużej niż każde, które dotąd przeżyła. Kiedy tylko próbowała chwycić słuchawkę, aparat odskakiwał w przeciwnym kierunku.

Wtedy telefon przestał dzwonić, a ją ogarnęło przerażenie. Straciła Wellsa...

Obudziła się. Przez chwilę nie opuszczała jej panika, bowiem nie była w stanie się zorientować, gdzie się właściwie znajduje. Ktoś dotknął jej ramienia, ona zaś, przestraszona, krzyknęła.

- Nic ci nie jest?

Znów zobaczyła świat ostro i wyraźnie, gdy dotarł do niej głos Shafera.

- Jak długo spałam?

Shafer spojrział na zegarek.

- Dziesięć godzin. Przed nami wciąż daleka droga. Przegapiłeś film.

Potrzebowała kilku sekund, żeby uświadomić sobie, że ostatnie zdanie było żartem. Była przekonana, że nie otrząsnęła

się jeszcze w pełni z działania tabletki nasennej. Samolotem nieźle trzęsło; turbulencje sprowokowały jej sen.

Shafer przekrzywił głowę w jej stronę. Jego twarz przybrała wyraz, którego Exley nie była w stanie rozszyfrować.

- Co?

- Ty i Wells wyglądacie tak samo, kiedy śnią się wam koszmary, wiedziałaś o tym?

Exley zrobiła wielkie oczy. Skąd Shafer mógł wiedzieć, jak wygląda Wells, kiedy śni? Czy chciał jej przez to powiedzieć, że wie o dżipie? O telefonie? Czy tylko zgadywał?

- To ty z nim również sypiasz?

Shafer się roześmiał.

- Widziałem go raz, jak spał w Langley, to wszystko.

- Czy na pokładzie tego ptaka serwują jakieś jedzenie?

Podał jej rację żywnościową: hermetycznie zamknięty brązowy woreczek z folii. Naklejona etykieta informowała, że w środku znajduje się porcja spaghetti oraz mięsne klopsiki. Sceptycznie przyjrzała się opakowaniu.

- Całkiem nieźle. Nie zapomnij tylko o podgrzaniu tego w mikrofal. Powinnaś również trochę rozprostować nogi.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale latałam już w życiu samolotem.

Wręczył jej plik dokumentów.

- Zanim wylądujemy, musisz to podpisać.

Przejrzała pobieżnie papiery

- Zobowiązanie dochowania tajemnicy? Ellis, posiadam wszystkie niezbędne certyfikaty bezpieczeństwa.

- Nie w tej sprawie. Nikt nie ma certyfikatu w tej sprawie.

Exley poczuła, jak jej żołądek znów zaczyna lewitować.

Tym razem jednak przyczyną nie były turbulencje. Hotel Jefferson opuściła dostatecznie dawno.

- Chodzi o to, czego dopuszczamy się wobec tego typu?

Faruk Khan miał bardzo zły dzień. Trzeba dodać, że w zasadzie nie odróżniał już nocy od dnia; po upływie kilku tygodni,

jakie minęły od chwili, gdy ludzie z oddziału sił specjalnych założyli mu worek na głowę i zabrali do podziemnej celi w Camp Victory, pojęcie czasu przestało dla niego istnieć. Paszport Faruka był wprawdzie podrobiony, licznik Geigera jednakże był jak najbardziej prawdziwy i Grupa Operacyjna Sto Dwadzieścia Jeden natychmiast zrozumiała rangę tego faktu.

W ciągu paru godzin stosowna informacja dotarła do wysokich urzędników CIA i oficerów Centcom - United States Central Command - Centralnego Dowództwa USA, sztabu kierującego amerykańskimi operacjami militarnymi w rejonie Bliskiego i Środkowego Wschodu. Zanim w Waszyngtonie wzeszło słońce, Biały Dom był już powiadomiony. Jeszcze przed południem prezydent podpisał rozkaz operacyjny, w którym Faruk został uznany za osobę kategorii C-1; walczącą po stronie wroga.

Od 2001 roku Stany Zjednoczone tylko sześć razy zastosowały tę kategorię, kiedy przystąpiły do uwalniania zatrzymanych bojowników al-Kaidy spod ochrony prawnej, jaką Konwencja Genewska gwarantowała zwykłym jeńcom wojennym. Używając terminów prawniczych, określenie to oznaczało, że rząd USA uznał Faruka za osobę potencjalnie posiadającą wiedzę na temat ataku terrorystycznego natychmiastowego (kategoria C) i na dużą skalę (kategoria 1). W rezultacie Khana nie chroniły już ani postanowienia Konwencji Genewskiej, ani też nie posiadał praw, jakie Sąd Najwyższy przyznał więźniom przetrzymywanym w Guantanamo.

Ujmując kwestię językiem mniej prawniczym, kategoria C-1 oznaczała, że Faruk znalazł się po szyję w gównie.

Co oczywiste, rząd Stanów Zjednoczonych nie godził się na stosowanie tortur, nawet w stosunku do więźniów pokroju Khana. Cywilizowane narody nie torturują jeńców. Jednak w instrukcji, która określała dozwolone techniki przesłuchań w stosunku do więźniów kategorii C-1, jak Faruk, pojęcie

tortury było zdefiniowane dość wąsko. W instrukcji, nazywanej Białą Księgą z uwagi na kolor okładki, stwierdzano, że śledczy powinni dostosowywać skalę cierpień zadawanych więźniom do stopnia potencjalnego zagrożenia terrorystycznym zamachem. Zatem Biała Księga oznajmiała, że przesłuchujący mogą uczynić wszystko, co nie spowoduje „ciężkiego oraz trwałego” urazu. Spójnik „oraz” zapisano kursywą, żeby interpretacja zalecenia była jasna i jednoznaczna. Dopuszczano ciężki uraz, o ile jednocześnie nie był trwały. Na podobnej zasadzie stosowanie środków psychotropowych było zabronione jedynie w przypadku, kiedy groziło to „ciężkim oraz trwałym” uszkodzeniem mózgu lub chorobą umysłową o takim charakterze. Ta sama reguła dotyczyła deprywacji sensorycznej i przetrzymywania w ciasnej celi.

W Białej Księdze stwierdzano również, że ból był pojęciem względnym, odbieranym inaczej przez poszczególne osoby. Zatem zezwalano na zadawanie bólu w stopniu, który nie powodował „ciężkiego oraz trwałego” urazu. W tejże Białej Księdze znajdowało się następujące suche stwierdzenie: „Ból niekoniecznie powinien zastępować inne, bardziej tradycyjne metody przesłuchiwanie. Groźba zadawania bólu bywa często bardziej skuteczna niż sam ból”.

Gehenna Faruka rozpoczęła się w Bagdadzie.

Zapięli mu kajdanki na rękach założonych na plecy, mimo tego, że klęczał pokornie o metr, dwa od ciała Zajda na dachu zakładu fryzjerskiego. Mężczyzna w amerykańskim mundurze nałożył Khanowi na głowę płócienny worek i zacisnął mocno wokół szyi. Świat zniknął w nieprzeniknionej czerni. Kaptur z worka był zbyt ciasny. Faruk nie mógł oddychać. Wziął jeden płytki oddech, potem drugi, walcząc o powietrze z oporem przechodzące przez worek. Wkrótce zaczął dyszeć jak pies. Gardło zaciskało się coraz silniej i wpadł w panikę. Czuł, że za chwilę przejdzie na drugą stronę. Miał tu umrzeć.

Oddech robił się coraz szybszy, w końcu nadmiernie dolecił płuca i dach zaczął zapadać się pod Khanem.

Uspokój się, powiedział do siebie Faruk. Przecież nie zabiją cię w taki sposób. Odpręż się. Oddychaj. Zwolnij tempo oddechów. Po kilku minutach uświadomił sobie, że wciąż jeszcze żyje. Skoncentrował się na innych zmysłach, na krzykach mężczyzn wokół niego, na szorstkiej tkaninie, której dotyk czuł na twarzy, na wilgoci w miejscu, gdzie ślina spływała od wewnątrz na worek.

Dwóch mężczyzn chwyciło go i zaczęło ciągnąć. Potknął się. Po chwili poczuł mocne uderzenie w żołądek. Jęknął boleśnie i upadł. Przewrócił się na bok. Ból i zaskoczenie były ogromne, teraz rzeczywiście nie mógł oddychać. Przycisnął twarz do chropawej powierzchni dachu w nadziei, że będzie w stanie zedrzeć worek z głowy

- Boże - stęknął. - Boże.

Poczuł ukłucie igłą w nogę. Niebiański spokój zawładnął jego umysłem, strach gdzieś znikł. Potem Faruk pogrążył się w ciemności. Koszmar dobiegł kresu.

Kiedy się obudził, koszmar wciąż trwał. Otworzył oczy, lecz nie widział nic poza najgłębszą i najbardziej nieprzeniknioną czernią. Odnosił wrażenie, że pływa w jej wnętrzu, że pływa w morzu czerni. Worek. Najwidoczniej wciąż ma na głowie worek. Podjął próbę ściągnięcia go... i uświadomił sobie, że jego ręce wciąż są skute na plecach. Wraz z tą myślą powrócił ból w barkach. W nogach również, gdyż na jego kostki ktoś także nałożył kajdanki i przypiął łańcuch do podłogi. Na kluchowatych pośladkach Faruk czuł powiew zimnego powietrza. Krzesło na którym siedział, nie miało siedzenia. Zdał sobie również sprawę, co osobliwe, że do prawego palca wskazującego przypięty ma krokodylek; opaska z rzepem owinięta była wokół lewej kostki. Usiłował je zsunąć, ale zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie.

Odczuwał też pragnienie. Oblizwał spierzchnięte wargi suchym językiem.

- *Salom alajkum* - odważył się odezwać schrypniętym głosem.

Żadnej odpowiedzi. Spróbował ponownie, tym razem głośniej.

- *Salom alajkum*. Halo.

Za trzecim razem głośno krzyknął

- *Allahu akbar!*

Nikt jednak nie odpowiedział i Faruk w końcu uświadomił sobie, że nie słyszy absolutnie nic. Żadnego dźwięku. Żadnego szumu wiatru, szczekania psa czy warkotu samochodowego silnika. Nie dochodziły też do niego żadne wewnętrzne dźwięki, jak odgłos wody płynącej w rurach czy szum klimatyzacji. Wydawało mu się, że uszy ma zatkane watą, chociaż wcale tak nie było.

Czy Amerykanie mogli o nim zapomnieć, bez względu na to, gdzie się znajdował? Czy umrze z pragnienia?

Faruk rozciągnął mięśnie pleców. Musiał zachować koncentrację. Jestem naukowcem, pomyślał. Muszę posłużyć się umysłem. Nazywam się Faruk Khan. Jestem więźniem w rękach *kafirów*. Od jak dawna? Nie wiem. Gdzie jestem? Nie wiem. Wlekli mnie, potem uspili i dokądś przewieźli. Niech będzie. Robił wdechy i wydechy, potem zdał sobie sprawę, że ktoś wyciął otwór w tkaninie, żeby mógł łatwiej oddychać. Dobrze.

Dlaczego robią mi to wszystko? Chcą wyjaśnić sprawę licznika Geigera. To oczywiste. Ten potwór Zajd miał rację. Powinien zostawić go w magazynku, chociaż tak czy inaczej Amerykanie znaleźliby detektor promieniowania.

Spróbował się odprężyć. Nie był przecież niepiśmiennym chłopem. Wiedział, że Amerykanie stosują się do zasad. Mogą założyć mu worek na głowę, ale nie wolno im poddawać go bestialskim torturom. Będą mu zadawać rozmaite pytania, a potem wsadzą do samolotu lecącego do Guantanamo.

Jeśli zapytają go o licznik Geigera, odpowie... odpowie, że nawet nie wie, co to jest. Powinien wymyślić sobie jakieś nazwisko. Najlepsze będzie nazwisko szyckie. Na przykład Husajn. Zatem od teraz nazywa się Husajn. Tak długo, dopóki nie wyjawi im, kim jest naprawdę lub co robił w Iraku, nic złego mu się nie stanie. Amerykanie posiadali zasady. Musiał tylko zachować spokój.

Jednak zachowanie spokoju przychodziło Farukowi z coraz większym trudem, kiedy sekundy rozciągały się w godziny. Myślał o żonie, imieniem Zina, o synach i córkach, o brudnej betonowej posadzce laboratorium, w którym pracował, o Czarnym Kamieniu w Kaabie, który jak dotąd widział jedynie na zdjęciach. O wspaniałej chwili, kiedy spotkał szejka bin Ladena. O tym, jak Zajd dłubał w nosie, kiedy czekali na chłopów, którzy mieli przybyć z żółtym ciastem. O pojemnikach wyłożonych ołowiem, które kupił od Dmitrija oraz o spustoszeniu, jakie byłoby następstwem ich użycia. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Ale za każdym razem rozpraszało go narastające pragnienie, ścigało z powrotem do tego pustego, ciemnego pomieszczenia. Co więcej, pęcherz moczowy był już pełny w stopniu powodującym dyskomfort. A jeśli będzie musiał załatwić grubszą potrzebę? To dlatego zrobili otwór w jego spodniach?

- Świnie - powiedział na głos. - *Kafirowie*. Nazywam się Husajn. Husajn Ali.

Podniósł głos.

- Wypuście mnie na wolność!

Powtórzył to z tuzin razy, sto razy, aż głos ochrypl i załamał się, a twarz okryta workiem nabiegła krwią. Ktoś musi odpowiedzieć. Ale nikt tego nie zrobił.

Być może Amerykanie rzeczywiście zapomnieli o nim. Nie, to niemożliwe. To tylko gra. Chcieli go przestraszyć. Ale Allah go obroni.

Zatem czekał dalej, zwalczając w sobie strach, oblizując spierzchnięte usta i licząc powoli do tysiąca, a potem z powrotem do jednego. Jednak w niemej ciszy przerażenie narastało w nim wraz z niezaspokojonym pragnieniem.

- Proszę - powiedział cicho. - Proszę.

Później. Nie wiedział, o ile później, nie potrafił sobie tego wyobrazić, gdy nagle zmoczył go strumień wody Lodowato zimnej wody, boleśnie zimnej wody, kłującej ostro przez worek i ubranie. Tak bardzo zimnej. Lecz Faruk obrócił głowę i pił, przepelniony wdzięcznością nawet za to - za ten znak, że ktoś o nim wiedział.

- *Allahu akbar* - wymamrotał.

Poprosił swego Boga i Allah spełnił życzenie. Pił długo, pił nawet wtedy, kiedy był już opity jak bąk, obawiając się, że następnym razem woda się nie pojawi.

Ale zimny strumień nie przestawał płynąć, a wybawienie wkrótce przeistoczyło się w kolejną torturę. Wił się w lewo i prawo, ale nie potrafił uniknąć lodowatej strugi. Jego ubranie przemokło do suchej nitki, a gdy materiał nie był w stanie wchłonąć ani kropli więcej, woda zaczęła wsiąkać w skórę. Woda spływała po brzuchu, potem niżej po nogach i w końcu po stopach. Czuł, jak gromadzi się na posadzce i sięga kostek.

Zdjęły go dreszcze. Nie zdawał sobie sprawy, jak było mu dobrze jeszcze przed paroma minutami. Gdy był suchy Całym sercem nienawidził Amerykanów i ich niecznych sztuczek. Wiedział, że są gdzieś blisko i naśmiewają się z niego. Powinien zareagować wściekłością, lecz on był jedynie przerażony i zziębnięty. Jaka długo jeszcze każą mu tu siedzieć i jaka będzie następna męka?

- Allachu - wycedził szcękając zębami. - Błagam o przebaczenie.

Potem znów

- Przepraszam.

Później. Ukłucie igłą w plecy. Nieomal zanim zdążył je poczuć, znowu pogrążył się w ciemności.

Zbudził się na zapadniętym łóżku polowym, przykryty cienkim prześcieradłem. Usiadł. Był nagi. Mógł teraz widzieć. Zdjęto mu z głowy worek, celę oświetlała żarówka na suficie. Ręce miał teraz skute z przodu, ale nogi były wolne.

Na podłodze leżała sterta ubrań: luźne koszule oraz spodnie od dresu na gumkę. Czując się nieswojo, wyciągnął parę spodni i koszulę. Po chwili poprawił mu się nastrój. Oni zdawali sobie sprawę, że zadawanie mu tortur nie służyło niczemu. Zdołał przeżyć próbę, na jaką go wystawili. Żywił przynajmniej taką nadzieję.

Przeszły go dreszcze, kiedy kaszel wstrząsnął jego ciałem. Siedział na łóżku i usiłował zebrać myśli. Czuł znużenie oraz głód i miał lekką gorączkę. Ale poza tym wszystko było w porządku. Chcieli go przestraszyć, wredni Amerykanie. Ale nie da się złamać. Odczekał jeszcze kilka minut. Potem, dochodząc do przekonania, że nie ma innego wyboru, wstał i szarpnął za klamkę. Ku jego zdumieniu drzwi się otworzyły

Faruk grał na zwłokę. To odpowiadało jego profilowi, pomyślał Saul. Obserwowali go na monitorach, gdy siedział na łóżku i drapał się w głowę. Wpadał w złość i odchodził od zmysłów, a mierniki zawartości tlenu we krwi oraz tętna wskazywały, że bardzo źle reagował na pobyt w karcercze, chociaż teraz powoli odyskiwał panowanie nad sobą. Saula to jednak nie zdziwiło. W końcu Faruk był naukowcem, a nie zabójcą, jak choćby Khalid Szejek Mohammed. Karcer działał głęboko niepokojąco na każdego, kto nie miał ewidentnie psychotycznej osobowości.

Ale Saul nauczył się, że takich ludzi nie wolno nie doceniać. Cechowała ich silna motywacja. Wiara dawała im dodatkową siłę. Nigdy nie załamywali się kompletnie za jednym razem,

a przynajmniej nie ci naprawdę waźni. Ustępowali odrobinę, a potem znów zaczynali kłamać. Wyciągnięcie wszystkiego, co wiedzieli, wymagało czasu.

Saul był prowadzącym śledczym w Grupie Operacyjnej Sto Dwadzieścia Jeden, majorem jednostki Delta i posiadał doktorat z psychiatrii obroniony na Uniwersytecie Duke. Zdawał sobie sprawę, że naciąga granice określone w Białej Księdze. Paru innych dochodzeniowców obawiało się, że jego metody podpadały pod... słowo na „T”... słowo, którego on sam nie chciał łączyć z własną osobą. Niekiedy, po szczególnie wyczerpującym przesłuchaniu, Saul także bywał zmarłony Nie chciał któregoś dnia, spoglądając w lustro, zobaczyć odbicia Josefa Mengele. Zastanawiał się, co powiedzieliby jego rodzice, gdyby w programie stacji CNN zobaczyli, czego dopuszcza się ich syn.

Lecz Saul nigdy nie zabił żadnego z przesłuchiwanym więźniów. Przesuwał granice, ale gdy brakowało mu pewności, czy dana procedura jest dozwolona, zwracał się z pytaniem do pułkownika Yatesa, wojskowego prawnika przydzielonego na stałe do GO 121. Pytań nigdy nie zapisywano na papierze. Pułkownik nie miał zamiaru stać się bohaterem serwisów informacyjnych CNN. Mimo to już sama obecność Yatesa hamowała najgorsze instynkty drzemiące w śledczych. Poza tym dochodzeniowcy monitorowali starannie stan zdrowia więźniów, choćby tylko po to, żeby się przekonać, czy stosowane przez nich metody działają. Oficerowie śledczy z GO 121 przesłuchali osobiście blisko stu więźniów, a tylko jeden z nich zmarł na rozległy zawał serca, który prawdopodobnie i tak by go nie ominął.

Dochodzeniowcy z GO 121 podlegali też innym restrykcjom. Nigdy nie pracowali w pojedynkę, poza tym dwa razy w roku wysyłano ich na przymusowy dwumiesięczny urlop. Raz na rok odbywali rozmowy z wojskowymi psychiatrami i przechodzili wyczerpujący test osobowości. Zasady te miały w założeniu nie dopuścić do rozwinięcia się u nich kompleksu

Boga - co było realnym zagrożeniem, o czym Saul wiedział. Zwłaszcza gdy dysponowało się tak ogromną władzą na inną ludzką istotą - nie tylko władzą pozwalającą zabić, ale także władzą dającą możliwość zadawania bólu. Taka władza uderzała do głowy. Lub porównując do drugiej strony - gdy przed obiektywem kamery podryzano gardła zakładnikom. Nie było nic bardziej odrażającego. Ale Saul rozumiał ten impuls, chory dreszcz emocji, kiedy skrajnie upokarza się innego człowieka i zmusza go do błagania o życie... Albo błagania o śmierć, ponieważ zadawany ból przekracza wszystko, co można znieść.

Tak, stąpał po śliskim stoku i był tego świadom. Ale ześlizgiwał się po nim jedynie tak daleko, jak musiał, w celu zdobycia pożądanej informacji. Saul rzadko kiedy przeżywał moralne rozterki związane w wykonywaną pracę. Na swoim biurku trzymał przycisk do papieru z wygrawerowanym cytatem z George'a Orwella: *Ludzie mogą spać spokojnie w swoich łóżkach tylko dlatego, że jacyś brutalni faceci zawsze są gotowi popełniać okrucieństwa w ich imieniu*. Zdołał złamać Khalida Szejka Mohammeda, mózg zamachów z 11 września. Zdołał zapobiec co najmniej trzem kolejnym atakom, ratując życie setek cywilów. Nie znał ich nazwisk, tak jak oni nigdy nie poznają jego nazwiska, ale mimo to byli to realni ludzie.

A typy, których przesłuchiwał, Farukowie tego świata? Nie byli przecież niewinni. Nie byli to iraccy chłopcy schwytani w policyjnej obławie i wywiezieni do Abu Ghraib. To byli prawdziwi terroryści, którzy wiedzieli, czym ryzykują, kiedy dokonywali wyboru. Saul nie odczuwała niczego poza pogardą wobec gości z Amnesty International, którzy jęczeli, że stosowanie represyjnych metod jest sprzeczne z prawami człowieka. Jeśli te mięczaki wierzyły, że ludzie pokroju Faruka wyjawiają swoje sekrety przy herbacie i ciasteczkach, to były jeszcze większymi głupcami niż sądził.

Prawdziwy problem polegał na tym, że metody, których pionierem była GO 121, rozprzestrzeniły się zbyt szeroko,

pomyślał Saul. Represje należało stosować jedynie w przypadkach koniecznych - pod ścisłym nadzorem i tylko wobec więźniów, od których można było rzeczywiście spodziewać się uzyskania użytecznych informacji. Nie rozumiał, dlaczego dwudziestodwuletni kaprale z zachodniej Wirginii, którzy nigdy nie nauczyli się nawet podstawowych technik przesłuchania, bili więźniów w Abu Ghraib, w Guantanamo oraz w Bagram w Afganistanie. Nie żeby ktoś z Pentagonu pytał Saula o opinię.

Słyszac argument, że nie powinien stosować swoich metod, ponieważ nie są skuteczne, Saul mógł się jedynie roześmiać. Oczywiście, że były skuteczne. Mówiąc prawdę, okazały się nawet nadmiernie skuteczne i z tego właśnie powodu nie powinno się wykorzystywać ich w śledztwach policyjnych. Po kilku tygodniach ludzie, których wałkował, wyjawiali mu wszystko; przyznawali się nawet do przestępstw, których nie popełnili, tylko po to, żeby wyrwać się z jego rąk. Te wymuszone zeznania były często bezwartościowe, ponieważ nawet sam śledczy nie potrafił stwierdzić, czy były prawdziwe.

Ale Saul nie próbował rozwiązywać kryminalnych zagadek. On próbował nie dopuścić do zbrodni. Wyciągał informacje na temat zamachów, do których jeszcze nie doszło. Miejsc, gdzie ukryto bomby Struktury terrorystycznych komórek. Zdobywał prawdziwe nazwiska i adresy tajnych współpracowników. Konkretnie informacje poddające się weryfikacji. Nie przejmował się tym, ile razy go okłamywano, jeśli tylko na samym końcu wydobył z przesłuchiwanego prawdę. Kłamstwa jedynie potęgowały ból. Prędzej czy później prawda ta docierała do każdego z więźniów; kiedy stało się to faktem, dawali mu wszystko, czego od nich żądał.

Faruk wyszedł z celi do większego pomieszczenia, pośrodku którego znajdował się stół.

Do pokoju weszło dwóch rosnących mężczyzn. - Siadaj! - polecił jeden po angielsku.

Faruk nie widział powodu, by udawać, że nie zrozumiał. Usiadł. Jeden z mężczyzn stanął za nim, podczas gdy drugi skuł kajdankami jego nogi i przypiął do krzesła. Potem przynieśli talerz z chlebem, miskę humusu oraz szklankę soku z pomarańczy

Ślina wypełniła usta Faruka. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu był tak bardzo głodny, nawet w czasach, kiedy trzy kilogramy mąki musiały wystarczyć matce na cały tydzień. Zastanawiał się, czy jedzenie było bezpieczne. Jeden z Amerykanów zanurzył kawałek chleba w gęstej paście z grochu i sezamu, po czym go zjadł. Wtedy Faruk nachylił głowę do stołu i nagarniał humus do ust skutymi dłońmi. Cudowne jadlo napełniło jego żołądek; poczuł chwilowy przypływ wdzięczności wobec tych, którzy go więzili. Natychmiast stłumił w sobie to uczucie. Nie dziękuj *kafirom*, powiedział sobie. Oni tego właśnie chcą.

Gdy skończył, mężczyźni sprzątnęli naczynia i wyszli, zostawiając Faruka siedzącego samotnie. Nagle poczuł przegromne zmęczenie. Pragnął jedynie oprzeć głowę o stół i zasnąć. Po kilku minutach rzeczywiście tak się stało.

Pstryk! Gdy Faruk usiłował wytrząsnąć z głowy resztki sennego otępienia, paliło się już jaskrawe światło. Przed nim stał inny mężczyzna. Ktoś potrząsnął nim od tyłu. Dlaczego zasnął? I jak długo spał? Widocznie humus był czymś nafaszerowany. Okazał się głupcem. Otarł z ust strużkę ściekającej śliny

- Obudź się - odezwał się mężczyzna.

Był wysoki, miał ciemne włosy i równo przystrzyżoną kokię bródkę. Położył na stole opaskę segregator. Faruk otrząsnął się z werwą. Musiał myśleć bardzo trzeźwo.

Facet usiadł naprzeciwko Faruka i wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro.

- Papierosa?

- Nie - odparł Faruk, chociaż bardzo pragnął zapalić.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz. Jak się nazywasz?

- Husajn. A ty?

- Moje nazwisko nie ma nic do rzeczy. Poza tym uważam, że mnie okłamujesz. Jak się nazywasz?

- Husajn. Husajn Ali - powtórzył Faruk. - Jestem rolnikiem z Basry To wszystko jest pomyłką.

- Nie jesteś nawet Irakijczykiem. Nie obrażaj mnie - uśmiechnął się chłodno mężczyzna bez nazwiska. - Ostatni raz. Jak się nazywasz?

- Powiedziałem ci - rzekł Faruk z największą szczerością, na jaką było go stać. - Husajn.

- Chcesz z powrotem trafić do karceru?

Tylko nie to, pomyślał Faruk. Proszę, tylko nie to. Przełknął głośno ślinę i usiłował zapanować na sobą, gdy śledczy wyciągał papierosa z paczki leżącej na stole.

- Chcesz z powrotem trafić do karceru? Tak czy nie?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Faruk. - Ale nazywam się Husajn.

Tak długo jak pozostanie opanowany, będzie w stanie przechytryć tego Amerykanina.

Teraz, powiedział do siebie Saul. Pokaż temu sukinsynowi, kto tu rządzi. Otworzył segregator.

- Nazywasz się Faruk Khan - oznajmił. - Urodziłeś się w Peszawarze, Pakistan, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Studiowałeś na Uniwersytecie w Delft w Holandii w ramach studenckiej wymiany. Zdobyłeś najpierw licencjat w dziedzinie fizyki, potem tytuł magistra. Po powrocie do Pakistanu zacząłeś pracować dla rządu.

Faruk okazał się głupcem, nosząc ze sobą pakistański paszport, nawet jeśli był wystawiony na fałszywe nazwisko, pomyślał Saul. Pakistański wywiad zidentyfikował go i przesłał Grupie Operacyjnej Sto Dwadzieścia Jeden dane na temat

jego przeszłości, chociaż tylko w bardzo okrojonej wersji. Pakistańczycy nie chcieli rozmawiać o własnym programie budowy broni jądrowej, nawet z Amerykanami. Lecz milczenie Pakistańczyków nie miało znaczenia. Z chwilą, gdy CIA poznała prawdziwe nazwisko Faruka, Agencja dokopała się do dostatecznej ilości informacji, by opracować jego profil psychologiczny. Celem było wzbudzenie w Faruku przekonania, że wiedzą o nim wszystko, a kłamstwa są jedynie stratą czasu. W oczach przesłuchiwanym śledczy jawili się jako wszechwiedzący oraz wszechpotężni.

Głowa Faruka odskoczyła do tyłu, gdy Amerykanin czytał jego życiorys. Musiał zмагаć się ze sobą, by nie zwymiotować. Jakim cudem *kafirowie* dowiedzieli się o tym wszystkim?

- Nazywam się Husajn - powtórzył z rozpaczą w głosie.

Mężczyzna z kozią bródką przerwał czytanie, wstał i uderzył Faruka w twarz na odlew. Więzień stęknął głośno, w równym stopniu z bólu co z zaskoczenia. Uderzenie muzułmanina w policzek otwartą dłonią, jak kobietę, było niedopuszczalne. Mimo to Faruk wiedział instynktownie, że zasłużył na tę karę, kłamiąc tak niemądrze.

- Nie bądź głupi. Nazywasz się Faruk Khan. Straciłeś pracę dla rządu w dwutysięcznym roku. Zechciałbyś mi powiedzieć dlaczego?

Faruk nie odezwał się ani słowem.

- To bez znaczenia - rzekł mężczyzna. - Ja i tak wiem.

Odszedł do tyłu i zapalił papierosa.

- Mierzysz sto siedemdziesiąt cztery centymetry i ważysz sto pięć kilogramów. Twoje tempo uderzeń serca w stanie bez wysiłku wynosi około dziewięćdziesięciu uderzeń na minutę. Ciśnienie krwi sto siedemdziesiąt na sto dziesięć. Ogólny stan zdrowia jest nienajlepszy; źle reagujesz na stres, na jaki byłeś do tej pory wystawiony. Minimalny stres.

- *Allahu akbar* - wymamrotał do siebie Faruk.

Wyglądał, jakby krew odpłynęła z jego ciała. Nie był w stanie opanować drżenia.

Śledczy bez nazwiska zaciągnął się głęboko zapalonym marlboro.

- Tak, Bóg jest wielki - potwierdził. - Ale Bóg nie ma z nami nic wspólnego.

Pochylił się nad Farukiem, trzymając papierosa blisko twarzy więźnia.

- Faruk, jesteś bystrym człowiekiem. Wykształconym - oznajmił. - Wiesz, że Stany Zjednoczone dysponują więzieniem w Guantanamo.

Czekał.

- Tak - wychrypiał Faruk.

- I nie jest dla ciebie tajemnicą, że więźniowie w Guantanamo są traktowani dobrze. Otrzymują trzy posiłki dziennie. Mogą się modlić, ile chcą. Być może słyszałeś nawet, że mają do dyspozycji prawników, co?

- Tak.

- Ale ty nie pojedziesz do Guantanamo.

Mężczyzna bez nazwiska przysunął rozżarzony koniec papierosa do gałki ocznej Faruka.

- Nie!

Faruk szarpnął się do tyłu na krześle, rzucając oczyma wściekle błyski, starając się patrzeć wszędzie, byle nie na żar papierosa oddalony o parę centymetrów od jego źrenicy

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Nie. Nie pojedziesz do Guantanamo.

Mężczyzna zaciągnął się ostatni raz, potem zdusił niedopałek o blat stołu i wyrzucił go.

- Nie zamierzam zadawać ci bólu, Faruk - zadeklarował. - Ale musisz mówić mi prawdę. I powiesz ją. Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Faruk odzyskał głos.

- Są przecież zasady - zaprotestował. - Nie możesz.

Ale nawet kiedy mówił te słowa, wiedział, że jest w błędzie.

- Wyjawię ci coś, czego być może nie powinienem ci wyjawiać - odparł Amerykanin. - Jest tylko jedna zasada. Nie wolno mi ciebie zabić. Przynajmniej nie celowo.

Potem się uśmiechnął. Uśmieszek na jego ustach bardziej przeraził Faruka niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Ten człowiek był diabłem, diabłem w ludzkiej postaci. Proszę, Faruk niemal powiedział to na głos. Wyjawię ci wszystko. Powiem ci o Khadrim. Powiem o pojemnikach kupionych od Dmitrija. Zdradzę ci nawet największy sekret; gdzie pojemnik jest teraz schowany. Ale zostaw mnie w spokoju. Wtedy Faruk przypomniał sobie, że nie wolno mu się bać. Ale być może powinien wyjawić temu człowiekowi parę drobnych faktów. Cokolwiek, byleby ten uśmieszek znikł.

- Faruk, słuchasz mnie?

- Tak.

- Nie wolno mi cię zabić. Ale wolno mi sprawić, żebyś pragnął śmierci.

Amerykanin wyszedł. Zanim zdążył zamknąć drzwi, Faruk poczuł, jak worek znów nasuwa się na jego głowę.

- Nie - wydusił z siebie. - Błagam. Pytaj o cokolwiek. Powiem ci.

Jego głos przeszedł w krzyk.

- Powiem ci! Błagam!

Ale w pokoju zapanowała ciemność i Faruk wiedział, że znów trafi do karceru.

Następnych kilka tygodni nie różniło się w zasadzie od siebie. W miarę postępów dochodzenia, doświadczenia Faruka odnośnie warunków uwięzienia stały się jeszcze bardziej przerażające. Wstrzykiwano mu adrenalinę do chwili, kiedy jego serce waliło z taką prędkością, iż był przekonany, że za chwilę eksploduje. Szpikowano go LSD i pozostawiano samego, pozwalając, by jego umysł pędził jak szalony dookoła pustego pomieszczenia. Kiedy usiłował zasnąć, ludzie, których nie potrafił dostrzec, bili go i kopali.

Saul wydłużał interwały czasowe, w ciągu których Faruk przebywał poza więzienną izolatką, chcąc tym samym jeszcze silniej podkreślić kontrast między karcerem a światem zewnętrznym. Śledczy pragnął, by do Faruka dotarło, że tylko Saul jest w stanie ocalić go albo zniszczyć, zmienić dzień w noc oraz biel w czerń.

Lekcje były skuteczne, a Faruk w trakcie każdego przesłuchania wyjawiał nowe tajemnice. Opowiedział Saulowi o spotkaniu z bin Ladenem. O tym, jak skaperował trzech techników zatrudnionych przy pakistańskim programie jądrowym. I jak spotkał agenta al-Kaidy, Amerykanina, którego wysłano do Stanów Zjednoczonych, by dopomógł w przeprowadzeniu wielkiego ataku. Saul nie spodziewał się, że Faruk wyjawi tak dużo w tak krótkim czasie; widocznie nie był tak twardy jak Khalid Mohammed czy inni wyżsi rangą członkowie al-Kaidy, których złamanie wymagało miesięcy. Mimo to śledczy wciąż był przekonany, że Faruk ukrywa przed nim coś ważnego.

Gdy C-5 przeleciał nad Oceanem Indyjskim, Exley skończyła lekturę raportów z przesłuchań Faruka oraz opis jego reakcji na przetrzymywanie w karcerze. Raport napisany był językiem chłodnym i rzeczowym: „Przesłuchiwany przez kilka minut wykrzykiwał słowo »Allah!«, potem stracił przytomność. Kiedy go ocucono...”. Exley czuła, jak przechodzą ją coraz silniejsze ciarki; jakaś część niej pragnęła, żeby odrzutowiec zawrócił i zawiózł ją do domu.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Shafer.

- Już wiem, dlaczego musiałam podpisać zobowiązanie dochowania tajemnicy - odparła. - Czy dysponujemy nagraniem wideo?

- Nie.

Nie była tym zaskoczona. Pentagon nauczył się czegoś po aferze w Abu Ghraib, chociaż być może nie tego, czego

powinien - zdaniem organizacji chroniących prawa człowieka.

- Naprawdę nie jestem naiwna - oznajmiła. - Wiedziałam, że takie rzeczy mają miejsce.

Znów wstrząsnął nią dreszcz.

- Ale sądzę, że jest różnica, jeśli człowiek czyta relację z pierwszej ręki. To wszystko.

Shafer tylko chrząknął i przez resztę lotu siedzieli w milczeniu. Na lotnisku w Diego Garcia usiedli tak miękko, że Exley ledwo zdała sobie sprawę, że wylądowali. Kiedy ogromne tylne drzwi samolotu się otworzyły i słońce wypełniło wnętrze maszyny C-5, Rangersi wybiegli, radośnie pokrzykując. Exley nigdy tak bardzo nie tęskniła za czasami, kiedy miała dwadzieścia pięć lat, chociaż pewnym pocieszeniem był dla niej fakt, że Shafer wyglądał jeszcze gorzej niż ona się czuła. Jego policzki pokrywała dwudniowa szczecina, a oczy nabiegły krwią.

- Jaki mamy dzień?

Shafer spojrział na zegarek.

- Sobota. Sobota rano.

- Wyruszyliśmy w czwartek wieczorem.

Shafer ziewnął głęboko.

- Dziewiętnaście godzin lotu, poza tym tu jest strefa z wyprzedzeniem jedenastu godzin w stosunku do czasu w Waszyngtonie.

Zeszli ostrożnie na płytę lotniska. Równikowe słońce świeciło ostrym światłem na terenowe humvee zaparkowane dookoła i odbijało się od szyb oraz lusterek. Exley odczuła zadowolenie, że zabrała ze sobą przeciwśłoneczne okulary Palmy kokosowe oraz graby amerykańskie rosły chaotycznie wzdłuż pasa startowego, tworząc dziwaczne zestawienie z wojskowym sprzętem. Gorące, wilgotne powietrze przypominało jej klimat Waszyngtonu, lecz tutaj lekka oceaniczna bryza sprawiała, że wilgoć stawała się łatwiejsza do zniesienia.

Wokół nich Rangersi rozpakowywali swoje torby i psioczyli wesoło na długi lot. Diego Garcia była dla nich jedynie kolejną bazą. Lecz Exley czuła przygniatające pragnienie znalezienia się gdzie indziej.

Jakiś żołnierz podszedł do nich.

- Przepraszam. Zapewne pan Shafer i pani Exley? Pozwólcie państwo ze mną.

Faruk siedział w diabelskich ciemnościach, diabelskich i nieprzeniknionych. Najczarniejszych ciemnościach, jakie mogły istnieć. Było tak ciemno, że niemal zdołał przekonać siebie, że ciemność była światłem. Tyle że nie była.

Wiedział teraz, że Allah go opuścił, pozwolił mu szesznać w szponach *kafirów*. Otaczała go jedynie ciemność. W tej celi i innej. W rzeczywistości była to ta sama cela, z tym że raz panowały w niej ciemności, kiedy indziej zaś nie. Na tym polegała różnica.

- Nie mogę - powiedział. - Nie mogę tego zrobić. Błagam. Allachu, opuściłeś mnie. Opuściłeś mnie.

Lzy spłynęły Farukowi po policzkach. W kurczącym się racjonalnym zakątku umysłu doszedł do przekonania, że Amerykanie zbudowali tę celę wyłącznie dla niego. Była to tylko cela, specjalnie zaprojektowana, w której panowała cisza i ciemność. Niekiedy usiłował wyobrazić sobie, w jaki sposób ją budowano. Nie potrafił jednak zebrać myśli przez dłuższy czas. Wkrótce ciemność zaczynała dominować. Ciemność i... sztuczki. Nie wiedział, jak inaczej je nazwać. Sztuczki. Sprawiały mu ból.

Faruk powiedział Saulowi dużo. Znacznie więcej niż kiedykolwiek zamierzał mu wyznać. Ale Saul chciał więcej.

- Wiem, że to nie jest wszystko, Faruk - zwykł mówić cicho.

I wtedy znów worek powracał na głowę. Faruk nie był w stanie przekonać śledczego, że jest inaczej, bez względu na

to, jak bardzo się starał. Ponieważ, co oczywiste, nie wyjawiał Saulowi najważniejszego sekretu. Pojemniki od Dmitrija. Musiał zachować tę tajemnicę dla siebie. W ciemnościach.

Saul zamierzał złamać Faruka dzisiaj, dając pokaz ludziom z Langley Nie odczuwał najmniejszej potrzeby krycia się przed nimi ze swymi metodami. Nie byli przedstawicielami Czerwonego Krzyża ani zasmarkanymi dziennikarzami. Należeli do drużyny. Mieli prawo to zobaczyć. Niech więc zobaczą.

Porucznik zaprowadził Exley i Shafera do masywnego betonowego budynku usytuowanego w północnym narożniku bazy. Na małej tabliczce widniał napis wykonany czerwonymi literami: BUDYNEK 12. WSTĘP OGRANICZONY: WYMAGANA PRZEPUSTKA POZIOM I GO 121. Wysoki i mało sympatyczny mężczyzna w oklapłym kapeluszu stał na warcie obok stalowych drzwi, usiłując znaleźć odrobinę cienia w południowym słońcu.

- Panie Shafer, pani Exley, tutaj was zostawię - oznajmił porucznik. - Będę tam na was czekał, kiedy stąd wyjdziecie.

Wskazał na namiot, który minęli.

- Dziękuję, poruczniku.

- Proszę bardzo, proszę pani.

Obrócił się i odszedł. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie oddali się od tego budynku, zauważyła Exley

Mężczyzna widziany na monitorach podczerwieni ledwo się poruszał. Nie mogli widzieć jego twarzy, ponieważ była zakryta workiem. Ale słyszeli jego szloch.

- Czy zawsze jest taki płacziwy? - zapytała Exley

- Zaczął płakać pod koniec trzeciego przesłuchania - odpowiedział Saul. Teraz płacze niemal nieustannie po upływie kilku godzin.

- Ile tur przesłuchań odbyło się do tej pory?

- Osiem. Robi niezłe postępy - pochwalił więźnia Saul
- Kiedy wspomniał Wellsa?
- Jakiś tydzień temu. Jeśli chcecie, mogę wypytać go o to jeszcze raz. Jest bardzo chętny do współpracy w sprawach, które już zdążyliśmy omówić.

Saul pokazał im budynek, zanim przyprowadził ich tutaj. Karczer znajdował się w odrębnym skrzydle na parterze; zaprojektowano go specjalnie tak, żeby światło ani dźwięki nie przenikały do środka, wyjaśnił. Zwykle takie pomieszczenia budowano pod ziemią, ale rafa koralowa na Diego Garcia nie pozwalała na wykopanie lochów

- Błagam - odezwał się mężczyzna widoczny na ekranie. - Błagam.

Jego szloch stał się głośniejszy. Jeśli któryś ze śledczych to zauważył, to żaden nie skomentował.

- Jak długo tam przebywa? - zapytała Exley, dokładając starań, by jej głos zabrzmiał możliwie naturalnie.

Saul spojrzał na zegarek.

- Dopiero dziewiętnaście godzin. Ale jego tolerancja wobec własnej celi zaczyna się załamywać.

- Nie zawsze tak się zdarza? - zdziwił się Shafer.

- Niektórzy z tych facetów miewają chwile większej odporności, co utrudnia sprawę. Ale Faruk... Jestem zdania, że jest bliski całkowitego załamania.

- Zatem co teraz? - zapytała Exley

- Zwykle stosujemy element dodatkowego stresu w określonym momencie sesji. Czasem na początku, kiedy indziej pod koniec - nie chcemy, żeby był zdolny to przewidywać. Wydaje się, że teraz nadeszła odpowiednia chwila.

Nieprzenikniona ciemność. Faruk usiłował policzyć do tysiąca, ale nie był już w stanie uporządkować odpowiednio liczb. Spróbował recytować wybrane fragmenty Koranu, ale za każdym razem, gdy wymawiał imię Allacha, czuł się coraz

bardziej męczennikiem. Zatem przestał recytować i teraz tylko siedział w ciemności.

Amerikanin miał rację, pomyślał Faruk. To było gorsze od śmierci. W rzeczywistości być może już był martwy. Być może zginął na dachu w Bagdadzie, a teraz znajduje się w piekle. Ale to nie mogła być prawda. Służył Allahowi najlepiej jak mógł. Powinien więc trafić do nieba.

- Niebo - powiedział na głos. - Niebo.

Gdy powiedział te słowa, poczuł silne kopnięcie prądem, który poraził go w nogi. Szarpnął głową do tyłu i krzyknął z bólu. Mięśnie zaczęły mu drżeć w sposób niekontrolowany, kurcząc się i rozkurczając na przemian. Nigdy nie czuł tyle bólu, który wchodził jedną nogą i wychodził drugą.

- PRZESTAŃCIE! PRZESTAŃCIE! PRZESTAŃCIE! - krzyczał.

W końcu ból minął.

- Boże - powiedział.

Zdał sobie sprawę, że cierpienia trwały zaledwie kilka sekund. Nogi wciąż drżały po doznanym wstrząsie, a mięśnie były... ciepłe w dotyku, jak gdyby odbył dłuższą przebieżkę. Poruszył nogami z wahaniem. Wciąż miał w nich czucie.

Ból pojawił się znowu; szedł w górę od lewej łydki, przez udo i w poprzek bioder, potem w dół po drugiej nodze.

- PRZESTAŃCIE! PRZESTAŃCIE!

Czuł, jak serce mu wali, ale nie mógł się ruszyć. Czas przestał istnieć. Nie był w stanie powiedzieć, nie potrafił nawet zgadnąć, jak długo elektryczność płynęła przez jego ciało.

Prąd wyłączono. Zdążył tylko wziąć trzy szybkie oddechy, gdy znów zaczęła się tortura. Pragnął im powiedzieć, że nie mogą razić go prądem w ten sposób, chyba że rzeczywiście pragną go zabić... Ale ta świadomość wcale mu nie pomagała. Chciał ich błagać, żeby przestali, ale słowa plątały się na języku i wydawał z siebie jedynie jęki aż do chwili, gdy prąd znów przestał płynąć.

Nie był w stanie znieść więcej. Powie im każdą rzecz, wszystko, żeby tylko nie siedzieć tu i nie czekać na agonię. Rzucił głową raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Błagam... Błagam... Błagam...

- Pozwólmy mu uspokoić się nieco, potem przyprowadzimy go tutaj - oznajmił Saul, obserwujące ruchy Faruka. - Sądzę, że jest gotowy

Przed chwilą potraktowali Faruka taserem, elektrycznym paralizatorem wytwarzającym impulsy o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów, które powodowały mimowolne drgawki mięśni, wyjaśnił im Saul. Wąsy aparatu przyczepiono do kostek Faruka, co nie wymagało nacięcia skóry, by umożliwić przepływ prądu, w rezultacie czego więzień nawet nie miał pojęcia, gdzie znajdowało się źródło bólu.

- Wypróbowałem to na sobie, to piekielnie boli - dodał Saul. - Ale działa.

Exley miała poważną minę. Choć powinna być przepojona euforią. Jeden w wyższych rangach tajnych współpracowników al-Kaidy został złamany. O ile Faruk był wyższym rangą tajnym współpracownikiem al-Kaidy. Jeśli rzeczywiście został złamany i nie potrzebował kolejnego miesiąca spędzonego w karczerze. Lecz nie mogła oderwać oczu od drżącej masy widocznej na ekranie. Nie wiem, czy mam odwagę patrzeć na to po raz drugi, pomyślała. To piekielnie boli, ale działa. Jeśli jednak nie zadziała, co wtedy? Jaka będzie następna tortura?

Po prostu chcę mieszkać gdzieś na przedmieściach razem z dziećmi i pracować czterdzieści godzin w tygodniu oraz prowadzić miłe, skromne życie. Ktoś musi robić to tutaj, ale niekoniecznie muszę to być ja. Albo nikt nie musi tego robić. Być może wszyscy oni powinni nieco wyluzować i traktować facetów po drugiej stronie jak ludzkie istoty. Wtedy znów

odezwał się w niej ten cyniczny głos: „Nawet ty nie jesteś aż tak naiwna, Jenny. Czy chcesz, żeby ten facet umieścił brudną bombę w Nowym Jorku?”.

Czy Shafer zabrał ją tu, żeby przeszła lekcję z eksponatami? Czy rzeczywiście wierzył, że te tortury były konieczne? Czy w ogóle były to tortury? Farukowi nic nie będzie, przynajmniej w sensie fizycznym. Nie miała już odpowiedzi, pozostały jej tylko pytania; nie potrafiła już stawić czoła dalszym pytaniom.

Nagle zrozumiała, że Wells zginie. Będzie kolejną ofiarą złożoną na ołtarzu tej wojny. On umrze, ona zaś już nigdy się z nim nie zobaczy. Myśl ta sprawiła, że zebrało się jej na mdłości. Nie pragnęła niczego więcej poza tym, by znaleźć się w swojej małej sypialni, leżeć na plecach i wpatrywać się w sufit, z Wellsem leżącym obok i obejmującym ją. Wszędzie, byle nie tutaj.

Shafer klepnął ją w ramię.

- Wszystko w porządku, Jennifer?

Nic nie było w porządku.

- W porządku - odparła. - Po prostu myślałam, co nam wyjawi. Świetna robota, Saul.

10

ALBANY, NOWY JORK

Klep, klep. Czyjś palec dźgał Khadriego w ramię. Odwrócił się i zobaczył zapuszczoną bezdomną kobietę, stojącą zbyt blisko niego. Ciemne strąki jej włosów związane były w koński ogon, z szyi zwisał ogromny krzyż. Czuł na policzku jej przykry, ciepły oddech.

- Pan wybaczy, proszę pana. Wspomoże pan paroma groszami na jedzenie?

- Obawiam się, że nie mogę.

Khadri słyszał, jak w jego głosie przebija angielski akcent. Nie lubił niespodzianek, nawet drobnych.

- Bardzo proszę, łaskawy panie. Wygląda pan na dobrego człowieka.

Khadri wygrzebał z kieszeni dolara, żeby tylko sobie poszła. Oczy kobiety zabłysły, kiedy zobaczyła banknot. Wyrwała mu zielony papierek z dłoni.

- Dziękuję szanownemu panu.

Khadri skinął głową i odwrócił się.

- Będę się za pana modlić - usłyszał jej ostatnie słowa, wypowiedziane niemal szeptem.

Modlitwa niewiernej. Śmiał się w duchu z obietnicy kobiety, otwierając szklane drzwi niewielkiego dworca autobusowego usytuowanego w śródmieściu Albany. Tego ranka pojawił się tu już po raz trzeci. Czy jej modły pomogą sprawie, czy zaszkodzą? Szedł powolnym krokiem przez główny hol dworca, a gumowe podeszwy jego adidasów - Amerykanie

nazywali je trampkami - piszczący na brudnej posadzce. Oprócz sportowych butów Khadri miał na sobie dzinsy oraz niebieską koszulkę - było to maskujące przebranie w tym śmiesznym kraju, w którym każdy brał sobie za punkt honoru, by ubierać się tak skromnie jak to możliwe.

Pół godziny później, kiedy po raz, jak mu się wydawało, tysięczny wykręcił pętlę wewnątrz dworca, zamówił filiżankę kawy i rozsiadł się na drucianym krześle, które kiwało się pod nim na nierównych nogach. Przejeżdżając dłonią po krótko ostrzyżonych włosach, Khadri sporządzał katalog rzeczy, które wywoływały w nim rozdrażnienie. Kawa była ciepka i zimna; powietrze - zatechłe i gorące.

Ponadto wszędzie dookoła byli Amerykanie. Spoceni, otyli, ubodzy Amerykanie. Kobiety ubrane w tanie białe uniformy i siatki na włosy, wlokące się z trudem z nosami spuszczonej na kwintę, pokazujące w uśmiechu luki w uzębieniu. Do końca dnia zwykle zdołały wyzebrać kilka dolarów, co przy odrobinie szczęścia mogło wystarczyć na wyżywienie rodziny. Na tym dworcu było światło oraz bieżąca woda, lecz całkowita desperacja jego stałych bywalców przywozili Khadriemu na myśl najbiedniejsze zaułki Islamabadu.

Khadri niemal współczuł tym głupcom. Błędna religia, którą wyznawali sprawiała, iż nie dostrzegali prawdy: nie byli niczym więcej niż własnością Żydów, rządzących tym krajem. Gdyby tylko zdołali uświadomić sobie, że Allah jest jedynym Bogiem, a Mahomet jego prorokiem. Gdyby tylko powstał przeciw temu skorumpowanemu krajowi oraz jego przywódcom, wcielonym szatanom. Lecz oni stali się więźniami kultu Chrystusa. Poza tym większość Amerykanów wcale nie cierpiała biedy, upomniawszy sam siebie. Prowadzili dostatnie, beztrudne życie i popierali wojny toczone przez ich państwo. Nie, Stany Zjednoczone nigdy nie odkupią swoich win - przynajmniej do dnia, w którym al-Kaida udowodni bez cienia wątpliwości, że jedynie głupcy przeciwstawiają się islamowi.

Khadri był przekonany, że taki dzień nadejdzie; wierzy! w to tak samo jak w bicie własnego serca. Starał się więc nie reagować zbyt emocjonalnie na doznane rozczarowania, jak choćby złe wiadomości otrzymane od Tarika Douranta z Montrealu. Tarik powinien mniej przejmować się swoją żoną, a bardziej pracą, pomyślał Khadri. Tarik był bardzo uzdolnionym biochemikiem i człowiekiem oddanym sprawie, lecz Khadri martwił się o niego. Przyszedł do al-Kaidy kierowany samotnością, jako człowiek niemal zdruzgotany okrucieństwami Zachodu.

Khadri nie ufał rekrutom z tego rodzaju motywacją bardziej niż fanatykom błagającym o szansę śmierci w samobójczym zamachu. Byli jak zwierciadlane odbicia. Fanatykom brakowało rozsądku, ale nie hartu ducha. Ludzie pokroju Tarika natomiast byli słabi i podatni na panikę. Silny mężczyzna nie pozwoliłby żonie na podjęcie pracy w środowisku *kafirów*. Tarik musiał odzyskać kontrolę nad Fatimą lub rozwieść się z nią, zamiast narzekać po próżnicy, jakby to ona była mężem, a on żoną. Khadri na dobrą sprawę nie troszczył się o to, jak Tarik poradzi sobie z tą sytuacją, o ile tylko będzie kontynuował pracę w laboratorium.

Khadri wsypał do kawy dwie szaszetki cukru, by zneutralizować jej cierpki smak. Przed miesiącem Faruk Khan zniknął w Bagdadzie po akcji amerykańskiego wojska i od tamtej pory nie odpowiadał na wiadomości. Khadri obawiał się najgorszego. Jeśli Amerykanie pojмали Faruka, mogli dowiedzieć się o paczkach przesłanych przez al-Kaidę do Stanów Zjednoczonych. Khadri musiał wiedzieć, czy Khan zdradził tajemnicę.

Zatem Khadri przyjechał do Albany w celu przeprowadzenia swego rodzaju eksperymentu. Teraz potrzebny był mu pomocnik. Mimowolny pomocnik. Ktoś, kto wykona jego polecenia, nie zadając pytań. Ktoś, kogo będzie można spisać na straty. Dworzec autobusowy, położony w cieniu autostrady rozciągającej się wzdłuż wschodniej krawędzi miasta,

wydawał się naturalnym miejscem na poszukiwania. Lecz Khadri nie znalazł nikogo odpowiedniego. Nie mógł powierzyć wykonania tego zadania kobiecie, a mężczyźni, którzy się tu wałęsali, byli starzy oraz obdarci. Potrzebował kogoś młodszego. Być może czarnego. Tacy za pieniądze zrobią wszystko, a w Albani się od nich roiło.

Wyszedł z dworca i ruszył przez zapuszczone śródmieście Albani. Wreszcie. Czarny mężczyzna siedział na ganku budynku, w którym oferowano biura do wynajęcia. Niebieską baseballową czapkę miał nisko nasuniętą na czoło, a między nogami trzymał butelkę, do połowy ukrytą w torbie. Gdy Khadri ruszył w jego kierunku, w oczach mężczyzny pojawił się nieprzyjazny błysk.

- Cześć - odezwał się Khadri.

Jedyną odpowiedzią było pełne wrogości spojrzenie. Najwyraźniej czarnoskóry facet był z jakiegoś powodu poirytowany.

- Przepraszam, że zakłócam panu spokój.

- Mogę w czymś pomóc? - Słowa mężczyzny były uprzejme, ale nie dało się powiedzieć tego samego o tonie jego głosu.

- Może to się wyda panu dziwne, ale chciałbym poprosić o przysługę.

Murzyn uśmiechnął się szyderczo.

- Przysługę.

Czarny wycodził to słowo, aby pokazać swoją niewiarę. Typowa murzyńska bezczelność. Khadri upomniał sam siebie: zachować spokój.

- Zapłacę.

Przez twarz czarnego przemknął ślad zainteresowania. Khadri nie był tym zdziwiony

- Trzeba odebrać paczkę.

Zainteresowanie zniknęło, w jego miejsce pojawił się gniew.

- Nie masz niczego lepszego do roboty, tylko handryczyć się ze mną? - Murzyn wstał, górując wzrostem znacznie

nad Khadrim. - Dopiero co wyszedłem z pudła, a ty chcesz posłać mnie tam z powrotem...

Czarny sądzi, że jestem przedstawicielem władzy, zdał sobie sprawę Khadri.

- Nie jestem posterunkowym... ani oficerem policji - tłumaczył. - Proszę, posłuchaj przez chwilę.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś - odparł lekceważąco Murzyn. - Znikaj mi z oczu.

Khadri postanowił posłuchać tej rady. Gdy się oddalał, dobiegły go wymamrotane słowa:

- Pieprzony Arabus.

Tak bardzo nienawidził tego kraju.

Khadri czuł się pokonany, gdy siedział w motelowym pokoju w Kingston. Nie spodziewał się takich problemów ze znalezieniem pomocnika. Trzy razy jego propozycję odrzuciono ze wzgardą. Ci ludzie nie byli głupcami. Orientowali się, że on nie ma amerykańskich korzeni.

Musiał rozwiązać ten problem najpóźniej do jutra. Nie chciał, żeby w Albani zapamiętano go jako nieznanego Araba, który prosił o przysługę; z tego właśnie powodu postanowił zamieszkać w tym podupadłym motelu oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów od miasta. Co oczywiste, mógł zlecić odebranie paczki ze schowka jednemu ze swoich ludzi, lecz oznaczałoby to wystawienie na ryzyko tajnego współpracownika i jednocześnie groźbę zdekspirowania całej komórki. A przecież miał tak niewielu godnych zaufania ludzi w Stanach Zjednoczonych. Teraz postrzegał tę sprawę jako osobiste wyzwanie. Powinien bez trudu naciągnąć jakiegoś amerykańskiego naiwniaka na wykonanie tego zlecenia.

Khadri westchnął i włączył zniszczony telewizor będący na wyposażeniu pokoju. Humor mu się poprawił, kiedy na ekranie pojawiła się powtórka *Praktykanta*. Khadri lubił tak

zwane „reality shows”, w których Amerykanie płaszczyli się przed fałszywymi bożkami - mamoną i sławą.

Program dobiegł końca, Khadri spojrział na zegarek. Pora na wieczorną modlitwę. Sprawdził wskazania kompasu, rozłożył dywanik w kierunku Mekki i pomodlił się cicho, dotykając czołem podłogi, przyklękając przed Allahem. Gdy skończył rytuał, czuł spokój i trzeźwość myśli, był gotów do nocnego odpoczynku i pracy następnego dnia. Wtedy wpadł na pomysł, z całą pewnością podsunięty przez Wszechmogącego. Albo, być może - Khadri nie potrafił powstrzymać uśmiechu - przez pana Donalda Trumpa.

Ci Amerykanie wiedzieli, że on tu nie pasuje. Zatem postanowił przestać próbować.

* * *

Wczesnym popołudniem następnego dnia, po przeprowadzeniu rekonesansu i postoju przy punkcie ksero Kinko, Khadri powrócił na ulice Albany, powoli objeżdżając zapuszczoną dzielnicę usytuowaną na północ od śródmieścia. Na zrujnowanym parkingu przy zdezelowanym szarym fordzie focusie siedział barczysty mężczyzna, trzymając w ręku obowiązkową papierową torbę. Rękawy T-shirta miał podwinięte, demonstrując pękate bicepsy. Dobrze. Tak czy owak, Khadri miał już po dziurki w nosie Murzynów. Nie lubił ich i odnosił wrażenie, że z wzajemnością.

Khadri, ubrany dziś w koszulę z kołnierzykiem i spodnie khaki, zaparkował obok focusa i wysiadł z auta.

- Witaj, przyjacielu.

Tym razem nie krył angielskiego akcentu. Mężczyzna spojrział na niego nieufnie.

- Mogę zapytać, jak masz na imię?
- Tony
- A jakie nosisz nazwisko?
- DiFerri.

- Tony DiFerri, bardzo mi miło cię poznać.

Khadri wyciągnął rękę, którą tamten usunął po chwili wahania.

- Jestem Bokar - przedstawił się Khadri. - Czy nie miałbyś ochoty wystąpić w telewizji?

- Że co?

- Jestem łowcą talentów. Pracuję dla nowego telewizyjnego reality show, który w tej chwili poszukuje uczestników

Tony spojrział na Khadriego takim wzrokiem, jakby ten oznajmił mu, że jest przybyszem z innej planety

- Dlaczego ja?

- To brytyjski program. Szukamy różnych uczestników Nietypowych przedstawicieli Hollywood. Różnorodność.

Amerykane lubowali się w tym słowie.

- Mówisz poważnie?

- Całkowicie, sir. Całkowicie.

Khadri wypowiedział to słowo z najbardziej afektowanym akcentem Hyde Parku, na jaki go było stać. Teraz trudniejsza część.

- Ale musisz przejść wstępny test.

Twarz mężczyzny wyrażała konsternację.

- Wstępny test?

- Musimy się upewnić, że się nadajesz, że masz szansę na zwycięstwo.

- Jasne.

- Będziesz musiał wykonać pięć zadań. Dobra wiadomość jest taka, że za każde z nich dostaniesz pieniądze oraz dodatkowo pięćdziesiąt dolarów za samo uczestnictwo. Zła nowina brzmi tak, że będziemy zmuszeni z ciebie zrezygnować, jeśli chociaż raz nie wykonasz zadania. Jesteś zainteresowany?

Tony był bardziej niż zainteresowany, co nie uszło uwagi Khadriego. Niemal wyrwał pióro z rąk fałszywego łowcy talentów, by podpisać dziesięciostronicowy kontrakt wypełniony

prawniczym bełkotem, wydrukowany przez Khadriego tego ranka.

Instruktaż zajął zaledwie kilka minut. DiFerri słuchał uważnie; pożyczył nawet pióro Khadriego, żeby zrobić parę notatek. Potem wziął od niego klucz do schowka D-2471, nakłonił swego forda do zastartowania i odjechał. Jego celem był zaadaptowany budynek magazynowy przy Central Avenue, w którym znajdowała się przechowalnia bagaży Capitol Area Self Storage.

Operacja „Sumienny borsuk” rozpoczęła się przed tygodniem, po tym, jak Faruk Khan wyszłochał przed śledczymi w Diego Garcia ostatnie z ukrywanych sekretów. Przeglądając kopie raportów z przesłuchań Exley z trudem mogła uwierzyć, jak dużo informacji ujawnił Faruk: szczegółowe dane na temat kont bankowych i adresów poczty elektronicznej, lokalizacja sejfów al-Kaidy w Islamabadzie, nazwiska trzech sympatyków tej organizacji zatrudnionych przy pakistańskim programie nuklearnym. Faruk okazał się najcenniejszą amerykańską zdobyczą w ciągu ostatnich lat.

Najbardziej zdumiewające było przyznanie się Faruka do zakupu kilograma plutonu 239 oraz drugiego kilograma wysoko wzbogaconego uranu od rosyjskiego fizyka, Dmitrija Georgowa. Agencja oraz Połączona Grupa Operacyjna do Spraw Terroryzmu natychmiast przystąpiły do poszukiwań Georgowa, lecz jedynie po to, żeby się dowiedzieć, iż został zamordowany przed trzema miesiącami w Moskwie. Oficjalnie zbrodnia nie została rozwikłana. Rosyjskie Federalne Biuro do Spraw Bezpieczeństwa, następcza KGB, w odpowiedzi na poufne zapytanie oznajmiło, że w okresie, kiedy zginął, Dmitrij był po uszy zadłużony u ludzi z mafii izmajłowskiej, najbardziej bezwzględnej grupy przestępczej w Moskwie.

Zgodnie z danymi przekazanymi przez Rosjan, Dmitrij był nałogowym hazardzistą, który dodatkowo gustował w

prostyutkach inkasujących po dwa tysiące dolarów za noc. Przyjemny typek, pomyślała Exley Mimo to jego śmierć okazała się dla al-Kaidy pechem, gdyż terroryści zamierzali ubić kolejny interes z nim. I jeszcze większym pechem dla CIA, która liczyła na to, że Dmitrij będzie w stanie zweryfikować zeznania Faruka. Wszelako, po tym jak na własne oczy zobaczyła przesłuchanie tego ostatniego, Exley była skłonna dać wiarę jego słowom.

Tak czy owak, informacje wyciągnięte z Pakistańczyka póki co się sprawdziły. Ogromna płócienna torba zamknięta w schowku D-2471 na terenie Capitol Area Self Storage nie była ułudą. Podobnie jak złudzeniem nie były ślady radioaktywnego promieniowania emitowane przez aluminiowy pojemnik wyłożony ołowiem. Faruk wyjawiał śledczym, że zakupu plutonu i uranu dokonał zeszłego lata i że przekazał promieniotwórczy materiał tajemniczemu człowiekowi, który przedstawił się jako Omar Khadri. Później przez niemal rok Faruk nie miał żadnych wiadomości na ten temat.

Potem, tuż przed podróżą do Iraku, Khadri poinformował go, że al-Kaida przemyciła „towar” do Stanów Zjednoczonych przez Meksyk. W opinii Exley trasa ta wydawała się logiczna. Na pustynnych terenach Arizony nie ma zainstalowanych detektorów promieniowania, armii celników ani firm przewozowych, które pozostawiają po sobie ślad na papierze. Doświadczeni przemytnicy mają niemal stuprocentową szansę przekroczenia zielonej granicy, zaś al-Kaida z pewnością wynajęła najlepszych ludzi do realizacji tej dostawy.

Exley kiwała sceptycznie głową, wyobrażając sobie ostrożne ruchy terrorystów. Po raz tysięczny wpadała w zachwyty nad cierpliwością *dżihadi*, bojowników świętej wojny. Posuwali się powoli i miarowo, ale nigdy nie dawali za wygraną. Ostatnio zastanawiała się nad sprzedażą mieszkania i ponowną przeprowadzką do Wirginii, żeby znaleźć się bliżej dzieci. Teraz, czytając raport, pomyślała ponownie o umieszczeniu apartamentu w wykazie lokali na sprzedaż i to bez

zbędnej zwłoki. Logan Circle znajdował się zaledwie o niecałe dwa kilometry od Białego Domu, a opad radioaktywny z pewnością nie wpłynie na podniesienie cen nieruchomości.

Na Diego Garcia była druga po południu, kiedy Faruk Khan wyjawiał Saulowi informację, gdzie ukryto pluton i uran. Druga po południu na Diego Garcia oznaczała trzecią nad ranem na Wschodnim Wybrzeżu. W niedzielę. To bez znaczenia. Telefony na zabezpieczonych liniach rozdzwoniły się w domach na podmiejskich obszarach całej Wirginii w czasie krótszym niż trzydzieści sekund po tym, jak przekaz z kodem krytycznym dotarł do Langley i Białego Domu. Prezydent usłyszał tę wiadomość cztery godziny później, po przebudzeniu, w następstwie osobistego polecenia, że jego sen może zostać przerwany jedynie w przypadku zmasowanego ataku na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Gdy słońce uniosło się ponad horyzont, ludzie Połączonej Grupy Operacyjnej do Spraw Terroryzmu rozpoczęli już dochodzenie, któremu nadano nazwę operacji „Sumienny borsuk”. Agencje wywiadu zdawały się kierować niepisaną zasadą, że im ważniejsze zadanie, tym bardziej bzdurna nazwa, pomyślała Exley. Nazwa zresztą nie była jedynym absurdalnym aspektem pierwszej odprawy, jaka odbyła się w niedzielę rano. Przez ponad godzinę FBI i CIA spierały się o to, która z nich ma kierować operacją „Sumienny borsuk”. W końcu uzgodniono kompromis, wyznaczając dwóch koordynatorów: starego przyjaciela Exley, Vinny’ego Duto oraz Sanforda Kijiuriego, zastępcę dyrektora Federalnych. Kiedy już walka o biurokratyczny splendor została rozstrzygnięta, Duto i Kijiuri przeszli do rzeczy, wysyłając do Albany pięćdziesięciu członków Nuklearnego Zespołu Poszukiwań w Sytuacjach Wyjątkowych (Nuclear Emergency Search Team, w skrócie NEST).

Departament Energetyki powołał do życia NEST w 1975 roku po tym, jak fałszywy alarm nuklearny w Bostonie

potwierdził potrzebę istnienia wyspecjalizowanej grupy operacyjnej, która w krótkim czasie byłaby zdolna zdiagnozować atomowe zagrożenie. Zespół liczył w sumie ponad tysiąc osób, chociaż na pełnych etatach zatrudniono jedynie kilkadziesiąt pracowników. Resztę stanowili ochotnicy, w większości naukowcy z rządowych laboratoriów nuklearnych w Los Alamos i Oak Ridge. W gronie ludzi z NEST było nawet kilku emerytów, którzy mieli dostatecznie dużo lat, żeby na własne oczy widzieć naziemne testy jądrowe przeprowadzane w latach pięćdziesiątych dwudziestego stulecia.

Exley podziwiała odwagę naukowców, bez względu na ich wiek. Wzięli na siebie misję nie do pozazdroszczenia, polegającą na szukaniu pocisków nuklearnych oraz brudnych bomb i jeszcze bardziej niewdzięczne zadanie rozbrojenia każdej znalezionej bomby. Pracowali ramię w ramię z agentami FBI zajmującymi się zwalczaniem terroryzmu oraz z oddziałami sił specjalnych, które na mocy tajnej dyrektywy prezydenta mieli zabijać bez ostrzeżenia każdego, kto podejrzany był o posiadanie broni jądrowej.

W okresie zimnej wojny jedynie wysocy rangą funkcjonariusze służb wywiadu oraz najwyżsi dowódcy wojskowi wiedzieli o istnieniu NEST. Obecnie zasłona tajemnicy nieco opadła. Mimo to rząd podejmował nadzwyczajne środki ostrożności w celu niedopuszczania do wiedzy opinii publicznej informacji na temat nuklearnego zagrożenia, w nadziei na ograniczenie liczby fałszywych alarmów i przypadków atomowego szantażu. NEST oraz FBI nigdy nie ujawniały takich wiadomości, nawet - lub w szczególności - gdy uznawano je za wiarygodne.

Naukowcy z NEST w trakcie pełnionych misji nosili cywilne ubrania oraz detektory wielkości notebooków, schowane w teczkach lub dużych saszetkach. Detektory te mogły wychwyć nienaturalny poziom promieniowania alfa oraz gamma z odległości do dwunastu metrów. Sygnały te przesyłano drogą radiową do miniaturowych odbiorników, które

naukowcy nosili na uszach, niczym aparaty wspomagające słuch. NEST dysponował również flotą półciężarówek, które wyglądały jak normalne samochody dostawcze, chociaż w rzeczywistości znajdowały się w nich większe detektory, mogące wykryć promieniowanie nawet z odległości paru-set metrów. Do rozbijania bomb służyły NEST hale magazynowe pełne cudaczych przyrządów, postawione w kwaterze głównej w bazie Sił Powietrznych w Nellis, niedaleko Las Vegas. Były tam roboty, którymi można sterować z odległości wielu kilometrów, najpotężniejsze przenośne aparaty rentgenowskie, jakie kiedykolwiek zbudowano, piły tnące za pomocą strumienia wody o wysokim ciśnieniu zamiast metalowym ostrzem. Cały sprzęt, którym dysponował NEST, został zbudowany z plastiku i metali niemagnetycznych, jak aluminium, ponieważ silne pole magnetyczne zawsze grozi uszkodzeniem układów scalonych zamontowanych w broni jądrowej.

Jak dotąd najpoważniejsze zagrożenie, w którego badaniu brały udział służby NEST, miało miejsce w październiku 2001 roku. SISMI, włoski wywiad wojskowy, ostrzegł Agencję, że al-Kaida przemyślała do Nowego Jorku broń nuklearną o mocy dziesięciu kiloton - tak zwaną bombę walizkową.

Bomba o mocy dziesięciu kiloton to jeden z najmniejszych ładunków jądrowych, posiadający zaledwie połowę siły rażenia bomby Fat Man, którą Stany Zjednoczone zrzuciły na Nagasaki pod koniec drugiej wojny światowej. Mimo to pocisk miałby dostatecznie dużo mocy, by unicestwić śródmieście Manhattanu i zabić dwieście tysięcy ludzi. Większość cywilów po prostu nie jest w stanie pojąć, jakie zniszczenia niesie ze sobą broń jądrowa, pomyślała Exley. Zazdrościła im. Zbyt intensywne myślenie o żądzy zdobycia bomby atomowej przez al-Kaidę było niczym wyobrażanie sobie końca świata lub własnej śmierci - ćwiczeniem pokory, które mogło się przemienić w chorobliwą obsesję.

Exley miała żywo w pamięci gorączkowe poszukiwania, jakie nastąpiły po ostrzeżeniu SISMI. NEST rozesłał setki naukowców, by sprawdzili każdą ulicę na Manhattanie, każdy terminal na lotnisku, każde piętro w Empire State Building. Ale nie znaleźli bomby. Poza tym ani CIA, ani inna agencja wywiadu nigdy nie zdołała potwierdzić prawdziwości pierwotnego raportu Włochów. Gdy zbliżało się Boże Narodzenie 2001 roku, dochodzenie zostało umorzone. Cztery miesiące później NEST i PGO oficjalnie oświadczyły, że było to fałszywy alarm. Duto, wówczas numer dwa w Dyrektoracie Operacji CIA, poleciał do Rzymu poinformować SISMI o potrzebie uzyskania dodatkowych danych. Exley żałowała, że nie była świadkiem tej rozmowy

Żałowała również, że epizod z bombą walizkową nie dał jej niepodważalnej wiary w zdolność NEST do odnalezienia bomby jądrowej w przypadku, kiedy wszystko inne zawiedzie. Lecz Exley wiedziała lepiej. W trakcie poszukiwań naukowcy NEST nawet nie starali się ukryć ograniczeń, z jakimi się borykali. Pomimo znajdującego się w ich dyspozycji sprzętu szanse zlokalizowania bomby w warunkach poszukiwania na ślepo były niewielkie. Stali przed problemem, który był niemal niemożliwy do rozwiązania: siła promieniowania plutonu i uranu była stosunkowa niewielka do momentu eksplozji. W miastach zaś aż się roi od źródeł radioaktywności: aparaty rentgenowskie w gabinetach stomatologicznych, skanery do tomografii komputerowej w szpitalach, rozruszniki serca zasilane małymi ilościami plutonu. Nawet świeżo cięty granit emitował dostateczną ilość promieniowania, by wywołać fałszywy alarm.

Po trzech dniach od rozpoczęcia poszukiwań bomby walizkowej Stan Kapur, pucołowaty fizyk z Los Alamos, który odgrażał się, że będzie zabierał Exley na kolację za każdym razem, gdy zjawi się w Waszyngtonie, powiedział coś, co na dobre utkwilo w jej pamięci. W trakcie spotkania ktoś, nie pamiętała już kto, zapytał o prawdopodobieństwo odnalezienia

bomby przez ludzi NEST, o ile rzeczywiście istniała.

- Szukanie bomby w Nowym Jorku jest jak próba znalezienia igły w stogu. W stogu złożonym z igieł - odpowiedział wtedy Kapur.

Nikt nie chciał tego słuchać. Ale Kapur, który kierował teraz zespołem NEST w Albany, powiedział prawdę, pomyślała Exley. Bez precyzyjnych informacji wywiadu wszyscy fizycy na tej ziemi razem wzięci nie byłiby w stanie znaleźć bomby. Jedynym sposobem odniesienia zwycięstwa było przeniknięcie do mózgu przeciwnika.

Exley poczuła osobliwe podniecenie, gdy spoglądała na zdjęcia bawełnianej torby spoczywającej na posadzce w skrytce D-2471, którą nazywano skrytką, chociaż w rzeczywistości było to pomieszczenie o rozmiarach garderoby. W niedzielę, po tym jak dotarły wiadomości o zeznaniach Faruka, prezydent zastanawiał się nad zarządzeniem ewakuacji Albany. Krok ten okazał się zbędny, po tym jak naukowcy z NEST stwierdzili, że pojemnik ukryty w torbie był zbyt mały, by mogła się w nim mieścić broń jądrowa.

Po przebadaniu schowka D-2471 za pomocą pulsacyjnego skanera szybkich neutronów oraz zmodyfikowanego skanera tomograficznego, naukowcy z NEST doszli do wniosku, że w pojemniku najprawdopodobniej znajdowało się około siedmiu kilogramów materiału wybuchowego C-4, umieszczonego wokół dwóch małych stalowych kasetek wyłożonych ołowiem, w których znajdował się na pluton i uran. Innymi słowy, pojemnik stanowił miniaturową brudną bombę, zdolną do zabicia kilkuset mieszkańców Albany, jeśli wiatr zawieje w niewłaściwym kierunku. Ale NEST nie była w stanie dokładnie oszacować, ile materiału zawiera bomba, ponieważ ołowiany płaszcz wychwytywał niemal całość emitowanych promieni alfa i gamma. W międzyczasie ekipy saperów przedstawiły raport, w którym stwierdzono, że pojemnik

wygląda jak bomba-pułapka, z podłączonymi przewodami, która może wybuchnąć w przypadku jej przemieszczenia lub próby otwarcia bez użycia odpowiedniego klucza.

Po dwóch dniach gorączkowych dyskusji prezydent zdecydował o pozostawieniu bomby tam, gdzie była oraz podpisał dekret przekazujący magazyn ze skrytkami na własność państwa, motywując to niejasno „nadzwyczajnym zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego”. Nawet prawnicy z Biura Doradców Białego Domu nie byli pewni, czy dekret był zgodny z prawem, a Joey O'Donnell, właściciel Capitol Area Self Storage, odmawiał zrzeczenia się prawa własności. Lecz Kijiuri, zastępca dyrektora FBI, w sposób mało uprzejmy wyjaśnił O'Donnellowi, że stoi przed prostym wyborem. Albo okaże się dobrym Amerykaninem i zaakceptuje jeden milion dolarów oferowany przez rząd, co stanowiło kwotę dwa razy większą od wartości obiektu. Co oczywiste, zwolnioną z podatku. Albo będzie się upierał przy obronie swoich konstytucyjnych praw i wniesie pozew do sądu, olewając przy tym wszystkich, począwszy od FBI i na samym prezydencie kończąc.

- Wygrałeś los na loterii, Joey - oznajmił wtedy Kijiuri.
- Przyjmij czek i wyjedź na wakacje. Chcesz, żebyśmy sprawdzili, jak płacisz podatki?

Joey przyjął czek i wyjechał na wakacje. Jeszcze zanim zdążył podpisać dokumenty, oddział inżynierski przybył na miejsce i wzmocnił ściany oraz sufit dokoła schowka D-2471, używając do tego płytek z ołowiu i stali grubości prawie piętnastu centymetrów. Nim wrzesień dobiegł końca, cały budynek miał nowy dach oraz ściany na tyle grube, żeby powstrzymać opad radioaktywny powstały po wybuchu.

Oprócz nowego stropu, Capitol Area Self Storage otrzymał również nowy personel. Żaden z poprzednich pracowników nie narzekał z powodu zwolnienia; wszyscy otrzymali odprawy dużo okazańsze niż się spodziewali. Komandosi

z jednostki Delta, którzy ich zastąpili, zachowywali się nad wyraz uprzejmie wobec klientów, chociaż ich środkowozachodni akcent nie bardzo był na miejscu w północnej części stanu Nowy Jork. Technicy z FBI i CIA podjęli niezbyt zdrową rywalizację o to, kto zamontuje w przechowalni bardziej wymyślny sprzęt do monitoringu i inwigilacji. Ponieważ prawo nie pozwalało CIA działania na amerykańskiej ziemi, Agencja powinna scedować tę robotę na Federalnych. Jednak prezydencki dekret, uruchamiający operację „Sumienny borsuk”, zniósł to ograniczenie, więc Duto uparł się przy swoim.

Rywalizujące zespoły techników zamknęły Capitol Area Self Storage szczelniej niż można to sobie wyobrazić, pomyślała Exley. Ogółem w budynku zamontowano czterysta kamer, czujników termicznych oraz detektorów ruchu. Karaluch nie mógł się przemknąć w pasie szerokości sześciu metrów od bomby, nie wyzwalał serii niemych alarmów Bóg powinien mieć w opiece osobę, która otworzy, zapyta lub nawet zbyt długo popatrzy na schowek D-2471.

Co gorsza, P60 nie miała pojęcia, kim może być ta osoba. Pomieszczenie zostało wynajęte sześć tygodni wcześniej przez niejakiego Laurenta Kabilę, które to nazwisko nosił obalony już i przez nikogo nieopłakiwany prezydent Konga. „Laurent” zapłacił gotówką z góry za trzy lata wynajmu schowka. Nie pojawił się tu od czasu pierwszej wizyty. Nikogo też nie zdziwił fakt, że nie znaleziono żadnych odcisków ani śladów DNA na zamku ani na torbie. Osobnik, który zdołał przeschmuglować na teren Stanów Zjednoczonych materiały promieniotwórcze, z pewnością był na tyle sprytny, by założyć rękawiczki.

W tej sytuacji Duto i Kijiuri zdecydowali, że każdy, kto zgłosi się po odbiór torby, zostanie aresztowany, jeśli zechce przenieść ją z magazynu. W przeciwnym razie osoba ta będzie mogła opuścić obiekt i zostanie poddana inwigilacji. Co oczywiste, pozwalając kurierowi wejść do środka schowka D-2471,

zamiast natychmiast go aresztować, grupa operacyjna narażała się na ryzyko zdetonowania bomby wewnątrz budynku.. Jednak natychmiastowe aresztowanie kuriera było równoznaczne z zatarciem śladów prowadzących do całej komórki. A P60 rozpaczliwie potrzebowała informacji na temat działań al-Kaidy na terenie Stanów Zjednoczonych. Z drugiej natomiast strony Połączona Grupa Operacyjna nie mogła pozwolić sobie na to, by bomba wybuchła poza murami budynku. Exley rozumiała tę decyzję. Jako analityk pragnęła zdobywać jak najwięcej informacji. Jeśli jednak jej rodzina mieszkałaby w Albany, niewykluczone, że sama wytoczyłaby prezydentowi proces o zdradę ojczyzny, gdyby zezwolił al-Kaidzie nawet na zewnętrzny strzał, przejmując kontrolę nad brudną bombą.

Exley postanowiła przynajmniej raz w tygodniu wychodzić z biura przez zapadnięciem zmroku, dając sobie tym samym sposobność złożenia wizyty w centrum fitness oraz być może przechadzki wzdłuż pasażu handlowego. Jednak nie dzisiaj. Zamierzała raz jeszcze przeczytać kopie zeznań Faruka, strona po stronie.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że dzieje się z nią coś bardzo złego. Nie było powodu okłamywać samej siebie. Od powrotu z Diego Garcia zrobiła mentalny zakręt. Zawsze miała obsesję na punkcie swojej pracy, ale gdy stawka rosła, ona coraz bardziej ją lubiła - radowała się szansą zobaczenia tego, czego nikt inny nie widział i usłyszenia tego, czego nikt inny nie słyszał. Wliczając w to przesłuchanie... tortury Faruka - tak, powiedziała to słowo. Odraza opadła w niej zbyt szybko, gdy zobaczyła Saula w akcji. Był po prostu świetny w łamaniu Faruka; jakaś część jej osobowości lubowała się w oglądaniu geniuszu, bez względu na jego postać.

Jesteś po prostu trybikiem, odezwał się w niej cichy głos. Zrezygnowałaś z własnych ambicji, stając się jedynie trybikiem. Teraz porzucasz także zasady moralne. Tym razem

jednak zignorowała ten głos. Dobrze, jestem trybikiem, pomyślała. Ale jestem trybikiem najpotężniejszej maszyny w historii; maszyny sięgającej do każdego zakątka świata, która może pojmać gościa na dachu domu w Iraku i sprawić, że zniknie, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że to się stało. Maszyny, która potrafi widzieć przez chmury i słyszeć przez ściany

Fu. Co za brednie. Co za gówno. A jednak дума, jaką czuła, była prawdziwa. Przynajmniej teraz wiem, jak to działa, pomyślała. Wiem, jak władza potrafi korumpować.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ją. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Shafer kołysze swym małym ciałem wewnątrz jej biura.

- Ellis. Właśnie myślałam o tobie.
- Mam nadzieję, że to tylko dobre myśli.
- Zawsze.
- *Que pasa?*

Exley westchnęła głośno. Najstarszy syn Shafera przez całe lato uczył się hiszpańskiego. Teraz Shafer wziął sobie za punkt honoru wtrącanie przypadkowych hiszpańskich zwrotów do rozmowy. Każde przekręcone słowo drażniło Exley, przypominając jej o dystansie, jaki dzielił ją od jej własnych dzieci. Poza tym jako osobę, która ciężko pracowała, by nauczyć się trzech języków, głęboko irytowała ją lingwistyczna niekompetencja w stylu Taco Bell.

Podniosła raport.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam sprzedać mieszkania. Czy brudna bomba nie wpłynie ujemnie na ceny nieruchomości.

- Prawdopodobnie nie - odparł Shafer. - Jedenasty września był najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się rynkowi nieruchomości w Waszyngtonie.

- Nie powinieneś opowiadać podobnych rzeczy
- A jednak to prawda.

I rzeczywiście. Po zamachach Agencja oraz Departament Obrony zwiększyły liczbę etatów o dziesięć tysięcy miejsc, co przyczyniło się do niebotycznego wzrostu cen domów w rejonie stolicy. Była to inna, niezamierzona konsekwencja 11 września. Bin Laden z pewnością się nie spodziewał, że uderzając w Pentagon przyczyni się do zwiększenia zamożności rządowych biurokratów

- Czy coś, czego nie zauważyłaś, czytając raport dziewięćdziesiąt dziewięć razy, zwróciło twoją uwagę przy ich lekturze po raz setny? - zapytał Shafer. - Jakiś przebłysk inteligencji?

- Błyskanie inteligencją pozostawiam tobie, Ellis. Jednakże...

Zamilkła, nie mając pewności, czy chce właśnie teraz rozmawiać o Wellsie.

Cierpliwość nie należała do cnót Shafera.

- Co? Co?

- Powiedz mi jedno. Organizujemy służby celne i graniczne. Na dworcach lotniczych instalujemy detektory promieni gamma. W zeszłym roku wydaliśmy na ten cel zapewne, dziesiątki miliardów dolarów. Dlaczego więc każdy może przejść z Meksyku przez zieloną granicę?

- Czy to jest to twoje retoryczne pytanie? Przecież znasz odpowiedź równie dobrze jak ja - odparł. - Pragniemy utrzymać otwartą granicę, żeby Meksykanie brali się za robotę, do której wykonania jesteśmy zbyt leniwi.

Potrząsnął głową.

- Co więc właściwie chciałaś powiedzieć? Nie o to ci chodziło.

Shafer znał ją dobrze. Musiała mu to przyznać.

- Zapomnij.

- Sądzisz, że mam obsesję.

- Bo masz obsesję. I dlatego cię lubię.

- Jestem zdania, że informacje wyjawione przez Faruka potwierdzają fakt, że Wells powiedział nam prawdę.

Na wzmiankę o Wellsie Shafer zmarszczył nos, jak gdyby wdepnął w dół w gnojówkę.

- John Wells? - upewnił się. - Pan Niewidzialny? Największa pomyłka w mojej karierze?

- To on jako pierwszy powiedział nam o Khadrim. Faruk to potwierdził. Opowiedział też o spotkaniu z Wellsem, które odbyło się wiosną w Peszawarze.

Shafer pokiwał z powątpiewaniem głową.

- Świetnie. Zatem gdzie się podziewa od czasu, kiedy czmychnął przed pięcioma miesiącami?

- On nie czmychnął. On uciekł.

Ponieważ mu na to pozwoliłeś, dodała w myślach.

- Uciekł, czmychnął, na jedno wychodzi. Zniknął. Obawiam się, że wielki Vincent Duto może mieć rację co do Pana Niewidzialnego. Nie sądzę, że al-Kaida ufa Johnowi Wellswi choćby o jotę bardziej niż my.

- Czy zdarza ci się myśleć o nim? - nie mogła powstrzymać się z komentarzem. - Czy sądzisz, że mu z tym dobrze? Oni nie darzą go zaufaniem. My oczywiście też mu nie ufamy

- Wiedział, na co się decyduje, kiedy podpisywał dokumenty

- Nie mógł się spodziewać, że tak długo będzie zakonspirowanym agentem. Nikt nie mógł. Chcę przez to powiedzieć, że stał się najbardziej samotnym facetem na świecie.

Przypomniała sobie, co powiedział Wells, kiedy zadzwonił do niej tamtego wieczoru: „Nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie to robić”.

Pełen niesmaku wyraz twarzy Shafera sprowadził ją z powrotem na ziemię.

- Nie mam najmniejszych powodów, by przejmować się losem Johna Wellsa, Jennifer. Potrzebuję od niego kilku wiarygodnych informacji. Informacji, które dadzą nam podstawę do podjęcia działań.

- A jeśli on wciąż czeka? Oczekuje na właściwy moment?

Shafer zagryzł wargi. Pochylił się nad jej biurkiem i przyciszył głos.

- Jennifer, czy usiłujesz mi coś powiedzieć?

Pokręciła przecząco głową. Rozejrzał się po jej biurze.

- Czy wolałabyś, żebyśmy przeprowadzili tę rozmowę w innym miejscu?

- Nie.

Było jej przykro, że o mały włos wsypałaby Wellsa.

- Zatem przejdźmy do weselszych tematów - zaproponował Shafer. - Dlaczego Khadri wyjawiał Farukowi, gdzie ukryto bombę?

- Dlaczego nie miałyby tego zrobić? Faruk wie więcej o broni jądrowej niż cała reszta al-Kaidy razem wzięta. Być może miał pojechać do Stanów i ją zmontować.

- Ale bomba jest już zmontowana, czyż nie tak? - odparł Shafer. - Leży teraz w schowku i czeka, aż ktoś ją weźmie.

Exley poczuła się zbita z pantałyku.

- Zatem al-Kaida...

- ...posiada jeszcze co najmniej jednego człowieka, który potrafi obchodzić się z plutonem. Dlaczego zatem Khadri powiedział Farukowi, gdzie jest ukryta bomba? To drastyczne naruszenie zasad konspiracji.

- Być może Faruk nie jest jedynym, który to wie - powiedziała, myśląc na głos. - Być może Khadri chce mieć pewność, że bomba nie zgnije w schowku, jeśli go schwytamy.

- Mógłby zaszyfrować tę wiadomość na setki sposobów. Informowanie innych ludzi jest najmniej pewnym systemem spośród wszystkich. To nielogiczne.

- Ktokolwiek zbudował tę bombę, jest logiczny jak diabli.

- Interesujący dobór słów.

- Widzę, że zebrało ci się na żarty; dobrze. Ja mam sprawę do załatwienia - odparł Shafer, szykując się do wyjścia.

- Ellis, wyluzuj. Przepraszam.

Zatrzymał się.

- Po prostu nienawidzę rzeczy, które nie mają sensu -

skomentował. - A to nie ma. Ten gość, Khadri, bawi się z nami.

- Jest coś jeszcze - zauważyła Exley. - Ta bomba jest zbyt mała.

- To wszystko, czym dysponują.

- Cały pluton, być może. Ze zdobyciem C-4 nie ma problemu. Dlaczego więc nie skonstruowali czegoś większego? Ta bomba zabija mniej ludzi niż samochód-pułapka.

- Być może chodzi o zabójstwo - drażył temat Shafer.

- Podłożą bombę w hotelu Waldorf w trakcie zbiórki pieniędzy na rzecz PSZAP

Exley nie była w stanie pojąć, dlaczego każdy w Waszyngtonie z uporem wartym lepszej sprawy używał określenia PSZAP - co było skrótem od „Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej” - zamiast mówić po prostu „prezydent”.

- Jeśli chodzi o cel taki jak ten, po co trudzili się konstruowaniem brudnej bomby? Wystarczyło użyć paru kostek czystego C-4 i po sprawie. Trup jest trupem. Mam rację?

Shafer wzdygnął się i przejechał dłonią po włosach. Exley wołałaby, żeby tego nie robił. Pewnego dnia wyrwie z głowy całą ich garść.

W końcu przytaknął.

- Trup jest trupem. Racja. Nie ma potrzeby umieszczania plutonu w tak małej bombie. Cóż on więc wyprawia?

- Może popełnił błąd?

Shafer pokręcił zamasyżycie głową.

- Jest zbyt przebiegły, by popełniać błędy - stwierdził.

- Wydaje mi się, że on nie życzy sobie, by ktokolwiek znał jego plany. Nawet ludzie, którzy mu podlegają.

- Jest osobą, która uwielbia rządzić innymi.

- Z każdej strony otacza się sekretami. Zdaje sobie sprawę z faktu, że jego ludzie są zagrożeni; że jesteśmy w stanie schwytać każdego, tak jak pojaliśmy Faruka.

- Dlaczego więc wyjawiał to Farukowi?

- Zapytałem o to pierwszy, Jennifer.

Po tych słowach Shafer wyszedł, zostawiając ją z kolejnym pytaniem, na które nie było odpowiedzi.

Tony DiFerri z papierosem w dłoni wszedł do frontowego biura Capitol Area Self Storage, mało atrakcyjnego pomieszczenia o żółtych ścianach, w którym stały krzesła z czarnego plastiku oraz automat serwujący torebki z zatęchłymi *doritos*. Major Rick Harris, szczupły czarnoskóry mężczyzna, siedział za biurkiem i dokładał wszelkich starań, by wyglądać na kompletnie znudzonego, gdy grał w pasjansa na starym pececie marki Dell, w którym Joey O'Donnell przechowywał dane dotyczące obiektu.

- Tu nie wolno palić, proszę pana - odezwał się Harris.

Jego siostra zmarła na raka płuc, a jedno z jego dzieci cierpiało na astmę.

- Jasne - wymamrotał DiFerri, wypluwając pod nogi wypalonego w połowie marlboro lighta.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak - potwierdził DiFerri. - Szukam schowka D-2471.

Harris o mało co nie spadł z krzesła. Spodziewał się ujrzeć kogoś innego. Jakoś jednak zdołał zachować powagę.

- Oczywiście. To jest na pierwszym piętrze, w bok od głównego korytarza, przy końcu budynku. Mogę pana zaprowadzić.

- Sam trafię.

- Nie ma sprawy Proszę pokazać klucz.

Jak można się domyślić, DiFerri miał w dłoni klucz. D-2471. Harris nacisnął zielony guzik, otwierając stalową kratę oddzielającą biura od terenu przechowalni. Po kilku sekundach DiFerri był już we wnętrzu. Harris odczekał, aż gość zniknie z pola widzenia, potem nacisnął małe mikrofon przymocowany do klapy

- Kod Niebieski aktywny - powiedział. - Powtarzam, Kod Niebieski. To nie są ćwiczenia. Podejrzany mężczyzna

rasy białej, wzrost średni, biała trykotowa koszulka, nadwaga, wiek około czterdziestu lat.

Niemal mimowolnie major spojrzął na pudełko umieszczone pod ladą, w którym znajdował się kombinezon chroniący przed skażeniem radioaktywnym.

DiFerri stapał ciężko po schodach, potem oddychał chrapliwie, kiedy otwierał drzwi prowadzące na pierwsze piętro. Nie miał zbyt dużo zapachu. Ani nadmiaru czasu. Jego nowy przyjaciel Bokar wyjaśnił mu, że musi odgadnąć, co jest wewnątrz torby i zameldować się z powrotem przed czwartą trzydzieści po południu.

- Mam tylko sprawdzić i powiedzieć ci, co jest w środku? - zapytał DiFerri.

- Dokładnie.

- Nie chodzi o narkotyki ani nic nielegalnego?

- Nie. Nic nielegalnego.

- Nie wygląda to na zbyt trudne. A potem...

- Wypłacę ci kolejne pięćdziesiąt dolarów i wyjaśnię, na czym polega następne zadanie.

DiFerri nie do końca rozumiał, na czym polega gra, ale nie miał wątpliwości, że jeśli nie spodoba mu się to, co zobaczy w torbie, po prostu się wycofa. Nawet jeżeli wszystko to było jakimś kawałem, trzymał w garści pięćdziesiąt dolarów. Ci goście z Hollywood mieli z pewnością mnóstwo forsy. Poza tym, nic równie intrygującego nie przydarzyło się Tonyemu od czasów, kiedy pierwszy raz przespał się z dziewczyną, a od tamtej pory upłynęło już sporo lat. DiFerri wziął więc głęboki oddech i ruszył dalej, idąc w głąb korytarza przechowalni bagażu, szukając schowka oznaczonego numerem D-2471.

Telefon na biurku Exley zadzwonił.

- Przyjdź do baru sportowego - odezwał się Shafer. - Coś się dzieje w Albany

Zakodowane łącza satelitarne w czasie rzeczywistym przekazywały obraz przechowalni bagaży do Agencji, do sali wielkości audytorium, w której znajdowały się ponad trzy setki płaskoekranowych odbiorników telewizyjnych, z których każdy mógł przedstawiać inny obraz transmitowany przez satelity. Oficjalnie salę tę nazywano Centrum Prezentacji Bezpiecznej Łączności PGO. Ale kiedy Duto w pewien senny niedzielny wieczór przyłapał jednego techników z ośrodka na oglądaniu w rogu sali meczu ulubionej drużyny Miami Dolphins, Shafer zaczął nazywać to miejsce barem sportowym. Nazwa się przyjęła.

Bar sportowy znajdował się w odległości dziesięciu minut spacerkiem od biura Exley. Lub pięciu minut biegiem. Pobiegła.

DiFerri wykonał kilka błędnych zakrętów, zanim wreszcie znalazł schowek D-2471 w pobliżu północnego narożnika pierwszego piętra budynku. Odsapnął na moment przed schowkiem, potem wsunął klucz do zamka, zastanawiając się, co takiego zobaczy w środku. Może będzie tam ekipa telewizyjna. Albo torba wypełniona pieniędzmi, paczkami szeleszczących setek, jak na filmach. Albo klucz w ogóle nie będzie pasował.

Jednak drzwi otworzyły się bez trudu, a kiedy DiFerri włączył górne światło, zobaczył ogromną płócienną torbę, o której mówił mu Bokar. Zrobił nieśmiały krok do przodu i zamknął za sobą drzwi. Zatrzasnęły się za nim mocno i przez chwilę zastanawiał się, czy nie utkwiał w potrzasku. Gdy jednak nacisnął klamkę, drzwi znów otworzyły się bez oporu, a korytarz wyglądał tak jak przed paroma sekundami. DiFerri znów zamknął drzwi, zastanawiając się, skąd wzięło się w nim poczucie, że zakradł się tu jak złodziej. Wiele razy oglądał program „Nieustraszeni”. Tamte wyczyny były niezwykle. Tu była tylko torba w schowku.

Po drodze do schowka DiFerri widział z pół tuzina znaków zakazujących palenia, ale tu w środku nie było ani jednego. Pieprzyć tego czarnucha przy ladzie. Wystukał papierosa na dłoń i zapalił.

W budynku przechowalni bagażu znajdowało się tylko około pół tuzina ludzi, kiedy wszedł tam mężczyzna z kluczem. Nie ewakuowano ich; Duto i Kijiuri wydali polecenie, że przechowalnia ma pracować normalnie, dopóki ktoś nie podejmie próby wyniesienia torby. Komandosi także nie zbliżali się do schowka D-2471. Ale każda osoba w budynku była śledzona. Jeśli bomba wybuchnie, komandosi wyprawa cywilów z budynku, w razie potrzeby z użyciem siły, i zabiorą do tymczasowego ośrodka odkażania NEST leżącego w odległości półtora kilometra. Tam ludzie ci zostaną przebadani pod kątem skażenia radioaktywnego.

Komputerowe symulacje przeprowadzone przez naukowców NEST wykazały, że z prawdopodobieństwem siedemdziesięciu procent cywile nie zostaną narażeni na szkodliwy poziom promieniowania, o ile każdy z nich ucieknie z budynku w ciągu trzech minut od eksplozji. Co oczywiste, istniało trzydziestoprocentowe prawdopodobieństwo, że poziom promieniowania okaże się szkodliwy, ale na to już nie można było nic poradzić.

W barze sportowym Exley natknęła się na ponad dziesięciu wysokich funkcjonariuszy Agencji, którzy spoglądali w monitory. Wewnątrz schowka znajdował się biały mężczyzna, sprawiający wrażenie skonsternowanego, który zaciągał się papierosem i trzącał stopą płócienną torbę.

- Ten facet? - zapytała Shafera.

Gość wyglądał na mechanika albo na kierowcę ciężką - rowki, chwilowo bez zajęcia. Wyglądał na każdego oprócz terrorysty

- Wiesz tyle co ja.
- Co na to NSA?

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego dysponowała oprogramowaniem, które potrafiło porównywać zdjęcia twarzy z bazą danych wszystkich ludzi podejrzanych o członkostwo w al-Kaidzie.

- Nic tam nie znaleźli. Facet jest prawdopodobnie zwykłym figurantem - wyjaśnił Shafer. - Wynajętym na wypadek, gdybyśmy obserwowali to miejsce.

- Urocze określenie - skomentowała Exley „Figurant” był w żargonie Agencji osobnikiem całkowicie dyspozycyjnym, który mógł zostać aresztowany lub nawet zabity bez żadnych konsekwencji.

- Nie pojmuję tego - wyznała. - Jeśli zadali sobie tyle trudu, żeby przywlec to dziadostwo aż tutaj, dlaczego teraz traktują je w taki sposób?

Facet widoczny na ekranie wsadził rękę do torby, potem przykucnął obok niej.

- Nieźle się z nas nabijają - ocenił Shafer.

Wiedziała dokładnie, co ma na myśli. Agencja i FBI znalazły się w martwym punkcie. Facet w schowku nie miał najprawdopodobniej pojęcia, w co gra. Choć z drugiej strony posiadał klucz. Mógł być rzeczywiście tajnym współpracownikiem al-Kaidy, szczerym wyznawcą, który przypadkiem wyglądał jak kierowca ciężarówki. Dopóki go nie aresztują, nie będą wiedzieć na pewno. Nie mogli działać zbyt pochopnie, gdyż w przeciwnym razie cała operacja pójdzie na marne. Jeśli jednak zadziałają zbyt opieszale, ryzykują tym, że facet wysadzi się w powietrze, zwłaszcza jeżeli jest podstawionym naiwniakiem.

Exley czuła się tak jak kiedyś, gdy miała siedemnaście lat i starała się nauczyć obsługiwać dźwignię zmiany biegów.

Zdejmij nogę z gazu, zwolnij sprzęgło, wrzuć bieg. Całkiem proste.

Z tym, że ona nie potrafiła tego zrobić. Spaliła sprzęgło w starym dżipie brata marki Willys. Boże, tamten dzień był okropny. Tym bardziej okropny, że jej brat był tak bardzo zaabsorbowany walką z własnymi demonami, że niemal nie zwrócił uwagi, kiedy powiedziała mu, co się stało.

Znów skupiła uwagę na ekranie. Facet wciąż bawił się torbą.

- Więc... pozwolimy mu ją otworzyć? - zapytała Shaferra.

- Jeśli masz lepszy pomysł, zdradź go teraz; potem będzie za późno.

Nie miała.

DiFerri zadeptał niedopałek na betonowej posadzce schowka. Czas przystąpić do pracy. Ostrożnie otworzył wielką płócienną torbę, rozsuwając czarny zamek błyskawiczny i odsłaniając gładkie metaliczne wieko aluminiowego pojemnika schowanego wewnątrz.

Spróbował wyjąć pojemnik z torby. Okazał się jednak cięższy, niż Tony oczekiwał. Wyśliznął mu się z rąk. DiFerri stęknął i upuścił pojemnik; metal wałnął z impetem w podłogę, po drodze boleśnie uderzając go w kolano.

- Psiakrew! - krzyknął Tony

Przekleństwo odbiło się echem od ściany schowka. DiFerri znów zastanowił się, czy nie zrezygnować i powiedzieć Bokarowi, że nie zdołał otworzyć pojemnika. Nie. Zawsze pragnął wystąpić w telewizji i nie zamierzał zmarnować tej szansy

Spróbował ponownie, obracając pojemnik na bok. Zobaczył zamek numeryczny z klawiaturą w miejscu dziurki na klucz - zgodnie z tym, co przekazał mu Bokar. Na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu migały wskazania czasu: 15.47.05... 15.47.05... Cholera. Została mu niespełna godzina, żeby dotrzeć do śródmieścia. Stosując się do instrukcji Bokara, nacisnęła trzy razy klawisz z krzyżykiem na klawiaturze. Wskazanie

czasu zniknęło, w miejsce cyfr pojawiły się migoczące kreski. DiFerri wyciągnął z kieszeni podniszczony portfel i znalazł świstek papieru z kodem, który wręczył mu Bokar. 4308512112-9447563-01072884.

Tony wybierał ostrożnie numery na klawiaturze. Gdy kończył, był zlany potem, lecz nie z powodu gorąca panującego w dusznym pomieszczeniu. Miał nadzieję, że wbił kod bez pomyłki. Ponownie trzykrotnie nacisnął klawisz z krzyżykiem, tak jak go poinstruowano. Kod cyfrowy zniknął, w jego miejsce pojawiło się urządzenie zegarowe, odliczające sekundy

10... 9... 8... 7...

Jasna cholera!

6... 5... 4... 3... 2... 1...

Z trudem zerwał się na równe nogi i rzucił do tyłu.

Podobnie jak wszyscy w Langley, którzy obserwowali monitory, Exley widziała dokładnie, co wydarzyło się wewnątrz schowka D-2471. Kamery były dostatecznie czułe, by pokazać zgrozę na twarzy tego faceta, kiedy skoczył do tyłu. Potem bomba wybuchła. Eksplozja odbiła się echem po sali audiowizualnej, obraz na monitorach zastąpiła czerń.

W pomieszczeniu panowała cisza. Exley nie potrafiła odpuścić sprzed oczu obrazu przerażonej twarzy, którą widziała przed chwilą. Ten facet nie był terrorystą. Nie był związany ze schowkiem. Przed momentem na własne oczy widziała, jak ginie niewinny człowiek. Po raz pierwszy w historii na amerykańskiej ziemi eksplodowała obca radioaktywna broń. Pozwoliła na to Exley oraz wszyscy, którzy znajdowali się w tej sali. Ich błędom nie było końca. Żarty Shafera na temat podstawionego figuranta wydawały się teraz niewyobrażalnie okrutne.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu, potem następny i kolejny. W centrum łączności zrobiło się gwarnie jak w kasynie w sylwestrową noc, technicy przekrzykiwali się na przemian

z komandosami. Misja nie była jeszcze skończona. Oddział Delta oraz policjanci z Albany musieli ewakuować każdego, kto znajdował się w odległości do czterystu metrów od przechowalni bagażu, podczas gdy naukowcy z NEST będą badać poziom promieniowania wyzwolonego w rezultacie eksplozji. Ponadto należało jeszcze określić tożsamość człowieka w schowku oraz prześledzić jego działania wstecz i odnaleźć współwinnych. Exley nie żywiła jednak nadziei, że ten trop - o ile można to nazwać tropem - doprowadzi ich w końcu do niejakiego Omara Khadri.

Exley czuła, jak w miejsce wstydu pojawia się mordercza wściekłość. W ciągu wszystkich lat, kiedy pracowała dla Agencji, nigdy nie była taka wkurzona. Wiedziała, że personalizowanie tej wojny nie dopomoże w odniesieniu zwycięstwa. Ten Khadri bawił się z nimi w kotka i myszkę oraz zabijał Amerykanów dla sportu.

- Bez względu na cenę - powiedziała do siebie, dysząc z gniewu.

Shafer usłyszał ją.

- Tak - potwierdził.

W motelowym pokoju w Kingston Khadri szorował zęby, kiedy usłyszał w telewizji pierwszy serwis informacyjny

- Mówi Scott Yorke z Drugiego Kanału, waszej wiodącej stołecznej stacji informacyjnej. Wiadomość dnia. Komenda policji w Albany prowadzi ewakuację w zachodniej części miasta w następstwie wybuchu, jaki miał miejsce w przechowalni bagażu przy Central Avenue. Zgodnie z zaleceniem władz, wszyscy pozostali mieszkańcy Alabamy powinni pozostać w domach przez co najmniej dwie godziny. Jak dotąd policja nie ujawnia żadnych szczegółów na temat eksplozji, jednak obiecuje podanie bliższych informacji tak szybko jak będzie to możliwe...

Zatem Faruk powiedział Amerykanom o bombie, pomyślał Khadri. W przeciwnym razie nie ewakuowaliby miasta.

Obserwowali skrytkę i wiedzieli, co znajduje się w środku. Lub przynajmniej tak sądzili. Będą zdziwieni, kiedy wejdą do środka. Khadri uśmiechnął się krótko, gdy spojrział na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Środki ostrożności, które przedsięwziął, okazały się uzasadnione.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy pomyślał o zdradzie Faruka. Musiał przyjąć założenie, że Khan wyjawiał Amerykanom wszystko. Co najmniej jedna komórka w Pakistanie była więc zdekonspirowana. I prawdopodobnie wszyscy technicy jądrowi, których Faruk wcześniej zwerbował. Khadri skrupulatnie rozczłonkował planowane operacje. Dzięki temu mógł na czas odciąć się od zdekonspirowanej komórki, by zdołać uratować innych tajnych współpracowników w Pakistanie. Nie mógł jednak nie zgodzić się z faktem, że schwytanie Faruka stanowiło znaczący krok do tyłu.

Khadri poczuł ucisk w piersiach. Napomniął sam siebie, że nie było rzeczywistego powodu do zmartwień. Bomba z pewnością zabiła tego durnia DiFerri. Mimo to chciał jak najszybciej wydostać się z Albany

Pobiegł truchtem do sypialni i zaczął wrzucać rzeczy do walizki. Potem przestał. Wszystko pod kontrolą, pomyślał. Zawsze pod kontrolą. Wyłożył zawartość walizki na łóżko i przystąpił do ponownego pakowania, starannie składając swoje rzeczy

W ciągu godziny naukowcy z NEST, ubrani w kombinezony ochrony radiologicznej, znaleźli się we wnętrzu schowka D-2471, usiłując się nie zakrzusić, gdy chodzili wokół strzępów ciała Tonyego DiFerri rozrzuconych po całym pomieszczeniu.

To, co znaleźli, zaskoczyło ich. Lub mówiąc bardziej precyzyjnie: to, czego nie znaleźli. Zamiast radioaktywnego paleniska, którego się spodziewali, detektory wychwyciły jedynie niski poziom promieniowania alfa oraz w praktyce zerowe promieniowanie gamma. Nie było tu plutonu 239. Nie

było też wysoko wzbogaconego uranu. Ani cezu 137 czy kobaltu 57. W ich miejsce zespół z NEST wykrył ślady plutonu 238, izotopu, który był praktycznie nieszkodliwy, oraz kilka gramów nisko wzbogaconego uranu. Prawdopodobnie to one były źródłem śladowego promieniowania, jakie wykryto w trakcie pierwszych oględzin skrytki. W pobliżu nie wykryto też żadnych oznak skażenia biologicznego i chemicznego. Nie stwierdzono bakterii węgliką ani ospy. Żadnych śladów sarinu ani gazu paralityczno-drgawkowego VX. Brudna bomba okazała się czysta.

Nastrój w Langley stał się nieco mniej grobowy, kiedy ta wiadomość dotarła do Agencji. Po konsultacji z Białym Domem Duto i Kijiuri podjęli decyzję o odwołaniu ewakuacji i oskarżyli miejscową policję o nadgorliwość. Burmistrz Albany oraz komendant policji zgodzili się na rolę kozła ofiarnego w zamian za obietnicę dodatkowej pomocy federalnej w kwocie trzydziestu pięciu milionów dolarów. Eksplozję sklasyfikowano jako konwencjonalną, co zresztą było bliskie prawdy, choć nie do końca. Przechowalnia bagaży Capitol Area Self Storage pozostała własnością władz federalnych na bliżej nieokreśloną przyszłość. W ciągu dwudziestu czterech godzin media zapomną o bombie, a po tygodniu nawet w lokalnych gazetach będzie się jej poświęcać zaledwie parę linijek. W Ameryce bez przerwy ludzie wysadzali się w powietrze. Innymi słowy, nikt na całym świecie poza Tonym DiFerri nie dowie się, jak bardzo spieprzyli robotę Federalni do spółki z Agencją. To była ta dobra wiadomość.

- Zła wiadomość - nie krył prawdy Shafer - jest taka, że wróciliśmy do punktu wyjścia. Materiał jądrowy znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych, my zaś nie mamy pojęcia, gdzie.

Dochodziła już druga w nocy, kiedy wrócili do biura. Ostatnich kilka godzin upłynęło na nerwowych telekonferencjach, które objęły zasięgiem Biały Dom, Langley, Albany,

bazę lotniczą Nellis i nawet wyspę Diego Garcia. Rozmowy telefoniczne pełne były biurokratycznego bełkotu, który miał chronić tyłki rozmówców, ale w międzyczasie najważniejsze osoby znalazły kilka minut na przedyskutowanie tego, co wydarzyło się w Albany i co to może znaczyć. Rozważano trzy ewentualności, z których żadna nie była do końca satysfakcjonująca.

Według pierwszej hipotezy, Dmitrij, rosyjski fizyk, nabrał Faruka Khana i sprzedał mu nie ten izotop plutonu co trzeba, atomowe śmieci zamiast obiecane skarbu. Biały Dom postanowił trzymać się skwapliwie tej wersji. Przecież zgodnie z oficjalnym stanowiskiem prezydent postrzegał al-Kaidę jako strukturę osłabioną i zmuszoną do defensywy, niewartą zwracania na nią uwagi w porównaniu z zagrożeniem stwarzanym przez Iran oraz innych wichrzycieli. Fakt, że organizacja jakoby przesmuglowała brudną bombę na amerykańską ziemię, nie bardzo pasował do tej wizji, zatem Biały Dom szukał dowodów, które miały zdyskredytować teorię o bombie.

Być może optymiści z Pennsylvania 1600 mieli rację, pomyślała Exley. Jedyny problem w ich hipotezie wiązał się z faktem, że Faruk był wykształconym fizykiem, który wyjaśnił Saulowi, w jaki sposób sprawdził zakupione materiały radioaktywne.

U podstaw drugiej ewentualności leżało założenie, że Faruk po prostu okłamał Saula co do ilości radioaktywnego materiału, jaki zakupił od Dmitrija, w nadziei - co więźniom nieraz się przydarzało - na zwiększenie własnej rangi w stosunku do rzeczywistej roli. Teoria ta również znalazła uznanie w oczach Białego Domu. W każdym bądź razie dało się ją zweryfikować dość szybko. Faruk ponownie trafił do karceru. Exley nawet nie próbowała wyobrazić sobie, co Saul robił ludziom, którzy usiłowali go oszukać.

Była jeszcze trzecia opcja, która Białemu Domowi nie podobala się wcale. Zgodnie z tą hipotezą, Faruk nie okłamał

Saula w kwestii miejsca, gdzie bomba została ukryta. A przy najmniej nie zrobił tego świadomie. Hipoteza ta zakładała, że ktoś inny okłamał Faruka. Ktoś - nazwijmy go Omarem Khadrim - zadał sobie trud, żeby zbudować imitację brudnej bomby, być może nawet więcej niż jedną. Po cóż Khadri miałby to robić? Z dwóch powodów: po pierwsze, by ukryć lokalizację prawdziwej brudnej bomby oraz po drugie, jako pułapkę dla kontrwywiadu, dzięki czemu wiedział teraz, że Stany Zjednoczone zdekonspirowały jego tajnych współpracowników

Jeśli trzecia teoria była prawdziwa, Faruk nie powie im nic więcej, bez względu na to, co zrobi Saul. A to oznacza, że trop prowadzący do bomby urwał się. Najgorsze było to, że w rezultacie ujawnienia zaangażowania PGO po rozpoczęciu ewakuacji mieszkańców tuż po eksplozji, Khadri wiedział teraz, że przechowalnia bagaży znajdowała się pod obserwacją.

To z kolei oznaczało, że wiedział również o zdradzie Faruka oraz o tym, że rząd Stanów Zjednoczonych był powiadomiony o brudnej bombie umieszczonej przez al-Kaidę na amerykańskiej ziemi. Co mogło skłonić go do szybkiego jej zdetonowania.

Nie, trzecia hipoteza nikogo nie wprowadzała w komfortowy nastrój.

Oboje, Shafer i Exley, byli przekonani o prawdziwości trzeciej teorii.

11

Wells podniósł glocka i wymierzył w tarczę.

Gdy broń była gotowa do strzału, nacisnął spust. Glock przemawiał do Wellsa językiem znanym jedynie jemu, ostrymi, krótkimi szczęknięciami. Zamek odskoczył do tyłu, wyrzucając łuskę; broń szarpnęła się w jego dłoni, jakby była zła, że wystrzelił. Wells sparował odrzut i ponownie nacisnął spust. I znowu. I jeszcze raz. I znowu, tym razem mierząc niżej.

W końcu opuścił pistolet i popatrzył wzdłuż strzelnicy. Cztery dziury otaczały środek tarczy w odległości mniejszej niż dwa i pół centymetra od dziesiątki. Piąty otwór znajdował się o piętnaście centymetrów niżej i nieco w prawo. Nie-źle jak na strzały z dystansu piętnastu metrów

Od chwili, gdy otrzymał wiadomość od Khadriego, Wells ćwiczył strzelanie na obiekcie American Classic Marksman, niewielkiej strzelnicy znajdującej się w pasażu handlowym w Norcross, o kilka kilometrów od jego mieszkania. Zapomniał już, ile radości dawała mu broń trzymana w dłoni. Nie myślał wtedy o ludziach, których zabił; w zamian przypominał sobie myśliwskie wyprawy, na jakie udawał się każdej jesieni razem z ojcem, Herbertem.

Raz do roku wyruszali w góry Montany, polując na jelenie i losie. Wells nieomal poczuł w nozdrzach intensywny aromat czarnej kawy, którą zaparzali każdego ranka, słyszał skwierczenie bekonu smażącego się na patelni. Nie jadła bekonu od czasu, kiedy przeszedł na islam. Nawet teraz zatęsknił za tym smakiem. Razem z ojcem wędrowali wysoko w

góry, szukając odpowiedniego stanowiska, w którym mogliby w milczeniu czekać na idealny strzał. A strzał musiał być idealny, gdyż Herbert pozwalał Johnowi na oddanie strzału do tylko jednego byka w sezonie; jeśli chybił, wracał do domu z pustymi rękoma. Nie ma sensu robić z polowania czegoś łatwego, mawiał ojciec.

W trzecim sezonie Wells upolował wreszcie jelenia wirginijskiego. Wciąż pamiętał, jak szybko biło mu serce, kiedy zobaczył, że kula trafiła w cel. Jeleń cofnął się, potem przechylił się w prawo i upadł. Śmierć bez męczarni. Zanim Wells nacisnął spust, zastanowił się, czy zabicie byka sprawi mu przykrość. Lecz od tamtej pory nigdy już nie miał skrupułów, gdy strzelał. Nie potrafił udawać, że nienawidzi zabijania. Zwierzęta też zabijały i umierały; taki był naturalny porządek rzeczy

Wells odłożył glocka i sięgnął po makarowa, którego kupił przed dwoma tygodniami na wystawie broni w Chamblee. Był to taki sam pistolet, jaki zostawił w chacie tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał Khadriego. Gdy trzymał broń w dłoni, opadły go nieoczekiwanie wspomnienia z Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej: ciężki odór odkrytych ścieków w gorące, letnie dni; mała dziewczynka w czarnej burce trzymająca za rękę ojca, który prowadził ją na targ w Akora Khatak; nieopróżniona do końca butelka whisky Johnnie Walker Black, którą pewnego wieczoru znalazł obok meczetu i szok, jakiego doznał od ostrego aromatu wódki, kiedy odkręcił zakrętkę i wylał resztkę alkoholu.

Nie był prawie w stanie uwierzyć, że opuścił Pakistan niecałe sześć miesięcy temu. Zwykle nie poświęcał zbyt wielu myśli temu miejscu lub szejkowi Gulowi, Nadziemmu czy innym wojownikom świętej wojny, których tam znał. Wydawało się, że spotkał ich w innym życiu. Być może w taki sposób odszedł, znikając błyskawicznie. Albo łatwo zapomnieć o Prowincji Pogranicznej, gdyż życie tam było tak trudne.

Być może nie chciał widzieć tego, co by zobaczył, gdyby spojrzął za siebie.

Teraz patrzył przed siebie, szykując się na to, co nastąpi niebawem - cokolwiek by to było. Oprócz pistoletów, na wystawie kupił jeszcze karabin szturmowy: chińską, nielicencjonowaną wersję kałasznikowa AK-47. Karabin pozostał jednak w mieszkaniu, ponieważ przerobił go, przestawiając ogień z przerywanego na seryjny, co był nielegalne.

Do walki z bliskiej odległości kupił też starą śrutówkę kalibru 12 mm, dość już zużytą, ale doskonałą od strony mechaniki. Przyciął obie lufy na tyle, że strzelba była teraz zaledwie o kilka centymetrów dłuższa od glocka. Śrutówkę również musiał zostawić w mieszkaniu. Skracanie lufy strzelby myśliwskiej także było nielegalne. I to z uzasadnionych powodów. W odległości powyżej trzech metrów broń ta stawała się bezużyteczna, ale z bliska była równie śmiertelna co granat wystrzelony z granatnika. Przy odrobinie szczęścia, za jednym pociągnięciem spustu można było trafić dwóch lub nawet trzech ludzi.

Zdobycie tłumików okazało się bardziej skomplikowane. Handlarze na wystawie w Chamblee nie chcieli rozmawiać na ten temat, Wells natomiast nie zamierzał zbyt mocno naciskać, by nie skończyć na zakupie z rąk agenta ATE. Jednak z pomocą podręcznika, który zakupił na wystawie, wykonał jeden tłumik domowym sposobem. Nie miał złudzeń co do trwałości tego wyrobu ani jego kiepskiej precyzji. Ale tłumik potrafił wyciszyć nieco strzały z makarowa.

W każdym bądź razie, Wells nie planował użycia tłumika, chyba że nie będzie miał wyboru. Gdyby zachowanie ciszego było konieczne, wolał posłużyć się nożem. Zakupił także kilka noży, razem z pochwami, granaty dymne oraz pieprz w aerozolu - wszystkie produkty zalegalizowane w Georgii. W sklepie w Macon, który reklamował się jako „wyspecjalizowany w artykułach ochrony domu”, nabył cztery sztuki wal-kie-talkie, model, który przypinało się do ramienia, co

pozwalalo mieć wolne ręce. Ponadto dwa rodzaje kamizelek kuloodpornych oraz maskę przeciwgazową, na wypadek, gdyby został zmuszony do podjęcia walki w obronie własnej. Wypad do składu zaopatrującego armię i marynarkę zakończył się kupnem maskującego munduru w kolorze khaki oraz czarnej kominiarki, czarnych spodni, czarnego kaptura i czarnych skórzanych rękawiczek, przeznaczonych do realizacji misji nocnych.

W sklepie zaopatrzenia medycznego obok szpitala Atlanta General skompletował apteczkę pierwszej pomocy: bandaże, betadyne, środek wzmagający krzepliwość krwi, sterylne opatrunki z gazy, skalpele, łubki, roztwór sterylny, nożyczki chirurgiczne, strzykawki. W internetowej aptece z Kostaryki zamówił leki Cipro, Demerol i Vicodin. Dawny trening w jednostce Delta obejmował także zaawansowaną pomoc medyczną na polu walki. W trakcie walk w Czeczenii Wells nastawiał kości i opatrywał rany od odłamków. Kupił też kilka książek na temat pierwszej pomocy, chcąc odświeżyć pamięć.

W porządku, czynił przygotowania. Pragnął jednak wiedzieć, na co się szykował.

Wells spojrzął na pistolet trzymany w dłoni, czując chropawą powierzchnię rękojeści. Makarow był mniejszy i lżejszy od glocka; czasami nawet niemal niknął w jego dłoni. Mimo to Wells lubił mieć broń krótką, którą dało się wsunąć za pasek od spodni. Wyciągnął zamek makarowa, załadował nabój do komory i wycelował w tarczę, wyobrażając sobie twarz Khadriego w jej środku.

Pierwszą kulę zniósł w prawo o jakieś siedem centymetrów. Makarow po prostu nie był równie precyzyjny co glock. Wells znów westchnął. Tym razem strzelił w linię, ale za wysoko. Zrobił wydech i stanął całkowicie nieruchomo, oczyma wyobraźni widząc tor pocisku, widząc, jak kula wbija się w policzek Khadriego, tuż pod okiem, jak z rany tryska krew, jak Khadri pada szybko na ziemię ściągany siłą grawitacji. Nacisnął spust. Dziesiątka.

Ćwiczył strzelanie jeszcze przez pół godziny, potem rozładował pistolety i włożył je do futerałów. Gdy wychodził, kupił oliwkę oraz irchę. Nie sądził, żeby broń potrzebowała czyszczenia, ale chciał na wszelki wypadek mieć je pod ręką, dla pewności.

- Udało się dzisiaj strzelanie? - zapytał go właściciel, wysoki brodaty gość nazwiskiem Randall.

- Powoli wracam do wprawy.

Randall uśmiechnął się.

- Dla mnie wygląda pan na profesjonalistę.

Po powrocie do mieszkania Wells rozłożył pistolety na części i dokładnie je wytarł. Potem naostrzył noże, aż ich ostrza mogły niemal przeciąć włos. W końcu zrobił sobie przerwę. Khadri - lub jego ludzie - mieli przybyć jutro na lotnisko Hartsfield. Wells nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przed zadaniem był tak bardzo zaniepokojony. Nie troszczył się o to, czy zginie, ale nie mógł zawieść. Nie może zawieść. Zawiódł, kiedy nie zdołał powstrzymać 11 września; zawiódł też w sprawie zamachów bombowych w Los Angeles. Tym razem nie zawiedzie.

Przez miesiąc nie wychodził z mieszkania - od tamtej fatalnej nocnej przygody z Nicole, barmanką z restauracji Rusty Nail. Przestał nawet najmować się do dorywczej pracy, szykując się do starcia z Khadrim. Pieniądze nie stanowiły problemu: nawet po zakupie broni i sprzętu wciąż dysponował sumą kilku tysięcy dolarów, jaka została mu z ukrytego zapasu. O ile wiedział, Nicole nigdy nie zadzwoniła na policję; przejechał parę razy obok parkingu przy Kermeksie, chcąc sprawdzić, czy ktoś go nie szukał, ale okazało się, że nie. Czasami zastanawiał się, czy Nicole zeszła się ponownie z byłym narzeczonym. Jeśli tak, Wells przypisywał sobie tę zasługę.

Znów modlił się pięć razy dziennie, czytając wersety Koranu z gorliwością dorównującą czasom spędzonym na terenie

Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Jednak w rzeczywistości jego wiara była słaba. Nie mógł jednak pozwolić sobie na to, żeby Khadri dostrzegł pęknięcia w jego determinacji. Chciał mieć pewność, że powróci do modlitewnego rytmu islamu, zanim przybędą tu wojownicy świętej wojny przysłani przez Khadriego.

Próbował też rozpracować kilka możliwych scenariuszy. Co powinien zrobić, jeśli Khadri przywiezie próbkę z wirusami ospy? Albo jeśli oznajmi, że al-Kaida dysponuje bronią jądrową, lecz nie wyjawia miejsca jej ukrycia? A jeśli przybędzie tu wraz z tuzinem bojowników? Czy Wells powinien zabić go na miejscu? Czy też powinien kontynuować grę, jak do tej pory? Czy raczej przekazać go w ręce Agencji? Wells żałował, że nie może omówić tych kwestii z Exley. Wiedział jednak, że telefon do niej może ściągnąć na nią poważne tarapaty. Zwróciłby się do Jenny, gdyby dysponował większą ilością informacji. Musiał być w gotowości, ponieważ spektakl miał się rozpocząć lada chwila. Odniósł wrażenie, że w stylu Khadriego było długie oczekiwanie, po którym następowały szybkie ruchy. Dopiero w ostatniej chwili nawiązywał kontakt z Wellsem, jeśli miał mu przekazać jakąś wiadomość. Kiedy spotkali się w Peszawarze, Khadri nawet nie napomknął o planach zamachów w Los Angeles. Jednak w którymś momencie będzie musiał wyjawić mu swoje zamiary, a wtedy Wells zyska szansę powstrzymania go.

Wells nie spodziewał się, że zaśnie tej nocy. A jednak zasnął, choć był to sen pozbawiony obrazów. Kiedy zadzwonił budzik, Wells zbudził się natychmiast, podobnie jak miało to miejsce w owe rześkie jesienne poranki w Montanie, kiedy polował u boku ojca. Zaparzył sobie dzbanek kawy i skłonił głowę przed Allahem. Następnie przypiął do nogi pochwę ze sztyletem i ruszył w stronę Hartsfield, ogromnego portu lotniczego usytuowanego na południowo-zachodnim krańcu Atlanty.

Poranny ruch na trasie 285 był nawet bardziej intensywny niż Wells się spodziewał, ale wyjechał z dużym zapasem czasu. Włączył radio w pikapie. Ostatnio lubił słuchać stacji WATK, skrajnie prawicowej rozgłośni nadającej na falach ultrakrótkich, której poranny gospodarz, Bob Lavelle, był zagorzałym zwolennikiem spiskowej teorii dziejów. W ciągu minionego tygodnia Lavelle nie zajmował się niczym innym oprócz eksplozji w Albany, o której wszyscy inni zdolali już zapomnieć.

- Dlaczego więc ewakuowali miasto? - pytał retorycznie Lavelle. - Mówię wam, kryje się za tym wiele spraw, o których nie wiemy

Prezenter podniósł głos.

- Posłuchajcie mnie przez minutę. Przerwijcie to, co robicie. Odłóżcie na bok liberalną gazetę. Przez chwilę pomyślcie samodzielnie. Nie organizuje się ewakuacji miasta z powodu tego, że jakiś drobny nieudacznik rozerwał się na strzępy w przechowalni bagażu. To jest pozbawione sensu...

Wells ściszył radio. Lavelle mylił się w wielu kwestiach - Wells, dajmy na to, wierzył w lądowanie człowieka na Księżycu - ale miał rację w odniesieniu do Albany. To, co się tam wydarzyło, nie trzymało się kupy Wells domyślił się, że Agencja lub FBI obserwowały schowek, szukając śladów broni biologicznej czy chemicznej. Jednak nie był w stanie zrozumieć, dlaczego komukolwiek pozwolono wejść do wnętrza. Khadri prawdopodobnie ułożył sobie brakujące elementy, lecz on nie miał zamiaru o to pytać.

Lavelle wciąż pokrzykiwał, gdy Wells zmienił częstotliwość. Nie było powodu, by miał tłumaczyć się przed Khadrim, dlaczego słuchał stacji WATK, której prowadzący darzył muzułmanów jeszcze większą nienawiścią niż funkcjonariuszy FBI.

W Hartfield Wells zostawił nóż w samochodzie; miałby kłopoty, gdyby musiał przejść przez stanowisko kontroli

bezpieczeństwa. Nie był na terenie dworca lotniczego od wiosny; nie podobało mu się też, że jest tutaj. Kręciło się tu zapewne więcej glin i agentów federalnych niż gdziekolwiek indziej w Georgii. Jego dawni przyjaciele z Langley z łatwością mogą ogłosić alarm o podwyższonej czujności w Zarządzie Transportu Publicznego.

Na wypadek, gdyby tak rzeczywiście było, dołożył najlepszych starań, by zmienić wygląd. Nie przesadzał jednak z wyszukaniem przebraniem, gdyż zazwyczaj to raczej przyciągało uwagę, zamiast ją odwracać. Ale od wiosny zapuścił długie włosy, a dzisiaj dodatkowo założył czapkę Red Soksów oraz okulary o jasnych szklach w drucianych oprawkach. O ile nie zrobi niczego durnego, nie powinien mieć kłopotów. Urzędnicy ZTP byli przytłoczeni staraniami o utrzymanie rozkładu lotów i tym głównie się martwili. Chcąc zmniejszyć ryzyko, Wells powiadomił Khadriego, że będzie czekał w hali głównej, nie zaś na terenie terminala, gdyż wtedy musiałby przejść przez stanowisko kontroli bezpieczeństwa. Po kilku minutach spędzonych na przemierzaniu hali, usiadł na ławce z magazynem „Journal-Constitution” w rękę i usiłował przeczytać relację dotyczącą ostatniego zwycięstwa drużyny Braves - szóstego z rzędu - ale nie był w stanie się skupić.

W końcu zrezygnował i pozwolił myślom swobodnie błądzić. Pomknęły ku Exley. O tej porze była zapewne w swoim biurze. Nigdy nie widział miejsca, w którym pracowała, ale mógł je sobie wyobrazić. Z pewnością dokładała starań, by utrzymać w nim porządek, ale mimo to zawsze panował tam nieład, wszędzie walały się nieujawnione raporty, mapy oraz kopie zeznań. W sejfie znajdowały się kopie tajnej dokumentacji - oryginałów nigdy nie otrzymywała. Zapewne trzymała na biurku fotografie dzieci i być może kilka ich rysunków zrobionych specjalnie dla niej. Miał taką nadzieję.

Nie wyszła drugi raz za mąż. Jeśli miała przyjaciela, kochanka, nosiłaby przy sobie jego zdjęcie. Ale Wells był pewien, że robiłaby to w sposób dyskretny. Nie była typem,

który prznosił życie prywatne do biura. Czy przносиła biuro do domu? Niemal wszyscy faceci w Agencji byli żonaci. Nie potrafił wyobrazić sobie Exley, zaplątanej w żałosny biurowy romans, taki, o którym sekretarki wiedzą, zanim się rozpocznie, a szefowie dowiadują się po tygodniu. Takie romanse w nieunikniony sposób kończą się powrotem męża do żony i dzieci. Exley była na to zbyt mądra. Musiała być. Lecz Wells wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że samotność w dużej dawce może zmienić psychikę ludzi w takim stopniu, że w końcu nie potrafią rozpoznać nawet samych siebie.

Czy więc miała kochanka? Przyjaciela? Po tym, co opowiedziała mu wtedy w dżipie, nie potrafił wyobrazić sobie, że byłaby w stanie stworzyć poważny związek z innym mężczyzną. Nikt z nią nie mieszkał, tak czy owak. Kiedy zadzwonił do niej tamtego ranka przed miesiącem, odebrała ona. I nie wyczuł zaskoczenia w jej głosie. Jak gdyby oczekiwała na jego telefon. Jak gdyby myślała o nim tak samo jak on myślał o niej. Zamknął oczy i wyobraził ją sobie śpiącą nago pod cienkim bawełnianym prześcieradłem, w pokoju z oknami otwartymi na wilgotny waszyngtoński wieczór i wiatrakiem pod sufitem pracującym na powolnych obrotach. Wizja sprawiła, że zadrżał i przez moment wydawało mu się, że może jej dotknąć.

Wells otworzył oczy i spojrział na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Za pięć minut Khadri miał lądować w samolocie linii Delta z Detroit, rejs 561.

Samolot przyleciał na czas. Ale nie wysiadł z niego Khadri.

Mężczyzna, który zszedł ze schodów, był młody, wyglądał na trzydzieści parę lat. Wysoki i gładko ogolony, miał na sobie czarne spodnie i luźną bluzę polo. Nie potrafił zmienić oliwkowej cery ani czarnych szorstkich włosów, ale pod innymi względami znakomicie wtapiał się w tłum biznesmenów podróżujących w południe. Łącznie z laptopem.

Profesjonalista. Rozejrzał się dookoła, dostrzegł T-shirt z napisem „Atlanta Jazz Festival”, który Wells miał na sobie jako znak rozpoznawczy, i ruszył przed siebie.

- Ty musisz być Jack - odezwał się czystą, miękką angielszczyzną ze śladem saudyjskiego akcentu. - Jestem Thomas.

Imię się zgadzało. Być może Khadriego tu nie było, ale był jego człowiek

- Miło cię widzieć - odparł Wells. - Jaka pogoda w Detroit?

Proste pytanie służące potwierdzeniu tego, co już wiedział.

- Wczoraj wieczorem było pochmurno, ale dziś rano wyszło słońce.

Wells wyciągnął rękę i wymienili uścisk dłoni.

Siedzieli w milczeniu do chwili, gdy Wells wjechał na trasę 285, kierując się na wschód, ku swemu mieszkaniu. Mężczyzna, który nazywał siebie Thomasem, pochylił się do przodu i spojrział w prawe wsteczne lusterko, sprawdzając, czy nie wloką za sobą jakiegoś ogona.

- Czy możesz pojechać szybciej lewym pasem? - zapytał.

Wells zrobił to, o co go poproszono.

Po kilku minutach Thomas powiedział mu, żeby zjechał na prawy pas i zwolnił. Po chwili kazał mu znów przyspieszyć. Wells wykonywał każdą jego instrukcję.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał Thomas, gdy dotarli do skrzyżowanie trasy 285 z międzystanową 1-20.

- W Doraville. Północno-wschodnia część Atlanty. Około dwudziestu kilometrów. Powinniśmy tam dojechać za jakieś dwadzieścia minut.

- Gdzie dokładnie?

- Adres?

- Tak.

Wells podał Thomasowi adres.

- Nie jedziemy do twojego mieszkania. Zawróć tu i pojedź trasą międzystanową 1-20 na zachód.

- W stronę centrum.

- Tak.

Thomas nie odzywał się więcej. A Wells wiedział, że wciąż jeszcze musi czekać.

Wells zjechał na parking przy wyeksploatowanym lokalu Dennys w południowo-zachodniej Atlancie. Jeździł od kilku godzin, robiąc pętle bez końca, autostradami, które przecinały miasto. Teraz praktycznie wrócili do miejsca, w którego rozpoczęli jazdę, o kilka kilometrów od terenu lotniska Hartsfield. Samoloty latały nisko nad ich głowami, podchodząc do lądowania. Wells usiłował zapanować nad narastającym zniecierpliwieniem, mówiąc sobie, że kilka dodatkowych godzin nie ma znaczenia.

Wells zaparkował, a Thomas zaprowadził go na koniec parkingu, gdzie obok zielonego chevroleta luminy stał jakiś mężczyzna. Był niższy od Thomasa i ubrany na sportowo, w dżinsy oraz bluzę z emblematem drużyny Falcons.

- To jest Sami - przedstawił Thomas.

Objął Samiego mocno i wyszeptał mu coś do ucha.

- Cześć, Sami.

Wells wyciągnął dłoń. Sami pozwolił, by zawisła w powietrzu, aż w końcu Wells ją cofnął.

- Daj mu swoje klucze - zażądał Thomas bez śladu uśmiechu.

Wells bez słowa rzucił klucze w stronę Samiego, który złapał je zręcznie i ruszył w kierunku pikapa Wellsa. Thomas wszedł do luminy i nakazał gestem Wellsowi, żeby uczynił to samo.

Wells nie tracił zimnej krwi, gdy patrzył, jak jego ford wyjeżdża z parkingu. Ci mężczyźni zawracali sobie głowę nie bez powodu. Khadri postanowił poddać go ostatniej próbie,

zanim ostatecznie opuści zwodzony most i pozwoli mu wjechać na zamek. A przynajmniej Wells miał taką nadzieję.

I znów jeździli bez końca i bez celu. Na małym cyfrowym zegarze samochodu minęła już piąta, mrok zaczął gęstnieć. Ale Thomas nie wykazywał najmniejszych oznak zniecierpliwienia. Wells domyślił się, że tamten dawał Samiemu czas na przeszukanie jego mieszkania. Dobrze. Pozwoli im grać w tę grę. Bez względu na to, jak skrupulatnie by nie szukali, i tak nie dadzą rady go zdemaskować.

W końcu zadzwonił telefon komórkowy Thomasa. Saudyjszy odebrał połączenie.

- *Nam.*

Wyłączył telefon i wsunął aparat do kieszeni.

- Jest czyste - powiedział Wells.

- Co?

- Moje mieszkanie. Poza bronią. Ale ona jest przeznaczona dla nas.

Thomas uśmiechnął się po raz pierwszy

- To samo powiedział Sami.

Minęli Turner Field, potem złocistą kopułę gmachu parlamentu stanu Georgia, aż w końcu Thomas skręcił w prawo w ulicę Czternastą, pośrodku dzielnicy zwanej Midtown, beładnej mieszaniny wysokich biurowców oraz kilkupiętrowych budynków mieszkalnych. Thomas znalazł garaż i wjechał na rampę, kiwając głową, gdy mijali kolejne, coraz bardziej puste piętra. W końcu zaparkował na najwyższym poziomie, pośrodku morza opustoszałego asfaltu.

- Wysiadaj.

- Thomas - powiedział Wells. - Czy jesteśmy przyjaciółmi?

Mówił teraz po arabsku, ciesząc się w duchu lekkością wypowiedzianych słów. Oprócz modlitw, nie miał okazji używać tego języka od czasu wyjazdu z Pakistanu.

- Tak sądzę - odparł Thomas, również po arabsku. - Póki co, upewniamy się.

- W takim razie podasz mi swoje prawdziwe imię?

- Kais.

- Kais, nie myślisz chyba, że nie wiem, iż pod siedzeniem jest ukryty pistolet? Nie sądzisz także, że mógłbym go wziąć, gdybym zechciał? - Wells uśmiechnął się samymi kącikami ust.

Ja również jestem zawodowcem - tego już nie dopowiedział. Okaż mi odrobinę szacunku. Kais nie okazał zdziwienia.

- Możesz spróbować.

Wellsowi podobał się ten styl. Później żaden z nich już się nie odezwał. Wells wysiadł, a Kais, jak należało się spodziewać, zamknął drzwi i wyciągnął spod siedzenia kierowcy mały pistolet kalibru 5 mm. Wsunął broń pod koszulę i wysiadł.

- Połóż ręce na masce i stań w rozkroku - wydał polecenie, ponownie przechodząc na angielski.

Przeszukał Wellsa sprawnymi ruchami.

- Dobra.

- Byłeś kiedyś policjantem?

- Coś w tym rodzaju. Ruszajmy Ktoś na nas czeka. Ucieszysz się, gdy go zobaczysz.

Słońce zachodziło już za wierzchołki wieżowców, zmierzając ku zachodowi, kiedy opuszczali garaż. Kais poruszał się teraz lekko, zadowolony, że nie ciągnęli za sobą żadnego ogona. W ciągu kilku minut dotarli do Piedmont Park, terenu o powierzchni stu akrów, porośniętego trawą i drzewami, położonego wokół sztucznego jeziora. Przy skraju parku, na pagórkowatym trawniku studenci collegeu rozebrani do pasa grali we frisbee w zapadającym mroku. Biegacze w sportowych strojach sunęli ścieżką prowadzącą u podnóża wznieślenia. Za nimi na ławce siedział samotny mężczyzna, który

z całkowitym spokojem pogрузił się w lekturze „New York Timesa”.

Khadri.

Wstał, gdy Wells z Kaisem szli w jego stronę, i włożył gazetę pod pachę. Był oddalony o sto metrów, pięćdziesiąt, dwadzieścia pięć, dziesięć. Potem znalazł się już w zasięgu dotyku. Zabij go teraz, powiedział do siebie Wells. Przewróć go i złam mu kark. Albo zabierz Kaisowi pistolet i zastrzel obu.

Zamiast tego jednak uśmiechną się i wyciągną dłoń, jak uczynił to Khadri, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wells przypuszczał, że zdołalby zlikwidować Kaisa, ale nie był pewien, czy poradzi sobie z nimi dwoma naraz. Khadri również mógł mieć broń. Znów przypomniał sobie łowy z czasów, kiedy był chłopcem. Być może będzie mógł oddać tylko jeden strzał do Khadriego. Musiał więc mieć pewność.

Ku zdumieniu Wellsa Khadri zignorował jego wyciągniętą dłoń i objął go mocno, jednocześnie przesuwając dłońmi po jego plecach w szybkim geście przeszukania.

Puścił Wellsa i zrobił krok do tyłu.

- Dżalal - nikt nie nazywał go tym imieniem od czasu Peszawaru. - *Salom alajkum.*

- *Alajkum salom.*

- Wyglądasz inaczej.

- Ach... zapuściłem włosy Wiesz, żeby wtopić się w tłum.

Khadri spojrzal na koszulkę Wellsa.

- Byłeś na festiwalu jazzowym?

Jego perfekcyjny angielski drażnił uszy Wellsa.

- Przez kilka godzin. Odbywał się w tym parku, po drugiej stronie - wyjaśnił, wskazując na zachód.

- Lubisz jazz?

Wells wzruszył ramionami.

- No jasne. Można się przy tym zabawić. Przynajmniej było co robić.

- Gdy czekałeś?

- Gdy czekałem.

- A Kais? Nie było problemów na lotnisku?

Kais tylko wzruszył ramionami. Cofnął się o parę kroków, ale jego dłoń wciąż znajdowała się przy biodrze, jak gdyby przypadkowo o kilka centymetrów od pistoletu.

- Przejdziemy się, Dżalal? Taki przyjemny wieczór.

Ruszyli powoli ścieżką dla biegaczy Kais trzymał się o kilka kroków za nimi, poza zasięgiem ich głosów

- To piękne miejsce - zauważył Khadri. - Czytałem, że park został zaprojektowany przez syna człowieka, który zbudował Central Park w Nowym Jorku. Ale Central Park jest o wiele większy

Wells żałował, że nie wie, czy Khadri wystawia go na kolejną próbę, czy też po prostu myśli na głos.

- Przejeżdżałeś przez Nowy Jork po drodze tutaj, Dżalal.

- Tak.

- Co sobie pomyślałeś?

- O Nowym Jorku? Pomyślałem sobie, że to wielki cel - odparł Wells zgodnie z prawdą.

Czuł niepohamowaną ochotę chwycenia Khadriego za kark i duszenia go do chwili, kiedy twarz tego człowieka zrobi się szara, a oczy wywrócić do góry białkami.

- Nie sądzisz, że byłoby to ekscytujące? Times Square?

- Z pewnością. Byłoby to ekscytujące.

- Ale to nie jest miejsce, które lubisz.

- Wychowałem się w Montanie, Omar. Miałem góry tylko dla siebie.

- Co sądzisz o tym miejscu?

- Tu jest pięknie, jak powiedziałeś.

Khadri po prostu rozmawia, zdał sobie sprawę Wells. Dyskutuje o Ameryce. Również on potrzebuje czasem chwili wytchnienia.

- To dziwne, że niektóre miejsca są takie... piękne.... a inne tak brzydkie, nie sądzisz, Dżalal? Twój pobratymcy żyją tu tak bez troski.

- Zbyt beztrosko - przyznał Wells. - Powinni zauważyć biedę tego świata. Nadmierna ignorancja jest złem. Poza tym nie są moimi pobratymcami.

- Zawsze mówisz właściwe rzeczy, Dżalal. Po prostu właściwie. Zawsze mówisz jak jeden z nas.

To był ten moment, Wells to wiedział. Jeśli mógł przekonać Khadriego, to teraz albo nigdy

- Ponieważ jestem jednym z was. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Zrobię wszystko, co mi każesz.

Khadri zatrzymał się i odwrócił do Wellsa.

- Chcę ci zaufać, Dżalal. W przeciwnym razie w ogóle bym tu nie przyjechał. Wierzysz mi?

- Tak.

- Możesz być dla nas niewiarygodnie pożyteczny. Mamy przed sobą wielkie cele. A ja dysponuję tylko garstką odpowiednich ludzi... - wyznał Khadri.

Borykał się z problemami, których nie chciał wyjawiać, pomyślał Wells.

- W każdym bądź razie jesteś jedyny w swoim rodzaju. Pasujesz tutaj... - Khadri wskazał na miasto wokół nich - w taki sposób, w jaki ja ani Kais nigdy nie będziemy pasowali. To wielki dar.

- Tak.

- Nigdy nie dałeś nam powodu, byśmy w ciebie zwątpili. W Czechenii, w Afganistanie i w Pakistanie.

- Zawsze starałem się robić to, co konieczne.

- A mimo to wciąż ciebie nie rozumiem, Dżalal. Rozmawiałem o tobie z samym szejkiem. Po tym, jak wysłaliśmy ciebie tutaj, pytałem ludzi z Prowincji Przygranicznej, którzy cię znali. Przez wszystkie te lata studiowałeś Koran, modliłeś się i walczyłeś u naszego boku. Nigdy nie okazałeś niecierpliwości...

- Byłem niecierpliwy - przerwał mu Wells.

- Jeżeli nawet byłeś, nikt tego nie zauważył. Nigdy nie narzekałeś. Nigdy nie paliłeś, nie sięgnąłeś po alkohol ani nie

dotknąłeś kobiety. Byłeś idealnym żołnierzem. Widzę w tobie dyscyplinę i to mnie niepokoi. Zastanawiam się, jak mogę się upewnić, czy walczysz po naszej, czy po ich stronie.

Wells chwycił Khadriego za ramię i przyciągnął do siebie niższego mężczyznę. Kais ruszył w ich stronę, ale Khadri dał mu znak, żeby się zatrzymał.

- Omar, nie jestem idealnym żołnierzem. Ludzie, którzy zginęli w Los Angeles, którzy poświęcają siebie w Iraku każdego dnia. Męczennicy. Oni są. Nie robię niczego poza czekaniem. Pragnę jedynie zyskać szansę, by móc służyć. Jeśli będę musiał czekać, będę czekał wiecznie...

Wells przerwał. Doszedł do właściwego punktu. Nie musiał posuwać się dalej. Puścił Khadriego, ale Pakistańczyk nie ruszył się z miejsca. Nachylił się ku Wellsowi, spoglądając mu głęboko w oczy. W końcu skinął głową.

- Chcesz zyskać szansę, by służyć? W takim razie będziesz ją miał.

Wells pochylił głowę. Most zwodzony został opuszczony. Znalazł się w zamku. Wszystkie te lata, całe to oczekiwanie w końcu się opłaciło. Czy tak czuł się ktoś, kto powstał z martwych?

- Dziękuję ci, Omar.

Khadri uderzył się w pierś.

- Muszę iść. Kais wyjaśni ci szczegóły misji. Mówi w moim imieniu.

- Dziękuję ci - powtórzył Wells. - *Allahu akbar*. Bóg jest wielki.

- *Allahu akbar*.

Khadri odszedł w stronę wzgórza. Przeszedł przez park i zniknął.

- Wygląda tak, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierza - powiedział cicho Wells do Kaisa.

- On zawsze wie.

W garażu Sami czekał w pikapie Wellsa.

- *Salam alajkum* - pozdrowił ich.
- *Alajkum salam.*
- *Zatem jesteś z nami.*
- *Inszallah.*

Sami uśmiechnął się i rzucił Wellsowi jego klucze.

Wells prowadził rangera, Kais usiadł na miejscu obok kierowcy. Sami jechał za nimi lumina.

- Gdzie jest wasz hotel?
- Nie mamy hotelu. Zostajemy w twoim mieszkaniu.
- Sąsiedzi będą się dziwić.
- Nie zostaniemy długo.

Wells czekał na coś więcej, ale Kais nie podał żadnych wyjaśnień.

- Kto cię szkolił, Kais?
- Saudyjski Mukhabarat. Potem spędziłem sześć miesięcy w Quantico na szkoleniu waszego FBI.

- Nic dziwnego.

- Dzięki.

- Tak więc... - Wells powiedział po arabsku. - Ty i Sami nie przyjechaliście do Atlanty jedynie po to, żeby spotkać się ze mną, prawda?

Kais roześmiał się.

- Nie. I również nie po to, by marnować benzynę.

- W takim razie moglibyście wprowadzić mnie w szczegóły misji? Czy może mam zgadywać?

- Nie zgadniesz - Kais był teraz dużo bardziej zrelaksowany, kiedy Khadri potwierdził, że Wells jest w porządku.

- OKCh? Ośrodek Kontroli Chorób?

- Nie.

- Gmach telewizji CNN? Budynek Coca Coli?

- Nie. Zresztą Omar lubi coca colę. Nic innego nie pije.

- Ja również - odparł Wells. - Parlament Georgii? Turner Field?

- Nawet nie wiem, co to są za miejsca - odparł Kais. - Jesteśmy tylko ty, ja oraz Sami. To nie jest misja męzczeńska. Omar potrzebuje nas żywych.

- W takim razie... to musi być coś prostego. Na przykład zabójstwo.

- Bardzo dobrze. Kogo?

Wells nie miał zielonego pojęcia. Burmistrz Atlanty? Naukowiec z OKCh? Jeden z senatorów Georgii? Żaden z nich. A jeśli chodziło o kogoś naprawdę ważnego, musiał być otoczony armią ochroniarzy

- Masz rację, Kais. Nie potrafię zgadnąć.

- Słyszałeś o gościu nazwiskiem Howard West? Generale?

Howard West prowadził tajne operacje wojskowe i akcje oddziałów antyterrorystycznych w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku.

Wells nawet raz go spotkał, podczas mszy żałobnej za zmarłego oficera Delty. West powiedział kilka słów, potem zniknął w helikopterze, by dalej robić to, co czynili generałowie z trzema gwiazdkami.

Kilka miesięcy później odszedł na emeryturę. Wells nie był w stanie przypomnieć sobie dokładnie, kiedy to było. Teraz pracował jako „konsultant”. Oznaczało to, że inkasował sześciocyfrowe czeki od firm handlujących sprzętem szpiegowskim. W zamian kontaktował przedstawicieli tych firm ze starymi przyjaciółmi z Pentagonu. Przynajmniej starał się wtopić w tłum. Wells nie zdawał sobie nawet sprawy, że West mieszka w Atlancie.

Zamach na niego byłby dla al-Kaidy znakomitym sposobem wyrównania rachunków ze Stanami Zjednoczonymi. Polujecie na naszych przywódców? My na waszych także. Od czasu, kiedy odszedł na emeryturę, West z pewnością był znacznie słabiej chroniony niż jako generał w służbie czynnej. Ale zabicie go nie było wielką misją, jaką planował Khadri, pomyślał Wells. „Omar potrzebuje nas żywych” - powiedział

wcześniej Kais. Zatem zamach miał tylko odciągnąć uwagę. Most zwodzony opuszczony był tylko do połowy Khadri oferował Wellsowi targ: zabijesz Westa albo zginiesz w trakcie zamachu, to ci zaufam. Zabijesz Westa i zostaniesz dopuszczony. Jeżeli nie, nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Wells poczuł nagły ból w plecach. Czuł się jak marionetka, której sznurki pociągnięto zbyt mocno. Khadri kolejny raz go przechytrzył. Ale on być może znalazł rozwiązanie.

- Możemy dostać się do Westa - powiedział Wells do Kaisa. - Musimy jednak ułożyć jakiś plan. Kiedy Omar chce, żeby to zrobić?

- Dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem.

Kiedy Wells mówił te słowa, poczuł, jak zamyka się pułapka.

12

Wells otworzył drzwi do mieszkania i zobaczył, że Sami rozłożył cały jego arsenał na kuchennym stole; broń palna i noże stanowiły zaproszenie wymagające odpowiedzi. Pominąwszy to, miejsce nie wyglądało, jakby zrobiono tu kipisz, co zresztą nie zdziwiło Wellsa. Podobnie jak Kais, Sami był profesjonalistą, byłym funkcjonariuszem jordańskiej policji.

- Czy odmówimy *maghrib*?- zapytał Wells, używając arabskiego słowa określającego wieczorne modły

- A twoi sąsiedzi? - zapytał Kais.

Przez ścianę słyszeli telewizor grający w sąsiednim mieszkaniu, żarty oraz towarzyszące im monotonne wybuchy śmiechu.

- Wendell ma prawie osiemdziesiąt lat - wyjaśnił Wells. - I jest niemal głuchy. Wystarczy więc, że będziemy cicho.

Rozłożył dywanik i trzej mężczyźni odmawiali razem wieczorną modlitwę. Potem zjedli kolację. W drodze do domu Wells zatrzymał się przy 7-Eleven i kupił gotowe kanapki oraz litrowe kubki z kawą. Bardzo chciało mu się jeść i wychodził z założenia, że również Kais i Sami byli głodni jak wilki. Ale nie czuł żadnej przyjemności, gdy przeżuwał nieświeżą kanapkę z pieczoną wołowiną. Liczyła się tylko świadomość, że czas nie przestawał uciekać. Przełknął ostatni kęs i spojrzał na zegarek. Dziewięta wieczór. Miał do dyspozycji cztery, co najwyżej sześć godzin. Bez względu na to, jak bardzo by się starał, nie widział żadnego sposobu wyjścia z matni. Nie mógł zabić Westa. A jednak Khadri nigdy mu nie

zaufa, jeśli West pozostanie przy życiu.

Gdyby miał tydzień, nawet dzień, być może zdołałby ostrzec Exley. Wtedy agencja i FBI mogłyby zastawić własną pułapkę. Schwytaliby Kaisa i Samiego, a jemu pozwoliliby odejść. Mogliby nawet podać do wiadomości, że Kais i Sami zostali zabici w domu generała i że West został ranny. Khadri musiał by to zaakceptować; nie miałby żadnego sposobu zweryfikowania prawdziwości tej wersji.

Ale Wells nie mógł teraz ostrzec Westa. Kais i Sami z pewnością nie zamierzali zostawić go samego tego wieczoru. Wiedzieli, że rzeczywistym celem misji był test lojalności Wellsa. Oczywiście mógł na miejscu zabić Kaisa i Samiego, ale wtedy straciliby informacje, które oni posiadali, a ślad wiodący do Khadriego urwałby się. Lepsze byłoby przesłuchanie ich, ale tego też nie był do końca pewien. Z pewnością nie siedzieliby z uśmiechami na ustach, gdyby podniósł słuchawkę i wykręcił 911.

Wells zastanawiał się, czy powinien pozwolić Westowi umrzeć, pociągając osobiście za spust, jak nalegał Kais. To była wojna, a West kiedyś był żołnierzem. Nie tylko żołnierzem. Generałem. Miał już prawie siedemdziesiąt lat. Przeżył całe życie. Być może nawet by zrozumiał.

Wells odrzucił tę myśl. Musiał sprawić, że West przeżyje tę noc. W interesie własnym, jak i generała. Były granice, których nie powinien przekraczać. Nie mógł mordować ludzi, do których ochrony go wynajęto. Bawić się w Boga i poświęcić jednego z rodaków w nadziei ocalenia innych. Nie. Musiał ocalić Westa, nie niszcząc własnej przykrywki, której zbudowanie było tak wyczerpujące i trudne.

Wciąż jednak nie widział sposobu, jak wyjść z opresji, bez względu na szaleńczą pracę umysłu. Zadzwoić na 911? Nie może. Zastrzelić Kaisa? Nie może. Zabić Westa? Nie może.

Ostrzec Westa? Nie może. Zadzwoić do Exley? Nie może. Zadzwoić na 911? Nie może...

Skupił uwagę na tym, co działo się w kuchni. Sami rozłożył na stole plan dzielnicy Buckhead. Administracyjnie, teren ten stanowił część Atlanty, północno-zachodni narożnik miasta. W rzeczywistości Buckhead było luksusowym przedmieściem, gdzie w ogromnych domach oddalonych od krętych trzypasmowych ulic mieszkała elita korporacyjna wielkiej metropolii. W swoim czasie Wells często tutaj pracował, sadząc rośliny z imigrantami.

- Mieszka tu - Sami wskazał na czerwony znaczek na planie. Dom generała oddalony był o jakieś sto metrów od skrzyżowania Northside Drive z Mount Vernon Road.

Kais wyciągnął szarą papierową teczkę z torby na laptop.

- Z dokumentów dotyczących posiadłości wynika, że kupił ją w dwa tysiące pierwszym za ponad dwa miliony dolarów - poinformował ich Kais. - Trzy kondygnacje oraz domek dla gości z boku posiadłości.

- Ponad dwa miliony? Armia płaci lepiej niż pamiętam. Czy mamy jakieś jego zdjęcie?

Kais wyciągnął zdjęcia, które ściągnął z Internetu. West był szanowanym generałem. Wysokim mężczyzną z łysą głową i grubymi, obrzmiałymi wargami oraz masą zmarszczek na czole.

- Skąd wiemy, że będzie dzisiaj w domu? Musi dużo podróżować.

Kais spojrzał na inny dokument.

- Będzie tutaj. Stowarzyszenie Firm Branży Obronnej Stanu Georgia dzisiaj wieczorem wydaje kolację i przyznaje mu nagrodę za życiowe osiągnięcia. W mieście o nazwie Roswell.

- To na północ stąd.

- A jutro po południu ma przemawiać w miejskim klubie w śródmieściu. Zatem będzie w domu.

Wells nie mógł się nie zgodzić.

- Co wiemy o ochroniarzach?
- Tylko jeden - odparł Sami.
- Jesteś pewien?
- Obserwowałem go. Kiedy wyjeżdżał *dżimsym* - było w to slangu arabskim określenie auta GMC Suburban. - Kierowca pełni też rolę jego goryla i nocuje w domu.
- Co bardziej prawdopodobne, w domku dla gości - dodał Kais.

Zarys planu zaczął nabierać kształtu w umyśle Wellsa. Być może uda mu się rozdzielić Kaisa i Samiego, mimo wszystko.

- Tak - powiedział Wells. - Prawdopodobnie w domku dla gości.

Obrócił się do Samiego.

- Jesteś pewien, że West nie ma dodatkowej ochrony?
- Widziałem tylko jednego ochroniarza.

Khadri rzeczywiście chciał, żeby wszyscy trzej przeżyli, pomyślał Wells. Był zaskoczony faktem, że West jest tak słabo chroniony, ale dla faceta, który od pewnego czasu był już na emeryturze, najlepszą ochroną była anonimowość.

- Posiadłość ma ogrodzenie z bramą - kontynuował Sami. - W zeszłym tygodniu zrobiłem kilka zdjęć.

Rozrzucił je na stole. Płot miał ceglana podmurówkę, na której postawiono niskie ozdobne paliki. Za ogrodzeniem, na szczycie wzgórza, znajdowała się duża budowla w stylu kolonialnym, oddalony o jakieś trzydzieści metrów. Droga wjazdowa oddzielała dom od domku gościnnego. Sami wskazał na ogrodzenie.

- Płot ma tylko metr osiemdziesiąt wysokości i nie jest zabezpieczony drutem kolczastym.

- Nie w Buckhead - skomentował Wells. - Sąsiedzi nie pozwoliliby na to. Jak duża jest posiadłość?

- Sto dwadzieścia metrów długości, sześćdziesiąt metrów szerokości.

Czterysta stóp na dwieście stóp, Wells przeliczył w myślach. Mniej więcej siedemdziesiąt arów

- Dostatecznie dużo, by zapewnić nam odrobinę prywatności - stwierdził. - Są jakieś psy?

- Wydaje mi się, że jeden. Słyszałem go kilka razy.

Wells pokiwał sceptycznie głową. Psy stanowiły prawdziwy problem, jak dotąd największy Oznaczały hałas.

- Jest żonaty? Ma rodzinę?

- Rozwiódł się - odparł Sami. - Mniej więcej rok po przejściu na emeryturę. Jego żona mieszka w Houston.

- Tylko jedna żona? - zażartował Wells.

- Tylko jedna - odparł z uśmiechem Kais.

Dobrze. Mniejsze ryzyko popełnienia błędów

- I Khadri chce, żeby zrobić to dziś wieczorem? To musi być dzisiejszy wieczór?

Kais przytaknął.

- Powiedział, że zrozumiesz.

Wells mógł jedynie skinąć potakująco głową.

- Rozumiem.

Wskazał na mapę.

- Znam tę część miasta z mojej dorywczej pracy. Miejsce to sprawia wrażenie bardziej odludnego niż jest w rzeczywistości. Mount Vernon to szeroka i ruchliwa trasa, możemy przejść kilka przecznic i wrócić tą samą drogą, jeśli będziemy musieli. Wrócimy tu na czas i zdążymy się przebrać, a potem odesłać Kaisa do Detroit.

Przez następne dwie godziny omawiali szczegóły zadania. Wells żałował, że nie ma więcej czasu na dopracowanie planu i że brakuje mu dokładnych informacji. Takich jak rozkład kondygnacji w domu Westa, w tym również sypialni. Liczba policyjnych radiowozów i samochodów agencji ochrony, które patrolowały tę okolicę oraz ich rutynowe trasy. Chciał wiedzieć, czy West posiada broń, a jeśli tak, to gdzie ją trzyma. Oni natomiast nie wiedzieli nawet, czy w

domu był zainstalowany alarm i czy był podłączony do ogrodzenia.

Musieli działać szybko, nadrabiając prędkością to, czego brakowało im w obszarze informacji i siły ognia. Musieli wydostać się stamtąd, zanim przybędzie policja i złapie ich na gorącym uczynku. Wells zakładał, że do przybycia patrolu upłynie najwyżej pięć minut od momentu, gdy dotrą do domu, nawet jeśli nie było tam alarmu. Powinni zaplanować zrealizowanie zadania w trzy minuty. Ucieczka będzie w zasadzie niemożliwa, gdy policjanci wezwą posiłki. Zwłaszcza na nieprzyjaznym terenie, jakim było Buckhead.

- Jeśli usłyszymy syreny, znikamy - zdecydował Wells.
- Natychmiast.

Powoli wprowadzał Kaisa i Samiego w szczegóły akcji, pozwalając im dopracowywać szczegóły, tak żeby nie zdawali sobie sprawy, w jakim stopniu plan był jego pomysłem.

- Wystarczy - powiedział w końcu Kais. - Czuję się tak, jakbym znowu był w tym waszym FBI. Wiesz przecież, że wszystko to będzie głównie warte, kiedy już znajdziemy się w środku. Takie rzeczy zawsze się zdarzają.

- Zgadza się - zgodził się Wells. - Ale musimy udawać, że tak się nie stanie.

Wbrew sobie samemu, Wells darzył sympatią tych gości. Ale kiedy jutro rano obudzą się w samolocie lecącym do Guantanamo, będą mogli mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Sami przywiózł ubrania dla siebie i Kaisa: czarne pulowery i czarne spodnie podobne do tych, które Wells kupił w sklepie zaopatrzenia wojskowego.

- Wyglądamy jak trupa mimów - zażartował Wells, kiedy się ubierali.

- Trupa mimów? - zdziwił się Sami.

- To faceci, ubrani na czarno i... nieważne.

Sami przywiózł też własną broń: czterdziestkę piątkę z tłumikiem oraz pistolet maszynowy H&K, karabinek

automatyczny z krótką lufą i magazynkiem na trzydzieści dwa naboje. H&K był bronią nieodpowiednią i bardziej na pokaz, niemniej jednak skuteczną. Wojownicy świętej wojny nie mogli oprzeć się pistoletom maszynowym, przypomniał sobie Wells - oglądali zbyt wiele filmów akcji. Czterdziestki piątki były prawdziwymi skarbami: wystrzeliwały pociski z poddźwiękową prędkością, a gdy dokręciło się do nich tłumik, stawały się tak ciche, jak tylko może być broń palna.

Wells nie pytał, skąd Sami zdobył pistolety. Wyglądały na zupełnie nowe i przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem za tym wszystkim nie stała Agencja, poddając próbie jego lojalność za pomocą tej szalonej intrygi. Być może Vinny Duto będzie czekał na niego w domu Westa, zamiast gospodarza.

Ale to Khadri wysłał do niego Kaisa i Samiego, a gdyby Khadri był wtyczką Agencji na terenie Stanów Zjednoczonych, to CIA dawno już schwytałaby bin Ladena i zniszczyła al-Kaidę. Nie. Pistolety były prawdziwe i miały prawdziwą amunicję, a West był sam w swoim domu. I zginie dzisiejszej nocy, chyba że Wells go ocali.

Zabrali ze sobą dwa auta: rangera i luminę, która zgodnie z tym, co twierdził Kais, była nie do wyśledzenia, na wypadek, gdyby musieli ją porzucić. Sami wytarł wszystkie odciski palców. Broń oraz kominiarki zamierzali schować w bagażniku luminy, na wypadek, gdyby zostali zatrzymani na drodze, chociaż Wells był przekonany, że gliny znalazłyby pretekst do przeszukania auta. Trzech mężczyzn, w tym dwóch Arabów, krążących po Buckhead po północy i ubranych jak drużyna komandosów... Nie, lepiej, żeby jechali ostrożnie.

- Zrób mi przysługę - powiedział Wells do Samiego. - Nie pędź jak szalony

- *Nam.*

Pomodlili się jeszcze raz, prosząc Allacha o błogosławieństwo oraz o szansę sprowadzenia boskiego gniewu na

niewiernego generała. Wells żywił nadzieję, że Allah miał gdzieś te prośby - jak miał gdzieś jego modły, które skierował do niego przy grobie rodziców

Tuż przed pierwszą w nocy wyjechali: Wells i Kais w pikapie, Sami za nimi w luminie. Mimo niebezpieczeństwa - a może właśnie z tego powodu - Wells trzymał pewnie ręce na kierownicy, oddychał powoli i lekko. Nie miało już znaczenia, jak dotarł w to miejsce. On sam nie był już ważny. Liczyła się tylko misja.

Jechali najpierw na zachód trasą 285, szeroką autostradą, przeważnie pustą, poza osiemnastokołowymi ciężarówkami sunącymi przez noc. Potem ruszyli w kierunku północnego zachodu trasą Mount Vernon, następnie na południowy wschód trasą Powers Ferry i ponownie na południowy zachód trasą Mount Paran. Za każdym zakrętem, który mijali, ruch robił się coraz mniej intensywny, aż w końcu na jezdni byli tylko oni. Jeszcze raz wykonali wolną pętlę wokół kwartału, który otaczał dom generała, wypatrując patroli ochrony lub domów, w których paliło się zbyt wiele światel, nasłuchując szczekania psów lub krzyczących mężów. Ale dobrzy mieszkańcy Buckhead udali się na nocny spoczynek lub udawali, że tak jest.

Wells spojrzał na zegarek. Pierwsza trzydzieści trzy Lepszego momentu nie będzie.

- Teraz - powiedział do Kaisa.
- Teraz.

Wells wystawił przez okno lewą rękę, dając znak, że dojechali na miejsce. Zaparkował pikapa przed frontem zbudowanej w połowie, ceglanej rezydencji, tuż za rogiem ulicy, przy której stał dom Westa. Sami otworzył bagażnik luminie. Wyciągnął broń i kominiarki. Wells wziął swojego glocka oraz czterdziestkę piątkę dla Samiego. Kais chwycił drugi pistolet kalibru 45 oraz automat H&K. Wsiedli z powrotem

do pikapa. Sami zakręcił za rogiem i zatrzymał samochód przed frontem domu Westa.

Sami zjechał na pobocze, ale nie wyłączył silnika. Założyli kominiarki i rękawiczki. Wells wsunął glocka do pochwy na biodrze. Sami przewiesił pistolet maszynowy przez pierś, jak czarny charakter z filmu ze Stevenem Segalem.

- Maksymalnie pięć minut - przypomniał Wells. - Jeśli usłyszymy syreny, znikamy

- Wiemy - odpowiedział Kais.

- *Nam.*

Wells spojrział ponownie na zegarek: 1.34.58... 1.34.59... 1.35.00.

- *Allahu akbar* - powiedział. - Ruszamy

Wysiedli z auta. Zamknęli cicho drzwi i pobiegli w stronę ogrodzenia.

Wells dobiegł jako pierwszy. Wciągnął się i przerzucił ciało płynnym ruchem, następnie zeskoczył i bez trudu wylądował. Jeśli płot był wyposażony w alarm, to system nie zadziałał - szczęśliwy zbieg okoliczności. Sąsiedzi będą spali o kilka sekund dłużej. Kais podążył za nim szybko, ale Sami gramolił się chwilę, gdyż jego H&K zaplątał się na szczycie płotu, co nigdy nie zdarzało się na filmach.

Trawnik był bujny, zielony i perfekcyjnie przystrzyżony, jak piłkarskie boisko przed pierwszym kopnięciem piłki w sezonie. Wells rozejrzał się dookoła, wypatrując psa, ale na trawniku nie było zwierzaka. Wtedy usłyszeli szczekanie. Hałas zrobił się głośniejszy, gdy Wells pobiegł pod górę w stronę dużego białego domu.

Dobiegł do frontowej werandy i spojrział na zegarek: 1.35.20. Dał sobie piętnaście sekund na otwarcie zamka w głównych drzwiach. Jeśli nie da rady, będzie musiał wybić szybę. Gdy jednak chwycił za gałkę, obróciła się bez oporu. Drzwi nie były zamknięte, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Pies ujadł głośno, szczekając raz za razem. Wyglądało

na to, że jest tuż za drzwiami. I sądząc po odgłosach, był duży. Musieli zająć się nim szybko.

Kais dobiegł do werandy w chwili, gdy Sami pokonał w końcu płot. Opóźnienie było po myśli Wellsa. Sami biegł pod górę, odbijając od domu i skręcając w stronę domku gościnnego, zgodnie z wcześniejszym planem.

- Pies - powiedział Wells..

Kais przytaknął i podniósł pistolet. Wells przekreślił gałkę i otworzył drzwi kopniakiem

Wielki muskularny rottweiler skoczył na Kaisa z szeroko otwartym pyskiem. Pierwszy strzał Saudyjczyka trafił psa w klatkę piersiową i zwałił na ziemię. Zwierzę zaskowyczało, lecz wciąż parło do przodu, chroniąc własny teren. Teraz Kais strzelił psu między oczy, a wielki pocisk zmiażdżył czaszkę rottweilera, rozbryzgując sierść, krew i mózg po werandzie. Zwierzę upadło i przestało się ruszać. Widoczne w otworach kominiarki oczy Kaisa zaślniły

Przeszli nad zwłokami psa i wkroczyli do domu. Wells zamknął drzwi i przez chwilę czekali, aż ich oczy przywykną do ciemności. Kais zwrócił się do Wellsa...

... a ten zamachnął się na niego glockiem, trzymając ciężki pistolet za lufę. Saudyjczyk próbował zasłonić się przed ciosem, ale glock uderzył zbyt szybko. Nasada kolby trafiła terrorystę w skroń, z tyłu tuż za okiem, w najsłabsze miejsce czaszki.

- *La* - powiedział Kais. - Nie.

Mięśnie jego twarzy zwiótzały. Zachwiał się, ale nie upadł

Wells uderzył go ponownie. Tym razem poczuł, jak pistolet miażdży kość. Kais jęknął - był to głos podobny do tego, jaki wydał z siebie rottweiler - potem wykonał parę chwiejnych kroków i stracił przytomność, zanim upadł na ziemię.

Plan Wellsa był prosty. Rozdzielić wojowników świętej wojny. Następnie unieszkodliwić Kaisa, pozostawiając go

przy życiu, by w razie potrzeby można go było przesłuchać. Unieszkodliwić Samiego, zanim dotrze do ochroniarza Westa. Rozbroić ochroniarza, zanim zacznie strzelać, a potem znaleźć generała i wyjaśnić mu, co się wydarzyło. Zadzwonić do Exley i opowiedzieć jej o wszystkim. Nakłonić Agencję do stworzenia historyjki, która przekona Khadriego, że Kais i Sami zginęli podczas ataku. Być może nawet upozorować śmierć Westa. Zrobić to wszystko, zanim policjanci z Atlanty zjawią się tutaj i odstrzelą Wellsowi głowę.

Cóż, „prosty” to raczej nie było dobre określenie tego planu. Ale najlepsze, co Wells mógł zrobić w tych okolicznościach, to trzymać się tego schematu, który póki co działał.

- FBI! - krzyknął Wells w kierunku schodów, mając nadzieję, że West nie wystraszy się i nie zejdzie z góry, strzelając. Lub co gorsza, nie umrze na atak serca.

- FBI! Generale, proszę zachować spokój... Lecz nie usłyszał odpowiedzi.

- Generale...

W domu wciąż panowała cisza. Być może West ukrył się w sypialni i dzwoni na numer 911... Chociaż Wells nie spodziewał się, żeby w ten sposób zachowywał się generał z trzema gwiazdkami, nawet jeśli doszedł już do wieku, w którym pobierał emeryturę. Lecz teraz to nieważne, powiedział do siebie. Muszę się ruszać. Zawrócił i pobiegł w kierunku domku dla gości.

Kiedy biegł przez trawnik, usłyszał terkot pistoletu maszynowego Samiego dobiegający z domku gościnnego: sześć strzałów, przerwa i znowu sześć strzałów, które odbiły się echem w wilgotnym nocnym powietrzu Georgii.

Wells dobiegł do domku po kilku sekundach i natrafił na uśmiechniętego Samiego z pistoletem maszynowym H&K trzymanym luźno w dłoni. Wells dostrzegł, jak w sąsiednich domach zapalają się światła. Na tyle przydał się ich plan.

- Sami...

- Nigdy w to nie uwierzysz, człowieku - powiedział Sami po arabsku. - Gdzie jest Kais?

- W domu, szuka Westa.

Sami obrócił się w stronę domu.

- Sam zobacz - powiedział do Wellsa.

Wells wszedł do domku dla gości.

Sami miał rację. Wells nigdy by w to nie uwierzył. Nawet w najdzikszych fantazjach nie mógłby tego przewidzieć. Ale byli tu obaj. Nic dziwnego, że drzwi frontowe nie były zamknięte. Nic dziwnego, że w domu panowała cisza. I nic dziwnego, że żona Westa rozwiodła się z nim, kiedy przeszedł na emeryturę.

Tuzin pocisków z pistoletu maszynowego uczynił poważne szkody w ciele generała i jego ochroniarza, ale nie na tyle, by zamaskować to, co się działo w domku, zanim przyszedł tu Sami. Ochroniarz leżał nagi w poprzek łóżka. Posmarowany wazeliną kondom wisiał na czubku jego zwiotczałego penisa. West miał na sobie nabijaną cekinami psią obrożę z czarnej skóry oraz coś, co wyglądało jak skórzany gorset. Jedną ręką miał przykutą do łóżka, druga zwisała bezwładnie wzdłuż jego boku. Najwyraźniej goryl usiłował rozkuć generała, kiedy zjawił się Sami. Ale nie zdążył. Podobnie zresztą jak Wells.

* * *

Wells spojrzał ponownie na zegarek: 1.36.43. Choć teraz nie miało to znaczenia. West był martwy. Ochroniarz też nie żył. A on nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić policji, co zdarzyło się tutaj dzisiejszej nocy. Nigdy nie będzie w stanie wyjaśnić Samiemu, co przydarzyło się Kaisowi. Był tylko jeden sposób wydostania się z tej matni i Wells nie miał ani sekundy czasu do stracenia. Wyszedł z gościnnego domku. Sami obrócił się.

- Czy możesz...

Wells wymierzył glocka i strzelił. Najpierw w klatkę piersiową, potem w głowę, dla pewności. Zostawił pistolet maszynowy, ale zabrał Samiemu czterdziestkę piątkę. Dobry tłumik mógł mu się przydać.

Wells pobiegł w kierunku domu. Z oddali usłyszał wycie syren. Musiał skończyć z Kaisem. Saudyjczyk wiedział teraz, że Wells nie był lojalny wobec al-Kaidy, więc mógł usiłować zwalić winę za atak na Wellsa, co skierowałoby za nim pościg Agencji. CIA mogłaby dojść do wniosku, że Kais specjalnie go obciąży, ale nie stanie się tak, jeśli Saudyjczyk będzie zwlekał ze złożeniem zeznań, stwarzając pozory, że próbuje go kryć. Nie, Wells nie mógł podjąć tego ryzyka. Kais musiał umrzeć.

Wells przeszedł nad ciałem psa i wszedł do holu. Kais wciąż leżał nieprzytomny na podłodze, tam gdzie Wells go zostawił. Gdy spojrzął na dół, Saudyjczyk słabo westchnął, jakby już pogodził się ze swym losem.

- *Inszallah* - powiedział cicho Wells.

Strzelił Kaisowi w tył głowy z pistoletu z tłumikiem. Ciche stuknięcie. Kolejny martwy człowiek. Następnie Wells zrobił to, czego nienawidził. Obrócił trupa na plecy i wymierzył pistolet w jego twarz. Odszedł kilka kroków do tyłu, żeby krew nie opryskała mu nóg, i pociągał za spust, aż nos, usta i oczy Kaisa zamieniły się w jedną miazgę. W miazgę nie do rozpoznania. Wells zakładał, że taśmy wideo nakręcone na lotnisku Hartsfield mogą pokazać go razem z Saudyjczykiem, a wtedy policja z pewnością sprawdziłaby je tak szybko jak to tylko możliwe. Ale Kais nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości, a po tym, co Wells właśnie zrobił, taśmy okazałoby się zupełnie nieprzydatne.

Wells pobiegł do kuchni na tyły domu. Dźwięk policyjnych syren stał się już głośniejszy. Otworzył drzwi kuchenne i popędził przez ogród na tyłach domu. Przeskoczył przez płot

i wylądował na żwirze niedokończonego podwórka w połowie zbudowanej rezydencji.

Zrzucił kominiarkę i obiegnął dookoła niedokończony dom, potem pobiegł drogą wjazdową w kierunku ulicy, gdzie stał zaparkowany pikap. Okna domów po tej stronie wciąż były ciemne. Kolejny uśmiech losu.

Wsunął się do rangera, założył na głowę czapkę baseballową z emblematem drużyny Red Sox i odjechał. Gdy skręcał w Mount Vernon, widział pędzący z naprzeciwka policyjny radiowóz z migającym kogutem i włączoną syreną. Funkcjonariusz siedzący w środku spojrział na niego twardo, ale nie zwolnił, kiedy się mijali. Wells odjechał w mrok nocy

Gdy znalazł się w mieszkaniu, usiadł przy kuchennym stole, starając się zapanować nad lekkim drżeniem lewej ręki. Poziom adrenaliny już opadł i teraz czuł się zmęczony. Niewiarygodnie zmęczony, wyczerpany aż do szpiku kości.

W kwietniu powiedział Walterowi, który go przesłuchiwał na wykrywaczu, że nie pamiętał, ilu ludzi do tej pory zabił. Skłamał. Pamiętał dobrze każdego. Teraz musiał doliczyć do tej listy jeszcze dwóch. Pomyślał o pierwszym jeleniu, którego zastrzelił przed wieloma laty. Nie, nie chodziło o to, że nienawidził zabijania. Ale miał go po dziurki w nosie; miał po dziurki w nosie tego, że był w tym dobry. Po dziurki w nosie świadomości tego, że znowu będzie musiał to zrobić. Zbyt wiele było wokół niego śmierci i od zbyt dawna.

Wells siłą przepędził z głowy myśli o śmierci i zacisnął dłoń w pięść. Kiedy ją ponownie otworzył, ręka przestała drżeć. Nie mógł obwiniać siebie za to, co stało się tego wieczora. Khadri nie dał mu żadnego wyboru. Wells musiał grać jego kartami najlepiej jak umiał. Nie mógł wiedzieć, że West będzie razem z ochroniarzem.

- Nie pytaj, nie mów - wymamrotał w kierunku pustej kuchni i poczuł, jak obrzydliwy uśmiech pojawia się na jego twarzy

Zastanawiał się nad telefonem do Exley, ujawnieniem się i podjęciem próby wyjaśnienia tego, co się zdarzyło. Ale to było niemożliwe. Tej nocy sprawy posunęły się za daleko. Był zamieszany w zabójstwo generała z trzema gwiazdkami. Tego nie dało się już w żaden sposób zamieść pod dywan. Nawet gdyby w Agencji mu uwierzono, nikt nie miałby wyboru i wsadzono by go do paki. Albo po prostu zlikwidowano. Nie, nigdy nie odkupi swojej winy, chyba że dostarczy im Khadriego, żywego lub martwego. Nic mniej znaczącego nie uchroni go przed Agencją. Nic mniej znaczącego nie uchroni go przed nim samym. Całe to zabijanie musi go dokądś doprowadzić.

Złap czarny charakter, ocal kraj i weź sobie dziewczynę. Proste, naprawdę.

- Tak, jestem na właściwej drodze - powiedział na głos do pustego pokoju.

* * *

Dobłą nowiną był przede wszystkim fakt, że gliny i FBI będą miały twardy orzech do zgryzienia z wyjaśnieniem tego, co zdarzyło się tej nocy, pomyślał Wells. Ponadto będą musieli utrzymać szczegóły zabójstw w tajemnicy przed mediami. Nie ma sensu rujnować reputacji Westa.

Zatem Khadri dowie się, że Kais i Sami zginęli razem z Westem i jego ochroniarzem. Khadri nie będzie ufał Wellsovi ani odrobinę więcej niż przed tą nocą, ale też nie będzie ufał mu mniej. Wells spodziewał się, że Khadri skontaktuje się z nim wkrótce - albo nigdy. A kolejna misja, jeśli w ogóle nastąpi, nie będzie już próbą. Wcześniej tego dnia w parku Khadri sprawiał wrażenie, że kończy mu się czas.

Wells wiedział po prostu, co Khadri czuł.

13

Kotka była w oplakany stanie.

Kiedy Tarik przed tygodniem zabrał ją ze schroniska dla zwierząt, kocica była wychudzona, ale zdrowa: pełen energii dachowiec, którego futro stanowiło cętkowaną mieszaninę czerni, brązu i bieli. W odróżnieniu od większości bezdomnych zwierzątek, nie czuła lęku przed człowiekiem. Atakowała Tarika w zabawie, gdy wiozł ją do domu. Nawet wtedy, kiedy zamknął ją w klatce, w powietrznym bąblu w piwnicy, nie stawiała oporu.

- Z pewnością polubi ją pan - powiedziała do niego kobieta ze schroniska. - To świetny wybór.

Kobieta miała rację, chociaż nie z tego powodu, który miała na myśli. Trzy dni po umieszczeniu w bąblu powietrznym z rozpylonymi bakteriami *Yersinia pestis* kotka leżała na plecach i cicho miauczała. Tarik z trudem zniósł ten widok. Futro było zmierzwiłe i zlepione krwią, którą zwierzątko wymiotowało. Zielone oczy zasklepiała ropna wydzielina. Na brzuchu pojawiły się otwarte rany. Z wysiłkiem obróciła głowę, kiedy wszedł do pomieszczenia i zbliżył się do klatki

Wystarczy, pomyślał Tarik. Wsunął igłę strzykawki do fiolki z roztworem barbituranu sodu i precyzyjnie odmierzył dwa mililitry płynu. Chwycił za lewą tylną nogę kotki i szukał wzrokiem żyły na brzuchu zwierzęcia.

W normalnych warunkach kotka by walczyła, teraz jednak tylko machała niemrawo łapkami i zamykała oczy. Tarik

bez trudu znalazł żyłę i wbił w nią igłę. Po kilku sekundach zwierzątko było już bezwładne.

- Biedna - powiedział Tarik. - Przykro mi.

Przysparzanie cierpień zwierzętom nie sprawiało mu radości - zwłaszcza kotom*. W tym eksperymencie wolałby użyć psa, ale psy były z natury odporne na dżumę. Zatem nie miał wyboru. Lecz pomimo katuszy, jakie przeżywał, widząc agonię zwierzątka, nie mógł się pozbyć uczucia dumy, którą odczuwał w związku z postępami w pracach z drobnoustrojami. Zatrzymał wszystkie działania związane z innymi bakteriami, nawet wąglika, koncentrując się wyłącznie na *Yersinia pestis*.

* W tradycji islamskiej kot został pobłogosławiony przez Mahometa i dlatego może być hodowany przez wiernych, pies zaś uchodzi za zwierzę nieczyste.

Tarik z chęcią przypisałby całą zasługę wyłącznie sobie. Ale prawda była taka, że bakterie otrzymane z Tanzanii należały do szczepu o szczególnej zjadliwości. Drobnoustroje rozwijały się szybko w wyciągu z tkanki mózgowo-sercowej i żyły wiele godzin po umieszczeniu ich w słabym roztworze agaru sojowego, który łatwo przepływał przez atomizer. Bakterie były również bardziej odporne na zmiany temperatury niż Tarik przewidywał.

Nie dysponując chromatografem kolumnowym oraz nie mogąc wykonać próby reakcji replikacji polimerazy, nie mógł być pewny, ale podejrzewał, że szczep *Yersinia pestis* zawierał zarówno plazmidy pPCP1, jak i pMT1. Były to odcinki DNA odpowiedzialne za produkcję enzymów ingerujących w system odpornościowy oraz w zdolność krzepnięcia krwi. Przed tygodniem, widząc, jak szybko zdychały myszy i szczury, Tarik zaczął łykać tabletki doksycyliny, antybiotyku, o którym wiadomo było, że przeciwdziała dżumie. O ile wiedział, nie był narażony na infekcję, ale chciał zabezpieczyć się podwójnie.

Spoglądał na martwe ciało kotki i był zadowolony, że przyjmował lekarstwo. Ostrożnie wyciągnął zwłoki z klatki i umieścił je w dużym szklanym naczyniu wypełnionym kwasem solnym, w którym tkanki zwierzęcia miały się rozpuścić. Jutro wybierze się do schroniska po następnego kota. Choć może być lepiej będzie pójść do sklepu ze zwierzętami. Zadają tam mniej pytań. Był zdumiony, kiedy kobieta w schronisku zapytała go, czy wybrał już imię dla kotki.

- Nie jestem jeszcze pewien - wyjąkał po chwili.

Tak, powinienem udać się do sklepu ze zwierzętami, pomyślał Tarik. Ale jeśli nadal będzie osiągał takie sukcesy, wkrótce powinien dać sobie spokój z kotami. Następnym przedmiotem badań mogłyby być małpy, których układ oddechowy jest bardziej zbliżony do ludzkiego.

Niestety, małp nie można było tak łatwo kupić: firmy zapatrujące w artykuły biologiczne, wysyłały je tylko ośrodkom badawczym posiadającym licencję, a bardzo niewielu ludzi rozmnażało je na sprzedaż, jako zwierzęta domowe. Widział w Internecie ogłoszenia hodowców ze Stanów Zjednoczonych, ale nie był pewien, czy powinien przekraczać granicę osobiście, nie wspominając już o wiezieniu ze sobą małpy. Poza tym miał silne podejrzenia co do tego, że agenci celni - być może nawet policja - złożyliby wizytę w jego domu, gdyby chciał zamówić małpę poprzez sieć www.

Mimo to, nawet bez eksperymentów na małpach Tarik był przekonany, że osiągnął już wystarczającą wprawę w posługiwaniu się atomizerem, by zakazić ludzi w nieprzewietrzonym pomieszczeniu - jeśli uda mu się rozwiązać problem takiego rozprowadzania aerozolu z bakteriami, którego nikt nie zauważy. Oczywiście, nie oznaczało to, że był już w stanie wywołać epidemię. Miał jeszcze przed sobą miesiące pracy, zanim opracuje sposób otrzymywania dużej ilości *Yersinia pestis* potrzebnej do ataku na wielką skalę. Martwił się też tym, że upłyną miesiące, a być może nawet lata, zanim rozwiąże techniczne problemy związane z rozpylaniem areozolu

z bakteriami na rozległym terytorium. Wytworzenie mgiełki w warunkach eksperymentalnych w laboratorium przy użyciu kilku mililitrów roztworu było bez porównania łatwiejsze niż rozprowadzenie w powietrzu setek litrów płynu za pomocą opryskiwacza lub z przyczepy ciężarówka.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że czyni postępy. Spędzał na dole sześć, osiem, czasami dziesięć godzin i sypiał tylko w krótkich interwałach, gdy rosło w nim podniecenie. Wiedział, że powinien nieco zwolnić - był zdumiony, gdy zobaczył, jak bardzo jest zmęczony i zaniedbany, kiedy przejrzał się w łazienkowym lustrze - ale dżuma całkowicie pochłaniała jego myśli. Dżuma oraz Fatima.

Gdy pomyślał o żonie, jego ekscytacja gdzieś znikła. Fatima stała się jeszcze bardziej odległa w ciągu ostatniego miesiąca: wracała z pracy późno, z ledwością odwzajemniała uśmiech, kiedy usiłował z nią porozmawiać, odpychała jego nieudolne awanse w łóżku. Przed tygodniem, gdy wyszedł wcześniej z piwnicy, znów przyłapał ją na tym, jak szeptała przez telefon w kuchni.

- Co to ciebie obchodzi? - odparła hardo. - Siedzisz tam na dole przez cały czas, tak czy owak.

I wtedy uderzył ją kilka razy

- Proszę, Tarik - błagała. - Co się z tobą dzieje?

To ty i twoje grzeszne zachowanie, oto co się dzieje, odpowiedział jej w myślach. Bardzo chciał z kimś o tym porozmawiać, ale Khadri był jedyną osobą, której ufał na tyle, by się zwierzyć, a „wuj” zawsze odpowiadał mu w ten sam sposób: skoncentruj się na pracy

- To jest twój problem - powiedział Khadri, kiedy rozmawiali ostatnio. - Zajmij się tym.

Dobrze. Zajmę się tym, pomyślał Tarik. Zajmę się tym dziś wieczorem.

Wskaźnik tlenu na zaworze regulacyjnym butli zbliżał się do zera. Tarik przeszedł do komory hermetycznej i zawiesił

butlę, potem zdjął respirator i przetarł butle środkiem utleniającym. Gdy były czyste, wyciągnął je z powietrznej komory i przeniósł do otwartej części piwnicy. Tam podłączył je do pompy tlenowej, która ponownie miała je napełnić.

Wziął prysznic i ubrał się powoli, rozkoszując się mocą, jaką dawały mu badania nad bakteriami *Yersinia pestis*. Nie bardzo miał ochotę opuścić piwnicę. To miejsce należało do niego i nikt nie mógł mu tego odebrać.

W końcu ruszył schodami na górę. Poczłł osobliwe drżenie, gdy wchodził do mieszkania z zamiarem stawienia czoła żonie. Fatima powinna go wspierać, wspierać jego pracę, a nie okazywać mu brak szacunku, wracając późno do domu. Oddała mu siebie jako dobra muzułmanka, córka Proroka, i powinna dotrzymać słowa danego mężowi oraz Allahowi. W tym momencie Tarik niemal nie przejmował się tym, czy Fatima wciąż go kocha, o ile tylko okazałaby mu szacunek.

Poczłł w sobie mieszaninę gniewu i ulgi, gdy otworzył drzwi u góry schodów i zobaczył ją siedzącą przy kuchennym stole, piszącą coś na kartce z żółtego notesu. Jego kochana żona. Mimo to gniew w nim narastał, gdy dostrzegł, że Fatima ma na sobie spódnice odsłaniającą nogi. Kiedy ją kupiła? Wyglądała teraz jak *kafir*. Przestrzegał ją przed nieskromnym ubieraniem się, kiedy zdecydowała się na pracę w firmie prawniczej i przestała nosić muzułmańskie szaty. Jednak ona wyśmiała jego narzekania, wskazując na potrzebę dostosowania się do tego, jak inni noszą się w pracy. Ale koniec z tym, pomyślał Tarik. Od tej pory będzie robić to, co on każe.

- Cześć, mój skarbie - powiedział i podszedł do niej, chcąc ją pocałować.

Odsunęła jednak usta, nadstawiając tylko policzek.

- Co tam w pracy?

Nie odpowiedziała.

- Mój skarbie, rozmawialiśmy już o tym tyle razy. Dlaczego wracasz tak późno? Musisz...

- Tarik...

- Fatima - z jego głosu na chwilę zniknął gniew, ale postanowił naciskać dalej. - Posłuchaj mnie...

- Tarik! - krzyknęła. - Mam już dość słuchania! Teraz ty posłuchaj!

Jej głos odbił się takim echem w niewielkiej kuchni, że Tarik poczuł szok, gdy nagle zapadła cisza. Nigdy wcześniej Fatima nie podniosła na niego głosu.

Odsunęła się od stołu i wstała z krzesła. Zauważył przy jej nogach niedużą czarną walizkę oraz tanią płócienną torbę, której nigdy nie widział. Starał się nie myśleć, co to może oznaczać. Zrozumiał, że okłamywał sam siebie. Pragnął nie tylko jej szacunku; chciał także, by znów go kochała, by uśmiechała się do niego tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy

Wziął głęboki oddech, zbierając siły. W kuchni panowała dziwna cisza i Tarik poczuł, że nagle zyskał nadludzki wzrok i słuch. Słyszał powolne kapanie wody z ciekącego kranu w kuchni, dostrzegł delikatny meszek na brzoskwiinach, które Fatima trzymała zawsze w misce na blacie oraz sploty włókien w taniej ściereczce do zmywania leżącej w zlewie. Podniósł wzrok i stwierdził, że światło żarówki pod sufitem razi go w oczy

Kiedy Fatima ponownie przemówiła, jej głos był spokojny, lecz stanowczy

- Tarik, nie mogę dalej żyć z tobą...

Jego myśli zbiegły się w jedno słowo: „nie”.

- Mój skarbie. To oczywiste, że możesz żyć ze mną.

- Nie widzisz, że potwierdzasz to, co mówię? - uśmiechnęła się gorzko. - Oświadczam, że nie jestem w stanie z tobą żyć, a ty nawet nie pozwalasz mi dokończyć zdania...

- Już mnie nie kochasz, Fatimo?

Na jej twarzy pojawił się wyraz bólu.

- Czy wiesz, dlaczego wyszłam za ciebie, Tarik? Byłam przekonana, że jesteś naukowcem. Że rozumiesz, na czym polega nowoczesne małżeństwo. Ale ty jesteś równie zły jak

cała ich reszta. Nawet gorszy

- Nie powinnaś tak mówić - usiłował zachować spokojny ton głosu.

- Tarik - jej głos załamywał się. - Czy naprawdę myślisz, że chcę to zrobić? Od wiosny usiłowałam porozmawiać z tobą z tuzin razy, setki razy, ale ty nie słuchasz.

- Chcę porozmawiać...

- Twierdzisz, że chcesz porozmawiać, ale tego nie robisz. Znikasz w tej dziurze - wskazała oskarżycielsko na zamknięte drzwi od piwnicy - i nie wychodzisz stamtąd całymi godzinami. Dniami. Nie mówisz mi, co tam robisz. Nigdy nie pozwoliłeś mi zaprosić gości. Czuję się tak, jakbym była więźniem w tym domu.

- Nie jesteś więźniem...

- I zmieniasz się, Tarik. Przestałeś spać...

- Sypiam...

- Nie sypiasz. Nie jesteś tym samym człowiekiem, którym byłeś nawet miesiąc temu. Nie wiem, co ty właściwie tam robisz - kolejny raz wskazała na drzwi od piwnicy, a Tarik poczuł nagle skurcz żołądka - ale zmieniłeś się w kogoś, kto budzi we mnie strach. W ostatnim tygodniu uderzyłeś mnie, Tarik. Nigdy nie sądziłam, że to może się kiedyś stać.

- Nie uderzyłem cię...

Podciągnęła rękaw bluzki, pokazując czarno-niebieski ślad po uderzeniu wielkości karty kredytowej na lewej ręce, tuż ponad łokciem.

- Jak zatem nazwiesz to?

Narastał w nim wstyd i wściekłość jednocześnie.

- Nie chciałem...

Ale nawet gdy mówił te słowa, czuł, jak jego dłonie zaciągają się w pięści. Sięgnęła po walizkę.

- Odchodzę, Tarik. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Naraz wstyd gdzieś zniknął; teraz wypełniała go czysta, spieniona furia. Przypomniawszy sobie, jak przed laty znalazł

martwą matkę w łóżku w ich mieszkaniu w Saint-Denis. Żółta farba łuszczyła się ze ścian, oczy Khalidy również były żółte, w jej ramieniu wciąż tkwiła strzykawka. Tak bardzo nienawidził matki w tamtej chwili. Ale teraz jego nienawiść była jeszcze większa.

- Nie możesz odejść - próbował oponować. - Dokąd zamierzasz pójść?

- Sądzisz, że nie mam przyjaciół?

- Jakich przyjaciół? - zapytał. - Nie pozwolę ci odejść. Należysz do mnie.

Na jej ustach pojawił się drwiący uśmiezek.

- Myślisz, że nie mam przyjaciela? Biedny mały Tarik...

Czy ona naprawdę to powiedziała? Wymierzył jej ostry policzek.

- Nigdy więcej, Tarik...

Uderzył ją powtórnie. Zatoczyła się do tyłu i zawadziła o kuchenny blat. Lecz tylko potrząsnęła głową i wyprostowała się, a jej brązowe oczy przybrały dziki wyraz. Była drobna, mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt, ale gdy zaczęła krzyczeć, wydawała się dwa razy większa.

- Tak, przyjaciela! - krzyknęła. - Przyjaciela *kafira*. Prawdziwego kochanka, a nie fajtlapę jak ty...

Tarik wiedział już, że nigdy jej nie odzyska. Podniósł rękę, chcąc uderzyć ją jeszcze raz, lecz teraz Fatima uniosła swoją.

- Nie...

Nie uderzył jej, tylko splunął, a biała ślina wylądowała na jej policzku.

- Suka. Tania dziwka. Niewierni wypełnili twoją głowę zgnilizną. Nie dam ci rozwodu.

Ślina spływała powoli po jej policzku. Fatima podniosła dłoń i wytarła jego jad. Nie spuszczała wzroku z Tarika.

- W takim razie powiem policji, co robisz tam na dole - wskazała ponownie na piwnicę. - Nie sądzisz, że chcieliby to wiedzieć?

- Powiedziałaś, że nie wiesz.
- Oczywiście, że wiem. Czy wyglądam na głupią? Może i tak im powiem.

Tarik wyciągnął nóż z szuflady i ścisnął go w dłoni. Duży kuchenny nóż z czarną plastikową rączką. Rozgorączkowany Bóg przemawiał teraz w jego głowie. Fatima zaczęła krzyczeć, zanim jeszcze zadał pierwszy cios, przecinając brzuch, tak że krew polała się na czystą białą spódnicę.

Odwróciła się, chcąc uciec, ale dźgnął ją w plecy; ona upadła, a on siedział już na niej. Uderzał raz za razem, wbijając nóż w jej drobne ciało, dźgając ją w plecy i kark, przecinając skórę, tkankę tłuszczową i kości, aż przestała krzyczeć, a pokój był cały unurzany w jej krwi. Umarła w ciągu niespełna minuty

Dzwonienie w uszach zastąpiła cisza. Na zewnątrz jakiś ptak ćwierkał za roletami, które zawsze były opuszczone. Tarik wstał i spojrzał na ciało żony

- Allachu, wybacz mi - powiedział cicho.

Czy naprawdę przed chwilą ją zabił? Nie mógł w to uwierzyć. Lecz teraz ona leżała bez ruchu z rozrzuconymi nogami, a jej krew rozlewała się grubą warstwą, niczym farba, na kuchennej podłodze z białego linoleum.

Rzucił nóż. Wściekłość już w nim opadała. Nie chciał zranić Fatimy. Czyż nie wiedziała, że zawsze ją kochał? Nie powinna go prowokować, nie powinna mu tego zrobić. To ona ponosiła winę.

Ukląkł obok żony i głaskał ją po włosach.

- Przepraszam, Fatima - powiedział.

Co on najlepszego zrobił? Czy sąsiedzi słyszeli jej krzyk? A co z ludźmi z jej biura? Z jej przyjacielem? Z pewnością wszyscy wiedzieli, że planowała odejść od męża. Wkrótce zjawi się tu policja. Tarik mógł grać na zwłokę przez kilka dni, informując ich, że Fatima wyjechała z Montrealu, chcąc

zobaczyć się z przyjaciółmi. Ale jej kochanek, kimkolwiek był, tak tego nie zostawi. W końcu policja zjawi się tu ponownie z nakazem rewizji. I co oczywiste, zaczną poszukiwania od piwnicy

Dobry Boże. Cóż on najlepszego uczynił? Jego plany, jego praca. Wszystko to pójdzie na marne. Przez tę dziwkę. Opanował go żal, żal po jej stracie, żal nad nią i nad samym sobą. Nic mu teraz nie pozostało; nic poza kilkoma dniami pracy, które z pewnością nie wystarczą, by mógł zemścić się na całym świecie.

Ale on się nie podda. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Być może zdoła uratować swoje plany, wywieźć drobnoustroje gdzieś daleko od szarego domu, w miejsce, gdzie policja ich nie znajdzie. I wymyśli jakiś sposób, by bakterie *Yersinia pestis* mogły dalej się rozwijać.

Odkręcił kran, puszczając tak gorącą wodę, jak mógł tylko wytrzymać; mył ręce i twarz do chwili, gdy z jego śniadej skóry zniknęło czerwone zabarwienie. Widział, że zaraz znów się pobrudzi, musiał przecież zanieść ciało Fatimy do piwnicy i zetrzeć podłogę w kuchni. Lecz przez moment chciał mieć czyste ręce.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał numer, pod który zgodnie z instrukcją miał dzwonić tylko w wypadku ekstremalnej sytuacji. Telefon zadzwonił trzy razy

- *Bonjour, mon oncle.*

Minęła chwila i Tarik zastanawiał się, czy nie wybrał złego numeru. Wtedy usłyszał głos Khadriego, spokojny jak zawsze.

- *Bonjour.*

Tarik poczuł przeogromną ulgę. Wszystko będzie dobrze.

14

- Mamy pewność, że to właściwe mieszkanie?
- Tak, mamy Poniekąd.
- Ponieważ zrujnujemy komuś dzień, jeśli się mylimy
- Tak czy owak zamierzamy go komuś zrujnować - skomentował Shafer.

On i Exley stali w Centrum Prezentacji Bezpiecznej Łączności, obserwując na głównym monitorze o przekątnej metrze osiemdziesiąt obraz tego, co działo się przy Flatbush Avenue na Brooklynie. Zgodnie z planem, dwie nowojorskie śmieciarki, które pojawiły się na ekranie, sunęły powoli w dół ulicy Warkot ich silników powiewały z hukiem głośniki monitora. Exley spojrzała na zegarek: piąta dwanaście nad ranem. Za trzy minuty wchodzi.

- Jest za wcześnie na tę akcję - powiedziała do Shafera.

Czuła pulsowanie w skroniach, niezawodny symptom nadchodzącego paskudnego bólu głowy

- Wyłączcie fonię - warknął Vinny Duto do jednego z techników

Ku uldze wszystkich hałas ustał.

O tej godzinie ulice były puste lub niemal tak puste, jak tylko to możliwe w Nowym Jorku. Do wchodu słońca pozostawała jeszcze godzina; jedyne oświetlenie zapewniały uliczne latarnie, świecące rachitycznym pomarańczowożółtym blaskiem. Metalowe drzwi ozdobione graffiti zapewniały ochronę pogrążonym w ciszy sklepom. Czarne worki na odpadki, ułożone w stos, stały przed wejściem do restauracji sieci Church's Fried Chicken; ich zawartość stanowiła prawdziwą ucztę dla szczurów, biegających zapobiegliwie wzdłuż

krawężnika. Przy skrzyżowaniu Flatbush i Clarendon śmieciarki zatrzymały się, minawszy korporacyjną taksówkę czekającą na ostatni kurs tej nocy

Spokój panujący na ulicy był jednak mylący. W tym momencie na Flatbush Avenue znajdowało się więcej policjantów i agentów FBI niż gdziekolwiek indziej w Nowym Jorku. W stalowych bebeczach śmieciarek nie znajdowały się bowiem odpadki, lecz dwunastu Federalnych. Bezdomny mężczyzna leżący przed restauracją Churchs był w rzeczywistości funkcjonariuszem nowojorskiej policji. Snajperzy zabezpieczyli ulicę, lokując się na dachach okolicznych domów usytuowanych przy skrzyżowaniu.

Obiektem, na który skierowała się uwaga wszystkich, była czynszowa kamienica z czerwonej cegły, oddalona o niecałe pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania Flatbush z Clarendon. Również i tym razem to, co miało wydarzyć się za chwilę, było zasługą - albo winą - Faruka Khana. Przed dwoma tygodniami elitarny oddział pakistańskiej armii, opierając się na informacjach uzyskanych od Faruka, dokonał nalotu na kryjówkę al-Kaidy w Islamabadzie, chwytając dwóch ludzi. Jeden z nich szybko zaczął sypać, mówiąc śledczym o uśpionym szpiegu tej organizacji przebywającym na terenie Stanów Zjednoczonych, Egipcjaninie, który przyjechał tam w 2000 roku na podstawie wizy studenckiej. Informator zapamiętał nawet imię tego człowieka: Ala.

Analiza bazy danych urzędu imigracyjnego przeprowadzona przez P60 ujawniła, że w 2000 roku na podstawie wizy studenckiej granicę Stanów Zjednoczonych przekroczyło dziewięciu Egipcjan o imieniu Ala. Czterech z nich opuściło USA po wygaśnięciu ważności wizy. Dwóch innych wciąż mieszkało w Stanach nielegalnie, ale oficjalnie, na co wskazywały wpisy w publicznych bazach danych. W ciągu dwóch dni FBI wytropiła i aresztowała obydwóch. Żaden z nich nie był powiązany z al-Kaidą, jednak jednego i drugiego ulokowano

natychmiast w ośrodku zatrzymań, gdzie czekali na przesłuchanie w sprawie deportacji. Mieli pecha.

Trzej pozostali Egipcjanie o imieniu Ala nie znajdowali się w bazach danych wydziałów komunikacji ani urzędów podatkowych, ani więzień i aresztów czy list osób uprawnionych do głosowania. Okazali się przezorni. Chociaż w tym przypadku nie do końca przezorni. P60 przekazała informacje zawarte w aplikacjach wizowych egipskiemu Mukhabaratowi. Egipcjanie potrzebowali niecałych dwudziestu czterech godzin na odnalezienie rodzin trzech brakujących mężczyzn. Jeden przypadek wyjaśniono od ręki: szósty Ala zginął w wypadku samochodowym. Siódmy mieszkał w Stanach Zjednoczonych pod fałszywym nazwiskiem i pracował w Detroit w całodobowym sklepie ogólnospożywczym. Przesyłał rodzinie pieniądze i nie posiadał kontaktów z terrorystami ani w Egipcie, ani w Stanach Zjednoczonych. FBI aresztowało go i przesłuchało, potem przewiozło samolotem do Kairu na podstawie szybkiego nakazu deportacji podpisanego przez zaprzyjaźnionego sędziego federalnego. Kiedy Ala protestował, powiedziano mu, że powinien uważać się za szczęściarza, gdyż równie dobrze mogli go wysłać do Guantanamo. Od razu przestał narzekać.

Został więc tylko jeden. Ala Asad. Inżynier, absolwent uniwersytetu w Kairze, członek Bractwa Muzułmańskiego, egipskiego ugrupowania, które było po części partią polityczną, a po części strukturą terrorystyczną. Jego rodzina przyznała, że Ala przebywał w obozie szkoleniowym al-Kaidy w Afganistanie, zanim otrzymał amerykańską wizę. Po przekroczeniu granicy Stanów Zjednoczonych zniknął, twierdzili jego krewni. Nigdy nie pisał listów ani nie przysyłał pieniędzy do domu.

Jednak mijali się z prawdą. Ala popełnił błąd. Naturalny błąd, ale jednak błąd. Kontaktował się z rodziną. Kiedy Mukhabarat sprawdził listę połączeń z numerem Asadów, znalazł rozmowy na telefon komórkowy w Nowym Jorku. W ciągu

paru godzin FBI namierzyła ten telefon, aparat na kartę kupiony dwa lata wcześniej w pewnym sklepie w dzielnicy Queens. Telefon byłby nie do znalezienia, gdyby Ala zapłacił wtedy gotówką. Ale z niewiadomych przyczyn dokonał transakcji kartą kredytową na nazwisko Hosni Nakla, 1335 Flatbush Avenue, mieszkanie 5L, Brooklyn, Nowy Jork. Osobnik ten posiadał również prawo jazdy wystawione w stanie Nowy Jork. Fotografia w tym dokumencie odpowiadała zdjęciu Ali znalezionemu w domu rodziny Asadów w Ka-irze. W tej sytuacji P60 zdecydowała się na złożenie bardzo wczesnej wizyty w mieszkaniu 5L.

Typowe zakończone sukcesem dochodzenie, pomyślała Exley. Odrobina szczęścia oraz mnóstwo ciężkiej pracy. Wszystko przebiegło bardzo szybko, jak klocki domina przewracające się jeden po drugim, co zdarzało się często w przypadku najbardziej owocnych śledztw

Z drugiej jednak strony dochodzenia w sprawie wybuchu w Albany oraz rzezi w Atlancie utknęły w martwym punkcie. Strzelanina w domu generała okazała się szczególnie zagmatwana. Początkowo Exley i jej koledzy w PGO wychodzili z założenia, że cztery trupy były efektem aktu terroru. Jednak ukryte życie Westa nakłoniło wszystkich do zmiany tej opinii.

FBI, która kierowała śledztwem, odkryła, że w okresie czynnej służby wojskowej generał sypiał z co najmniej pięcioma żołnierzami. W swoim czasie zmusił pewnego sierżanta do przejścia na emeryturę, po tym jak ich gorąca zażyłość ostygła. Każdy z tej piątki posiadał alibi, ale inni dawni kochankowie zapewne czaili się w ukryciu. Któryś z nich mógł z zemsty zamordować Westa. Nie wykluczano również motywów rabunkowych; policjanci z Atlanty znaleźli dwieście tysięcy dolarów ukrytych w sejfie w sypialni generała.

Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że dowody rzeczowe wskazywały jednoznacznie, iż to nie West ani jego goryl

zabili Arabów. Trzeci strzelec zlikwidował ich obu, potem uciekł. Ale dlaczego? Terrorysty nie strzelają do siebie nawzajem. Być może ten trzeci wynajął dwóch pozostałych, by dopomogli mu w zabójstwie z zemsty, a potem sprzątnął obu, nie zostawiając zbędnych świadków

Taką w każdym bądź razie hipotezę sformułowało FBI. Exley i Shafer oraz inni w Agencji, którzy wiedzieli o Wellsie, mieli własne podejrzenia. Jednak w czasie nadzwyczajnej narady, jaka miała miejsce dwa dni później, Duto ostrzegł ich wszystkich, że istnienie Wellsa ma pozostać tajemnicą.

- Jest naszym atutem - oznajmił Duto. - Nie ma dowodów na to, że maczał w tym palce. Nie ma więc potrzeby informować o nim Federalnych.

Kolejne kłamstwo, pomyślała Exley. Wells nie był teraz niczym atutem, a z pewnością nie Agencji. Jednak nie sprzeczała się. Jeśli Wells nie był zamieszany w strzelaninę, podanie jego nazwiska do publicznej wiadomości byłoby równoznaczne z dekonspiracją. Jeśli jednak brał w tym udział... Exley nie śmiała nawet pomyśleć o potencjalnych następstwach.

Przez cały ten czas ekipa Duto prowadziła poszukiwania Wellsa. O ile Exley wiedziała, nie wpadli na żaden trop, chociaż nie miała pewności, czy Duto poinformowałby ją albo Shafera, gdyby na taki ślad natrafili. Ona im nie pomogła. Wciąż nie ujawniła informacji o porannym telefonie Wellsa. Upłynęło zbyt dużo czasu, przekonywała samą siebie. Gdyby powiedziała o tym teraz, wpadłaby w niezłe tarapaty. Znała jednak prawdę. Za żadne skarby nie chciała, żeby Wells wyładował w karcerze na Diego Garcia. Kiedy będzie gotowy, na pewno skontaktuje się z nią.

Zatem FBI nigdy nie dowiedziała się o Wellsie. Nie był to jedyny problem, z jakim borykali się dochodzeniowcy z Atlanty. Pentagon naciskał na utajnienie szczegółów tego, co wydarzyło się w domu generała, utrzymując, że ujawnienie

zbyt wielu faktów może stanowić zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Prawdziwy motyw - zakłopotanie osobą Westa - łatwo można było rozczytać. Ludzie z FBI postanowili jednak nie wchodzić w spór. W ścisłej tajemnicy utrzymano nawet istnienie trzeciego strzelca. Brak informacji wytworzył próżnię, którą blogerzy zapełniali niestworzonymi historiami, chociaż żaden z nich nie odgadł faktycznego stanu rzeczy. Wyobraźnia nawet najbardziej szalonych zwolenników teorii spiskowej ma swoje granice.

Eksplozja w Albany pogłębiła tylko frustrację w szeregach P60. Bomba nie pozostawiła żadnych specyficznych śladów. Mechanizm zegarowy, baterie oraz przewody były dostępne w każdym sklepie sieci Home Depot. Plastik C-4 przeznaczony był do użytku wojskowego, ale tego rodzaju materiał wybuchowy można nabyć za odpowiednią cenę w całej Ameryce Południowej oraz Europie Wschodniej. Radioaktywne odpady umieszczone w bombie nie odpowiadały żadnej z próbek, których specyfikację Departament Energetyki otrzymał z rosyjskich laboratoriów jądrowych.

Oficerowie śledczy w Albany zdołali jednak zidentyfikować człowieka, który zginął w eksplozji. Był to niejaki Tony DiFerri, bezrobotny kanciarz, kilkakrotnie aresztowany za włamania i przemyt papierosów. Żaden z tych faktów nie tłumaczył jednak, dlaczego facet skończył rozerwany na strzępy wewnątrz schowka D-2471. Zdaniem Połączonej Grupy Operacyjnej do Spraw Terroryzmu najbardziej prawdopodobna była hipoteza, że człowiek nazwiskiem Omar Khadri zdołał wystrychnąć Tony ego na dudka, przekonując go do otwarcia aluminiowego pojemnika. O ile nie schwytają Khadriego, nie dowiedzą się, czy mieli rację. DiFerri z całą pewnością niczego już nie wyjaśni.

Była piąta czternaście nad ranem. Jedna minuta do rozpoczęcia akcji. Widoczne na ekranie śmieciarki zjechały na chodnik i wyłączyły silniki. Exley pociągnęła łyk kawy.

- Sądysz, że zamiar jest trafny? - zapytała Shafera.

- Wiesz tyle samo co ja.

Chyba kłamię, pomyślała Exley, ale nie zamierzała się spierać. Shafer był tego ranka szczególnie drażliwy

- Założmy, że jest trafny. Problem...

Shafer przerwał jej w pół zdania. Na ekranie ludzie w czarnych kamizelkach kuloodpornych, hełmach z kevlaru i plastikowych osłonach na twarze wyskakiwali ze śmieciarek. Zatrzymali się na moment przed drzwiami frontowymi czynszowej kamienicy, wysadzili w powietrze zamek i wbiegli do środka.

Nalot przebiegł bardzo sprawnie. O godzinie piątej dwadzieścia dwie czterech agentów wyszło z budynku, prowadząc mężczyznę, który wyglądał na zdumionego, ubranego w bawełnianą koszulkę i spodnie od dresów, z rękami i nogami skutymi kajdankami. Wsadzili go do nieoznakowanej furgonetki i odjechali w eskorcie dwóch policyjnych radiowozów.

W sali Centrum Prezentacji Bezpiecznej Łączności rozleگی się nieśmiało owacje.

- Nieco za wcześnie na ekscytację, nie sądzisz? - wymruczał Shafer do Exley, wstrzymując oddech. - Nawet nie wiemy, czy to właściwy facet.

Shafer miał przypuszczalnie rację, lecz ona nie chciała tego słuchać. Po tym, kiedy w ciągu kilku ostatnich miesięcy wszystko szło nie tak jak powinno, P60 koniecznie potrzebowało przełomu.

- Czy możesz okazać zadowolenie choćby przez kilka sekund? - zganiała go. - Jeśli się mylimy, facet będzie wolny. Może wynająć prawnika i wnieść sprawę do sądu. Jak każdy inny

- Założmy, że się nie mylimy. Założmy, że to ten gość - spekulował Shafer. - Ktoś zakładał te komórki z wielką ostrożnością...

- Khadri - wtrąciła Exley

- Oczywiście, Khadri, kimkolwiek by nie był. Ktoś. John Wells. Ktokolwiek.

Exley położyła dłoń na ramieniu Shafera i obróciła go tak, żeby mógł widzieć jej twarz.

- Tak naprawdę w to nie wierzysz - powiedziała.

Shafer zaprzeczył ruchem głowy

- Nie. Ale im więcej czasu upływa, tym bardziej zachodzę w głowę. Dlaczego Wells do nas nie zadzwoni?

Exley poczuła, jak pulsują jej skronie, kiedy pomyślała o Johnie.

- On wie, że go zatrzymamy, jeśli uda się nam go odnaleźć - stwierdziła.

- Albo schowa się do jakiejś pieprzonej kreciej nory. Tak długo żył pod przykrywką, że teraz nie umie robić niczego innego. Chce ukryć się na zawsze.

- Jeśli będzie coś miał, odezwie się do nas. Jestem tego pewna.

- Jak możesz być czegokolwiek pewna w odniesieniu do Johna Wellsa?

Bardzo dobre pytanie, na które swoją drogą nie potrafiła odpowiedzieć.

- Zapomnij o Wellsie - powiedziała. - Wróć do Khadriego. Czy jak tam się nazywa.

- Bez względu na to, jakie nosi nazwisko, jest bardzo dobry. Nie dysponujemy jego zdjęciem, biogramem; niczym. A jego siatka jest hermetyczna. Od pięciu miesięcy czterystu naszych ludzi usiłuje rozpracować zamachy bombowe w Los Angeles. Cholerna pozoracja, jeśli miał to być akt odciągający naszą uwagę. Jakie mamy tropy? To samo odnosi się do Albany

- Jego siatka nie jest hermetyczna. Dzisiaj pojawił się przeciek.

- Nawet jeśli to jest właściwy gość, mieliśmy łut szczęścia.

- Dokonaliśmy wyłomu. Tak to należy oceniać, Ellis. I być może ten facet okaże się nitką, która zaprowadzi nas do kłębka.

- Założę się, że nie jest. O dolara. Pewnie nasz nowy przyjaciel Ala przez cały czas, odkąd przyjechał do Stanów, czekał na telefon. Dlatego właśnie przestał być czujny. Ogarnęło go znużenie. Stał się zdalnie sterowaną marionetką. Khadri jest zbyt przebiegły, by przekazywać marionetkom ważne informacje.

- Nie zakładam się więcej, Ellis. Wciąż jesteś mi winien sto dolców za Wellsa. Możesz zresztą mówić, co chcesz. Ja jestem zadowolona, że schwytaliśmy tego typu.

Starła się mówić spokojnym głosem, ale czuła, jak narasta w niej złość.

- Być może.

- Być może. Po raz pierwszy schwytaliśmy w Ameryce uśpionego agenta al-Kaidy, a ty żałujesz, że tak się stało?

- Wyluzuj Jennifer.

- Nie cierpię, kiedy mężczyźni mówią mi, żebym wyluzowała.

- W takim razie pozostań spięta. Ale rozważ sprawę na chłodno - nie dawał za wygraną Shafer. - Khadri widzi, że zaciskamy pętlę wokół niego. Musi więc uwzględnić najgorszą ewentualność: że depczemy mu już po piętach, że jesteśmy na tropie Siatki X. Sądzę, że wykona ruch bardzo szybko.

- Zanim będzie gotowy

- Chcesz powiedzieć, zanim my będziemy gotowi. Będzie więc pięć tysięcy ofiar zamiast dwudziestu tysięcy - rozeźmiał się kwaśno Shafer. - Tym gorzej, że nie jesteśmy tak blisko, jak mu się wydaje.

Exley poczuła ochotę, by walnąć głową w najbliższą ścianę.

- Powiedziałeś to Duto?

- Dwa dni temu poradziłem mu, że powinniśmy śledzić Alę, zamiast go aresztować. Nie ruszając ręką - wyznał Shafer.

Spoglądał na główny monitor. Furgonetka, w której więziony był Ala, pędziła teraz przez Most Brookliński w kierunku federalnej izby zatrzymań w śródmieściu Manhattanu.

- Domyślasz się, jakie miał zdanie na ten temat.

- Niech zgadnę. Stwierdził, że spekulujesz. Że są to czcze domysły. Że nie zostawiamy na ulicy uśpionych agentów al-Kaidy Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w Albany i w Los Angeles. Że nie ma żadnego dowodu, który sugerowałby zmianę planów terrorystów na skutek naszych działań. Oraz że nie dowiemy się, co rzeczywiście wie Ala, jeśli go nie zapytamy

- Pominęłaś jeszcze ten wątek, w którym powiedział mi, że wywołuję fałszywy alarm.

- To wszystko prawda - przyznała Exley - Wszystko, co powiedział, jest prawdą.

Czuła się jednak nieswojo. Shafer miał rację. W końcu, po tylu latach, Agencja i FBI natrafiły na trop Siatki X. Podpaliły lont.

- Masz słuszość - zgodził się Shafer. - Ja tylko zgaduję.

- Tak jak zgadywałaś w dwa tysiące pierwszym roku.

Od tamtej pory nic się nie zmieniło, pomyślała Exley. Agencja i P60 wciąż trwały z uporem przy drobnych, pokazowych operacjach, zamiast odnaleźć człowieka, który tym wszystkim kierował.

- Duto przypomniał mi również, że w CIA nie podnosimy już fałszywych alarmów - dodał z przekąsem Shafer. - Ani nie odgadujemy zamiarów Białego Domu. Stanowimy instrument narodowej polityki. Robimy to, co się nam każe. Zapomniałem o tym.

Wyciągnął portfel, odliczył pięć dwudziestodolarowych banknotów i wsunął jej do ręki.

- To za Wellsa.

Exley splenęła rumieńcem.

- Ja tylko żartowałam, Ellis - wzbraniała się. - Nie chcę twoich pieniędzy

Usiłowała oddać mu banknoty, ale Shafer włożył ręce do kieszeni.

- Zatrzymaj je - odparł. - Może to przyniesie nam szczęście. Niech kret wylezie z nory

- Sądziłam, że nie wierzysz w szczęście.

- Bo nie wierzę.
Odszedł.

W hotelu Marriot w Stamford, stan Connecticut, Khadri oglądał aresztowanie w Brooklynie w lokalnym serwisie informacyjnym z Nowego Jorku. Relacja była pobieżna - policja nie ujawniła nazwiska Ali, ani też nie podała bliższych szczegółów - ale Khadri wiedział, kogo aresztowano, z chwilą gdy zobaczył czynszową kamienicę.

Co gorsza, nie był w stanie pojąć, jakim cudem *kafirowie* znaleźli Alę. Jedynie dwóch ludzi znało prawdziwą tożsamość Asada oraz jego adres. Jednym z nich był Khadri, drugim natomiast szef komórki Ali, Libańczyk nazwiskiem Ghazi, zamieszkały w Yonkers, w aglomeracji Nowego Jorku. Khadri musiał się upewnić, że Ghazi jest bezpieczny. Lecz co powinien zrobić, jeśli Amerykanie aresztowali już także Libańczyka i czekają na telefon od Khadriego?

Nie. Żona i dzieci Ghaziego zginęły w trakcie inwazji Izraela na Liban w 1983 roku. Libańczyk nienawidził Żydów i Amerykanów bardziej niż ktokolwiek, kogo Khadri kiedykolwiek spotkał. Ghazi prędzej by umarł, niż zdradził braci z al-Kaidy. Niewierni musieli trafić na trop Ali w inny sposób. Na całe szczęście Asad wiedział niewiele: znał tylko numer telefonu komórkowego, który Khadri zniszczy teraz bez chwili zwłoki, oraz adres poczty elektronicznej, z którego on już więcej nie skorzysta.

Pukanie do drzwi zaskoczyło go. Spojrzał na walizkę, w której ukryty był pistolet. Czyżby *kafirowie* przyszli już po niego?

- Tak?
- Obsługa.

Racja. Śniadanie. Otworzył drzwi, wciąż po części spodziewając się, że ujrzy szereg agentów FBI z wymierzonymi pistoletami. Jedyną jednak osobą znajdującą się na zewnątrz był hotelowy kelner z tacą.

- Proszę to tu postawić.
- Tak, proszę pana.

Khadri spojrział na jedzenie: gorąca kawa, jajecznica, z której wciąż jeszcze unosiła się para, szklanka świeżego soku z pomarańczy. Normalnie byłby głodny jak wilk. Ale tego ranka stracił apetyt. W ciągu ostatniego miesiąca stracił trzech spośród dziesięciu uspiionych agentów, którymi al-Kaida dysponowała na terenie Stanów Zjednoczonych. W tym Kaisa, najlepszego z tajnych współpracowników

Khadri wyjaśnił Kaisowi, że zaplanował misję w Atlancie w celu sprawdzenia lojalności Wellsa. Ostrzegł go, by zachował ostrożność i natychmiast zabił Amerykanina, jeśli poczuje się choć odrobinę zagrożony. Teraz Khadri nie potrafił zrozumieć, co się wydarzyło. Wells przesłał mu wiadomość pocztą elektroniczną, tłumacząc, że misja nie przebiegła zgodnie z planem, ponieważ West nie spał tam, gdzie się spodziewali. Był poza głównym domem i uprawiał seks ze swoim gorylem. Ochroniarz zastrzelił Kaisa i Samiego, zanim Wells zabił jego i generał,

Historia była na tyle cudaczna, że Khadri prawie w nią uwierzył. Prawie. Żałował, że nie wie, czy może zaufać Well-sowi. Kwestię tę rozważał bez końca, lecz wciąż nie miał pewności. Wierzył jednak, że odpowiedź brzmi „tak”. Co jeszcze ważniejsze, nie miał specjalnie wyboru, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło w Montrealu.

Jeszcze jedna katastrofa, pomyślał Khadri. Allah nie pobłogosławił mu w tym miesiącu. Szurnięty Tarik Dourant. Khadri rozumiał, dlaczego biochemik stracił panowanie nad sobą. Jego żona zasłużyła na los, jaki ją spotkał. Ale dlaczego Tarik po prostu nie zaczekał? Khadri bez żadnego problemu zająłby się Fatimą i jej kochankiem *kafirem* w stosownym czasie. Tarik jednak rzucił się na nią z nożem - a teraz jego badania pójdą na marne. Policja w Montrealu raz już wypytywała go w sprawie zniknięcia Fatimy. Niebawem przyjdą po niego. Zanim jednak Tarik zostanie aresztowany, Khadri

musi przemieścić bakterie dżumy na teren Stanów Zjednoczonych.

Wells stanowił najlepszy wybór. Pozostali uspieni agenci mogli mieć problemy na granicy, ale on nie powinien mieć żadnych kłopotów z jej przekroczeniem. Khadri doszedł do wniosku, że wymyślił niezawodny plan, który zadziała nawet wtedy, gdyby się okazało, że Wells jest amerykańskim szpiegiem. Plan, który zmieni całkowicie bieg spraw i zaszokuje świat.

Khadri potrzebował zatwierdzenia nowego planu przez Ajmana al-Zawahiriego najszybciej jak to możliwe. Zawahiri nie będzie zachwycony zmianami. Al-Kaida szykowała się do ataku przez całe lata. Operacji takiej jak ta nie powinno się korygować z wyprzedzeniem kilku dni, a nowy plan miał kosztować organizację wszystkich jej uspiionych agentów za jednym zamachem. Ale Zawahiri to zrozumie. Lepiej, żeby ich ludzie zginęli chwalebną śmiercią, niż zostali aresztowani jeden pod drugim. Lepiej uderzyć teraz, kiedy mają dość siły na zadanie ciężkiego ciosu. Atak ten nie będzie tak misterny jak pierwotnie planowali, ale pociągnie za sobą śmierć nie mniejszej liczby ludzi.

Khadri pochylił się, przystępując do modłów. Nie mógł dłużej ulegać złudzeniom. Pętla się zaciskała. Przypuszczał, że nigdy nie zobaczy Mekki, co było jego największym marzeniem. Nigdy też się nie ożeni i nie założy rodziny. Prawdopodobnie umrze w tym obcym kraju, osaczony przez niewiernych. Bardziej jednak obawiał się porażki niż śmierci.

W tej przynajmniej kwestii on i Wells byli do siebie podobni.

Gdy zadzwonił telefon, Wells wiedział, co teraz nastąpi. Jediną osobą, która znała ten numer, był Khadri. Wyciągnął aparat z kieszeni, zacerpnął tchu i odebrał połączenie.

- Dżalal?
- *Nam.*

- Sprawdź skrzynkę pocztową na Yahoo.
Kliknięcie.
- Jak sobie życzysz, Omar - odparł Wells do głuchej już linii.

Wreszcie, pomyślał Wells. Wreszcie Khadri zdecydował się go wykorzystać. Instynktownie czuł, że będzie to prawdziwa misja, jakiej oczekiwał od tak długiego czasu. Nawet jeśli Khadri kolejny raz wysłał go fałszywym tropem, Wells wiedział, że spotka się z nim ponownie. Tym razem unicestwi Khadriego. Nawet jeśli będzie musiał rozszarpać mu gardło gołymi rękoma.

Wells zrozumiał teraz, że Khadri był podporą al-Kaidy, z punktu widzenia planów terrorystów ważniejszą nawet niż Zawahiri czy sam bin Laden. Khadri i wyłącznie on miał pod kontrolą siatkę agentów na terenie Stanów Zjednoczonych. Bez niego zdolność al-Kaidy do przeprowadzenia ataku na Amerykę ulegała regresowi o co najmniej pięć lat. Może nawet więcej. Nie na wieczność, ale na wystarczająco długo, by major Glen Holmes oraz starzy przyjaciele Wellsa z sił specjalnych wykurzyli ostatniego wojownika świętej wojny z Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. I by pojмали Zawahiriego oraz bin Ladena we własnej osobie. By pokonali al-Kaidę. Kluczem był Khadri.

W bibliotece publicznej w Doraville Wells zalogował się na konto e-mailowe. Polecenia były proste. Pojeźdź - Khadri wyjaśnił, że Wells ma pojechać autem - do Montrealu. Odbierz paczkę w hotelu. Przyjeźdź z powrotem. Khadri podał też numer kontaktowego telefonu do osoby, z którą Wells miał się spotkać w Montrealu. Do spotkania miało dojść za niespełna dwadzieścia cztery godziny Wells musiał więc działać szybko.

Po powrocie do mieszkania spakował do niedużej torby podróźnej niezbędne rzeczy. Apteczkę pierwszej pomocy. Latarkę. Czarne skórzane rękawiczki. Nóż, który przypiął do łydki. Czterdziestkę piątkę zabraną Samiemu. Owinął plastikową

folią pistolet oraz tłumik i włożył do oddzielnej torby. Będzie musiał ją ukryć, zanim dojedzie do granicy, ale w tę podróż chciał zabrać ze sobą spluwę. Pozostałą broń zostawił w mieszkaniu. Glocka pozbył się przed paroma tygodniami, wrzucając go do rzeki Chattahoochee, na opustoszałym odcinku w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów na północ od Atlanty. Pistolet chlupnął w ciemne wody rzeki i zniknął bez śladu. Wells żałował, że z jego pamięci nie znikli również łatwo Kais i Sami.

Wsunął do torby także swój egzemplarz Koranu. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, po tym wszystkim, czego się dopuścił, nie był pewien, czy wciąż wierzy. Mimo to książka ta była niczym stary przyjaciel, z którym od jakiegoś czasu się nie widział. Być może nie mieli już sobie wiele do powiedzenia. Ale kiedyś rozumieli się nawzajem, a to przecież coś znaczyło.

Rozejrzał się po mieszkaniu ostatni raz, gdy wychodził. Lucy zdechła, ale Ricky wciąż pływał w akwarium. Wells zdecydował, że nakarmi rybkę ostatni raz. Coś mu mówiło, że nie zobaczy tego miejsca nigdy więcej. Niewielka strata. Spełniło swoje zadanie.

Gdy był na zewnątrz, zastukał do drzwi sąsiada, Wendella Huryego, starego człowieka, którego telewizor Wells słyszał każdego dnia przez ścianę, ryczący na cały regulator, nastawiony na quizy i teleturnieje. Mówiąc prawdę, nie znali się zbyt dobrze, ale Wendell było jedyną osobą w całej Atlancie, która mogła zauważyć jego zniknięcie. Wells poczuł osobliwy impuls, który kazał mu powiedzieć „do widzenia”. Chociaż jednak słyszał przez drzwi grający telewizor Wendella, staruszek nie odpowiedział na jego pukanie. Wells odczekał kilka sekund, potem odwrócił się.

Wells opuścił boczne szyby, kiedy przejeżdżał przez przedmieścia, a potem wjechał na porośnięte bujnymi zielonymi lasami obszary północno-wschodniej Georgii.

Wrześniowe powietrze było ciepłe i wilgotne, gęste chmury na niebie zwiastowały zbliżającą się popołudniową ulewę. Czuł, jak po plecach spływa mu struzka potu. Włączył radio i przez chwilę przeskakiwał między stacjami, nie mając pewności, której chce posłuchać. Potem usłyszał skrzypce z utworu *The Devil Went Down to Georgia*, wielkiego przeboju stylizowanego na country w wykonaniu zespołu Charlie Daniels Band, którego Wells nie słyszał co najmniej od lat szkolnych.

*The devil went down to Georgia
He was looking for a soul to steal
And he was in a bind'
Cause he was way behind
And was will in' to make a deal...**

Tłum.: *Diabeł zawędrował aż do Georgii
w poszukiwaniu dusz, które skraść by mógł.
Od tak dawna po świecie się tłukł,
że już prawie nie czuł nóg
i koniecznie tutaj chciał targu dobić...*

Piosenka sprawiła, że na twarzy Wellsa pojawił się szeroki uśmiech - pierwszy prawdziwy uśmiech od tygodni. Przez chwilę dociskał pedał gazu, czując, jak niewielki silnik rangera zwiększa obroty, a pikap wyrywa się do przodu, potem cofnął nogę i upomniał siebie, żeby nie jechać za szybko. Nawet gdy po wyjeździe z przedmieść Atlanty autostrada zwężyła się do dwóch pasów, ruch wciąż był intensywny, a patroli stanowej drogówki pojawiały się nieustannie. Lecz ogromne znaki drogowe oraz gładka i równa nawierzchnia z makadamu działały na Wellsa kojąco. Gdy jechał przez Karolinę Południową, nie przestawał nucić „Diabeł zawędrował aż do Georgii...”, zastanawiając się przy tym, co sądziliby o tej piosence jego dawni towarzysze broni z Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Zapewne nie spodobałyby się im. Po raz pierwszy od

chwili, gdy ponownie pojawił się w Stanach Zjednoczonych, Wells poczuł się prawdziwym Amerykaninem.

W Karolinie Północnej niebo pociemniało. Deszcz walił strugami o przednią szybę, a samochody zwolniły, pokonując głębokie po kolana kałuże. Za Durham Wells zatrzymał się na ogromnej stacji benzynowej Mobil. Kiedy bak rangera był zatankowany do pełna, wybrał na telefonie komórkowym numer do Exley. Powinien powiadomić ją o informacji otrzymanej od Khadriego. Słyszał niemal pomruk jej głosu, kiedy wybierał cyfry. Zanim jednak połączenie zostało nawiązane, rozłączył się. Informacja od Khadriego była zbyt mało precyzyjna, żeby mogła się przydać. Hotel mógł być tylko przypadkowym adresem. Podobnie jak w przypadku ich spotkania w Atlancie, Khadri z pewnością podjął środki ostrożności, chcąc się upewnić, że za Wellsem nie wlecze się żaden ogon.

Wells nie zamierzał wciągać w sprawę Agencji, dopóki nie będzie miał w rękach czegoś konkretnego, na przykład paczkę - lub, nawet lepiej, Khadriego. W przeciwnym razie nikt w Langley nie da mu wiary. Nawet Exley powie mu jedynie, żeby się ujawnił i poddał. Nie. Żeby odkupić swoje winy, Wells potrzebował przesyłki, bez względu na jej zawartość. Wsunął telefon z powrotem do kieszeni.

Reszta podróży minęła spokojnie. Na południe od Waszyngtonu Wells skręcił ku wschodowi na trasę 495, szlak, który pozwalał mu ominąć najszerszym łukiem Langley. Kolejny raz walczył z impulsem, który nakazywał mu zadzwonić do Exley. Będzie miał dość czasu później, żeby powiedzieć jej wszystko, co pragnie... O ile przeżyje.

Potem, po raz pierwszy od kilku tygodni, Wells pomyślał o synu. Ścisnął kurczowo kierownicę, gdy przypominał sobie

dzień sprzed niemal sześciu miesięcy, kiedy była żona zabroniła mu spotkać się z Evanem. Heather miała rację. Wells sam dokonał wyboru, poświęcając rodzinę; nic, co powie lub uczyni, nie uleczy rany. Na moment zamknął oczy. Kiedy je otworzył, odegnał od siebie myśli o rodzinie i postanowił zająć umysł wyłącznie zadaniem, które go czekało.

Mknął przed siebie, uciekając przed goniącą go burzą; jego mały biały pikap sunął w ciszy przez noc. Kiedy dotarł do mostu Jerzego Waszyngtona, wyświetlacz cyfrowego zegara w aucie wskazywał godzinę drugą czterdzieści siedem. Powietrze było chłodne i wilgotne. Wells odczuwał zmęczenie oraz bóle mięśni od długich godzin siedzenia na twardym fotelu forda rangera, ale wiedział, że w razie potrzeby może wytrzymać jeszcze całą dobę bez snu. W Afganistanie pewnego razu wytrwał na nogach sześćdziesiąt pięć godzin. Choć był wtedy o parę lat młodszy

Dźwigary gigantycznego stalowego mostu świeciły białym blaskiem w mroku nocy. Po prawej stronie, ku południu, wieżowce Manhattanu jarzyły się nad wstęgą rzeki Hudson. W oddali widział Statuę Wolności. Wells rozumiał, dlaczego Khadri nazwał to miasto pięknym. Nie miał wątpliwości, że al-Kaida uczyni wszystko co możliwe, by je zniszczyć.

Skręcił na północ na drogę międzystanową 1-87, podążając ze wskazaniem drogowym w kierunku Albany. Po kilku minutach dojechał do mostu Tappan Zee, przerzuczonego nad rzeką Hudson niczym wąż unoszący się na wodnej tafli. Wells uśmiechnął się do siebie, gdy przekraczał rzekę, zdając sobie sprawę, że mógł przez cały czas pozostawać na zachodnim jej brzegu. Dobrze. Będzie pamiętał o tym skrótce, kiedy następnym razem Khadri wyśle go z Atlanty do Montrealu po odbiór sekretnej przesyłki.

Północ. Zjazdy odchodziły z autostrady coraz rzadziej i rzadziej. Wells przecierał oczy i odpierał pokusę, by nadepnąć mocniej na gaz, Za Albany na autostradzie panowała

upiorna, postapokaliptyczna pustka. Włączył samochodowe radio, chcąc wypełnić tę próżnię i uśmiechnął się do siebie, gdy trafił na piosenkę Springsteena, puszczaną w dolnym zakresie fal ultrakrótkich.

*I've got my finger on the trigger
Tonight faith just ain't enough.**

Tłum.: Trzymam palec na spuście -
czyż wiara to dzisiaj niewystarczający powód?

W miarę przejeżdżanych kilometrów zakłócenia stawały się jednak coraz silniejsze, aż wreszcie Wells nie mógł już zrozumieć głosów, które słyszał. W końcu wyłączył radio i jechał dalej w ciszy

Słońce wzeszło, odsłaniając Adirondacks, pasmo niskich gór pokrytych gęsto lasami, które przypominały mu lata spędzone w Dartmouth. W styczniu te wzgórza będą równie mroźne i okrutne co liczące trzy tysiące metrów z okładem szczyty w Montanie. Teraz jednak wyglądały na łagodne i łatwe do zdobycia. Jak w wielu innych miejscach tego świata, stanowiły pułapkę dla ludzi nieroztropnych. W Chestertown, położonym nieco ponad sto kilometrów od granicy, Wells zjechał z szosy i znalazł motel bez nazwy, z zapalonym czerwonym neonem: WOLNE MIEJSCA. Nadrobił sporo czasu i chciał przespać się trochę, zanim przekroczy granicę. Zapłacił za pokój za trzy dni z góry, potem rzucił się na łóżko i spał nieprzytomnym snem przez dwie godziny do chwili, kiedy ze snu wyrwał go budzik. Wziął prysznic, ogolił się i ubrał, potem wsunął torbę z czterdziestką piątką do szuflady taniej drewnianej komody.

Wychodząc, zawiesił na zewnątrz drzwi tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ. Pistolet będzie tu bezpieczny do jego powrotu. Nawet jeśli gospodyni zajrzy do środka, Wells miał pewność, że nie zrobi nic poza zmianą ręczników.

Minął Champlain, ostatni zjazd z drogi międzystanowej 1-87 przed granicą amerykańsko-kanadyjską. Autostrada rozdzielała się, Wells zwolnił, dołączając do ogonka czekających na przekroczenie granicy. Spojrzał na zegarek. Jedenasta piętnaście. Słońce świeciło ostro na bezchmurnym niebieskim niebie. Idealny ciepły wrześnieowy dzień, przypomnienie o tym, że lato jeszcze nie dobiegło końca. Czuł się rześki, pełen sił i gotów do akcji.

Na granicy z Kanadą nie wymagano paszportu. Wells pokazał prawo jazdy

Pogranicznik spojrział na dokument, potem omiół leniwie wzrokiem twarz Wellsa.

- Z Georgii? Kawał drogi.
- Jakbym nie wiedział.
- Czy wjeżdża pan w celach biznesowych czy dla rozrywki?

- Dla rozrywki, mam nadzieję - Wells się uśmiechnął. - Spotykam się z kobietą, z którą wymieniamy e-maile. Ma na imię Jennifer. Mieszka w Quebecu. Spodziewam się, że jest równie ładna jak na przesłanych zdjęciach.

Oficer kontroli granicznej skinął głową.

- Jak długo zamierza pan zostać w Kanadzie?
- Kilka dni. Zależy od tego, jak sprawy się ułożą.
- Ma pan zarezerwowany hotel?
- Mam nadzieję, że nie będzie potrzebny
- W porządku. Udanej zabawy

Pogranicznik oddał Wellsowi prawo jazdy i kiwnął ręką, że może jechać.

Telefon Wellsa zadzwonił, kiedy jego ranger był na moście Champlain, przejeżdżał na drugą stronę Rzeki Świętego Wawrzyńca i zbliżał się do drapaczy chmur w śródmieściu Montrealu. Nacisnął przycisk na aparacie.

- *Nam.*
- Mówi Richard.

Głos mężczyzny drżał. Ale podał właściwe imię, którego Wells powinien oczekiwać na podstawie informacji otrzymanej od Khadriego.

- Karl - odpowiedział Wells.

- Tak. Dobrze. Jesteś już blisko?

Wells nie rozpoznawał akcentu. - Tak.

- Dobrze. Jest nowy plan.

Wcale go to nie zaskoczyło. Mężczyzna lekko zakaszłał.

- Jedź do Quebecu. W pobliżu Hotel de Ville, ratusza, tam jest olbrzymi piętrowy garaż. Powinieneś znaleźć bez trudu. Spotkasz mnie tam na drugim poziomie o czwartej po południu. Mam białego minivana.

Słowa były właściwe, ale zdania brzmiały niezbyt składnie. Angielski nie był pierwszym językiem tego gościa, ani jego drugim.

- Znajdę cię. Mam pikapa. Też białego.

Kliknięcie. Amator, pomyślał Wells. Albo zawodowiec prowadzący osobiwą grę.

Tarik odczekał, aż ręce przestaną mu drżeć, potem wsunął telefon do kieszeni. Dżalal przyjechał, zgodnie z obietnicą Khadriego. Teraz Tarik musiał dotrzymać własnej obietnicy i dostarczyć przesyłkę.

Zajął się ciałem żony: umieścił je w plastikowym worku i zamknął w piwnicy szarego domu. Tymczasowe rozwiązanie, ale Tarik w ostatnich dniach myślał jedynie w krótkiej perspektywie. Tego ranka policja zastukała do niego drugi raz. Nie otworzył, ale oni wiedzieli, że jest w domu. Zapewne nie będą długo czekać, nim pojawią się ponownie z nakazem rewizji.

Do tego czasu jednak Dżalal odbierze przesyłkę. Plan powinien zadziałać, pomyślał Tarik. Od strony technicznej mechanizm dostawy był prosty. Bakterie były gotowe. Tak, plan

powinien zadziałać. O ile zdoła utrzymać nerwy na wodzy

Zatem moje kłamstwo na granicy na temat Quebecu okazało się prawdą, pomyślał Wells. Zatrzymał się, żeby zatan-kować, wyciągnął mapę i westchnął głęboko, gdy zobaczył, że jego nowa destynacja oddalona jest o kolejne prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Cóż, następnych parę godzin jazdy nie sprawi mu wielkiej różnicy

- Wio! - powiedział do siebie, gdy przekreślał kluczyk w stacyjce ramera.

Piętrowy garaż w Quebecu był ogromny i prawie pusty Wells przejechał przez niego powoli, zawracając dwa razy. Na ile się zorientował, nikt go nie śledził, ale znał ograniczenia działań chroniących przed inwigilacją. W końcu zaparkował. Przechylił głowę do tyłu i natychmiast zasnął. Najlepszy sposób na zgromadzenie energii.

Wells zerwał się z miejsca, już obudzony. Podniósł głowę i zauważył białego minivana marki Ford Windstar oraz młodego mężczyznę, który siedział za kierownicą i naciskał na klakson. Potem mężczyzna otworzył drzwi swego auta od strony pasażera. Wells wysunął się z pikapa i przesiadł do minivana.

Kierowca był niski i chudy, pod oczyma miał ciemne, brązowe wory, mięśnie policzków drgały mu w nerwowym tiku. Obliznął nerwowo wargi, kiedy wymieniali uścisk dłoni.

- Zatem lubisz jazz - podał hasło.

- Słucham go każdego popołudnia - odparł Wells, podając umówiony odzew

Kierowca sprawiał wrażenie, jakby nieco się odprężył. Wrzucił bieg i powoli ruszyli z miejsca. Wells położył torbę za sobą, na tylnym siedzeniu.

- Jestem Tarik.

- John. Albo Dżalal. Jak wolisz.

- *Salam alajkum*, Dżalal.

- *Alajkum salam*.

Tarik wyjechał minivanem z garażu, potem skręcił w kierunku drogi Canada 40, autostrady łączącej Quebec City z Montrealem. Prowadził ostrożnie, nieustannie spoglądając we wsteczne lusterko i z dużym wyprzedzeniem włączając migacze przed zmianą pasa ruchu.

- Wracamy do Montrealu? - zdziwił się Wells. - Jesteś pewien, że nie pracujesz dla Exxon, spalając tyle paliwa?

Mięśnie na chudych przedramionach Tarika drgnęły w nerwowym skurczu. Jeśli nie był przestraszony, odgrywał doskonale przedstawienie.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To był żart... nieważne.

Tarik spojrział na Wellsa.

- Czy możesz zapiąć pasy, proszę?

Wells zapiął bez słowa komentarza.

- Czy mogę włączyć klimatyzację? Lubię chłód - wyjaśnił Tarik.

- Ty prowadzisz, Tarik. Możesz robić, co tylko chcesz.

Tarik włączył klimatyzację i przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Przepraszam, że kazałem na siebie czekać - odezwał się zdawkowo Wells.

- Że kazałeś na siebie czekać? Nie, nie - wyrzucił z siebie Tarik. - Przyjechałem chwilę wcześniej, zanim mnie zobaczyłeś.

Dlaczego więc spotkaliśmy się w Quebecu zamiast w Montrealu? - zastanawiał się Wells. Tarik w żaden sposób nie usiłował zgubić potencjalnego ogona. Mówiąc prawdę, jechał na tyle ostrożnie, że każdy mógł go śledzić.

- Skąd pochodzisz, Tarik?

- Dorastałem niedaleko Paryża.

To wyjaśniało jego akcent.

- Teraz mieszkasz w Kanadzie?

- Tak. W Montrealu.

Prowadzili wywiad, nie rozmowę. Tarik był zbyt zdenerwowany, by zadać choćby jedno pytanie. Wells mógł przejść na arabski, ale zdecydował się pozostać przy angielskim, chcąc utrzymać tamtego w stanie emocjonalnej nierównowagi.

- Pracujesz tutaj?
- Jestem doktorantem.
- Czego?
- Neuro... neurofizjologii.

Mięśnie przedramion Tarika znów drgnęły. Wells zaczął się zastanawiać, czy w Montrealu nie będą czekać na nich funkcjonariusze Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej.

Tarik czynił co mógł, by wyglądać na przestraszonego, chociaż mówiąc prawdę, wcale nie musiał grać. Khadri ostrzegł, że Wells będzie go sondował; przećwiczył też z nim pożądane odpowiedzi. Jeśli Tarik będzie kłamał tylko wtedy, kiedy to konieczne, nic złego mu się nie przydarzy, powiedział Khadri. Wymagano od niego jedynie zachowania spokoju przez kilka godzin, przekazania przesyłki Wellsowi i odesłania Amerykanina z powrotem w drogę.

Tarik żywił desperacką nadzieję, że Khadri miał rację.

- Podobają ci się? - zapytał Wells.
- Co?
- Studia doktoranckie.
- Tak.
- Jesteś żonaty, Tarik?

Tarik uśmiechnął się niepewnie.

- Już nie.

Sprawił wrażenie, że zмага się ze sobą, ale teraz Wells nie był już pewny niczego, co robił ten dzieciak.

- Przykro mi, że się wam nie ułożyło.

Wells czekał, ale Tarik się nie odzywał.

- Tarik. Wiesz, kto mnie przysłał. Czy coś jest nie tak? - przeszedł na arabski.

- Nie. Wszystko jest w porządku.

Słowa te zabrzmiały dziwnie w ustach Tarika. Zaprzeczył z uporem ruchem głowy, jak uczeń szóstej klasy przyłapany na przekazywaniu ściąg.

Wells zmienił temat.

- Co znajduje się w przesyłce, Tarik?

- Nie wiem. Dotarli do mnie wczoraj. Nie otwierałem ich.

Wells ponownie czekał. Piętnaście minut. Pół godziny Tarik wciąż milczał jak grób. W końcu Wells zapytał, na tyle spokojnie, na ile mógł.

- Dotarli? Więc przesyłek jest więcej niż jedna? Ile?

- Nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Skąd je przysłano? Kto je dostarczył?

- Działal, proszę.

- Czy jest drugi kurier, Tarik?

Ale Tarik tylko zaprzeczył ruchem głowy i nie odpowiedział.

„Zarzuć haczyk i nie odzywaj się za dużo - powiedział Tarikowi Khadri. - Nie obchodzi mnie, co on będzie sądził o tym, co się dzieje. O ile tylko zabierze ze sobą przesyłkę, kiedy odjedzie.”

Khadri znów prowadzi grę, pomyślał Wells. Jak zwykle. Dlaczego nie przesłał paczek, bez względu na ich zawartość, bezpośrednio do Stanów Zjednoczonych? Po co posłużył się tym dzieciakiem, który wygląda, jakby zbierało mu się na wymioty? Dlaczego wysłał kilku kurierów?

Tarik siedział sztywno na fotelu kierowcy, ściskając kurczowo dłonie na kierownicy. Wells widział, że dzieciak nie zechce rozmawiać, chyba że przyłoży mu nóż do gardła. Jednak, mimo że bardzo pragnął przejąć kontrolę nad sytuacją,

musiał zachować cierpliwość. Tarik był tylko kurierem. Wells powinien zabrać przesyłkę, przekroczyć granicę i czekać na Khadriego.

Słońce wisiało już nisko na niebie, kiedy dotarli do Montrealu. Tarik zjechał z autostrady na obszar dość podupadłej dzielnicy Minęli jasno oświetlony islamski ośrodek społeczny, na którym widniały napisy w językach angielskim, francuskim i arabskim. Kilka minut później Tarik skręcił na parking równie podupadłego motelu.

- Zaczekaj - powiedział i wysiadł.

Poszedł do pokoju 104. Wells domyślił się, że Tarik zamówił ten pokój na noc jako miejsce przechowania tajemniczej przesyłki. Zwykle miejsce, którego Wells nigdy by nie wytropił. Sprytnie.

Wells rozejrzał się dookoła, szukając jakichś oznak tego, że jest śledzony. Nie dostrzegł niczego. Ulica była pusta. Żadnych helikopterów latających nad głową, żadnych ciężarówek firmy kurierskiej UPS przejeżdżających obok, żadnych fordów crown victoria zaparkowanych kwartał dalej. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście była to policyjna pułapka, gliny - albo agenci - będą czekać do chwili, gdy odbierze paczkę od Tarika. Być może zaczekają nawet do momentu, kiedy dotrze ponownie do Quebecu.

Więc mnie aresztujcie, pomyślał Wells. Niech to szaleństwo okaże się dziełem Agencji. Przynajmniej będę wiedział, że Langley jest o krok przede mną i depcze po piętach Khadriemu. Kiedy jednak rozejrzał się ponownie, miał pewność, że Agencji tu nie było. Ani Khadriego.

Tarik wyłonił się z pokoju 104, niosąc niebieską płócienną torbę podróżną, na tyle dużą, by mogła pomieścić zapas odzieży na tydzień oraz na tyle małą, by zmieściła się w schowku nad głową pasażera w samolocie. Ostrożnie umieścił torbę na tylnym siedzeniu minivana.

- W środku jest walizka. Nie otwieraj jej.

- A jeśli na granicy każą mi ją otworzyć?
- Omar, on stwierdził, że to twoje zmartwienie. Powiedział, że z pewnością coś wymyślisz.
- Miło mi, że pokłada we mnie tyle zaufania - oznajmił Wells.

Tarik nie odezwał się już więcej przez całą drogę powrotną do Quebecu, a Wells nie naciskał.

Garaż w Quebecu był niemal pusty, kiedy podjechali do niedużego białego pikapa. Wells nigdy nie czuł takiej radości na widok swojego auta. Wysiadł z minivana. Ku jego zdziwieniu, Tarik również wysiadł.

- Niech Allah uśmiechnie się do ciebie, Dżalal - powiedział po arabsku.

Uderzył się ręką w serce. Wells odpowiedział takim samym gestem.

- Do ciebie także, Tarik.
- I niech sprawi, że zwyciężymy
- *Inszallah.*

Wells podał Tarikowi dłoń. Jednak młody człowiek nie odwzajemnił uścisku, lecz w osobliwy sposób przytulił go. Wells wyciągnął niebieską torbę z windstara i włożył ją do pikapa. Pomachał Tarikowi na pożegnanie, potem oparł się o swój samochód i obserwował, jak minivan znika.

Kiedy windstar odjechał, Wells wsunął się za kierownicę pikapa, ale przez chwilę nie uruchamiał silnika. Jeśli była to policyjna pułapka, chciał dać glinom dostatecznie dużo czasu, żeby aresztowali go bez walki. Jednak garaż wciąż był pusty i w końcu Wells przekreślił kluczyk, a potem wjechał na ulicę Quebecu i w mrok nocy

Na zegarze samochodu była pierwsza zero cztery, kiedy Wells dotarł do opustoszałego przejścia granicznego. Czuł się, jakby jechał całą wieczność, choć tak naprawdę dopiero rozpoczął podróż powrotną do domu.

Pogranicznik przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jego prawo jazdy

- Posiada pan paszport?
- Nie, nie posiadam.
- Kiedy wjechał pan do Kanady?
- Wczoraj rano.
- Mieszka pan w Georgii?
- W Atlancie.
- Daleka droga jak na tak krótką podróż.
- Odwiedzałem dziewczynę w Quebecu - wyjaśnił

Wells. - Poznałem ją przez Internet. Ale nie wyszło tak, jak się spodziewałem. Okazała się dwa razy większa niż na zdjęciach, które mi przesłała.

- Masz pecha, chłopie - uśmiechnął się funkcjonariusz kontroli granicznej. - Nigdy nie powinieneś ufać Kanadyjkom. Spojrzał na przednie siedzenie rangera.

- Co masz w torbie?

- Tylko ciuchy. Miałem nadzieję na trochę dłuższy pobyt. Wziąłem tydzień urlopu.

- Żadnych narkotyków, broni, niczego w tym rodzaju?

- Nie.

- W porządku; życzę więcej szczęścia następnym razem - strażnik oddał Wellsowi prawo jazdy - Witamy w domu. Bezpiecznej podróży

Tylko tyle zachodu i był z powrotem.

Pół godziny później Wells zjechał na pobocze i wysikał się obok autostrady, spoglądając w nocne niebo. Tak daleko na północy zanieczyszczenie powietrza było mniejsze. Blask gwiazd przypomniawszy mu Afganistan. Naszła go refleksja, czy jeszcze zobaczy tamte góry, a jeśli tak, to co wtedy poczuje. Być może on i Exley pojedą tam kiedyś na wakacje. Turystyka przygodowa.

Wyjął telefon i wybrał numer do Khadriego, który otrzymał poprzedniego dnia pocztą elektroniczną.

- Zostaw wiadomość - usłyszał głos Khadriego.
- Przejechałem granicę - nagrał się Wells. - Będę w Atlancie wieczorem. Późnym wieczorem.

Kliknięcie.

W motelowym pokoju w Chestertown Wells siedział na łóżku i ostrożnie rozpinął zamek błyskawiczny niebieskiej torby. W środku znalazł kilka bawełnianych koszulek... parę dżinsów... oraz kilka par śmierdzących skarpetek i parę sztuk bielizny A także walizkę z twardego plastiku z cyfrowym zamkiem. Wells zastanowił się, jak wytłumaczyłby to urzędnikowi kontroli granicznej. Wyjął walizkę, która okazała się ciężka - mogła ważyć z dziesięć kilo. O wiele za mało, by kryła się w niej bomba jądrowa. Ale w jej wnętrzu mogło być dostatecznie dużo plutonu do skonstruowania bomby. Dostatecznie dużo bakterii wąglika, żeby unicestwić miasto. Albo sarin. Lub V-gazy. Wysoko wzbogacony uran. Wirusy ospy Cokolwiek. Walizka Pandory

Wells majstrował prze niej przez minutę, potem zrezygnował. Mógł zapewne wyłamać zamek, tylko po co? Jeśli Khadri posłużył się nim jako przynętą, walizka będzie pusta albo okaże się wybuchającą pułapką. Z drugiej strony, jeśli w walizce było coś ważnego, wtedy Khadri zechce otrzymać ją z powrotem. A wtedy.. Nóż przypięty do łydki Wellsa drgnął jak żywy. Tego spotkania Khadri już nie przeżyje.

Wells leżał na plecach na łóżku. Mógł przespać się trzy godziny i wyruszyć w drogę jeszcze przed brzaskiem. Ale najpierw musiał zadzwonić.

Exley odebrała po drugim dzwonku.

- John?
- Dziś po południu o piątej. Jak po maśle.
- Będę tam.

Rozłączył się.

Powiedziała „tak” bez chwili wahania. Za to ją kochał.

15

YONKERS, NOWY JORK

- W lewo za znakiem - powiedział Ghazi. - Trzeci dom.

Khadri zatrzymał forda expedition przed frontem elegancko utrzymanego domu w Yonkers, miasteczku położonym niedaleko na północ od Nowego Jorku. Czarny lincoln town car stał na podjeździe przed drzwiami garażu.

- Podoba ci się? - zapytał Ghazi.

Kupił ten dom przed trzema laty i był z niego bardzo dumny, jak każdy imigrant w pierwszym pokoleniu. Ghazi był jedynym uświadomionym agentem al-Kaidy, który mieszkał w Stanach Zjednoczonych oficjalnie. Wyemigrował legalnie jako były ekspert armii libańskiej zajmujący się materiałami wybuchowymi. Budowanie amerykańskiej egzystencji zajęło mu całe lata. Jeździł jako taksówkarz, płacił na czas podatki i nawet zasiadał w ławie przysięgłych. Nigdy jednak nie zapomniał tamtego dnia w 1983 roku, kiedy pocisk izraelskiej artylerii wpadł w pokój gościnnego jego domu w Bejrucie i rozerwał na strzępy jego rodzinę. Nigdy nie zapomniał i nigdy nie wybaczył. Obwiniął w równym stopniu Stany Zjednoczone, co Izrael. Żydzi bez Amerykanów nic nie znaczyli. Ghazi czekał bardzo długo na rozkazy od Khadriego.

- Bardzo ładny - odparł Khadri.

Mówiąc prawdę, Khadri miał gdzieś zieloną elewację domu czy jego aluminiowy siding. Nie widział jednak powodu, żeby tłumaczyć niedociągnięcia w tej mierze Ghaziemu,

który tak czy inaczej już wkrótce miał trafić do raju.

Khadri otworzył bagażnik forda i mężczyźni we dwóch wyciągnęli z auta stalowy pojemnik.

- Ciężki - wystękał Ghazi po arabsku.

- Ściany są wyłożone ołowiem - wyjaśnił Khadri. Pojemnik odebrali z przechowalni bagażu pod Hartford.

W garażu opuścili pojemnik na czystą betonową posadzkę. Ghazi zamknął automatyczne drzwi. Byli tu tylko oni i metalowe koryto. Oraz samochód, któremu Khadri nadał w myślach nazwę Żółty. Obszedł dookoła Żółtego, dokonując oględzin. Prezentował się tak, jak obiecywał Ghazi. Opony prawie zupełnie łyse, farba wyblakła, za to znaczek kontroli technicznej całkiem świeży oraz właściwe tablice rejestracyjne. Nikt dwa razy nie spojrzy na ten pojazd. Idealny

- Czy jest gotowy? - zapytał Khadri.

Ghazi wsunął kluczyk do stacyjki. Żółty zastartował bez oporu. Przez minutę Libańczyk utrzymywał silnik na wysokich obrotach, potem zgasił go i wręczył kluczyki Khadriemu.

- Sąsiedzi nie pytali o ten samochód?

Ghazi zaprzeczył ruchem głowy

- Wiedzą, że jeżdżę taksówką. Uważają, że to być może do nowego interesu.

- No i mają rację.

Z zewnątrz Żółty prezentował najzupełniej zwyczajnie. Ale pod jego siedzeniami umieszczono drewniane skrzynki zawierające grube szare kostki C-4, w sumie dziewięćset pięćdziesiąt kilogramów. Początkowo Khadri zamierzał wykorzystać ten samochód do konwencjonalnego zamachu bombowego, takiego jak w Los Angeles, lecz po aresztowaniu Ali zmienił plany.

W wnętrzu Żółtego grube czarne druty prowadziły od detonatorów umieszczonych na skrzyniach do baterii obok

siedzenia kierowcy. W celu uniknięcia najmniejszego choćby ryzyka przypadkowej eksplozji, drutów nie podłączono jeszcze do baterii. Kiedy zostaną podłączone, Żółty przeistoczy się w bombę na kołach, mniejszą, ale bez porównania potężniejszą niż bomby z saletry amonowej, których Khadri użył w Los Angeles. Tona C-4 mogła zmieść z powierzchni ziemi trzydziestopiętrowy budynek.

Khadri ukląkł przed pojemnikiem i wybrał na klawiaturze cyfrowego zamka długi ciąg liczb. Wiedział dokładnie, co znajduje się w środku, ale chciał zobaczyć to jeszcze raz. Zamek otworzył się ze szczękiem. Khadri wyciągnął małą stalową kasetkę, zamkniętą na zwykłą kłódkę. Wybrał kolejne cyfry i otworzył kasetkę. To było to. Dar od Boga. Dwa zamknięte słoje - w pierwszym z nich znajdowało się pół tuzina kawałków szarego metalu, drugi natomiast wypełniony był brudnożółtym proszkiem.

- To wszystko? - zapytał Ghazi.

Sprawia wrażenie rozczarowanego, pomyślał Khadri.

- W zupełności wystarczy

W rzeczywistości, zanim doszło do komplikacji ostatnich tygodni, Khadri miał nadzieję, że doda jeszcze do tego ukryty zapas plutonu oraz wysoce wzbogaconego uranu. Być może nawet zdołaliby zgromadzić tyle materiału, ile potrzeba na zniszczenie snu o broni jądrowej. Ale wtedy Dmitrij, rosyjski naukowiec, zginął, Faruk natomiast zniknął. A teraz *kafrowie* zaciskali pętlę wokół Khadriego. Najlepiej więc użyć tego, co ofiarował im Allah, zanim nadarżająca się okazja zostanie zmarnowana.

Khadri zamknął kasetkę i wsadził ją z powrotem do pojemnika, gdzie nawet najbardziej czułe detektory promieniowania nie były w stanie jej wykryć. Kiedy C-4 wybuchnie, eksplozja zniszczy stalowy pojemnik, rozrzucając pluton i uran na wiele kilometrów. Bardzo brudna bomba. W środku Manhattanu.

- Podnosimy - polecił.

Dwójka mężczyzn przeniosła pojemnik do wnętrza Żółtego, gdzie wpasował się bez trudu między skrzynki z C-4.

- *Allahu akbar* - powiedział cicho Ghazi. - Bóg jest wielki.

- *Allahu akbar*.

Khadri odczuwał zadowolenie z tego, czego dziś dokonali. Pierwsza połowa planu była dopięta na ostatni guzik. Reszta nabierze odpowiedniego kształtu, kiedy Wells dostarczy przesyłkę. Khadri przez chwilę pomyślał o losie, jaki spotka Amerykanina. Jeśli lojalność Wellsa była szczerą, umrze jako męczennik, pomyślał Khadri. Jeśli nie... po prostu umrze. Tak czy inaczej, Wells już wkrótce znajdzie się w objęciach Allacha. Powinien być zadowolony

Osiedla mieszkaniowe Kenilworth, oddzielone od reszty Waszyngtonu rzeką i autostradą, stanowiły odrębny świat, swoistą enklawę, w której na dobre zagościła bieda oraz wszelkiej maści uzależnienia. Błyszcząca kopuła Kapitolu była oddalona od kilkupiętrowych budynków mieszkalnych Kenilworth zaledwie o trzy kilometry. Równie dobrze mogłyby to być inna galaktyka.

Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że obok osiedli znajdowała się oaza natury Ogrody Wodne Kenilworth, założone w 1882 roku, tworzyły gęste, bagienne lasy, w których licznie żyły salamandry, żółwie jaszczurowate i nawet sporadycznie pancerniki. Wells chętnie udałby przed sobą, że wybrał ogrody na miejsce spotkania z Exley z uwagi na ich piękno. Jednak w rzeczywistości o wyborze zdecydował fakt, że był to najbardziej odludny skrawek Waszyngtonu. Jeśli Exley planowała go wystawić, inwigilację ze strony Agencji trudno byłoby ukryć.

Kiedy jednak przejeżdżał przez Waszyngton autostradą 295, zbliżając się do ogrodów, Wells czuł pewność, że Exley pojawi się sama. Wierzył jej bezwarunkowo od tamtego

wieczoru w dziupie. Być może nawet od dnia, kiedy przed wieloma laty spotkali się w Farm, gdy oboje byli młodzi i pozostawali w związkach małżeńskich.

W końcu doszedł do wniosku, że nie przestał wierzyć. Nie wierzył jednak w Agencję ani w Allacha, ani nawet w Amerykę - wierzył w Exley

Przejechał pod kładką dla pieszych zabezpieczoną płotem ze stalowej siatki, co miało chronić kierowców przed miejscowymi dzieciakami, które miały zwyczaj rzucać kamieniami w przejeżdżające samochody. Takie było Kenilworth. Wyciągnął czterdziestkę piątkę, odkręcił tłumik i wsadził jedno i drugie do kieszeni kurtki. Zadzwoił telefon. Wyciągnął aparat z kurtki, spodziewając się usłyszeć Exley. Ale w wyświetlonym numerze dostrzegł kod obszaru 914. Westchester. Bliskie okolice Nowego Jorku.

- Działał? - usłyszał głos Khadriego.
- *Nam.*
- Gdzie jesteś?
- W stolicy naszego kraju.
- Po prostu - roześmiał się Khadri.
- Będę w domu wieczorem.
- Niestety nie. Potrzebuję cię w Nowym Jorku. Najszybciej jak to możliwe.

Wells poczuł się tak, jak podczas pierwszych tygodni woj-ska, gdy miotał się, wykonując pozbawione sensu rozkazy. Khadri z pewnością orientował się w rozkładzie jego jazdy Dlaczego nie zadzwonił wcześniej, zanim Wells minął Nowy Jork? Spieranie się nie miało jednak sensu.

- Nowy Jork?
- Bronx - odparł Khadri i podał adres.
- Więc do zobaczenia - zakończył Wells.

Rozłączył się, a kiedy to uczynił, uświadomił sobie coś osobliwego. Khadri nie zapytał o przesyłkę. Nawet o niej nie napomknął.

* * *

Dziesięć minut później skręcił na ogrodowy parking. Nigdzie nie dostrzegł oznak, że ktoś go śledził. Zobaczył ją natichmia, opartą o zielonego minivana, ze skrzyżowanymi ramionami. Miała na sobie granatową bluzkę i szare spodnie, podkreślające wąskie biodra.

Zaparkował obok niej. Nie uśmiechała się, ale kiedy wysiadł z pikapa, podeszła do niego i przytuliła go mocno.

- John - powiedziała.

Cofnęła się i spojrzała na niego. Popchnął ją na minivana i pocałował, obejmując ramionami. Ich usta złączyły się równie łatwo co dwa obłoki. Czuł ciężar jej ciała, dotyk jej piersi na swoim torsie. W końcu odepchnęła go.

- Nie po to tu przyjechałeś - skarciła go.

- Nie tylko po to.

Wziął ją za rękę i poprowadził do parku. Otaczał ich las oraz moczary Odgłosy miasta gdzieś zniknęły, a powietrze zrobiło się wilgotne i pełne zapachów. Szli w milczeniu w stronę rzeki Anacostia, właściwie się nie dotykając, zadowoleni z wzajemnej bliskości. W końcu ścieżka doprowadziła ich do rzeki, której nurt był bagnisty i brązowy

- Skąd dowiedziałeś się o ogrodach? - zapytała Exley, obserwując, jak woda płynie leniwie na południe. - Nigdy o nich nie słyszałam.

- Byłem tu kilka razy po szkoleniu w Farm. W trakcie kursu językowego.

- Razem z Heather.

- Zazdrosna?

Uśmiechnęła się.

- Dlaczego miałabym być teraz zazdrosna?

Przeszedł go dreszcz, gdy poryw wiatru zawiał od rzeki.

- Nic ci nie jest, John? Wyglądasz na zmęczonego.

- Zbyt długie siedzenie za kierownicą - odparł. - Khadri wysłał mnie do Montrealu po odbiór walizki.

Poinformował Exley o tym, co się wydarzyło poprzedniego dnia, o Tariku oraz o podejrzaniach w sprawie drugiego kuriera.

- Nie wiesz, co może być w środku?
- Jest zamknięta. Nie próbowałem jej otworzyć.
- Zamierzasz spotkać się z Khadrim tutaj? W Waszyngtonie?

- Nie. Jechałem na południe, ale przed chwilą zadzwonił. Kazał mi zawrócić i pojechać do Nowego Jorku. Coś się wydarzy. I to niebawem.

- Shafer też tak sądzi.

Spojrzał na nią, potem na rzekę.

- Uchyliś rąbka tajemnicy?

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Żywiłam cichą nadzieję, że będziesz wiedział.

- To zupełnie jak w starożytnym Rzymie: składamy ofiarę z owcy i odczytujemy przyszłość. Staramy się odgadnąć, jaką katastrofę bogowie zafundują nam w następnej kolejności.

- Oni nie są bogami.

- Pragną nimi być - odparł. - Gniewnymi pogańskimi bogami, którzy miotają gromy, ponieważ mają taką moc.

- Wierzysz w Boga, John? - zapytała. - Boga przez wielkie B?

Pytanie to zdumiało go. Przyłapał się na tym, że spogląda na wróble latające nad rzeką, myśli o Koranie zostawionym w samochodzie oraz o ludziach, których zabił.

- Tak - odezwał się w końcu. - Ale nie jestem pewien, czy On wierzy we mnie.

- Mówię poważnie...

- Ja też. Czy byłąbyś w stanie uczynić wszystko, co ja uczyniłem, i wciąż odczuwać dumę? Spokój ducha? Tym jest dla mnie Bóg. Obawiam się, że opuściłem go dawno temu.

- Kiedy byłam dzieckiem, wierzyłam - wyznała Exley - Potem mój brat postradał zmysły i przestałam. To było takie

okrutne: odebrać komuś rozum ot, tak sobie. Pamiętam, jak pewnego razu był pod opieką lekarzy, a oni stroili sobie z niego żarty: „Jak to się dzieje, że Bóg nigdy nie mówi ci, żebyś poszedł po zakupy? Jak to się dzieje, że dla Ciebie zawsze woda jest zatruta, masz w mózgu wszczepiony nadajnik i nadchodzą zielone ludziki?”. On śmiał się szczerze i ja też się śmiałam. To wydawało się takie błahe. Ale teraz, kiedy mam dzieci, znów pragnę wierzyć - jeśli nie dla siebie, to dla ich dobra. Wierzyć, że istnieje coś więcej niż tylko to.

- Wiem, co masz na myśli - Wells dotknął jej ramienia.
- Jenny, czy ktoś wie, że tu jestem?

- Wracamy do pracy, hmm? Nie. Nie wie nawet Shafer. Jesteś toksyczny, John. Bardziej niż toksyczny Moja kariera wisi teraz na włosku. Być może nawet trafię do paki.

- Przykro mi, Jenny
- To nie twoja wina. Gdzie się podziewałeś od kwietnia?

- Siedziałem na tyłku, przeważnie.

- Gdzie?

Nie chciał jej powiedzieć, ale wiedział, że nie może skłamać.

- W Atlancie.

- Nie tylko siedziałeś na tyłku.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Powiedz swemu przyjacielowi Duto, że nie zastrzeliłem Westa - powiedział bez ogródek. - Usiłowałem go uratować, ale nie dałem rady Khadri zaaranżował wszystko. Testował moją lojalność.

- A ty przeszedłeś tę próbę - stwierdziła. - Khadri ci ufa. Dlatego wysłał cię po odbiór przesyłki.

- Mimo wszystko nie ufa mi. Coś jest nie tak. Bawi się mną. Wydaje mi się, że stanowią swego rodzaju przynętę - przerwał na moment. - Czy coś z tych informacji pasuje do waszej układanki?

Exley pokręciła przecząco głową.

- Ale w zeszłym tygodniu aresztowaliśmy śpiocha. W Brooklynie. Poza tym sądzimy, że dysponują brudną bombą.

Opowiedziała mu o Faruku Khanie, eksplozji w Albany oraz podejrzeniach Shafera, że al-Kaida planuje działać szybko.

- Kiedy zatem zamierzacie podnieść poziom zagrożenia? - zapytał Wells.,

- Nie zamierzamy tego wcale robić. Nie, jeśli nie dysponujemy konkretnymi informacjami. Wygrywamy w tej wojnie, nie pamiętasz? Nie ma potrzeby wywoływać paniki.

- Czy brudna bomba nie jest konkretną informacją?

- Nie, o ile nie wiemy, gdzie jest ukryta. Skompromitowaliśmy się już w Albany

- Być może bomba jest w walizce w moim aucie.

Zaprzeciła ruchem głowy

- Detektory promieniowania na granicy wychwyciłyby to. Jeśli walizka byłaby wyłożona ołowiem, wiedziałbyś o tym. Ważyłaby z tonę.

Zachował milczenie. Po minucie spojrziała na niego.

- O czym myślisz, John?

- Myślę o tym, że komu w drogę, temu czas.

Musiał zawrócić do Nowego Jorku. Dzień ciągle jeszcze był ciepły, ale drzewa na drugim brzegu rzeki rzucały już długie cienie.

Podniosła głos.

- Zatem ruszasz na spotkanie losu.

- I przecinam ślad prowadzący do Khadriego.

- Podaj mi adres. Dopadniemy go.

- Jego tam nie będzie. Wiesz o tym. Któryś z jego ludzi będzie na mnie czekał. Jeśli nie pokażę się tam, on również nie przyjdzie. I wszyscy w Langley będziemy drapać się po tyłkach, kiedy bomba wybuchnie. Widziałem już taki scenariusz wcześniej. Nie bardzo mi się podobał.

Ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej na parking.

- Możesz powiedzieć to Vinny'emu. Zabierzemy cię do niego wieczorem.

Lecz Exley wiedziała, że kłamie. Duto nigdy nie posłużyłby się Wellsem w tak delikatnej operacji. Z tego samego powodu Vinny upierał się, żeby P60 natychmiast aresztowała Alę Asada, zamiast go obserwować. Nikt nie mógłby winić Duto za umieszczenie Wellsa w pace, dopóki nie zyskano by pewności, że jest lojalny. Dyrektora CIA nie obarczano winą za dopuszczenie do terrorystycznego ataku: George Tenet, szefujący Agencji w dniu 11 września, otrzymał prezydencki Medal Wolności już po przejściu na emeryturę. Nie, dyrektora obwiniano tylko za skompromitowanie Agencji... lub Białego Domu. Pozostawianie na wolności Wellsa, po tym, jak uciekł, mogło być bardzo kompromitujące. Duto nie chciał podejmować takiego ryzyka. W ciągu kilku tygodni mogliby zmienić jego nastawienie. Ale nie mieli tyle czasu.

Duto również nie był zły, pomyślała Exley. Był jedynie biurokratą, jak zbyt wielu urzędników w Langley, bardziej martwiących się o własną karierę i dumę niż cokolwiek innego.

Wells zdawał się czytać w jej myślach.

- Jeśli rzeczywiście tak myślisz, zadzwoń do niego - zachęcił ją i odwrócił się, zamierzając odejść.

Nagle Exley wiedziała, co musi zrobić. Jakaś część jej osoby wiedziała o tym z chwilą, kiedy zobaczyła jego auto wejeżdżające na parking.

- W takim razie jadę z tobą.

Spojrzał na nią, najwyraźniej chcąc się przekonać, czy mówi poważnie. Potem pokręcił przecząco głową.

- Nie bądź głupia.

Miała po dziurki w nosie facetów traktujących ją z góry. Nawet Wellsowi nie zamierzała na to pozwolić.

- Słuchaj no, pieprzony arogancie - odgryzła się. - Pojadę jako obserwator. Jeśli zaczną się kłopoty, wezwę na odsiecz kawalerię. Jeśli nie, zaczekam, aż skończysz bawić się w wojnę.

- Nie rób tego...

- To nie podlega dyskusji. Albo jadę z tobą, albo dzwonię do Duto. Teraz.

Wyciągnęła telefon komórkowy

W lesie gdzieś za nimi zakrakąła wrona. Wells odwrócił się od Exley i spojrział w niebo.

- Masz to przy sobie? - zapytał.

- Co?

- Broń. Czy masz broń?

- Nie.

Kiedy obrócił się do niej, trzymał w ręku pistolet: grubą szarą czterdziestkę piątkę. W lewej dłoni miał gruby cylinder. Powoli dokręcił tłumik do lufy Nad rzeką i w parku nie było nikogo. W pobliżu nie było żadnego świadka. Nie, pomysłała. To niemożliwe. Nie może tego zrobić.

- John - wyjąkała.

Zaparło jej dech.

Wtedy podał jej pistolet rękojęścią w jej stronę.

Odetchnęła z ulgą. Czy wiedział, czego przed chwilą się dopuścił? Czy może po prostu źle zinterpretowała całą sytuację? Czy zamierzał ją przestraszyć, przypomnieć jej o latach, które spędził w akcji, kiedy ona siedziała za biurkiem? Nigdy nie będzie tego wiedziała i nie odważyła się zapytać. Tak czy owak, jej strach, teraz opadający, przypomniawszy jej, że oboje nie znali się nawzajem tak dobrze jak jej się wydawało.

Odsunęła od siebie lęk i skoncentrowała się na pistolecie. Był cięższy niż się spodziewała. Chwyciła broń obiema dłońmi, by trzymać ją pewnie.

- Kiedy po raz ostatni strzelałaś z pistoletu? - zapytał Wells.

Nie była w stanie sobie przypomnieć. Strzelania uczyła się na szkoleniu, to oczywiste, ale to było bardzo dawno temu. Agencja nie kładła nacisku na trening strzelecki analityków

- Kilka miesięcy temu - odparła spokojnym głosem. - Każdego roku odbywam ćwiczenia na strzelnicy

Spojrzała na pistolet, przypominając sobie szkolenie. Cofnęła zamek, wyrzucając pocisk z komory. Wells chwycił go w powietrzu i wsunął do kieszeni. Przesunęła bezpiecznik tam i z powrotem. Wysunęła magazynek z rękojeści, potem wsunęła go z powrotem.

Wells wziął pistolet, zarepetował i podał jej ponownie.

- Strzel z niego - powiedział. - Wzdłuż rzeki. Zaciśnij mocno dłonie. Odrzut jest silny

Zawahała się.

- Jeśli nie możesz zrobić tego teraz, nie zrobisz tego mając prze sobą żywego człowieka - oznajmił.

Podniosła pistolet i nacisnęła spust. Tak jak ostrzegwał, pistolet kopnął mocno. Odrzut pchnął ją do tyłu, ale nie wypuściła broni z ręki. Dzięki tłumikowi odgłos strzału był suchy, jak uderzenie dłonią w drewniany stół. Przebrzmiał szybko, bez echa.

- A ty? - zapytała

- Co ja?

- Gdzie jest twoja broń?

Podniósł nogawkę džinsów i pokazał jej nóż przypięty do łydki.

- Załatwię to za ciebie - powiedział. - Słuchaj. Musisz wiedzieć coś na temat czterdziestki piątki

- Tak, mądralo?

- Mówię poważnie.

- Słucham.

- Jeśli dotrzesz do miejsca, do którego powinnaś dotrzeć, strzelaj pierwsza. Nie puszczaj wodzy fantazji. Nie każ nikomu podnosić rąk do góry. Żadnych tego typu występów. Ani słowa. Po prostu strzelaj. Ponieważ, jeśli dotrzesz do tego miejsca i będziesz czekać, okaże się, że jest za późno.

- Skąd będę wiedzieć, że jestem na miejscu?
- Będiesz wiedzieć.

Nie powiedziała nic, tylko skinęła głową. Nie była pewna, czy potrafi zastrzelić kogoś bez ostrzeżenia. Ale Wells nigdy nie pozwoliłby jej pójść ze sobą, gdyby przyznała się do tego.

- Dobrze - zgodził się.

Pochylił się i zbliżył twarz do jej twarzy chcąc ją pocałować.

Lecz Exley potrząsnęła przecząco głową.

- Kiedy będzie po wszystkim - oświadczyła.
- Kiedy będzie po wszystkim.

Zawrócili i ruszyli w kierunku parkingu.

W kierunku Nowego Jorku.

16

Wells zjechał z drogi szybkiego ruchu Major Deegan w samo serce południowego Bronxu, gdzie drugie ciemne kwartały dopiero zaczynały czerpać z dobrodziejstw renesansu Nowego Jorku. Targowiska pod gołym niebem, na których handlowano prochami, gdzieś zniknęły, ale kobiety w spódniczkach rozmiaru chustek do nosa nachylały się nad samochodami, szukając klientów. Na zewnątrz jasno oświetlonych sklepików spożywczych stali w grupkach mężczyźni, popijając piwo słodowe z dużych butelek.

Zmierzał do celu, jadąc ulicami, które zrobiły się wąskie wskutek aut zaparkowanych w dwóch rzędach po obu stronach jezdni, mijał zdezelowane amerykańskie sedany z przyciemnionymi szybami oraz nalepkami „Bez strachu” na przednich szybach. W końcu znalazł się pod adresem, który dał mu Khadri. Gdy Wells zjeżdżał na pobocze, zauważył w tylnym lusterku, że Exley zatrzymała się o kwartał wcześniej. Pokaz kiepskiego profesjonalizmu. Powinna go minąć i zatrzymać się przecznicę dalej. To potknięcie unaocznilo mu, że Jenny nie była w akcji przez bardzo długi czas. Nie miała nawet zielonego pojęcia o zasadach działania.

Ale pozwolił jej pojechać ze sobą i teraz był za nią odpowiedzialny, co stanowiło na tę chwilę całkowicie zbędną komplikację. Zamknął oczy i pozwolił, by jego myśli pomknęły ku obietnicy: „Kiedy będzie po wszystkim”. Jeśli zdołają przeżyć dzisiejszy wieczór, znajdą cichy pokój z dużym drewnianym łóżkiem i będą się kochać, aż zupełnie się nasycą. A to zapewne zajmie sporo czasu.

Przeszły go dreszcze i odkaslnął gęstą flegmą z głębi płuc. Długa jazda dała o sobie znać; czuł się tak, jakby nie spał od trzech dni. Odkąd minął New Jersey, towarzyszył mu dokuczliwy ból głowy. Resztę drogi pokonał dzięki adrenalinie.

Otworzył drzwi auta, jeszcze raz zakaszłał i splunął gęstą flegmą na asfalt. Zrezygnował z prób przewidywania tego, co zaplanował Khadri. Dziś wieczorem położy kres jego knowaniom. Zerknął w lewo i w prawo. Ulica była pusta. Wysiadł z rangera i ruszył w stronę budynku, stawiając kroki powoli jeden za drugim.

Kamienica czynszowa była podupadła, koloru szarego, ceglany mur pokrywały namazane sprayem esy-floresy, których znaczenia Wells nie potrafił odgadnąć. Drzwi frontowe były odsunięte od ulicy, czarne, z oknem w kształcie iluminatora; szybę wzmocniono drucianą siatką.

Drzwi otworzyły się łatwo, mosiężna galka była obluzowana, jak gdyby ktoś wyłamał zamek. Wells wszedł do środka i znalazł się w wąskim korytarzu, słabo oświetlonym migającymi świetlówkami.

- Dżalal?

Człowiek, którego Wells nie rozpoznał, siedział na ostatnim stopniu wąskich schodów, z papierosem w ustach i pistoletem położonym niedbale na kolanach.

- *Nam.*

- Chodź.

Bez dalszych słów mężczyzna wstał i ruszył na górę.

Exley siedziała w minivanie, walcząc z impulsem, by udać się do czynszowej kamienicy, zastukać do każdych drzwi i odnaleźć Wellsa. Zasłoniła cyfrowy zegar w samochodzie, żeby nie oszaleć od śledzenia powolnego upływu czasu; nigdy nie była tak znużona i jednocześnie tak niespokojna jak teraz. Wells zniknął wewnątrz domu około północy. Minęły już cztery godziny i wciąż się nie pojawiał. On ani nikt inny.

W budynku panowała cisza, odkąd tam wszedł. Gdzie się podziewał? - pytała samą siebie. Co właściwie robił? Nie mogła czekać bez końca. Jeszcze godzinę? Do brzasku? Być może już powinna ruszyć, ale nie chciała zniszczyć zakonspirowanej przykrywki; przykrywki, nad której zbudowaniem trudził się tyle lat.

Gdyby tylko Agencja nie odrzuciła Wellsa. Gdyby tylko był w stanie przekonać Duto o swojej wartości. Gdyby nie przepadł na tak długo. Powinien mieć ze sobą pluskwę. Okoliczny kwartał powinien roić się od agentów FBI oraz policjantów. Jednak nawet to nie zmniejszyłoby zagrożenia, jakim stawiał czoła. Znajdował się teraz po drugiej stronie, w miejscu, do którego nikt nie dotarłby z odsieczą na czas, gdyby coś poszło nie tak. Khadri - czy ktokolwiek inny się tam znajdował - mógł przyłożyć pistolet do głowy Wellsa i w ułamku sekundy pociągnąć za spust. Wszyscy gliniarze świata nie zdołaliby temu zapobiec. Nic dziwnego, że Wells nie stanowił zbytniego pożytku dla Duto oraz całej reszty biurokratów z Langley Nic dziwnego, że ufał tylko i wyłącznie samemu sobie.

Exley spojrzała na czarnego lincolna town car, który ją mijal. Samochód zatrzymał się przed frontem czynszowej kamienicy i zaparkował, zostawiając włączone migacze. Wstrzymała oddech. Drzwi lincolna otworzyły się. Mężczyzna w niebieskiej marynarce - co stanowiło nietypowy widok w tej okolicy o tej porze - wysiadł, rozejrzał się pośpiesznie dookoła i wszedł do budynku.

Mieszkanie 3C było niewielkie i zapuszczone - typowe kolejarskie lokum z salonem pozbawionym okna oraz maleńką sypialnią, która wychodziła na kanał wentylacyjny. Odpadającą pomarańczową tapetę pstrzyły plamy pleśni, lodówka wydawała z siebie głośne buczenie, które mogło doprowadzić do szaleństwa. Na połamanym stoliku stał mały telewizor, na ekranie którego odtwarzano cicho film przedstawiający

hadżdż, pielgrzymkę do Mekki. Ale nawet bojownicy świętej wojny siedzący wokół Wellsa zdawali się być znużeni tym obrazem.

Wells siedział na zapadniętej kanapie w pokoju gościnnym, z rękoma skutymi od przodu kajdankami. Wkrótce po tym, jak go skuli, zapadł na krótko w sen. Zmęczenie wzięło nad nim górę do chwili, kiedy myśl o Exley zostawionej na dole wyrwała go ze snu. Teraz prawie nie rozmawiał, gromadząc energię i czekając na Khadriego. Mężczyznom, którzy byli z nim w pokoju, najwyraźniej to nie przeszkadzało. Było ich siedmiu, jednak tylko dwóch się przedstawiło, Ghazi był najstarszy i sprawiał wrażenie przywódcy. Miał duży brzuch, krótko przyciętą brodę oraz ciemne worki pod oczyma. Mężczyzna, który czekał na Wellsa, nazywał siebie Abu Raszidem - ojcem Raszida. Palił papierosa za papierosem, strzepując popiół na podłogę i wyciągając peta z ust jedynie po to, żeby splunąć do zlewu. W rzeczywistości cała siódemka kopcila, a powietrze w pokoju zrobiło się zatęchłe i ciężkie, co potęgowało jeszcze dokuczliwy kaszel Wellsa. Pragnął bardzo, żeby ktoś wykuł w ścianie okno.

Poza potencjalnym wyjątkiem, który stanowił Ghazi, żaden z tych mężczyzn nie przeszedł profesjonalnego treningu, co nie uszło uwagi Wellsa. Nie byli w żadnym stopniu wtajemniczeni na takim poziomie jak Kais i Sami. Jedynie trzech z nich miało broń krótką, pistolety zatknięte za paski spodni: Ghazi, Abu Raszid oraz ciemnoskóry Arab z długą brodą, którego imienia Wells nie znał. Najważniejszy był jednak fakt, że Abu Raszid nie znalazł noża Wellsa, gdyż nie obmacał jego nóg do samego dołu.

Ale Wells nie miał zamiaru ruszać do ataku. Jeszcze nie teraz. Nie do chwili, kiedy zobaczy Khadriego.

- Wody? - zapytał go Ghazi.

- Poproszę - odparł Wells.

Ghazi spojrział na niego z niepokojem.

- Nic ci nie jest? Wyglądasz na chorego.

- Przydałaby mi się solidna dawka snu - odpowiedział i wypił wodę podaną przez Ghaziego, a potem zamknął oczy, kryjąc wzrok przed przyćmionym oświetleniem pokoju.

Mężczyźni wokół niego rozmawiali po arabsku o Pucharze Świata; przez godzinę debatowali na temat szans Jordanii.

- Czy Khadri wybiera się tutaj?

- Będzie już wkrótce, mój przyjacielu.

Wtedy Wells usłyszał kroki na schodach.

Khadri wszedł na jeden krok do wnętrza i zamknął za sobą drzwi. Nos i usta miał zakryte maseczką chirurgiczną.

- Dżalal.

- Omar. Mój przyjacielu. *Salam alajkum.*

Wells próbował wstać. Przez moment zakreśliło mu się w głowie. Po co mu ta maska, dziwił się.

- Nie wstawaj - powstrzymał go Khadri. - Będziesz potrzebował sił.

Wells jednak wstał. Szarpnął nim nagły wybuch kaszlu.

- Przykro mi z powodu Kaisa i Samiego...

- Jesteś teraz tutaj. Tylko to się liczy. Przywiozłeś przesылkę?

- Tam jest.

Walizka leżała na kuchennym blacie. Khadri uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że nie zatrzymają cię na granicy Wybrał na klawiaturze cyfrowego zamka odpowiednie numery. Zasuwka zamka otworzyła się.

- Twój sekret jest tutaj - oznajmił Khadri. - Zobacz na własne oczy.

Popchnął walizkę nogą w kierunku Wellsa po kostropatej drewnianej podłodze pokoju gościnnego. Mój sekret nie znajduje się w tym pokoju, pomyślał Wells. Siedzi na zewnątrz w zielonym minivanie.

Wells usiadł z powrotem na kozetce i przez chwilę szarpał się z walizką.

- Ghazi, możesz mnie rozkuć? - zapytał zdawkowo. - Nie mogę tego otworzyć z kajdankami na rękach.

Ghazi spojrział na Khadriego. Po chwili wahania Khadri przytaknął, a Ghazi zdjął Wellsowi obrączki.

Wells podniósł wieko walizki. W środku była pusta. Przejechał dłońmi wzdłuż ścian walizki, szukając drugiego dna. Niczego jednak nie znalazł. A więc jednak był jedynie przynętą.

Pokiwał głową ze znużeniem.

- Nie rozumiem - powiedział. - Kto więc jest kurierem? Gdzie jest przesyłka?

Khadri wskazał na Wellsa.

- Ty jesteś.

- Ale...

Wells ponownie zakaszał. Spojrział na aseptyczną maskę Khadriego. I nagle zrozumiał.

- Zostałem zainfekowany - wypowiedział te słowa cicho, jak końcowe nuty symfonii, która wybrzmiała dawno temu.

Uśmiech na ustach Khadriego był jedyną odpowiedzią, jakiej potrzebował Wells. Rozwahał potencjalne możliwości. Wąglik nie przechodził z człowieka na człowieka. Ospa miała dłuższy okres inkubacji.

- Dżuma, racja? - wciąż mówił spokojnym głosem, jakby jego pytania wynikały z czysto teoretycznej ciekawości.

- Bardzo dobrze, Dżalał.

Przez moment, tylko przez moment, Wells poczuł, jak ogarnia go panika. Ujrzał własne płuca wypełnione krwią, skórę przypiekaną od wewnątrz. Niewyobrażalne męczarnie. Opanował się jednak i czekał, aż strach przejdzie, wiedząc, że zachowanie spokoju było teraz jedyną szansą pokonania Khadriego. Panika opadła, a kiedy przemówił, jego głos znów był spokojny

- Ale dlaczego w taki sposób? Dlaczego nie mogłem po prostu przewieźć bakterii?

- Cóż miałbym począć z próbką bakterii? Nie jestem naukowcem. A pałeczki dżumy są wrażliwe. Zwłaszcza poza organizmem człowieka. Przynajmniej tak powiedział mi Tarik.

- Sądziłem, że Tarik jest neuropsychologiem.
- Jest biologiem molekularnym. Bardzo dobrym. Choć teraz ma własne problemy

Wells nie był pewien, ale pod maską Khadri chyba się uśmiechał.

- Powiedział, że najpewniejszym sposobem przetrwania bakterii będzie zainfekowanie ciebie.

Kolejny atak kaszlu szarpnął Wellsem.

- Zdaje się, że miał rację - dodał Khadri.

Wells rozejrzył się dookoła.

- Siedmiu ludzi. Dokąd ich roześlesz?

Khadri zastanowił się.

- Zakładam, że teraz mogę ci to wyjawić, Dżalal. Czterech tutaj, głównie do metra. Times Square, Grand Central. Trzech pozostałych do Waszyngtonu, Los Angeles i Chicago. Dużo przelotów. Siedmiu męczenników. Ośmiu, wliczając ciebie. Szejk będzie zadowolony

Siedmiu ludzi wykaszających chmury bakterii dżumy w zatłoczonych wagonach metra. W kabinach Boeingów 767 i Airbusów 320. W domach towarowych i wielkich biurach. Ilu ludzi zostanie zainfekowanych, zanim tamci umrą? Tysiące? Dziesiątki tysięcy?

- Pomysłowe, Omar.

Wbrew sobie był pod wrażeniem brawury tego planu. Po tem coś sobie przypomniał.

- Ale... czy dżuma nie leczy się antybiotykami?

- *Nam.* Jeśli zostanie na czas rozpoznana. Ale za trzy dni twoi rodacy będą mieli na uwadze coś innego niż dżuma. A bakterie przemieszczają się bardzo szybko. O czym ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny. Szpitale będą pełne, zanim Amerykanie zdadzą sobie sprawę, czego dokonaliśmy.

- Kolejny atak?

Wells nie miał teraz wątpliwości, że Khadri się uśmiecha. Zrobił się gadatliwy, pomyślał Wells. No tak, rozmawia z trupem.

- Wąglik? - zastanawiał się na głos Wells. - Ospa?
- Działal. Przestałeś myśleć logicznie, co stwierdzam z przykrością. Czy posłużyłbym się atakiem biologicznym w celu odciążenia uwagi Amerykanów od ataku biologicznego?

- Zatem bomba. Jak w Los Angeles.

- Nie dokładnie. Ta bomba jest specjalna.

Wellsowi wydało się, że jego gorączka wzrosła. Otarł pot, którego krople nagle zrosiły my czoło.

- Brudna bomba? Agencja miała jednak rację.

- Nazywam ją po prostu Żółtym.

- Żółtym?

- Byłbyś z pewnością pod wrażeniem Żółtego, Działal. Szkoda, że nie dożyjesz, by to zobaczyć.

Wells rozważał, czy zdoła sięgnąć po nóż, przedrzeć się przez pokój i podciąć Khadriemu gardło, zanim zostanie obezwładniony. Prawdopodobnie nie. Między nimi było siedmiu mężczyzn. Śmierć Khadriego w tej chwili nie robiła żadnej różnicy, tak czy owak. Jego ludzie wiedzieli z pewnością, gdzie ukryta jest brudna bomba. Wells nie mógł nawet poderżnąć sobie gardła, by powstrzymać rozprzestrzenianie się dżumy. Od wielu godzin kaszłał w tym pokoju; pozostali mężczyźni byli już zarażeni.

- Wyznasz mi coś, Działal? - zapytał Khadri zza aseptycznej maski. - Teraz, kiedy wiesz, że umrzesz męczeńską śmiercią. Prawdę. Jesteś jednym z nas?

Wells nie wahał się ani chwili.

- *Nam*. Duszą i sercem. *Allahu akbar*. Bóg jest wielki.

- *Allahu akbar*, Działal. Spotkamy się znowu. W raj.

Po tych słowach Khadri wyszedł.

Exley stuknęła palcami w kierownicę minivana, słuchając wciąż tego samego serwisu informacyjnego WCBS, powtarzanego w kółko przez całą noc. Lincoln stał przed kamienicą

od piętnastu minut. Desperacko pragnęła wejść do tego domu. Ale powstrzymała się. Wells powinien wyjść już wkrótce, pomyślała.

Drzwi kamienicy otworzyły się; wyszedł z nich mężczyzna w niebieskiej marynarce. Sam. Wsiadł do lincolna i powoli odjechał. Na tyle zdała się jej intuicja. Wyłączyła radio i rozważała możliwe opcje działania. Powiedziała Wellsowi, że ściągnie kawalerię, jeśli on znajdzie się w tarapatkach. Musiała wyjść z założenia, że właśnie teraz był w tarapatkach, że został pojmany, a mężczyzna w marynarce przed chwilą go skonfrontował.

Nie wiedziała jednak, w którym mieszkaniu trzymali Wellsa. Jeśli zadzwoni do Agencji, P60 otoczy kamienicę i po kolei zacznie wyważać drzwi. Ludzie al-Kaidy zorientują się, że znaleźli się w matni i natychmiast zabiją Wellsa. Nie. Ona musi tam wejść i sama odnaleźć to mieszkanie. Wtedy zdecyduje, co robić dalej.

Sięgnęła do schowka i wyciągnęła czterdziestkę piątkę oraz tłumik, które dał jej Wells. Wzięła pistolet w obie dłonie. Porywała się z motyką na słońce. Nie wiedziała nawet, ilu ludzi z nim było. Co poczną jej dzieci, jeśli da się tu zabić? Pchać się do mieszkania pełnego terrorystów? Czyste szaleństwo.

Mimo to zaczęła przykręcać tłumik do lufy pistoletu. Czyste szaleństwo czy nie, nie mogła pozwolić, by Wells zginął. Jakoś odnajdzie miejsce, w którym go przetrzymują. Co potem? - odezwał się w jej głowie paskudny głosik, ten, którego nienawidziła. Co potem?

Zignorowała ów głos i dokręciła do końca tłumik. Zostawiła Shaferowi wiadomość na poczcie głosowej w Agencji, wyjaśniając, co się stało i gdzie się znajduje. Zawsze sprawdzał skrzynkę pocztową, kiedy się zbudził. Gorzej, że P60 straci niepotrzebnie trzy godziny. W każdym bądź razie al-Kaida nie zaatakuje teraz, kiedy ulice są puste. Cokolwiek by planowali, nie uczynią tego przed nadejściem poranka.

Usiłowała wsunąć pistolet za pasek spodni. Nie mieścił się. Odkręciła więc tłumik i spróbowała ponownie. Wciąż za duży. Pewny znak, że jej miejsce było za biurkiem, nie tutaj. Ale frustracja wzmogła w niej jedynie desperację, by pokazać im wszystkim, że są w błędzie. Duto. Khadriemu. Shaferowi. Nawet Wellsowi. Wszystkim mężczyznom, którzy byli zdania, że ich wojna jest zbyt ważna, by Exley mogła w niej walczyć.

Wywróciła torebkę do góry nogami i wysypała całą zawartość, detrytus jej życia: szminek, portfel, telefon komórkowy, batonik Luna, lusterko do makijażu, zmiętą paczkę chusteczek higienicznych Kleenex. Wszystko to wypadło na siedzenie i brudny dywanik furgonetki. Całe szczęście, że wzięła dziś tę dużą torebkę z czarnej skóry. Po raz drugi dokręciła tłumik. Zarepetowała broń. Włożyła pistolet i kluczyki od samochodu do torebki, całą resztę zgarnęła pod siedzenie. Jeśli te typy ją schwytają, lepiej, żeby nie miała przy sobie żadnych dokumentów potwierdzających tożsamość, a w szczególności legitymacji agenta CIA. Zadzwoiła na pocztę głosową Shafera i zostawiła wiadomość.

Potem, zanim zdążyła jeszcze raz wszystko rozważyć, zanim zdrowy rozsądek zdołał wziąć górę, wysiadła z auta i ruszyła pustą, ciemną ulicą.

Wells niemal czuł, jak w jego organizmie namnażają się bakterie. Oszczędzał siły i wciąż wierzył, że uda mu się ująć z życiem, jeśli otrzyma odpowiednie antybiotyki. Gorączka przestała rosnąć. Nie kaszłał jeszcze krwią. Ale za parę godzin dzuma osiągnie stadium, od którego nie będzie odwrotu. Jeśli Exley albo policja nie pojawią się do tego czasu, Wells sięgnie po nóż i zabije tylu ludzi w tym pokoju, ilu zdoła. W rezultacie powstałego tumultu sąsiedzi z pewnością zadzwonią po policję, a wtedy on, o ile zdoła przeżyć do przyjazdu glin, powie im, co się wydarzyło.

Exley Miał tylko nadzieję, że okaże się roztropna i wezwie profesjonalistów. Że okaże się bardziej rozważna niż on. Nie

mógł obwiniać żadnej siły wyższej o to, że wpakował się w to miejsce; winę ponosiła jego nieustępliwa i nieposkromiona pycha. Niemożność pogodzenia się z przegraną. Gdyby tylko Duto tak bardzo go nie przycisnął w kwietniu. Gdyby tylko zabił Khadriego w Atlancie. Gdyby tylko...

Żadne z tych „gdybań” nie miało teraz znaczenia. Umierał w tym zapuszczonym mieszkaniu; bakterie w jego krwi stanowiły dowód, że on i Agencja nie potrafili porozumieć się wzajemnie w równym stopniu, co nie rozumieli wspólnego wroga. Nigdy nie zdobył zaufania Khadriego i nigdy nie mógł go zdobyć. Słowa, które Khadri powiedział na odchodnym, potwierdzały, że wciąż podejrzewał - lub przynajmniej nie pozbył się wątpliwości - że Wells nadal pracuje dla CIA. Posłużył się nim jako kurierem kierując się po części ironią, jak finalnym pchnięciem nożem. Umrzesz za naszą sprawę, ale nigdy nie będziesz jednym z nas. Wells nie cierpiał ironii od zawsze - był to ulubiony nektar pseudointelektualistów Teraz nie cierpiał jej jeszcze bardziej.

To bez znaczenia. Wciąż miał przy sobie nóż. Nie zabierając ze sobą noża tam, gdzie jest strzelanina, mawiali zawsze żołnierze piechoty morskiej. On jednak był zdania, że jakoś sobie poradzi. Był szybszy od tych amatorów; miał teraz swobodne ręce. Tak jak się spodziewał, Ghazi nie kłopotał się ponownym zakuciem go w kajdanki, kiedy Khadri wyszedł. Poza tym była jeszcze Exley. Wszystko zależy od tego, po której stronie spluwy się znajdujesz. Jego matka i ojciec spoczywali w grobach w Hamilton. Tęsknił za nimi, ale nie był jeszcze gotów dołączyć do nich. Wells potarł nadgarstki. Niczego nie pragnął bardziej niż sięgnąć po sztylet, ale zdołał się powstrzymać. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta rano, noc prawie przeminęła. Da Exley czas do wschodu słońca. Potem rozpocznie taniec z nożem, całkowicie pozbawiony ironii.

Exley weszła do kamienicy czynszowej i rozejrzała się po słabo oświetlonym korytarzu na parterze. Na jej lewym ramieniu

wisała niezapięta torebka, trzymana tuż przy ciele, tak żeby mogła szybko sięgnąć po ukryty w środku pistolet. Mimo to nie byłaby równie szybka co ktoś z bronią w pochwie. Przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez Wellsa w Kenilworth, teraz tak bardzo odległe: „Strzelaj pierwsza. Będziesz wiedzieć”.

Jej wzrok przyzwyczał się do półmroku i dostrzegła karalucha biegnącego w dół korytarza. Ruszyła przed siebie, póki co ignorując schody Szała powoli, odpierając pokusę odwrócenia się i sprawdzenia, czy ktoś nie wsunął się bezszelestnie za nią. Była drapieżnikiem, nie zdobyczą.

Przy końcu korytarza dosłyszała ciche odgłosy muzyki dobiegające z mieszkania IF, hymn gospel sączący się zza drzwi. Zawahała się przez moment, potem zastukała lekko. Usłyszała szuranie ciężkich kroków zmierzających ku drzwiom, potem odgłos ten ucichł. Exley zastukała ponownie.

- Howard? - zza drzwi dobiegł cichy głos starszej kobiety. - To ty?

- Pomyliłam mieszkania, proszę pani. Przepraszam, że niepokoiliam.

Drzwi uchyliły się nieco, zabezpieczone łańcuszkiem. Wyrzwała przez nie leciwa Murzynka ubrana w podomkę. Jej oczy za plastikowymi okularami przyćmiła katarakta.

- Gdzie jest Howard?

- Proszę wracać do łóżka - wyszeptała Exley, dodając w myślach: Proszę nie podnosić głosu.

- Dlaczego zastukała pani do moich drzwi?

- Szukam kogoś.

- Howarda?

- Nie, proszę pani. Kogoś innego. Pewnego mężczyzny

- Witamy w klubie - kobieta uśmiechnęła się szerokim, bezzębny uśmiechem.

- Ten mężczyzna jest w tym budynku. Na górze - Exley wskazała gestem. - Być może słyszała pani, jak wchodził w nocy. Nie tak dawno temu.

Uśmiech przemienił się w grymas niezadowolenia.

- Biegali tu wcześniej w górę i w dół.
- Czy orientuje się pani, które to piętro?
- Drugie. Albo pierwsze.
- Życzę dobrej nocy. Dziękuję.
- Jeśli zobaczy pani Howarda...
- Powiem mu.
- Obiecuje pani?
- Obiecuje.

Drzwi się zamknęły, a Exley została sama.

Weszła po schodach bezszelestnie. Do tej pory nigdy nie czuła wdzięczności za lekcje baletu, do których zmusiła ją matka w latach szkolnych. Jutro będzie musiała odpowiednio podziękować mamie. Jeśli zyska taką szansę. Zatrzymała się u szczytu schodów. Nad jej głową świeciły dwie świetlówki, rzucając ostrzejsze światło na brudnożółte ściany korytarza. U jej stóp leżała sterta złożona z tuzina niedopałków. Ktoś siedział tu wieczorem, paląc papierosy. Czekając.

Na piętrze było cicho. W żadnym z mieszkań nie paliło się światło. Usłyszała samochód przejeżdżający na zewnątrz i ciężkie basy głośników. Exley przyłgnęła bezwiednie do ściany. Po chwili hałas ucichł, a w kamienicy znów zapanowała cisza.

Spojrzała ponownie na stertę niedopałków. Ależ oczywiście! Papierosy oznaczały zapach. Przez chwilę wciągała powietrze nosem. Tam. Słaby odór tytoniu wciąż unosił się na korytarzu po tyłu godzinach. Ruszyła do przodu powoli, podążając za zapachem, który stał się tak oczywistym śladem jak droga oznaczona okruchami chleba.

Kiedy skręciła ku schodom prowadzącym na drugie piętro, woń tytoniu stała się silniejsza. Wsunęła dłoń do torebki i wyczuła czterdziestkę piątkę. Nie wyciągając pistoletu z torebki, odbezpieczyła go. Powoli, cichutko wchodziła po schodach.

- JER-RY! JER-RY!

Kobieta. Na korytarzu. Zastukała raz, przestała, potem zaczęła wściekle walić w drzwi mieszkania, jakby jej pięści były w stanie wyrwać drzwi z zawiasów

- Jerry, wychodź stamtąd natychmiast! Jerry!

Wells natychmiast rozpoznał ten głos. Jak udało się jej go odnaleźć? To nieważne. Nachylił się do przodu, przesuwając dłonie bliżej kolana. Niemal czuł, jak we krwi rośnie poziom adrenaliny, przewyciężając pałeczki dżumy. Ghazi wyciągnął pistolet i wymierzył w Wellsa. Zbyt blisko, pomyślał Wells. On nie wie, że jest zbyt blisko.

- Co o tym wiesz? - zapytał Ghazi po arabsku.

- Nic.

Ghazi uderzył go makarowem w skroń, tuż nad uchem. Wells poczuł przeszywający ból i zobaczył w oczach gwiazdy. Jęknął i odchylił się do tyłu, lecz ręce trzymał przed sobą.

- Czy ona jest z tobą?

- Przysięgam, że nic nie wiem.

- To tylko jakaś kobieta - uspokajał Raszyd, wyglądając przez judasza. - Oprócz niej nie ma nikogo.

- Jer-ry! - krzyknęła Exley po drugiej stronie drzwi. - Zostaw tę dziwkę i wychodź NATYCHMIAST albo zadzwonię po policję!

Pukanie, a potem walenie, rozległo się ponownie.

- Jest pijana - stwierdził Abu Raszyd. - Upuściła torebkę.

- Cholera - złościł się Ghazi. - Szurnięta Amerykanka. Pozbądź się jej.

- Jak?

- Nie wiem. Po prostu pozbądź się jej

Brodaty Arab otworzył drzwi. Drugi mężczyzna stał tuż za nim, z papierosem zwisającym z ust.

- Ty nie jesteś Jerry - wybelkotała Exley

Strzelaj pierwsza. Pochyliła się nad torebką i włożyła do niej rękę, wyczuwając pistolet.

- To nie jest mieszkanie, którego pani szuka - odezwał się mężczyzna.

Zaczął zamykać drzwi.

Teraz. Wells zakaszłał, pochylił się i sięgnął prawą ręką po nóż. Gdy się prostował, lewą ręką chwycił Ghaziego za ramię, odpychając pistolet.

- Exley!

Ghazi wypalił. Za późno. Kula nie trafiła w Wellsa, przebiła kanapę i utknęła w ścianie. Wells wbił sztylet w brzuch Ghaziego, czując, jak ostrze przecina tłuszcz i mięśnie. Potem pociągnął klingę do góry, rozcinając z jadowitą satysfakcją żołądek Libańczyka. Gdy nóż dojechał do góry tak daleko, jak się dało, Wells obrócił klingę w dół, poszerzając ranę w kierunku jelit. Ghazi rozdarł się wniebogłosy, upuścił pistolet i przycisnął dłonie do brzucha. Krew już tryskała, czarna w przyćmionym świetle.

Kiedy Wells wykrzyknął jej nazwisko, mężczyzna przy drzwiach spojrział przez moment do tyłu. Exley usłyszała głośny strzał oddany w pokoju. Bez wahania uniosła torebkę i nacisnęła spust czterdziestki piątki. Broń wypaliła przez torebkę, odgłos strzału został wyciszony przez tłumik i skórę. Pocisk roztrzaskał biodro mężczyzny i spowodował, że narpał na drzwi.

Mężczyzna usiłował zamknąć drzwi, ale Exley podniosła pistolet wewnątrz torebki i znów pociągnęła za spust. Tym razem trafiła go w środek klatki piersiowej. Zrobił krok do tyłu, potykając się. Gdy padał, otworzył obrośnięte usta, wymawiając O w niemej, wściekłej furii. Exley wyszarpnęła pistolet z torebki, chcąc wymierzyć celnie w drugiego z mężczyzn, tego z papierosem w ustach. Lecz teraz on również sięgał po broń wsuniętą za pasek spodni.

Wystrzeliła ponownie, słysząc jednocześnie odgłos drugiego strzału dobiegający z pokoju. Tym razem pistolet odbił do góry i jej pocisk trafił palacza w kark w chwili, gdy wyciągał pistolet zza pasa. Przechylił się, a niedopałek wypadł spomiędzy jego warg...

... wtedy Exley usłyszała huk strzału z jego broni i poczuła oszalamiający ból w kolanie. Kula trafiła ją w nogę tuż ponad rzepką. Nie była w stanie utrzymać się dłużej na nogach. Krzyknęła i upadła do przodu, w stronę mieszkania. Przytrzymała drzwi lewą ręką, gdy mężczyzna runął na podłogę; z jego karku tryskała krew...

... w tym momencie w polu widzenia pojawił się trzeci mężczyzna: otyły Arab z bosymi stopami. Ruszył do przodu w stronę dwóch mężczyzn, chcąc sięgnąć po leżący na podłodze pistolet. Exley zapomniała o bólu i skoncentrowała uwagę na grubasie. Pociągnęła za spust czterdziestki piątki w chwili, kiedy pochylał się, sięgając po broń. Ciężki szary pistolet odbił jednak mocno, a wystrzelony pocisk przeleciał nad jego głową.

Odrzut odepchnął ją do tyłu, wytrącił z równowagi i przewrócił, powodując, że upuściła czterdziestkę piątkę. Broń odbiła się i przesunęła w głąb korytarza. Exley ruszyła na czworakach w kierunku pistoletu. Nagle kolano zapłonęło żywym ogniem i nie mogła powstrzymać krzyku. Otyły Arab przy drzwiach chwycił pistolet. Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiešek, gdy skrzył w jej kierunku i podniósł broń. Exley obróciła się ku niemu i podniosła ręce do góry, nienawidzące samej siebie za ten bezużyteczny i bezcelowy gest kapitulacji.

W tym momencie głowa grubasa eksplodowała, a jego ciało osunęło się obscenicznie na zwłoki dwóch mężczyzn, których wcześniej zabiła.

Wtedy usłyszała głos Wellsa. Zdawał się bardzo, bardzo odległy

- Exley. Zostań na zewnątrz!

Jakby miała inny wybór. Korytarz wirował przed jej oczyma, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu ciemność wypełniła jej oczy i zemdlała.

Gdy Ghazi darł się jak zarzynany świniak i padał na podłogę, Wells dał nura za makarowem, który Libańczyk upuścił obok kanapy. Chwycił pistolet i obrócił się w chwili, gdy dobiegało do niego dwóch mężczyzn. Wystrzelił z prawej ręki, trafiając jednego z *dżihadi* w pierś, prosto w serce; krew natychmiast trysnęła przez koszulę. Nogi zadrżały pod Arabem, gdy umierał.

Drugi z mężczyzn, chudy Pakistańczyk, który przez całą noc nie odezwał się ani słowem, dopadł Wellsa jednym sussem. Był na tyle blisko, że Wells widział drobne żyłki w jego oczach i czuł jego gorący, desperacki oddech. Pakistańczyk chwycił makarowa obiema dłońmi. Lewą, drżącą ręką Wells uderzył mężczyznę od dołu w szczękę. Potem chwycił go za wychudłą szyję, a Pakistańczyk zapomniał o pistolecie. Usiłował złapać dech, nieporadnie próbując odciągnąć nadgarstek Wellsa i otwierając usta. Teraz prawa ręka Wellsa była swobodna. Ręka, w której trzymał pistolet Ghaziego. Wsunął lufę pistoletu w otwarte usta Pakistańczyka i zobaczył, jak oczy tamtego rozszerzają się na ułamek sekundy przed tym, jak kula wystrzelona przez Wellsa rozerwała na strzępy jego mózg.

Wells spojrzał w kierunku drzwi, gdzie dwóch mężczyzn leżało martwych na podłodze jeden na drugim... a trzeci właśnie sięgał po pistolet Abu Raszida. Miał czas tylko na jeden strzał. Wymierzył, kiedy grubas się prostował. Pociągnął za spust.

Mężczyzna upadł. Jeden strzał, jeden trup.

- Exley! - krzyknął. - Zostań na zewnątrz!

Uporali się z nimi całkiem szybko. W pokoju zrobiło się cicho; chropawa podłoga była śliska od krwi i rozbryzanych fragmentów mózgu. Ghazi wciąż jeszcze jęczał, ale teraz

ledwo dosłyszalnie. Wells był pewien, że Libańczyk umrze w ciągu paru minut. Pozostała piątka była już martwa. Nie widział nigdzie siódmego *dżihadi*, Saudyjczyka studiującego na collegeu, który przechwalał się wcześniej lekturą *Mein Kampf*. Usłyszał, jak chłopak skamle po arabsku w ciasnej sypialni:

- Błagam!

- Chodź tutaj - nakazał mu Wells.

Czuł, jak opada w nim adrenalina, a dżuma znów zaczyna brać górę. Saudyjczyk pojawił się w drzwiach, z rękami uniesionymi w górę.

- Połóż się - Wells wskazał na róg pokoju. - Załóż ręce na tył głowy

- Błagam! - Saudyjczyk już szlochał.

- Połóż się.

Chłopak położył się na brzuchu z rękoma założonymi na głowę. Wells dźwignął się na nogi i podszedł do Saudyjczyka. Świerzbil go palce wskazujący. Ten typ z pewnością zasługiwał na śmierć. Podniósł makarowa i wycelował.

Nie, pomyślał. Przynajmniej nie traktuj tego osobiście. Zabijał już ludzi z zimną krwią, ale nigdy w taki sposób. Nigdy, kiedy przeciwnik poddał się i prosił o łaskę. Opuścił broń i cofnął się znad skraju przepaści.

Usłyszał, jak Exley cicho jęczy w korytarzu, a sąsiedzi zaczynają robić zamieszanie. Czas się stąd wynosić. Wziął kajdanki, skuł nimi Saudyjczyka i przypiął do stalowego grzejnika w rogu pokoju.

Wells przeszedł nad ciałami leżącymi przy drzwiach i wyszedł na korytarz. Czuł się tak, jakby przekroczył Styks. Exley leżała na ziemi, biała i cicha, z zamkniętymi oczyma; lewa nogawka jej spodni przesiąkła krwią. Wells rozerwał koszulę i związał jej prowizoryczną opaskę powyżej kolana, chcąc powstrzymać krwawienie. Zamrugnęła powiekami i otworzyła oczy.

- Jennifer. Jenny
Jęknęła cicho. Pochylił się i przytulił ją. Była wychłodzona.

- Nic ci nie będzie.

Miał nadzieję, że się nie myli. Szarpnął nim kaszel, więc się odwrócił. Choć z pewnością była już zainfekowana, w rezultacie ich pocałunku w Kenilworth.

- Dokonaliśmy tego, Jenny

- Tylko ty nazywasz mnie Jenny - wyszeptała. - Dlaczego?

- Inni nie znają cię tak dobrze jak ja - odparł i pogłaskał ją po włosach. - Muszę już iść.

- Khadri?

- Obiecuj mi, że przeżyjesz.

Przytaknęła niemrawo.

- Obiecuj.

- Obiecuję.

Pocałował ją w policzek, kiedy zamykała oczy

Wells sprawdził magazynek w pistolecie Ghaziego, chcąc się przekonać, ile naboji pozostało. Sześć. Powinno wystarczyć. Musiał zabić tylko jeszcze jednego człowieka. Wcisnął magazynek do rękojeści i wsunął broń do kieszeni kurtki.

Jeśli powie sąsiadom o dzumie, wybuchnie panika. Czasu jest dość, żeby wszystkim zaaplikowano antybiotyki. Gdy znajdzie się w pikapie, zadzwoni na policję. Przez ściany kamienicy już słyszał odległe odgłosy syren. Pobiegł schodami w dół tak szybko, jak pozwalały mu na to płuca zatrute dżumą.

Ulica była pusta; niebo nad miastem zaczynało jaśnieć na horyzoncie. Syreny były oddalone co najmniej o jakieś trzy czwarte kilometra; o tej porze patrol nowojorskiej policji, w sile trzydziestu pięciu tysięcy ludzi, były jeszcze rozstawione sporadycznie. Wells poczuł dreszcze w chłodnym powietrzu nocy i ruszył truchtem w kierunku forda ramera.

W samochodzie sięgnął po torbę i drżącą ręką wyciągnął z niej czystą koszulę oraz apteczkę pierwszej pomocy. Naciągnął koszulę przez głowę. Potem znalazł fiolkę z pastylkami Cipro i wysypał do ust z buteleczki cztery, pięć, sześć dużych białych tabletek. Połknął je bez popijania i usiadł prosto. Preparat Cipro był silnym antybiotykiem o szerokim spektrum działania; Wells nie mógł być pewien, czy lek zadziała również przeciw dżumie, ale miał nadzieję, że tym sposobem zyska przynajmniej kilka godzin. Mimo to już wkrótce będzie musiał się udać do szpitala.

Przypomniał sobie, jak jako dziecko oglądał teleturniej *Dobra cena*, w którym prowadzący, Bob Barker, instruował uczestników, że ich zadaniem jest możliwe trafne odgadnięcie wartości nagrody, jednak bez jej przekroczenia.

- Wygra ten, kto znajdzie się najbliżej i nie przekroczy ceny - mawiał zawsze Barker.

Wells doszedł do wniosku, że bierze udział w takiej grze z dżumą. Musi dojść możliwie blisko granicy, nie przekraczając jej.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ranger obudził się do życia. Wyjechał na ulicę. Przy pierwszych światłach skręcił w prawo, na południe, potem znowu w prawo, na zachód. W kierunku Manhattanu. Był pewien, że Khadri zechce odpalić swoją brudną bombę, kiedy tylko zorientuje się, co się przydarzyło jego ludziom. A to stanie się zapewne niebawem. W mediach za chwilę pojawią się doniesienia o rzezi w mieszkaniu 3C

Wells wjechał na Manhattan mostem Willis Avenue, gdy w tylnym lusterku dostrzegł wschodzące słońce. Czas wżwać kawalerię. Sięgnął po telefon i wybrał numer 911. Gdy to zrobił, usłyszał piknięcie. Bateria była na wyczerpaniu.

- Dziewięć jeden jeden, telefon alarmowy
- Była strzelanina przy ulicy Sto Czterdziestej Siódmej w Bronksie.

Słyszał, jak dyspozytor uderza w klawiaturę.

- Ta, proszę pana. Zespoły ratunkowe dotarły już na miejsce.

- Dopilnujcie, żeby mieli ze sobą sprzęt ochrony biologicznej. Mieszkanie jest zakażone dżumą.

- Dżumą?

- Tak.

- Jest pan tego pewien?

- Tak.

Rozłączył się.

Nie wiedział, jak dotrzeć do Shafera lub Duto, ale nie zapomniał awaryjnego numeru do Langley, przy którym zawsze ktoś dyżurował. Wybrał ten numer. Po pojedynczym sygnale odezwał się męski głos.

- Baza.

Osobliwa tradycja, która datowała się niemal od czasów powstania Agencji.

- Mówi John Wells.

- W czym mogę pomóc, panie Wells?

- Muszę porozmawiać z Vinnym Duto.

Znów usłyszał sygnał słabnącej baterii.

- Nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku - odparł mężczyzna bez zająknięcia. - Jest pan pewien, że wybrał właściwy numer?

Wells uderzył z desperacją w kierownicę. Co oczywiste, facet nie mógł połączyć go bezpośrednio. Prawdopodobnie też nigdy wcześniej nie słyszał jego nazwiska. Wells nie znał także aktualnych kodów alarmowych, którymi agenci posługiwali się w celu identyfikacji, dzwoniąc do „bazy”.

Zakaszła ostro i splunął grubym glutem flegmy na przednie siedzenie rangera. Wciąż miała szary kolor, przynajmniej tyle. Jeśli zacznie płuć krwią, nawet Cipro go nie ocali.

- Halo? Halo?

Mężczyzna rozłączył się. Wells zadzwonił ponownie.

- Baza.

- Proszę. Połącz mnie z Duto. Albo z Ellisem Shaferem.

Mężczyzna wahał się. Nazwisko Duto było znane publicznie, ale Shafera już nie.

- Proszę powtórzyć nazwisko.

- John Wells. Jestem agentem; mój awaryjny kryptonim to Red Sox.

- Przykro mi, ale nie mam możliwości sprawdzenia pańskiego kryptonimu. Bez względu na jego formę. Jeśli ma mi pan coś jeszcze do przekazania, proszę mówić.

- Posłuchaj, nie znam nowych kodów, ale proszę, uwierz mi.

- Panie Wells, ktoś do pana oddzwoni. Czy będzie pan pod tym numerem telefonu?

- Nie, bateria się wyczerpuje.

- Panie Wells...

- Powiedz im, żeby ogłosili alarm o podwyższonej gotowości i zaczęli szukać Żółtego.

- Jakiego żółtego?

- To brudna bomba - wyjaśnił Wells.

Czuł, że słabnie i zaczyna mu się mącić w myślach. Cipro i dżuma toczyły ze sobą wojnę w jego organizmie; wyglądało na to, że bakterie muszą się bronić. Dobrze i to.

- Wiem, że moje słowa nie trzymają się kupy, ale to wszystko, co mam ci do powiedzenia. Żółty. Poza tym w Montrealu jest pewien człowiek o imieniu Tarik, który jest zarażony dżumą płucną, naukowiec...

- Dziękuję panu, panie Wells. Ktoś oddzwoni do pana.

Klik. Wells spojrział w dół i zobaczył, że bateria wyczerpała się kompletnie. Nawet jeśli ten gość prześle dalej jego informacje, Agencja nie zdoła nawiązać z nim kontaktu. Przez jakiś czas będzie zdany sam na siebie.

Po drodze do domu Khadri zatrzymał się na stek i jajecznicę w całodobowej restauracji przy Webster Avenue. Dopadł go wilczy apetyt. Radował się, że tego ranka jego ludzie wyruszą w drogę. Nic już nie mogło powstrzymać realizacji jego planu.

Ledwo zdążył zjechać do garażu Ghaziego, kiedy usłyszał w radiu pierwszy serwis informacyjny:

- Stacja 1010 WINS podaje informację poranka. W kamienicy czynszowej przy ulicy Sto Czterdziestej Siódmej w południowym Bronksie doszło do strzelaniny. Policja otoczyła budynek kordonem; sąsiedzi zeznali, że co najmniej dwóch mężczyzn wyniesiono na noszach. Pozostańcie z nami. Dalsze szczegóły podamy z chwilą, kiedy zdobędziemy dodatkowe informacje.

Khadri pokręcił głową z niedowierzaniem, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, aż poczuł zawroty i przestał.

- Nie - powiedział cicho. - Nie.

Usiadł z powrotem w lincolnie i oddychał głęboko, starając się opanować wzburzone emocje. Jak mógł okazać się takim głupcem? Co ten Amerykanin nawyrabiał w ich mieszkaniu?

Musiał przyjąć najgorszą ewentualność: że Wells zabił jego ludzi i wezwał policję. Po tylu latach Wells wyprowadził go na manowce, zniweczył wszystkie jego wysiłki. Bakterie dżumy nie opuszczą już tego mieszkania. Khadri przeklinał siebie za okazaną arogancję. John Wells, ten zakłamywany niewierny. Allah z pewnością pošle go do najgorętszych piekielnych ognii, on sam zaś zasłużył na to, żeby mu towarzyszyć, bo zmarnował sposobność zadania tego ciosu.

To nie była tylko dżuma, pomyślał. Żółty był zarejestrowany na nazwisko Ghaziego. Policja może łatwo odnaleźć bombę, kiedy uda im się zidentyfikować Libańczyka. Będzie musiał zdetonować bombę tego ranka, zanim gliny połączą ze sobą końce sznurka. Spojrzał na zegar w lincolnie. Szósta dwadzieścia dziewięć. Do tej pory Khadri nie planował zginąć w trakcie zamachu. Zamierzał zostawić Żółtego w garażu w pobliżu celu i być już w Meksyku, kiedy bomba wybuchnie. Teraz jednak nie mógł podjąć takiego ryzyka. Będzie musiał osobiście zdetonować bombę.

Na tę myśl Khadri poczuł skurcze w żołądku. Odsunął strach na bok. Obiecywał swym *dżihadi*, wojownikom świętej, wieczysty raj; teraz on również miał się przekonać, czy Allah będzie na niego czekał. Z tą myślą Khadri wysiadł z samochodu.

W Langley informację Wellsa przekazano Joemu Swygertowi, szefowi zespołu pełniącego nocny dyżur. Ostrzeżenie wprawiło Swygerta w zakłopotanie: człowiek, który zadzwonił, znał procedury obowiązujące w Agencji, ale nie potrafił podać żadnego aktualnego kodu. Ponadto to, co przekazał, pozbawione jest sensu, pomyślał Swygert. Codziennie aktualizowana lista głównych bieżących zagrożeń nie wspominała o żadnym Żółtym ataku.

Spojrzał na wiadomość jeszcze raz i westchnął. Dyżurny prze telefonie otrzymuje donosy takie jak ten kilka razy do roku, od świrów, którym jakimś cudem udało się zdobyć numer alarmowy Wszedł w komputerze do katalogu na III Poziomie tajności danych, chcąc znaleźć informacje na temat Johna Wellsa. Nie natrafił tam na to nazwisko, ale wiedział, że jego brak niczego jeszcze nie przesądza. Katalogi nie kończyły się na III Poziomie.

Swygert spojrzał na zegarek. Szósta trzydzieści dwie. W ciągu trzech lat obudził Duto jedynie dwa razy: pierwszy raz, kiedy Faruk wyjawiał Saulowi fakt istnienia brudnej bomby oraz drugi raz, gdy agent CIA zginął w podejrzanych okolicznościach w wypadku samochodowym w Pekinie po spotkaniu z „kretem” wysoko postawionym w chińskim rządzie. Swygert nie zamierzał dzwonić do Duto czy Shafera, chyba żeby otrzymał jakieś nowe wiadomości.

Khadri jechał na południe przez południowy Bronx trasą szybkiego ruchu Major Deegan. Ruch już robił się intensywny: drogą sunęły furgonetki wyładowane warzywami, które miały zapełnić półki w delikatesach, oraz ciągniki siodłowe

z naczepami McDonalda, z ogromnymi Big Macami wymalowanymi na burtach. Khadri jechał powoli. Planował dotrzeć do celu około godziny ósmej. Z chęcią zaczekałby dłużej, upewniając się, że biurowce w śródmieściu zapełnią się ludźmi, ale nie mógł pozwolić sobie na zwłokę. Arogancja już go drogo kosztowała. Lepiej uderzyć wcześniej niż dać się złapać i całkowicie zmarnować okazję.

O siódmej zero trzy Wells zaparkował rangera na Manhattanie przy Czterdziestej Czwartej ulicy, w strefie przeznaczonej wyłącznie dla taksówek, tuż obok skrzyżowania z Jedenastą Aleją. Zignorował taksówki trąbiące na niego, kiedy mył ręce i twarz resztką wody, którą kupił wczoraj wieczorem. Czuł się chory i słaby; ataki kaszlu stały się teraz częstsze. Wkrótce będą mu potrzebne antybiotyki podawane dożylnie, o silniejszym działaniu niż Cipro, jeśli miał zyskać jeszcze szansę na przeżycie.

- Ta okazja może być twoja - mamrotał do siebie.

Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Evana. Prawdopodobnie nie. Ale z drugiej strony, wielu ojców i wiele matek nie zobaczy więcej swoich dzieci, jeśli on nie zdoła odnaleźć Khadriego.

- Pilnuj go, Boże - mruczał. - Bez względu na to, co się dzisiaj wydarzy, pilnuj go.

Nie miało znaczenia, czy modlił się do Boga muzułmanów czy chrześcijan - przypuszczał też, że Bóg również nie zawracał sobie tym głowy

Wells naciągnął głęboko na czoło czapkę Red Soksów, wsunął pistolet Ghaziego za pas i zakrył go koszulą. Wysiadł z pikapa, mrugając oczami w zamglonym powietrzu poranka. Oparł się o samochód, nie mając pewności, w którą ruszyć stronę. Usłyszał w radiu relację na temat strzelaniny w mieszkaniu 3C, ale jak do tej pory nie widział żadnych oznak policyjnej obławy ani żadnych blokad drogowych; nie słyszał też policyjnych syren. Najwidoczniej Exley wciąż była

nieprzytomna, a nikt nie skojarzył jego telefonu do Langley z krwawą rzezią w kamienicy czynszowej w Bronksie. Miał pewność, że wkrótce Agencja i komenda nowojorskiej policji połączą ze sobą oba zdarzenia. Prawdopodobnie w ciągu paru następnych godzin. Ale wtedy może się okazać, że jest już za późno.

Zastanawiał się, czy nie powinien znaleźć najbliższego komisariatu, wyjaśnić, kim jest i przekonać ich do wystawienia listu gończego za Khadrim. Ale policja nie ogłosi alarmu natychmiast - nie na podstawie relacji człowieka z ulicy, o niechlujnym wyglądzie, który utrzymuje, że jest agentem CIA i opowiada jakąś historyjkę o dżumie oraz brudnej bombie. Jeśli ujawni się we własnej osobie, może to nawet spowolnić procedurę ogłoszenia alarmu. Zwłaszcza że gliny interesowałyby się nim głównie jako uczestnikiem strzelaniny w Bronksie. Nie. Zanim policja opublikuje podobiznę jego lub Khadriego, on zgłosi się do nich i otrzyma potrzebne antybiotyki. Do tego czasu pozostanie na ulicach i spróbuje odnaleźć Żółtego, czymkolwiek by to nie było.

Ale dokąd ma pójść? Gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz Giełda Nowojorska były zbyt dobrze chronione. Empire State Building? Citigroup Center? Time Warner Center? Grand Central? Potem Wells przypomniał sobie słowa, które Khadri wypowiedział, kiedy spotkali się w Atlancie, w parku Piedmont: „Czy nie uważasz, że to ekscytujące? Times Square?”. Times Square był jedynym miejscem, o którym Khadri kiedykolwiek wspominał. Był to najbardziej znany adres na świecie. Łatwiej się tam dostać, niż gdzie indziej. To była Strefa Jeden.

Oczywiście, Wells mógł się mylić. Khadri mógł darzyć nienawiścią Empire State Building z powodów, których nie znał. Nie mógł też być pewien, czy rozpozna Żółtego, kiedy go zobaczy. Ale nie miał innego wyboru. Mógł udać się na Times Square. Albo oddać się w ręce policji.

- Times Square - powiedział na głos.

Cztery kwartały w kierunku wschodnim. Odwrócił się i ruszył w stronę wschodzącego słońca.

Policjanci na Sto Czterdziestej Siódmej ulicy nie potrzebowali dużo czasu, żeby dojść do przekonania, iż masakra w mieszkaniu 3C był czymś więcej niż transakcją narkotykową, która zakończyła się rozlewem krwi. Komenda Policji w Nowym Jorku natychmiast wysłała oddziały antyterrorystów, które przeczeszały budynek. Komenda powiadomiła również nowojorskie centrum operacyjne FBI, sprawdzając, czy Federalni nie dysponują jakimiś informacjami na temat tego mieszkania czy ludzi tam znalezionych. FBI odpowiedziało, że żaden z tych mężczyzn nie znajdował się na liście głównej poszukiwanych terrorystów, co jednak nie musiało niczego dowodzić. Detektywi bardzo chcieli przesłuchać kobietę, którą znaleźli na korytarzu. Niestety, poddano ją operacji. Młody mężczyzna przypięty kajdankami do grzejnika póki co odmawiał złożenia zeznań.

Ostrzeżenie Wellsa na temat dżumy zostało przekazane do policyjnego centrum dowodzenia taktycznego usytuowanego przy One Police Plaza na Manhattanie. Funkcjonariusze udający się na miejsce krwawych zdarzeń zostali odpowiednio poinstruowani, do budynku wysłano też policyjny oddział do zwalczania zagrożenia biologicznego w celu zbadania poziomu skażenia, co było standardową praktyką w przypadku otrzymania wiarygodnej informacji o akcie bioterroru. Mimo to funkcjonariusze obecni w mieszkaniu w Bronksie nie ulegli panice; w Nowym Jorku fałszywe alarmy o przypadkach bioterroru były niemal na porządku dziennym.

Oddział do zwalczania zagrożenia biologicznego nowojorskiej komendy policji był jednym z sześciu zaledwie cywilnych zespołów w całych Stanach wyposażonych w eksperymentalne aparaty do replikacji polimerazy, za pomocą których można było wykryć pałeczki dżumy. Wykonanie próby zajęło z grubsza godzinę.

O siódmej dwadzieścia sześć otrzymano wyniki - pozytywne.

Oficjalna kula śniegowa zaczęła się toczyć natychmiast. Mieszkanie 3C uznano za miejsce potencjalnego ataku bioterrorystycznego. W budynku zarządzono kwarantannę. Nikt nie mógł go opuścić ani do niego wejść. Ostrzeżono również lekarzy operujących kobietę znaną na korytarzu. Pobrano od niej próbki krwi, tak jak od wciąż niezidentyfikowanego mężczyzny schwytanego w mieszkaniu 3C. Policja przesłała raport o zdarzeniach do FBI, Połączonej Grupy Operacyjnej do Spraw Terroryzmu oraz do Białego Domu. Joe Swygert, oficer dyżurny w Langley, zdał sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli znajdzie Vinny'ego Duto i powiadomi go o telefonie od człowieka nazwiskiem John Wells.

W przeciągu zaledwie paru minut ludzie z P60 połączyli ze sobą elementy układanki dotyczące tego, co działo się na ulicach Nowego Jorku. O godzinie siódmej czterdzieści jeden każdy funkcjonariusz nowojorskiej policji będący na służbie oraz każdy agent FBI otrzymał pilny raport, informujący o tym, że informacje wywiadu wskazują na bezpośrednie zagrożenie atakiem terrorystycznym, najprawdopodobniej radiologicznym, zwanym inaczej brudną bombą. Dokładny sposób dostarczenia bomby nie jest znany, ale za szczególnie niebezpieczne należy uznać taksówki, furgonetki firmy Ryder oraz ciężarówki firmy Yellow. Zamachowiec pozostaje nieznan, ale przypuszczalnie posługuje się fałszywym nazwiskiem Omar Khadri.

Wydano też list gończy za Johnem Wellsem, białym mężczyzną, obywatelem USA, wzrost metr osiemdziesiąt sześć, waga dziewięćdziesiąt kilogramów, oczy i włosy ciemne, jako naocznym świadkiem sześciokrotnego zabójstwa, do którego doszło nad ranem w Bronksie. W Langley Agencja z pełną desperacją poszukiwała zdjęcia Wellsa, które można by

przekazać policji i stacjom telewizyjnym. W liście gończym podano też ostrzeżenie, że Wells może być uzbrojony i niebezpieczny oraz że przypuszczalnie jest zainfekowany bakteriami *Yersinia pestis* - pałeczkami dżumy

Prezydent zarządził natychmiast podwyższony poziom gotowości w wojskowym ośrodku obrony przed bronią biologiczną, a tajne oddziały sił lądowych podjęły zadania w związku z zagrożeniem atakiem nuklearnym lub radiologicznym na amerykańskiej ziemi. Biuro prasowe Białego Domu powiadomiło stacje radiowe i telewizyjne, żeby zarezerwowały czas antenowy na godzinę ósmą trzydzieści w związku z planowanym wydaniem oświadczenia w sprawie kluczowej wagi dotyczącej bezpieczeństwa narodowego.

Wszelako w związku z powyższym pojawiły się trzy komplikacje natury zasadniczej.

Nikt nie dysponował fotografią Khadriego.

Nikt nie wiedział, czym jest Żółty

Poza tym wszyscy byli bardzo spóźnieni.

O siódmej czterdzieści trzy Khadri przejechał Żółtym z Central Park South na Siódmą Aleję. Ulice były już solidnie zatłoczone, ale Khadri myślał z determinacją, że nawet największy nowojorski korek nie powstrzyma go przed dotarciem do celu. Przez wysoką, kwadratową przednią szybę samochodu patrzył, jak *kafirowie* rozpychają się łokciami na chodnikach, pędząc do swoich biur, żeby móc potem napaść forsą kieszenie.

Gdyby tylko wiedzieli, jaki los ich czeka - ogień i popiół, śmiertelny dym. Nie zamartwialiby się tak bardzo mamoną. Jednak ich los był już przesądzony. Spojrzał do tyłu na metalowe koryto, potem na detonator ukryty przy stopach, gdzie nie był widoczny. Ci ludzie nie mogą się łudzić, że Allah okaże im miłosierdzie, pomyślał. Niczego od niego nie otrzymają.

Światła przy Pięćdziesiątej Ósmej zmieniły się na zielone. Khadri nacisnął lekko pedał gazu. Żółty powoli ruszył z miejsca.

Wells oparł się o budkę TKTS, ustawioną na wysepce przy północnym krańcu Times Square, na Czterdziestej Siódmej ulicy, między Siódmą Aleją a Broadwayem. Popołudniami w budce sprzedawano bilety do okolicznych teatrów po zniżkowych cenach, ale rano była zamknięta. Było to jedyne puste miejsce w zgiełku i tłumie, który ciągnął się od Czterdziestej Siódmej do Czterdziestej Drugiej. Zamiast przepychać się w ciżbie, Wells postanowił oszczędzać siły i poczekać przy budce, skąd mógł obserwować samochody zmierzające na południe w stronę Broadwayu i Siódmej Alei.

Zdawał sobie sprawę, że nie może pozostawać tu zbyt długo - nie tylko z powodu dzumy W ciągu ostatnich pięciu minut słyszał policyjne syreny mknące na wschód, północ i południe; w każdym kierunku. Gdy Wells obserwował samochody, dwóch policjantów wyciągnęło broń i kazalo wyjść kierowcy z taksówki zaparkowanej obok siedziby firmy Morgan Stanley na rogu Czterdziestej Siódmej i Broadwayu. Ogłoszono więc alarm. Wkrótce nie będzie już miał wpływu na nic. Ale jeszcze nie teraz. Przeszły go dreszcze; skierował ponownie uwagę na Siódmą Aleję.

Instynktownie wyczuwał, że Khadri jest bardzo blisko. Żółty. To musi być jakiś samochód, pomyślał Wells. Logiczna wydawała się taksówka, lecz nie było to zbyt oczywiste. Khadri promieniał zachwytem, gdy w mieszkaniu na Bronksie wymawiał to słowo. Nie taksówka. I nie ciężarówka. Samochód ciężarowy był zbyt duży, zbyt trudny do ukrycia. Żółty był czymś innym; czymś, co było dostatecznie duże, by pomieścić bombę o sporych rozmiarach bez zwracania uwagi. Ale czym?

Policyjny radiowóz skręcił w ulicę Czterdziestą Siódmą i zatrzymał się na wprost Wellsa. Funkcjonariusze w aucie

przyglądali się mu z zainteresowaniem. Ten, który kierował, opuścił boczną szybę.

- Nic ci nie jest, koleś? Wyglądasz na chorego.
- Wszystko w porządku - odparł Wells. Usiłował powstrzymać atak kaszlu.

Pięćdziesiąta... Czterdziesta Dziewiąta... Czterdziesta Ósma...

Khadri trzymał na kierownicy obie dłonie i usiłował utrzymać adrenalinę na niskim poziomie, gdy Żółty zmierzał na południe. Tłok na jezdni był już tak duży, że ludzie na chodnikach przemieszczali się niemal z taką samą prędkością co on, jadąc samochodem, ale to nie miało znaczenia. Nic nie mogło go powstrzymać. Drżały mu ręce, lecz nie ze strachu. Wiedział, że powinien odczuwać trwogę, zamiast tego jednak przepełniała go wyłącznie ekscytacja. Świat na długo zapamięta ten dzień.

Ruch zatrzymał się przy rogu Czterdziestej Siódmej ulicy i Siódmej Alei. Trzy lincolny town car, dwie kurierskie furgonetki UPS, rangę rover, poobijany volkswagen jetta oraz mały szkolny autobus, jaki dzieciaki w Montanie nazywają „krótkim busem”. Autobus był pusty, nie licząc kierowcy, jednak jego koła przylegały do jezdni, jakby pojazd przewoził ciężki ładunek.

Wells spojrzał bliżej i od razu wiedział. Khadri. Miłośnik ironii. Oczywiście. Przecież nikt nie spojrzy dwa razy na szkolny autobus.

Żółty stał na światłach jako drugi, po zachodniej stronie Siódmej Alei, tuż za lincolnem. W odległości około dwudziestu metrów. Trzy sekundy, jeśli popędzi w jego kierunku. Dziesięć, jeśli będzie szedł. Wells naciągnął czapkę głęboko na czoło i ruszył ku wschodowi, w stronę Siódmej Alei. Khadri miał po części rację, pomyślał: spotkają się ponownie, ale nie w rajcu.

Na Times Square.

- Hej, koleś - znów odezwał się policjant.

Wells nie zatrzymał się, mijając z tyłu policyjny radiowóz i klucząc między taksówkami, który sunęły powoli Czterdziestą Siódmą ulicą.

Piętnaście metrów. Zakaszłał - zjadliwa, rozrywająca żebra erupcja, której nawet nie próbował powstrzymać. Jeśli nie dogoni autobusu, ludzie wokół niego będą mieli znacznie większe zmartwienie niż dzuma.

- Hej. Mówię do ciebie! - policjant nie krzyczał, jeszcze nie.

Wells dotarł do północnej strony Czterdziestej Siódmej ulicy i skręcił w prawo, przedzierając się przez tłum ludzi w garniturach, idących pospiesznie ku zachodowi, w stronę gmachu centrali banku Morgan Stanley. Dziesięć metrów. Nie dość blisko, jeszcze nie dość. Khadri z pewnością trzymał detonator na kolanach. Wells wsunął rękę za pas i chwycił pistolet, trzymając go pod kurtką.

Obejrzał się do tyłu i zobaczył, że policjanci wysiadają z radiowozu, trzymając ręce przy biodrach. Ruszył truchtem w kierunku autobusu.

Pięć metrów

- Stój! - usłyszał wołanie policjantów, ale ich uwagę odciągnął ogłuszający klakson furgonetki poczty kurierskiej UPS. Widział już Khadriego, który siedział za kierownicą pustego autobusu, wyprostowany, z głową uniesioną do góry, jakby już dostrzegł raj.

Trzy metry

Jeszcze kilka sekund, powiedział do siebie Khadri. Światła zmieniają się na zielone, przejedzie jeszcze dwie przecznice i znajdzie się pośrodku placu, przy Czterdziestej Piątej ulicy... I wtedy się spełni. Kilka sekund. Dwie przecznice. Detonator wciąż znajdował się przy jego stopach. Nie dotykał go, żeby nie ulec pokusie zbyt wczesnego zdetonowania bomby. Chciał, żeby jego dzieło było doskonałe.

I wtedy zobaczył mężczyznę w czapce drużyny Red Sox, podbiegającego do autobusu w pistoletem w dłoni.

Khadri ryknął, ogarnięty nagłą, zwierzęcą furją. Sięgnął ręką do detonatora.

Pierwszy strzał Wellsa przebił jego klatkę piersiową i szarpnął nim w stronę okna. Khadri nie czuł bólu, jedynie przeogromny gniew. Nie zamierzał pozwolić, by *kafirowie* odebrali mu zwycięstwo. Sięgnął po detonator, który znajdował się w zasięgu ręki. Ale Wells wciąż biegł, strzelając, kiedy otworzył drzwi autobusu i wskoczył do środka, Khadri wiedział już, że zawiódł.

Wells nachylił się nad nim, omiatając jego twarz gorączkowym, wilgotnym oddechem. Wtedy Khadri zrozumiał. Wells był aniołem śmierci. Usiłował podtrzymać gniew, ale czarny wiatr przyszedł po niego, zamknął oczy. Z kącika ust zaczęła sączyć się strużka krwi. Wydał z siebie ostatnie, przedśmiertne westchnienie. Umarł.

Wells poczuł strzał, zanim go usłyszał. Mięśnie jego pleców eksplodowały. Obrócił się i upadł do przodu. Na Khadriego. Policjanci. Wykonywali swoją robotę. Wykańczali czarny charakter. Tak przynajmniej sądzili. Nie. Musiał przeżyć. Dotarł za daleko, by teraz umrzeć. On również wykonał swoją robotę. Wszystkie te lata spędzone w dziczy. Usiłował podnieść ręce do góry, ale po prostu zabrakło mu sił.

Wells czuł własną krew, gorącą, brudną krew, która rytmicznie spływała mu po plecach. Kiedy zamykał oczy, a świat zamieniał się w czerń, jego myśli pobiegły ku Exley

EPILOG

Exley obudziła się. Czuła piekący ból w kolanie, jakby rekin odgryzł jej połowę nogi. Ale kiedy otworzyła oczy, zobaczyła swoją stopę uniesioną do góry. Wyciąg zapewniał właściwe położenie dolnej kończyny. Łóżko szpitalne. Obok niej stały dwie kobiety: jedna miała na sobie biały lekarski kitel, druga ubrana była w strój pielęgniarki. Obie miały na twarzach maseczki chirurgiczne.

Gdy odzyskała przytomność, ból w nodze przemienił się w prawdziwe katusze. Elektryczny drut w jej organizmie raził ją bez chwili ustanku; każdy nerw w kolanie wysyłał do mózgu bolesne impulsy

- Boli - wykrztusiła.

Poza nogą, całe jej ciało sprawiało dotkliwy ból. I chociaż dopiero przed chwilą otworzyła oczy, odczuwała przeogromne znużenie, jakby od wielu dni biegła bez końca. Zaciśnęła pięści przy kolejnym spazmie katuszy; pielęgniarka pospiesznie przytrzymała jej rękę, nie dopuszczając do tego, by igła kroplówki wbiła się jej w łokieć.

Lekarka podeszła do Exley

- Została pani postrzelona - oznajmiła. - Przypomina sobie pani?

Teraz Exley przypomniała sobie.

- Na korytarzu.

- Chce pani trochę lodu?

Exley przytaknęła. Nawet rozmowa stanowiła ogromny wysiłek; w ustach wyschło jej całkowicie. Pielęgniarka, z dłonią w rękawiczce, wsunęła jej do ust kostkę lodu. Exley posiadała przez

chwilę i poczuła w ustach chłodny kawałek raju. Zaczęła przypominać sobie coraz więcej: godziny spędzone w furgonetce, Wells wykrzykujący jej nazwisko...

- Co się stało?

Gdzieś w głębi, pod strefą bólu, rosła w niej panika. Wells. Gdzie on jest? W ostatnim obrazie, jaki zapamiętała, pochylił się nad nią na brudnożółtym korytarzu.

- Czy może pani podać mi swoje nazwisko? - zapytała lekarka.

- Jen. Exley

Kobieta w białym fartuchu przytaknęła.

- Jestem doktor Thompson. Julie. Mam dla pani dobre wiadomości, pani Exley Są tu pani dzieci.

- Co znaczy: tu? - zdziwiła się, oblizując wargi, znów spierzchnięte.

- Oddział zakaźny szpitala w Bellevue. Nowy Jork. Przebywa tu pani od szesnastu godzin. Chcemy jednak mieć pewność, że nie rozsiewa pani zarazków, zanim wpuścimy tu Davida i Jessicę.

Gdy pani doktor po raz drugi wspomniała dzieci, Exley poczuła, jak ogarnia ją osobliwa bolesć. Nie powinny widzieć jej w takim stanie. Podeszła zbyt blisko śmierci, niepomna ich losu. Zbyt długo była też z dala od nich. Leki, ból oraz wstyd zlały się w niej w jedno, sprawiając, że po policzkach pociekły gorące łzy. Odwróciła głowę. Lekarka, Exley zapomniała, jak się nazywa, ściągnęła rękawiczkę i przystawiła jej do czoła chłodną dłoń.

- Nie ma powodów do niepokoju - powiedziała. - Została pani zainfekowana złośliwymi mikroorganizmami, ale wygląda na to, że zadziałaliśmy na czas. Przypuszczalnie zobaczy się pani z nimi już jutro.

Myśli Exley znów pobiegły ku Wellsovi.

- Gdzie jest John?

Pani doktor spojrzała na pielęgniarkę.

- Też tu przebywa. Jest ciężko chory

Ciężko chory. Exley zamknęła oczy

- Wiem, że bardzo pani cierpi - podjęła lekarka. - Musimy dozować leki z dużą ostrożnością. Jeśli ból będzie zbyt ostry, proszę nas powiadomić. Kiedy poczuje się pani lepiej, w kolejce czeka dużo osób, które pragną z panią porozmawiać. Chcą pani podziękować. Póki co niech pani spróbuje zasnąć. Proszę.

Następny dzień minął jak we mgle, Exley na przemian odzyskiwała i traciła przytomność, kiedy pielęgniarka dostosowywała dawki leków. Lekarze na chwilę wpuścili do niej dzieci i matkę; radość, jaka ją przepełniła, przerosła wstyd. Mimo to ucieszyła się, kiedy wyszli. W ich twarzach widziała szok, jaki wywołał jej wygląd. Wysiłek związany z zachowaniem uśmiechniętego oblicza w ich obecności wyczerpał Exley. Zemdliała niemal w chwili, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

Kiedy znów się obudziła, przy jej łóżku siedział w kucki Shafer.

- Ellis - odezwała się chrapliwym głosem.

Po raz pierwszy poczuła, jak wraca jej odrobina energii, chociaż kolano bolało ją tak, jakby rozrywano je od środka.

- Jennifer.

W pierwszej chwili wydawało się, że brakuje mu słów. Wykręcił ręce do tyłu i zaczął stąpać po pokoju na patykowatych nogach.

- Co się tam stało? - zapytała. - Nie chcą mi powiedzieć.

- Niewiele brakowało; ale poradziłaś sobie, Jennifer - odparł. - Ty i Wells.

- Co oni mieli na myśli, mówiąc, że mogą rozsiewać zarazki?

- Nie jestem prawdopodobnie osobą powołaną do poinformowania cię o tym, ale Wells zaraził cię dżumą.

Dżuma. Exley poczuła ból na samo brzmienie tego słowa. Shafer pogłaskał ją po ramieniu.

- Wszystko w porządku. Sądzimy, że dotarliśmy do wszystkich, którzy mogli zostać narażeni na infekcję, tu i w Kanadzie.

W Kanadzie? Exley postanowiła nie pytać.

- Muszę się z nim zobaczyć, Ellis.

- Jest w kiepskim stanie - odparł Shafer. - Był wystawiony na działanie bakterii znacznie dłużej niż ty; poza tym otrzymał postrzał w plecy

- Khadri go postrzelił.

- Nie. Policja - przez twarz Shafer przemknął niewyraźny uśmiech. - Pod sam koniec sprawy się skomplikowały, ale wszystko skończyło się dobrze. Nasz chłopak okazał się bohaterem, ty zresztą również. W przyszłym tygodniu pojawi się tu prezydent. W międzyczasie Duto wziął na siebie całą zasługę, a ja mu na to pozwalałam.

Nazwisko Duto wywołało w niej falę gniewu, ale emocje opadły w niej równie szybko, co się wzburzyły. Była po prostu zbyt wyczerpana. Shafer zdawał się czytać w jej myślach.

- Nie marnuj energii, Jennifer. Jeśli to nie będzie on, to zjawi się ktoś inny

- John wyjdzie z tego. Mam rację, Ellis? - W mętnej jaźni wyobraziła sobie, że oddaje nogę za to, żeby Wells przeżył. Albo nawet obie nogi. Bez wahania. Komu są potrzebne jej nogi?

- Nie zamierzam kłamać. Lekarze obliczają szanse pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Ale to lepiej niż jeszcze wczoraj.

Następnego ranka poczuła się silniejsza i poprosiła, żeby zanieśli ją do Wellsa. Początkowo odmówili, lecz ona nalegała. Zawieźli ją więc na wózku do pokoju, przy którym straż pełnił nowojorski policjant w granatowym mundurze i białych rękawiczkach. Warta honorowa. Na korytarz mieli

wstęp wyłącznie lekarze i policjanci, nie wpuszczano żadnych cywilów.

Wells leżał na boku, z kroplówką podłączoną do przedramienia i rurkami z tlenem wsuniętymi w nozdrza. Spod prześcieradła na wysokości pasa wystawał kateter. Był błądy i wymizerowany, oddychał powoli, ale miarowe impulsy na monitorze oddychania oraz wskazania oksymetru umieszczonego nad jego głową uspokoiły ją.

- Wiem, że nie wygląda najlepiej, ale jego stan znacznie się poprawił - oznajmiła doktor Thompson. - Usiłuje coś powiedzieć, ale jest to póki co bełkot. Sądymy, że odzyska przytomność jeszcze dzisiaj.

Wells obrócił się na łóżku i westchnął.

- Czy możecie podsunąć mnie bliżej? - zapytała Exley

Wells stał na zewnątrz błyszczącego białego drapacza chmur. Najwyższego, jaki kiedykolwiek widział. Marmurowe ściany wydawały się nie mieć końca. Bardzo chciał wejść do środka, chociaż nie wiedział, dlaczego. Coś go popychało, coś, z czym nie potrafił walczyć. Był zbyt znużony, by podjąć walkę. Szukał wejścia, ale budynek nie posiadał drzwi ani okien, tylko jeden dzwonek wejściowy z przyciskiem. Naciśnął guzik. Rozległ się dzwonek i nagle zmaterializował się przed nim człowiek w niebieskiej marynarce i masce chirurgicznej na twarzy

Proszę, powiedział Wells bezgłośnie. Wiedział jednak, że mężczyzna zrozumie.

Mężczyzna wskazał na pasek Wellsa, za którym był zamknięty z tuzin pistoletów. Makarowy, czterdziestki piątki, glocki i nawet parę starych rewolwerów. Gdy Wells spoglądał na nie, jedno zmieniały się w drugie. Były żywe, zdał sobie sprawę. Nigdy wcześniej nie widział żywych pistoletów. Mimo to ich widok nie zaskoczył go.

Wyjmij je, powiedział mężczyzna w jego myślach.

Nie mogę, odparł Wells. Znów spojrzał w dół. Przed nim znajdowała się rozległa dziura, w której pełno było ludzi, dźwigów i maszyn do robót ziemnych: w wykopie budowano neonowe miasto. Nigdy nie wiadomo, jak jest tam na dole.

Wyjmij je, powiedział mężczyzna jeszcze raz. Z tyłu za nim drapacz chmur utracił blask i zaczął blaknąć. Wells z desperacją wyciągnął rękę ku mężczyźnie w niebieskiej marynarce, lecz ten uniósł palec, jeden palec, a Wells poczuł rwący ból promieniujący z pleców ku barkom, potem ku reszcie ciała.

Wells podniósł wzrok. Drapacz chmur prawie zniknął. Wiedział, że nigdy nie wejdzie do środka, jeśli nie pozbędzie się broni. Usiłował wyciągnąć pistolety, ale nie był w stanie - przyłgnęły do niego jak pijawki.

Gmach zniknął. Mężczyzna pokręcił przecząco głową i pomachał gniewnie ręką w jego stronę. Wtedy Wells upadł.

Wylądował na twardym skalistym podłożu. Neonowe miasto zniknęło; niebo nad nim było czarne. Wells zamknął oczy i zobaczył gwiazdy, ale przyćmione jak robaczki świętojańskie. Spoglądał na własny mózg przez grubą zasłonę z gazy. Znów odezwał się rwący ból w plecach. Spojrzał ponownie na gwiazdy. Były przyćmione. Zbyt przyćmione. Zupełnie inne gwiazdy pamiętał z Afganistanu.

Afganistan.

Kiedy zrozumiał to słowo, wszystko powróciło, wszystko, ze szczegółami, wszystko naraz, równie jaskrawe i pokrętne, jak sen w malignie, z tym, że realne. Był w stanie przypomnieć sobie wszystko; ból powodowany przez ranę w plecach znów szarpnął nim, niwelując działanie morfiny lub fetanylu lub cokolwiek to było, co mu podawali i...

...otworzył oczy. Była przy nim.